

PENNY JORDAN

UKRYTE LATA

Logicznie rzecz biorąc, Wypadek nie powinien był się w ogóle zdarzyć.

Boczna uliczka, spokojna jak na szalony ruch londyński; jasny, pogodny wiosenny ranek; taksówkarz chlubiący się, że nigdy nie miał wypadku; szczupła, elegancka kobieta, wyglądająca na dziesięć lat mniej, niż miała w rzeczywistości - żaden z tych elementów, rozpatrywany w kategoriach logicznych, nie zwiastował niebezpieczeństwa, a jednak, jakby los zdecydował, co ma się stać, i dopilnował, żeby się stało, mimo że kobieta przeszła przez jezdnię pewnie i spokojnie, mimo że taksówkarz ją widział i prawidłowo ocenił, iż wejdzie na chodnik przed nadjechaniem auta, mimo że ani jezdnia, ani chodnik nie były oblodzone ani zaśmiecone, z niewiadomego powodu kobieta, wkraczając na chodnik, zaczęła obcasem o krawężnik, straciła równowagę i upadła, nie na względnie bezpieczny chodnik, lecz na jezdnię, tuż przed nadjeżdżającą taksówką, której kierowca, zgodnie z wymogami bezpieczeństwa, jechał przepisową stroną, a nie środkiem, w ryzykowny i niebezpieczny sposób charakterystyczny dla wielu taksówkarzy na całym świecie.

Widział, jak kobieta się przewraca, i odruchowo zaczął hamować, ale było już za późno. Do końca życia miał pamiętać odgłos uderzenia auta w miękkie, bezbronne ciało. Impet wyrzucił z siedzenia jego pasażera, pięćdziesięcioletniego biznesmena w sztuczkowym ubraniu. Z wykwintnych, świetnie utrzymanych rezydencji, którymi zabudowana była uliczka, zaczęli już wyglądać ludzie.

Ktoś musiał zadzwonić po pogotowie, bo wkrótce usłyszał przytłumiony dźwięk syreny, zawodzącej żałobnie jakby pieśń pogrzebową. Nie mógł patrzeć na kobietę, był przekonany, że nie żyje. Stał, bliski mdłości, z boku, kiedy nadjechała karetka i fachowy personel wziął sprawę w swoje ręce.

- Żyje jeszcze - usłyszał czyjś głos i przed oczami wyobraźni stanęli mu jacyś jej bliscy, nieświadomi tragedii, która położy się wkrótce cieniem na ich egzystencji.

Ta kobieta musi mieć gdzieś rodzinę, przyjaciół, może podopiecznych. Cechował ją ów spokojny, pewny siebie wygląd osoby, która panuje nad życiem swoim i ludzi, obracających się w jej orbicie. Ludzie ci krzątają się gdzieś wokół swoich codziennych spraw, niczego nieświadomi, w poczuciu bezpieczeństwa.

Mamusia ofiarą wypadku drogowego, w szpitalnym łóżku, bliska śmierci, to niemożliwe, myślała drętwo Sage. Mamusia jest nietykalna, niezniszczalna, zawsze niezmienna, tak się

przynajmniej dotąd wydawało. W mózgu kołatały jej mętne, urywane, niejasne myśli - wspomnienia, wrażenia, obawy. Porsche, którego kupiła sobie na trzydzieste urodziny, przemykał się sprawnie w gęstym ruchu ulicznym. Aż dziw, że zamęt myśli nie odbijał się na jej sprawności w panowaniu nad kosztowną maszyną.

W dołku czuła ucisk, który tak dobrze pamiętała z dzieciństwa i lat młodzieńczych: nieprzyjemną mieszaninę lęku, bólu i gniewu. Jak mamusia mogła jej coś takiego zrobić? Jak mogła wtargnąć w jej życie, tak jak to czyniła tyle razy w przeszłości, znów narzucać jej swoją obecność, swoje roszczenia do jej niezależności?

Nie jest już dzieckiem, jest dorosłą, dojrzałą kobietą, więc czemu przepelniają ją znów te dawne, tak dobrze znane, Uczucia buntu i winy, bólu i gniewu, a co najgorsze, strachu?

Szpital znajduje się nie tak daleko, zapewne dlatego zatelefonowali do niej, a nie do Faye. Nagle uświadomiła sobie, że jest przecież najbliższą krewną, i po ciele przebiegł jej kłujący dreszczyc zgrozy. Mamusia umiera... Od tak dawna mówiła sobie, iż nic nie czuje do kobiety, która jej dała życie, iż po jej zdradzieckim, podstępnym zachowaniu nie ma już między nimi miejsca na żadne uczucie prócz niechęci, od tak dawna, że ten niepokój, to przerażenie, które ją teraz nurtowały, stanowią podwójny wstrząs.

Wjechała na parking przed szpitalem i wysiadła zdenerwowana. Poruszenia jej eleganckiego, gibkiego ciała były szybkie i niecierpliwie. Ma osobowość typową dla osób urodzonych pod znakiem Lwa, jak kiedyś scharakteryzowała swoje drugie dziecko Liz Danvers; jest zapalczywa, porywcza, nieumiarkowana... I inteligentna. Było to prawie dwadzieścia lat temu. Od tej pory czas stał nieco kanciastość jej niespokojnej natury, doświadczenie złagodziło szorstkość zachowania, którą drażliwe osoby odczuwały często jako agresywność. Teraz, w wieku trzydziestu czterech lat, umiała rozładowywać te siły, które kazały się niegdyś jej spokojniejszej i znacznie bardziej opanowanej matce otaczać murem powściągliwości i rezerwy. Sage strawiła dużą część dzieciństwa, próbując na próżno przebić ten mur, by dotrzeć do jądra niezgłębionej osobowości mamusi, Którą ta - jak uważała Sage - przed nią tai. Odkąd mogła zapamiętać, wiedziała, że z jakiegoś powodu nie jest tym dzieckiem, które mamusia chciałaby w niej widzieć. Cóż, nigdy nie była, nie mogła być, drugim Dawidem. Dawid, jej brat... Brakowało jej go do dziś. Brakowało jego dyskretnych, mądrych rad, jego miłości, jego zrozumienia. Dawid... Kochali go wszyscy, którzy go znali, kochali nie bez powodu. Opis cnót mógłby go przedstawić w cukiernym świetle, gdyby nie brać pod uwagę wrodzonej słodyczy zarówno Dawida-chłopca, jak Dawida-mężczyzny, zjednującej mu powszechną miłość. Jednakże Sage nigdy nie zazdrościła bratu, nigdy nie uważała, że gdyby nie on, mamusia by ją kochała bardziej czy inaczej. Rozdźwięk między matką a córką sięgał zbyt głęboko, by tłumaczyła ją matczyzna preferencja dla syna. Kiedyś bolała ją świadomość, że nosi w sobie coś, co tę mi-

łość, którą mamusia zdawała się obsypywać wszystkich i wszystko dookoła, przemieniła wobec niej w niechęć i wrogość, lecz w miarę dojrzewania pogodziła się jakoś z tym i nabrała dystansu do zbyt bolesnych spraw minionych, spraw, których wspomnienia unikała, tak jak unikała kontaktów z mamusią, jeśli nie były bezwzględnie konieczne. Ostatnimi czasy rzadko zaglądała nawet do domu, do Cottingdean.

Cottingdean - dom, park, miasteczko - domena mamusi, stworzona i utrzymywana siłą jej woli. Jej królestwo.

Cottingdean. Jakże nienawidziła tego miejsca, jakże się przez całe dzieciństwo buntowała przeciwko jego władzy nad mamusią, przenosząc na nie zazdrość i niechęć, jakich nigdy nie odczuwała wobec Dawida. Zbyt mała, by analizować, dlaczego mamusia odnosi się do niej z rezerwą, prawie jakby jej nie lubiła, przypisywała winę Cottingdean, obowiązkom, jakie ono na mamusię nakłada. Uważała, że znaczy dla niej więcej, niż może kiedykolwiek znaczyć ona, Sage. Co do tego, może się nie myliła. A właściwie, dlaczegoż by nie, myślała gorzko. Cottingdean odpłaciło się mamusi za czas i oddanie, które mu poświęcała, w sposób, w jaki ona, jej córka, nigdy nie mogła się odpłacić.

Cottingdean, Dawid, tatuś-oto istotne, ważkie części składowe życia mamusi. Czują, że ona, Sage, pozostaje z boku, jest osobą postronną, intruzem. Jak dotkliwie raniła ją ta świadomość, jak rozpaczliwie się przeciw niej buntowała!

Pchnęła szklane drzwi i weszła do holu szpitalnego. Młoda pielęgniarka w recepcji przebiegła nerwowo wzrokiem listę pacjentów i oznajmiła:

- Pani matka leży na oddziale intensywnej terapii. Proszę tu zaczekać. Chce z panią porozmawiać doktor Ferguson.

Panowanie nad sobą było sztuką, którą Sage posiadała już dawno, nie pozwoliła więc, by na jej twarzy malowały się uczucia, jakich doznaje. Podziękowała pielęgniarkie i odeszła, żeby usiąść. Czyżby mamusia już nie żyła? Czy dlatego lekarz chce z nią rozmawiać? Przejął ją dreszcz nie chcianej emocji, paniczny strach. Miała ochotę rozplakać się jak dziecko. Nie, jeszcze nie! Zbyt wiele musi się dowiedzieć. Zbyt wiele mają sobie do powiedzenia, do wyjaśnienia.

Było to, oczywiście, śmieszne, biorąc pod uwagę fakt, że powiedziały sobie wszystko, co miały do powiedzenia, już wiele lat temu. Ona powiedziała może nawet za wiele, zdradziła za wiele. I została zraniona nad miarę.

Kiedy tak siedziała czekając, z ciałem napiętym, lecz twarzą wypraną z wszelkiego wyrazu, nawet w spoczynku było w niej coś, co zdradzało nie opuszczającą jej wewnętrzną wibrację: kasztanowe włosy promieniowały życiem i energią, twarz o zdecydowanych rysach zwiastowała spontaniczność, zielone oczy, które nie wiadomo po kim odziedziczyła, były zmienne jak toń północnego jeziora pod wiosennym niebem. Pielęgniarka co chwila zerknęła na nią zazdrośnie. Ona sama była drobną, nieco pulchną dziewczyną, na swój sposób ładną, ale nie mogła się równać klasą z oszałamiającą kobietą, która siedziała naprzeciwko. W smukłości kostek i dłoni tamtej uderzała elegancja, w rysach twarzy uroda, nie wynikająca

z młodości ani makijażu, w kolorycie włosów i oczu powab tajemnicy, w najdrobniejszym poruszeniu ciała coś przykuwającego oko jak magnes.

Choć wydaje się to niemożliwe, mówiła sobie Sage, gdzieś w tym wielkim, anonimowym gmachu leży mamusia. Sprawiała zawsze wrażenie niemalże nieśmiertelnej, była osią, wokół której obracało się tyle istnień ludzkich. Także jej, Sage, dopóki się w końcu nie zbuntowała i nie stała osobą samodzielną. Tak, mamusia zdawała się zawsze nietykalna, niezniszczalna, stanowiła niezmienną część otaczającego świata. Żona doskonała, matka doskonała, pracodawczyni doskonała - uosobienie wszystkiego, o co inne kobiety z jej sfery zabiegały tak rozpaczliwie. A osiągnęła to wszystko wbrew przeszkodom, których pokolenie Sage nie musiało nigdy pokonywać. Mamusia była zawsze kobietą, która wyprzedzała swoją epokę o trzydzieści lat. Kobietą, która męża kalekę, w pewnym okresie bliskiego śmierci, utrzymała przy życiu przez ponad ćwierć wieku. Zostawszy panią domu oraz zrujnowanego majątku, przemieniła jedno i drugie w pomniki tego, co można osiągnąć determinacją i koncentracją na wytyczonym celu, umiejętnością i wyobraźnią, a nade wszystko upartą siłą woli, potrzebną do dokonywania cudów.

Czy w tym właśnie tkwiły korzenie rozdźwięku między nimi? Nie w tym, że mamusia nie dość ją kochała, lecz w tym, że ona, Sage, sama o tym nie wiedząc, zazdrościła jej wszystkich talentów? Czyżby była zazdrosna o jej osiągnięcia? Czyżby maskowała zazdrość wmawiając sobie, że ma prawo czuć to, co czuje? Wmawiając sobie, że wina, zdrada, odpowiedzialność leżą po stronie mamusi, a nie jej?

- Czy panna Danvers?

Poderwała głowę na dźwięk niecierpliwego męskiego głosu. Przywykła dawno do męskich spojrzeń, takich jak to, które przez chwilę wzięło górę nad profesjonalną powściągliwością stojącego przed nią lekarza. Wątpliwy był to dar, ten głęboki, mroczny nurt zmysłowości, który przyciągał do niej mężczyzn. Z żądzą, nie z miłością. Odżyło w niej na moment ostre, gorzkie uczucie, rana dawna, lecz nigdy nie zagojona.

- Czy moja mamusia... ? - zaczęła szybko.
- Jak dotąd żyje - odparł uprzedzając jej pytanie.

Patrzył na nią teraz, jak przystało na lekarza, powściągnąwszy męski zachwyty dla jej urody. Wysoki, chudy mężczyzna, prawdopodobnie wszystkiego sześć, siedem lat od niej starszy, lecz przedwcześnie postarzały od brzemienia ciężkiego zawodu. Inteligentny, utalentowany, sprawiający jednak w tej chwili wrażenie zmordowanego i poirytowanego. Strach przytłumił w Sage odruch współczucia dla niego, gdy czekała na dalsze słowa.

- Pani matkę przywieziono do szpitala nieprzytomną. Nie wiemy jeszcze, jak rozległe są obrażenia wewnętrzne.
- Nie wiedzą państwo... - Sage nie zdołała ukryć wstrząsu. -Ależ...
- Zbyt wiele trudu wymagało utrzymanie jej przy życiu, byśmy mogli przeprowadzić cokolwiek poza powierzchownymi oględzinami. Jest silną kobietą, inaczej już by nie żyła.

Odzyskała przytomność i chce się z panią widzieć. Dlatego musiałem z panią porozmawiać. Pacjenci, nawet tak ciężko poszkodowani jak pani mama, reagują bardzo silnie na najłżejsze oznaki strachu czy hysterii u odwiedzających, szczególnie gdy jest to ktoś z najbliższej rodziny.

- Mamusia chce się widzieć ze mną?- zapytała zdumiona Sage.

- Tak. - Lekarz zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem. - Mieliliśmy mnóstwo kłopotu z odnalezieniem pani.

Mamusia chce się z nią widzieć. Sage nie rozumiała tego. Dlaczego z nią? Nie zdziwiłaby się, gdyby chciała się zobaczyć z Faye, żoną Dawida, a raczej wdową po nim, albo z Kamilą, córką Dawida i Faye, ale nigdy z nią.

- Moja bratowa... - zaczęła, dając wyraz swym wątpliwościom, ale lekarz przerwał jej szorstko:

- Zawiadomiliśmy pani bratową, ale przy obecnym stanie pacjentki musimy ograniczyć liczbę odwiedzających. Pani mamę wyraźnie coś nurtuje. U osoby tak chorej jak ona liczy się każda rzecz, choćby najmniejsza, która może zwiększyć szansę wyzdrowienia. Dlatego uważam za swój obowiązek podkreślić z całym naciskiem, że powinna pani zrobić wszystko dla uspokojenia jej, choćby to, co ma do powiedzenia, wydawało się niezrozumiałe czy bezsensowne. Musimy za wszelką cenę zapewnić jej spokój.

Spojrzenie, jakie jej posłał, mówiło, że ma poważne wątpliwości, czy Sage potrafi stanąć na wysokości zadania. Wątpliwości, które ona sama podziela, pomyślała samokrytycznie Sage.

- Proszę ze mną - powiedział.

Poprowadził ją długim, pustym korytarzem. Sage ubawiła większa, niż była potrzebna, odległość, jaką między nimi utrzymywał. Czyżby się obawiał kontaktu fizycznego? Nie był pierwszym mężczyzną, który tak reagował na jej osobę. Wszyscy mili mężczyźni, ci, przy których mogłaby znaleźć coś zbliżonego do spokoju i zadowolenia, podzielali tę dwuznaczną ostrożność. Sprawiała to oczywiście jej uroda: nie umieli spojrzeć głębiej, poza niebezpieczne pożądanie, jakie w nich budziła, toteż widzieli w Sage kobietę, która nigdy nie będzie potrzebowała ich czułości ani nie będzie umiała uszanować ich wrażliwości. Jakże się mylili! Sage sama miała zbyt wiele wrażliwości, by lekceważyć wrażliwość innych. A co do czułości - uśmiechnęła się gorzko na tę myśl - ona jedna wie, jak często i jak bardzo łaknie jej kojącego balsamu.

- Tędy - powiedział lekarz.

Przed nimi były drzwi do sali intensywnej terapii. Sage ogarnięta instynktownym pragnieniem, żeby się odwrócić i uciec, zadrżała, kiedy lekarz sięgnął do klamki. Za tymi drzwiami leży mamusia. Czy naprawdę chce się z nią zobaczyć? Zdawało się to tak nie licujące z jej charakterem, że było prawie nie do wiary, i nieoczekiwane żądanie wytrąciło Sage z równowagi, naruszyło ochronny pancerz chłodu i obojętności, pod którym się kryła przez te wszystkie lata, odkąd ostateczna zdrada mamusi podważyła jej niechętną, bolesną miłość do niej.

Spróbowała sobie wyobrazić mamusię w nieprawdopo-

dobnej sytuacji, jaką odmalował lekarz, i ponownie wstrząsnął nią dreszcz. W sytuacjach ostatecznych, takich jak mamusi teraz, ludzie chcą zwykle widzieć tych, których kochają najbardziej, a ona wiedziała, że mamusia przez całe życie odmawiała jej tej miłości, którą tak szczerze, z takim zapamiętaniem, szafowała w stosunku do innych. Powinność, opieka, odpowiedzialność paradujące w masce miłości matczynej, tak, tego jej nie brakowało, ale Sage nauczyła się wcześniej odróżniać pozór od prawdy i dostrzegała, wyczuwała tę niewidzialną barierę, jaka je dzieliła.

Lekarz odwrócił się, zniecierpliwiony jej wahaniem.

- Pewien pan jest, że mamusia pytała o mnie? - spytała szeptem.

Mężczyzna przyglądał się jej chwilę. Ze zdziwieniem stwierdził, że ta oszałamiająca, pewna siebie kobieta przemieniła się nieoczekiwanie w przestraszone dziecko. Speszony siłą dziecinnej bezradności, kryjącej się w tym kobiecym ciele, powiedział bardziej szorstko, niż zamierzał:

- Nie ma się pani czego obawiać. Obrażenia pani mamy są prawie wyłącznie wewnętrzne. Zewnętrznie...

Sage zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Czyż on naprawdę sądzi, że jest taka słaba, taka zapatrzona w siebie, iż przy wejściu do pokoju szpitalnego paraliżuje ją obawa przed tym, co zobaczy? Ale jej gniew zgasł równie szybko, jak zapłonął. Trudno go winić, bo cóż on może wiedzieć o skomplikowanych stosunkach między nią a mamusią. Ona sama ich w pełni nie rozumie. Pchnęła drzwi i weszła do środka.

Salka była mała, zaledwie na czterech chorych, zastawiona aparaturą. Liz Danvers okazała się jedyną pacjentką. Leżała na jednym z wysokich, wąskich łóżek, podłączona do monitorów.

Jakżeż ona się skurczyła, pomyślała ze zdziwieniem Sage, spoglądając na matkę z góry. Jej włosy, kiedyś naturalnie złote, teraz farbowane na dyskretny odcień blond, były ukryte pod białą mycką; karnacja blada, lecz zdecydowanie różna w swym oliwkowym zabarwieniu od karnacji Sage, nadawała jej wygląd kobiety pod pięćdziesiątkę, nie po sześćdziesiątce.

Sage rozmyślnie skoncentrowała się na tych dobrze znanych cechach leżącej postaci, starając się nie zwracać uwagi na przewody podłączone do jej ciała. Mamusia oddychała z wysiłkiem, ale jej oczy, kiedy je zwróciła na Sage, były nie zmienione - chłodne, przenikliwe, wszechwidzące, wszechwiedzące, szarego koloru, który zależnie od nastroju rozjaśniał się do odcienia błękitnawego lub ciemniał do łupkowego. Zmierzyła córkę krytycznym wzrokiem, lecz nie było to owo szybkie, przelotne spojrzenie, tak dobrze znane Sage, mówiące, iż osoba, w którą jest wymierzone, zawiodła, rozczarowała mamusię. Ileż razy to spojrzenie kładło się cieniem na jej życiu, raniło dumę, obracało serce w kamień, przyprawiało ją o buntowniczą, bezradną furję? Nie, to dzisiejsze spojrzenie było inne, głębsze, mroczniejsze; w oczach, które ją mierzyły, kryły się nieznajome cienie.

- Sage...

Czy to wyłącznie instynkt kazał jej położyć rękę na dłoni mamusi, usiąść przy niej i powiedzieć najnormalniejszym,

jakim umiała, głosem:

- Jestem, mamusiu.

Mamusiu! Jak zimno i bezosobowo zabrzmiało to słowo, jak było wyprane z ciepła i uczucia. Jako mała dziewczynka mówiła „mamus”. Dawid, o dziesięć lat od niej starszy, wołał kpiąco-czułe „ma”, lecz w końcu Dawid cieszył się o tyle większą swobodą, o tyle większą miłością... Dość tego, pohamowała się. Nie przyszła tu, by wracać do przeszłości. Przeszłość pozostała poza nią.

- Nie martw się, mamusiu - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz...

Szare oczy zabłysły na moment drwiną, zdając się mówić, że przejrzały te puste słowa, i Sage jeszcze raz poczuła się jak dziecko w obliczu dorosłego.

- Sage, chcę, żebyś coś zrobiła...

Mamusia mówiła z wysiłkiem, jej słowa były ledwo słyszalne. Sage musiała się pochylić nad łóżkiem, żeby je rozumieć.

- Moje pamiętniki, w biurku w Cottingdean... Musisz je przeczytać... Musicie wszystkie przeczytać...

Zamilkła i zamknęła oczy. Sage patrzyła na nią nie rozumiejąc. O czym ona, na miłość boską, mówi? Jakie pamiętniki? Czyżby wypadek pomieszał jej zmysły? Wpatrywała się niepewnie w leżącą, kiedy ta otworzyła ponownie oczy i zażądała kategorycznie:

- Przyrzeknij mi, Sage... Przyrzeknij, że zrobisz, o co cię proszę... Przyrzeknij...

Posłusznie, niemal potulnie, Sage przełknęła ślinę i szepnęła:

- Przyrzekam. - Po czym, nie mogąc się pohamować, wybuchnęła: - Ale dlaczego ja? Dlaczego mnie o to prosisz? Dlaczego nie Faye? Jest ci o tyle bliższa...

Szare oczy znowu zdawały się z niej drwić. Odruchowo Sage zacisnęła silniej palce na dłoni, którą wciąż trzymała.

- Faye nie ma twego hartu, twojej dyscypliny... Ani twojej odporności...

Głos rozplynął się w cichym westchnieniu.

Sage poczuła, jak nitkowaty puls trzepocze i zamiera jej pod palcami, i przetoczyła się przez nią fala strachu, jakiego jeszcze nigdy nie doznała, strachu większego niż jej gniew, uraza, ból, nawet miłość. Nie wiedząc, co i dlaczego woła, wydała zdławiony okrzyk:

- Mamusiu, nie!

I zaraz usłyszała cichy, uspokajający głos:

- Jestem, Sage... Kiedy przeczytasz pamiętniki, zrozumiesz, dlaczego ty...

Mamusia zamknęła oczy, tak widocznie wyczerpana, że przez moment Sage myślała, iż naprawdę umiera.

Powściągnął jej panikę stanowczy uścisk lekarza na ramieniu i jego ciche słowa otuchy.

- Chce, żebym przeczytała jej pamiętniki - poinformowała go, zbyt oszołomiona, by powściągnąć potrzebę podzielenia się tą wiadomością.

- Ludzie bliscy śmierci czują czasem, co się z nimi dzieje, i zatrzymują się na pewnych aspektach życia własnego i bliskich.

- Nie wiedziałam nawet, że pisze pamiętniki - mówiła Sage bardziej do siebie niż do niego. - Nie miałam najmniejszego pojęcia... Kazała mi przyrzec... - urwała.

Wiedziała już, że musi przyrzeczenia dotrzymać. Wiedziała to i już się bała, bała się tego, co może w pamiętnikach wyczytać, bała się, że będzie zmuszona spojrzeć w oczy prawdzie, narazić się znowu na ból, który, jak myślała, dawno za sobą pozostawiła.

Nim lekarz wyprowadził ją z sali, rzuciła ostatnie, ociągające się spojrzenie na matkę.

- Czy ona?

Chciała zapytać, czy umrze, lecz już wiedziała, że nie chce znać odpowiedzi, że chce zachować nadzieję, chce wierzyć, że skoro przeżyła wypadek, będzie żyła.

Jako nastolatka często słyszała, że nie ma większego bólu, gorszego poczucia winy, dotkliwszego uświadomienia sobie, że życie przemija zbyt szybko, jak patrzeć w wieku dojrzałym na śmierć któregoś z rodziców.

Jej ojciec umarł, kiedy była nastolatką. Dla niego śmierć stanowiła wyzwolenie, a jej prawie nie dotknęła. Mieszkała wówczas w Cottingdean, ale tatuś z powodu swego kalectwa nie odgrywał nigdy większej roli w jej życiu. Był daleką, rozpieszczaną osobą, obcą dla niej, chociaż wokół niego obracała się cała egzystencja mamusi.

Do dzisiaj sądziła, że przestała ją kochać piętnaście lat temu, że jej miłość umarła wskutek nadmiernego bólu, nadmiernej krzywdy. Wówczas to uznała, że jedynym sposobem otrząśnięcia się z kataklizmu zdrady będzie stworzenie sobie własnego, niezależnego życia.

I dopięła tego.

Miała teraz swój własny zawód, swój własny świat. Zawód, który prowadził ją z Londynu do Nowego Jorku, z Nowego Jorku do Los Angeles, do Rzymu, do Paryża, do wszystkich tych miejsc na ziemi, do których dotarła jej sława malarki fresków.

Na całym globie znajdowały się domy, w których jej freski stanowiły cenioną część wystroju, ekskluzywne rezydencje, których właściciele nie pozwoliliby wystawić ich wewnątrz na łup ciekawych oczu nawet w najluksusowszych z luksusowych magazynów. Stała się poszukiwaną i wysoko płatną malarką, starannie selekcyjną zamówienia. Życie należało do niej... Tak jej się przynajmniej wydawało. „Dlaczego ja?” - spytała, a mamusia, nawet w tej sytuacji, być może ostatecznej, nie oszczędziła jej. Oczywiście, delikatna, wrażliwa Faye nie zdobyłaby się na czytanie cudzych pamiętników, na grzebanie w czyichś intymnych sprawach. Dlaczego więc to takie ważne, żeby przeczytała je ona, Sage? Żeby je przeczytały wszystkie trzy? Takie ważne, że mamusia, kto wie, czy nie ostatnim tchem, kazała jej to przyrzec.

Był tylko jeden sposób dowiedzenia się tego.

Zwlekanie nic nie da, zdecydowała Sage, wychodząc ze szpitala. Przypadek zdarzył, że się znajdowała między jednym a drugim zleceniem i w jej życiu nie było nic na tyle naglącego, by ją usprawiedliwić z niespełnienia od razu przyrzeczenia danego mamusi, uwolnić od pojechania bezpośrednio do Cottingdean, chociaż nie miała na to najmniejszej ochoty.

Dom rodzinny, Cottingdean, leżał na skraju sielankowego angielskiego miasteczka pośród wzgórz, na południo-wschód od Bath. Miasteczko stanowiło małą wiejską społeczność, której kochającą i kochaną patronką była Liz Danvers. Sage nigdy nie podzielała tej miłości do niego. Dusił ją tu, czuła jak więzień, jako dorastająca dziewczyna tęskniła do szerszych horyzontów, do rozleglejszego nieba.

Cottingdean. Czekają tam na nią Faye i Kamila, czekają, żeby ją zarzucić niespokojnymi pytaniami o mamusię, uświadomiła sobie, kierując się na zachód, ku autostradzie numer cztery. Zakrawało na ironię, że Faye, jej bratowa, potrafiła jakimś cudem zapewnić sobie miłość mamusi, tę miłość, której ona sama czuła się zawsze pozbawiona. A jednak nie mogła mieć o to żalu do Faye.

Sage westchnęła lekko. Biedna Faye, życie nie było dla niej łaskawe, a jest nadto wrażliwa, nadto bezbronna, by znieść zbyt wiele jego ciosów.

Sage pamiętała, jak Faye wyglądała w dniu ślubu z Dawidem. Błada, krucha róża herbaciana, nie kryjąca swego uwielbienia dla mężczyzny, za którego wychodzi. Nie dane jej było cieszyć się długo szczęściem. Dawid zginął w tragicznym, bezsensownym wypadku drogowym, zostawiając ją, by sama wychowywała Kamilę.

Nie zaskoczyło Sage, kiedy mamusia zaproponowała Faye, by zamieszkała w Cottingdean. W końcu, naturalnym biegiem rzeczy, to Dawid odziedzyczyłby majątek. Faye przyjęła propozycję. Uroczą dawną proboszczówką w miasteczku, którą Dawid kupił dla młodej żony, została sprzedana i Faye z roczną córeczką przeniosła się do Cottingdean. Mieszkały tam do dziś, Kamila nigdy nie poznała innego domu, innego życia.

Uśmiech rozjaśnił twarz Sage na myśl o bratanicy, teraz prawie osiemnastoletniej i w oczach świata rozpieszczonej zapewne do niemożliwości. Wszystkie trzy przeżyły oczywiście głęboko śmierć Dawida, lecz ból osłodziło im nieco to dziecko, dar, jaki po sobie pozostawił.

Wiadomo było, że pewnego dnia Cottingdean ze wszystkimi swymi tradycjami przejdzie na Kamilę i Sage widziała, że mamusia już teraz przygotowuje dyskretnie jedyną wnuczkę do obowiązków, jakie spadną na jej barki.

Sage nie zazdrościła jej tego dziedzictwa, zazdrościła natomiast czasem równego, pogodnego usposobienia i ciepła, które przyciągało do niej ludzi. Jak na razie jednak Kamila była jeszcze w znacznej mierze dzieckiem nieświadomym własnej

siły. Sage westchnęła. Kamila przeżyje to najbardziej z nich trzech, jeśli... Ścisnęła kierownicę porsche'a, aż pobiełały jej kostki dłoni. Wciąż nie mogła sformułować nawet w myśli słowa „umrze”, nie mogła dopuścić do siebie możliwości... prawdopodobieństwa śmierci mamusi. Nie zracjonalizowana, lecz ukryta głęboko w najbardziej sekretnym, najświętszym wnętrzu jej osoby, w tej atawistycznej, instynktownej jej części, która tak często nią powodowała, tkwiła świadomość, że odmowa przyrzeczenia, którego mamusia od niej zażądała, a nawet danie go, a potem niedotrzymanie przyczyniłoby się do zdławienia siły napędowej jej życia. Sage miała uczucie, że między przyrzeczeniem wymuszonym przez mamusię a jej wolą walki ze śmiercią istnieje jakaś pierwotna więź i gdyby ona, Sage, złamała to przyrzeczenie, to tak jakby rozmyślnie przerwała symboliczną srebrną nić jej żywota.

Z zimnym dreszczem uświadomiła sobie, jak już nieraz w różnych okolicznościach swego życia, swoją głęboko zakorzenioną i często niepokojącą podatność na kierowanie się emocjami, przeczuciami, nie mającymi logicznego uzasadnienia. Silniej zacisnęła smukłe palce na kierownicy. Nie odziedziczyła nic z wewnętrznego ładu Liz Danvers, ten ją ominął, przechodząc na Kamilę. Na dobrą sprawę nie ma w sobie nic z mamusi, a jednak w tej krótkiej chwili bliskości, siedząc przy jej łóżku, miała przez przerażający ułamek sekundy wrażenie, że ich dusze stanowią jedność, tak jakby strach i ból, rozpacz i determinacja mamusi były im wspólne. Pojęła w owej chwili, jaką kolosalną wagę ma dla mamusi, by jej córka dotrzymała przyrzeczenia.

Czy dlatego, że wiedziała, iż umiera? Skurcz rozpaczy

przeszył serce Sage. Nie powinna tak reagować. Odcięła się od mamusi wiele lat temu. Och, oczywiście, zachowywała pozory, przestrzegała zwyczajowych wizyt na urodziny w czerwcu i na Boże Narodzenie, chociaż ostatniej Gwiazdki nie spędziła w Cottingdean. Malowała freski w willi bogatej Francuzki na Karaibach, więc miała świetną wymówkę, żeby nie przyjeżdżać do domu, co mamusia przyjęła spokojnie i bez komentarzy.

Skręciła z autostrady przy dobrze znanym drogowskazie. Zirykował ją dwustronny ruch, szczególnie gdy się znalazła za olbrzymim ośmiokołowym kontenerowcem, tarasującym wąską boczną szosę. Wyprzedziła go na krótkim odcinku szerszego rozjazdu parę mil przed miasteczkiem, rada, że się uwolniła od duszących dieslowskich spalin. Zima była tego roku ciężka, tym miłszym czyniąc widok zieleniących się wiosennie żywopłotów, które mijała. Miasteczko wydało jej się nie zmienione i Sage stwierdziła ze zdziwieniem, że napełnia ją to otuchą. Zastanowiło ją, dlaczego jechała z obawą, że je zastanie w jakiś sposób odmienione, skoro kiedyś tak rozpaczliwie chciała uciec od jego niemal za doskonałej urody.

Ze szpitala dzwoniła, żeby uprzedzić Faye, że jedzie do Cottingdean, ale nie powiedziała jej, dlaczego.

Ten, kto wybierał miejsce na budowę Cottingdean, wybrał dobrze. Dom stał zwrócony tyłem do wzgórz, fasadą na południe, chroniony od wschodnich wiatrów przez wiekowe dęby na obrzeżu parku.

Pierwotny dom został wzniesiony przez elżbietańskiego przedsiębiorcę, kupca, który przeniósł rodzinę z Bristolu w spokojną i zdrową samotnię wsi. Była to solidna, sensowna budowla w tradycyjnym stylu, zaprojektowana w kształcie litery E. Późniejsze generacje dodały z tyłu splot przybudówek, jednakże szczęściem, z braku funduszy czy potrzeb, nikt nie wpadł na pomysł przerabiania kamiennego frontonu ze starodawnymi dzielonymi oknami i ciężkimi dębowymi drzwiami.

Podjazd nadal prowadził na tyły domu, z dziedzińcem, wokół którego stały stajnie i inne zabudowania gospodarcze, pozostawiając niczym nie zakłócony widok na front domu.

Matka Sage zawsze powtarzała, że najlepiej pierwszy raz oglądać Cottingdean, podchodząc pieszo przez most na rzece i przez drewnianą bramę w murze otaczającego parku, tak by mieć widok na dom przez przycinane cisy, strzegące ścieżki do tarasu i wejścia frontowego.

Kiedy mamusia przyjechała do Cottingdean jako młoda żona, park, teraz tak sławny i podziwiany, był płataniną chwastów i chaszczki, przetykaną tu i ówdzie zaniedbanymi grządkami warzywnymi. Trudno było to sobie teraz wyobrazić, patrząc na gładkie przestrzenie soczystej zielonej murawy, kłomby na pozór niedbale rozrzuconych bylin, kępy drzew i cisowe żywopłoty, przydające parkowi uroku i tajemniczości. Wszystko to było dziełem mamusi, i to nie, jak wielu sobie wyobrażało, osiągniętych za pomocą pieniędzy i naje-

mnej pracy, lecz w większej części trudem jej własnych rąk. Wjechawszy na dziedziniec, Sage stwierdziła, że Faye i Kamila czekają na nią. Podbiegły, gdy tylko zatrzymała auto, pytając równocześnie:

- Jak tam mamusia?
- Jak babcia?

• Trzyma się - odparła wysiadając. - Nie znają jeszcze rozmiarów obrażeń wewnętrznych. Rozmawiałam z lekarzem. Powiedział, że możemy zadzwonić wieczorem.

• Ale kiedy będziemy mogły ją odwiedzić? - spytała niecierpliwie Kamila.

• Lekarz chce, żeby jej stan się przedtem ustabilizował - poinformowała Sage. - Za jakieś dwa, trzy dni będzie mogła przyjmować wizyty.

- Ale ty się z nią widziałaś - stwierdziła Kamila.

Sage objęła ją ramieniem. Jakże cenna jest dla nich wszystkich ta córka Dawida!

• Bo ona chciała się ze mną widzieć, Kamilo. Lekarz uważał, że coś ją nurtuje i źle wpływa na jej stan.

- Coś ją nurtuje?

• Kamilo - wtrąciła się Faye z lekką naganą w głosie. - Pozwól cioci wejść do domu i ochłonąć, zanim ją zaczniesz wypytywać. Jazda z Londynu nie jest zabawą przy obecnym ruchu. Nie wiem, Sage, jakie masz plany, ale na wszelki wypadek kazałam Jenny przygotować twój pokój.

- Sama nie jestem pewna - odparła Sage.

Weszła za bratową do domu i zatrzymała się na moment, by pozwolić oczom przystosować się do półmroku długiego, wyłożonego boazerią korytarza, prowadzącego do frontowego holu.

Kiedy mamusia przyjechała po raz pierwszy do Cottingdean, boazeria była pokryta tak grubą warstwą farby, że usunięcie jej zabrało prawie rok. Teraz drewno połyskiwało soczyście, tak że ręka sama się wyciągała, żeby go dotknąć.

- Kazałam Jenny podać herbatę do salonu - powiedziała Faye, otwierając ciężkie drzwi. - Nie byłam pewna, czy miałaś czas zjeść lunch...

Sage potrząsnęła głową - jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej chciała myśleć.

Salon, mieszczący się z boku domu, miał okna wychodzące na zachód. Utrzymany w różnych odcieniach żółci, był złocistym, pogodnym pokojem, urządzonym eklektyczną zbieraniną mebli, które jakimś cudem robiły wrażenie kompletu. Jeszcze jeden z talentów mamusi.

Było tu przytulnie, pachniało kwitnącymi hiacyntami w identycznym lawendowym odcieniu co dywan, pokrywający podłogę. W kominku palił się ogień, dodając ciepła pokojowi ogrzewanemu kaloryferami, ukrytymi dyskretnie za okratowaniem.

- Powiedz nam wszystko o babci - zażądała Kamila, klękając na obitym adamaszkim podnóżku u stóp Sage. - Jak się czuje?

Była ładną dziewczyną o blond włosach jak jej matka, jednakże w przeciwieństwie do tej ostatniej, której karnacja miała w sobie coś chorobliwego, Kamila tryskała życiem i zdrowiem. Natomiast jej delikatne, rasowe rysy i oczy o

blękitnawoszarym odcieniu upodabniały ją raczej do babci.

- Czy wyzdrowieje?

Sage nie odpowiedziała od razu. Poszukała nad głową Kamili wzroku Faye.

• Mam nadzieję - odparła w końcu cicho i zaraz dodała na pocieszenie: - Jest silną kobietą,, Kamilo. Jeśli ktoś ma wolę walki, trzymania się przy życiu...

• Chciałyśmy jechać, żeby ją zobaczyć, ale w szpitalu powiedzieli, że chce się widzieć z tobą.

• Tak, miała dla mnie polecenie.

Obie, Faye i Kamila, wpatrywały się w nią z oczekiwaniem.

• Chce, żebyśmy wszystkie... wszystkie trzy przeczytały jej pamiętniki. Kazała mi to przyrzec. - Sage zrobiła lekki grymas. - Nie wiedziałam, że w ogóle prowadzi pamiętnik.

• Ja wiedziałam - oświadczyła Kamila. - Nie mogłam kiedyś spać w nocy i zesłam na dół. Zostałam babcię piszącą w bibliotece. Powiedziała mi, że zawsze prowadzi pamiętnik. Od czternastego roku życia, tylko że tych najwcześniejszych nie zachowała.

Śmieszne, żeby coś takiego budziło w niej ból i zazdrość, zganiała się Sage.

- Babcia trzyma pamiętniki w tym wielkim biurku, które należało do dziadka - poinformowała Kamila. - Tylko ona ma klucz.

• Przywiozłam go - wyjaśniła Sage zdławionym głosem. Przekazali jej klucz w szpitalu, wraz ze wszystkimi rzeczami znalezionymi w torebce mamusi. Z najwyższą niechęcią przyjmowała pedantycznie zapakowane rzeczy osobiste. Miała świadomość, dlaczego je przekazują.

• Nie rozumiem, dlaczego chce, żebyśmy to przeczytały - wyszeptła Faye.

Miała napięty wyraz twarzy, w oczach czaił się strach. Sage przyjrzała jej się uważniej. Tak przywykła do jej obecności w cieniu życia mamusi, że nigdy nie zadała sobie pytania, dlaczego ta kobieta, wciąż bardzo atrakcyjna i w wieku czterdziestu jeden lat wyglądająca jeszcze stosunkowo młodo, wybrała sobie taką egzystencję.

Oczywiście, Faye kochała Dawida, uwielbiała go, niemal ubóstwiała, ale przecież Dawid od dawna nie żyje, a przez cały ten czas, o ile Sage wiedziała, nie było w życiu Faye żadnego innego mężczyzny.

Dlaczego zdecydowała się na taką egzystencję? U innej kobiety Sage mogłaby to uznać za oznakę, iż małżeństwo pozostawiło jej tak złe wspomnienia, że wstrętna jest jej myśl o jakimkolwiek innym intymnym związku, ale wiedziała, jak szczęśliwa była Faye z Dawidem. Więc dlaczego zdecydowała się *zamknąć w czterech ścianach tego prowincjonalnego domu, z teściową i córką jako jedynym towarzyszem?* Sage przyglądała się ukradkiem bratowej. Zewnętrznie Faye zdawała się zawsze spokojna i opanowana, choć Sage dostrzegała, że nie jest to niewzruszone opanowanie mamusi. Opanowanie Faye przypominało raczej tarczę, za którą kryje się przed światem. Jej łagodne niebieskie oczy zerkają teraz ner-

wowo, blond włosy, które za czasów małżeńskich nosiła rozpuszczone, ściągnięte były w klasyczny koczek, twarz zdradzała zaledwie lekki ślad makijażu. Faye jest piękną kobietą, która robi wszystko, żeby wyglądać nieatrakcyjnie, uświadomiła sobie teraz Sage i zastanowiła się, dlaczego. Nagle przyszło jej do głowy, czy to jej zastanowienie nad Faye nie jest z jej strony sposobem odwleknięcia tego, co ją nieuchronnie czeka. Pod trwożnym spojrzeniem bratowej i bratanicy poczuła się w obowiązku uspokojenia ich.

- Znając mamusię- powiedziała z przekonaniem - domyślałam się, dlaczego chce, żebyśmy przeczytały te pamiętniki. Uważa, że pomogą nam prowadzić jej sprawy, zanim wyzdrowieje.

Faye rzuciła na nią szybkie spojrzenie.

- Przecież Henry zarządza fabryką, a Harry nadal dogląda owiec, chociaż nominalnie przejął nad nimi opiekę jego wnuk.

- Kto poprowadzi zebranie komitetu protestacyjnego przeciwko budowie autostrady, jeśli babcia nie wyzdrowieje szybko? - wtrąciła Kamila.

- Jakiej autostrady? - spytała Sage, marszcząc czoło.

- Chcą wybudować autostradę tuż na zachód od miasteczka - wyjaśniła Faye. - Miałaby przebiegać przez sam środek terenów uprawnych i o kilkanaście jardów od ostatnich domów, więc mamusia zorganizowała komitet protestacyjny. Próbuje wytyczyć sensowną trasę alternatywną. Zebranie wstępne odbyło się dwa tygodnie temu i oczywiście wybrano ją przewodniczącą.

Gniew i oburzenie, jakie ją ogarnęły, są zupełnie niewspółmierne do jej uczuć wobec Cottingdean, uświadomiła sobie Sage. Robiła przecież wszystko, żeby się stąd wyrwać, więc skąd teraz ten przyływ gniewu, że ktoś chce je oszczędzić dla wybudowania autostrady?

- Cóż my biedne poczniemy bez mamusi? - zapytała Faye z rozpaczą w głosie.

Przez moment wyglądało, że się rozplacze, więc Sage poczuła ulgę, gdy drzwi się otworzyły i gospodyni mamusi ustawiła w salonie ruchomy stoliczek.

Popołudniowa herbata stanowiła w Cottingdean uświęconą tradycję, odkąd rodzice Sage wprowadzili się tutaj po wojnie. Tatuś był inwalidą i nigdy nie miał apetytu, więc mamusia zapoczątkowała ten zwyczaj, żeby go skłonić do częstszego jedzenia.

Jenny i Charles Openshawowie, miła para małżeńska z północy, oboje po pięćdziesiątce, pracowali u mamusi od ponad pięciu lat, ona jako gospodyni, on jako ogrodnik i szofer. Do przyjęcia tej posady zmusiła ich niespodziewana utrata pracy przez Charlesa.

Za odprawę, jaką otrzymał, kupili niewielką willę na Wyspach Kanaryjskich, w małym, ściśle kontrolowanym osiedlu. Inwestycja okazała się udana. Za pośrednictwem miejscowej agencji wynajmowali willę, dopóki nie przejdą na emeryturę, i przynosiło im to niewielki dodatkowy dochód.

Sage bardzo ich oboje lubiła. Energiczni i zdecydowani, nie

mieli w sobie nic z uniżoności ani służalczości. Do swojej pracy podchodzili rzeczowo i szybko stali się cenionymi domownikami, traktowanymi przez mamusię z takim samym szacunkiem dla ich umiejętności, jak wszyscy, którzy u niej pracowali.

Poinformowawszy teraz Sage, że przygotowała jej pokój, Jenny zapytała, jak się ma pani. Sage wiedziała, że domyśli się z jej słów, znacznie trafniej niż Faye i Kamila, jak nikłe są szanse na pełne wyzdrowienie mamusi.

- Och, byłabym zapomniała - dorzuciła Jenny. - Tuż przed pani przyjazdem dzwonił pan Dimitrios.

- Alexi - westchnęła Sage.

Domyślała się, że jest na nią wściekły. Byli umówieni na kolację. Zadzwoiła do niego ze szpitala i zostawiła krótką informację o tym, co się stało, wraz z obietnicą, że później zadzwoni powtórnie.

Alexi uwodził ją od prawie dwóch miesięcy i na ostatniej randce powiedział, że nie zdarzyło mu się jeszcze uganiać za kobietą tak długo i nie pójść z nią do łóżka.

Nie było właściwie powodu, dlaczego nie mieliby zostać kochankami. Alexi był wysokim, wysportowanym mężczyzną o proporcjonalnej budowie i regularnych rysach. Sage poznała go w Sydney, gdy malowała tam zamówiony fresk. Należał do młodego pokolenia Australijczyków greckiego pochodzenia. Był bogaty, pewny siebie, samczo zaborczy w sposób, który bawił Sage.

Zapomniała już, kto ją poprzednio tak wytrwale adorował.

Minęły prawie dwa lata, odkąd miała ostatniego kochanka. Szmat czasu, szczególnie że, jak sama to przyznawała, uważała udane życie seksualne za jedną z większych przyjemności życiowych.

W tym tkwił właśnie sęk: o dobrego partnera nie było wcale tak łatwo. Czy też może w miarę upływu lat stała się po prostu bardziej wybredna, bardziej wymagająca, mniej skłonna do ulegania atrakcyjnym mężczyznom i własnym chwilowym impulsom do zaspokajania żądzy ciała?

Oczywiście, absorbowała ją praca, pozostawiając mało czasu na życie towarzyskie i rozczulanie się nad sobą. Tego właśnie chciała. Strawiła zbyt wiele rozstrajających i nieproduktywnych godzin na pogoni za nieosiągalnym, na tęsknotach do niemożliwego. Szamotała się beznadziejnie i bezradnie, dopóki nie postanowiła odciąć się od przeszłości, rozpocząć nowe życie i brać, co los przyniesie. Nauczyć się żyć terażniejszością, powoli i mozolnie, jak osoba ucząca się na nowo chodzić po długim paraliżu.

Uświadomiła sobie teraz, że beztraska, z jaką przyjęła potencjalny gniew Alexiego o niedotrzymanie umówionego spotkania, świadczy, że jej sympatia do niego jest w najlepszym razie letnia. Uśmiechnęła się swobodnie do Jenny i oznajmiła, że jeszcze nie wie, jak długo tu zostanie.

Jutro musi pojechać do Londynu i wziąć trochę najpotrzebniejszych rzeczy z mieszkania. Powinna była to zrobić przed

przyjazdem tutaj, ale kiedy wyszła ze szpitala, nie w głowie jej były takie względy praktyczne. Myślała jedynie o mamusi i o spełnieniu danego przyrzeczenia. Mamusia zawsze jej powtarzała, że jest zbyt impulsywna i robi różne rzeczy bez zastanowienia.

Kiedy Jenny wyszła, Sage dopiła niecierpliwie herbatę. Nie spróbowała przygotowanych przez gospodynię smakołyków. Zdawała sobie sprawę, że powinna coś zjeść, ale myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Przestraszyła się na moment, że to zapewne wynik wstrząsu, lecz była tak przyzwyczajona do swojej odporności fizycznej, że nie zastanawiała się nad tym dłużej.

Widząc jej niepokój, Faye również odstawiła filiżankę.

- Wracając do sprawy pamiętników - zaczęła niepewnie. - Czy uważasz, że mamusia naprawdę chce, żebyśmy je wszystkie przeczytały?

- Obawiam się, że tak. Zabiorę się do ich czytania z równą niechęcią jak ty, Faye. Znając jej systematyczność, jestem przekonana, że nie zawierają nic poza szczegółowymi opisami tego, co robiła w domu, w majątku, w fabryce. Ale rasa ludzka dzieli się na dwie kategorie: ludzi takich jak ty i ja, którzy czują wstręt do grzebania się w czymś tak intymnym jak cudze pamiętniki, i takich, którzy, wprost przeciwnie, robią to z lubością. Nie mam pojęcia, dlaczego mamusia chce, żebyśmy je przeczytały. Nie uśmiecha mi się to bardziej niż tobie, ale muszę dotrzymać przyrzeczenia...

Urwała wahając się, czy nie zwierzyć się Faye z niedorzecznego uczucia, że jeśli tego nie zrobi, jeśli złamie przyrzeczenie, to w jakiś sposób zmniejszy szanse wyzdrowienia mamusi. Ostatecznie zdecydowała nic więcej nie mówić, gdyż równałoby się to próbie przerwania części brzemienia na wątlejsze barki Faye.

- No, nie ma co dłużej zwlekać. Im szybciej się do tego zabiorę, tym szybciej się z tym uporam. O ósmej zadzwonimy do szpitala i może nam pozwolą jutro ją odwiedzić. Myślę, że będę ci przekazywała każdy pamiętnik, który przeczytam, a ty mogłabyś go po przeczytaniu przekazywać Kamili.

- Gdzie chcesz czytać? - spytała nerwowo Faye. - Tutaj czy... ?

- Zainstaluję się może w bibliotece - odparła Sage. - Poproszę Charlesa, żeby napalił w kominku.

Jeszcze teraz, wiedząc, że odkładanie nic nie da, próbowała podświadomie odwlec to, co musi zrobić. Czy naprawdę potrzebny jej ogień na kominku w bibliotece? Przecież działa centralne ogrzewanie. Czego się właściwie boi? Potwierdzenia, że mamusia jej nie kocha? Czyż nie pogodziła się przed laty i z brakiem jej miłości? Czy też może boi się otwarcia na nowo tej innej, głębszej, jakże ciągle dotkliwej rany? Czy to obawa przed przeczytaniem o tamtych chwilach, tak wciąż dla niej bolesnych, że wymazała je na dobrą sprawę z pamięci? Czego się tak panicznie boi?

Niczego, powiedziała sobie twardo. Czegóż miałyby się bać? Nie ma absolutnie powodu do obaw.

Podniosła z fotela kawowy żakiet, w którym chodziła tego dnia, i wymacała w kieszeni klucze mamusi. Bez trudu zidentyfikowała klucz do staroświeckiego biurka w bibliotece, chociaż przedtem go nie знаła.

- Pamiętniki są w szufladach po lewej stronie - poinformowała ją Kamila, po czym, jakby wyczuwając ociąganie Sage, zapytała niepewnie: - Może byś chciała... żebyśmy z tobą poszły?

Sage spojrzała czule na bratanicę. Powiedziała jednak kpiąco:

- Idę czytać pamiętniki, Kamilo, a nie średniowieczny manuskrypt o czarach. Wątpię, żeby zawierały cokolwiek oprócz planów babci zagospodarowania parku i sprawozdań z hodowli owiec.

Wstała i podeszła energicznie do drzwi.

- Czy ciągle jadacie kolację o wpół do dziewiątej?
- Tak, ale możemy przesunąć godzinę, jeśli sobie życzysz

- odrzekła Faye.

Sage potrząsnęła głową.

- Nie. Poczytam do ósmej, a potem zadzwonimy do szpitala.

Zamknąwszy za sobą drzwi, zatrzymała się na minutę w holu.

Zachodzące wiosenne słońce nadawało boazeriom ciemnomiodowy kolor, oświetlało olbrzymie cynowe dzbany z kwiatami i przepastną kamienną pieczarę dawnego kominka.

Parkiet podłogi był stary i nierówny, leżące na nim dywany stanowiły nasycone barwne plamy. Biblioteka znajdowała się po przeciwnej stronie holu niż salon. Sage spojrzała w jego kierunku, po czym zawróciła śpiesznie ku kuchni, żeby odnaleźć Charlesa i poprosić go o napalenie w kominku. Potem poszła na górę. Jej pokój otrzymał nowy wystrój, kiedy ukończyła osiemnaście lat. Meble i obicia wybrała mamusia jako niespodziankę na jej urodziny i Sage musiała przyznać, że wybrała dobrze.

W miejsce miękkiego pastelowego kolorytu, który stał się zbyt mdły, urządziła pokój w nasyconych barwach: niebieskościach, czerwieniach, zieleniach, które Sage tak lubiła i które wydobywały całe piękno boazerii, pokrywającej ściany. Wielkie łóżko z baldachimem, wykonane w majątku z własnego drewna, miało na froncie jej imię i datę urodzenia oraz wyrzeźbione pyszczki zwierzęcych przyjaciół jej dzieciństwa. W jego projekt i wykonanie włożono mnóstwo trudu i każdy postronny obserwator uznałby je za dowód wielkiej miłości, ale dla Sage stanowiło jedynie przejaw tego, co mamusia uznała za swój obowiązek. Jej córka ukończyła osiemnaście lat, więc należy jej się prezent stosowny do okoliczności.

Sage weszła do przyległej łazienki o prostym białym wyposażeniu i dystyngowanym edwardiańskim wyglądzie, żeby umyć ręce i poprawić makijaż. Jej wargi wymagały podmalowania, włosy podczesania.

Robiąc to, uśmiechnęła się do siebie niewesoło. Ciągle odwleka decydującą chwilę. Dlaczego? Czego może się obawiać? Co takiego może wyjść na światło dzienne? Zna przecież historię życia mamusi, tak jak znają ją tutaj wszyscy. Jej żywot jest tak nieposzlakowany i godny pochwały jak żywoty

świętych. Przyjechała do tego domu jako młoda żona, z mężem okaleczonym przez wojnę i już ciężko schorowanym. Poznali się, kiedy mamusia pracowała jako pomoc w szpitalu, pokochali się, pobrali i przyjechali zamieszkać w majątku, który tatuś odziedziczył po bracie stryjecznym.

Wszyscy wiedzą, że przyjechawszy tu jako osiemnastoletnia dziewczyna stwierdziła, iż majątek, który mąż jej przedstawiał w promiennych barwach swego dzieciństwa, znajduje się w pożałowania godnym stanie.

I wszyscy wiedzą, jak ciężko pracowała, żeby go przywrócić do dawnej świetności. Miała intuicję i wytrwałość, żeby przestawić niewielką miejscową owczarnię na selektywny program rozplodowy, który doprowadził do wyhodowania specjalnego, wysoko cenionego runa. Ale jak przewidziała, że nadejdzie czas, gdy na takie runo zrobi się wielki popyt, jak przekonała męża, żeby jej pozwolił na eksperymenty hodowlane, a następnie na rozbudowę podupadłej fabryczki włókienniczej? Sage uświadomiła sobie, że nie ma o tym pojęcia, i obudził się w niej pierwszy odruch zainteresowania.

Wszyscy wiedzą o dobrobycie, jaki dzięki mamusi spłynął na miasteczko, o nowym życiu, jakie tchnęła w Cottingdean. Wszyscy znają jej radości i smutki, wiedzą, jak walczyła o utrzymanie przy życiu męża, jak utraciła ukochanego syna, jak się od niej odwróciła ona, Sage, krnąbrna i niesforna córka. Nie, w przeszłości mamusi nie ma prawdziwych tajemnic. Więc skąd ta trema, obawa, prawie strach, które jej każą odwlekać moment zejścia do biblioteki i otworzenia biurka?

Musi to w końcu zrobić. Dała słowo, przyrzekła. Z lekkim westchnieniem wyszła z pokoju. Przy drzwiach biblioteki zawahała się chwilę, nim nacisnęła klamkę.

Na kominku płonął wesoło ogień, na stole ktoś, z pewnością Jenny, postawił dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

Zamykając za sobą drzwi, Sage przypominała sobie dziecińskie lata, kiedy nie wolno jej było wchodzić do tego pokoju. Stanowił on sanktuarium tatusia, siedząc na swoim wózku inwalidzkim mógł stąd patrzeć na park. Mamusia przychodziła tu spędzać z nim wieczory.

Dosyć tego, powiedziała sobie Sage. Nie przyszła tutaj rozpamiętywać przeszłości, przyszła o niej czytać.

Zaskoczył ją przelotny przypływ nadziei, że klucz nie otworzy szuflad, ale oczywiście otworzył. Szuflady były ciężkie i stare, wysuwały się jednak nadspodziewanie łatwo na swoich drewnianych podporach. Z wnętrza uniosła się ku niej delikatna woń ziół i perfum mamusi.

Zobaczyła teraz pamiętniki. Było ich znacznie więcej, niż się spodziewała, i wszystkie miały systematycznie wypisane numery i daty. Zupełnie jakby mamusia przewidywała, że nadejdzie dzień... zupełnie jakby to świadomie planowała.

Ale dla czego, zastanowiła się Sage, sięgając z napięciem po pierwszy pamiętnik.

Stwierdziła, że ręce jej drżą, kiedy go otwierała, a słowa rozmazały jej się przed oczyma, kiedy skierowała wzrok na

pierwszą linijkę. Nie chce tego czytać, nie może... Lecz nawet przez ten swój opór wewnętrzny czuła nacisk woli mamusi, prawie jakby słyszała jej szept: „Przyrzekłaś”.

Zamrugła szybko, żeby rozproszyć mgłę przed oczami, i przeczytała pierwsze zdanie:

„Dzisiaj poznałam Kita”.

Kita? Sage zmarszczyła brwi i odwróciła kartkę, żeby sprawdzić datę. Pamiętnik rozpoczynał się, kiedy mamusia miała siedemnaście lat. Wkrótce po osiemnastych urodzinach wyszła za mąż. Więc kimże był ów Kit?

Mgliste, niejasne przeczucie obudziło się w piersi Sage, kiedy patrzyła niechętnie na równe, wyraźne rządki pisma. Miała wrażenie, jakby stała przed mrocznym korytarzem, w który musi się zagłębić, i paraliżował ją strach. Ale czego się właściwie boi?

Mówiąc sobie, że jest niemądra, uniosła powtórnie pamiętnik i zaczęła czytać:

„Dzisiaj poznałam Kita”.

Wiosna 1945

„Dzisiaj poznałam Kita”.

Od samego widoku tych słów zakręciło się Lizzie w głowie ze szczęścia. Patząc na nie, uświadomiła sobie, że niepodobieństwem jest przelać na zimny, martwy papier cały nowy świat uczuć i doznań, jaki się przed nią otworzył.

Wczoraj jej życie zamykało się w niewdzięcznej codziennej pracy pomocy pielęgniarskiej: długie godziny, niska płaca i ciąg odrażających, brudnych czynności, do których wykonania zbyt cenny był czas kwalifikowanych pielęgniarek. Wolałyby nadal chodzić do szkoły, ale jej rodzice zginęli podczas bombardowania Londynu, a ona została zdana na łaskę i niełaskę ciotecznej babki, zwanej ciocią Vi, która zdecydowała, że Lizzie ma porzucić szkołę i zacząć zarabiać na życie.

Ciocia Vi nie miała złych intencji, była jednak niezamężną starą panną, która nie zwykła się bawić w sentymenty. Nie miała własnych dzieci i, jak często podkreślała w rozmowach z Lizzie, zgodziła się przyjąć cioteczną wnuczkę jedynie z poczucia obowiązku rodzinnego. Ją samą w wieku trzynastu lat oddano na służbę do arystokratycznego domu, gdzie pomagała przy kuchni. Pracowała ciężko przez całe życie, awansując stopniowo do stanowiska gospodyni u lordostwa Jevesonów.

Lizzie, przeniesiona z ruchliwych, pełnych kurzu ulic w to miejsce zwane wsią, długo nie mogła się otrząsnąć z oszołomienia. Po niewyszukanej, ale swojskiej atmosferze ciasnego domku szeregowego, w którym mieszkała z rodzicami i dziadkami, wszystko tutaj wydawało jej się dziwne. Tęskniła za rodziną, co noc budziła się z płaczem, wyobrażała sobie, że jest z powrotem w Londynie.

Ciocia Vi niczym nie przypominała mamusi. Przed wszystkim nie mówiła tak jak mamusia. Ciocia Vi wystawiała się

wytwornie, a jej głos brzmiał, jakby miała usta pełne ostrych, uwierających kamieni. Kazała Lizzie mówić tak jak ona, krytykując i poprawiając ją bezustannie, tak że biedna dziewczynka bała się czasami otworzyć usta.

Działo się to cztery lata temu, kiedy świeżo przyjechała na wieś. Obecnie ledwie pamiętała, jak wyglądali rodzice, wspomnienie ich małego domku na zakurzonej ulicy zdawało się należeć do innego życia, do innej Lizzie. Przywykła do pedanterii cioci Vi i do jej szorstkiego sposobu bycia.

Nie dalej jak wczoraj jedna z dziewcząt w szpitalu, nowo przybyła z innej miejscowości, zwróciła uwagę na jej brak lokalnego akcentu. Drwiny z jej „wytwornego” sposobu wyrażania się uświadomiły Lizzie, jak bardzo się zmieniła od czasu, gdy jako zbuntowana trzynastoletnia dziewczynka stała na progu domu cioci Vi.

Ciocia Vi wiedziała, czego chce. Nie pozwoli, by jej cioteczna wnuczka miała maniery i język podkuchennej, powtarzała tak często, że te słowa wryły się Lizzie na zawsze w pamięć.

Opierała się z początku, kiedy ciocia Vi znalazła jej tę pracę w szpitalu, błagając, by jej pozwoliła nadal chodzić do szkoły, ale ciotka, zacisnąwszy usta i patrząc na nią z chłodną determinacją, oświadczyła ostro, że nie może dopuścić, żeby taka duża, leniwa dziewczyna jak ona objadała ją i doprowadzała do ruiny, nie przynosząc do domu ani pensa. Poza tym, dodała lodowato, może Lizzie o tym nie pamięta, ale toczy się wojna i jej obowiązkiem jest pomagać krajowi. Co do niej, to podjęła już decyzję.

Siostra przełożona szpitala była znajomą cioci Vi, tak że nim Lizzie się obejrzała, została zainstalowana w pobliskiej bursie, w jednej sali z tuzinem innych dziewcząt. Wszystkie one, podobnie jak Lizzie, harowały przez długie, męczące godziny przy chorych, w przeciwieństwie do niej jednak spędzały wolny czas nie samotnie, lecz chichocząc w podnieconych grupkach i prześcigając się w strojeniu na cotygodniowe sobotnie tańce w miejscowym kasynie.

Naśmiewały się z Lizzie i dokuczały jej nie tylko z powodu tego, jak mówi, lecz przede wszystkim dlatego, że trzyma się od nich z daleka, że jest inna. Wychowanie cioci Vi było bardzo rygorystyczne i chociaż Lizzie została teraz wyjęta spod jej kurateli, nauki, które ciotka jej wpoila, nie pozwalały zapomnieć o ostrzeżeniach, co czeka dziewczęta na tyle niemądre, że dają posłuch bezwstydnym pochlebstwom mężczyzn, którzy „chcą tylko jednego”, tak że „ani się spostrzeżesz, jak cię wpędzą w biedę”.

Ciocia Vi nie miała zbyt wysokiego mniemania o rodzaju męskim, który, jej zdaniem, każda szanująca się kobieta powinna trzymać na dystans. W surowym świecie, w którym wyrosła, samotna kobieta, która osiągnęła pozycję gospodyni w wielkopańskim domu, żyła o niebo lepiej niż jej zamężne siostry, mające często gęsto na karku pół tuzina bachorów i męża skłonnego, albo i nie, do pracy na ich utrzymanie. Mężczyznom nie można było, jej zdaniem, ufać, a Lizzie, którą cechowała wrodzona wrażliwość, także odstręczały od

nielicznych młodych ludzi, z jakimi się stykała, ich zawsze niedelikatne i niedwuznaczne propozycje.

Była wojna i młodzi mężczyźni nie mieli czasu, ani zresztą potrzeby, trawienia energii i cennych godzin kto wie jak długiego życia na zalecanie się do odpornej dziewczyny, kiedy nie brakło innych, gotowych iść z nimi bez żadnych ceregieli.

Jedynymi poza tym mężczyznami, z jakimi Lizzie miała do czynienia, byli pacjenci szpitala, mężczyźni tak ciężko ranni, że wszyscy po cichu wiedzieli, iż niewiele im już można pomóc. Leżeli w olbrzymim, zaniedbanym budynku, sprawnie obsługiwani przez młode kobiety, które się z konieczności wyzbyły ludzkich odruchów współczucia i litości, które widziały tyle okaleczonych młodych ciał, tyle unieszczęśliwionych istnień ludzkich, tyle udręczonych męskich umysłów, że nie mogły się długo rozczulać nad wszystkimi.

Dla Lizzie sprawa przedstawiała się inaczej. Przyszędłszy do szpitala myślała początkowo, że spróbuje po jakimś czasie zdać egzamin na pielęgniarkę, ale po roku pracy tutaj, w ciągu którego przez sale przewijał się nie kończący korowód młodych mężczyzn o ciałach i umysłach okaleczonych przez to coś zwane wojną, w ciągu którego ustawicznie patrzyła na beznadzieję w ich oczach, na ból i gniew, rozgoryczenie utratą widoków na przyszłość, po tym roku stwierdziła, że nie ma odporności psychicznej, potrzebnej, żeby być pielęgniarką.

Serce jej krwawiło za każdym razem, kiedy znanego już pacjenta zabierała rodzina niezdolna by zaspokoić fizyczne i duchowe potrzeby swego syna czy męża, i za każdym razem, kiedy przywożono nowego rannego. Rozumiała, dlaczego inne dziewczęta, w poszukiwaniu ucieczki od koszmaru pracy przy chorych, tak się wyrrywają do towarzystwa całych, zdrowych, hałaśliwych przedstawicieli rodzaju męskiego, których spotykają w wolne soboty na tańcach.

Jej koleżanki zgadzały się co do tego, że najlepsi są Amerykanie, zawsze hojni i weseli. Stacjonowali na drugim końcu miasteczka i dwa czy trzy razy któryś z nich próbował zagadywać Lizzie, kiedy szła na pocztę, nadać obowiązkowy cotygodniowy list do cioci Vi.

Z determinacją ignorowała ich przymilne uśmiechy i skandaliczne zaczepki, ale miała zaledwie siedemnaście lat i nie raz, znalazłszy się w bezpiecznej odległości, pozwalała sobie na melancholijne rojenia o tym, jak by to było cudownie stać się szczęśliwą połową doskonałej całości, jaką tworzy dwoje ludzi, kochających się z intensywnością znaną jej z lektur.

Bo Lizzie była namiętną czytelniczką, jak również marzycielką. Kiedy przyjechała zamieszkać z ciocią Vi, nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu choćby otworzyła książkę, lecz ciotka poza ustawicznym korygowaniem jej języka i manier pilnowała, by cioteczna wnuczka czytała „budujące książki”, jak to określała.

Przypadkowe dobrodziejstwo wielkiej skrzyni książek, odziedziczonej po dorosłych już dzieciach pastorowej, stworzyło Lizzie możliwość chronienia się przed rygorystyczną

i często kostyczną dominacją cioci Vi w świecie, o którego istnieniu do niedawna jej się nie śniło.

Poznawszy historię tragicznej miłości Tristana i Izoldy, zaczęła roić o uczuciach nie mających nic wspólnego z bezczelnymi zaczepkami nieokrzesanych młodych ludzi, którzy stawali na jej drodze. To nieokrzesanie, fakt, że jej subtelna dusza wdrygała się na ich brak delikatności, tak samo jak na niepożądane rozmowy i rewelacje koleżanek w bursie, ułatwiały Lizzie pamiętanie o przestroгах cioci Vi, żeby się pilnowała i nie pozwalała chłopcom na żadne „figle-migle”.

Przez figle-migle ciocia Vi rozumiała stosunki płciowe, temat nigdy otwarcie nie poruszany w jej domu. Jeśli o nią chodziło, to sprawy płci należało ignorować, tak jakby w ogóle nie istniały. Lizzie naiwnie uważała, że wszystkie kobiety podzielają zdanie ciotki, dopóki nie zaczęła pracować w szpitalu. Z rozmów koleżanek dowiedziała się czegoś przeciwnego, ale do tej chwili miewała jedynie mętne przeczucia, że jej życie jest w jakiś sposób niepełne, że brakuje mu pewnej istotnej strony. I oczywiście nie dopuszczała nigdy myśli o pozwoleniu mężczyznom, których znała, na intymności, o jakich jej koleżanki opowiadały z taką gorszącą szczerością. Do tej chwili...

Teraz rozmarzona wpatrywała się w kartkę swego pamięt-

nika. Zaczęła go prowadzić za namową cioci Vi nie po to, by w nim zapisywać najbardziej skryte myśli, lecz by mieć rzeczową kronikę rzeczy dokonanych każdego dnia.

Dopiero pracując w szpitalu stwierdziła, że zaczęła zawierzać jego kartkom sprawy, które są niczym innym jak mglistymi myślami i rojeniami.

Kit... Do tej chwili była oszołomiona cudem poznania go, tym, że może szeptać jego imię w tajemnym, nikomu nie dostępnym zakątku swego mózgu, a jej ciałem wstrząsa przy tym dreszcz nerwowej radości.

Kit... Jest taki inny, taki niezwykły, tak zapierająco dech cudowny.

Wiedziała to od momentu, gdy go ujrzała. Obrócił głowę, uśmiechnął się do niej - i świat, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przepełniło nagle ciepło.

I pomyśleć, że nie poznałaby nigdy Kita, gdyby nie postanowiła odwiedzić tego dnia biednego Edwarda. Pokręciła głową nad potwornością katastrofy, jaka o mały włos jej nie spotkała.

Edward Danvers przebywał w szpitalu już od wielu miesięcy. Był majorem piechoty, ciężko ranionym w Normandii. Doznał uszkodzenia kręgosłupa i zmiążdżenia obu nóg, które musiano mu ostatecznie amputować.

Do ich szpitala przywieziono go rzekomo na rekonwalescencję po drugiej operacji, ale Lizzie wiedziała, jak wszyscy, że naprawdę przebywa u nich, bo nie ma dokąd pójść. Jego rodzice nie żyli, żony nie miał, a Lizzie w duszy podejrzewała, że i sam utracił chęć do życia. Nie przypominał innych

mężczyzn, których tu przywożono, nie buntował się i nie szalał, był na pozór opanowany i spokojny, pogodzony ze swoim losem, lecz Lizzie czuła, że jest zapatrzony w głąb siebie, zamiast na otaczający świat, i widziała, że ma przed sobą człowieka stopniowo oddalającego się od rzeczywistości. Prawie jakby próbował umrzeć.

Nigdy się nie uskarżał na swoje kalectwo, nigdy nie fantazjował, jak niektórzy, o kończynach, które jakoby jeszcze ma. Zewnętrznie zdawał się dobrze przystosowywać do dokonanych amputacji, bez protestu pozwalał się siostrą przenosić na wózek, w którym Lizzie albo któraś z pozostałych pomocniczek woziła go do parku.

Lizzie go lubiła, chociaż wiedziała, że inne dziewczęta unikają jego towarzystwa narzekając, że nigdy nie pożartuje ani się nie uśmiechnie, że jest naprawdę nieszczęśliwy.

Lizzie nie przeszkadzało jego milczenie. Wiedziała, że szczególną przyjemność sprawia mu, gdy go wozi po parku. Powiedział jej kiedyś, że przypomina mu on park w majątku dziadków.

Majątek nazywał się Cottingdean i ze sposobu, w jaki Edward o nim mówił, zorientowała się, że kocha to miejsce i wspomnienie o nim sprawia mu zarazem ból i radość. Czasami jego oczy zasnuwała wówczas błyszcząca mgiełka łez, więc Lizzie się dziwiła, dlaczego nie jedzie tam, skoro tak bardzo kocha to swoje Cottingdean. Miała jednak zbyt wiele delikatności, by go o to zapytać, wyczuwając głęboki, jątrzący ból, który ukrywa przed wszystkimi.

Polubiła go i w miarę upływu miesięcy stwierdziła, że się cieszy na spotkania z nim, a nie posiada z radości, gdy go pobudzi choćby do wstrzemięźliwego, przelotnego uśmiechu.

Lubił jak ona czytać, a dowiedziawszy się, że przeczytała i teraz czyta ponownie wszystko, co kryła skrzynia pastorałowej, zaproponował jej pożyczanie własnych książek. Odmówiła, bojąc się zabierać je ze sobą do bursy. Nie przypuszczała wprawdzie, by koleżanki mogły je rozmyślnie uszkodzić, ale wiedziała, że nie zawsze obchodzą się oględnie z cudzą własnością.

Stopniowo zawiązała się między nimi ostrożna przyjaźń i w swoje wolne dni Lizzie poświęcała część czasu na wożenie go po parku, gdy była pogoda, lub na głośne czytanie, gdy padało, świadoma, jakiego wysiłku wymaga od niego samo trzymanie książki.

W listach do domu nie wspominała o Edwardzie, wiedząc, że ciocia Vi nie zaaprobowałaby tej znajomości. Danvers wywodził się z innej klasy społecznej niż Lizzie, a ciocia nie uznawała poufaleń się ludzi z różnych klas. Prowadzi to zawsze do kłopotliwych sytuacji, ostrzegała często.

Przejął ją teraz zimny dreszcz na przypomnienie, że właśnie tego dnia była już prawie zdecydowana nie poświęcać wolnego czasu Edwardowi. Obudziła się w nastroju dziwnego niepokoju, ciało i myśli przepelniały jej nieokreślone, nieznanym tęsknoty. Powiedziała sobie jednak, że nie może zawieść przyjaciela, który na nią czeka. Rododendrony w parku są

w pełni rozkwitu, Edward cieszy się od paru dni, że je zobaczy. Świeci słońce, niebo jest błękitne... Nie, okrucieństwem byłoby sprawić mu zawód.

Tak więc, tłumiąc buntownicze tęsknoty, umyła się zimną wodą w obskurnej wspólnej łazience, pozwalając sobie na luksus umycia włosów i zastanawiając się przy tym, czy odważy się je obciąć. Była jedyną dziewczyną w bursie noszącą długie warkoczki, upięte po staroświecku dokoła głowy według zaleceń cioci Vi. Zastanawiała się przez chwilę leniwie, jakby wyglądała z włosami obciętymi i opadającymi luźno na ramiona, tak jak czesały się z prowokacyjną niedbałością niektóre dziewczęta. Westchnęła, przyglądając się odbiciu swojej nie umalowanej twarzy w ospowatym lustrze.

Jej koleżanki pudrowały się i malowały usta, perfumowały się tanimi wodami, otrzymywanymi od amerykańskich adoratorów. Przyciemniały brwi czarną pastą do butów i fryzowały włosy, a jeśli były szczęśliwymi posiadaczkami pary nylonów, nosiły bardzo krótkie spódniczki, żeby pokazać nogi.

Naciągając praktyczną bawełnianą bieliznę, którą surowe nauki cioci Vi kazały jej szorować do białości przydzielanym skąpo mydłem, tak że miała dłonie poobcierane do krwi, zdecydowała, że szminka i krótkie włosy są nie dla niej. Wiedziała, że dziewczęta w bursie naśmiewają się z niej za plecami, przedrzeźniając akcent i drwiąc z jej garderoby.

W miarę, jak Lizzie wyrastała z ubrań przywiezionych z Londynu, ciocia Vi, którą życie przyzwyczało do oszczędności, wyciągała z pełnych skrzyń i przerabiała na nią odzież odziedziczoną po pracodawczyniach, ucząc przy okazji cioteczną wnuczkę podstaw szycia.

Fakt, że spódnica, którą nosi Lizzie, należała kiedyś do lady Jevesson, imponowałby dziewczętom w bursie równie mało jak jej samej, chociaż z innych powodów. Tamte powitałyby niewątpliwie wybuchem drwin i śmiechu wieść, że Lizzie ubiera się w rzeczy odziedziczone po osobie, która jest teraz babcią.

Dotykając grubego plisowanego tweedu, Lizzie musiała cierpko przyznać, że materiał jest nie do zdarcia, jak z naciśkiem podkreślała ciocia Vi. Żałowała jednak, że zamiast burych derkowatych tweedów, lady Jevesson nie lubowała się w miękkich pastelowych materiałach, które by bardziej pasowały do jasnej karnacji Lizzie. Cóż z tego, że bluzka, którą odziedziczyła, jest jedwabna, jeśli ma wyblakły beżowy kolor, nie podkreślający odcienia jej skóry. Tak samo jak brązowy kaszmirowy sweter, który nałożyła na bluzkę.

Widziała, jak inne dziewczęta, wychodząc w wolne dni, ubierają się w kolorowe letnie sukienki z cienkich powiewnych materiałów, z głębokimi dekolami, które by przypawiły ciocię Vi o palpacje. Rozumiała, że ona sama nie mogłaby nigdy nałożyć czegoś tak wyzywającego, jednakże tego ranka zrobiło jej się przykro, że jej bluzka nie ma błękitnoszarej barwy jej oczu, a spódnica nie jest uszyta z miękkiej, cienkiej welenki zamiast tego grubego, drapiącego sukna, które ciążyło jej na szczupłych biodrach.

Oczywiście, nie miała również nylonów. Musiała parado-

wać albo z gołymi nogami, które szorstka wełna dotkliwie obcierała, albo w grubych szydełkowych pończochach, które ciocia Vi przysłała jej na Gwiazdkę.

Nie potrafiłaby powiedzieć, co kazało jej się zdecydować tego dnia na gołe nogi, jaka próżność skłoniła ją do odrzucenia wbrew rozsądkowi znieawidzonych pończoch, które są wprawdzie praktyczne i ciepłe, ale tak okropnie pogrubiają jej szczupłe łydki.

Bursa leżała na przeciwnym kraju miasteczka, więc Lizzie jeździła do szpitala na staromodnym rowerze. Podczas dyżurów dziewczęta jadały w szpitalu, ale nie to samo co pacjenci. Jej koleżanki często narzekały na podawane im posiłki jako „niezdatne dla świń”.

Posiłki były faktycznie klajstrowate i nieapetyczne, ani się umywały do kuchni cioci Vi. Ciocia może i była skąpa, liczyła każdego wydawanego pensa, ale umiała gotować, więc Lizzie tęskniła do jej smakowitych potraw, do świeżych warzyw i owoców, które ciocia umiała zawsze zdobywać jakimiś wiejskimi sposobami handlu wymiennego.

Tego rana Lizzie nie miała dyżuru, więc nie czekało na nią w szpitalu śniadanie, a że dziewczętom nie wolno było gotować w bursie, miała do wyboru albo zadowolić się tym, co kupi i zje po drodze, albo wstąpić na kosztowną i niesmaczną kanapkę do jedynej miejscowej kawiarni.

Starając się nie myśleć o owsiance cioci Vi, okraszonej śmietanką z tłustego mleka farmera Hobsona, Lizzie powiedziała sobie stoicko, że może się obejść bez śniadania.

Dziewczęta chodziły stale głodne. Pracę miały ciężką i mimo że posiłki, które im podawano, były tak niesmaczne, zmiały zawsze wszystko do czysta.

Wszystkie były mniej czy bardziej szczupłe, a Lizzie, ze względu na swój delikatny kościec, najszczuplejsza. Wydawało się czasami, że wiotkie, cienkie kostki jej rąk i nóg grożą lada chwila pęknięciem.

Jadąc na rowerze w kierunku miasteczka, czuła na głowie i karku ciepłe promienie słońca, a w nozdrzach świeżą woń późnej wiosny, niosącą już nęcącą zapowiedź lata.

Pęd powietrza rozburzył nieco koronę jej warkoczy, tak że koło twarzy powiewały kosmyki blond włosów. Koleżanki nie wierzyły jej z początku, że ma włosy tak naturalnie jasne, podejrzewając, że je tleni.

Wybrała nie prostą drogę przez miasteczko, lecz wąską boczną drogę, która je okrążała, prowadząc meandrami do tylnego wejścia szpitala. Przed wojną szpital był pańską rezydencją, a drogi tej używali dostawcy i służba.

Pedałowała beztrąsko środkiem drogi, gdy usłyszała warkot samochodu, odgłos tutaj tak nieoczekiwany, że w pierwszej chwili nie próbowała zjechać na bok. W miasteczku był wprawdzie spory wojenny ruch samochodowy, nie spodziewała się jednak auta na tej drodze, prowadzącej wyłącznie do szpitala i, pedałując pogrążona w rojeniach, zareagowała na odgłos samochodu dopiero, gdy było prawie za późno.

Kiedy sobie uświadomiła, że ktoś za nią jedzie i, spojrzawszy przez ramię, zobaczyła błyszczącą ciemnozieloną maskę

luksusowego sportowego kabrioletu, prowadzonego przez młodego mężczyznę o powiewającej na wietrze czarnej czuprynie i ogorzałej twarzy, ubranego w elegancki mundur pilota wojskowego, spróbowała desperacko zjechać z wąskiej drogi, nie tracąc przy tym równowagi. Młody człowiek zatrzymał wóz pośród kakofonii piszczących opon, protestującego motoru i gniewnego okrzyku, podającego w wątpliwość jej rozsądek.

Leżąc na brudnej ziemi, z poobcieranymi, bolącymi kolanami i oczami piekącymi od łez, Lizzie zapragnęła, żeby otwarła się pod nią wielka czeluść, w którą mogłaby się szczęśliwie zapaść.

Z twarzą purpurową z zakłopotania i wstydu próbowała się pozbierać, gdy usłyszała za plecami odgłos zatraskiwanych drzwiczek.

- Nic pani nie jest? Paskudnie się pani wykopyrtnęła. Myślałem, że pani słyszy mój wóz...

- Słyszałam, ale nie zorientowałam się w porę. Nikt tędy nie jeździ...

Podniosła się już z ziemi, z twarzą ciągle czerwoną. Słyszała cichy głos wewnętrzny, drwiący z próżności, która jej kazała wyjść tego dnia z gołymi nogami, bez wełnianych pończoch, które mogłyby ochronić piekące teraz kolana przed otarciem. Zdawała sobie sprawę, jak żalony widok musi przedstawiać w oczach tego niewiarygodnie przystojnego mężczyzny, wyższego od niej o głowę, lustrującego ją ze swojej wysokości w sposób, który napełnił jej pierś falą goryczy i żalu do lady Jeveson za jej idiotyczne upodobanie do tak nietwarzowych strojów.

Policzki pociemniały jej od szkarłatnych rumieńców, bo nagle uświadomiła sobie, co się z nią dzieje. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła oszałamiającego, niebezpiecznego uczucia zadurzenia się w nieznanym mężczyźnie. Tego uczucia, tej niepohamowanej namiętności, którą знаła dotąd tylko z relacji innych.

Nieoczekiwane emocje poraziły ją na chwilę, tak że otworzyła usta z wrażenia, budząc tym zainteresowanie Kita Danversa, mimo niegustowności stroju i uczesania, które mu przypominały widziane kiedyś fotografie babki z jej młodości.

Po bliższym przyjrzeniu okazuje się całkiem przystojna, stwierdził z nonszalancją konesera, przywykłego do wynajdywania zdobyczy w najmniej prawdopodobnych okolicznościach.

Odkrywanie pereł ukrytych w niepozornych ostrygach stanowiło specjalność Kita Danversa. Koledzy w klubie oficerskim zazdrościli mu tego, przyznając z podziwem podszytym niechęcią, że jeśli chodzi o kobiety, to Kit ma w sobie coś, jakiegoś nieokreślonego wabika, któremu płeć piękna nie potrafi się oprzeć.

Lizzie nie miała o tym pojęcia. Patrząc w roześmiane niebieskie oczy, które ją lustrowały, przyglądając się przystojnej opalonej twarzy o zdecydowanych męskich rysach i ciepłym uśmiechu, wiedziała tylko, że coś się w niej odpręża i roztopia, coś dla niej zupełnie nowego, choć tak starego jak świat.

- Ma pani usmolony nos... O, już.

Wstrzymała dech, gdy się pochylił i swobodnie stał jej wielkim palcem brud z nosa. W miejscu, którego dotknął, poczuła tysiąc rozkosznych szpileczek, dziwny przypływ emocji poraził jej dech, ciało ogarnęło zarazem podniecenie i słabość.

• Nie może pani teraz na tym jechać. Podwożę panią, dokąd pani potrzebuje...

• Do szpitala, jadę do szpitala - odparła Lizzie zdławionym głosem, ledwie świadoma tego, co mówi, niezdolna odebrać oczu od jego przystojnej, roześmianej twarzy. - Pracuje tam.

• Ach, tak. To się szczęśliwie składa, bo ja też tam jadę. Powiedzieli mi na kwaterze, że tą drogą trafię tam nie zatrzymywany przez nikogo. Rozumie pani, bo nie powinienem właściwie jeździć tym smokiem - poinformował, klepiąc maskę auta. - Żłocie niemożliwie benzynę. Ale jak człowiek spędza większość czasu w ogniu walk, to chyba mu się należy trochę względów. Szczęśliwie Amerykanie nie skąpią tak benzyny jak nasi, a mam amerykańskiego kumpla... - Urwał, uśmiechnął się do niej rozbrajająco. - Zanudzam panią pewnie na śmierć. Taka ładna dziewczyna jak pani nie ma ochoty wysłuchiwać...

Ładna dziewczyna! Lizzie wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Uważa ją za ładną. Serce szalało, śpiewało jej w piersi. Ale zaraz przypomniały jej się surowe nauki cioci Vi,

więc odwróciła głowę od zdradzieckiej potęgi tego ciepłego uśmiechu i schyliła się, żeby podnieść rower.

• Muszę już jechać - powiedziała i głos jej się załamał. - P-przepraszam, że się nie usunęłam z drogi.

• Nie chce się pani spóźnić do pracy, tak? Jest pani pielęgniarką w szpitalu?

• N-no, właściwie jestem pomocą pielęgniarską - sprostowała Lizzie i nie wiedzieć czemu dotknęło ją boleśnie zdziwienie w jego oczach.

Nie przejmowała się nigdy, gdy ludzie wyrażali się z lekceważeniem o niskiej randze społecznej jej pracy, a teraz, nieoczekiwanie, zrobiło jej się głupio wobec tego przystojnego, uśmiechniętego mężczyzny, że nie pełni jakiejś bardzo ważnej funkcji.

• Tak czy inaczej nie możemy dopuścić, żeby miała pani nieprzyjemności z mojej winy. Niech pani wskakuje do auta. Rower przytroczymy do bagażnika.

• Ja właściwie dzisiaj nie pracuję - wyjaśniła Lizzie stojąc niepewnie koło auta. Skorzystanie z jego zaproszenia oznaczałoby złamanie podstawowej zasady cioci Vi i jej własnej, ale pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek dotąd. - Jadę

odwiedzić kogoś...

Momentalnie zmierzył ją ostrzejszym spojrzeniem.

• Ma pani chłopca? - zapytał bezceremonialnie, aż się zaczerwieniła i potrząsnęła szybko głową.

• Nie, to jeden z pacjentów, przykuty do wózka... Obiecałam mu pokazać kwitnące rododendrony. Mówi, że mu to przypomina chłopięce lata, kiedy mieszkał w majątku dziadków.

• Miłosierny uczynek, tak? To beznadziejny przypadek, ten facet?

Niefrasobliwy sposób, w jaki to powiedział, zabrzmiał jak dysonans w uszach wrażliwej Lizzie. Wiedziała, że dla Edwarda Danversa życie będzie już zawsze pasmem samotnych cierpień, lecz mimo to zaprzeczyła szybko:

- Nie, skądże...

Może powodował nią ostry kontrast między tymi dwoma mężczyznami? Edward taki chudy i blady, przedwcześnie postarzały, pozbawiony męskości przez ten sam okropny wypadek, który doprowadził do amputacji obu jego nóg.

Wydarzyło się to podczas gorączkowego lądowania na plażach Normandii. Edward, stojąc po piersi w wodzie i kierując wyokrętowaniem, zauważył tonącego młodego szeregowca, który nie umiał pływać. Dał nura, żeby go wyciągnąć, i dostał się pod nadpływającą nową jednostkę, śpieszącą do lądowania z dalszymi oddziałami.

Zdołano mu uratować życie, ale ma zmiażdżone nogi, i Edward dotąd w nocnych majakach przeklinał Boga za ten akt okrutnego miłosierdzia.

Staął teraz przed oczami Lizzie, wychudzony i wymizrowany na swoim wózku, taki niepodobny do tego tryskającego zdrowiem, sprawnego mężczyzny przed nią, wyzywającego pogodnego i nie baczącego na niebezpieczeństwa, jakie los może mu przynieść. Raptownie, niespodzianie poraził ją gwałtowny przypływ zaborczego, zabobonnego lęku, chęć przyciągnięcia do siebie tego zdrowego mężczyzny, żeby go uchronić przed losem Edwarda. Ogluszyło ją to uczucie, nigdy dotąd nie zaznane, uczyniło słabą i niezdolną do przeciwstawienia się jego naleganiom, żeby wsiadła do auta i pozwoliła mu przytroczyć rower do bagażnika.

Siedzenie w sportowym wozie było tak wąskie, że wsiadłszy Lizzie poczuła od razu ciepło jego ciała, gorącą męską woń, i jak nigdy uzmysłowiła sobie dzielącą ich różnicę płci. W najskrytszych zakamarkach jej osoby, we krwi, pod skórą, zawibrował podniecający dreszczyk emocji i rozszedł się niebezpieczną falą, od której zapalały jej policzki i zadudniło serce. Nieznajomy ruszył tymczasem i jechał prowadząc wóz z zuchwałą nonszalancją, która ją ekscytowała, a zarazem przerażała.

- Rozumiem, że nie ma pani tu nikogo bliskiego, żadnej rodziny - zainteresował się, odwracając uwagę od drogi, żeby na nią spojrzeć.

Zaciekawiła go ta dziewczyna swoim brakiem prowincjonalnego akcentu, nieśmiałością, otaczającą ją aurą nierozbudzenia, więcej - całkowitego nieuświadomienia. Wątpił, czy

całował ją jakikolwiek mężczyzna. A, mniejsza o to...

- Nie, nie mam - wykrztusiła Lizzie. - M-moja ciotka...
- Więc co pani sprowadziło w te strony?

Był mistrzem w omotywaniu kobiet, wiedział, że i ta dziewczyna, właściwie jeszcze dziecko, wpadnie mu w ręce jak dojrzały owoc, spadający z drzewa. Potrzeba tylko trochę zachodu, trochę pochlebstwa, trochę zachęty.

Lizzie spojrzała na niego zaskoczona. Nie przywykła, żeby ludzie się nią interesowali, zadawali jej pytania. Ogarnęło ją miłe ciepło, a wraz z nim napłynęła oszałamiająca pewność siebie i odwaga.

• Ciocia z-załatwiła mi tu pracę. Zna siostrę przełożoną szpitala.

- Ciocia... A innych krewnych pani nie ma?

• Nie, już nie... - Głos jej się załamał, oczy pociemniały na przypomnienie wstrząsu, jakim była wiadomość o śmierci rodziców. - Zginęli od bomby...

Kiwając głową i wydając współczujące dźwięki, pogratulował sobie, że nawija mu się taka łatwa zdobycz. Za całą rodzinę ciotka, której, sądząc z relacji, ta mała nic nie obchodzi, zresztą mieszka gdzieś daleko, więc nie warto sobie nią zawracać głowy. Miał akurat parę dni urlopu. Może je spędzić 'równie dobrze tutaj, jak gdzie indziej. Dłużej zanudziłby się z tą dziewczyną na śmierć.

Prowadząc z Lizzie żartobliwą konwersację, zabawiał się wyobrażaniem sobie, jaka ona będzie. Nerwowa, ale chętna. Pozwoli mu na wszystko, musi tylko zapewnić, że ją kocha. Roześmiał się cynicznie w duchu. Zdawał sobie doskonale sprawę z wrażenia, jakie robi jego przystojna twarz na wrażliwych sercach kobiecych. W zbyt wielu dziewczęcych oczach widział ten cielący wyraz uwielbienia, by go nie rozpoznać. Jakie głupie są te baby! Powiedz im, że je kochasz, a już godzą się na wszystko, absolutnie wszystko...

- Jaka szkoda, że musi pani tam iść - westchnął cicho, kiedy wyłonił się przed nimi szpital. - Gdyby nie to, moglibyśmy jechać i jechać, i nigdy się nie zatrzymać. Podobałoby ci się to, kochana? Chciałabyś spędzić ze mną resztę życia?

Powiedział jej „ty” i „kochana”. Serce zadudniło Lizzie w piersi z zaskoczenia i radości. Usłyszała jego śmiech i poczuła, że się czerwieni. Widziała, że czyta w jej oczach.

- Zrobimy to? - przekomarzał się z nią dalej. - Porwałbym cię i powiozł gdzieś, gdzie bylibyśmy sami, we dwoje...

Jego głos nabrał głębokiej, pieśczołliwej, niemal hipnotyzującej barwy. Niezdolna oderwać oczu od jego twarzy, Lizzie stwierdziła, że przestała prawie oddychać i nagle zaczyna się dusić z braku powietrza.

Tymczasem on, korzystając z jej oszołomienia, zmienił brzmienie głosu, wprowadzając nutkę żalu.

- Jakże chciałbym to zrobić, cóż, kiedy nie mogę... Musimy w końcu myśleć o wygraniu wojny.

Nadał spojrzeniu wyraz smutku, przybrał nieugiętą, zdecydowaną postawę. Już dawno, na początku wojny, odkrył, że jeszcze łatwiej niż na miłość kobiety nabierają się na pozę człowieka honoru, który nad własne uczucia przedkłada dobro

ojczyzny. Ta dziewczyna jest taka sama jak inne.

Lizzie czuła w piersi żal. Niedługo ich drogi się rozejdą i wątpiła, by mieli się jeszcze kiedykolwiek spotkać, mimo wszystkiego, co powiedział. Przeszył ją szarpiący, ostry ból, zabrakło tchu, krew odpłynęła z twarzy.

- Lepiej, żeby mnie pan tu wysadził - powiedziała, gdy dojeżdżali do bramy.

Przełożona przestrzegala bardzo rygorystycznie, żeby dziewczęta trzymały się z daleka zarówno od pacjentów, jak ich gości.

- Fraternizacja zabroniona, co? - domyślił się natychmiast i zatrzymał auto.

Lizzie, nie mogąc otworzyć drzwiczek, patrzyła zafascynowana, jak jej towarzysz wysiada i okrąża auto, żeby znaleźć się po jej stronie. Nie otworzył jej jednak drzwiczek, jak oczekiwała, lecz przechylił się i podniósł ją z siedzenia, tak że przez krótką, urzekającą chwilę znalazła się w jego ramionach, jej ciało przy jego ciele, wpatrzona w roześmiane niebieskie oczy, czując, jak serce jej zamiera, a mięśnie napinają się z szaleńczego podniecenia, nim powoli postawił ją na nogi, potrymawszy przedtem upojnie nad ziemią, przy czym wpatrywał się w jej wargi i szeptał:

- Taka jesteś maleńka, stworzona, żeby cię trzymać w ramionach, z ustami w sam raz do całowania... Całował cię już kto, kochana, czy też czekałaś na mnie?

Serce waliło jej tak mocno, tak głośno, że ledwo słyszała jego słowa. Czuła pustkę w głowie, a zarazem miała wrażenie, że wszystko dookoła stało się nagle olśniewająco jasne i wyraźne, jakby patrzyła na świat nowymi oczyma.

- Wiesz, co się z nami dzieje? - nie ustępował. - Wiesz, że oboje... ? - Urwał, z wyrazem zapamiętania na twarzy, ściskając ją niemal do bólu. - Muszę cię znowu zobaczyć - rzucił z gwałtownością, która ją zelektryzowała. - Kiedy będziesz wolna?

Wolna... Zebrała wszystkie siły, żeby przywołać zdrowy rozsądek i rozagę, ale gdzieś uleciały, przestały się liczyć w jej życiu.

Tym, co się liczy, stało się nagle to upojenie, to odurzające wrażenie, że się unosi nad ziemią, ta świadomość, nie pozostawiająca cienia wątpliwości, że oto poznała mężczyznę, który ucieleśnia jej wszystkie sny, że się zakochała bez pamięci, od pierwszego wejrzenia.

- Ja... po lunchu... - usłyszała swój głos, nieznajomy, zduszony. - Miałam napisać do cioci. Piszę do niej co tydzień. Ona ma reumatyzm i nie zawsze może odpisać...

- Będę tu na ciebie czekał o wpół do trzeciej - powiedział cicho, ignorując jej niezręczne wymówki.

I wtedy, opuszczając ją na ziemię, dotknął lekko ustami jej warg, najlżejszym muśnięciem, w którym bardziej doświadczona dziewczyna rozpoznałaby rozmyślną prowokację, lecz które Lizzie wydało się wyrazem najgłębszego szacunku, najczystszy z pocałunków, tak jakby nie śmiał mocniej tknąć jej ust. Tak jak w lekturach bohaterowie nie śmieli brukać

kochanek cielesnością swoich męskich żądz, szanując ich czystość, choćby jak najbardziej pragnęli je posiąść.

Lizzie nie знаła realnego świata realnych uczuć, pośpiesznej bezwzględności, z jaką mężczyźni pokroju Kita Danversa dążyli do fizycznego posiadania przedstawicielek jej płci, uzurpując sobie prawo do ich uległości jako ci, którzy co dzień, co godzinę zagładają śmierci w oczy.

- Tylko, kochana... - zaczął, a kiedy podniosła na niego nieme, pełne uwielbienia oczy, dokończył: -... rozpuść włosy i ubierz się w coś ładnego. Lubię, żeby moje dziewczyny wyglądały szykownie.

Na chwilę jakby chmura przesłoniła słońce, aż wstrząsnął nią zimny dreszcz. Jego dziewczyny, powiedział. Olśniewający, upojny sen przygasł nagle, przyćmiony przez rzeczywistość, dopóki on nie dotknął jej twarzy, nie przesunął palcem po wrażliwej skórze policzka i żar, który ją przeniknął, nie spopielił wszystkich chmur.

Czekając, aż odwiąże jej rower, Lizzie pragnęła, by już było w pół do trzeciej, by nie miała przed sobą długich godzin niepewności, nim go znowu zobaczy. Bo a nuż się rozmyśli, a nuż spotka ładniejszą, bardziej atrakcyjną dziewczynę, której, miast niej, ofiaruje swoje uśmiechy... Sama tego nie wiedząc, już zrobiła pierwszy krok w nowy nieznaną świat.

Zastała Edwarda gotowego, czekającego na nią z napiętą twarzą.

- Przepraszam za spóźnienie.

Jakaś intuicja, potęgująca się w miarę dojrzewania, rodziła w niej zrozumienie dla uczuć innych, którego wolałaby czasami nie mieć. Równie przykro było odczuwać czyjś ból, jak byłoby go doświadczać samej. Jakoś szczególnie dziś uwrażliwiona na cierpienia Edwarda, poczuła, że jej własne nerwy napinają się w odpowiedzi na jego niepokój.

- Myślałem, że już nie przyjdiesz. Nie musisz mi w końcu poświęcać wolnego czasu. Taka ładna dziewczyna jak ty powinna się trochę rozerwać.

Po raz drugi tego dnia została przez mężczyznę nazwana ładną dziewczyną. Tym razem jednak nie doznała uskrzydlającej radości, jak wtedy, gdy to usłyszała z ust t a m t e g o , lecz skurecz bólu na myśl o tym, co musi cierpieć Edward wiedząc, że może w kobiecie budzić co najwyżej współczucie, nigdy pożądanie.

Kiedy wyprowadziła wózek na dwór, zobaczyła, z jaką radością Edward wystawia zapadłą twarz do słońca. Jego skóra miała chorobliwy szarawy odcień, kości rysowały się pod nią ostro. Schudł jeszcze przez te długie miesiące, jakie u nich przebywał, aż serce ścisnęło się Lizzie, gdy go teraz porównywała z t a m t y m .

Rhododendrony rosły na opadającym zboczu, na skraju właściwego parku. Lizzie wywiedziała się, że sadzonki przywiózł pierwotny właściciel posiadłości, który odbył długą podróż po Chinach przed powstaniem bokserów. Będąc z zamiłowania botanikiem, zebrał różne rosnące dziko odmiany i wydzielił

dla nich osobną część parku.

Pragnąc rozniecić nikłą iskrę zainteresowania, jakie dojrzała w oczach Edwarda, kiedy go tu poprzednio przywiozła, opowiedziała mu teraz tą historię.

Ozdobne klomby kwiatowe zamieniono w czasie wojny na ogród warzywny, ale rododendrony pozostawiono w spokoju.

Lizzie zadyszała się lekko, nim zarośniętą ścieżką dopchała wózek z Edwardem do miejsca, gdzie rosły, ale jej wysiłki zostały wynagrodzone, gdy się wynurzyli zza zakrętu i przed ich oczyma otworzył się widok na wspaniałe krzewy w pełnym rozkwicie.

Usłyszała, jak Edward łapie spazmatycznie dech, a gdy spiesznie przy nim uklękła, zobaczyła łyzy ciekące mu po policzkach.

- Są takie piękne - powiedział prawie szeptem. - Zupełnie jak w Cottingdean. Dziadek uwielbiał ogród...

- Kto tam teraz mieszka? - zapytała Lizzie, bardziej dlatego, że wyczuła jego potrzebę opowiedzenia o miejscu, które tak kocha, niż z rzeczywistej ciekawości.

- Nikt. Dom był przez jakiś czas zarekwirowany na początku wojny, ale teraz stoi pusty. Leży zbyt daleko, żeby był z niego prawdziwy pożytek, na skraju małego miasteczka wśród wzgórz Wiltshire. Przeszedł teraz na mego brata stryjecznego. Jego ojciec był starszym synem, mój młodszym. Śni mi się czasami po nocach, że znów tam jestem. - Twarz wykrzywił mu cierpki uśmieszek. - Czysty eskapizm. Jeśli tam kiedykolwiek powrócę, to nie jako chłopak, uganiający się bez troski, tylko jako bezużyteczny kaleka...

Lizzie zagryzła wargę, zastanawiając się, czy nie wyrzuciła mu niedźwiedziej przysługi, przywożąc tutaj. Może lepiej było nie budzić w nim wspomnień dzieciństwa. Bez słowa zawróciła wózek. Wiedziała z doświadczenia, że kiedy nachodzą go takie nastroje czarnej rozpacz, najlepiej milczeć i pozwolić mu mówić. Tak jakby się upuszczało krew z rany, żeby z nią wypłynął jad. Tyle że rany takie jak Edwarda nie dadzą się nigdy oczyścić ani zagoić.

Byli w pół drogi do szpitala, kiedy zobaczyła na ścieżce idącego naprzeciw mężczyznę. Poznała go natychmiast i serce załomotało jej jak szalone z nieprzypadkowej radości. Słońce oświetlało go z tyłu, tworząc nad jego czarną głowę złocistą aureolę, szedł swobodnym długim krokiem, tak bardzo męskim, tak podświadomie agresywnym, że poczuła skurcz współczucia dla Edwarda, który zacisnął dłonie na poręczach wózka.

Jej radość z ujrzania go była tak oszalamiająca, że w jej umyśle nie pozostało miejsca na pytanie, co tu robi. Pragnęła jedynie pofrunąć ku niemu, poczuć ramiona zamykające się na jej plecach, jego męskie ciało, przywierające do jej ciała, usta, biorące w posiadanie jej wargi, aż wibrujące szczęście wybuchnie w niej szaleńczym rozbłyskiem.

Jednakże nie do niej się zwrócił. Zdając się w ogóle jej nie zauważać, odezwał się niedbałym tonem do Edwarda:

- A, tu jesteś, stary. Powiedzieli mi, że cię tu gdzieś znajdę.

- Christopher...

Christopher! A więc ma na imię Christopher. Jak to do niego pasuje. Smakowała to imię po cichu, obracała je na języku, podziwiając mądrość rodziców, którzy instynktownie wybrali mu tak stosowne imię.

- Powiozę cię trochę, dobrze?

Pochłonięta swoim szczęściem, nie zauważyła, jak się zbliża, aż nagle znalazł się tuż przy niej, a jej ciało zareagowało natychmiastowym odzewem, pragnieniem zbliżenia się jeszcze bardziej, zanurzenia w jego ciepłe, odetchnięcia jego zapachem.

- Chciała podnieść na niego wzrok, lecz nie mogła, sparaliżowana niespodziewanym, zawstydzającym onieśmieleniem. Usłyszała głos Edwarda:

- Lizzie, to jest mój brat stryjeczny, Christopher Danvers. Christopher, Lizzie jest...

- Wiem, poznaliśmy się już z Lizzie. Mało jej nie przejechałem.

Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń. Dotknięcie jego palców przepelniło ją rozkoszą.

- Mów mi Kit - powiedział cicho, zaglądając wyzywająco roześmianymi niebieskimi oczami w jej oczy.

Była jak zahipnotyzowana, tak nim urzeczona, że dopiero w dobrą chwilę potem, jak puścił jej dłoń i odwrócił się, zauważyła napięcie Edwarda.

Wyczulona na jego reakcje niemal tak, jakby mieszkała w jego skórze, spostrzegła, jak sprężył swoje słabe mięśnie, i postąpiła odruchowo krok w jego stronę, po czym się zatrzymała, zaskoczona własnym zachowaniem.

Przez sekundę chciała osłonić Edwarda swoim ciałem. Ale przed czym? Przed Kitem? Przed Kitem, który jest jego stryjecznym bratem?

Kocha Kita. Jest cudowny, wspaniały. Nie pojmowała powodów antagonizmu Edwarda wobec niego.

- Zawsze jeździłeś za szybko - zauważył Edward sucho.

- Szczęśliwie nic się nie stało. Kiedy twój anioł opiekuńczy mi powiedział, że spędza swój wolny czas na miłosiernym zabawianiu jednego z pacjentów, nie przypuszczałem, że chodzi o ciebie.

- Po co tu przyjechałeś, Kit?

Edward wypowiedział to pytanie w szorstki sposób, prawie jakby nie lubił brata. Zaskoczyło to Lizzie.

- Poczuję się do obowiązku, stary. Teraz, kiedy papcio nie żyje... Jako głowa rodziny i w ogóle... Chciałem się przekonać, jak żyjesz. I jakie masz plany na po wojnie.

- Na pewno nie będę ci narzucał swojej obecności w Cottingdean, jeżeli o to chodzi - odparł Edward sztywno i jeszcze mocniej spiął swoje wychudzone mięśnie.

Lizzie poczuła ogarniające ją zakłopotanie. Między braćmi rozgrywało się coś, czego świadkiem nie powinna być osoba postronna.

- Ja chyba... sobie pójdę - powiedziała niepewnie, po czym zwróciła się do Kita: - Najwyraźniej macie do omówie-

nia jakieś sprawy rodzinne...

Zaczęła się oddalać ścieżką, ale Kit pobiegł za nią i stanąwszy tak, że zasłaniał sobą wózek i Edwarda, pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o naszej umowie? Załatwię szybko sprawę z Edwardem. O wpół do trzeciej, pamiętaj.

Serce jej podskoczyło i szczęście zakipiało w niej milionem musujących banieczek.

- O wpół do trzeciej - potwierdziła drżącym głosem. Obaj mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem. Kiedy się oddaliła, Kit mruknął:

- Ładniutki stworzenie jak na kuchtę.
- Nie jest żadną kuchtą, tylko pomocą pielęgniarzką. Powinna chodzić nadal do szkoły. Jest o wiele za inteligentna do takiej pracy. - Edward poprawił się nerwowo na wózku i zaklął z goryczą: - Szlag by trafił tę całą wojnę!
- Spokojnie, starszku. Chociaż wcale ci się nie dziwię. Być przykutym do tego wózka i nie móc nic zdziałać, jak się kolo ciebie kręci taka ładna bestyjka... Muszę przyznać, że też bym był cholernie wkurzony.

Przyglądał się z perwersyjną uciechą, jak twarz brata stryjecznego nabiega purpurą.

Edward był zawsze diabelnie pruderyjny. Może to i szczęście w tej sytuacji, jak się tak zastanović. Kit nie palił się bynajmniej do tych odwiedzin. Póki żył ojciec, odsuwał bez trosko myśl o nieszczęściu brata stryjecznego. Miał ważniejsze rzeczy na głowie, takie jak chwalebny marsz do zwycięstwa i zaliczanie, ile się da, ładnych dziewczyn po drodze. To niewątpliwie jedna z przyjemniejszych stron należenia do najdzielniejszych synów Brytanii. Tego się po nim, jako po pilocie, wręcz spodziewano. Nie, żeby miał z tym jakiegokolwiek kłopoty... Ale teraz, kiedy papo umarł, dowódca zaczął mu zbyt wykluwać oczy losem biednego Edwarda, więc chcąc nie chcąc musiał tu przyjechać. Może to i dobrze, będzie mógł dać Edwardowi jasno do zrozumienia, że po wojnie każdy z nich musi pójść własną drogą.

• Zostaw tę dziewczynę w spokoju - rozległ się ponury głos Edwarda. - To jeszcze prawie dziecko, Kit. Nie rozumie, że dla ciebie to sport. Jest niewinna... - Edward urwał, zdając sobie sprawę, że jedynie dostarcza bratu uciechy. Zamiast tego zapytał: - Jesteś nadal zaręczony z Lillian?

• Oczywiście. Sam rozumiesz, takie pieniądze... Nie mam chyba innego wyboru.

• Jeśli jej nie kochasz...
• Nie Kocham? Jakiś ty głupi, Edwardzie. Zbyt wiele czasu spędzasz na dumaniach - dorzucił drwiąco. - Potrzebna mi taka żona jak Lillian, ale to nie znaczy, żebym się nie mógł zabawić na boku.

• Nic się nie zmieniłeś, Kit. Nigdy cię nie obchodzili inni ludzie.

• A ciebie zawsze obchodzili zanadto i dlatego jesteś teraz przykuty do tego wózka. Gdybyś nie strugał bohatera, byłbyś do tej pory zdrowym człowiekiem, a nie bezradnym kaleką - naigrawał się Kit. - Jesteś głupcem, Edwardzie, zawsze by-

łeś i zawsze będziesz. A nawiasem mówiąc, staruszkę, nie oczekuj, że znajdziesz przytułek w Cottingdean, jak się pobierzemy z Lillian. Chyba zresztą sprzedam tę ruinę. Lillian chce mieszkać w Londynie, a dwór pewnie się będzie nadawał jedynie do rozbiórki, kiedy ta wojna się skończy.

Kit miał w sobie zawsze sadystyczne skłonności, stwierdził w duchu Edward. Jako chłopiec lubił męczyć i terroryzować słabszych. Wówczas to jemu, Edwardowi, nie przeszkadzało. Teraz uświadomił sobie nagle, jaki jest chory i zmęczony, słaby i bezradny. Poczł, jak oczy zachodzą mu mgłą bezsilnej wściekłości i frustracji. Nie pierwszy raz obudziło się w nim pragnienie, żeby znaleźć w sobie dość siły, dość odwagi - i położyć temu wszystkiemu kres.

- Zdaje się, że masz randkę?

Lizzie obląła się pąsem, chociaż pytanie zostało zadane życzliwym tonem. Zostawiwszy Edwarda i Kita, złapała rower i popędziła z powrotem do bursy.

Pomna słów Kita, jęła gorączkowo przerzucać swoją skromną garderobę, starając się na próżno znaleźć coś, co by można nazwać szykownym. Nie ma, oczywiście, nic takiego, może tylko rozpuścić warkocze, wyszczotkować włosy, żeby lśniły, i zostawić je opadające luźno na ramiona.

Nie miało znaczenia, że czuła się w takim uczesaniu dziwnie, że rozpuszczone włosy trochę jej przeszkadzały. Kit tego zażądał, a dla niego gotowa była ponieść każdą ofiarę, zrobić wszystko, żeby go nie zawieść.

Teraz jednak, pod rozbawionym, krytycznym wzrokiem paru dziewcząt, które jak ona nie miały tego dnia dyżuru, ogarnęło ją dotkliwe zakłopotanie. Z palącą twarzą wyjąkała potwierdzającą odpowiedź.

- Chyba nie masz zamiaru iść w takim stroju? - zapytała inna koleżanka z uśmieszkiem wyższości.

Lizzie zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Zwierzanie się i poufalenie nie leżało w jej zwyczaju. Ciocia Vi trzymała ją zawsze na dystans i uczyła podobnego zachowania w stosunku do innych.

- K-kiedy nie mam nic innego.

Zawstydziła się tego wyznania. Pochyliła głowę tak, że kurtyna włosów opadła jej na twarz.

- Mogłabym ci coś pożyczyć - zaofiarowała się jedna z dziewcząt. - Jesteśmy jednego wzrostu.

- Co ty, Rosie? Może i jesteście jednego wzrostu, ale ona jest znacznie szczuplejsza od ciebie.

- Nie tak znowu bardzo - zaprotestowała Rosie. - Mogłaby nałożyć tę sukienkę, którą dostałam w zeszłym tygodniu od Meg. Ścisnęłaby się paskiem...

- Mogłaby ją przymierzyć. Ale musi się także trochę podmalować. I potrzebuje jakichś porządnych pantofli. Który ty nosisz numer, Lizzie?

Lizzie stała oszołomiona, a one otoczyły ją kołem, dyskutując dobrodusznie i głośno. - Szkoda, że nie zawinęłaś sobie wieczorem papilotów - zauważyła jedna z dziewcząt. - Włosy by ci się trochę skręciły. Ale i tak masz szczęście, że są takie jasne. Mężczyźni okropnie lecą na blondynki. Co to za facet? Amerykanin?

- Nie, nie... Jest...

- To ta sukienka - przerwała Rosie. - Przymierają, Lizzie.

Raptem stała się jedną z nich, już nie była dziewczyną obcą, z zewnątrz. Skuliła się jednak, kiedy parsknęły śmiechem na widok jej grubej, praktycznej bielizny.

- Rany, popatrzcie tylko na to! - wykrzyknęła jedna z dziewcząt, kiedy Lizzie ściągnęła sweter i bluzkę, i ujrzały jej niezgrabny płócienny stanik, odziedziczony jak cała reszta garderoby.

Normalnie Lizzie ubierała i rozbierała się zawsze tak, żeby nikt jej nie widział. Ciocia Vi wpoila jej przekonanie, że ciało jest czymś, czego należy się wstydzić, tak że nawet kiedy korzystała z luksusu posiadania własnego pokoju, zawsze starannie unikała przyglądania się sobie.

Poczerwieniła znowu, gdy jedna ze starszych dziewcząt wykrzyknęła cynicznie:

- Dobry Boże, facet dozna wstrząsu, jak zobaczy coś takiego. Chyba że to artylerzysta, oni są przyzwyczajeni do płyt pancernych.

Dziewczęta gruchnęły śmiechem, lecz śmiech nie był niezycliwy, uznała Lizzie.

- Zdejmuj to - oświadczyła zdecydowanym tonem Rosie i nim dziewczyna zdążyła zaprotestować, podeszła z tyłu i odpięła jej haftki stanika.

Lizzie, która jeszcze nigdy nie stała przed nikim w samych majtkach, uświadomiła sobie z przerażeniem, jak łatwo pozwalała się wyrwać z rygorów cioci Vi.

- Popatrzcie na nią - zadrwiła któraś z dziewcząt. - Jej wcale niepotrzebny biustonosz. Nie ma prawie co w nim nosić.

- Nie, ale to, co ma, jest przynajmniej na właściwym miejscu - skomentowała inna.

Rosie obróciła się życzliwie do Lizzie.

- Nie zwracaj uwagi na Mavis. Jest wściekła, bo jej chłopak powiedział, że ma za duży biust. Biedna Mavis, uważała, że wszyscy mężczyźni za tym przepadają. Musiała spuścić trochę z tonu. Nosem nam już wylażyło wieczne słuchanie, jakie cudowne jest to jej sto jeden centymetrów obwodu... Masz, nałóż to - poleciała, podając jej cienki bawełniany stanik.

Lizzie spojrzała z wahaniem na biustonosz, niegdyś biały, teraz poszarzały od zbyt częstego prania lichego materiału. Z białego tła krzyczały drukowane czerwone i żółte kwiaty, aż Lizzie zakręciło się w głowie. Ale dziewczęta czekały wpatrzone w nią i gdyby Lizzie odmówiła, Rosie poczytałaby to z pewnością za obrazę, a prawdopodobnie reszta wraz nią. Chciały jej przecież tylko pomóc.

Kiedy naciągnęła sukienkę i zapięła guziki, uświadomiła

sobie, o ile tętsza jest od niej Rosie. Sukienka, która opinała tamtej kibić, wisiała luźno na Lizzie, dekolt zaś wydawał się na niej znacznie bardziej wyzywający, niż kiedy gors wypielniał wydatniejszy biust Rosie. Starła się nie okazać po sobie ulgi, gdy zaczęła rozpinać guziki.

- To bardzo miło z twojej strony, Rosie, ale na mnie sukienka nie wygląda ani w połowie tak ładnie jak na tobie - powiedziała taktownie.

Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, w głębi duszy już tęskniła do odrzutów z szafy lady Jeveson. Przynajmniej czuła się w nich przyzwoicie. Zgroza ogarnęła ją na myśl, że przez cienki materiał sukni Rosie można dojrzeć nie tylko zarys jej sutek, lecz wręcz ciemniejsze zabarwienie ich otoczek.

- Nie, nie zdejmuj sukni - zaprotestowała Rosie. - Potrzebny jest tylko pasek. Jean, ty masz czerwony pasek. Przyńś go, zobaczymy, jak to będzie wyglądało.

Jean Adams była wysoką, chudą dziewczyną o ciemnych włosach i intensywnie piwnych oczach. Pasek z błyszczącego, jaskrawoczerwonego plastyku otrzymała w prezencie od zakochanego żołnierza amerykańskiego.

Lizzie z niesmakiem odsunęła palce od śliskiego tandetnego tworzywa. Znała dotąd jedynie paski z miękkiej skórki, choć musiała przyznać, że miały czasem popękane szwy i były zawsze w szaroburzych odcieniach.

• Daj go, Jean - poleciła Rosie, jawnie delektując się rolą mistrzyni ceremonii. - Zrób wdech, Lizzie, żebym go mogła ściągnąć. Rany, ale ty jesteś szczupła. Nawet Jean nie może go zapiąć na ostatnią dziurkę, prawda, Jean? Nie, jeszcze się nie przeglądaj - zakomenderowała, kiedy Lizzie chciała podejść do jedyne go w sali ospowatego lustra. - Musimy ci jeszcze podmałować twarz. Trochę tej czerwonej szminki na usta, trochę różu na policzki...

• I trzeba jej przyczernić rzęsy - dorzuciła jedna z dziewcząt. - Który numer butów nosisz, Lizzie?

• Trzydzieści cztery - odparła potulnie.

• Takie małe? Więc będziesz musiała wziąć te białe pantofelki Mary. To są piątki, prawda, Mary? Włożymy ci trochę waty w czubki. Gdzie masz się z nim spotkać, przyjdzie pod i bursę?

Lizzie potrząsnęła głową.

• Nie, na drodze za szpitalem.

• Nie zgadzam się, żeby szła taki kawał drogi w moich białych pantoflach - zaprotestowała oburzona Mary.

• Nie, musi pójść w swoich i zmienić je przed samą randką. Zostawi swoje gdzieś w krzakach i zabierze rano.

Lizzie chciała wytłumaczyć, że poświęcenie Mary jest zupełnie niepotrzebne. Ciocia Vi zawsze jej powtarzała, że szykowna kobieta nigdy nie nosi białych pantofli. Trudno było jednak cokolwiek powiedzieć, gdy Rosie malowała jej z determinacją wargi lepką substancją, a inna z dziewcząt już pluła w pudeleczek z tuszem, gotowa zabrać się do jej rzęs.

Minęło dobre pół godziny, nim koleżanki uznały swoje zabiegi za zadowalające i pozwoliły jej się przejrzeć w lustro.

Obraz, który zobaczyła, był tak obcy, że patrzyła z zakłopotaniem i niedowierzaniem. Wyglądała znacznie starzej, znacznie bardziej światowo i okropnie... okropnie pospolicie, podszeptnął jej ostry głos wewnętrzny. Lecz otoczona wiankiem pełnych oczekiwania twarzy, nie miała innego wyjścia, jak przełknąć konsternację i bez przekonania podziękować koleżankom.

- Tylko pamiętaj - napomniała ją po matczynemu Rosie - jak będzie się próbował do ciebie dobierać, każ mu wziąć na wstrzymanie. Musi wiedzieć, że oczekujesz szacunku. Oni są wszyscy tacy sami, chcą tylko jednego. Naopowiadają ci Bóg wie co, żeby dopiąć swego...

Lizzie chciała protestować, że się mylą, że Kit jest inny, lecz jej uczucia były zbyt nowe, zbyt drogocenne, by dzielić się nimi z kimkolwiek.

Któraś z dziewcząt, zdaje się Mary, narzuciła jej na sukienkę biały sweter, który się szczęśliwie zapinał pod samą szyję, po czym odprowadziły ją całą grupką na ulicę, tak że nie miała szansy wymówienia się od ich szczodrośliwości i przebrania z powrotem we własne rzeczy.

Nie mogła w pożyczonych fatalaskach wsiąść na rower, a kiedy ruszyła szybkim krokiem na spotkanie z Kitem, zaskoczyły ją w pierwszej chwili nieskrępowane ruchy piersi.

Wstrząsem było uświadomienie sobie, że uczucie swobody ciała w cienkich materiałach nie jest wcale takie nieprzyjemne; jeszcze większym - nagle przejmujące zrozumienie, że kiedy Kit weźmie ją w ramiona, będzie czuła całe jego ciało na swoim przez tak nikłą osłonę.

Takie myśli są niedopuszczalne, wstrętne, napomniałyby ją ciocia Vi, ale to bynajmniej nie wstręt wzbierał w jej piersi. Nie, coś zupełnie innego. To samo musujące, podniecające doznanie, którego doświadczyła, kiedy Kit dotknął ustami jej warg, to samo wibrujące napięcie w głębi ciała, które kazało jej teraz przystanąć i przycisnąć instynktownie dłoń do dołu brzucha, nim sobie zdała sprawę, co czyni, i oblała się purpurą ze wstydu i poczucia winy.

Wiedziała, oczywiście, co mężczyźni robią z kobietami - trudno było tego nie wiedzieć, skoro dziewczęta w bursie roztaczały takie obrazowe opowieści o sprawności czy nieudolności swoich chłopców - ale nie przyszło jej nigdy do głowy, że intymne pieszczoty, które opisywały, a których wyobrażenie napawało ją dotąd raczej niesmakiem, mogą powodować rozkoszny niepokój, jaki czuła teraz w całym ciele, a który kazał jej *śpieszyć* niecierpliwie na spotkanie z Kitem.

Wyruszyła z dużym zapasem czasu, tak że dotarłszy na miejsce, mogła swobodnie zmienić własne półbuciki na białe pantofelki Mary, które wydały jej się teraz wielkie i niezgrabne na jej szczupłych stopach.

Jedyną rzecz, w jaką koleżanki jej nie wyposażyły, stanowiły pończochy, będące w wielkiej cenie. Lizzie sprzeciwiła się stanowczo, kiedy chciały na jej łydkach wymalować czarne linie, mające imitować szwy. Jej nogi wyglądały bardzo cienko i blade, stwierdziła, lustrując je niepewnie, ale własne wełniane pończochy nie pasowałyby zupełnie do lekkiej sukni

Rosie.

Mijały chwile, ale jej się wydawało, że czeka długie godziny. Przebiegło jej przez myśl, że Kit może nie przyjść, i poczuła skurcz w brzuchu. Nie miała zegarka, nie wiedziała, która jest godzina. Nie może tu stać i czekać w nieskończoność. Dziękowała Bogu, że droga jest rzadko uczęszczana i nie będzie miała świadków swego upokorzenia.

Wyobrażała sobie reakcję koleżanek, kiedy wróci i powie, że Kit się nie zjawił na umówione spotkanie. Poczwała w oczach piekące łzy. Nie przyszło jej do głowy, że to się może tak skończyć. Była taka pewna, tak święcie przekonana, że Kit czuje to samo co ona...

Miała już wyciągnąć z krzaków swoje półbuciki, gdy usłyszała warkot motoru. Serce jej podskoczyło, puls załomotał szaleńczo. Zastygła i czekała.

Kiedy ujrzała maskę znajomego wozu, wynurzającą się zza zakrętu, omal nie wydała okrzyku ulgi. Nie zważała, że Kit z łatwością rozszyfrował jej reakcję, zanim zdążył zatrzymać auto i posłać jej ciepły uśmiech.

Staruszek Edward nie uważałby jej teraz za takie niewiniątko, pomyślał Kit obrzucając ją cynicznym spojrzeniem. Taka przemiana!

Zerknął na jej krwistoczerwone wargi i poczuł gwałtowny dreszczyk emocji. Uciechy płci były dla Kita rodzajem narkotyku - im więcej ich używał, tym więcej ich pożywał - a stanowiły teraz jedyne ujście dla jego niepokohamowanej energii, gdyż pięć dni temu otrzymał zakaz latania za wylamanie się nad Kanałem z formacji i samotny pojedynek z nieprzyjacielskim myśliwcem.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, wyskakując z auta i podchodząc do Lizzie.

W jej oczach błyszczały jeszcze łzy, choć rozpromieniała je ulga.

- Wyglądasz cudownie - skłamał, wprawiając ją w niepewność, czy to przypadkiem nie dziewczęta w bursie miały rację co do jej wyglądu, podczas gdy jej wątpliwości były nieuzasadnione. - Tak cudownie, że nie mogę się oprzeć, żeby nie zrobić tego...

Kit nie był głupi. Wiedział, że kobiety, choćby najbardziej chętne, lubią miłosną otoczkę. A ta jest bardziej zdenerwowana niż chętna. Czuł, jak drży, kiedy wziął ją w ramiona, i przez ciało przebiegło mu radosne podniecenie. Świadomość, że będzie jej pierwszym, że nikt jej nigdy nie całował ani nie pieścił, stanowiła dodatkowy bodziec. Wargi pod jego ustami zdradzały niedoświadczenie.

- Nikt cię nigdy nie całował, prawda? - zapytał, przyciskając ją do siebie, napawając się władzą, jaką ma nad nią, jej naiwnością, niewinnością.

Położył jej dłoń na sercu, wyczuł jego gorączkowe bicie. Czując jego palce tuż pod piersią, Lizzie zeszywniała. Jego język przesuwający się po jej karminowych wargach przyprowadził ją o dreszcz, a pieszczotliwe dotknięcie elektryzowało.

Jak oszałamiająca jest ta jego bliskość, jak reaguje na nią jej całe ciało! Spojrzeli na siebie jeden jedyny raz i od razu wiedziała... Bez słów, bez wyjaśnień - wiedziała...

Kit gryzł teraz jej wargi niemal boleśnie, lecz domyślała się, iż to dlatego, że jest jak ona nieprzytomny z miłości. Poczula na zaciśniętych wargach jego napierający język, więc posłusznie je rozwarła. Słyszała, jak dziewczęta rozprawiają o takich pocałunkach, lecz nie myślała, by mogły ją przejąć jakimkolwiek uczuciem prócz niewymownego wstępu. Teraz, gdy język Kita wtargnął w wilgotne wnętrze jej ust, stwierdziła, że jego powolne, pieścizotliwe ruchy przyprawiają ją o rozkosz, przepływającą coraz to zawrotniejszymi falami.

- Nie możemy się tutaj kochać - wyszeptał Kit zdławionym głosem. - Mój Boże, jesteś wulkan, nie dziewczyna, wiesz? Będzie nam tak dobrze razem, tak dobrze.

Dla Lizzie oznaczało to obietnicę wspólnej przyszłości, wyznanie miłosne. Kit śledził cynicznie efekt swoich słów, delektując się bezbronnością dziewczyny, swoim panowaniem nad nią. Przez moment zrobiło mu się żal, że nie będzie mógł z nią spędzić więcej czasu. Pokazałby jej różne rzeczy, nauczył tego i owego. Zaskoczony intensywnością własnego pożądania, poczuł, jak jego ciało rozgrzewa się i tężeje.

- Chodź, poszukamy jakiegoś ustronnego miejsca - powiedział, biorąc ją na ręce i wsadzając do otwartego samochodu.

Kiedy ją tulił do siebie, Lizzie poczuła twardość jego podniecenia i jej zmysły zagrały z radości, że o n a to sprawiła. Wiedziała z rozmów dziewcząt, co ta twardość oznacza, nie przypuszczała jednak, jak podniecająca może być świadomość, że to ona wywiera takie wrażenie na mężczyźnie, którego kocha, ani że tak bardzo będzie pragnęła wtulić się w niego i poczuć tę twardość głęboko w swoim ciele, tak by przedłużyć i wzmocnić w nieskończoność tę dziką, bolesną rozkosz, jaką ta bliskość niesie.

Wsadzając ją do auta, przypadkiem czy rozmyślnie przesunął pieścizotliwie dłonią po jej piersiach.

- Gdzie możemy pojechać? - zapytał. - Ty znasz to miasto lepiej ode mnie. Wziąłbym cię tam, gdzie się zatrzymałem, gdyby nie gospodyni...

To znaczy do jego pokoju... Nie jest na to jeszcze przygotowana, stwierdziła Lizzie. Pachniało to za bardzo tym, co zawsze uważała za dosyć żałosne przygody koleżanek. Chciała, żeby w jej przypadku było inaczej. Oczywiście jest inaczej. Ona i Kit kochają się i po wojnie... Wciągnęła głęboko powietrze, serce zadudniło jej na oszałamiającą myśl o przyszłości, ich przyszłości. Lecz zaraz sparaliżował ją nowy przejmujący strach wszystkich kobiet, których ukochani ryzykują życie w obronie ojczyzny. A jeśli Kit zginie, jeśli całą przyszłością jest to, co tutaj, teraz? A jeśli nie mają innej przyszłości prócz tych kilku drogocennych godzin? Nie chciała o tym myśleć, nie teraz - ani nigdy.

- Jest takie miejsce - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Niedaleko, na terenach szpitalnych. Nikt tam nigdy nie przychodzi. Ale tam trzeba iść piechotą.

Miała na myśli starą, zaniedbaną altanę na osłoniętej polance, ukrytą głęboko w gąszczu zdziczałego parku. Nawet prowadząca do niej ścieżka zarosła krzewami jeżyn i młodymi drzewkami. Lizzie odkryła ją przypadkiem i często tam chodziła, kiedy pragnęła samotności. Zastanawiała się, czy by tam nie zabrać Edwarda, wiedząc, jaką by mu to sprawiło radość. Widziała pierwiosnki, później dzwonki, rozkwitające na brzegu małego stawku nie opodal. Lecz trudy pchania wózka inwalidzkiego po miękkiej, zarośniętej drodze w dół, a potem w górę zbrocza odwiodły ją od tego projektu. Teraz była nieskończenie rada, że tak się stało, bo dzięki temu będzie to ich miejsce, tylko im dwojgu znane, tajemna świątynia ich miłości.

Kit zaparkował auto na końcu alei. Kiedy ją podnosił z siedzenia, przywarła do niego nieśmiało, zaczerwieniona, bo popatrzył na jej usta. Karminowa szminka zniknęła, ale jej wargi płonęły własną czerwienią, miękkie i nabrzmięte od poprzedniego pocałunku.

- Niewinne z ciebie dziecko - mruknął. - Nie znaczy, że by mi to robiło różnicę.

Przesunął dłonie po jej plecach i poniżej pasa, chwycił ją za pośladki, wcisnął w siebie i jął namiętnie kołysać.

Nieprzytomna z nawału doznań, Lizzie trzymała się go kurczowo, ofiarowując mu się niewinnie, myśląc tylko o tym, by go zadowolić.

Kiedy ją opuścił na ziemię, poczuła się zagubiona i zawiedziona.

- Gdzie jest to miejsce? - zapytał Kit chrapliwie. Zrobiwszy ręką ruch w kierunku altany, Lizzie uświadomiła

sobie z przerażeniem, że pantofelki Mary nie przetrzymają tej drogi. Muszą minąć dwa pola, a potem przedzierać się zarośniętą dróżką, do czego lekkie pantofle zupełnie się nie nadają.

Nie nadawały się również flanelowe spodnie i blezer Kita, który marszczył niecierpliwie brwi, kiedy krzewy jeżyn czepiały się jego nogawek, i irytował się, że Lizzie go nie uprzedziła, czego ma oczekiwać. Jego niecierpliwość trochę ją zmroziła, lecz odepchnęła od siebie nieprzyjemne uczucie.

Dróżka wydała jej się teraz znacznie bardziej zarośnięta niż dwa tygodnie temu, kiedy ostatni raz tędy szła, w końcu jednak dojrzała przez krzewy i poplątane gałęzie błysk słońca na wodzie, a gdy się wreszcie wynurzyli w ciszę zalanej promieniami polany, Lizzie spytała z zapartym tchem:

- Podoba ci się?
- Nikt nam tu przynajmniej nie przeszkodzi - odparł Kit rozglądając się.

Oczywiście, wolałby komfort podwójnego łóżka, ale właścicielka pensjonatu, w którym się zatrzymał, zapowiedziała mu niedwuznacznie, że nie będzie tolerowała odwiedzin żadnych „kuzynek”.

- Szkoda, że nie pomyślałaś o przyniesieniu koca - dorzucił, zerkając krytycznie na rozwalającą się altanę.

- Ale tu jest ustronnie, prawda? - zapytała trwożnie Lizzie, ogarnięta nagle rozpaczliwą potrzebą udobruchania go, usłyszenia jakiegoś słowa uznania, czując, że to ona jest przyczyną tego wyrazu niezadowolenia, który stał z jego twarzy ciepło uśmiechu.

- I owszem, jest ustronnie - przyznał Kit.

I raptem uśmiechnął się do niej znowu, a Lizzie poczuła, jak jej serce i ciało przepelnia fala miłości. Zbliżyła się do niego skwapliwie i otworło się przed nią niebo, gdy ją ujął pod rękę i poprowadził do altany, a tam obrócił do siebie i wziął w ramiona.

Znajome już doznanie jego języka poruszającego się miłością w jej ustach nie straciło nic ze swej mocy roztapiania jej ciała, uświadomiła sobie Lizzie, zafascynowana sposobem, w jaki Kit kołysze ją w ramionach, szepcząc, że ją kocha.

- Czujesz, jak cię pragnę, prawda? - spytał chrapliwie.

Drżała, zbyt przepelniona uczuciem, by wykrztusić słowo, pragnąc okazać mu całą sobą, jak bardzo go kocha, jak bardzo go potrzebuje. Była jeszcze tym wszystkim zbyt oszołomiona, zbyt zdziwiona, zaślepiona całkowicie przez swoją miłość i niewinność.

Kiedyś, dawno temu, wierzyła niemądrze, że fizyczna strona miłości jest jej stroną najmniej ważną, że cielesny akt miłosny jest czymś nieistotnym, jeśli nie wręcz odrażającym, czymś, co się spełnia z przykrością raczej niż z przyjemnością. Teraz odkrywała, jaka była nieświadoma, jaka ślepa, jaka niegodna daru miłości takiego człowieka jak Kit.

Fakt, że jej potrzebuje i że tak otwarcie, tak natarcywie manifestuje tę swoją potrzebę, napelniał ją tkliwością, graniczącą z uczuciami macierzyńskimi. Kiedy się rozstana, Kit zabierze ze sobą wspomnienia tych chwil i one sprawią, że wróci do niej szczęśliwie.

Gdy ją tak całował i tulił, Lizzie zdawała sobie sprawę, jak dalekie jest to, czego doznaje, od jej dziewczęcych wyobrażeń o miłości. Jakże to możliwe, by taka rozkosz, taka błogość była grzechem, myślała czując, jak serce jej łomocze, gdy Kit obsypuje jej twarz i szyję pocałunkami, pieści jej rozgrzane ciało przez pożyczoną suknię.

- Niepotrzebne ci to, prawda?

Rozpinał już jej sweter, obnażając głębokie wycięcie sukni i delikatną skórę. Lizzie zeszywniała nagle, spłoszona spojrzaniem, jakim na nią patrzył, a Kit, który od dawna uważał, że potrafi zawsze panować nad swoimi reakcjami, niemal ze złością przyjął żar, jaki go oblał, gdy na jej pierś padły ukośne promienie słońca i przez cienki materiał zobaczył wyraźnie zarys i ciemniejsze zabarwienie sutek. Zorientował się już wcześniej, że pod sukienką jest prawie naga, ale nieoczekiwany widok jej żywego ciała przez nikłą osłonę podniecił go bardziej, niż gdyby patrzył na nią całkiem gołą. Kiedy ściągnął z jej zeszywniałych pleców gruby sweter, ogarnęła go tak przemożna namiętność, że ujął Lizzie za kibić i pochylił głowę, by ustami odszukać jeden z ciemniejszych wzgórków i pokarać go za to, że się ośmielił tak go podniecić.

Lizzie, która nigdy nie doświadczyła na swoim ciele tak intymnego dotknięcia męskich rąk, nie mówiąc już o ustach, zdrętwiała, czując pieszczotliwe ukąszenia na piersi. Wszystko to posuwało się o wiele za daleko, działo o wiele za szybko.

Wyczuwając jej napięcie i opór, Kit zaklął w duchu. Na moment zapomniał o jej niedoświadczeniu, teraz, gdy przypomniała mu o tym jej reakcja, ogarnęła go złość. Kusilo go, by przytulić ją mocniej i zmusić do przyjęcia go, ale Lizzie była taka drobna, taka krucha, że bał się zrobić jej krzywdę. Miał już raz kłopoty z niewinną młodą dziewczyną, uroczym stworzeniem z miasteczka. Było to, zanim się odczył kłusować na własnym terytorium. Jej ojciec przyszedł na skargę do jego rodziców i papo zrobił mu wściekłą awanturę. Musieli zapłacić jej rodzinie wysokie odszkodowanie. Niedobrze, że ta mała tutaj zna jego brata stryjecznego...

Co będzie, jeśli poleci ze skargą do Edwarda? Cóż, Edward nie może mu wiele nabruździć. Chyba żeby doniósł Lillian...

Kiedy wargi Kita znieruchomiały na jej ciele, mięśnie Lizzie się odprężyły. Poczowała ulgę i ogarniającą ją słabość. Wiedziała, że mężczyźni lubią dotykać piersi kobiet, ale nie wiedziała... nie śniło jej się... Mimo grzejącego słońca i mdłego ciepła butwiejącej altany przeniknął ją nagle taki chłód, że zaczęła szczekać zębami.

Kit się zorientował, że jeśli chce ją mieć, musi ratować sytuację. Nie jest jeszcze za późno.

- Przepraszam, kochanie - szepnął jej w ucho, tak, żeby nie widziała jego twarzy i nie połapała się, że kłamie. - Ale rozumiesz, to właściwie twoja własna wina.

Kiedy znów zeszywniała i obróciła się do niego z nie rozumiejącą twarzą, uśmiechnął się melancholijnie.

- Przyszłaś tak ubrana... taka kusząca...

Sprytnie, perfidnie zrzucił winę na nią, tak że Lizzie, od początku zakłopotana swoim strojem, splonila się po same uszy i zagryzła nerwowo wargę.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Obserwując jej reakcje, doszedł do wniosku, że może wygrać sytuację na swoją korzyść.

- Nie wiedziałam... nie zdawałam sobie sprawy... - jęła się tłumaczyć Lizzie.

- Rozumiem, rozumiem. - Kit wziął ją znowu w ramiona.

- Problem w tym, że pragnę cię tak bardzo, a ty jesteś niedoświadczona...

Słyszając w jego głosie wymówkę, nie dopowiedzianą krytykę, Lizzie momentalnie zeszywniała znowu.

- Spróbujemy jeszcze raz - zaproponował Kit, a jej serce podskoczyło z radości, że mimo jej niedoświadczenia pragnie jej nadal.

Przytaknęła nieśmiało głową, czerwieniąc się, gdy dorzucił:

- Zdejmijmy to wobec tego, dobrze?

Rozpinał już zrećźnie sukienkę i po chwili oswobodził jej piersi dla swoich dłoni i wzroku.

Nie popełnił drugi raz tego samego błędu, powiedział sobie, a trochę wstrzemięźliwości, przeplatanej zachętą i perswazją, opłaci mu się z nawiązką. To, co już zobaczył z jej ciała, napawało go niecierpliwością, żeby ją osiąść. Wydawała się taka delikatna i drobna pod jego dłońmi, taka bezbronna, jej kości takie kruche, że mógłby je prawie złamać. Czy okaże się w środku tak zwięzła, jak można oczekiwać po piersiach, czy... ?

- Jesteś cudowna... wspaniała... - powtarzał chrapliwie, pieszcząc obiema rękami jej gołe piersi, a pocałunkami tłumiąc nieśmiałe protesty, które jej się cisnęły na usta.

Pod jego pocałunkami blakły jej poprzednie lęki, w sposobie, w jaki jej dotykał, było coś paraliżująco przyjemnego, co - czuła - wprowadzi ją w cały nowy świat doznań, jeśli pozwoli temu narastać. Ale to, co robi, jest złe, grzeszne, napomniała się, takie pieszczoty...

Myśli jej się pomieszały, rozpierzchnęły w nawale wrażeń, jaki się przetaczał przez jej ciało, bo Kit od ust przeszedł do całowania czulej skóry jej szyi. Tym razem trzymał swoje żądze na wodzy, pieszcząc ją ostrożnie, nieśpiesznie, nim w końcu jego usta dotknęły znowu jej piersi.

Zeszywniała natychmiast, lecz on nie pozwolił się ponownie odepchnąć, tylko szeptał tuż przy jej ciele:

- Zabolalo cię, moja słodka? Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Pocałuję delikatniej, żeby przestało boleć...

Lizzie była jednak wciąż zbyt napięta, zbyt wstrząśnięta, by jego pieszczoty sprawiały jej prawdziwą przyjemność. Zbyt żywo tkwiły jej jeszcze w pamięci przestrogi i napomnienia cici Vi, by mogła je całkowicie odepchnąć. A przecież... przecież zaczynała niewyraźnie, mgliście czuć, że w tym tak szokująco intymnym odkrywaniu jej ciała może się zawierać niespodziewana przyjemność. Żeby tylko jej ukochany Kit miał cierpliwość prowadzić ją ku niej delikatnie i czule...

Lecz cierpliwość, nie mówiąc już o delikatności i czułości, była cnotą nie znaną Kitowi Danversowi. Zaczynał się już niecierpliwie, nudzić takimi szczenięciami ceregielami. Podniósł jej sukienkę, włożył dłoń między uda i przesuwał, aż dotknął majtek.

Ciało Lizzie napięło się momentalnie. Całe wychowanie, wszystkie rygory wpojone przez ciocię Vi, walczyły w niej o lepsze z instynktem.

Kit znów ją całował, lecz jej niedoświadczone ciało jakoś wyczuło w jego dotknięciach samolubstwo, zachłanność i premedytację, i jej napięcie się wzmogło.

- Gdybyś mnie kochała, tobyś pozwoliła - zarzucił jej poirytowany Kit. - Myślałem, że między nami rodzi się coś szczególnego.

Gdyby ta jej niewinność, która go tak irytowała, nie ekscytowała go zarazem, nie podniecała w sposób, jakiego od dawna nie zaznał, przestałby się nią już interesować, zostawił ją swemu losowi. Lecz mimo całego jej ociągania, całego strachu, a właściwie za ich przyczyną, czuł, jak jego żądza rośnie.

- Pragnę cię, Lizzie, pozwól mi pokazać, jak bardzo. Pozwól mi pokazać, jakie to może być cudowne.

Zachęcał ją, całował, nie zważając na napięcie, które wprawiało w drganie mięśnie jej ud.

- Nie zrobię ci krzywdy - obiecywał. - Chcę ci tylko pokazać, jak cudownie nam będzie ze sobą. Kochasz mnie, prawda?

Cóż miała mu odpowiedzieć? Oczywiście, że go kocha.

• Tak - wyszeptala bezradnie.

• Więc pozwól mi się dotknąć, pozwól mi się kochać. Chyba nie należysz do tych dziewczyn, które nie są w stanie zaspokoić mężczyzny? - zapytał, zmieniając raptem taktykę. Nowy dreszcz strachu przebiegł jej po krzyżu. Oczywiście, że nie należy. W głowie kłębiły jej się sprzeczne myśli. Kocha go, wiedziała to z niezbitą pewnością. Więc dlaczego się waha, dlaczego się boi? Skoro taką rozkosz sprawiają jej pocałunki Kita, dlaczego przejmują ją lękiem jego śmielsze pieszczoty?

Usłyszała, jak zegar kościelny wybija godzinę. Już czwarta, a o piątej zaczyna się dyżur.

Poczuła, jak miejsce prerażenia zajmuje prawie ulga, że otwiera się przed nią droga ucieczki. Rozpaczliwie odpychając więżące ją ramiona Kita, wykrztusiła zdławionym głosem:

- Muszę iść... Muszę być o piątej w pracy...

Kit puścił ją, klnąc pod nosem. Ta mała okazała się cięższym orzechem do zgryzienia niż przypuszczał. I jak zielony, niedojrzały owoc, zostawiała kwaśny smak w ustach. Ale musiał ją mieć, nie tylko dlatego, że jej pożądał. Teraz powodowała nim także złość i urażona męska duma. W tej jej niewinności, w naiwności było coś takiego, że kusiło go, żeby podnieść rękę i dać jej nauczkę.

Nienawykły do analizowania swoich uczuć, odsunął się od niej gwałtownie, chcąc uciec od tej pokusy. Ale nie przepuścił tej małej, postanowił. Cofanie się przed trudnościami nie leżało w jego naturze.

- Podwiozę cię wobec tego do szpitala - powiedział su-

cho.

Obserwował przy tym uważnie, jaki efekt wywierają na niej jego słowa, i uśmiechnął się w duchu, widząc, jak Lizzie reaguje. Dobrze jej zrobi, jak trochę pocierpi. Będzie miała nauczkę, na jaką zasługuje. Może za następnym widzeniem stanie się bardziej skłonna do pozwolenia mu na to, na co nie chciała pozwolić dzisiaj.

Wracał do auta w chłodnym, wyniosłym milczeniu, które wtrąciło Lizzie w odmęt cierpienia. Czemu, na litość boską, zachowała się tak idiotycznie? Kocha go przecież, więc czemu cofnęła się przed udowodnieniem mu swojej miłości? Kit nie jest chłopcem, jest dorosłym mężczyzną. Mężczyzną, który walczy za ojczyznę i który może dzisiaj zniknąć z jej życia...

Łzy dławiły ją w gardle, żal i obawa ścisnęły żołądek. Czego się tak przeraziła? Czemu sparaliżował ją lęk? Może rzeczywiście jest z nią coś nie w porządku? Może naprawdę należy do tych dziewczyn, które nie potrafią zaspokoić mężczyzny, dzielić jego pożądania?

Była to druzgocąca myśl, od której jej twarz zrobiła się papierowo blada, nim doszli do auta.

Obróciwszy się, by na nią spojrzeć, Kit z zadowoleniem ocenił efekty swojego milczenia, Postanowiwszy trochę jej popoľgować, ujął jej brodę niedbale jedną dłonią i zapytał cicho:

- Kiedy się zobaczymy, kochanie?

Serce podskoczyło Lizzie z wdzięczności i ulgi. Jeszcze jej pragnie. Daje jej drugą szansę, więc... widać ją kocha.

• Mogłabym...

• Wieczorem? - przynaglił Kit. - O której kończysz dyżur? Podjechałbym po ciebie.

Lizzie potrząsnęła głową.

• Będzie za późno.

• Więc kiedy? Jutro?

Jutro ma wolne. Z dudniącym sercem, nie mogąc wykrztusić słowa, kiwnęła głową.

- Wspaniale - powiedział, po czym dorzucił od niechcenia: - Wiesz, co? Zamiast po ciebie podjeżdżać, mógłbym czekać w altanie. W ten sposób... w ten sposób to pozostanie naszą wyłączną tajemnicą.

Lizzie kiwnęła ponownie głową. Nie wiedziała, jak przeżyje te nie kończące się godziny do następnego spotkania, ale jedno już sobie przyrzekła: że kiedy go wreszcie zobaczy, kiedy on ją weźmie w objęcia i zacznie całować, pieścić, kiedy powie, jak bardzo jej pragnie, wtedy ona zachowa się już jak kobieta, nie jak dziewczynka, nie zapomni, jakim szczęściem było poznanie go, jakie cenne są te krótkie wspólne chwile... I jak niepewna jest ich przyszłość, skoro ta wojna ma ich rozdzielić, może tylko na krótki czas, a może na wieczność...

Dreszcz przejął ją od stóp do głów, tak że z trudem pohamowała szczykanie zębów.

• A więc jutro... O jedenastej - przypomniał jej Kit przed rozstaniem.

• Jutro - odpowiedziała Lizzie szeptem i oczy zasnuły jej

się łzami szczęścia.

Tak bardzo go kocha. Tak bardzo pragnie, by ją trzymał w ramionach, by ją całował. Więc dlaczego, kiedy dotknął jej tak intymnie, cała się skurczyła, odepchnęła go?

Patrząc, jak odjeżdża, czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd, bardziej świadoma niepewności życia, bardziej zdumiona swoimi doznaniem...

Wpadła do bursy, żeby zwrócić pożyczone fatalaszki. Indagowana, nie wspomniała o jutrzejszym spotkaniu z Kitem. Była jeszcze zbyt obolała z powodu własnej głupoty, niemądrego zachowania, którym go zirytowała i naraziła na niebezpieczeństwo ich świeżo narodzoną miłość, by dyskutować z kimkolwiek o wydarzeniach sprzed godziny. Skwapliwe pytanie Rosie: „Chyba umówiłaś się z nim znowu, co?” - skwitowała nieartykułowanym mruknięciem, rada, że musi biec na dyżur i koleżanki nie mogą jej wziąć na spytki.

Wieczorny dyżur był zawsze najbardziej pracowity, bo należało przygotować rannych do snu, porozdzielać im leki, a potem uprzątnąć sale na następny dzień.

Edwarda widziała tylko z daleka, spuszczać z koleżanką rolety zaciemniające w jego sali. Spozrzęła jednak szarość jego twarzy i domyśliła się, że musi bardzo cierpieć. Chętnie by do niego podeszła zapytać, czy nie chce jakichś dodatkowych środków, ale wiedziała już, jaki jest drażliwy, jak w jego dumę godzi każda wzmianka o nękających go dolegliwościach.

Rozejrzała się ukradkiem po sali. Niestety, dyżur miała starsza już siostra, którą irytowały młode pomocnice, tak że Lizzie wiedziała, iż nic by nie dało dyskretne zwrócenie się do niej o środek przeciwbólowy dla Edwarda. Siostra ta szczerze wierzyła, że cierpienia cielesne są zbawienne dla duszy. Bały się jej wszystkie młodsze siostry, a nawet niektórzy lekarze. Pomocnice zaś wręcz jej nienawidziły, kąpiły z niej i przedrzeźniały niemilosiernie za jej plecami.

- Bezpłciowe stare pudło - słyszała kiedyś Lizzie, jak ją określiła jedna z dziewcząt.

Bezpłciowe... Skrzywiła się teraz na to przypomnienie, obracając obraźliwe słowo w ustach, z niespokojnym biciem

serca. Chyba ona sama nie jest taka, nie jest kobietą b e z - p ł c i o w ą ? Oczywiście, że nie!

Więc czemu tak zareagowała na pieszczoty Kita? Czemu tak się napięła, tak się przeraziła?

Była zbyt młoda i niedoświadczona, by wiedzieć, że odpowiedź leży po części w rygorystycznym wychowaniu cioci Vi, po części w braku prawdziwej czułości u Kita. Nie zdawała sobie sprawy z trującej, destrukcyjnej siły ziarna, które Kit tak okrutnie zasiał w jej duszy.

Jedenasta. Lizzie zeszytywniała na dźwięk zegara kościelnego. Przyszła do altany już przeszło kwadrans temu i teraz, gdy na niego czekała, czuła z napięcia ściskanie w dołku, a myśli rozbiegały jej się bezładnie w stu różnych kierunkach.

. Przed wyjściem z bursy wyszorowała skrupulatnie każdy cal swego ciała, szczękając zębami pod zimną wodą i wstydzając się, że jej skóra będzie pachniała mydłem karbolowym, bo innego nie miała.

Pogoda się odmieniła, niebo zasnuwały chmury, zbierało się na deszcz. Tego dnia Lizzie ubrała się w swoje własne rzeczy, a raczej rzeczy odziedziczone po lady Jeveson. Nie było jej w nich może tak do twarzy jak w sukience Rosie, ale czuła się jakoś pewniej.

Jedynie odstępstwo, jakie uczyniła, stanowiło odrzucenie grubego, nieforemnego stanika.

Z początku o mało się nie spaliła ze wstydu, czując się tak, jakby się obawiała, że wyrośnie za nią spod ziemi ciocia Vi, żeby dać reprimendę za lubieżny strój i niemoralne zachowanie.

Na lewej piersi miała lekki ślad po ugryzieniu Kita, sutki jeszcze niemile wrażliwe, a jednak, kiedy leżąc w nocy na swoim zimnym, wąskim łóżku, pozwoliła sobie przypomnieć późniejsze delikatne dotknięcia jego dłoni i warg na piersiach, przeszedł ją lekki dreszczyk podniecenia i poczuła ulgę pomieszaną z radością.

Wszystko się ułoży, nie wątpiła w to. Dzisiaj da Kitowi dowód, jak bardzo go kocha. Dzisiaj - zrobiła głęboki wdech - dzisiaj pozwoli mu na wszystko, czego będzie chciał, choćby tylko dla udowodnienia, że nie kłamie, że go naprawdę kocha.

A jednak była zdenerwowana, napięta... jakby groziło jej niebezpieczeństwo.

Zesztywniała, słysząc kogoś schodzącego dróżką do stawu. A jeśli to nie Kit? Jeśli to ktoś obcy, kto zabłąkał się tu przypadkiem i zakłóci ich drogocenne wspólne chwile? Ale wyjrzawszy przez stłuczone okno zobaczyła wysoką, gibką postać Kita, kroczącego w jej kierunku. Miał dzisiaj na sobie mundur, więc serce podskoczyło jej z mieszaniny dumy i strachu, bo niepożądaną falą zalało ją przypomnienie sytuacji, świadomość, jak cenne są te krótkie chwile.

Kit, który dobrze wiedział, jak męsko wygląda w mundurze, czyniącym go wcieleniem ideału lotnika, zatrzymał się, nie dochodząc do altany. W twarzy Lizzie wyczytał uwielbienie i lęk - i przepełniło go uczucie siły i tryumfu.

- Chodź tu - zakomenderował cicho, podchodząc i zatrzymując się na progu.

Drżąc spełniła jego żądanie, unosząc ku niemu twarz, gdy ją wziął w ramiona, błagając niemo o pocałunek i o wybaczenie jej wczorajszego błędu.

- Dzisiaj lepiej - pochwalił Kit, napawając się lekkim drżeniem jej warg. - O wiele lepiej.

. Wsunąwszy jej język między zęby, zniżył ręce do pośladków i przyciągnął ją silniej do siebie, żeby odczuła jego podniecenie, po czym ją się z nią zapamiętał kołysać, chcąc przekazać seksualne przesłanie, zew dla jej dziewiczej niewinności.

Kiedy sięgnął do jej piersi i odkrył, że pod grubym swetrem jest naga, powiedział z aprobatą:

- Mądra dziewczyna. - Po czym szepnął jej chrapliwie

w ucho: - Powiniennem cię pewnie za to nagrodzić, prawda? Co byś chciała w nagrodę?

Mózg Lizzie zarejestrował chrapliwość jego głosu i ostry sygnał ostrzegawczy rozszedł się dreszczem po jej ciele. Poruszyła się w jego ramionach, bardziej z obawy niż z podniecenia, ale Kit nie miał dzisiaj cierpliwości, żeby się z nią cackać. Za długo przewracał się minionej nocy na łóżku, z palącym ciałem i wzbierającym gniewem, by tracić czas jeszcze dzisiaj. Pożądał jej i był zdecydowany ją osiąść.

Próbując się otrząsnąć ze swoich obaw, Lizzie powtórzyła sobie, że przecież tego pragnie. Czyż leżąc wczoraj w nocy nie rozpamiętywała z wypiekami, jak Kit pieścił jej piersi? Tak jak pieści je teraz, najpierw palcami, potem ustami... Syknęła z bólu, bo przygryzł zębami wrażliwą sutkę. Chciała go błagać, żeby przestał, protestować, że sprawia ból, ale bała się go rozgniewać, bo może naprawdę jest z nią coś nie w porządku, może naprawdę nie sprawdza się jako kobieta. Nic jej przecież nie brakuje, powtarzała sobie z rozpaczą, ale wątpliwość trwała i rosła, napinając mięśnie, wzmagając niepokój. Kit zaczął ją rozbierać, pośpiesznie, niedelikatnie. Starła się nie wzdygać, gdy drapał paznokciami jej wrażliwą skórę, odpychając od siebie ulotne, instynktowne odczucie, że nie tak się to powinno odbywać, że z czegoś jest okradana.

Ciemne, ponure myśli, wątpliwości i obawy goniliły jedna drugą. Według nauk cioci Vi to, co robi, jest absolutnie niewybaczalne, zdrożne... W pomieszczenie wprawiały ją porywy ciała, tak sprzeczne z jej wychowaniem. Zadrzała, a Kit, wyczuwając jej rezerwę, zaklął pod nosem i zapytał niecierpliwie:

- Co się znowu stało?

Lizzie spojrzała na niego trwożnie. Wzdrygnęła się, bo miał groźną minę, ale wątpliwości i obawy nie dawały się tak łatwo rozproszyć.

- Nie powinnam tego robić - wykrztusiła. - T-to grzech...

Nie kryjąc irytacji, Kit przyciągnął ją mocniej do siebie.

Nie pozwoli jej teraz skrewić. Za bardzo jej potrzebuje, za bardzo pożąda.

- Jaki tam grzech, kochanie - zapewnił, całując ją. - Jakże to może być grzech, skoro się kochamy? I skoro mamy tak mało czasu? Bo chyba mnie kochasz? - zapytał pieszczotliwie.

- T-tak, tak... Kocham cię...

Tego przynajmniej była pewna.

- Więc pozwól mi się kochać. Żebym mógł nosić ze sobą wspomnienie tego, kiedy będę się bil gdzieś w przestworzach za ojczyznę... za nas...

Powtarzał te słowa już tyle razy, że brzmiały w jego własnych uszach jak pusta deklaracja, ale dla Lizzie były nowe i stanowiły przerażające przypomnienie wojennej rzeczywistości. Widząc, jak ta myśl odbija się w jej oczach, Kit pocałował ją ponownie i szepnął do ucha:

- Więc pozwól mi się kochać, małeńka... Pozwól sobie pokazać, jak to cudownie...

Głos mu się załamał z podniecenia, bo wyczuł poryw przepływający przez jej ciało. Korzystając z chwilowej przewagi, szybko ściągnął z niej resztę ubrania.

Żadna istota ludzka nie widziała jej całkowicie nagiej od czasu, gdy ją przysłano do domu ciotki Vi, więc Lizzie oblała się krwawym rumieńcem pod wzrokiem Kita. Czy wydaje mu się piękna, ponętna, czy też go rozczarowała? Nie miała krągłych, zmysłowych kształtów, była drobna, o wąskiej kibi i biodrach, o szczupłych nogach. Czy on, który jest od niej o tyle rośniejszy, o tyle muskularniejszy, nie uzna jej za nadto chudą, za nie dość kobiecą? Cała czerwona ze wstydu, wydała cichy gardłowy dźwięk protestu i spróbowała się zakryć przed wzrokiem Kita, który jej w tym przeszkodził wykręcając ze śmiechem ręce.

Nie bardzo jej się to podobało. Trzyma ją prawie, jakby... jakby była jego niewolnicą i jakby niewolenie jej sprawiało mu przyjemność.

- Nie ma się czego wstydzić, dziewczyno - powiedział chrapliwie, nie spuszczać z niej wzroku.

Brakło jej słów, żeby mu powiedzieć, że to natrętne przyglądanie się jej uwłacza ich miłości, uwłacza jej samej! Niech tylko nie próbuje teraz skrewić, myślał Kit wyciągając do niej ręce.

Lizzie starała się stłumić dreszcz. Bez wczorajszego słońca w altanie było chłodno, więc tłumaczyła sobie, że z tego powodu drży i szczeka zębami. Bo chyba nie z obawy przed Kitem? Przecież go kocha i on ją kocha. Więc czemu jego ręce błędzące po ciele budzą w niej raczej odruch buntu niż podniecenie? Czemu jej najsilniejszym uczuciem jest strach... strach, żeby go nie zirytować, nie rozgniewać? Spięła się, z lękiem w oczach, kiedy położył ją na podłodze i przydusił ciężarem swego ciała.

Patrzyła, jak się unosi i mocuje z paskiem mundurowych spodni, ale zamiast je ściągnąć, a po nich resztę ubrania, rozpiął je tylko i, przygniótłszy ją ponownie swoim ciałem, rozsunął jej nogi.

Starała mu się pomóc, kiedy się układał między jej udami, nieszczęśliwa, że nie zważa na jej zdenerwowanie, a zarazem wylękniona, żeby nie dostrzegł jej braku podniecenia.

Drgnęła na niewygodnej, twardej podłodze, kiedy pchnął boleśnie w jej ciało, raz, potem drugi, klnąc pod nosem napotkany opór.

- Rozluźnij się, nie możesz? - mruknął, przyciskając ją bardziej do ziemi.

Opór jej ciała gniewał go, a zarazem podniecał, zmuszając do gwałtownych ruchów dla sforsowania bariery jej dziewictwa. Jest za bardzo nerwowa, za bardzo napięta.

Powiedział jej to, wściekły, że mu psuje przyjemność, a kiedy pchnął potem jeszcze raz, ze złością, Lizzie zagryzła wargę, nie chcąc mu zdradzić, jak ją boli. Słyszała, oczywiście, że za pierwszym razem bywa to bolesne, ale nie przypu-

szczała, że będzie to tak wyglądało, że będzie taka... taka ściśnięta i sucha.

- Zachowujesz się, jakbyś była parszywą zakonnica - warknął Kit, sforsowawszy wreszcie opór jej napiętych mięśni.

Nawet na nią już nie patrzy, stwierdziła Lizzie, kuląc się pod okrucieństwem jego słów i przytłaczającą świadomością, że zawiodła... Zawiodła i jego, i siebie samą... nie sprawdziła się jako kobieta...

Wiedziała, że to, co się dzieje, powinno jej sprawiać rozkosz, lecz zamiast niej czuła tylko ból i zamęt, fizyczny i uczuciowy, tak że gwałtowne poruszenia Kita w jej ciele i jego głośny oddech wydawały się czymś odległym, tak jakby jej nie dotyczyły. Miała dotkliwą świadomość, że intymny akt miłosny nie zespolił ich w jedną całość, tak jak się spodziewała, że są nadal dwiema osobnymi istotami.

Wiedziała, że ból fizyczny minie, ale pozostało jej znacznie głębsze cierpienie duchowe, tak że kiedy wreszcie Kit osunął się na nią bezwładnie i znieruchomiał, dysząc ciężko, nie poczuła satysfakcji ani nawet ulgi, tylko wzbierający w piersi straszliwy chłód, paralizującą rozpacz. Rozczarowała go, zawiodła... Nie jest prawdziwą kobietą, kobietą zdolną do miłości...

Widziała w jego oczach potępienie, wyczuwała je w sposobie, w jaki unikał jej wzroku, w jaki, odwrócony od niej, zapinał spodnie.

Wstrząsały nią teraz dreszcze, ciało miała zeszytywniało z zimna.

- Wstań, kochana, ubieraj się. Muszę jeszcze odwiedzić przed odjazdem staruszka Edwarda...

Ubierała się trzęsącymi rękami. W środku była jak sparalizowana, w gardle dławiły ją łzy.

- Wyjeżdżasz już? - wykrztusiła hamując płacz.
- Muszę, dziewczyno. Rozumiesz, obowiązek wzywa i tak dalej...
- M-myślałam...

Myślała, że zostaną ze sobą dłużej. Myślała, że będzie czas na...

- Nie martw się. Powinienem niedługo dostać przepustkę na dwadzieścia cztery godziny - skłamał Kit.

Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzył, to historyczna scena. Teraz, kiedy jego żądza została zaspokojona, zapomniał już, jak bardzo jej pożądał. Niedługo będzie tylko wspomnieniem, jedną z kolekcji kobiet, które miał. Jest wojna, mężczyzna narażający się ustawicznie na niebezpieczeństwo ma prawo do używania, ile może.

Wrócili w milczeniu do miejsca, gdzie Kit zaparkował auto. Cokolwiek będzie, Lizzie postanowiła, że nie wolno jej się poddać rozpacz, nie wolno wybuchnąć płaczem. Wiedziała, że mężczyźni nie znoszą kobiecych łez. Musi być dzielna, musi się z nim rozstać z uśmiechem, żeby zachował o niej mile wspomnienie.

Miała ochotę błagać, żeby zrezygnował z pożegnania z Edwardem i spędził resztę czasu z nią, ale rozumiała samolub-

ność swego pragnienia. Biedny Edward, ma takie smutne życie. Kit jest pierwszą osobą, która go odwiedziła przez wszystkie miesiące jego pobytu w szpitalu. Nie wolno jej być zaborczą, zachłanną. Tym bardziej że Kit przyrzekł przyjechać, jak tylko dostanie przepustkę. Chyba że go przeniosą gdzieś na front...

Front. Samo to słowo przejęło ją dreszczem przerażenia. Dotąd było to słowo jak wiele innych, słowo niosące zagrożenie innym kobietom, teraz poczuła, jak jego groza mrozi ją samą do szpiku kości.

Znalazła się oto w szeregu tych istot swojej płci, których ukochani są narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo, i pozna całą udrękę i rozpacz, jaka się z tym łączy, przytłaczające brzemie strachu o życie drugiego człowieka.

Odtąd nie prześpi już spokojnie żadnej nocy, serce będzie jej zamierało na dźwięk każdego przelatującego w górze samolotu. Jedynym czasem spokoju będą te drogie chwile, które będzie Kitowi dane spędzić z nią. Jedynie trzymając go w ramionach będzie wiedziała, że jest naprawdę bezpieczny. Nie zazna prawdziwego spokoju, aż ta wojna się skończy i Kit... Kit wróci cały i zdrowy, żeby z nią spędzić resztę życia, dzielić radości i smutki, napawać się wzajemną miłością: Wtedy ona mu dowiedzie duszą i ciałem, jak bardzo jest jej drogi...

Nad swoim chłodem fizycznym, nad swoją niezdolnością reagowania na jego pieśszczoty tak, jakby pragnęła, nad tym nie chciała się teraz zastanawiać. Zagryzła wargi, po raz pierwszy w życiu żałując, że nie ma przyjaciółki, powierniczki, u której mogłaby znaleźć poradę i pociechę. Z rozmów koleżanek w bursie, które beztrząsco szafowały swoimi ciałami w zamian za prezenty, kochanków, wiedziała, że zbliżenia płciowe są dla nich źródłem nie kończących się uciech; z lektur wyrobiła sobie przekonanie, że takie zbliżenia przynoszą najwyższą rozkosz, jaką mogą wspólnie przeżyć dwie istoty ludzkie. Tymczasem dla niej...

Wstrząsnął nią dreszcz. Coś jest z nią widać nie w porządku. Dlaczego nie sprawiło jej to żadnej przyjemności? Dlaczego... ?

' Kiedy dotarli do auta, Kit obrócił się do niej i powiedział od niechcenia:

- Lepiej będzie chyba, żebym cię nie podwoził, kochana. Nie chciałbym cię narażać na plotki. Jeszcze byś podpadła tej swojej siostrze przełożonej...

- Tak. Tak będzie lepiej - przytaknęła Lizzie, po czym, tracąc panowanie nad sobą, wyzbywając się dumy, rzuciła mu się ze szlochem w ramiona. - Będziesz do mnie pisał, prawda, Kit? Wybacz mi... wybacz, że cię rozczarowałam...

Wstrzymała dech, czekając, żeby zaprzeczył, żeby jej ofiarował słowa pociechy, lecz on tylko wzruszył ramionami i, wyzwalając się z jej objęć, powiedział obojętnie:

- Należysz widać do kobiet pozbawionych talentów seksualnych... Daj mi swój adres, lepiej, żebym ja napisał do

ciebie pierwszy. Jeśli mnie wyślą na front, twoje listy mogą długo wędrować, zanim do mnie trafią. Mówi się, że mają nas przenieść z kraju...

- Na front? Dokąd?

Potrząsnął szybko głową.

- Nie mogę ci więcej powiedzieć, kochana. Obawiam się, że już za dużo powiedziałem. To chwilowo wielka tajemnica.

Lizzie wydarła kartkę z notesika, który nosiła w torebce, i drżącą ręką napisała adres. Kit schował kartkę do kieszeni i zanim wszedł do auta, rzucił niedbale:

- Uszy do góry, dziewczyno, nic się nie martw. Przyjadę, jak tylko dostanę znowu przepustkę.

Nie należał do ludzi, którzy by się zastanawiali nad konsekwencjami swoich czynów. Sumienie nigdy go zbyt nie nękało, ale teraz, patrząc na jej twarz, poczuł przeblysł nie znanego mu dotąd uczucia.

Równocześnie ogarnęło go zniecierpliwienie. Co za głupia dziewczyna, żeby nie zdawać sobie sprawy... Przyjrzał się jeszcze raz z uznaniem jej regularnym rysom, miękkim blond włosom, świeżej cerze - i w jego piersi drgnęło coś na kształt żalu.

Jest urocza, z tym swoim delikatnym, wiotkim ciałem... Z rosnącą irytacją zdał sobie sprawę, że nadal jej pożąda, i, oczywiście, poczuł do niej pretensję o jej brak doświadczenia, który im tak skrócił seans miłosny. Mimo urazy do niej, mimo chęci rozstania się z nią jak najszybciej, uległ odruchowi, który kazał mu ująć jej twarz w dłonie, by ją pocałować.

Serce podskoczyło Lizzie z szaleńczej radości, bo przez moment zaczynała już wątpić... Ale nie, jest niemądra. Oczywiście, że Kit ją kocha, a ona kocha jego.

- Napiszę, jak tylko będę mógł - mruknął wiedząc, że kłamie, że będzie chciał zapomnieć to przelotne, głupie uczucie, gdy tylko stąd odjedzie. Nagle uderzyła go inna myśl.

- Ale ani słowa o tym... o nas starszemu Edwardowi - ostrzegł, po czym, widząc wyraz jej twarzy, poprawił się:
- Przynajmniej... na razie...

Ma rację, musiała przyznać Lizzie. Ich uczucie jest zbyt świeże, zbyt drocenne, by się nim dzielić z osobami postronnymi.

Odprowadzała wzrokiem jego auto, dopóki kurz spod kół nie osiadł całkiem na drodze.

Nim przejechał milę, Kit zeszywniał nagle, uderzony nieprzyjemną myślą. Lizzie obiecała nie mówić Edwardowi, ale czy dotrzyma przyrzeczenia, kiedy minie parę tygodni, a nie będzie miała od niego, Kita, żadnej wiadomości?

Mało go obchodziło, co Edward sobie o nim pomyśli, ale co, jeśli baran skontaktuje się z jego dowódcą na prośbę tej głupiej dziewczyny? A to bardzo do niego podobne!

Zastanowił się spokojnie, co robić. Ma jej adres, więc pośle króciutki liścik z zawiadomieniem, że go przenoszą na kontynent i nie będzie mógł pisać przez jakiś czas. Tak, to powinno załatwić sprawę.

Liścik, może nawet drugi i trzeci... Zmarszczył się i zaklął pod nosem, zły na siebie, że się w to wplątał.

• Niech diabli wezmą Edwarda z tymi jego babskimi sentymentami! Ale on, Kit, nie może się narażać na najmniejsze choćby ryzyko, że stary idiota narobi mu kłopotów. Już dwa razy podpadł dowódcy i ten mu zapowiedział, że za trzecim razem odsunie go ostatecznie od lotów. Do tego nie wolno mu dopuścić.

Jeżeli Kit coś kochał, to latanie. Latanie, wraz z emocją i strachem pojedynków powietrznych, to dreszczyk bardziej podniecający niż najlepszy stosunek płciowy.

Tak, jakkolwiek' mu się to nie uśmiechało, zaraz po powrocie do bazy musi wysłać tej cholernej dziewczynie liścik. Nie podając, ma się rozumieć, swego adresu.

W sercu Lizzie radość mieszała się z rozpaczą. Radość, że się odnaleźli i że ich miłość została uwieńczona zespoleniem cielesnym; przyniosło jej ono wprawdzie ból i zawód, lecz Lizzie altruistycznie myślała jedynie o Kicie, o jego zaspokojeniu i rozkoszy. I rozpacz, że spędzili ze sobą tak mało czasu.

Ciało miała nienaturalnie wrażliwe, w pachwinie przykre otarcie. Pomacała bolące miejsce, zachodząc w głowę, co tak uporczywie i gwałtownie popycha mężczyzn do tego dziwnego ataku i czemu wszystkie cudowne, upojne wrażenia, jakich doznawała pod dotknięciem rąk i ust Kita, uleciały w momencie zespolenia fizycznego, które powinno przecież nieść najwyższe szczęście jako uwieńczenie miłości.

Coś jest z nią widać nie w porządku. Popychana niepokojem, przyspieszywszy kroku, ruszyła ścieżką do miejsca, gdzie wczoraj schowała pantofle.

Ciocia Vi odmawiała rozmów na tematy seksualne, informacje, które Lizzie podłapała z rozmów koleżanek, były często brutalnie szczerze i niekiedy sprzeczne. Sądziła jednak naiwnie, że gdy dwoje ludzi się kocha, ich zespoleniu cielesnemu towarzyszy uniesienie duchowe, nobilitujące akt płciowy, który znała z barwnych i czasami wręcz wulgarnych relacji dziewcząt.

Zagubiona, zastanawiała się teraz, dlaczego nie zaznała upojnej, czarodziejskiej rozkoszy, o jakiej tyle czytała; dlaczego oddanie się Kitowi nie wyniosło jej na owe specjalne wyżyny, dostępne tylko kochającym się parom.

Pragnęła, by Kit był przy niej, by mogła mu się zwierzyć, zrzucić z piersi brzemień wątpliwości.

Poczuła się raptem okropnie zmęczona, okropnie samotna

i... okropnie nieszczęśliwa. Ogarnęła ją czarna rozpacz, tak

kłócąca się z poprzednim upojeniem.

Wróciwszy do bursy, przygaszona, z ciemnymi sińcami

pod oczyma, z ulgą stwierdziła, że ma całą salę dla siebie.

Rada była, że jest sama. Nie chciała opowiadać koleżankom

o Kicie; ich miłość jest zbyt wyjątkowa, by ją brukać

opowia-
daniami, prawie święta.

Zrobiła rzecz, której -jak jej zawsze wkładała w głowę
ciocia Vi - żadna porządna dziewczyna nie robi poza
małżeń-
stwem, nie czuła jednak wyrzutów sumienia. Nie są to
już
czasy, które pamięta z młodości ciocia Vi, kilka krótkich dro-
gocennych godzin może być dzisiaj wszystkim, co będzie
dane dziewczynie. Wojenna atmosfera jest przesiąknięta bra-
wurą, zuchwałą determinacją czerpania z życia, ile się da,
póki to życie trwa, skoro jego bezcenny dar może zostać
w każdej chwili odebrany.

Nie, nie żałowała tego, że się pozwoliła kochać
Kitowi,
czuła tylko rozpaczliwą potrzebę, żeby go mieć przy
sobie,
znaleźć się w jego ramionach, czuć jego bliskość... Kit
jest
pilotem, nikt nie musi jej opisywać niebezpieczeństw, na
jakie
się dzień w dzień naraża.

Słuchała komunikatów wojennych, czytała gazety,
była
inteligentną dziewczyną i nawet gdyby codziennie w
szpitalu
nie widziała na własne oczy, co broń wymyślona przez
czło-
wieka zdolna jest uczynić z ciałem ludzkim, nawet gdyby
nie
przeżyła śmierci rodziców, to jeszcze by jej starczyło wy-
obraźni, by wiedzieć, że Kit może polec lub zostać
okaleczony
za każdym razem, gdy wylatuje na akcję.

Kiedy tego wieczora wróciła po dyżurze, uklękła
przed
pójściem do łóżka i modliła się, jak nigdy dotąd: „Boże,
bła-
gam cię, uchronij Kita!”

I szepcząc te słowa, wiedziała, że tę samą modlitwę
powta-
rzają miliony kobiet w całym kraju i że na każdego
mężczy-
znę, który zostanie uratowany, przypadnie inny, który zginie.
Wyobrażała sobie ból tych kobiet, wzdrygała się, jakby był jej
własnym bólem, odpychała go rozpaczliwie od siebie.

Musi być silna, za Kita i za siebie. Musi być silna i dzielna,
żeby go powitać uśmiechem, kiedy się znowu spotkają, nie
pokazać po sobie strachu. Musi znaleźć sposób, żeby go nie
rozczarować następnym razem, żeby ukryć przed nim rosnący
lęk, że jest w niej coś, co nie pozwala odczuwać rozkoszy przy

kochaniu się z nim, tak jakby tego pragnęła.

W tydzień po rozstaniu z Kitem Lizzie otrzymała od niego list. Dotykała koperty drżącymi palcami, obracała ją w dłoniach, a serce przepelniała jej niewysłowiona radość.

Choć skąpe kilka linijek na pojedynczej kartce papieru sprawiło jej zawód, starała się przekonać samą siebie, że trudno wymagać od mężczyzny wyruszającego z eskadrą na front, żeby zasiadł do pisania wylewnego listu miłosnego.

Odczytując list raz po raz, wkrótce umiała go na pamięć.

Piszę parę słów, żeby Cię zawiadomić, że przez jakiś czas nie będę się mógł z Tobą kontaktować, staruszeko. Jak Cię ostrzegalem, wygląda, że grożą mi wakacje w obcych krajach.

Napiszę, jak tylko będę mógł. Tymczasem, kochana, myśl o mnie, tak jak ja będę myślał o Tobie.

Z wyrazami miłości,

Twój Kit

Lizzie przycisnęła końcowe słowa do warg, miotana między łzami a uniesieniem. Uniesieniem, bo otrzymała od niego liścik i nie było w nim śladu obcości ani irytacji, z jakimi ją zegnał, a łzami, bo przepelniała ją trwoga, że Kit odjeżdża w nieznane, na spotkanie niebezpieczeństwa.

Zachmurzyła się spostrzegłszy, że na liście nie ma adresu zwrotnego, więc nie będzie mogła mu odpowiedzieć, ale wytłumaczyła sobie, że musi czekać spokojnie do następnego listu, bo Kit prawdopodobnie sam jeszcze nie wie, dokąd go wyślą.

Złożyła liścik i schowała go z powrotem do koperty, a kopertę do torebki. Będzie go odtąd wszędzie ze sobą nosiła. Zamknęła oczy i, drżąc lekko, spróbowała sobie wyobrazić Kita piszącego do niej, wodzącego dłonią po papierze, z czarną głową pochyloną nad stołem.

- O, chroń go, dobry Boże - wyszeptwała. - Chroń go od wszelkiego złego.

Lizzie zawiozła Edwarda jeszcze dwa razy do kwitnących rododendronów, lecz Edward czuł, że myślami jest cały czas gdzieś daleko. Chciał ją zapytać, czy ma jakieś zmartwienie, ale jakoś się na to nie zdobył.

Od czasu, gdy został okaleczony, cierpiał bardzo nad swoim stanem, nad utratą męskości. Wyczuwał sympatię Lizzie i, często leżąc bezsennie po nocach, ubolewał z goryczą, że nie jest już pełnosprawnym mężczyzną, lecz kikutem człowieka, zdolnym budzić w kobiecie tylko uczucie litości.

Większość sióstr pracujących w szpitalu pogłębiała w nim jeszcze świadomość upośledzenia fizycznego, z jedną Lizzie czuł się względnie swobodnie. Ona jedna w świeżości swoich doznań nie patrzyła na niego z mieszaniną współczucia i litości, tak jak inne kobiety.

Tak było do tej pory. Teraz Edward czuł, że jest jakaś odmieniona, nieobecna, zatopiona we własnym świecie, nie

przyszło mu jednak do głowy łączyć tę przemianę z wizytą stryjecznego brata.

Edward i Kit nie zgadzali się ze sobą już jako chłopcy. Edward, starszy, dorastał w poczuciu, że to Kit jest tym uprzywilejowanym, że to on, nie Edward, odziedziczy kiedyś Cottingdean. A to przecież właśnie Edward kochał to miejsce, tęsknił do niego, gdy się znajdował gdzie indziej, prosił zawsze rodziców, by mu pozwolili tam spędzić wakacje. Mimo to będzie ono pewnego dnia należało do Kita. Edward starał się odpychać od siebie gorycz, ale przychodziłoby mu to łatwiej, gdyby wiedział, że Kit podziela jego miłość do domu i majątku.

Cottingdean należało do ich rodziny od czasów Karola EL. Ich przodek, szlachcic bez pensa przy duszy, bez majątku i tytułu, był stronnikiem Karola przez cały czas jego wygnania, dzielił z nim trudy wojenne i uciechy, więc Karol, zasiadłszy na tronie, zaproponował mu nagrodę w postaci zaszczytnego tytułu i stanowiska szambelana. Wiedząc, ile by kosztowało piastowanie tak wysokiej godności, przodek, zamiast przyjąć hojną ofertę króla, poprosił, by ten pozwolił mu w zamian poślubić wdowę po popleczniku Cromwella.

Król, domyślając się cichej miłości, udzielił zezwolenia, po czym ze zdumieniem stwierdził, że niewiasta, o którą chodzi, jest dobrze po trzydziestce i wielce gminnej urody.

Rzeczywiście, nie wyróżniała się urodą, lecz wniosła swojemu pierwszemu mężowi w posagu mnogie stada owiec, pasące się na żyznych halach, i urodziła mu pięć dorodnych córek.

Philip Danvers nie bez podstaw liczył, że niewiasta tak świadomie płodna, urodzi mu synów, których pragnął, a żyzne pastwiska i rodne stada, o które jej pierwszy mąż należycie dbał za czasów protektoratu, przyniosą mu znacznie wymierniejsze zyski niż czcza godność.

Wdowa, nie mając wyboru, starała się robić dobrą minę do złej gry. Nie mogła się opierać życzeniu króla, musiała poślubić jego przyjaciela. Nie żywiła wszakże złudzeń: Cottingdean stanowiło nie lada gratkę dla hołysza, który za cały majątek miał koszulę na grzbiecie i szpadę u boku. Wiedziała aż nadto dobrze, dlaczego ją bierze za żonę: nie po to, by wygadała w łóżnicy jego jurnym chuciom.

Z miłym zaskoczeniem stwierdziła więc, jak czuły w kochaniu jest ten jej nowy małżonek, a z jeszcze większym, że równie czuły pozostaje, gdy mu urodziła wprzód jednego, a potem drugiego syna.

Philip Danvers zaś rychło odkrył, że ta niepozorna, gminnej urody niewiasta, którą poślubił dla majątku i płodności, ma talenty miłośnicy, jakich by jej mogła pozazdrościć niejedna kurtyzana. A że był mężem nie pozbawionym poczucia humoru, chichotał często w zaciszu alkowy, gdy leżeli spleceni w objęciach, syci i odprężeni; na jej pytania zaś, czemu się śmieje, odpowiadał, iż dając mu ją, król nie podejrzewał, że mu ofiarowuje jeden z najcenniejszych skarbów królestwa.

Nie o przodkach jednakże rozmyślał Edward, siedząc w bezruchu w swoim fotelu na kółkach, wpatrzony w prze-

strzeń, lecz o pokoleniach, które nadejdą, o dzieciach jeszcze nie narodzonych. Pragnął, by synowie, których spłodzi Kit, gdy się pewnego dnia ożeni, tak kochali i cenili Cottingdean, jak on by je cenil i kochał, gdyby mu to było dane.

Miał jednak świadomość, że nawet gdyby to jego ojciec był starszym synem i to on dziedziczył Cottingdean, nawet wówczas nie mógłby spłodzić następnego dziedzica majątku. Zaciśkał pięści z wściekłością i rozpaczą, gardząc sobą, że nie ma odwagi, tak jak tego tylekroć pragnął, skończyć z tą nędną namiastką życia, jaka mu pozostała w udziale.

Kit nie pozostawił mu złudzeń, że nie będzie dla niego miejsca w Cottingdean. Wspomniał nawet o sprzedaży majątku, o zamieszkaniu na stałe w Londynie, tak jakby Cottingdean było brzemieniem, którego należy się czym prędzej pozbyć.. Niech go wszyscy diabli! Jakież to oburzające! Edward prawie nienawidził za to Kita.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Sage, ale dzwoni Alexi, chce z tobą koniecznie rozmawiać.

Sage spojrzała nieprzytomnym wzrokiem, tak że Faye przez moment nie była pewna, czy ją w ogóle słyszała.

Wielki, miękko wyściełany fotel, który zastąpił obity skórą fotel Edwarda, kiedy Liz przejęła bibliotekę, stał odsunięty od biurka, gdy Faye otworzyła drzwi. Sage, siedząca w nim z kolanami przy brodzie, z jedwabistą grzywą włosów, opadającą na czoło, była tak pochłonięta lekturą, że Faye miała przez chwilę wrażenie, iż widzi przed sobą młodą, bezbronną Sage, jaką poznała, kiedy się wprowadziła do tego domu.

Jednakże kiedy podniosła głowę, iluzja się rozwiła, bo miejsce dziewczęcej bezbronności. zajął na twarzy Sage wyraz chłodnej rezerwy, który kazał się Faye zastanowić, czy szwagierka wie, jaki miewa niekiedy surowy wygląd.

- Alexi? - zapytała Sage, jakby to imię nic jej nie mówiło.

Zerknęła mimo woli na otwarty pamiętnik, który trzymała w dłoni, aż Faye poczuła lekki dreszcz niepokoju. Co takiego zawierają pamiętniki mamusi, że Sage nie może się od nich oderwać przez tyle godzin? Ogień niemal się dopalił na kominku, poza plamą światła, rzucanego przez lampę stojącą na biurku, pokój zalegał gęsty cień. Złowieszczy cień, pomyślała Faye, tknięta złym przecuciem.

- Tak, upiera się, że musi z tobą mówić. Aha, i ponieważ nie przyszedł na kolację, a nie chciałyśmy ci przeszkadzać, zadzwoniłam sama do szpitala. Stan mamusi jest bez zmian.

Bez zmian... Sage zamknęła pamiętnik krzywiąc się, bo poczuła nagle ból w zdrętwiałych nogach. Siedziała tyle czasu w fotelu, skulona niemal w pozycji embrionu, i nie czuła nawet, że nogi jej drętwieją.

Spojrzała na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już po północy. Przypomniała sobie, że obiecała zadzwonić do Alexiego o jedenastej, przekonana, że do tej pory będzie miała dosyć czytania pamiętników mamusi z ich suchymi, rzecz-

wymi opisami, jak urzędzała Cottingdean.

Rzeczywistość nie mogła bardziej kontrastować z jej oczekiwaniem. Sage trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna, wylewająca z bezgraniczną naiwnością najgłębsze uczucia na kartki pamiętnika, jest jej matką. Jeszcze bardziej zdumiewała ją to, że chciała, żeby ona to przeczytała.

Czy ona sama na jej miejscu byłaby zdolna usankcjonować czyjeś grzebanie się we własnej przeszłości, we własnym życiu?

Może gdyby myślała, że umiera, że to jest jej ostatnie posłanie, ostatnia szansa ukazania prawdziwej siebie...

Wstrząsnął nią dreszcz. Kiedy Faye weszła do biblioteki, Sage tak bardzo nie chciała przerywać lektury, że w pierwszej chwili była zła na bratową. Teraz raptem boleśnie przeszły ją strach przed dalszym czytaniem. Czyżby się bała tego, co jeszcze odkryje?

- Alexi czeka - przypomniała nieśmiało Faye.

Biedna Faye. Alexi niewątpliwie domagał się bardzo natarczywie, żeby sprowadziła Sage do telefonu. Jest mężczyzną nader apodyktycznym. Mimo całej swojej ogłady wciąż uważa, że mężczyźni nieskończenie górują nad kobietami i że zaspokajanie męskich potrzeb i spełnianie żądań należy do obowiązków kobiet.

- Przepraszam, Faye - powiedziała Sage wstając.

Schowała pamiętnik do szuflady biurka i zamknęła ją od ruchowo na klucz.

Jak przypuszczała, Alexi kipiał na drugim końcu linii, kiedy podniosła słuchawkę.

- Obiecałaś zadzwonić wieczorem - zasyczał. - Co się z tobą dzieje?

Sage miała w sobie zawsze ducha przekory, dawno jednak uznała ją za cechę dziecinną i uważała, że wyzbyła jej się niemal całkowicie. Teraz jednak arogancki ton Alexiego obudził ją na nowo. Jego butna pewność siebie, która ją dotąd bawiła, przyprawiła ją o nagłą irytację.

- Powiedziałam, że się postaram zadzwonić, Alexi - skorygowała zimno. - Ale tak się złożyło, że byłam bardzo zajęta. Przepraszam, że musiałam w ostatniej chwili odwołać nasze spotkanie...

Słyszając, jak mężczyzna stara się opanować przyśpieszony gniewnie oddech, poczuła ponownie krótki przyływ irytacji.

Biedny Alexi, musi jej widać bardzo pragnąć, jeśli się nie zraża oporem. Lecz jego pobłażliwość ma krótkie nogi, co do tego Sage nie miała złudzeń. Alexi jej pożąda i zamierza ją zdobyć, podporządkować sobie, jeśli mu się uda. W łóżku byłby sprawnym, lecz wymagającym kochankiem, w końcu wręcz samolubnym. Nie miałby wątpliwości co do swojej potencji, a jej ochotę do kochania się z nim, jej pragnienie zaspokajania go seksualnie uważałby za rzeczy sobie należne. Och, z początku byłby gotów jej pobłażać, zabiegać o jej względy, ale kiedy już raz poczułby się jej pewny...

Prowadziła podobną grę wiele razy, lecz teraz przejęła ją ona nagłym niesmakiem, jak ulubiona potrawa zjedzona

w nadmiarze. Poczwała niemal obrzydzenie do siebie.

Czemu? Czy z powodu niewinnych wynurzeń panienki tak naiwnej, tak ufnej, że czytając je uświadomiła sobie z całą ostrością przepaść dzielącą dziewczynę, jaką kiedyś była, od kobiety, jaką jest teraz?

Czy też dlatego, że zaczynała ulegać tendencjom ostatnich lat, ich klimatowi powściąganej zmysłowości, wzmożonej ostrożności seksualnej, nastawieniu na prowadzenie oddzielnego, niezależnego życia, mającego na celu sukces materialny?

Bez względu na powód zdała sobie raptem sprawę, że przestała ją bawić ta gra z Alexim i jej niesmak do siebie się wzmógł, bo wiedziała, że prędzej czy później poszłaby z nim do łóżka, prawdopodobnie głównie po to, by mu udowodnić, że może się z nią przespać, ale nie zdoła jej sobie podporządkować. Bo przecież nie dlatego, że czuje do niego nieodparty

pociąg fizyczny. Zastanowiła się teraz, kiedy ostatni raz czuła taki pociąg, kiedy ostatni raz naprawdę pragnęła mężczyzny, a nie samego aktu płciowego, jako sposobu wykazania swojej wyższości nad mężczyznami. I zmanifestowania niezależności od dominacji mamusi, od surowej moralności, według której zdawała się ona układać swoje życie.

Czy naprawdę do tego się to wszystko sprowadza? Ci wszyscy mężczyźni, ta cała swoboda seksualna? Czy naprawdę nie to jest powodem, że kochając raz tak nieszczęśliwie i utraciwszy swoją wielką miłość, przeobraziła się w kobietę zaspokajającą pociąg płciowy jak głód, kiedy jej przyjdzie apetyt? Czy jest to prosty odruch buntu, podejmowany z rozmysłem dla zgrzeszenia i dotknięcia mamusi?

- Sage, jesteś tam?

Teraz Alexi nie starał się już tłumaczyć irytacji. Kiedyś przywołałoby to na jej wargi sekretny uśmiezek tryumfu, który doprowadzał jej kochanków do rozpacz, teraz jednak świadomość, że go zirytowała, spłynęła po niej, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Bo i nie ma, stwierdziła melancholijnie Sage.

Poczuła nagle w ustach nieprzyjemny smak, ciało i umysł ogarnęło dziwne zmęczenie, znużenie dotychczasowym życiem, całą jego szamotaniną.

- Jestem, Alexi - odparła. - Przepraszam, że ci sprawiłam zawód. Powinnam była zadzwonić...

- Nie twojego telefonu oczekiwałem, Sage. Pragnę ciebie. Chcę cię mieć przy sobie, w swoim łóżku, nie tylko w myślach. Wiesz, jak cię potrzebuję, wiesz, jakby nam było z sobą dobrze. Przyjadę po ciebie, zabiorę cię do Londynu. Twoja bratowa mi powiedziała, że stan waszej mamy się ustabilizował. Nic jej nie pomożesz, siedząc na tej wsi, tutaj będziesz w razie czego bliżej szpitala. Pozwól, że się tobą zaopiekuję, Sage. Wiesz, jak bardzo tego pragnę...

Jaki pieścizotliwy ma głos, niski i głęboki, miękki jak aksamit, stwierdziła Sage beznamiętnie. Umie się nim posługiwać.

- Niestety, Alexi, to niemożliwe. Jestem tutaj potrzebna.

Ścisłe mówiąc, to ona sama chce być tutaj, skorygowała się w myślach. Poczuła nagle złość do niego i do siebie. Nie chce go, pewnie nigdy go nie chciała. Uderzył ją boleśnie kontrast między jej własnym zachowaniem a zachowaniem młodzieńczej, niedoświadczonej dziewczyny z pamiętników. Tamtej można zarzucić wiele rzeczy, ale nie okłamywanie siebie. Porównuje się znowu z mamusią, uświadomiła sobie, tak jak to czyniła często w młodzieńczych latach. I po raz któryś musi stwierdzić, jak daleko jej do ideałów i osiągnięć mamusi. I jak daleko do zaspokojenia własnych dążeń.

Nie, nie chce mieć nic wspólnego z Alexim. Po co więc prowadzi z nim tę bezcelową, beznadziejną grę?

- Niepotrzebnie się wysilasza, Alexi - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nie przyjadę do Londynu, a gdybym nawet przyjechała, poszłabym spać sama w swoim łóżku. Znajdź sobie kogoś innego. Zabawa skończona.

Słuchała beznamytnie jego protestów i pretensji, a kiedy uniósł się gniewem i zaczął jej wymyślać, po prostu odłożyła słuchawkę. Odszedłszy od telefonu, stwierdziła, że ręce jej się trzęsą. Alexi nie był pierwszym mężczyzną, który ją zwymy-

ślał. Nie pierwszy raz wysłuchiwała pod swoim adresem podobnych obelg, lecz po raz pierwszy dostrzegła w nich ziarno prawdy. Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że własnym postępowaniem powoduje takie reakcje.

W domu panowała cisza, światła w holu były przygaszone. Podeszła bez zastanowienia do drzwi biblioteki i zatrzymała się z ręką na klamce. Jeśli zacznie znowu czytać, to nie pójdzie spać do rana, a jutro czekają ją odwiedziny w szpitalu, musi wpaść do agencji, załatwić przekazywanie wiadomości do Cottingdean. Chociaż jej umysł wzdrygał się przed przyznaniem tego, poczuła nagle w całym ciele zmęczenie długim, dramatycznym dniem.

Zawróciła od drzwi. Pamiętniki nie uciekną, czekały w końcu ponad czterdzieści lat. Czterdzieści lat! Ile jeszcze kryje się w nich rewelacji?

Pierwsza miłość mamusi, opisana tak otwarcie, tak boleśnie szczerze, że czytając dzisiaj stronicę pamiętnika miała wrażenie, jakby ona sama to przeżywała, jakby to ona cierpiała... Nigdy nie przypuszczała, nigdy nie przyszło jej do głowy...

Rodzą się teraz pytania wołające wielkim głosem o odpowiedź, o odpowiedź przejmującą lękiem. Najbardziej natarczywe to, dlaczego mamusia wybrała właśnie ją, Sage, dlaczego właśnie przed nią postanowiła się obnażyć, wyjawić swoją przeszłość, swoje najbardziej intymne tajemnice? Właśnie przed nią, która, jak dobrze wie, ma najwięcej powodów, żeby jej nie sprzyjać.

Było to tak, jakby z rozmysłem, bez słów, chciała jej powiedzieć: „Widzisz, ja też przeszłam swoje cierpiałam ból, upokorzenie, strach”.

Ale czemu właśnie teraz, teraz, po tylu latach? Chyba że nie ma to już dla niej znaczenia, bo uważa, że umrze...

Sage zatrzymała się w połowie schodów, z ciałem sparaliżowanym skurczem bólu i panicznego przerażenia.

Nie chce, żeby mamusia umarła, nie chce wcale nie z samolubnych powodów, nie w obawie, że na nią spadnie ciężar troski o Cottingdean, o fabrykę. Bo dziedzictwo będzie niewątpliwie udziałem Kamili, wnuczki, która jest wszystkim tym, czym nie jest ona, Sage.

Chce, żeby mamusia żyła, potrzebuje jej, uświadomiła sobie, zdumiona tym odkryciem, odkryciem, że w jej dorosłym, trzydziestoczteroletnim ciele kuli się ze strachu dziewczynka, rozpaczliwie szukająca bezpieczeństwa pod skrzydłami matki.

Źle spała tej nocy, trapiły ją niejasne sny, a w końcu odżył dawny koszmar, który - sądziła - przestał ją nawiedzać wiele

lat temu.

Wyrwała się w nim beznadziejnie do mężczyzny, którego kochała. Stał na końcu długiej, mrocznej ścieżki, ale ilekroć zrobiła krok w jego kierunku, z mroku wynurzały się postacie, które jej zagradzały drogę do niego.

Zawsze w przeszłości postacie te miały znajome twarze, mamusi, tatusia, nawet Dawida. Tym razem jednak usiłowała dotrzeć nie do ukochanego, lecz do mamusi, i tym razem nieruchoma postać na końcu ścieżki obróciła się tak, że wyraźnie zobaczyła rysy mamusi. I mamusia zaczęła ku niej iść.

Ogarnęło ją we śnie cudowne uczucie ulgi, tak potężne, że zakręciło jej się niemal w głowie, lecz jeszcze nim minęło, cienie spowijające ścieżkę zgęstniały tak, że straciła z oczu mamusię i nie mogła już postąpić ku niej ani kroku, nie mogła zrobić w ogóle żadnego ruchu, wstrzymywana niewidzialnymi pętami, mimo że się wyrwała ze wszystkich sił.

Dopiero gdy się obudziła, złana potem i wstrząsana dreszczem, i leżała już dobrą chwilę, uświadomiła sobie, że przez wszystkie te lata, kiedy powracał ów koszmar, ukochany ani razu nie obrócił się do niej i nie zaczął iść ku niej tak jak mamusia. Był to drobiazg, ale doznała takiego wrażenia, jakby nagle w miejscu znajomej twarzy ujrziała obcą. Zadrżała w przeczuciu prawdy, której nie chciała do siebie dopuścić. Na którą nie była przygotowana.

Usiadła na łóżku i, otulona szczelnie kołdrą, zaczęła rozważać, czy to lektura pamiętnika, bolesna rewelacja, że pierwszy mężczyzna mamusi, Kit, nigdy jej nie kochał, jak w to naiwnie wierzyła, czy ta lektura nasunęła jej, Sage, bulwersującą myśl, że może i ona popełniła omyłkę ślepej miłości do mężczyzny, który tej miłości nie był zdolny odwzajemnić.

Zachnęła się w niemym proteście przeciwko własnej nielojalności. Te dwie miłości dzieli przepaść. Mamusia została cynicznie, na zimno, uwiedziona przez mężczyznę, który nie czuł do niej nic prócz przelotnej żądy.

A ona i Scott kochali się gorącą, rozdzierającą miłością. Fizycznie ta miłość nie została nigdy skonsumowana i dlatego... Zagryzła dolną wargę w dziecinnym geście buntu, którego, jak myślała, już dawno się wyzbyła.

Ona kochała Scotta i on ją kochał. I zostali rozmyślnie, okrutnie rozdzieleni. Dlaczego? Czy dlatego że mamusia chciała, by jej własny sukces życiowy został ukoronowany najwyższym sukcesem socjalnym? By jej córka poślubiła jedynego syna para? Zubożałego para, prawda, ale przecież nadal noszącego arystokratyczny tytuł. Czy parla do tego małżeństwa jedynie po to, by móc mówić: „Moja córka, lady Hetherby”? Sage przypomniała sobie, jak ją o to oskarżała, jak wściekle i nienawistnie rzucała jej w twarz słowa, zabójcze jak zatrute sztylety. I jak mamusia kwitowała to ze swoim zwykłym opanowaniem i spokojem.

- Jonatan jest świetnym materiałem na męża dla ciebie - mówiła, nie podnosząc głosu. - Uzupełnialibyście się wspólnie...

- Nie wspominając o tym, że tytuł jego ojca uzupełniłby

wspaniale twoją pozycję - odpaliła Sage.

- Moim zdaniem jesteś jeszcze o wiele za młoda, żeby wychodzić za mąż - odpowiedziała mamusia.

- Twoim zdaniem, ale nie w świetle prawa. I oczywiście dlatego jego ojciec zabiera Scotta z powrotem do Australii. My się kochamy, czy ty tego nie rozumiesz? Czy ty nic nie rozumiesz?

- Masz dopiero dziewiętnaście lat, Sage. Może ci się teraz wydaje, że go kochasz, ale za dziesięć, nawet za pięć lat będziesz inną osobą. Jesteś inteligentną dziewczyną i powinnaś wiedzieć, jak nikłe są szanse na trwałość małżeństwa zawartego w tym wieku.

- Ty wyszłaś za mąż mając osiemnaście.

- To co innego. Wtedy była wojna.

- Wojna się już właściwie skończyła, kiedyście się pobrali... Och, o czym tu gadać. Zmówiliście się z ojcem Scotta, żeby nas rozdzielić. Nienawidzę was, nienawidzę was obojga!

Z tym dziecinnyim okrzykiem uciekła na górę, by się rzucić na łóżko w spazmie bezsilnego buntu.

Tak, Scott nie mógł przeszkodzić ojcu, kiedy zabierał go z powrotem do Australii, ale mógł, z pewnością mógł się z nią potem skontaktować, przyjechać po nią.

Spoglądała teraz po raz pierwszy w oczy prawdzie, której tak starannie i skutecznie dotąd unikała.

Gdyby Scott ją kochał, gdyby ją kochał tak samo namiętnie, ślepo, jak ona go kochała, znalazłby na pewno sposób, żeby po nią wrócić.

Nieważne, że był jedynym dzieckiem swego ojca. Nieważne, że od urodzenia wychowywano go na dziedzica olbrzymiego owczego rancza i skomplikowanego imperium finansowego, wyrosłego z zysków, jakie ono przynosiło. Nieważne, że od lat wiedział, iż największym marzeniem jego ojca jest, żeby pewnego dnia poślubił córkę właściciela sąsiedniego rancza, łącząc w ten sposób dwa olbrzymie majątki. Nieważne, że do momentu poznania jej, Sage, był całkowicie pogodzony z wyznaczonym mu losem. Nieważne wszystko, co między nimi stało. Powiedział, że ją kocha, i wiedziała, że nie kłamie. Kochał ją tak samo, jak ona jego. Chciał ją poślubić, spędzić z nią resztę życia...

A może nie chciał? Może się rozmyślił po powrocie do Australii? Może przestał ją kochać, wyrzucił z pamięci, znienawidził za to, co zrobiła? Wstrząsnęła się przypomniawszy sobie, jak jego ojciec nie chciał jej wcale widzieć wtedy w szpitalu, jak wydał zarządzenie, żeby jej w ogóle do Scotta nie dopuszczano. Uważał ją za winną wypadku, wiedziała to, ale przecież Scott, który ją kochał, Scott nie miałby do niej żalu, mimo... mimo że była winna.

Wiedziała, że się ożenił. Nie z ową córką sąsiada, ale z kobietą równie odpowiednią z punktu widzenia jego ojca. Z córką bogatego australijskiego finansisty. A przecież to ona, Sage, powinna być jego żoną, matką jego dzieci. Powinna, ale nie jest, fakt, o który obwiniała dotąd mamusię i jego ojca. Teraz, nieoczekiwanie, musiała się zastanowić, czy miłość

Scotta była tą samą, spopielającą namiętnością, co jej miłość.

Rozbudzona przez koszmar, nie zasnęła już do rana i była zupełnie trzeźwa, kiedy o siódmej zapukała do jej drzwi Jenny i wniosła tacę z herbatą, przygotowaną, jak zauważyła Sage, w pięknej sewskiej porcelanie, z której serwis śniadaniowy mamusia kompletowała przez lata. Kiedy ktoś wyrażał zdziwienie, że używa na co dzień rzeczy tak cennej, mamusia się uśmiechała i odpowiadała, że przyjemność picia herbaty z pięknej filiżanki znacznie góruje nad znikomym ryzykiem jej zbitcia.

Sage uniosła się, kiedy Jenny ustawiała cienką, ręcznie malowaną porcelaną na stoliku koło jej łóżka, po czym powiedziała spontanicznie:

- Wiesz co, Jenny? Wzięłabym do szpitala ten sewski komplet śniadaniowy, który mamusia tak bardzo lubi. Kiedy się lepiej poczuje, będzie jej przyjemnie znaleźć przy łóżku rzecz tak znajomą.

- Tak, pani zawsze szczególnie lubiła ten komplet. Często

powtarzała, że poranna herbata smakuje lepiej z sewskiej filiżanki.

Lubiła, często powtarzała... Sage poczuła nagły skurcz w żołądku. Nie patrząc na gospodynię, spytała zdławionym głosem:

- Czy... czy dzwonił ze szpitala?

- Nie, nikt nie dzwonił - uspokoiła ją szybko Jenny. - A jak to mówią, brak wiadomości to dobre wiadomości. Niech pani się nie martwi. Jeżeli pani mamusia przeżyła wypadek, to na pewno się z tego wygrzebie. Jest taką silną kobietą. Zarówno fizycznie, jak psychicznie...

- Tak, to prawda - potwierdziła Sage. - Ale nawet najsilniejsze z nas mają swoje słabości... Czy Kamila i Faye już wstały?

- Kamila wstała. Pojechała konno, powiedziała, że wróci na śniadanie. A pani Faye zaniosę zaraz herbatę. Pewnie nie spała za dobrze. Ma te okropne migreny, kiedy się tylko zdenerwuje.

Faye ma migreny? Sage się zmarszczyła. Nikt jej nigdy nie mówił, że bratowa cierpi na migreny. Ale niby dlaczego mieliby jej mówić"? Czyż nie odcięła się sama od codziennego życia tego domu i jego mieszkańców? Dawno, dawno temu dała niedwuznacznie do zrozumienia, że odtąd będzie kroczyła własną drogą i że ta droga nie jest wystarczająco szeroka, by ktokolwiek mógł jej towarzyszyć.

Był wspaniały, późnowiosenny dzień, z wiotkimi smużkami mgiełki, snującymi się nad drzewami i obietnicą pełnego słońca, kiedy mgła opadnie.

Sage schodziła na dół, kiedy zadzwonił telefon. Przyjęła go w holu i usłyszała w słuchawce głos kobiety, której nazwisko nic jej nie mówiło, pytającej niespokojnie o panią Danvers.

- Dowiedzieliśmy się o wypadku już wczoraj, ale, oczywiście, nie chcieliśmy państwa niepokoić. Wytworzyła się

bardzo kłopotliwa sytuacja. Dziś wieczorem jest to zebranie w sprawie proponowanej autostrady. Pani mamusia miała przewodniczyć. Wątpię, żeby dało się zebranie odwołać, a nie ma właściwie nikogo, kto by ją mógł zastąpić...

Komitet protestacyjny, o którym mówiła Faye. Sage stłumiła westchnienie irytacji. Czyż ta kobieta nie rozumie, że ostatnia rzecz, jaką chciałyby się teraz zajmować, to jakaś tam autostrada... ? Nagle się zreflektowała. Mamusia tak by nie uważała. Jak zawsze, potrafiłaby spojrzeć poza dzień dzisiejszy, w przyszłość, i zobaczyć, że bez względu na to, jak irytujące, jak nieważne, jak nie na czasie może się to zebranie wydawać w obecnej sytuacji, nadejdzie dzień, kiedy się okaże, że było ważne i trzeba mu było poświęcić więcej uwagi.

- Mówiliśmy już o tym z bratową - odparła, tłumiąc zniecierpliwienie. - Bratowa proponuje, żebym zastąpiła mamusię, jako przedstawicielka rodziny i fabryki. Mamusia zebrała, zdaje się, dokumentację w sprawie autostrady. Mówi pani, że zebranie jest dzisiaj? Powinnam była już tę dokumentację przestudiować...

Niemalże usłyszała westchnienie ulgi na drugim końcu linii.

- Przykro nam panią niepokoić w takiej chwili, ale pani mamusi bardzo zależało, żebyśmy sprecyzowali nasze stanowisko na pierwszym zebraniu, żebyśmy natychmiast zgłosili sprzeciw. Ministerstwo przysłało kogoś, kto ma przedstawić ich stanowisko, przyjedzie również prezes firmy, która ma budować autostradę, więc byłoby cudownie, gdyby pani mogła zastąpić panią Danvers, jeśli to nie nazbyt kłopotliwe.

Sage słyszała teraz wyraźną ulgę w głosie kobiety. Uśmiechnęła się cierpko na myśl, czy jej rozmówczyni zachowa równą wiarę w jej zdolność zastąpienia mamusi, kiedy ją zobaczy w akcji.

- Oczywiście - odrzekła machinalnie.

Zapisała godzinę i miejsce zebrania i obiecała przyjechać kwadrans wcześniej, żeby poznać pozostałych członków komitetu.

- Czy to był telefon ze szpitala? - dobiegło ją trwożne pytanie Faye, schodzącej z góry.

Obróciwszy się, by jej odpowiedzieć, Sage stwierdziła, że, jeśli to możliwe, bratowa jest dzisiaj jeszcze bledsza. W obliczu eterycznej, filigranowej, kruchej urody Faye, Sage miała zawsze uczucie, że jest rosla i silna jak koń pociągowy. Przebiegła jej przez głowę przykra myśl, że to raczej ona, jako córka, powinna mieć ten udęczony wygląd osoby bliskiej załamania.

- Nie, to niejaka pani Henderson z komitetu protestacyjnego przeciwko budowie autostrady. Dzwoniła w sprawie wieczornego zebrania. Dobrze, że mi o tym powiedziałaś, inaczej bym nie miała pojęcia, o co chodzi. Obiecałam być tam kwadrans przed rozpoczęciem. Obawiam się, że będę się musiała po południu zamknąć, żeby przestudiować dokumentację, a na ciebie spadnie odbieranie telefonów i rozmawianie

z ludźmi. Jenny mówiła, kiedy przyniosła rano herbatę, że chyba połowa miasteczka przychodziła wczoraj pytać o zdrowie mamusi. Jeśli to ponad twoje siły, Faye, i chciałabyś się gdzieś schronić na parę dni...

Faye zbladła jeszcze bardziej, jakby Sage zagroziła jej w jakiś sposób, a nie próbowała wskazać drogę ucieczki przed napięciem. Jest taka wrażliwa, myślała Sage, że nieustanne pytania o zdrowie mamusi, ciągle przypominanie, jak nikłe są szanse pełnego wyzdrowienia, są jawnie ponad jej siły.

- O, nie, wolę tu zostać. Chyba że ci przeszkadzam... ?

- Przeszkadzasz? - Sage skrzywiła się z dezaprobatą. - Nie bądź śmieszna, Faye. Nie przepraszaj, że żyjesz. Przecież to jest bardziej twój dom niż-mój. To ja powinnam pytać, czy nie przeszkadzam. I właśnie miałam zapytać, czy nie będzie to zbyt kłopotliwe, jeśli się tu przeniosę na czas choroby mamusi? Chwileczkę - powstrzymała bratową. - Zanim cokolwiek odpowiesz, wiedz, że oznacza to dodatkowe telefony moich klientów i że będę musiała urządzić jakiś pokój do pracy. Mogę sobie zrobić pewną przerwę...

- Chcesz powiedzieć, że jeśli mamusia w ogóle wyżyje, to proces rekonwalescencji będzie długi i powolny - trzeźwo dokończyła za nią Faye.

- Tak. Myślałam o tym rano. Wczoraj zachłysnęliśmy się radością, że wyszła z tego z życiem, a nie zastanowiłyśmy się, że żyć to jeszcze nie oznacza powroć automatycznie do sił i zdrowia.

- W głębi duszy nie liczyłam się z ewentualnością, że mamusia może nie wyzdrowieć. Od tak dawna polegałam na niej we wszystkim. - Faye zrobiła lekki grymas. - Och, gdybym potrafiła być taka jak ty, niezależna, samowystarczalna. Zrozumienie, jak ciężki jest jej stan, uświadomiło mi, do jakiego stopnia przyzwyczaiłam się na niej polegać.

A więc to jest powód złego wyglądu bratowej. Skoro tak, może ją uspokoić przynajmniej co do jednego, zdecydowała Sage.

- Nie mogę cię zapewnić, że mamusia wyzdrowieje, Faye, ale jeśli się martwisz o sprawy praktyczne, to niepotrzebnie, nawet gdyby miało dojść do najgorszego. Cottingdean zawsze pozostanie twoim domem. Znając mamusię, możemy być pewne, że pomyślała o tym, o czym tak niewielu z nas myśli w porę, i przygotowała testament. Jestem przekonana, że rozporządziła w nim jednoznacznie, że Cottingdean ma przejść ostatecznie na Kamilę. - Widząc, że bratowa chce protestować, powstrzymała ją. - Nie, nie myśl, że mam coś przeciwko temu. To ja jestem tutaj intruzem i, proszę cię, jeśli wolisz, żebym wróciła do Londynu, nie bój się tego powiedzieć.

- To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała - odparła Faye z przekonaniem. - Nigdy bym sobie tu sama nie poradziła. A co do tego, że to nie twój dom - Faye poróżnowiała lekko z oburzenia - jest to skończona bzdura, sama dobrze wiesz.

- Tak uważasz? - zapytała sucho Sage. - Bóg jeden wie, jak długo będziesz musiała znosić tu moją obecność, więc chcę, żebyś mi jedno przyrzekła. Jeśli wynikną jakiegokolwiek problemy związane z moim pobytem, przyjdź i powiedz mi to

w oczy. Nie jestem zbyt domyślna, Faye, i nie umiem odczytywać subtelnych oznak niezadowolenia. Jeśli coś ci się nie będzie podobało, powiedz mi to wprost.

- Powinnaś z tą przemową wystąpić do Jenny, nie do mnie. - Faye posłała jej uśmiech. - Naprawdę to ona tu rządzi.

Sage odwróciła się i ruszyła w kierunku małej słonecznej jadalni, gdzie Jenny miała podać śniadanie. Idąc za nią, Faye zapytała z wahaniem:

- Ale co na to Alexi? Czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że mieszkasz tutaj, a nie...

- Alexi nie ma nic do powiedzenia, Faye - odparła cierpko Sage. - Jeśliby dzwonił i wiercił ci dziurę w brzuchu, odłóż po prostu słuchawkę. Jadę po śniadaniu do szpitala, a potem muszę wstąpić do agencji, załatwić parę spraw. Mam zamiar zarządzić, żeby kierowali tutaj moje telefony i pocztę. Czy chcecie obie z Kamilą pojechać do szpitala ze mną, czy wolicie odwiedzić mamusię same później, jak porozmawiam z lekarzem?

- Nie, pojedziemy z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Weszły do małej jadalni, urządzonej w odcieniach ciepłej żółci z akcentami świeżego błękitu z widokiem na południe. Okna sięgały podłogi, za nimi był niewielki taras ze schodkami prowadzącymi na gładką trawiastą ścieżkę, obrzeżoną dwoma szeregami rabatek i przystrzyżonych cisowych żywopłotów, między którymi wzrok biegł ku posągowi Pana, zamykającemu perspektywę. W ogrodzie pracował już mąż Jenny.

Kiedy mamusia przyjechała do Cottingdean, nie istniały tu grządki, żywopłoty ani posągi, pieniały się jedynie chwasty. Jakąż musiała mieć niezłomną wiarę w przyszłość, by wśród chaosu dzikiej roślinności zaplanować ten skończenie doskonały ogród? Cottingdean przedstawiało wówczas obraz rozpadającej się, butwiejącej ruiny. Nie było pieniędzy na odnowienie, a tym bardziej na zakładanie eleganckiego, lecz bezużytecznego ogrodu. Musiała się opiekować mężem o podkopanym zdrowiu, spodziewała się dziecka i nie miała żadnej rodziny, żadnych przyjaciół, którzy mogliby jej przyjść z pomocą. A jednak już pierwszego lata zaprojektowała to wszystko, wiedząc, że trzeba będzie długich lat do zrealizowania jej planów.

Co nią powodowało? Sage przypisywała dotąd siłę tej wizji upartej dumie mamusi, ignorowaniu wszystkiego, co stawało na przeszkodzie jej niewzruszonej woli. Teraz, patrząc wnikliwiej, dojrzała w jej poczynaniach impulsywne, rozpaczliwe, nieobliczalne akty, do jakich ona sama mogłaby być zdolna. Upartą walkę z brzemieniem tak przytłaczającym, że należało je zrzucić, jeśli nie chciało się zostać przez nie zduszonym.

- Sage, dobrze się czujesz?

Czując dotknięcie Faye, Sage obróciła się do niej, nie zdając sobie sprawy z wyrazu jawnej udręki, jaki zasnuwał jej oczy.

- Myślałam o ogrodzie mamusi - powiedziała drżącym głosem. - Zastanawiałam się, co natchnęło ją taką wiarą, że

zrealizuje swoją wizję.

Spostrzegła, że Faye nie rozumie. Niby skąd miała rozumieć? Nie zaczęła jeszcze czytać pamiętników, a Sage nieoczekiwanie straciła ochotę, żeby ją do tego zachęcać. Jeszcze nie teraz. Później, kiedy... Kiedy co? Idiotyczne było to poczucie, że musi chronić mamusię, upewnić się najpierw, że... Że co? Przecież mamusia sama chciała, żeby wszystkie trzy przeczytały pamiętniki...

- O, jest Kamila - oznajmiła Faye, przerywając refleksyjny nastrój Sage. Zwróciła się z delikatną wymówką do córki, która wpadła do jadalni przez taras. - Kochanie, powinnaś najpierw pójść na górę i przebrać się do śniadania. Ciocia z pewnością nie ma ochoty siedzieć koło osoby pachnącej stajnią...

- Babci to nigdy nie przeszkadzało - odpaliła ze złością Kamila, jakby rzucając wyzwanie Sage.

Nigdy dotąd nie miały ze sobą konfliktów, ona i jej bratanica, córka Dawida, lecz teraz Sage dostrzegła w oczach dziewczyny cień niepewności i buntu. Czy dlatego że Sage zajmuje miejsce jej babci? Kamila wie, iż one dwie nie pały do siebie zbyt miłością, i może czuje do Sage urazę w imieniu babci? Jest takim fanatycznie lojalnym dzieckiem, głęboko wrażliwym i uczuciowym.

- Mnie też nie przeszkadza - odparła Sage pewnym głosem, po czym zapytała: - Jak ci się udała przejażdżka? Muszę przyznać, że poczułam lekką zazdrość, kiedy Jenny mi powiedziała, że pojechałaś konno.

Usiadła, starannie omijając miejsce, z którego roztaczał się najlepszy widok na ogród i które zawsze należało do mamusi. Kątem oka widziała, że Kamila ją obserwuje i że lekko się odpręży, kiedy zwróciła się spokojnie do bratowej:

- Myślę, że powinnaś przejąć funkcje mamusi i nalać kawę, Faye. Mnie się to nigdy nie udawało bez pozalewania całego stołu.

- Babcia mi mówiła, że była to próba, jakiej matki poddawały sympatie swoich synów: nalewanie kawy - poinformowała Kamila.

Sage się roześmiała.

- Więc to dlatego nie udało mi się nigdy zdobyć męża. Nareszcie wiem.

Roześmiały się wszystkie trzy i atmosfera trochę się rozładowała.

Sage pozostawiła Faye powiadomienie Kamili, że jadą razem do szpitala. W trakcie tego weszła Jenny z pudełkiem wypełnionym porcelaną poowijaną w papier, niewątpliwie* sewskim kompletem śniadaniowym mamusi, domyśliła się Sage.

- Włożyłam do środka paczuszkę ulubionej herbaty pani, „Rosyjskiej Karawany”, i trochę tych ciasteczek, za którymi tak przepada.

- To dla babci? - zainteresowała się Kamila.

- Tak, panna Sage uważa, że sprawi to pani przyjemność, jeśli będzie mogła pić herbatę ze swoich ulubionych filiżanek - odparła Jenny. - Prosiła, żebym je zapakowała do wzięcia

do szpitala.

- O tak, babcia uwielbia te filiżanki. Zawsze mówiła... mówi... - Kamila zająknęła się i rzuciła szybkie, niespokojne spojrzenie na matkę - że herbata lepiej z nich smakuje.

- No, minie pewnie sporo czasu, nim będzie mogła z nich znowu korzystać - ostrzegła Sage, nie dodając tego, co wszystkie myślały: że może to nigdy nie nastąpić.

- Ciocia chce niedługo wyjechać - poinformowała córkę Faye. - Ma, wieczorem zastąpić babcię na zebraniu w sprawie autostrady i musi się po południu przygotować. Więc jak tylko skończysz jeść, idź na górę się przebrać.

- I sędzę, że od jutra powinnaś zacząć znowu chodzić do szkoły — dorzuciła spokojnie, lecz zdecydowanie Sage udając, że nie widzi wdzięcznego spojrzenia, jakie jej posłała Faye.

Pytana o zdanie, Kamila sprzeciwiła się wysłaniu jej do szkoły z internatem i wyprosiła u matki i babci zgodę na uczęszczanie do bardzo dobrej szkoły miejscowej. Była w ostatniej klasie, z perspektywą dostania się do Oksfordu, i Sage nie miała wątpliwości, czego mamusia oczekiwałaby od wnuczki.

- Wiem, że będziesz się niepokoiła o babcię - podjęła, uprzedzając protest Kamili - ale babcia z pewnością by sobie życzyła, żebyś nie przerywała nauki. Jest z ciebie bardzo dumna, przy każdym spotkaniu powtarza mi, jak się cieszy, że będziesz się starała dostać do Oksfordu. Byłaby niepokieszona, gdybyś przez nią zaniedbała naukę. Ale nic się nie martw, postaramy się, żebyś ją mogła odwiedzać. W razie potrzeby gotowa jestem zawieźć cię sama do Londynu.

- Szkoda, że jest tak daleko... Nie można by jej przewieźć do Bath albo do Bristolu?

- Nie w tym stanie - odparła Sage i dodała łagodnie: - Leży w miejscu najlepszym, Kamilo. Aparatura medyczna u Świętego Gilesa należy do najnowocześniejszych w kraju. Może uda ją się przewieźć później, na czas rekonwalescencji.

Zastanowiła się chwilę, czy powiedzieć coś więcej, by przygotować bratanicę na szok wizyty na oddziale intensywnej terapii, z jego skomplikowaną aparaturą, z kontrastem między nowoczesną techniką a bładą, kruchą istotą ludzką, zdaną na działanie bezdusznych maszyn. Zdecydowała jednak nic więcej nie mówić. Kamila należy do innego pokolenia, takiego, które przyjmuje cuda techniki, choćby najbardziej zadziwiające, jako rzecz oczywistą. Dla Kamili widok oddziału intensywnej terapii może nie być wcale tak szokujący jak dla niej, Sage. Świadomość, że dla podtrzymania cienkiej nici życia stosuje się najnowocześniejsze urządzenia, może jej, wprost przeciwnie, dodać otuchy.

Sage prowadziła auto w gorączkowym ruchu londyńskim, kiedy Kamila nagle zapytała:

- Jak daleko się posunęłaś z czytaniem pamiętników? Chciałam cię zapytać już wczoraj, ale zasnęłam, zanim skończyłaś.

- Nie dokończyłam jeszcze pierwszego - odparła Sage, uciekając się do kłamstwa dla wytłumaczenia, dlaczego nie

przekazała jeszcze pamiętnika Faye, tak jak się umówiły.

- Co w nim jest? Coś interesującego?

Sage nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Z rękami zaciśniętymi na kierownicy, szukała słów, kiedy nieoczekiwanie przyszła jej z pomocą Faye.

- Babcia chciała, żebyśmy przeczytały pamiętniki po kolei, każda oddzielnie.
- Rzeczywiście tak powiedziała - potwierdziła Sage.
- A skończysz dzisiaj czytać pierwszy? - nastawała Kamila.

Prawie jakby wyczuwała jej ociąganie, skonstatowała Sage, jej niechęć do mówienia o tym, fakt, że coś przed nimi rozmyślnie ukrywa. Ona jedna wiedziała, jak bardzo ją kusiło, żeby wrócić wczoraj do lektury. A co do dalszego czytania dzisiaj, nie miała pojęcia, jak długo potrwa zebranie. Wiedziała jednak, że musi poczynić wyczerpujące notatki, zapisać wiernie wszystkie szczegóły do przyszłej oceny mamusi, jeśli już nie dla pozostałych członków komitetu.

Dziwne, jak teraz, kiedy mamusia nie może jej już przymusem fizycznym ani emocjonalnym narzucić sposobu działania, jaki uważa za słuszny i właściwy, ona, Sage, narzuca go sobie sama. Szczegóły własnej pracy, terminy, zobowiązania zapisywała zawsze tylko w głowie, ku rozpaczy swojej sekretarki. Nigdy nie była systematyczna, logiczna ani zorganizowana we własnych poczynaniach, zawsze znajdowała przekorną, perwersyjną przyjemność w burzeniu porządku i łamaniu przyjętych form, w kroczeniu pozornie beztrudnie kontrolowanymi, sobie tylko wiadomymi ścieżkami.

A oto teraz zamierza się skrupulatnie trzymać metodycznego sposobu działania mamusi, jak gdyby wypełniała w ten sposób powierzony sobie święty obowiązek, jak gdyby podtrzymywała tym trzepocący się płomyk jej życia.

Śmieszna, idiotyczna, sentymentalna bzdura... A jednak wewnętrzny imperatyw był tak silny, tak potężny, tak nieodparty, że Sage nie mogła go nie posłuchać.

- Nie przypuszczałam, że to będzie prawie tak... tak jakby babci w ogóle nie było.

Mimo centralnego ogrzewania w szpitalu Kamilą wstrząsnął dreszcz.

- Dostaje silne środki uspokajające, Kamilko - powiedziała łagodnie Sage. - Siostra mówi, że to ma pomóc jej organizmowi w wyjściu z szoku pourazowego.

Kamila przelknęła z trudem i nagle zapytała po dziecinnemu:

- Ona nie umrze, prawda, ciociu? Ja nie chcę, żeby umarła...

Czując, że bratanica jest bliska hysterii, Sage obróciła się i wzięła ją w ramiona.

Miała wątpliwości, czy dobrze zrobiły zabierając Kamilę do szpitala. Dostrzegła współczucie w oczach siostry dyżurnej na widok wstrząsu dziewczyny, kiedy zobaczyła swoją

babcie podłączoną do ryłu aparatów, leżącą nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, nieobecną dla świata, jakby nie mogło jej pomóc już nic, co w ludzkiej mocy.

- Chodźmy stąd... Nie znieś...

- Ja muszę poczekać na lekarza - przypomniała jej spokojnie Sage. - Ale ty możesz zejść i posiedzieć w aucie. Może twoja mamusia... ?

Obróciła się do Faye, która wydawała się wstrząśnięta nie mniej od córki. Ale ta pokręciła głową.

- Nie, zostanę z tobą - oznajmiła twardo.

Sage podała Kamili kluczyki od auta. Gryząc nerwowo dolną wargę patrzyła, jak bratanica oddała się niepewnym krokiem.

- Nie zdawałam sobie sprawy - wykrztusiła zdławionym głosem Faye. - Wiedziałam, że stan jest ciężki, ale nie wyobrażałam sobie... - Przełknęła z wysiłkiem. - O Boże, Sage, tak się boję... Nie zniósłabym utraty... Myślałam, że najgorsze już minęło, że to tylko kwestia czasu, rekonwalescencji... Teraz widzę... Och, jestem taka samolubna, przecież to twoja matka, nie moja...

- I dlatego ja muszę ją bardziej kochać? - Sage uśmiechnęła się gorzko. - Jaka ty jesteś czasami naiwna, Faye. Znasz moje stosunki z mamusią. Nigdyśmy się ze sobą nie zgadzały. Owszem, jako dziewczynka zabiegałam o jej miłość, łaknęłam jej niemal do bólu. Aż w końcu zrozumiałam, że nigdy nie byłam i nigdy nie będę dzieckiem, jakiego pragnęła, drugim Dawidem. Nie mam do niej o to pretensji. Po Dawidzie musiałam jej sprawić głębokie rozczarowanie. Ty pewnie tego nie rozumiesz. Cały świat ją kocha, uwielbia, szanuje...

- Owszem, rozumiem doskonale.

Zostało to powiedziane tak cicho, że Sage z ledwością dosłyszała. Obróciła się do bratowej i zaskoczył ją wyraz tak przejmującego bólu w jej oczach, że musiała odwrócić wzrok. Miała wrażenie, jakby niechcący otworzyła drzwi do jakiegoś prywatnego, sekretnego pokoju, więc cofnęła się odruchowo, z pośpiechem osoby, która chroni własne życie osobiste i nie ma zwyczaju wkraczać w cudze.

- Sage!

Nagłący ton, jakim Faye wypowiedziała jej imię, kazał Sage spojrzeć ponownie na bratową, ale przerwało im wejście lekarza, z którym wczoraj rozmawiała, Alarica Fergusona. Popatrzył zrazu nieprzytomnie, po czym przyjrzał się jej uważniej.

- Panna Danvers, prawda? - powiedział, poznając ją. - Siostra już paniom mówiła, że musimy podawać pani matce silne środki uspokajające, żeby zneutralizować szok spowodowany wypadkiem. Dopóki to nie nastąpi, nie możemy zastosować żadnej innej terapii.

- Jakie mamusia... odniosła właściwie obrażenia? - zapytała nagłącym tonem Faye.

Lekarz zmierzył ją badawczym spojrzeniem, po czym odparł bez ogródek:

- Podejrzewamy jakiś ucisk na mózg. Jak rozległy, nie wiemy. Jeśli panie nie zdają sobie sprawy, czym to grozi,

powinienem może wyjaśnić...

Kiedy malował z brutalną szczerością nikle, bardzo nikłe szanse mamusi na wyzdrowienie, Sage stwierdziła, że zagryza boleśnie zębami wewnątrz policzków, żeby opanować drżenie warg. Usłyszała za sobą niski, gardłowy okrzyk Faye i obróciła się, chcąc ją podtrzymać, ale lekarz był szybszy, już ją chwycił za ramię.

Nie był dla Sage mężczyzną pociągającym seksualnie, musiała jednak przyznać, że jest wysoki i niewątpliwie dobrze zbudowany, mimo przygarbionej postawy, zapewne w wyniku ciężkiej stojącej pracy. Cerę miał wprawdzie bladą wskutek rzadkiego przebywania na powietrzu, oczy przekrwione, ciemnorude włosy brudne i źle ostrzyżone, lecz mimo braku wewnętrznego polotu biła od niego męska siła i napawający zaufaniem autorytet. Toteż Sage ze zdumieniem ujrzała, jak Faye odskakuje od niego na uginających się nogach, z twarzą pobladłą w śmiertelnym przerażeniu, z ustami wykrzywionymi grymasem prawie atawistycznego wstrętu.

Sage wiedziała, że bratowa ma zwyczaj trzymać się na dystans od przedstawicieli płci męskiej, ale nigdy nie widziała u niej takiej reakcji, nie mówiąc już o wyrazie tak intensywnej, tak prymitywnej odrazy, jaka się teraz malowała na jej twarzy.

Zaszokowana nie była przez chwilę w stanie wykrztusić słowa ani zrobić ruchu. Widziała, że lekarz jest równie zaskoczony jak ona, lecz zaskoczenie na jego twarzy ustąpiło zaraz miejsca wyrazowi ciekawości i troski, z którym odsunął się spieszenie od Faye.

- Proszę się uspokoić - powiedział zdecydowanym tonem. - Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł.

W napiętej ciszy poczekalni niemal słyszalna była walka, jaką Faye toczy ze sobą dla opanowania spazmatycznego oddechu. Sage nie śmiała się do niej odwrócić ani odezwać, nie mówiąc już o dotknięciu jej. Wzrok Faye zrobił się dziki, niemal drapieżny, jak u zwierzęcia, w którym prymitywny instynkt bierze górę nad oswojeniem. Sage miała wrażenie, że gdyby jej dotknęła, Faye mogłaby wbić w dłoń zęby, które obnażyła w owym momencie wścieklej nienawiści.

Twarz Faye, zwykle tak blada, płonęła teraz purpurą, jej ciałem wstrząsał niepohamowany dreszcz. Oczy, dostrzegając z wolna Sage, pociemniały i w miejsce wściekłości odmalowała się w nich jawna, głucha rozpacz.

- Przepraszam - wyszeptała z wysiłkiem Faye. - Przepraszam. To ten szok...

Szok spowodowany wiadomością, że mamusia ma nikłe szanse na wyzdrowienie, czy też dotknięciem lekarza, zastanawiała się milcząco Sage.

- Mógł nam to zakomunikować trochę oględniej - było jedynym komentarzem, na jaki sobie pozwoliła. - Dobrze, że Kamila nie została z nami.

Spojrzenie pełne udręki i wdzięczności, jakie Faye jej posłała, sprawiło, że Sage wzdrygnęła się w duchu, zdjęta niesmakiem do swego braku charakteru. Mamusia na jej miejscu

nigdy nie skwitowałyby w ten sposób sprawy. Dopytałaby się prawdziwej przyczyny nienaturalnej reakcji Faye. Wiedziała by, że bez względu na ból, jaki może sprawić jej mówienie

o tym, zrzućcie ciężaru z serca przyniesie Faye ostateczną ulgę.

Ale ona nie ma siły mamusi, zwyczaju zachęcania ludzi do Wierzeń, do szukania w niej oparcia. Samolubnie woli nie słuchać ich wynurzeń, nie dzielić problemów. Była prawie rada, że Faye się przed nią zamknęła, że zdecydowała zachować przy sobie to, co ją dręczy.

- Odłożę chyba do jutra wizytę w agencji. To było dla nas wszystkich ciężkie przeżycie. Niestety, nic mamusi nie pomożemy przez pozostawanie tutaj dłużej. Siostra zapewniła, że zawiadomiamy nas natychmiast, jeśli nastąpi jakaś zmiana w jej stanie...

- To znaczy, jeśli umrze - uzupełniła gorzko Faye. - Zauważyłaś, że nawet tutaj, w szpitalu, gdzie mają codziennie do czynienia ze śmiercią, unikają tego słowa? Mówią, że chory nie ma się zbyt dobrze, ale nigdy, że jest umierający...

Przyglądając się, jak Faye bezradnie bije pięściami w poręczę fotela, Sage pożałowała, że nie potrafi tak łatwo dawać upustu swoim uczuciom.

Jest także przerażona, uświadomiła sobie. Ale jej strach nie jest tym samym, co strach Faye. Istnieje, paraliżuje ją, ale jest to egoistyczny strach, stwierdziła z pogardą dla siebie. Jej strach to obawa, że na jej barki spadną ciężary dźwigane dotąd przez mamusię. Że będzie musiała przejąć obowiązki, do których nie jest stworzona, które spętają ręce, które ją skrepują. Zresztą już się to dzieje, Faye już się na nią ogląda. Jak długo potrwa, nim zacznie się na niej opierać, tak jak się przez całe życie opierała najpierw na Dawidzie, a później na mamusi.

Zdegustowana i zawstydzona samolubnym tokiem swoich myśli, Sage ujęła Faye pod rękę i podniosła ją delikatnie z fotela.

- Kamila czeka na nas - przypomniała.

Lubiła zawsze Faye i choć było to letnie uczucie, jakie mogłaby żywić do ukochanego psa, zaszokowało ją teraz uświadomienie sobie, że zaczyna jej prawie nienawidzić. Faye zastawiła na nią pułapkę. Nie należy wprowadzić do owych bluszczowatych kobiet, o jakich się często słyszy, przeciwnie, z widocznym wysiłkiem starała się nigdy nią nie być. A jednak czuło się zawsze jej rozpaczliwą potrzebę siły, obecności, opieki innych. Dlaczego nigdy nie wyszła po raz drugi za mąż, pozostawało tajemnicą dla Sage. Tak jawnie potrzebuje oparcia i oddania męża, drugiego Dawida. Tylko że mężczyzny kalibru Dawida nie tak łatwo znaleźć, nawet jeśli się szuka. A Faye czyni coś wprost przeciwnego: zamyka się przed światem, zamiast wyjść mu naprzeciw.

Nie wolno się tak zachowywać, wyrzucała sobie Faye idąc korytarzem za Sage. W jednej chwili, w tej dusznej poczekalni, zaprzepaściła prawie wszystko, co z takim trudem budowała. W jednej chwili, pod dotknięciem tej męskiej dłoni,

idiotycznie, ślepo pogrzebała niemal wszystko, nad osiągnięciem czego pracowała przez całe dorosłe życie.

Dlaczego nie miała się na baczności? Dlaczego zareagowała tak histerycznie? Można to, oczywiście, przypisać wstrząsowi wiadomością, jak groźny jest stan mamusi, ale to jej nie usprawiedliwia. Dzięki Bogu, że nie było przy tym Kamili...

Faye przełknęła z trudem. Ze zdenerwowania miała usta pełne śliny. Zerknęła spod oka na szwagierkę.

Sage była bystra, musiała się zorientować, że jej reakcja była zbyt gwałtowna, by mogła zostać wywołana jedynie wiadomością o stanie mamusi. Dzięki Bogu, że nie zaczęła jej wypytywać, dociekać i snuć domysłów, jakby uczynili inni. Jednakże po tylu latach ona, Faye, powinna umieć nad sobą panować, kontrolować swoje odruchy. Dlaczego się tak idiotycznie zachowała, i to wobec mężczyzny zupełnie niegroźnego i mającego jak najlepsze intencje? Jak będzie mu mogła kiedykolwiek spojrzeć w oczy?

Widziała zaskoczenie, ciekawość, troskę, jakie przemknęły po jego twarzy, kiedy na nią spojrział. I nic dziwnego. Nieste-

ty, jest lekarzem opiekującym się mamusią i będzie musiała go spotykać, bo nie może przecież zaprzestać odwiedzin. Jakże mogłaby zrzucić cały ciężar wizyt na barki Sage? Jakżeby mogła teraz opuścić mamusię, której tyle zawdzięcza? Jakżeby mogła postawić własny interes, własne lęki przed ich dobrem? Nie może tego zrobić. Może się tylko modlić, żeby lekarz uwierzył, tak jak zdaje się jest gotowa uwierzyć Sage, że jej histeryczne zachowanie zostało spowodowane jedynie wstrząsającą wiadomością. Psychiatra nie dałby się oczywiście zwieść, ale ten lekarz nie jest szczęśliwie psychiatrą, nie ma potrzebnego doświadczenia i przenikliwości. Bzdurny jest ten jej niepokój, ten strach, panika. Nikt nie może jej przecież zmusić do mówienia o przeszłości. Do przeżycia wszystkiego jeszcze raz od nowa...

Pragnęła znaleźć się z powrotem w Cottingdean, ukryć bezpiecznie w jego ścianach. Wracała do auta roztrzęsiona jak po panicznej ucieczce. Kłucie, które czuła w boku, miało jednak za przyczynę nie zmęczenie, tylko napięcie, spazmatyczny skurcz mięśni.

To uciekanie, wieczne uciekanie. Wydawało jej się czasami, że spędziła większą część życia na uciekaniu. Tylko przy Dawidzie czuła się bezpieczna, nie zagrożona. Przy Dawidzie i przy Liz, która zna jej sekret i która ją chroni. Przy Liz, która jest dla niej prawdziwą matką...

To takie niesprawiedliwe. Powinna myśleć o niej, nie o sobie, modlić się o jej wyzdrowienie, nie dlatego że ona, Faye, tak rozpaczliwie jej potrzebuje, lecz ze względu na nią samą. „Błagam Cię, Boże, uczyni mnie silną-modliła się, wsiadając do auta. - Dodaj mi siłę, których tak bardzo potrzebuję, ze względu na Liz, na Kamilę... Także ze względu na Sage" - dodała, zerkając na szwagierkę i zastanawiając się, czy ta kryje w sobie tę samą niezłomną siłę woli, którą jest obdarzo-

na jej matka. A jeśli tak, to czy posłuży się nią z równą mądrością, bo jak wszystkie dary, tak i ten jest bronią obosieczną, która może zostać użyta dla dobra innych, w ich obronie, ale również dla własnego interesu, ze szkodą słabszych członków rodzaju ludzkiego.

Dzięki Bogu, że jest przy niej Sage, bez której... Faye zamknęła oczy i oparła się o poduszki siedzenia, wyczerpana fizycznie i psychicznie, pragnąc jedynie uciec od wszystkiego, łaknąc spokoju umysłu - i zdając sobie sprawę, jak małe ma szanse na osiągnięcie tego.

- Udało ci się przejrzeć całą dokumentację babci w sprawie autostrady?

Piły popołudniową herbatę, podaną przez Jenny, która stała nad nimi, pilnując, żeby coś zjadły, ignorując ich protesty, że nie są głodne. Nawet pod nieobecność Liz w domu panowały zwykle obyczaje. Może trzymają się ich wszystkie, każda na swój sposób, w instynktownej wierze, że zachowując je, utrzymają Liz przy życiu, pomyślała Sage.

- Yhm - odpowiedziała na pytanie Kamili i zmarszczyła czoło.

Przeczytała wszystko, ale nie znalazła nic, co by jej się pozwoliło zorientować, jakimi argumentami mamusia zamierzała się przeciwstawić przeprowadzeniu autostrady koło miasteczka. W papierach nie było nic w najmniejszej mierze pomocnego.

- Uważasz, że nie uda nam się ich przekonać? - domyśliła się Kamila.

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć, ale nie wygląda to zbyt różowo. Gdyby autostrada miała zostać przeprowadzona w bezpośrednim sąsiedztwie jakiegoś obiektu o szczególnym znaczeniu archeologicznym albo historycznym czy przez teren o szczególnych walorach krajobrazowych, byłby jakiś punkt zaczepienia, ale nie widzę nic takiego.

- Babcia znalazłaby sposób - odparła Kamila niemal wojowniczo. - Ale tobie na tym nie zależy, prawda? Nie dbasz o Cottingdean!

• Kamilo - zganiała ją Faye, czerwieniąc się lekko. - To nieprawdziwe i niesprawiedliwe...

• Kamila ma rację - powiedziała Sage jak najspokojniej. Odstawiła filiżankę na spodeczek. - Ja nie żywię do Cottingdean takich uczuć jak wy. Dwór i majątek to dla mnie piękne miejsce, ale tylko piękne miejsce, nie święte posłannictwo. Zagrożony jest jednak nie tylko majątek, lecz także miasteczko, egzystencja mieszkańców. Jeśli zabraknie fabryki, nie będzie tu dla ludzi pracy, bo nie ma przecież innego przemysłu, a bez stanowisk pracy miasteczko podupadnie. Ale nie sądzę, żeby planiści z Whitehallu chcieli przedkładać interesy garski mieszkańców jakiegoś miasteczka nad głos opinii publicznej domagającej się autostrady.

• Babcia zaproponowała im inną trasę, za łąkami.

• Owszem, ale na podmokłych, bagnistych terenach, które

wymagają kosztownego osuszania i umacniania, nim będą zdadne do użytku. To by oznaczało dodatkowy koszt wielu milionów funtów.

• Więc po co zgodziłaś się tam w ogóle jechać, jeśli nic cię to nie obchodzi?

• Dosyć, Kamilo-zgromiła ją Faye.

• I owszem, obchodzi mnie, Kamilko. Nie wiem tylko, jak babcia chciała ich przekonać, żeby przeprowadzili inaczej autostradę. Nie wiem, jaki miała plan działania, nie udało mi się tego wyczytać z dokumentacji. Musiała mieć jakiś plan, ale tylko ona jedna wie, jaki. Nie pozostaje mi nic innego, jak prowadzić grę na zwłokę i modlić się, żeby babcia mogła się jakimś cudem włączyć do akcji, nim będzie za późno.

Zamilkły wszystkie trzy wiedząc, że potrzebny jest po temu rzeczywiście cud.

Przez cały dzień starała się nie myśleć o tym wieczornym zebraniu. Nie umie postępować dyplomatycznie, jest zbyt porywczą, nietaktowną. Nie ma daru tłumaczenia i nakłaniania, jaki cechuje mamusię. Nie ma ponadto żadnego doświadczenia w pertraktowaniu z urzędnikami, co więcej, napawa ją to niechęcią. Pamiętała, jak Dawid próbował ją kiedyś uczyć gry w szachy i jak jej wytykał w ten swój łagodny, serdeczny sposób niecierpliwość i brak logiki, niezdolność do przewidywania, do chłodnego, matematycznego kalkulowania. Nie, talenty negocjatorki nie leżą na pewno w jej charakterze. Mimo to musi dzisiejszego wieczoru spróbować się zdobyć choćby na imitację zachowania mamusi.

Z cierpkim uśmiechem uświadomiła sobie, jak bardzo się już zmieniła, jak bardzo powściąga swoje skłonności i przyzwyczajenia, nawet jeśli chodzi o strój.

Bez zastanowienia odrzuciła dzisiaj nonszalanckie ubiory, jakie kupowała pod wpływem impulsu, często z katastrofalnym skutkiem. Zapalała się nagłą miłością do faktury materiału, do oryginalnego kroju czy po prostu pięknych barw, aby potem stwierdzić w domu, że nie ma danej rzeczy do czego nosić.

Zazwyczaj nie w głowie jej było staranne dobieranie garderoby, chłodny wybór ubrania dla wywołania określonego efektu. Dziś jednak musi się uzbroić w pancerz odpowiedniego stroju.

Grzebiąc w szafie, doszła do melancholijnego wniosku, że najlepsze, w co może się ubrać, to kremowa jedwabna bluzka i spódniczka z cienkiej wełnianej krepy w kolorze kawowym. Spódniczka opinała jej ciało nieco bardziej niż suknie, jakie nosi, mamusia, ale Sage miała nadzieję, że nie będzie się to rzucało w oczy zza stołu, za którym ją niewątpliwie posadzą. Zdecydowała, że doskonałym dopełnieniem stroju będzie elegancki dziany żakiet w stylu chanelowskim, tego samego koloru, co bluzka - doda jej autorytetu.

Zdejmując go z wieszaka, spojrzała na zegarek. Dochodzi siódma, czas się zbierać. Lecz przypomniały jej się pamiętniki

i zatrzymała się, uświadamiając sobie coś, co rozmyślnie odpychała od siebie przez cały dzień.

Rwie się, żeby je czytać dalej, żeby się dowiedzieć więcej o tej nieznanym, która jest jej matką, a równocześnie coś ją przed tym wstrzymuje, przejmuje ją lękiem. Lękiem przed czym? Przed odkryciem, że mamusia jest ułomną istotą ludzką, wobec której ona, Sage, nie ma powodu trwać w gniewie i żalu? Ale dlaczego miałyby chcieć w nich trwać?

Może dlatego że stanowią one usprawiedliwienie niedopuszczania mamusi do udziału w jej życiu, odmowy nawiązania z nią na nowo zerwanych więzi uczuciowych, pretekst do dalszego karania jej? Ale karania za co? Za to, że jej nie kochała tak jak Dawida? Że stanęła na drodze do jej szczęścia, pozwoliła, by jej odebrano Scotta? A może w duszy pozostała do dzisiaj małą rozżaloną dziewczynką, kopiącą w drzwi pokoju mamusi, domagającą się, by poświęcała jej całą swoją uwagę i miłość?

Całą uwagę i miłość... Zmarszczyła się przed swoim odbiciem w lustrze. Czy tego rzeczywiście chciała? Żeby mamusia kochała wyłącznie ją? Z pewnością nie. Wiedziała zawsze, że miłością trzeba się dzielić. A może nie wiedziała? Może nie chciała uznać jej prawa do kochania innych? Tak jak nie chciała uznać prawa Scotta do kochania nie tylko jej, lecz także ojca, jego lojalności wobec ojca, poczucia obowiązku wobec niego, które wzięło górę nawet nad miłością do niej.

Pokłócili się o to, wściekle pokłócili, bo Scott się upierał, że nim się pobiorą, musi pojechać do Australii, porozmawiać z ojcem. Chciał, żeby z nim pojechała, ale odmówiła. Po co miałyby się poddawać inspekcji jego ojca, skoro obydwoje wiedzieli, że jej nie zaakceptuje? Dlaczego Scott nie chciał zrozumieć, że nie muszą się liczyć z wolą ojca, że mogą sobie urządzić wygodne życie z dala od jego rozległych włości, że niepotrzebny im jest ani jego ojciec, ani jej matka?

- Ależ oni nas potrzebują - zdziwił się. - Czy ty tego nie rozumiesz?

Wytrąciło ją to z równowagi. Doszło do zażartej kłótni, wściekłej z jej strony. Scott prowadził auto i kiedy zwolnił, Sage sięgnęła do klamki. Oczywiście, nie otworzyłyby ich naprawdę, nie wyskoczyła, ale w ferworze sprzeczek... Ta jej okropna, niewybaczalna popędliwość...

Nigdy już się nie dowie, co by zrobiła, bo Scott sięgnął, żeby przytrzymać drzwiczki i w rezultacie nie zauważył auta nadjeżdżającego z przeciwnika.

Jak na ironię, ta jego wyciągnięta ręka osłoniła ją przed większymi obrażeniami, a jemu nie pozwoliła osłonić samego siebie, tak że spadł na niego cały impet uderzenia, który po sprawiedliwości powinien był trafić w nią.

O, Boże, nie może zacząć o tym znowu rozmyślać. Nie teraz. Czy nie zapłaciła za to dostatecznie wysokiej ceny, nie nacierpiała się dosyć, żeby odpokutować najczarniejszą winę?

Stary zegar stojący w holu wybił kwadrans po siódmej. Z ulgą oderwała się od przykrych wspomnień i zbiegła na dół.

- Posadźmy panią koło prezesa firmy budowlanej - oznajmiła Anne Henderson, kiedy Sage jej się przedstawiła.
- W materiałach nie znalazłam niestety pani nazwiska. Rozumie pani, syna naszej sekretarki zabrano akurat do szpitala na nagłą operację wyrostka robaczkowego. Trudno byłoby o bardziej niezręczny moment, ale co można poradzić? Szczęśliwie znalazłam nazwiska przedstawicieli ministerstwa. Pan Stephen Simmonds i pani Helen Ordman. Mają przyjechać wszyscy razem. Chyba się nie spóźnią. Zebranie jest wyznaczone na siódmą czterdzieści pięć.

Dom komunalny ufundowała miasteczku mamusia, a ściślej mówiąc fabryka. Była to niegdyś stara, wałcząca się stodoła, którą mamusia kazała odnowić i przerobić na miejsce zebrań, kiermaszów i zabaw.

Skrupulatna we wszystkich swoich poczynaniach, zadbała, żeby zachowano galeryjkę oryginalnej budowli, i na niej umieszczano teraz zwykle orkiestrę w czasie zabaw. Dzisiaj galeria nie była zajęta, schodki prowadzące do niej zamknięte. Rozglądając się po znajomym wnętrzu o belkowanym stropie, Sage pomyślała, iż nikt obcy, wszedłszy tu, nie domyśliłby się, że za tradycyjnymi ścianami z plecionki obrzuconej tynkiem mieści się nowoczesne zaplecze kuchenne i że jedna trzecia podłogi jest podnoszona, tak że może utworzyć sporą scenę, wielce cenioną przez miejscowe kółko teatralne. Mamusia pomyślała o wszystkim, nawet krzesła ustawione w równe rzędy zostały wykonane na zamówienie, z solidnego drewna, z wygodnymi siedzeniami i oparciami.

- Ludzie już się zbierają - zauważyła Anne Henderson.
- Dzwoniła pastorowa, że pastor się trochę spóźni. Jest członkiem komitetu. Pani matka miała zamiar wciągnąć do komitetu także naszego posła, ale jak dotąd się nie zadeklarował.

Pozostalymi członkami komitetu protestacyjnego okazali się miejscowy adwokat i miejscowy lekarz. Obaj mieli bardzo zdecydowany pogląd na proponowaną budowę autostrady i obaj wyrażali go w sposób nader elokwentny.

Przyda się to bardzo, przyznała Sage w duchu, nadrobi może trochę niedostatki jej przewodnictwa. Ona sama ma szansę być dzisiaj tylko figurantką, reprezentować stanowisko mamusi wobec proponowanej budowy autostrady, natomiast nie wniesie własnych istotnych argumentów do sprawy. Będzie kimś w rodzaju chorążego, dzierżącego sztandar jako symbol siły pułku, lecz nie biorącego samemu udziału w boju. Jest punktem ogniskowym dzisiejszego zebrania jedynie jako zastępczyni mamusi.

Sala zaczynała się powoli zapełniać, a zdeterminowane twarze ludzi świadczyły, że biorą oni nader serio zagrożenie swego wiejskiego spokoju. Oczywiście było, że zagrają temperamenty, ale czy emocje wystarczyły kiedykolwiek do pokonania logiki? Gdyby tak było, czyż ona sama nie wychodziła by jako zwyciężczyni z wielu konfliktów?

Koło drzwi wejściowych zrobił się ruch, więc Anne Henderson oddaliła się ze słowami:

- To chyba nasi oponenti. Pójdę się przedstawić.

Sage przyjrzała się wchodzącym, mężczyźnie i kobiecie. Kobieta była elegancką, szczupłą brunetką w wieku dwudziestu paru lat, ubraną w kostium z rodzaju lansowanych przez magazyny mody i niedzielne dodatki ilustrowane jako strój dla nowoczesnej kobiety pracującej. Oczywiście, pomyślała Sage z przekąsem, jeśli ją stać na proste i nader kosztowne modele autorstwa dobrych projektantów. Jednakże ta kobieta, mimo swego stroju, zrobiła na Sage nie wrażenie osoby zmierzającej do kariery zawodowej, lecz zmysłowej, prawie drapieżnej osóbką, która się wysztafirowała nie z myślą o zebraniu, lecz o mężczyźnie. Prosta jedwabna bluzka koszulowa, niby to przypadkiem rozpięta na tyle, żeby ukazać kuszące zagłębienie między piersiami. Flanelowa spódnica, krótka i prosta, odsłaniająca szczupłe nogi, obleczone w jedwab. Uczesanie i makijaż, dyskretne i eleganckie, ale bardziej uwodzicielskie niż biurowe. Kobieta, oczywiście, dostrzega od razu podobne rzeczy, co innego mężczyzna. Sage zastanowiła się z rozbawieniem, co mogło w niej rozbudzić takie drapieżne instynkty wobec towarzyszącego jej niepozornego mężczyzny w dżinsach i wiatrówce.

Na pierwszy rzut oka wydawał się on dość przeciętny: średniego wzrostu, o brych włosach, w niedbałym stroju, zaskakującym u urzędnika ministerialnego, upodabniającym go raczej do mieszkańców miasteczka. Mówił coś z ożywieniem do swojej towarzyszk, kiedy Anne prowadziła ich do stołu prezydyjnego na podium.

Sage podniosła się na ich powitanie, podała obojgu rękę, przedstawiła się. Widząc, jak młoda kobieta ją lustruje, stłumiła rozbawienie. Może się, biedula, nie obawiać, jej towarzysz zupełnie Sage nie interesuje.

Usiłował on zająć miejsce obok niej, ale powstrzymała go Anne.

- Chciałam to miejsce zarezerwować dla prezesa firmy budowlanej..

- A, tak. Powinam była uprzedzić - wtrąciła się jego towarzyszk. - Spóźni się, niestety, parę minut. Proponuje, żebyśmy zaczynali zebranie bez niego, szczególnie że przyjeżdża tu głównie po to, żeby odpowiedzieć na pytania ludzi o rzeczywisty wpływ budowy autostrady na ich warunki życiowe.

- Czy to trochę nie przedwczesne? - usłyszała Sage swój spokojny głos. Zobaczyła, jak Helen Ordman mierzy ją zimnym wzrokiem. - Uznaje pani budowę za fakt przesądzony, a nie jest to jeszcze bynajmniej pewne.

Stephen Simmonds spieszył się, zaszurał nogami, a Sage ze zdziwieniem stwierdziła, że sprawia jej satysfakcję, iż nieskazitelnie zrobiona twarz brunetki przybiera nieładną buraczkową barwę.

Domyślała się, że należy ona do kobiet, które bez skrupułów wykorzystują swoją urodę do wtrącania w stan niepewności przedstawicielek własnej płci mniej hojnie wyposażonych przez naturę, a w stan bezradnej uległości przedstawicieli płci

przeciwnej.

- Przyjechaliśmy tu właśnie po to, żeby przedyskutować kwestię budowy proponowanej autostrady - wtrącił szybko Stephen Simmonds. - Rozumiemy doskonale obawy tutejszych mieszkańców i naszym zamiarem jest upewnienie ich, że uwzględniliśmy w pełni warunki lokalne i że prace zostaną przeprowadzone w taki sposób, by możliwie najmniej zakłóciły ich życie.

- A co będzie, kiedy budowa zostanie zakończona? - zapytała sucho Sage. - Czy nie sądzą państwo, że sześciopasmowa

autostrada, na dobrą sprawę przecinająca miasteczko na pół, zakłóci życie mieszkańców? Pomyśleli państwo pewno o zafundowaniu nam ślicznego betonowego wiaduktu albo może nawet tunelu, tak żeby jedna połowa miasteczka mogła się komunikować z drugą bez konieczności jechania w tym celu do Londynu i z powrotem... ?

- Niech pani nie będzie śmieszna! - przerwała lodowato Helen Ordman obrzucając ją spojrzeniem, które sugerowało, że Sage jest niespełna rozumu. - Oczywiście, zostaną przewidziane wszelkie środki dla zapewnienia normalnego ruchu w miasteczku.

- Myślę, że czas zaczynać - szepnęła Anne Henderson do Sage. - Ludzie się już niecierpliwią.

Sage otworzyła zebranie i po przedstawieniu gości oddała głos Anne Henderson, która naturalnie miała znacznie lepsze rozeznanie w dotychczasowych pracach komitetu. Ze szczegółowych notatek mamusi oraz protokołu z poprzedniego zebrania Sage wiedziała jednak, czego się spodziewać.

I rzeczywiście zebranie potoczyło się trybem, jaki przewidywała. Przedstawiciel ministerstwa wygłosił spokojne przemówienie, mające na celu usmierzanie obaw mieszkańców i przedstawienie budowy autostrady jako racjonalnego i nieuniknionego toku wypadków ważnych dla dalszej egzystencji kraju.

Anne Henderson odpowiedziała znacznie mniej analitycznym i logicznym przemówieniem przeciwko budowie autostrady, jednakże z reakcji zebranych wynikało niedwuznacznie, po której stronie leżą ich sympatie.

Z kolei posypały się szybkie i emocjonalne pytania, a Sage obserwowała z ironicznym rozbawieniem, jak precyzyjnie jest sterowany przebieg dyskusji: na pytania męskiej części audytorium odpowiadała zawsze Helen Ordman, która włączała przy tym cały woltaż swoich wdzięków, zręcznie rozładując siłę często ważkich argumentów ciepłym uśmiechem i starannie zobjektywizowanymi odpowiedziami, które nigdy do końca nie wyjaśniały podniesionej kwestii.

Są to pierwsze z długiej serii potyczek, nim dojdzie do walnej bitwy, myślała Sage. Przystudiowawszy dokumentację mamusi, orientowała się doskonale, jak wiele można zrobić dla sprawy przez pozyskanie poparcia wpływowych osobistości. Czy właśnie po to wybrała się do Londynu? W swoim czasie

proponowano jej kandydowanie do parlamentu, odmówiła jednak, argumentując, że nie mogłaby poświęcić kariery politycznej wystarczająco wiele czasu. Miała jednak szeroki krąg znajomości, niektóre wśród ludzi niesłychanie wpływowych.

Zatopiona we własnych myślach Sage wzdrygnęła się, gdy drzwi się otworzyły i do sali wkroczył mężczyzna.

Wysoki, ciemnowłosy, w nieskazitelnym garniturze, jakby to on był przedstawicielem ministerstwa, roztaczał jednak aurę utajonej siły, która mu nadawała cechy osobnika spędzającego więcej czasu na aktywności fizycznej niż na pracy przy biurku.

Jego przejściu ku podium towarzyszył niemal słyszalny szmerek żeńskiej części audytorium, a Sage zrozumiała teraz, dlaczego Helen Ordman wystroiła się tak szalowo. Nie dla kolegi z ministerstwa, tylko dla tego mężczyzny, zmierzającego w ich stronę, mężczyzny, który uniósłszy głowę patrzył wcale nie na Helen Ordman, tylko na nią, Sage. Patrzył, bo ją poznał.

Daniel Cavanagh... Pokój zawirował jej obłądnie przed oczyma. Poszukała oparcia w stole, uchwyciła się go kurczowo, jak rażona uderzeniem prądu.

Daniel Cavanagh... Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz pozwoliła sobie o nim pomyśleć, przypomnieć sobie w ogóle o jego istnieniu, wymówić choćby w duchu jego imię?

Wstrząsnął nią zimny dreszcz, powód jego obecności tutaj odpłynął na fali wspomnień, obudzonych jego pojawieniem się.

Wspomnień, których odepchnięcie, stłumienie, zapomnienie zajęło jej lata. I które jeszcze teraz przenikały falą gorąca jej ciało, gdy rozpaczliwie usiłowała zdławić w pamięci własną głupotę, własną winę, własny ból. Podczas gdy on po tym pierwszym rozpoznaniu zdawał się nie zauważać jej obecności, tak jakby się nigdy nie spotkali.

Słyszała, jak Anne go przedstawia, potem była świadoma przyciszonej wymiany zdań między nim a Helen Ordman, z podskórnym nurtem zaborczości seksualnej w głosie tamtej kobiety, i ku swemu zaskoczeniu poczuła ostre ukłucie czegoś tak nieoczekiwanego, tak szokująco nie chcianego, tak śmiesznie niepotrzebnego, że jej ciało spięło się na moment od tego absurdu.

Jest zazdrosna, zazdrosna o stosunki drugiej kobiety z mężczyzną, którego sama nigdy nie chciała, nigdy nawet nie lubiła. Z mężczyzną, którego w złości i rozgoryczeniu chciała wykorzystać cynicznie i samolubnie, a który obrócił te jej uczucia, to samolubstwo przeciwko niej tak bezlitośnie, że stało się to epizodem jej życia, o którym wołała zapomnieć.

Jeszcze jedna pomyłka, jej przeszłość jest nimi usiana, ma widać do nich predylekcję. Lecz Daniel Cavanagh był więcej niż pomyłką, był niemal śmiertelnym błędem, przejawem niebezpiecznego braku rozeznania, zarówno z jej, jak i jego strony, punktem zwrotnym... Od tego punktu zaczęła się kształtować oś, wokół której obraca się jej obecne życie.

Usiadł właśnie obok niej, oszczędne poruszenia jego ciała były skoordynowane i sprawne, znamionujące człowieka, który jest w porządku ze sobą i swoim życiem.

Teraz, gdy przeminął łagodzący wpływ młodości, rysy

jego twarzy stwardniały, ciało zmęźniało. Jest od niej o trzy lata starszy, a więc ma jakieś trzydzieści siedem lat.

Tok jej myśli przerwał szmer grzecznościowych oklasków. Zobaczyła, jak się podnosi, i niemal melancholijnie zauważyła, że jego garnitur jest szyty na miarę, a koszule zapewne również robione na zamówienie. Był zawsze atletycznej budowy, barczysty, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu,

Starala się skupić uwagę na tym, co mówi, ale słyszała tylko żywe kadencje jego głosu, budzące echa innego czasu, innego miejsca, kiedy równie zwięźle, z równym opanowaniem i kliniczną bezosobowością odarł ją do kości z dumy, porwał jej duszę na strzępy, zniszczył intymną tkanę osobowości, po czym wręczył jej ochłapy z chłodną uprzejmością, która była jeszcze bardziej poniżająca niż cała reszta razem wzięta.

- Żal mi ciebie - powiedział i była to prawda.

To on bardziej niż ktokolwiek, bardziej nawet niż Scott, przyczynił się do uśmiercenia gorącokrwistej, samowolnej, zaabsorbowanej sobą dziewczyny, jaką była, i do narodzin ostrożnej, rozważnej, niezależnej kobiety, w jaką się przeobraziła.

Może powinna mu być wdzięczna. Wdzięczna, to właśnie jej powiedział, ciskając w nią słowa jak sztylety.

- Uważasz, zdaje się, że powinienem ci być wdzięczny - powiedział, po czym obrócił to przeciwko Sage, użył tego dla unicestwienia jej.

Przez tyle lat nie pozwalała sobie o tym myśleć, odcięła się od przeszłości tak skutecznie, jakby wypaliła ogniem pustą przestrzeń między dawnymi a nowymi czasami.

Ciągle wstrząsał nią zimny dreszcz, pragnęła jedynie uciec z tej sali, pozostać sama, ale nie mogła tego zrobić, jeszcze nie, bo ludzie wyrwali się jeden przez drugiego do zadawania pytań. Nie wiedziała, co powiedział Daniel Cavanagh, ale nie ulegało wątpliwości, że wywołało to żywy oddźwięk.

Powinna była słuchać. Powinna była zapomnieć o przeszłości, o tym, że go znała, i skoncentrować się na tym, co mówi. Po to tutaj w końcu przyjechała.

Zamknęła zebranie, sama nie bardzo wiedząc, co mówi. Przywołała ją do rzeczywistości dopiero Anne oznajmieniem, że pastor zaprasza wszystkich na plebanię, na filiżankę herbaty i swobodną pogawędkę. Pokręciła głową, zebrawszy wszy-

132

stkie siły dla panowania nad sobą, dla stworzenia pozorów spokoju.

- Niestety, nie mogę...

- Oczywiście, chce pani jak najprędzej wracać do domu. Są jakieś nowe wiadomości ze szpitala?

Sage pokręciła powtórnie głową, w której zaczęło jej boleśnie pulsować, niechybna oznaka, że nadchodzi atak tamtej migreny, nad którą, sądziła, nauczyła się już dawno panować.

Pragnęła zamknąć się gdzieś bezpiecznie w ciemności,

w jakimś miejscu, gdzie nie będzie musiała myśleć ani udawać, gdzie nie będzie stał obok wysoki ciemny mężczyzna, który w niej budzi wspomnienia i niechciane uczucia.

Po zebraniu wyszła pierwsza z sali, stukając szybko i nerwowo obcasami, i rozdymając chciwie nozdrza, kiedy się znalazła wreszcie na dworze i mogła wciągnąć w płuca chłodne, świeże powietrze.

Jej porsche stał zaparkowany o kilka metrów od wejścia, lecz nie dowierzała w tej chwili swojej zdolności prowadzenia z należytym marginesem bezpieczeństwa. W dołku czuła mdlący ucisk, w głowie jej łomotało. W przeszłości zdarzało jej się dosłownie tracić przytomność podczas takich ataków migreny.

Najsensowniejszą rzeczą byłoby zadzwonić do domu i poprosić Jenny, żeby ktoś po nią przyjechał, ale oznaczałoby to czekanie tutaj i narażanie się na możliwość konfrontacji z Danielem.

Już słyszała za sobą jego głos i modulowany, niemal pieśzcotliwy głos Helen Ordman.

Czyż ta kobieta nie ma wstydu? zastanowiła się niemal ze złością. Czy nie widzi, jak się demaskuje? A może jej nie zależy? W końcu Daniel nie jest zwykłym, pospolitym mężczyzną. Wie wszystko o duszy kobiecej...

- Sage, słyszę, że podobnie jak ja nie możesz wpaść do pastora.

Stoi koło niej. Rozsądek i dobre wychowanie nakazują się do niego obrócić. Ale nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu, nie mówiąc już o odwróceniu głowy i otwarciu ust, żeby odpowiedzieć.

- Naprawdę musisz jechać, Danielu? Mamy tyle spraw do omówienia...

Dzięki opatrności za agresywne kobiety, pomyślała Sage, gdy Helen Ordman wsunęła się pomiędzy nich, ujmując go zaborczo pod ramię.

- Niestety, muszę. Mam jutro rano zebranie rady nadzorczej i górę papierów do przeczytania przedtem... Sage, to czerwone monstrum jest na pewno twoje. Zawsze miałaś skłonność do ostentacji... we wszystkim.

Pozostawił ją w takim stanie, w jaki ją wprowadził swoim pojawieniem. Nieruchoma, oniemiała, odprowadzała go wzrokiem, oczami idiotycznie zamglonymi łzami wściekłości.

Odczekała, aż odjedzie stalowym astonem martinem starego rocznika, który, wiedziała to dobrze, musiał kosztować znacznie więcej niż jej nowy porsche. Po chwili ruszyła w kierunku Cottingdean.

Dom znajdował się nie tak daleko, w odległości zaledwie paru mil od miasteczka. Będzie to przyjemny spacer w taki ciepły wiosenny wieczór. Jako nastolatka, zanim się nauczyła prowadzić, przebywała te dwie czy trzy mile czasami kilka razy dziennie i uważała to za normalne.

Wtedy nie nosiła jednak dziesięciocentymetrowych obcasów, a jej ciałem nie wstrząsał taki dreszcz, jakby została

dotknięta najbardziej złośliwą formą wirusowej grypy.

Co się porobiło z tym jej życiem, które zdawała się mieć pod tak doskonałą kontrolą? Kiedy ta kontrola zaczęła jej się wymykać z rąk? Od wypadku mamusi? Od momentu kiedy sobie uświadomiła, że trzymane w ścisłych ryzach stosunki cieleśne i uczuciowe, na jakie sobie pozwalała, zaczynają służyć zaspokajaniu popędu, którego już nie czuje?

Łączuch wydarzeń zaczął się formować na długo przed dzisiejszym wieczorem, na długo przed niepożądanym przyływem dawnych wspomnień, ale nie mogła zaprzeczyć, że zobaczenie Daniela Cavanagha stanowi w nim nowe ogniwo, tak ten łączuch wzmacniające i zaciskające, że wątpiła, czy zdoła go rozerwać i wślizgnąć się bezpiecznie na powrót do dawnego życia.

Zobaczyła światła nadjeżdżającego samochodu i instynktownie zeszała z szosy na trawiaste poboczce. Dopiero kiedy auto przemknęło obok, uświadomiła sobie, że był to stalowo-szary aston Daniela.

Usłyszała, jak zwalnia i staje. Panika rozprysnęła jej się w piersi igiełkami bólu. Pragnęła rozpaczliwie rzucić się do ucieczki, ukryć przed nim. Nie dlatego żeby się go bała jako mężczyzny. Nie, wiedziała, że może się nie obawiać żadnego zagrożenia seksualnego z jego strony. To, przed czym chciała uciekać, to były jej własne wspomnienia, własna udreka, jej samopotępienie.

Usłyszała otwieranie, potem zamykanie drzwiczek. Wiedziała, że ją zobaczył. A gdyby odeszła, uciekła teraz? Duma kazała jej trwać na miejscu, lecz za nic w świecie nie była w stanie obrócić się do niego twarzą, gdy się zaczął zbliżać.

- Myślałem, że wracasz autem?

- Postanowiłam się przejechać.

- Na wysokich obcasach? Zawsze był zbyt spostrzegawczy.

- Prawo tego nie zabrania - odrzuciła ostro. - Chociaż, oczywiście, jeśli dopniecie swego i przeprowadzicie tędy sześciopasmową autostradę, czasy spacerów odejdą do przeszłości.

- Autostrada ma zostać przeprowadzona ponad milę stąd. Nie będziesz jej w ogóle widziała z Cottingdean. Ale ty zawsze przedkładałaś reakcje emocjonalne nad logikę, czy nie, Sage?

- Co ty tu właściwie robisz, Danielu? Jesteś na niewłaściwej drodze, jeśli chcesz wracać do Londynu...

- Tak, zorientowałem się i zawróciłem. Wzięłem zły zakręt.

Miała dziwne uczucie, że kłamie, chociaż to, co powiedział, brzmiało prawdopodobnie. Czy to znajomość jego charakteru sprawiła, że trudno jej w to uwierzyć? Daniel nie jest człowiekiem, który by brał złe zakręty. Nie tylko w prowadzeniu auta.

Obserwuje ją, zauważyła, starając się nie ulec magnetyzmowi jego spojrzenia. Oczy miał szare, tego samego metali-

cznego odcienia co auto, i Sage nie potrzebowała na niego patrzeć, by sobie przypomnieć, jaką siłę przyciągania ma jego spojrzenie. Miał także przezabawnie długie, podgięte do góry rzęsy. Przypomniała sobie, jak kiedyś uważała, że nadają mu niemal pozór bezradności. Pierwsza naiwna z niej. Bezradność to ostatnia rzecz, o jaką można go posądzić. Cały jest zrobiony z solidnej stali.

Mdlące łomotanie w skroniach, które ustąpiło nieco, kiedy maszerowała, powróciło teraz. Odruchowo uniosła dłoń do skroni.

- Migrena?

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi zaskoczeniem, zapominając o postanowieniu unikania jego wzroku.

-Skąd... ?

Ironiczne spojrzenie, jakie jej posłał, zamknęło jej usta, a gwałtowny rumieniec odarł ją ze światowej ogłady minionych piętnastu lat i przemienił z powrotem w dziewczynę, jaką niegdyś była.

- Mam dobrą pamięć - odrzekł sucho.

- Najwidoczniej - potwierdziła z goryczą.

- Odwiozę cię do domu. W dzisiejszych czasach to niebezpieczne dla kobiety spacerować samotnie po nocy. Nawet tutaj, na prowincji.

- Dziękuję, chcę się przejść.

- Możesz się przejść po parku w Cottingdean. Tam powinnaś być bezpieczna.

Rozwścieczyło ją jego milczące założenie, że pozwoli mu decydować za siebie.

- Nie życzę sobie... - zaczęła sztywno, ale on już ją ujął pod pachę i prowadził do auta.

Szczęśliwie grubość zakietu zneutralizowała wrażenie jego dotyku. Uścisk był zdecydowany, ale nie bolesny.

Łatwiej będzie pojechać z nim niż dyskutować, zdecydowała bezwolnie Sage, kiedy jej otworzył drzwiczki. Począł uprzejmie, aż usadowiła się bezpiecznie w środku, po czym je zatrzęsął.

- To naprawdę niekonieczne - powiedziała.

- Wiem - zgodził się, wprawiając auto w ruch. Był dobrym kierowcą, ostrożnym, pewnym.

- To dziwne - zauważył, gdy z ciemności wyłoniła się brama parku -jesteś ostatnią osobą, której bym się spodziewał w roli przewodniczącej komitetu protestacyjnego.

- Bo nią nie jestem - odparła sucho. - Występuję w zastępstwie mamusi.

- Serio? Ta Sage, którą znałem, potraktowałaby to jako zesłaną przez niebiosa okazję do sabotażu interesów rodzinnych, nie do powiewania flagą w ich obronie.

Sage poczuła, jak sztywnieje. Tego się właśnie obawiała, od momentu kiedy go ujrzała. Przypomnienia przeszłości, z jej całym cierpieniem. A najbardziej przypomnienia tego, jaka ona sama była wówczas.

Czy to lektura pamiętników mamusi ukazała jej z całą jaskrawością różnicę między nimi dwiema? Uczuliła ją tak bardzo na własne niedociągnięcia, własne braki, winy nie

tylko zaniechania, lecz także zaangażowania?

- Odpowiedzi nie będzie? - zapytał ją cicho Daniel, zatrzymując auto.

- A czy to było pytanie? - zareplikowała lodowato Sage, sięgając do klamki. - Wydawało mi się, że wyraziłeś po prostu pewną opinię. Nie powinno cię obchodzić, jak kieruję swoim życiem, Danielu. To moja prywatna sprawa.

- Albo sprawki - mruknął ironicznie.

Ubodło ją to tak, że zapominając odpiąć pas, pchnęła ciężkie drzwiczki i chciała wysiąść, nim się z irytacją zorientowała, że jest uwięziona na siedzeniu.

- Wciąż ta sama dawna Sage. Niecierpliwa, nielogiczna. Tak diabelnie nawykła do stawiania na swoim, że nie ma

nawet dość rozumu, żeby uważać na przeszkody.

Otworzył swoje drzwiczki i znalazł się po jej stronie auta, zanim się wyplątała z pasa.

Wysiadając stwierdziła, że cała drży. Już nie ze strachu, lecz z gniewu i jeszcze czegoś, co wzmaga w niej wydzielanie adrenaliny i tłumi ból w skroniach.

- Dziękuję za podwiezienie.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Cień spowijał mu twarz, lecz gdy się odwrócił, by przejść z powrotem na stronę kierowcy, księżyc oświetlił ją przelotnie i Sage uległa na moment złudzeniu, że ma przed sobą dawnego Daniela, którego, wydawało jej się, tak dobrze знаła, a którego, okazało się, nie znała w ogóle.

Daniel Cavanagh... Dlaczego musiał ponownie wkroczyć w jej życie właśnie w takiej chwili, wyważyć zamknięte drzwi, rozdrapać rany, które uważała za dawno zabliznione?

Daniel Cavanagh... Stwierdziła, że ciągle drży, kiedy szła w kierunku domu, starając się powstrzymać lawinę wspomnień, które z takim trudem odpychała dotąd od siebie.

Nic z tego, nie zaśnie, stwierdziła Sage, siadając na łóżku. A może nie chce zasnąć, gdyż boi się wspomnień, które gotowe się rozpanoszyć, kiedy utraci pełną kontrolę nad swoim umysłem.

Przewróciła się niespokojnie na łóżku, wpatrzyła w tarczę zegarka. Druga. Może by porobić coś sensownego zamiast tak leżeć, usiłując nie myśleć, nie pamiętać? Coś sensownego, ale co? Zabrać się do czytania pamiętników?

Co spodziewa się w nich znaleźć? Czy też szuka w nich po prostu odtrutki, środka do odepchnięcia od siebie własnych myśli?

Zeszła na dół, stąpając ostrożnie, żeby zredukować do minimum trzaski starych schodów. Otworzyła szufladę biurka i wyjąwszy pamiętnik, który czytała, zabrała go ze sobą do łóżka. W drodze powrotnej wstąpiła jeszcze do kuchni i wzięła z wazy z owocami kilka jabłek kwaskowatej, chrupkiej żółtej odmiany, jaką lubiła, w przeciwieństwie do mamusi i Faye, które wołały słodkie, soczyste czerwone gatunki.

Swoją słabość do słodczy mamusia usprawiedliwiała ich brakiem w jej młodych latach, podczas wojny. Wysuwając to tłumaczenie, przybierała zawsze defensywny ton, choć była to naprawdę drobna słabostka u skądinąd nader silnej kobiety. Sage poczuła niezwykle ukłucie wstydu na wspomnienie, jak okrutnie i po dziecinnemu wytykała jej to przy każdej okazji. Dzieci potrafią być okrutne, musiała przyznać gorzko, nie znając poczucia winy, wyrzutów sumienia. Szczególnie gdy, tak jak nią, kieruje nimi przekonanie o własnej słuszności.

Ile miała lat, kiedy po raz pierwszy zaczęła obwiniać mamusię o obojętność tatusia wobec niej? Osiem, dziewięć, może mniej. Spoglądając teraz wstecz, stwierdziła, że chyba zawsze była świadoma tego faktu. Podczas gdy Dawid mógł

swobodnie zbliżać się do tatusia, to ilekroć ona tego spróbowała, mamusia natychmiast wkraczała między nich, tak że jej kontakty z tatusiem odbywały się zawsze przez osobę trzecią lub w jej obecności, a tą osobą trzecią była, naturalnie z reguły mamusia.

Żal, gorycz, gniew... Doświadczała często destrukcyjnego smagania tych uczuć, nie mogąc zrozumieć, dlaczego mamusia uważa za potrzebne przeciwdziałanie jej zbliżeniu się do tatusia. Z pewnością nie dlatego że ich zbliżenie mogłoby zagrozić jej własnym stosunkom z nim.

Tatus ubóstwiał mamusię, kochał ją miłością, którą teraz, jako osoba dorosła, Sage oceniała jako zbyt zaborczą. Pamiętała, jak mamusia właściwie nie mogła wyjść z domu bez opowiedzenia się, dokąd idzie i na jak długo.

Zesztywniała, reagując instynktownie na myśl o takim nadmiarze miłości. Zaborczej miłości. Nachmurzyła się, przyznając niechętnie, jak bardzo ona by się buntowała pod brzemieniem takiej miłości, jak bardzo jej nawykła do swobody natura wierzgałaby i kopała, żeby się od brzemienia uwolnić. Spróbowała sobie wyobrazić, jak ona na miejscu mamusi zareagowałaby na zaborczość tatusia. Zostawiłaby go pewno, przyznała posępnie. Ale ona nie jest mamusią. Mamusia była zbyt święta, zbyt doskonała moralnie, żeby przedłożyć własne potrzeby nad potrzeby kogoś tak bezradnego i zależnego od niej jak tatus.

Nachmurzyła się jeszcze bardziej, uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy spogląda trzeźwym okiem na małżeństwo rodziców, po raz pierwszy podaje w wątpliwość ich wzajem-

ny stosunek, który przez długie lata uważała za ideał. I pomyśleć, że zazdrościła mamusi, iż jest ona punktem, wokół którego obraca się życie tatusia. Teraz po raz pierwszy stwierdzała, że był to stosunek, który ona, jako kobieta, uznałaby za dławiący, pętający.

A jednak mamusia najwidoczniej tak nie uważała. Sage wzruszyła ramionami. Mamusia i ona są różnymi, diametralnie różnymi indywidualnościami. Nie mają ze sobą nic wspólnego, poza tym że są matką i córką, poza owym przypadkiem urodzenia, który je złączył więzami krwi, co nie sprawia satysfakcji żadnej z nich, choć trzeba przyznać, że mamusia lepiej potrafi maskować swoją niechęć.

Mimo to, mimo wszystko, co między nimi zaszło, mimo całego żalu i goryczy, coś rwało się w duszy Sage, żeby się dowiedzieć więcej o dziewczynie, którą poznawała z pamiętników.

Dlatego teraz, po drugiej nad ranem, leżała w łóżku, kartkując pamiętnik mamusi i starając się odepchnąć od siebie wspomnienia, które jej nie pozwoliły spać. Wspomnienia wywołane nieoczekiwanym i nie chcianym spotkaniem z Danielem Cavanaghem.

Daniel Cavanagh. Zamknęła na chwilę oczy, próbując się otrząsnąć z wrażenia, że ten mężczyzna wkradł się jakoś za nią do pokoju.

Daniel Cavanagh. Kimże on w końcu jest? Mężczyzną jak

wielu innych. Niczym więcej. Zwyczajnym mężczyzną.

Otworzyła oczy i jąła szybko przerzucać kartki pamiętnika, szukając miejsca, w którym przerwała lekturę, odpychając zdecydowanie wszelką myśl o Danielu Cavanaghu i przeszłości, koncentrując się na opowieści mamusi o jej życiu.

Minął tydzień, potem drugi, a Lizzie wciąż nie miała znaku życia od Kita. Co dzień z nadzieją wyglądała listu, ale list nie nadchodził. Aż pewnego ranka, kiedy się przebudziła, świat zawirował jej obłądnie przed oczami, żołądek podjechał do gardła i ogarnęła ją potężna fala mdłości, tak że musiała biec czym prędzej do łazienki, gdzie dostała gwałtownych i bolesnych torsji.

Fakt, że się nie domyśliła od razu ich przyczyny, wynikał z pruderyjnego wychowania ciotki Vi.

Lizzie miewała często torsje w początkowym okresie pracy w szpitalu, kiedy jej żołądek buntował się przeciwko nieapetycznej diecie, i jeśli teraz, pośród nieustających rojeń o Kicie, znajdowała czas na zastanawianie się nad uporczywymi mdłościami, to uznawała je za nawrót dawnych dolegliwości. Trwało to, dopóki jedna z dziewcząt nie zobaczyła jej wymiotującej któregoś ranka i nie oświeciła mimo woli, pewna, że Lizzie jest świadoma przyczyny swoich porannych dolegliwości.

Dziecko... Dziecko Kita... Po pierwszym paroksyzmie przerażenia, że znalazła się oto w zastępie owych godnych potępienia dziewcząt, które podług słów ciotki Vi pozwoliły się mężczyznom „wpędzić w biedę”, i że jako jedna z nich stanie się teraz wyrzutkiem moralnym i społecznym, po tym pierwszym paroksyzmie przyszedł leciutki dreszcz radości. Dziecko Kita. Nosi dziecko Kita.

Wróciwszy do sali, opadła na łóżko, z dłońmi splecionymi na łonie. Kręciło jej się w głowie, lecz powodem nie były już mdłości, tylko rozpierająca radość.

Dziecko Kita... Ogarnęła ją przemożna potrzeba podzielenia się z nim nowiną, zachwytem nad cudem życia, które wspólnie poczęli. Kit! Jak bardzo za nim tęskniła.

Siedziała wpatrzona w przestrzeń, zatopiona w cudownym rojeniu, w którym pojawiał się nagle Kit, porywał ją w objęcia i oznajmiał, że muszą się niezwłocznie pobrać, bo kocha ją do obłądu...

Uwoził ją swoim lśniącym zielonym autem i brali potajemnie ślub. Potem mieszkała w małym domku, zagubionym

wśród róż, z dala od świata, ale dostatecznie blisko obozu, by Kit mógł się z nią widywać, gdy tylko nie miał służby.

Czekała tam na urodzenie dziecka, ich syna, bo wiedziała, że to będzie syn i że będą tak nieskończenie szczęśliwi...

Jej rojenia rozproszyła dopiero z brutalną szczerością Donna, jedna ze starszych i znacznie bardziej doświadczonych mieszkanek bursy. Wybrały ją do tej misji pozostałe dziewczęta. Były w większości poczciwymi istotami, które w zdu-

mienie wprawiał spokój Lizzie. One by na jej miejscu nie siedziały i nie czekały na powrót Księcia z Bajki. Czyż biedna kretynka nie pojmuje, co ją czeka, kiedy przełożona w szpitalu się dowie, że jest w odmiennym stanie?

Donna Roberts była najstarsza z ośmiorga rodzeństwa, w tym pięciu dziewcząt, i zbyt wiele razy widziała matkę w ciąży, by mieć złudzenia co do beztroskiego płodzenia przez mężczyzn nie chcianych dzieci. Lecz nawet ją zbiła na chwilę z tropu niezachwiana, dziecinna wiara Lizzie, że jej ukochany, gdziekolwiek jest, wróci, żeby ją poślubić.

- Posłuchaj, mała - zaczęła niepewnie. Miała przyjaciela, amerykańskiego lotnika, od którego nauczyła się nie tylko żuć gumę, lecz także przejęła niektóre wyrażenia. - Wiemy wszystkie, w jaką wdepnęłaś kabałę. Rozumiem, że to niełatwe, ale musisz teraz spojrzeć prawdzie w oczy. Nie chcesz chyba skończyć jak Susan Philpott, prawda?

- Jak Susan Philpott? - Lizzie patrzyła na nią nie rozumiejącym wzrokiem. - Przecież ona wróciła do domu.

- Guzik tam wróciła - odparła nieelegancko Donna. - Bóg wie, gdzie teraz jest, ale na pewno nie wróciła do domu. Sama mi powiedziała, że ojciec by ją zakatrupił za to, że sobie dała zmajstrować bachora. Oczywiście, kiedy jędzunia siostra przełożona się dowiedziała, nie było już tutaj miejsca dla biednej Susan. Skończyła pewnie na ulicy.

Widząc, że Lizzie nie pojmuje, Donna wyłożyła jej brutalnie kawę na ławę.

- Zrozum, Lizzie, facet nie wróci, oni nigdy nie wracają. Musisz coś z tym zrobić - oświadczyła dobitnie, wskazując na jeszcze płaski brzuch dziewczyny.

- Coś zrobić? - zapytała Lizzie, wciąż nie pojmując.

Pominięta milczeniem potraktowanie przez Donnę Kita jak przeciętnego mężczyzny. Cóż, Donna go nie zna. Nie wie, co oni dwoje do siebie czują, jak bardzo się kochają. Ona, Lizzie, wie to od momentu, gdy go pierwszy raz ujrzała. Wyczytała to od razu z jego oczu, wyczula - przypomniała sobie teraz z niemal macierzyńską czułością - z jego pożądaniami, z jego niemożności panowania nad sobą, z gwałtowności, z jaką ją posiadł.

- Co znaczy, że muszę coś zrobić? - zapytała szepciem.

Dostrzegła politowanie w oczach Donny, odczytała je z martwego milczenia przysłuchujących się dziewcząt. Była świadoma ich szorstkiej sympatii i współczucia dla siebie, lecz ta troska jakby jej nie dotykała, nie była jej potrzebna. Wiedziała, że chcą jej dobra, a miała w sobie zbyt wiele delikatności, żeby otwarcie odepchnąć ich zainteresowanie.

Donna westchnęła i uniosła oczy ku górze. Jest gorzej niż myślała. Dlaczego w kabałę ładują się zawsze takie naiwne idiotki? Czy nie mają odrobiny oleju w głowie? Lecz z góry znała odpowiedź, słyszała ją tyle razy, powtarzaną powolnym dorseckim akcentem matki, która, dając jej za przykład własne życie, ostrzegała swoją pierworodną, co czeka naiwne dziewczęta, które uwierzą w męskie kłamstwa. Jej matka miała szesnaście lat, kiedy zaszła pierwszy raz w ciążę, i w wieku

trzydziestu pięciu lat, kiedy Donna opuszczała dom rodzinny, wyglądała jak kobieta dwa razy starsza, wyniszczona przez zbyt wiele ciąży, wiele strapień, zbyt dotkliwą nędzę.

Dla Donny wojna przyszła jako upragnione wyzwolenie, wybawiła ją od konieczności pójścia w ślady matki, od wczesnego małżeństwa i zbyt licznych dzieci. Donna była aż nadto rada, że może uciec z wilgotnego, pozbawionego wygod domostwa robotnika rolnego, w którym dzieliła pokój i łóżko z siostrami, uciec od awantur ojca i nieokrzesanych manier braci. Rada, że może się oderwać od zbyt wielu par wyciągających się dłoni i zbyt wielu natarczywych głosów.

- Będziesz się musiała pozbyć tego dziecka - oświadczyła nie owijając dłuzęj w bawelnę. - Wiem, co myślisz, ale on się z tobą nie ożeni. Oni się nigdy nie żenią.

Życie nie nauczyło Donny delikatności ani taktu. Jej zdaniem, największą przysługą, jaką może wyświadczyć biednej idiotce, było wbicie odrobiny rozumu do jej głupiej mózgownicy. A następnie, jeśli nie jest jeszcze za późno, wsadzenie jej do wanny z niemal wrzącą wodą i wlanie do gardła tyle dżinu, ile im się uda zdobyć, w nadziei że doprowadzi to do samoistnego poronienia. Czasami to skutkuje, czasami nie...

Oczywiście, są jeszcze inne metody, ale to zbyt ryzykowne, zresztą wszystko wskazuje, że i tak będzie twardy orzech do zgryzienia z przekonaniem tej małej do nieuniknionego. Wygląda na taką młodą i nieopierzoną, niemal dziecko, ale Donna wiedziała, co o tym myśleć. Takie typy cechuje ośli upór. I ośla głupota.

Lizzie, wstrząśnięta, patrzyła na Donnę z niedowierzaniem. Pozbyć się dziecka Kita? Odsunęła się osłaniając brzuch, jakby w obawie, że tamta się na nią rzuci.

- Posłuchaj, mała idiotko - powtórzyła złowroźnie Donna - on po ciebie nie wróci. Oni nigdy nie wracają, bez względu na to, co naobiecowali. Podał ci swój adres? Powiedział ci o sobie cokolwiek, prócz nazwiska? Czy masz choćby pewność, że to prawdziwe nazwisko? Czy wiesz, co cię czeka, kiedy się wyda, że jesteś w ciąży? Wyrzucą cię z pracy i odeślą do domu...

Zostać odesłaną do domu? Do cioci Vi? Po raz pierwszy strach ściał chłodem serce Lizzie. Wzdrygnęła się, całkowicie niezdolna przyjąć słów Donny, lecz przerażona perspektywą,

jaką tamta odmalowała. Na moment wyobraziła sobie, jakby wyglądało jej życie, gdyby musiała naprawdę wrócić do ciotki, brzemenna i niezamężna. Ciotka by jej nigdy nie przyjęła, zawróciłaby ją od progu i wykleła.

- Wstrząsał nią teraz nieprzerwany dreszcz. Ale czego się właściwie boi? Nic takiego nie może jej się przydarzyć. Kit się z nią ożeni, wiedziała to. Nie ma się czego bać. Musi jedynie wytrwać w tym przekonaniu, zachować wiarę i odwagę, pamiętać, że Kit ją kocha.

- Miejże rozum, mała. Cięża nie może być jeszcze zaawansowana. Przy odrobinie szczęścia powinnyśmy spędzić płód...

- Nie! - przerwała Lizzie twardo, po czym dodała z chłodną godnością: - Nawet gdybyś miała rację, że Kit mnie nie kocha, a wiem, że nie masz, i tak bym nie mogła uśmiercić własnego dziecka.

Donna wiedziała, kiedy dać za wygraną. Wycofała się, mruczając pod nosem coś o szaleństwie swojej płci.

Niech ma nauczkę, mała idiotka, dobrze jej tak. Łatwo jej teraz mówić, że chce urodzić bachora, ale niech poczeka, aż się znajdzie zhańbiona, bez dachu nad głową, bez pensa przy duszy, bez pracy, bez życzliwej duszy... Wtedy zacznie inaczej śpiewać. Ona, Donna, widziała już tyle dziewcząt, którym się to przydarzyło.

Na chwilę ogarnął ją bezsilny gniew na myśl o brzemieniu dźwiganym przez istoty jej płci i pragnienie, by nadszedł dzień, gdy to się zmieni, gdy kobiety będą miały prawo i możliwość kierowania własnym losem. Lecz pierwszej musiałyby odrzucić pęta, z którymi zdają się rodzić, przestać kochać mężczyzn i na nich polegać. Ona sama nie miała złudzeń co do rodu męskiego. Nie zamierzała nigdy wychodzić za mąż, a już szczególnie nie zamierzała brać na swoje barki ciężaru rodzenia i wychowywania dzieci.

Minęło wiele tygodni, odkąd Lizzie otrzymała liścik od Kita. Tygodni, w czasie których z wolna przywykła do świadomości, że nosi w łonie jego dziecko. Cały kraj święcił zakończenie wojny w Europie, lecz dla Lizzie ważniejsze było to, co się dzieje w jej ciele. Nie miała znaku życia od Kita i nie wiedziała, czy po zwycięstwie na kontynencie powrócił cały i zdrowy do kraju, czy też nadal przebywa gdzieś w świecie, narażony na niebezpieczeństwo. Dopóki się tego nie dowie, nie ma dla niej powodu do świętowania. Nawet jej osiemnaste urodziny minęły niczym nie upamiętnione, jeśli nie liczyć kartki z życzeniami i prezenciku od cioci Vi.

Czasami, leżąc w łóżku, przyciskała dłonie do swego jeszcze niezbyt zaokrąglonego łona, w miłości i zadziwieniu, a niekiedy, o wstydzie, także w nagłej panice. Wiedziała, że Kit ją kocha, oczywiście wiedziała, ale potrzebowała od niego znaku życia albo, jeszcze lepiej, zobaczenia go. Rozumiała, że, jak tyłu innych mężczyzn, Kit musi walczyć w obronie kraju, ona zaś, jak niezliczone tysiące kobiet, musi cierpliwie, z drżeniem serca oczekiwać jego bezpiecznego powrotu. Lecz tak rozpaczliwie łaknęła jego kojącej obecności, tak rozpaczliwie potrzebowała jego wsparcia, by znieść współczujące spojrzenia dziewcząt, gdyż świadomość, że jest teraz od nich odmienna, że dziękują Bogu, iż nie znajdują się w jej skórze, podkopywała z wolna jej odwagę i wiarę.

Edward widział jej zmieniony nastrój i martwił się nim. Nie próbował jednak wypytywać, podejrzewając, że mężczy ją przebywanie w jego towarzystwie.

Wiedział od doktora, że przy należytej opiece, prowadząc egzystencję inwalidy, może żyć jeszcze dwadzieścia lat, i myśl o tym przejmowała go zgrozą. Dwadzieścia lat takiego życia!... Były ranki, kiedy przetrwanie najbliższych dwudziestu godzin wydawało mu się ciężarem ponad siły.

Lizzie, zwykle tak wrażliwa na doznania i nastroje innych,

teraz nie dostrzegą rozpacz Edwarda. Spędzała z nim nadal sporo czasu, lecz jego próby nawiązywania rozmów zbywała zdawkowymi odpowiedziami. Zbyt była zaabsorbowana dzieckiem, które nosi w łonie, i miłością do jego ojca.

Powróciły zimniejsze dni, z porywistymi wiatrami i gwałtownymi ulewami, tak że jeżdżąc na rowerze Lizzie często docierała do szpitala przemoknięta i wstrząsana dreszczami. Mimo ciąży traciła na wadze.

Starła się nie pozwalać, żeby lęk o przyszłość i tęsknota za Kitem psuły jej apetyt, powtarzała sobie, że musi jeść ze względu na dziecko, lecz mimo najsołenniejszych postanowień jej żołądek buntował się raz po raz wobec talerza z niesmacznym posiłkiem.

Edwarda niepokoił jej coraz mizerniejszy wygląd. Dopuścił już do siebie świadomość, że wkradła się jakimś sposobem w jego serce. Naturalnie, nic z tego nie może wyniknąć, powtarzał sobie z goryczą. Lizzie jest młodą i bardzo piękną dziewczyną, przed którą stanie otworem całe życie, gdy wreszcie dobiegnie końca ta przeklęta wojna, podczas gdy jego przyszłość prowadzi jedynie w nicość;.. Bo cóż może ofiarować jakiegokolwiek kobiecie bezsilny kaleka? Z zazdrością porównywał się ze swoim bratem stryjecznym.

Tego dnia otrzymał w porannej poczcie list z firmy adwokackiej, prowadzącej interesy rodzinne, nie otwierał go jednak przypuszczając, że jest to formalne zawiadomienie w imieniu Kita, że nie będzie dla niego miejsca w Cottingdean, gdy brat się ożeni.

Byłoby to zachowanie typowe dla egocentrycznej i egoistycznej postawy Kita. Co on sobie właściwie wyobraża, zastanawiał się z irytacją, wpatrzony w list. Że on, Edward, zwali mu się nieproszony na głowę? Prędzej by ze sobą skończył, niż zrobił coś takiego. Być skazanym na życie w charakterze rezydenta w domu Kita, na okazywanie wdzięczności za jego wzgardę, na przyglądanie się, jak prosperują brat i jego dzieci, podczas gdy on powoli gaśnie;..

Lizzie miała tego dnia ranny dyżur i Edward oczekiwał jej przyjścia. Obiecała go zabrać do parku. Wyjrzał przez okno i stwierdził, że wciąż pada. Widać było, jak wiatr gnie gałęzie. Normalnie by jej to nie powstrzymało, ale jest ostatnio taka mizerna i chuda. Podejrzewał, że nikt z obsługi, ani siostry, ani pomocnice, nie najadają się nigdy do syta. A pracują diabelnie ciężko..

W głębi sali zrobił się ruch, zwiastujący zmianę personelu. Edward wsunął zapieczętowany list do kieszeni i zaczął się rozglądać, możliwie dyskretnie, za znajomą twarzą Lizzie.

W nocy przyszła wielka ulewa i Lizzie w drodze do pracy wpadła w kałużę. Miała teraz mokre pantofle i wstrząsały nią dreszcze. Ponowne wyjście na dwór było ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, ale gdy weszła do sali, dziewczyna, którą zmieniała, szepnęła jej złośliwie:

- Mam nadzieję, że przyniosłaś płaszcz od deszczu. Jego Wysokość czeka gotów do spaceru.

Lizzie zerknęła w kierunku Edwarda i ze ściśniętym sercem stwierdziła, że jego wózek jest już osłonięty ochronnym

pokrowcem.

- Och, Lizzie - powiedział szybko Edward, widząc jej zmęczone spojrzenie - nie masz na pewno ochoty dziś wychodzić. Jest tak mokro na dworze...

Lizzie wyłowiła nutkę rozczarowania w jego głosie i pomyślała, jak by ona się czuła przykuta do wózka, z wiecznym widokiem szarych ścian przed oczami, bez możliwości odetchnięcia przez chwilę świeżym powietrzem.

- Jest rzeczywiście mokro, ale przestało właśnie padać - odparła możliwie pogodnie, pokonując zmęczenie i zimno.

Kącikiem oka dostrzegła aprobujące skinienie siostry przełożonej, kiedy ruszyła, popychając wózek do wyjścia. Gdy się znaleźli na dworze, wstrząsnął nią dreszcz i Edward, który wyczuwał najdrobniejsze drgnienie, zmarszczył czoło.

Ten płaszczyk, który ma na sobie, jest o wiele za cienki na taką pogodę, zatroszczył się opiekuńczo. Przydałby jej się ciepły płaszcz z dobrego tweedu. Pamiętał, że taki płaszcz, z wielkim futrzanym kołnierzem, nosiła jego matka.

W parku istniało miejsce, które Edward szczególnie lubił: cichy mały zakątek z kamienną ławką, nad brzegiem czegoś, co było dawniej dużym okrągłym stawem z fontanną i złotymi rybkami. Fontanna obecnie nie działała, odpływ wody zatkały liście. Nieliczne złote rybki, które ocalały, rozrosły się w duże, tłuste ryby, dosyć odrażające, jak uważała Lizzie. A może tak jej się tylko wydawało przez kontrast ich leniwej otyłości z jej ciągłym, ssącym głodem?

Czuła się tego dnia gorzej aniżeli zwykle. Poranne mdłości trwały dłużej niż normalnie, była po nich słaba i wytrącona z równowagi. Zacisnąwszy hamulec na wózku Edwarda i usiadłszy na ławce, stwierdziła, że drży. Obudziła się rano z twarzą mokrą od łez. Tak rozpaczliwie łaknęła wiadomości od Kita. Jest taka samotna i... tak, zaczyna się okropnie bać. Nie żeby Kit miał ją pozostawić swojemu losowi, to nie, ale co, jeśli coś mu się przydarzyło? Lecz cokolwiek będzie, nie wyrzeknie się nigdy swego dziecka. Co to, to nie.

Edward zauważył, że jest bliska płaczu: oczy jej pociemniały i zaszyły mgłą, twarz zrobiła się bledsza. Wszystko się w nim rwało, żeby ją wziąć w ramiona i pocieszyć. Serce ścisnęło mu przeczucie, że dzieje się z nią coś bardzo niedobrego. Przyglądając jej się spod oka, spostrzegł, jak po policzku spływa jej łza, potem druga, i natychmiast odwrócił się w przeciwną stronę, chcąc jej oszczędzić zakłopotania.

Od gwałtownego poruszenia na wózku zaszeleściła mu w kieszeni koperta, więc wyciągnął ją szybko i zajął się odpieczętowywaniem listu. Siedział z odwróconą głową, żeby dać Lizzie czas na otrząśnięcie się z tego, co ją doprowadziło do łez.

Na dobrą sprawę nie wiedział nic o jej prywatnym życiu. Nie ośmielał się nigdy pytać, nie chcąc nadużywać jej życzli-

wości, obarczać brzemieniem swojej rozpacz, zadzierzgać upragnionej więzi, która - miał tego świadomość - musiałaby się odwoływać do czegoś, co przestało dla niego istnieć.

Czuł, że Lizzie jest inna niż pozostałe siostry i pomocnice. Nie traktuje go z tym co one szorstkim politowaniem, kobiecą pogardą dla jego upośledzonej męskości. Jest delikatna i troskliwa, a on ma w końcu swoją dumę, swoją godność.

Wyjął list z koperty i przebiegł go śpiesznie wzrokiem, nim dotarło do jego świadomości, co zawiera. Uważnie przeczytał jeszcze raz całość, porażony wiadomością.

Lizzie, siedząca na ławce, była Edwardowi wdzięczna za jego takt. Umarłaby chyba, gdyby spytał, co jej jest. Wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że mężczyznę w wózku wiąże pokrewieństwo z dzieckiem, które ona nosi w łonie. On i Kit tak bardzo się różnią. Co by powiedział, gdyby mu wyjawiała tajemnicę? Z niewiadomego powodu czuła, że nie zdradziłby jej ani nie uznał bezpardonowo, tak jak koleżanki, że powinna się pozbyć dziecka, że jest ono przekleństwem, karą za to, iż się pozwoliła kochać Kitowi.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzisiaj rozkleiła, dlaczego jej się zebrało na te głupie łzy. Może wiąże się to z faktem, że dostała rano comiesięczny list od cici Vi. Był on równie zimny i suchy jak wszystkie listy cici, napominał Lizzie, żeby się dobrze sprawowała i pilnie pracowała, ostrzegał przed wpadnięciem w złe towarzystwo, podkreślał, że jakiegokolwiek zdrożne obyczaje mogą panować gdzieś w świecie, w domu cici obowiązująca pozostanie zawsze jedna zasada: „Nie będziesz...”

Gdyby mogła chociaż zapytać Edwarda o Kita. Ale nie może, obiecała przecież Kitowi, że tego nie zrobi.

- O, mój Boże! - usłyszała nagle zdławiony głos kaleki.

Zapominając momentalnie o swoich rozterkach, obróciła się do niego.

- Co się stało? - zapytała trwożnie, podnosząc list, który mu wypadł z ręki. - Źle się czujesz? Coś ci jest?

- Nie, nie, to nic takiego...

Położył jej na dłoni rękę, zaskakująco ciepłą i mocną, lecz o skórze miękkiej jak u kobiety, nie twardej i nieco szorstkiej jak ręka Kita... jak ręka Kita.

- To Kit, mój brat stryjeczny... Może pamiętasz, że mnie tu odwiedził... Właśnie się dowiedziałem... Nie żyje... Zginął w akcji... Muszę wracać, będę miał różne rzeczy do załatwienia... Formalności związane z Cottingdean... I będę musiał zawiadomić jego narzeczoną... Biedna dziewczyna, chociaż pewnie szybko pocieszy się z kimś innym... Może to i lepiej dla niej, bo z Kita by nie miała wielkiego pożytku, on nie był materiałem na męża...

Urwał i wydał cichy okrzyk, spojrzawszy na twarz Lizzie. Nie widział nigdy, żeby ktoś tak zbladł. Mogło się zdawać, że

krew odpłynęła jej zupełnie z twarzy, pozostawiając ją białą jak u trupa. Przez moment zastanowił się nawet w panice, czy Lizzie nie umarła rzeczywiście. Oddech ledwo unosił jej piersi, zapadły się wargi, tak zwykle pełne i ciepłe, tylko oczy zdradzały oznaki życia, porażone niedowierzaniem i wstrząsem.

Starła się coś do niego powiedzieć, otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zęby jej szczykały, ciałem wstrząsał dreszcz, jaki Edward widział kiedyś u człowieka dotkniętego atakiem malarii.

Przeraził się, że dziewczyna zemdleje. Nie powinien był pozwolić, żeby z nim dzisiaj wyszła. Jest na to o wiele za zimno, o wiele za mokro. Postąpił samolubnie.

Gorzką falą zalało go upokorzenie własną bezradnością, własnym kalectwem. Oddałby w tej chwili wszystko, z Cottingdean włącznie, żeby móc wstać i podtrzymać ją, móc się zachować jak mężczyzna, nie jak gnijąca bryła mięsa. Nie pozostało mu nic innego, jak modlić się, żeby zdołali szczęśliwie dotrzeć z powrotem do szpitala.

- Nie czujesz się dobrze - wykrztusił, wściekły na swoją bezsilność. - Powiniennem być wiedzieć... Musimy wracać...

Lizzie uświadomiła sobie później, że musiały do niej dotrzeć te słowa, bo zdołała jakoś odblokować hamulec i obrócić wózek. Ale nie pamiętała tego. Nie pamiętała nic prócz świdrującego bólu w piersi.

Kit nie żyje... Kit odszedł, został jej odebrany na zawsze... Ale gorsza, jeszcze gorsza była ta druga, druzgocąca, niewiarygodna wiadomość, przekazana jej tak niechcący, tak przypadkowo...

Kit miał narzeczoną!

„Będę musiał zawiadomić jego biedną narzeczoną” - oznajmił Edward, a Lizzie wiedziała, że nie mogła się przesłyszeć. Choćby najbardziej pragnęła zepchnąć te słowa w niepamięć, wiedziała, że są prawdziwe.

Nie zdawała sobie sprawy, że dotarli do szpitala, dopóki nie usłyszała, jak Edward woła nagłaco do przechodzącej pielęgniarki:

- Nie mogłaby siostra pomóc? Lizzie niezbyt dobrze się czuje...

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale wszystko wokół niej zawirowało, świat nagle poczerwieniał, potem poczerniał - i rozwarła się pod nią przerażająca otchłań.

Edward gryzł się przez całe popołudnie i zamęczał wszystkich pytaniami, jak się ma Lizzie i co jej właściwie jest. W końcu pielęgniarki zdenerwowały się i sprowadziły starszą siostrę, która go zgromiła:

- Panie majorze, jakże można się doprowadzać do takiego stanu? Pannie Bailey nic nie jest. W każdym razie nic, o co by pan mógł sobie robić wyrzuty - dodała ponuro. Niemożliwe są te dziewczęta... Wydawałoby się, że powinny mieć na tyle

rozumu, żeby się nie pakować w podobne historie. No, ta mała zostanie wyprawiona do domu, jak tylko lekarz wyrazi na to zgodę, a sądząc z tego, co mówi siostra przełożona, która zna jej ciotkę, nie czeka jej tam zbyt słodkie przyjęcie. Pierś siostry zafalowała pod wykrochmalonym gorssem fartucha.

Ona sama miała pięćdziesiąt cztery lata i była starą panną. Do białej gorączki doprowadzała ją głupota dziewcząt i ich perypetie z mężczyznami. Zazwyczaj potrafiła przewidzieć, z którymi będą kłopoty, ale nigdy w życiu by nie przypuszczała, że z tą... I masz, babo, placek...

Wyduła pogardliwie wargi, utwierdzając Edwarda w podejrzeniu, że coś przed nim tai.

- Niech pan się uspokoi, majorze. Niedługo dostanie pan lekarstwa.

Była święcie przekonana, że wyświadcza mu przysługę. Co w końcu może obchodzić tak okaleczonego mężczyznę, że ta głupia dziewczyna pozwoliła sobie zrobić dzieciaka... Takie sprawy nie będą już nigdy w orbicie jego zainteresowań. Edward gryzł się przez całą noc. Nikt, kogo pytał, nie chciał mu powiedzieć, co jest Lizzie. Sama Lizzie, której nie pozwolono wrócić do bursy, leżała w łóżku szpitalnym, pod nieprzychylnym wzrokiem dyżurnej siostry.

Gdy tylko doktor odkrył jej stan, oznajmiono jej, że zostanie wyprawiona do domu. W pierwszej chwili, porażona bólem, że Kit nie żyje i że, choć przecież ją kochał, był jednak zaręczony z inną kobietą, nie zastanawiała się nad tym, co dalej.

Lecz teraz, gdy tak leżała bezsennie, zaczęła sobie uświadamiać swoją okropną sytuację. Spodziewa się nieślubnego dziecka, którego ojciec nie żyje. Przez krótką chwilę pocieszała się rozważaniem, co by było, gdyby powiedziała, że się pobrali. Ale to by było nieuczciwe. Wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie pozostaje jej więc nic innego, jak zdać się na łaskę cioci Vi. Zakładając, że ta ją w ogóle wpuści do domu, kiedy się dowie.

Leżała drżąc w łóżku, z przerażeniem oczekując ranka, przelykając gorzkie łzy.

Edward także nie mógł spać i nowa, niedoświadczona siostra, która robiła nocny obchód, widząc, jak się przewraca i rzuca na łóżku, wezwała doktora.

- Coś panu dolega, majorze? - zapytał lekarz.

Powinien być już na emeryturze, ugiął się pod brzemieniem pracy, którą w normalnych czasach wykonywałoby czterech znacznie młodszych ludzi. Napatrzył się przez te lata wojny na tyle cierpień, że wyrobił sobie obronny mechanizm zobojętnienia, bez którego, podejrzewał, postradałby już dawno zmysły. Edward miał w sobie jednak coś, co go zawsze przejmowało.

- Niepokoję się o Lizzie... o pannę Bailey - przyznał Edward. - Zasłabła rano, kiedy ze mną wyszła na spacer. Nikt mi nie chce powiedzieć, co jej jest...

Doktor wiele w życiu widział. Jeden rzut oka na bladą, tragiczną twarz dziewczyny, do której wezwała go siostra

przełożona, powiedział mu wszystko. Zrobiło mu się jej niewymownie żal, a jednocześnie ogarnęła go wściekła złość na nią. Tak beznadziejnie głupie są te młode dziewczyny! Im bardziej niewinne, tym głupsze.

Patrząc teraz w napiętą twarz pacjenta, pomyślał, że gdyby nie był on kaleką bez nóg, można by niemal podejrzewać... W końcu istnieje jednak szansa, jakkolwiek nikła, że mógł on spłodzić dziecko...

- Ta głupia mała nawarzyła sobie piwa - poinformował szorstko. - Zawróci takim w głowie jakiś chłystek, naopowiada kłamstw, naprzysięga, że je kocha... Niestety, nic nie można poradzić. Przepisy są przepisami. Zostanie odesłana do domu. Ma podobno tylko starą ciotkę, znajomą siostry przełożonej, i jak słyszę, nielichą ksantypę. Nie powita pewnie biedaczki z otwartymi ramionami, ale co można zrobić? Nie prowadzimy tu przytułku dla dziewcząt, którym się powinęła noga.

Edward patrzył na niego oniemiały.

Lizzie, mała Lizzie w ciąży... Nie mieściło mu się to w głowie.

- A ten mężczyzna? Ojciec... ? - wykrztusił. Doktor pokręcił głową.

- Podobno nie żyje. Siostra przełożona zdołała tyle z niej wydobyć, ale dziewczyna nie chce zdradzić nazwiska. Z relacji wynika, że był lotnikiem. Prawdopodobnie nie miał wcale zamiaru się z nią ożenić, tacy się nigdy nie żenią, ale ona w to za nic nie uwierzy. Biedne dziecko...

Lizzie w ciąży, Lizzie, która jest rzeczywiście prawie dzieckiem... Taka czysta i niewinna, że mógłby przysiąc...

Nagle Edward pojął prawdę.

Lizzie, jego Lizzie, nosi dziecko Kita. Nie zadał sobie pytania, skąd wie ani skąd zrodził się w nim raptem ten instynkt opiekuńczy w stosunku do niej. Wiedział tylko, że z przemożnego uczucia, wzbierającego w jego piersi, wynikają dwa niezbite pewniki. Pierwszy, że Kit, jego zniechęcony brat stryjeczny, pozbawił Lizzie niewinności, uwiódł ją i zbrukał, bez wątplenia okłamał i porzucił. I drugi, że on, Edward, musi się zobaczyć z Lizzie, musi się z nią rozmówić...

Nie spał przez resztę nocy, rozmyślając i planując. Doktor napomknął w rozmowie, że Lizzie ma rano zostać odesłana do domu. Edward był zawsze człowiekiem domyślnym i dopowiedział sobie to, o czym lekarz nie wspomniał. Zresztą sam wyrósł w małej zamkniętej społeczności i doskonale wiedział, jak zostanie potraktowana Lizzie i jej dziecko, jeśli pozwoli im się powrócić do domu ciotki.

Nie może do tego dopuścić. Lizzie nie zasługuje na tyle cierpienia, na tyle upokorzenia. Jej dziecko... Serce zamarło mu w piersi. Dziecko Lizzie będzie jego bratankiem, jego dziedzicem... Zostanie pewnego dnia panem na Cottingdean. Nie będzie innych dziedziców. Kit nie żyje, a on... on tak jakby nie żył, jeśli o to chodzi...

Ale może być jeszcze użyteczny dla Lizzie. Jest nadal

mężczyzną w świetle prawa. I to nie pierwszym lepszym mężczyzną, lecz właścicielem domu, który będzie pewnego dnia należał do dziecka Lizzie.

Kiedyś, dawno temu, jego rzeczą byłoby się ożenić i spłodzić dziedziców majątku i domu. Jednakże w obecnej sytuacji jedyne dziedzicze rodu Danversów, jaki może kiedykolwiek chodzić po tym świecie, nosi w łonie Lizzie. Więc co, gdyby się ożenił z Lizzie... ?

W uszach mu szumiało, w głowie roilo się od myśli. Czuł się dziwnie lekko, tak jakby nagle odkrył mistyczną tajemnicę, doznał objawienia, że życie może jeszcze nieść nadzieję, widoki na przyszłość. I kiedy tak leżał na poduszkach, porażony zuchwalstwem swego planu, zaczęło mu powoli świtać w głowie, że być może los zaczyna się do niego uśmiechać, rzuca mu deskę ratunku, której będzie mógł się uchwycić, żeby coś uczynić z nędznymi resztkami swego zrujnowanego życia.

Ma już Cottingdean, więc co stoi na przeszkodzie do zdobycia wszystkiego innego? Ma dziedzictwo Kita, więc dlaczego nie miałby odziedziczyć również jego dziecka? Pod jego opieką, miłością to dziecko dojrzeje wyposażone w nieskończenie więcej, niż mógłby mu kiedykolwiek zaofiarować Kit.

Na koniec, co nie mniej ważne, będzie miał Lizzie, piękną, subtelną Lizzie, która rozpromienia szarość jego dni jak tęcza, nadaje im barwę i treść, budzi go do życia.

Tylko czy Lizzie zechce za niego wyjść? Jest młoda, ładna, atrakcyjna. A jeśli go teraz poślubi, by kiedyś potem rzucić? Jest taka młodziutka; czy to w ogóle uczciwe z jego strony stawiać sprawę małżeństwa? Może po prostu zaofiarować jej dom, przystań? Czy chce jej się oświadczyć tylko dlatego, że wie, jak ludzie będą plotkować, kiedy na świat przyjdzie dziecko, czy też dlatego, że przez cały czas o tym w głębi duszy śnił?

Lizzie również nie mogła spać. W miarę zbliżania się ranka ogarniała ją coraz większy strach.

Siostra przełożona nie pozostawiła jej złudzeń co do przyjęcia, jakiego może się spodziewać ze strony ciotki Vi. Obraz ponurej przyszłości, jaka ją czeka, zaczynał po trochu przebić przez rozpacz po utracie Kita. Kita, który - docierało to powoli do jej świadomości - nigdy nie był jej Kitem. Serce łomotało jej boleśnie w piersi, czuła się opuszczona i przerażona bardziej niż wtedy, gdy jechała w nieznaną, by zamieszkać z ciotką Vi.

Po raz pierwszy ogarnęła ją niemal rozpacz, że będzie miała dziecko, ale zaraz odepchnęła niegodne uczucie, zawstydzona własną słabością. Jakże mogłaby się zaprzeczyć dziecku Kita? Splotła obronny gest ręce na łonie, jakby prosząc dojrzewający płód o przebaczenie. Oczywiście, pragnie tego dziecka, kocha je, gotowa jest dla niego ponieść każdą ofiarę.

Ale zaraz przypomniała sobie, jak wyglądało życie w miasteczku dwóch czy trzech znanych jej dziewcząt, które urodzi-

ły nieślubne dzieci. Jak omijały je wszystkie kobiety, jakimi uśmiezkami witali je mężczyźni, jak ich dzieciom dokuczali rówieśnicy. Jedna z nich, dziewczyna w jej wieku, nie mogąc tego dłużej znieść, popełniła w końcu samobójstwo. Oczy zapiekły Lizzie od łez, wstrząsnął nią dreszcz. Zdjęło ją śmiertelne przerażenie o los własny i dziecka.

„Jakże mogłeś mnie opuścić, Kit? - szepnęła bezgłośnie w myśli. - Tak bardzo cię potrzebuję”.

Ale Kit odszedł, pozostała sama. Zresztą Kit nigdy naprawdę do niej nie należał, był zaręczony z inną kobietą. Wierzyła mu, a on ją oszukał. Promienna miłość od pierwszego wejrzenia, która wydawała jej się taka drogocenna, okazała się podrzędnym kruszcem żądz. Zadrzała na wspomnienie, jak mało przyjemności zaznała ze zbliżenia z Kitem, jak je ścierpiała jedynie z miłości do niego.

Edward doczekał godziny zmiany personelu. Zawsze robiło się zamieszanie, kiedy odchodziła nocna zmiana, a przychodziła ranna.

Poprosił jednego ze zdrowszych pacjentów, żeby go zawiózł do malej bocznej salki, w której leżała Lizzie.

Lizzie usłyszała jego wózek, obróciła na niego wzrok i twarz jej oblał rumieniec.

Edwarda przepelniła litość i gniew, kiedy się skurczyła pod jego spojrzeniem. Już nosi na sobie stygmat zbrukania przez Kita. Już utraciła świeży wygląd niewinności. Jej ciało już się ugina pod brzemieniem płodu w łonie.

Lizzie odwróciła głowę, kiedy Edward znalazł się koło jej łóżka. Drugi pacjent odszedł po szeptanej wymianie zdań, w której Edward poprosił go o powrót za dziesięć minut.

Dziewczyna nie była w stanie spojrzeć na Edwarda. Z jego twarzy wyczytała, że wie. Gniew ani oburzenie innych nie przyprawiły jej już o wstyd, lecz uczyniła to spokojna twarz Edwarda.

Mężczyzna patrzył, jak bezgłośnie łkanie unosi jej ramiona, i zalała go nowa fala gniewu. Za to jedno byłby gotów zabić Kita.

- Nie płacz, Lizzie - powiedział łagodnie, dotykając jej pleców. - To Kit, prawda? Kit, mój brat stryjeczny, jest ojcem twego dziecka. I to moja wina, że tu dzisiaj leżysz. Mój wczorajszy nietakt...

- Czy to prawda, że był z kimś zaręczony?

Edward zeszywniał. Powinien był to przewidzieć. Zadużyła się w nim, biedaczka. Oczywiście, Lizzie nie należy do

dziewcząt, które by się oddały mężczyźnie bez miłości. Przez chwilę miał pokusę, żeby jej powiedzieć prawdę. Ale nie może tego zrobić.

- Tak - odrzekł, po czym dodał szybko: - Ale mówił mi podczas ostatniej wizyty, że nie kocha już tej kobiety i chce zerwać zaręczyny.

Nie jest to może zupełnie kłamstwo. Kit miał wprawdzie

święty zamiar poślubienia Lillian, lecz z całą pewnością nigdy jej nie kochał. Edward osobiście wątpił, czy Kit kochał w życiu kogokolwiek prócz siebie, ale tego nie mógł, oczywiście, powiedzieć Lizzie.

- Posłuchaj, mam tylko dziesięć minut, a muszę z tobą pomówić. Postaraj się mnie wysłuchać. Wiem, jak cierpisz, ale to ważne nie tylko ze względu na ciebie, ale także ze względu na dziecko.

Wyczuwał napięcie jej ciała. Chociaż się nie obróciła, wiedział, że przykuł jej uwagę.

- Zdajesz sobie sprawę, że to dziecko, dziecko Kita, zostanie pewnego dnia moim dziedzicem. Odziedziczy po mnie Cottingdean, tak jak ja je teraz dziedziczę po Kicie. Wiem od doktora Marshalla, że mają cię dzisiaj odesłać do ciotki, i domyślam się z jego relacji, że nie powita cię ona z otwartymi ramionami. Lizzie, orientujesz się równie dobrze jak ja, że pozostanę na resztę życia kaleką zdanym na łaskę innych i że jest bardzo wątpliwe, żebym się kiedykolwiek doczekał własnego potomstwa. Ale dziecko twoje i Kita ma wszelkie prawo, żeby się wychowywać w Cottingdean. Majątek będzie w końcu kiedyś do niego należał. Bardzo bym ci chciał zaofiarować w swoim domu opiekę jako wdowie po moim bracie stryjecznym, chciałbym móc otwarcie uznać twój związek z nim. Twój i twego dziecka. Ale sama rozumiesz, że to niemożliwe. Pragnę was jednak zabrać do Cottingdean. Gdyby Kit żył, ożeniłby się z tobą i sam by was tam zabrał.

Edward wiedział dobrze, że to nieprawda, że Kit niczego podobnego by nie uczynił, ale nie potrafił się zdobyć na powiedzenie tego Lizzie.

- Chcę, żebyś pojechała ze mną do Cottingdean, Lizzie. Chcę, żebyś została moją żoną...

Lizzie poderwała się na łóżku i wpatrzyła w niego szeroko otwartymi oczyma.

Czy jej się śni, czy Edward naprawdę jej się oświadczył? Stłumiła odruch histerycznego śmiechu, świadectwa bardziej udreki niż rozbawienia. Tak długo marzyła o oświadczeniach Kita, o ślubie z nim, że oświadczyzny Edwarda wydały jej się teraz parodią, okrutną drwiną losu.

Zostać żoną Edwarda, który jest wprawdzie dobry i miły, ale pozostanie na resztę życia kaleką, jak to sam przyznaje. Edwarda, który nie byłby nigdy jej prawdziwym mężem, czego by sobie zresztą nie życzyła, w każdym razie nie w sensie seksualnym. Ta karta jest dla niej zamknięta. Nigdy nie pozwoli żadnemu mężczyźnie kochać się tak jak Kitowi.

Tak, Edward nigdy nie zastąpi Kita, ale może ją chronić, podpowiedział jej cichy głos wewnętrzny. Edward może ją i dziecko osłonić płaszczykiem szacowności. Edward może ją ocalić przed odesłaniem do domu i potępieniem ciotki Vi.

Nie, Edward nie jest Kitem, ale czy może nim być jakikolwiek mężczyzna? Zadrżała na myśl, że miałyby kiedykolwiek dzielić z innym mężczyzną intymne pieszczoty, takie jak z Kitem. Pieszczoty, które okazały się bolesne i tak odstręczające, nawet z ukochanym. Pieszczoty, które, szczerze mówiąc, chętnie wyrzuci na zawsze ze swojego życia.

Zostać żoną Edwarda... Powinna z miejsca powiedzieć nie, więc czemu tego nie czyni?

- Pomyśl o dziecku - ciągnął Edward wyczuwając, co się dzieje w jej duszy.

Jej twarz jest tak przejrzysta, jej myśli pozwalają się tak łatwo wyczytać z oczu.

- Zastanów się - nalegał. - Wiem, jakie to będzie dla ciebie poświęcenie, ale tego by pragnął Kit dla swego dziecka, dla swego syna... Żeby się wychowywał w Cottingdean.

Wiedział, że Kita ani by to grzało, ani ziębiło, ale tego postanowił nigdy jej nie mówić.

- Zostań moją żoną, Lizzie - zażądał, nagle stanowczy i zdecydowany.

Przypomniał jej w tej chwili ostro, boleśnie Kita. Czują się taka słaba, taka bezradna. Była w śmiertelnej rozpacz i oto zjawił się Edward, ofiarowując jej ucieczkę, przystań. Nadzieję dla niej i dla jej dziecka. On ma rację, przyznała z głębokim westchnieniem. Syn jej i Kita powinien się wychowywać w domu swego ojca. Uchroni go to przed piętnem nieprawego pochodzenia.

- Tego by pragnął Kit - powtórzył zdecydowanym tonem Edward.

- Tego by pragnął Kit - powtórzyła za nim.

Oczywiście, że tego by pragnął. Nagle wszystko stało się jasne i proste. Musi przyjąć oświadczenia Edwarda. Musi zostać jego żoną.

Będą wówczas bezpieczni, ona i jej maleństwo, bezpieczni na zawsze. Uchroni w ten sposób dziecko przed piętnem bękarta, a siebie przed łapczywością męskich żąd.

Tak, jako żona Edwarda będzie bezpieczna, nie narażona na pożądanie innych mężczyzn. A Edward jako mąż nie jest w stanie domagać się od niej owych intymności cielesnych, których tak bardzo się teraz obawiała.

Miała osiemnaście lat, lecz poczuła się nagle tak, jakby miała osiemdziesiąt.

„Dzisiaj odbył się mój ślub z Edwardem”.

Lizzie patrzyła na te słowa, jakby zostały napisane w obcym języku, niezrozumiałym dla niej. Jak płasko i pusto brzmią w jej umyśle. Jak całkowicie wyprane są z radości, z uniesienia, w jakim pisała o poznaniu Kita. Wypadki następowały po sobie tak szybko. Edward musiał uzyskać pozwolenie cici Vi na ślub, gdyż Lizzie była niepełnoletnia. Do tej pory nie wiedziała, jak tego dokonał, ciocia bowiem twardo oświadczyła, że nie chce mieć z nią nigdy więcej do czynienia. Teraz jest już panią Danvers. Ból zawirował w niej ostrą spiralą. Jest panią Edwardową Danvers, podczas gdy powinna być panią Christopherową Danvers. Oczy miała suche, wylała już tyle łez, że nie miała czym płakać.

Nagle zapragnęła opuścić jak najszybciej szpital, uciec do nowego życia, które jej obiecuje Edward. Jest podekscytowa-

ny jak chłopiec perspektywą powrotu do domu swego dzieciństwa. Maluje go tak promiennymi barwami, że Lizzie widziała go już sama oczyma wyobraźni. Miała spore wątpliwości, czy będzie pasowała do takiego eleganckiego otoczenia. Odwiedzała podobne domy w towarzystwie cioci Vi i zawsze ją onieśmiały. Te ich piękne delikatne antyki, krucha porcelana, puszyste pastelowe dywany, błyszczące froterowane posadzki...

W Cottingdean będzie inaczej. Będzie to jej dom. Ona będzie jego panią, jej dziecko jego dziedzicem. Jej dziecko... Już nie tylko jej, lecz również Edwarda.

Jedyną osobą, która próbowała ją odwieść od tego małżeństwa, był doktor Marshall. Czy zastanowiła się dobrze, co ono oznacza, wypytywał ją szorstko. Nie dzisiaj, w tej chwili, lecz na całą resztę życia. Czy zdaje sobie sprawę, jak długo Edward może żyć, perswadował widząc, jak patrzy na niego apatycznym wzrokiem. Po czym dokończył surowo, niemal ze złością:

- Na miłość boską, dziecko, orientujesz się chyba, że ten człowiek nie będzie nigdy prawdziwym mężem. Teraz może ci to nie robi różnicy, kobiety w twoim stanie rzadko o tym myślą. Ale później, przez te długie lata, które nadejdą... Kiedy znaczenie jego słów do niej dotarło, Lizzie oblała się rumieńcem, nie z zakłopotania jednak, lecz z poczucia winy. Winy, że doznała jedynie ulgi, bo odrazą przejmowała ją myśl o intymnym kontakcie z jakimkolwiek mężczyzną. Skoro nie zaznała przyjemności przy stosunku z Kitem, to jakże mógłby jej sprawić przyjemność stosunek z innym mężczyzną? Nie, należy najwidoczniej do kobiet, które natura uczyniła oziębłymi płciowo. Czyż nie dał jej tego do zrozumienia sam Kit? Teraz pojmowała, że miał rację.

Dostrzegala jak przez mgłę dobroć Edwarda, jego troskę o nią, starania, żeby ją chronić, ale wypełniał ją taki bezmiar bólu, żyła w takiej niezdolności myślenia o czymkolwiek innym prócz tego, że musi jakoś znieść mękę utraty Kita, musi ze względu na dziecko, które poczęli, iż nie było w jej świadomości miejsca na nic innego.

Mocą dziwnej alchemii, do której ród żeński zdaje się genetycznie zaprogramowany, zdołała w swoim umyśle przeobrazić Kita z pewnego siebie, samolubnego pyszałka, jakim był, w człowieka, jakim z całą pewnością nigdy nie był. Królował już w jej pamięci jako doskonała istota ludzka, jako jedyna prawdziwa miłość jej życia. Edward, jej małżeństwo z nim, życie, jakie będą razem wiedli, rysowały się jak bładzień w zestawieniu z promiennym wspomnieniem miłości do Kita.

Pastora, który odprawił w ciągu minionych lat wojny więcej pośpiesznych ceremonii ślubnych, niż chciał przed samym sobą przyznać, poruszył do głębi widok tej pary: oblubienica taka młodziutka, z pewnością o wiele za młoda na żonę i matkę, oblubieniec znacznie starszy i tak straszliwie doświadczony przez los.

Lizzie z zaskoczeniem ujrzała, że Edward zamówił fotografa, żeby uwiecznił moment ich wyjścia z kościoła pod okiem milczącej grupki gapiów.

- To na pamiątkę dla dziecka - wyjaśnił jej później.

Na pamiątkę dla dziecka. Lizzie zmarszczyła się w odruchu obrony praw Kita do nie narodzonego potomka. Płód, który nosi w łonie, jest przecież dzieckiem Kita. Któregoś dnia, kiedy trochę podrośnie, opowie mu o ojcu. Tak, opowie. Zatrzymała się nagle, uświadomiwszy sobie, jak mało może powiedzieć o Kicie, jak mało właściwie o nim wie, jak bardzo będzie zawsze zależna od Edwarda, jeśli chodzi o informacje o nim. A Edward chce wychować ich dziecko jako swoje własne. Powiedział jej to niedwuznacznie, a ona wysłuchiwała tego w milczeniu, ciągle zbyt przybita utratą Kita, by protestować.

- Jeśli się nie pobierzemy, zrodzą się nieuniknione plotki - ostrzegł ją.

Wstrząsnął nią dreszcz, poczuła, jak na ciele występuje gęsia skórka. Stała sztywno obok Edwarda w cienkiej bawełnianej sukience, którą sobie kupiła pod wpływem jego nalegań. Wprawił ją w głębokie zakłopotanie, gdy jej wręczył swoje kartki i pieniądze, i jął przekonywać, że powinna sobie sprawić coś ładnego. Miała na końcu języka powiedzenie, że wolałaby kupić za to coś dla dziecka, lecz powstrzymał ją jakiś kobiecy instynkt, dotychczas jej nie znany. Jedyna sukienka, jaką znalazła, była za duża, z taniego, lichego materiału, nie chroniąca przed zimnym wiatrem, hulającym na przykościelnym cmentarzu.

Kiedy się posuwali szpalerem ciekawskich, nagle uderzył Lizzie melancholijny, opuszczony wygląd tego miejsca, z szeregiem grobów, stanowiących nieme świadectwo pokoleń, które przyszły i odeszły, których już nie ma. Kit nie ma grobu, niczego, co by upamiętniło jego egzystencję. Zadrzała ponownie i zwróciła się impulsywnie do Edwarda:

- Czy w Cottingdean jest kościół? - zapytała zdławionym głosem. - Gzy... czy nie mógłbyś wystawić tam czegoś... dla Kita?

Edward poklepał ją po ręce, rozdarty między współczuciem a zazdrością. Jest taka młodziutka, taka bezbronna, a zarazem skutek swojej młodości taka niedoświadczona, taka zaślepiona, że wciąż nie dociera do niej, jaki był naprawdę Kit. Czytał niemal w jej sercu, jaką czią zamierza otaczać jego pamięć. Wyglądało, że nawet po śmierci brat stryjeczny będzie się kładł złowrogim cieniem na jego przyszłości.

Edward nie był człowiekiem okrutnym, a los, jaki mu zgotowało życie, nauczył go zrozumienia dla słabości innych. Lizzie jest młoda, jeszcze nie ukształtowana, a co ważniejsze, nosi dziecko, które zostanie pewnego dnia dziedzicem Cottingdean, więc nie chciał jej ranić, rozwiewać złudzeń, odbierać czegoś, co może stanowi dla niej konieczne oparcie. Nie pozwoli jednak również, żeby dziecko, jego dziecko, dorastało w kulcie fałszywego wyobrażenia o tym, jaki był jego brat stryjeczny.

Bo dziecko Kita będzie dzieckiem jego, Edwarda, pod wszystkimi realnymi względami. Popatrzył na swoją młodą żonę. Będzie dość czasu na wbicie jej w głowę, że nikt poza nimi dwojgiem nie może się nigdy dowiedzieć o prawdziwym ojcu dziecka. Tak, będzie na to dość czasu. On kocha Lizzie i może pewnego dnia.

Wesela nie wyprawiano. Obowiązywały kartki na żywność, a ponadto siostra przełożona była wściekła na Lizzie za sposób,

w jaki się sprytnie wykpiła od hańby, którą na siebie ściągnęła swoją rozpustą. Mało tego, wspięła się w dodatku na wyższy stopień hierarchii społecznej. Major Danvers jest wprawdzie kaleką i nie ma pensa przy duszy, należy jednak do tamtych, do elity, do owych zagadkowych klas wyższych, chociaż jego rodzina stoi zapewne na jednym z najniższych szczebli tej hierarchii. Siostra przełożona gardziła Lizzie. Dziewczyna nie ma kręgosłupa, była zawsze o wiele za miękka, o wiele za pobłażliwa dla chorych. A jednak potrafiła się wydać za jednego z nich. Przebiegła, podstępna mała dziwka.

Pożegnali szpital, każde z jedną walizką za cały majątek. Podrapana skórzana walizka Edwarda nosiła jeszcze inicjały jego ojca, walizka Lizzie miała bardzo podobny wygląd, nie była jednak dziedzictwem po jej ojcu, lecz stanowiła niegdyś własność lady Jeverson, tak jak i gruby kostium tweedowy, który Lizzie nałożyła dla osłony przed zimną, deszczową pogodą.

Jedyna taksówka odwiozła ich na stację. Peron był już zatłoczony, głównie amerykańskimi żołnierzami, stacjonującymi w okolicy. Większości z nich towarzyszyły ładniutkie dziewczęta z jaskrawo umalowanymi ustami i łydkami w połyskliwych amerykańskich nylonach.

W pociągu panował tłok, nawet w pierwszej klasie, do której bilety kupili na życzenie Edwarda. Lizzie spodziewała się, że pozostali pasażerowie będą przypominali rodziny, jakie czasami odwiedzała z ciotką Vi - sztywne, pyszne starsze panie, z zahukanymi córkami i synowymi, z wnukami i pieskami, tymi ostatnimi traktowanymi pobłaźliwiej niż własne lato-rośle. Okazało się jednak, że ich towarzyszami podróży są amerykańscy żołnierze ze swymi przyjaciółkami. Jeden z nich przypominał jej bardzo Kita, nie tyle wyglądem, co sposobem bycia, przyprowadzając ją o gwałtowny, dotkliwy przypływ rozpaczy.

Edward siedział obok niej w swoim wózku. Żadne z nich nie odezwało się słowem, odkąd się znaleźli w wagonie, i Lizzie uzmysłowiła sobie z zawstydzeniem, jak niewiele ma ochoty na rozmowę z nim. Chciała być sama ze wspomnieniami o Kicie. Jedyną rzecz, jaka miała znaczenie, stanowiła świadomość, że oczekuje jego dziecka. Poza tym czuła się zdezorientowana, zagubiona. Za wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie, by mogła to objąć umysłem.

Amerykanie i dziewczyny obok śmiali się i palili. Jeden z żołnierzy, ten, który jej tak boleśnie przypominał Kita, zaczął się dobierać do swojej przyjaciółki przy akompaniamencie jej protestów i chichotów.

- Och, kochana, nie byłaś taką cnotką w nocy - usłyszała Lizzie jego słowa.

Wyszczrzył zęby do kolegi, po czym, na oczach zaszokowanej Lizzie, wsunął dziewczynie bezwstydnie rękę za stanik.

W trzewiach Lizzie coś się poruszyło, coś mdlącego i bolesnego, jakieś tajemne wspomnienie, które kazało jej przez krótką, dojmującą chwilę ujrzeć w parze naprzeciwko nie dwoje nieznajomych, lecz siebie samą i Kita. Jej ciało spięło się w odrzynie do ich jawnej zmysłowości.

Wstrząsnął nią dreszcz, aż jedna z dziewcząt zapytała

z troską:

- Dobrze się czujesz, złotko?
Lizzie skinęła głową.

- Bo twój papo wygląda nie za dobrze. Śpi teraz, pewnie to szczęśliwie dla niego.

Lizzie wybałuszyła na nią oczy. Dziewczyna wzięła Edwarda za jej ojca. Lizzie wiedziała dobrze, ile Edward ma lat. Skończył trzydzieści. Wydawało jej się, że to wiele, ale jest w końcu zaledwie o parę lat starszy od Kita. W głowie jej wirowało. Oczywiście, Edward wygląda znacznie starzej, ma siwe włosy i ciało skurczone bólem. Ale żeby go wziąć za jej ojca...

Jakaś wewnętrzna siła, której nie rozumiała w pełni, kazała jej zwrócić się do dziewczyny, która ją zagadnęła, i wyrzucić jednym tchem, pokazując obrączkę po matce, którą Edward jej dał i która była na nią za duża:

- Edward nie jest moim ojcem, jest moim mężem.

Śmiało spojrzała dziewczynie w oczy, przygotowana na zaskoczenie i litość w jej wzroku. Nie zdając sobie z tego sprawy, poczyniła w ten sposób pierwszy krok ku dojrzałości.

Edward wcale nie spał, ból nie pozwalał mu zasnąć. Widział i słyszał wszystko, i zastanawiał się pośepnie, co mu przyniesie przyszłość. Czy popełnił szaleństwo, żeniąc się z Lizzie? Jak na razie ona jest w stanie szoku, zbyt zrozpaczona śmiercią Kita, by myśleć o przyszłości. Jakaś drobna jej cząstka jest mu pewnie wdzięczna, że ją uchronił przed koniecznością powrotu do domu ciotki, przed nędzą, przed piętnem urodzenia nieślubnego dziecka. Lecz co będzie czuła, kiedy szok minie, kiedy będzie musiała stawić czoło codziennym realiom małżeństwa z nim? Czy pozostanie mu nadal wdzięczna, czy też go znenawidzi, zacznie w nim upatrywać kulę u nogi? Ma zaledwie osiemnaście lat, jest o wiele za młoda na żonę mężczyzny w jego stanie. A on ją tak kocha, tak mu jest potrzebna...

W Bath mieli przesiadkę i musieli czekać trzy godziny na powolny pociąg osobowy, który miał ich dowieźć do Cottingdean. Lizzie widziała, że Edward jest zupełnie wyczerpany, i domyślała się, że bardzo cierpi. Doktor Marshall zaopatrzył ją w zapas środków przeciwbólowych dla niego, dał jej również list do lekarza rodzinnego w Cottingdean. Ostrzegł ją przy tym, jak bardzo kruche jest zdrowie Edwarda. Jej mąż będzie do końca życia inwalidą, przypomniał, a Lizzie przyjęła jego słowa apatycznie, nie zdając sobie właściwie sprawy, co one oznaczają w praktyce.

W miarę jak pociąg zatrzymywał się na wszystkich kolejnych stacyjkach, Lizzie czuła, że jedyną rzeczą podtrzymującą Edwarda jest świadomość, iż powraca w strony szczęśliwego dzieciństwa.

Na podstawie opowieści męża próbowała sobie wyobrazić Cottingdean, lecz wbrew jego oczywistej miłości do tego miejsca, przed oczami stawało jej wciąż rozległe, nieprzytulne domostwo, rezydencja w rodzaju tych, do których wchodziła zawsze z ciotką Vi od kuchni. Teraz będzie panią takiego domu. Drżała na myśl o tym, a kiedy pociąg zatrzymał się wreszcie na małej zarośniętej stacyjce, znajdowała się u kresu sił ze zmęczenia i zdenerwowania. Mdły ucisk w dołku wzmógł się jeszcze,

gdy pozostała sama z Edwardem na pustym peronie.

Edward zatelegrafował, uprzedzając o ich przyjeździe starszą parę, która opiekowała się Cottingdean, jednakże przed stacją nie oczekiwała spodziewana taksówka i Lizzie musiała iść do zakurzonego kantorka stacyjnego, żeby się czegoś dowiedzieć. Kasjer, zreumatyzowany starszy mężczyzna, patrzył na nią nie rozumiejącym wzrokiem, kiedy mu tłumaczyła, o co chodzi.

- Taksówka? Tu nie ma nijakiej taksówki, panienko - powiedział wreszcie, kręcąc głową. - Ludzie zamawiają dwukółkę starego Johna Daviesa albo chodzą pieszkom - wyjaśnił. - Jedyne auto ma dochtor, ale on jest na farmie Millerów, odbiera piątego dzieciaka Maisie Miller.

Lizzie wróciła do Edwarda, żeby mu zdać sprawę. Ujrzawszy go po wyjściu z kantorka, doznała wstrząsu. Patrząc na niego teraz, z dala od znajomego otoczenia szpitalnego, zdała sobie z nagłym przestraszeniem sprawę z wątpliwości jego zdrowia. W szpitalu przyjmowała to za rzecz normalną. Teraz nie dziwiła się już, że ze swymi siwymi włosami i zapadłą twarzą musiał się wydawać dziewczynie w pociągu znacznie starszy. W porównaniu z innymi mężczyznami, z amerykańskimi żołnierzami czy nawet ze starym, pokręconym reumatyzmem kasjerem, który miał jednak ogorzałą twarz i rumiane policzki, uderzało, jak bardzo Edward jest chory.

- Jak daleko jest stąd do Cottingdean? - zapytała.
- Jakies dwie mile.
- O, to drobiazg, z łatwością dotrzemy na piechotę - oświadczyła.

Starła się nie okazać po sobie, jaka jest załamana, jaka się czuje samotna i wystraszona. Poraziła ją raptem świadomość, że jest teraz odpowiedzialna nie tylko za dziecko Kita, lecz także za Edwarda. Jest jego żoną, on jej mężem. Jest za niego odpowiedzialna. A powinno być odwrotnie, to on powinien się nią opiekować.

Edward protestował, ale widziała, jaki jest wyczerpany i jak marzy, żeby się znaleźć w domu. Powiedziała sobie, że w sumie dotrą pewnie prędzej na piechotę, niż gdyby mieli szukać jakiegoś środka transportu. W końcu pchała już niejednokrotnie wózek z Edwardem na takie odległości. Tyle że nie była wówczas w ciąży. I nie była sama, zdana wyłącznie na własne siły. Nie była żoną kaleki.

Przybyli na stację późnym popołudniem i jedyna uliczka miasteczka, tak malowniczo, jak sobie wyobrażała, była wyludniona. Miasteczko miało ładny, przyjazny wygląd, podkreślany przez soczystą wiosenną zieleń. Edward skierował ją na polną drogę, odchodzącą pod kątem prostym od głównej ulicy. Po obydwu jej stronach ciągnęły się uprawy, maki migotały barwnymi plamami w zbożu, między żywopłotami rozkwiatały blade dzikie róże. Sama droga, najwidoczniej rzadko używana, była zarośnięta twardą trawą. Wspiwała się też pod łagodnym kątem w górę, tak że Lizzie wkrótce się zadyszała, pchając ciężki wózek. Pchanie go po wyboistej drodze, z ostrymi kamieniami ukrytymi w trawie, z dziurami i głębokimi koleinami, nie przypominało toczenia po równych szpitalnych alejkach. Niczego tak nie pragnęła, jak od-

poczynku, nogi słaby jej i drżały, ręce mdlały z wysiłku, ale jakiś głos wewnętrzny nie pozwalał się zatrzymać.

Nieznana siła wciągała ją w zażarte zmaganie ze sobą, kazała jej wytrwać, dotrzeć do Cottingdean, nie ulegając pokusie wychnienia. Coś jej mówiło, że nadeszła pora, by się otrząsnąć ze wszystkich słabości i strachów, zarówno cielesnych, jak duchowych, pora, by ująć twardą ręką ster swego życia i nie puszczać go, bez względu na trudności.

Zatopiona we własnych dziwacznych myślach przestała zważać na okolicę, dopóki nie usłyszała podekscytowanego okrzyku Edwarda:

- Patrz, Lizzie, widać już Cottingdean!

W jego głosie brzmiała taka duma i radość, że Lizzie podniosła odruchowo wzrok na grupkę niskich zabudowań z wysokimi, krzywymi kominami, wypatrując czegoś bardziej imponującego, bardziej przystającego do obrazów, jakie jej malował Edward. Dopiero po chwili pojęła, że ten zbiór budowli o spiczastych dachach, z kominami, które wyglądają, jakby się miały za chwilę przewrócić, to w rzeczywistości ukochane Cottingdean Edwarda.

Później była rada, że mąż nie mógł widzieć w tej chwili jej twarzy, że do wszystkiego, z czym się boryka, nie doszło jeszcze jej zaskoczenie i niedowierzenie, że ktoś może tak kochać podobne rumowisko kamieni i cegieł.

- Cottingdean! - wykrzyknął tryumfalnie Edward. - Jesteśmy w domu.

Po entuzjastycznym tonie głosu Lizzie się zorientowała, że mężczyzna nie dostrzega tego, co ona: opuszczenia i zaniedbania, zapadających się dachów i wilgotnych, omszałych murów. Droga się skończyła i przed nimi wyrosły wykrzywione drewniane wrota, od których biegło w obie strony kamienne ogrodzenie.

Wrota zaskoczyły Edwarda. Patrzył na nie z niedowierzaniem, podczas gdy Lizzie próbowała się otrząsnąć z wrażenia. Więc to jest Cottingdean. Ten zrujnowany dom o dziurawych dachach i złowróznych zaciekach na ścianach, o mrocznych, ślepych oknach, po części bez szyb, otoczony płataniną chwastów i nie uprawionych pól. Więc to jest ten eden, który opisywał jej w lirycznych słowach Edward. Raj, którego dzieżciem ma być jej dziecko.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Spojrzała na Edwarda, pewna, że podziela jej wrażenie, ale on jakby nie dostrzegał ruiny. Na jego twarzy malował się ślepy, wniebowzięty zachwyt.

- Nareszcie Cottingdean! Metalową bramę przetopiono widać na czolgi. Szkoda, ale teraz, po wojnie, po trochu się to odrobi.

Lizzie zdumiała się, że Edward może myśleć o takich sprawach. Ją samą niepokoiła troska o dzień dzisiejszy. O jedzenie, odpoczynek, nocleg. Widziała, że nie mogą zostać na noc w tym zrujnowanym i najwyraźniej opuszczonym domostwie. Co się stało z małżeństwem, które według zapewnień Edwarda miało się opiekować Cottingdean? Jechała tu z drze-

niem, że ją onieśmieli ten dom, jego historia, bogactwo, tradycje, służba, a tymczasem od momentu, gdy jej oko spoczęło na zabudowaniach, zorientowała się, że ma przed sobą jedynie wypatroszone mury.

- Nie rozumiem, co się mogło stać z Johnsonami - zasepił się Edward, kiedy Lizzie z trudem jęła pchać wózek po zarosniętym podjeździe. - Kit mi mówił, że zgodzili się tu zostać, dopóki nie sprzeda Cottingdean. Dom był przez pewien czas na początku wojny zajęty dla wojska, potem już nie używany. Na dobrą sprawę nikt tu nie mieszkał od śmierci babci.

Czyżby zaczynał pojmować jaskrawą różnicę między swymi wspomnieniami a rzeczywistością, zastanowiła się Lizzie. Raptownie ogarnął ją niemal macierzyński impuls do chronienia go, by mógł jeszcze trochę żyć złudzeniami. Rozumiała aż nadto dobrze, czym jest strata czegoś, co się kochało. Jedynym, co nadaje teraz sens jej życiu, jest dziecko Kita Jego syn.

Ich oczom ukazały się tymczasem drzwi wejściowe i Lizzie ścisnęło się serce, bo ziały otworem. Nie ulegało wątpliwości, że nikt tu nie mieszka, bez względu na to, co Kit powiedział Edwardowi. Zatrzymała wózek spodziewając się, że mąż zaproponuje powrót do miasteczka, poszukanie jakiegoś noclegu. Ale nie odzywał się, a kiedy spojrzała mu w twarz, zobaczyła ją zmienioną jak u dziecka, które ma się za chwilę rozplakać, porażoną wstrząsem i bólem.

- Nie rozumiem. Gdzie są Johnsonowie? Dlaczego tu nikogo nie ma? Dom wygląda zupełnie jak opuszczony.

Z jego tonu przebijało niemal błaganie, żeby Lizzie mu zaprzeczyła. Ale nie mogła. Nie potrafiła jednak także oznajmić, choć powinna, że nie pozostaje im nic innego, jak wracać, bezcelowe jest nawet wchodzenie do środka, żeby zobaczyć dalszą ruinę. Zamiast tego usłyszała swój ożywiony głos:

- No, wejdzmy do środka.

Drzwi frontowe były częściowo przegniłe i obwieszone pajęczynami. Za nimi rozciągał się obszerny, wyłożony płytami kamiennymi hol, tak ciemny i przesiąknięty ostrym zapachem opuszczenia i wilgoci, że Lizzie cofnęła się odruchowo. Cięża wyostrzyła jej powonienie, wzdrygnęła się więc od fetoru, który buchnął w nozdrza. Była to woń rozkładu i śmierci, woń ciemności, podziemnych korytarzy, odciętych od ciepła i światła. Jednakże Edward czekał, żeby go wwiozła do środka, a uczyniwszy to, stwierdziła, że mrok powodują *zastony zaciemniające, niedbale przymocowane do okien.*

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, rozróżniła zarysy olbrzymiego kamiennego kominka. Przy przeciwległej ścianie były schody, nad nimi biegła galeria, za nią musiało się znajdować duże okno. Ściany holu zdobiła kiedyś boazeria, teraz butwiejąca, miejscami pozrywana. Rozchodziło się stąd kilkoro drzwi.

Lizzie stała, rozglądając się dokoła, gdy nagle na środek wybiegł wielki szczur, zapiszczał gniewnie na widok intruzów, którzy ośmielili się wtargnąć do jego królestwa, po czym uciekł.

- No, to będzie niewątpliwie jedna z pierwszych rzeczy do zrobienia - oświadczyła, nie zdając sobie sprawy, że przy-

biera ton cioci Vi.

- Co takiego? - zapytał zbolalym głosem Edward.

Widać było, że nie może uwierzyć własnym oczom. Lizzie, która początkowo była wściekła, że zdaje się nie dostrzegać faktycznego stanu rzeczy, teraz pragnęła go chronić, przekonując, że nie jest tak źle, jak mu się wydaje.

- Wystaranie się o dobrego wiejskiego kota, żeby wytępił te szczury.

- Vic, to nasz pasterz, będzie na pewno wiedział, gdzie można znaleźć kota... Jeśli w ogóle mamy jeszcze pasterza, no i owce. Co się stało z tym domem? Nic z tego nie rozumiem.

Załamął ręce. Przypominał przybitego troskami starca, a jednocześnie miał w sobie coś z dziecka. Lizzie instynktownie przyklękła przy jego wózku, żeby go pocieszyć.

- Och, nie będzie tak źle. Trzeba tylko trochę posprzątać. Wygląda ponuro, bo nikt tu nie mieszka. Kiedy wrócą Johnsonowie i dowiemy się, co...

Edward zaśmiał się chrapliwie.

- Zastanów się trochę, Lizzie. Johnsonowie nie wrócą. Nie widzisz, w jakim stanie jest dom? Nie nadaje się do mieszkania. Nikt tu od dawna nie przebywał. Zupełnie tego nie rozumiem.

- Może pokoje są w lepszym stanie - zauważyła Lizzie, siłąc się na pogodny ton. - Zobaczmy.

Pół godziny później patrzyli na siebie w posępnym milczeniu. Jasne było, że dom jest nie zamieszkały od lat. Wszędzie, w każdym pokoju, rzucały się w oczy oznaki zapuszczenia, panowała wilgoć i stęchlizna. Żaden pokój nie nadawał się do zamieszkania, a nawet gdyby się nadawał, pozostawała jeszcze ta drobna przeszkoda, że wszystkie zostały ogołocone z mebli. Lizzie z trudem hamowała pusty śmiech, przypominając sobie antyki, cienką porcelanę, jedwabie i adamaszki, jakie widziała okiem wyobraźni. Jakże różne od jej oczekiwania były te pokoje ze swoimi festonami pajęczyn i pleśni, kosztownymi niegdyś tapetami, odłazącymi ze ścian, powybijanymi oknami zaciemnionymi tanim materiałem, poodrywanych boazeriami, tynkiem sypiącym się z sufitów... Jedyne umeblowanie stanowiło kilka stołów na krzyżakach i zdezelowanych krzesel, sprowadzonych niewątpliwie dla ludzi, których tu zakwaterowano, kiedy dom został zarekwirowany dla wojska.

Jedynie kuchnia zachowała trochę podobieństwa do wyob-

rażeń Lizzie. Miała wielki staroświecki piec o wielu fajerkach, dwa fotele na biegunach po jego dwu stronach, stół z wyświeconych surowych desek i pojemny kredens z baterią naczyń i garnków. W rogu znajdował się głęboki, brudny zlew z jednym kranem. Lizzie odkręciła go na próbę, krzywiąc się ze wstrętem, i przyglądała się podejrzliwie, jak woda zaczyna pryskać do zlewu. Umoczyła ostrożnie jeden palec, posmakowała wody. Była lodowata i miała świeży, cierpki smak, pochodziła widać z podziemnego źródła.

Rozglądając się po kuchni, Lizzie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, szacowała ją według nauk cioci Vi. Stwierdziła, że piec, jeżeli będzie ciągnął, nagrzeje wodę w bojlerze, że

w piekarniku będzie można piec mięso i ciasto i że rozchodzące się ciepło, przy uchylonych drzwiczkach, może od biedy wystarczyć do ogrzania przepastnego pomieszczenia. Któręś z licznych zabudowań gospodarczych, otaczających dziedziniec, musi być składem opału.

Usłyszała za plecami jakiś dźwięk, więc obróciła głowę. Edward siedział skulony w swoim wózku, z twarzą zatopioną w dłoniach. Dźwięk, zakłócający ciszę domu, jest głosem jego rozpaczki, stwierdziła beznamiętnie. Edward, tak jak ona przed nim, oplakuje swoją utraconą miłość, miłość, którą żył przez tyle lat, a którą teraz ogląda w całej bezlitosnej nagości.

Nie mogą pozostać tutaj, ale nie mogą również wracać. Miałyby pchać wózek z powrotem na stację i mieliby tam czekać na następny pociąg, żeby ich zawiózł... dokąd? Do Bath? I co tam robić?

Na papierze Edward był teraz jedynym właścicielem Cottingdean, ale miał bardzo ograniczone fundusze. Powiedział jej to już. Owce, które kiedyś stanowiły bogactwo majątku, zostały przetrzebione przez zarazę w ostatnich latach życia dziadków, a brakowało środków na odnowienie stada. Na domiar złego przyszła wojna, a niefortunne inwestycje dziadka jeszcze bardziej pogrzyżyły majątek. Jedyne dochody Edwarda stanowiła teraz jego renta inwalidzka i procenty ze skromnego funduszu powierniczego po rodzicach.

- Mój Boże, na co ja cię naraziłem - usłyszała zdławiony głos. - Kit musiał to wiedzieć. Niech go wszyscy diabli!

Na usta cisnęły jej się słowa protestu, ale je przełknęła. Nie pora teraz na obronę ukochanego. Edward jest w tej chwili jak człowiek, który odkrył, że zdradza go kochanka. Nie przemówi do niego żadne rozumowanie, żadna logika, nie jest w stanie pojąć, że stopień zniszczenia świadczy, iż dom zaczął popadać w ruinę na długo przedtem, nim Kit go odziedziczył.

- Nie możemy tu zostać...

- Myślę, że musimy - powiedziała łagodnie Lizzie. - Przy najmniej na dzisiejszą noc. Jeśli znajdzie gdzieś trochę drewna, to napalę pod kuchnią. Może na górze są jakieś materace. To prawdopodobne, jeśli tu kwaterowało wojsko. Moglibyśmy... mogłabym je znieść na dół. Jakbyśmy je wysuszyli przy kuchni...

- Spać tutaj? - Edward patrzył na nią, jakby postradała zmysły. - To niemożliwe. Nigdy...

Lizzie poczuła, że traci panowanie nad sobą.

- Nie mamy wyboru - odrzuciła wściekle. - Nie rozumiesz, Edwardzie? To ponad moje siły wieźć cię z powrotem do miasteczka. Kto wie, kiedy byśmy tam złapali pociąg. Zresztą, dokąd byśmy pojechali? Do Bath? I co byśmy tam robili? Sam mówiłeś, że nie mamy pieniędzy. Że będziemy musieli się stać samowystarczalni, hodować bydło na swoje potrzeby, zacząć małe uprawy...

Kiedy jej to mówił, wyobrażała sobie posiłki takie jak u cioci Vi. Mleko prosto od krów, świeże jarzyny, soczyste owoce w sezonie, jajka od własnych kur... Przypomniawszy sobie teraz gąszcz chwastów po obu stronach podjazdu, pomyślała z goryczą, że minie wiele, bardzo wiele czasu, zanim ta ziemia zacznie wydawać jakiegokolwiek płody.

- Nie miałem pojęcia, że to będzie tak wyglądało - wykrztusił Edward.

Był wyczerpany i załamany, przypominał bardziej chłopca niż mężczyznę. Bardzo, bardzo starego chłopca, zastraszającego schorowanego. Dla ukrycia własnego przygnębienia Lizzie próbowała zdobyć się na wesołość.

- Poczekaj tutaj. Wyjdę rozejrzeć się za jakimś opałem. Jak nam się uda rozpalić pod kuchnią...

- Nam! - zaśmiał się gorzko Edward. - Nam!

Ale Lizzie nie słuchała. Odryglowała kuchenne drzwi i wyszła na dziedziniec.

Zabudowania gospodarze znajdowały się w nie lepszym stanie niż dom. Nie miała wielkiej nadziei, że znajdzie drewno na opał. Podejrzewała teraz, że w jakimś stadium do palenia pod kuchnią zużyte zostały boazerie, a to nie wróżyło nic dobrego. Mimo to przeszukała systematycznie kilka małych, ciemnych szop, nim weszła do przestronnej stajni, w której nie było teraz żadnych zwierząt, lecz w powietrzu wisiał nadal ostry zapach siana, gnoju i uprzęży. W kącie, pod brezentem, leżało coś dużego. Zajrzała bardziej z ciekawości niż w nadziei. Odkrycie potężnego stosu równo pociętych i porąbanych kłoców było jak odkrycie żyły złota. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to nie złudzenie. Otwierała i zamykała oczy, a kiedy bierwiona nie zniknęła, rozejrzała się za czymś do przeniesienia ich. Ostatecznie wyładowała nimi duże blaszane wiadro.

Kiedy potykając się przydzwigała wiadro do kuchni, Edward ledwo na nią spojrzał. Twarz miał szarą i zapadłą, siedział pocierając ręce w sposób, w jaki to czynił zawsze, gdy był czymś głęboko wzburzony. Widziała w szpitalu różnych pacjentów, zachowujących się w podobny sposób i wiedziała, że nie wróży to nic dobrego. Odezwiała się do niego możliwie pewnym i pogodnym głosem, ale spojrzał na nią tak, jakby jej nie widział.

Kiedy go poprosiła o zapalki, patrzył na nią nie rozumiejącym wzrokiem, tak że musiała mu je w końcu sama wyjąć z kieszeni. Nie miała papieru do rozpalenia ognia, nie znalazła też nigdzie siekiery do połupania drewna na drzazgi, ale w ok-

nie wisiała krzywo zasłona zaciemniająca. Trzeba ją poświęcić, zdecydowała z desperacją.

Kiedy otworzyła drzwiczki kuchni, stwierdziła, że ten, kto jej ostatni używał, nie zadał sobie trudu wygarnięcia popiołu. O jedną obawę mniej, pomyślała. Była w strachu, czy komin nie jest zatkany i czy ogień da się rozpalić.

Musiała się wspiąć na zlew, żeby sięgnąć i zerwać materiał zaciemniający. Kątem oka zauważyła, jak Edward się marszczy, zdziwiony. Posłała mu uspokajający uśmiech, ale się odezwiała. Najlepszym lekarstwem dla niego jest teraz spokój. Spokój i czas na pogodzenie się ze stanem, w jakim znalazł Cottingdean.

Dziwne, ale teraz, kiedy się zabrała do roboty, poczuła się znacznie lepiej. Nie była już taka bezbronna i wystraszona. Odkryła, że zwykła aktywność, proste zadanie rozpalenia pod kuchnią, przywraca jej poczucie panowania nad swoim losem.

Czekając, aż suche, na szczęście, bierwiona chwycą ogień, uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że po raz pierwszy jest panią samej siebie, nie stoi nad nią nikt, kierujący jej życiem: ciocia, siostra przełożona ani Edward. Biedny Edward. Jakże mógłby kierować jej życiem, kiedy jest tak rozpaczliwie jasne, że to on będzie musiał szukać w niej oparcia?

Nie miała pojęcia, skąd to wie. Może ta wiedza dojrzywała w niej powoli, może formowała ją podświadomie od jakiegoś czasu, nie zdając sobie w tego sprawy. Dość że teraz, w tym miejscu i w tej chwili, zrozumiała nagle, iż odtąd będzie odpowiedzialna nie za jedno, lecz za dwa istnienia ludzkie.

I pojęła jeszcze jedno, prostą prawdę, którą jej wpajali zarówno rodzice, jak ciocia Vi: że w życiu nic nie przychodzi darmo. Za wszystko trzeba płacić. Los dał jej Kita, po czym jako zapłatę zabrał jego życie. Zostawił jako premię dziecko Kita. Zesłał jej Edwarda i małżeństwo, szacowność i dom. Otworzył przed dzieckiem przyszłość, jakkolwiek wiedziała teraz, że tym domem, tą przyszłością będzie jedynie to, co ona sama wypracuje, a ceną, jaką musi za to zapłacić, będą jej obowiązki wobec Edwarda. Obowiązek opiekowania się nim, chronienia go i obowiązek obrócenia Cottingdean z powrotem w ów raj z jego snów.

Skąd to wszystko wie, nie miała pojęcia. Był to na razie luźny ciąg na pół sformułowanych myśli, niejasne wrażenia zmysłowe, spowijające jej umysł jak mglisty woal, podczas gdy dłonie miała zajęte rozpalaniem ognia; gdy wychodziła na dwór zobaczyć, czy z komina unosi się dym; gdy mówiła Edwardowi, że w kuchni zrobi się wkrótce ciepło i że musi iść na górę poszukać jakichś materaców i sprawdzić, czy ogrzana woda z bojlera rozchodzi się, jak miała nadzieję, do łazienek. Jeśli nie, to już wypatrzyła pojemne kotły, stojące na szafce, i cynową wannę, wiszącą na drzwiach schowka koło zlewu.

Zewnętrznie pochłonięta całkowicie sprawami praktycznymi, wewnętrznie znajdowała się we władzy uczuć tak silnych, że zastanawiała się, czy nie wypływają one raczej z jej odmiennego stanu niż z rzeczywistych doznań. Najjaśniejsza była świadomość, że musi zapanować nad swoim losem, musi ująć władzę nad nim tak mocno w dłonie, by jej nie zdołały wytrącić żadne ciosy, a na dnie tej świadomości kryło się osobliwe przekonanie, że jej zdolność do sprostania temu zadaniu wiąże się w jakiś sposób z tym domem i jego oplakany stanem, że obejmując go w posiadanie i wlewając w niego nowe życie, ujmie zarazem w rzyzy swoją własną egzystencję, przezwycięży rozpacz po utracie Kita.

Czy czuje to z powodu dziecka? Z powodu dziecka Kita, które pewnego dnia odziedziczy Cottingdean? Czy ze względu na nie ośwładnęła ją ta potrzeba, ta determinacja objęcia w posiadanie domu, pokochania go i dbania o niego, doprowadzenia go z powrotem do kwitnącego stanu, w jakim się kiedyś niewątpliwie znajdował? Czy też to tylko szaleńczy, nieziszczalny sen na jawie?

Nie mogąc spać w żadnym z pokoi, ułożyli się w kuchni na materacach, które Lizzie zdołała ściągnąć z góry i owinać

w koce wysuszone nad blachą. Materace były pojedyncze i, leżąc teraz bezsennie w kokonie koców, podczas gdy Edward spał o kilka stóp od niej, Lizzie przypomniała sobie, jak przed zaśnięciem uczynił niezdarną próbę wzięcia jej w ramiona, z wdzięczności, wiedziała, nie z pożądania. Mimo to dotknięcie jego suchych warg na policzku rozlało się po jej ciele falą takiego obrzydzenia, że z ledwością zdołała przed nim ukryć swoje uczucia.

Skulona na swoim, dzięki Bogu samotnym, posłaniu, z wewnętrznym dreszczem przeżywała wciąż na nowo ten przelotny incydent. Jej reakcja na dotknięcie Edwarda utwierdziła ją w przekonaniu, że intymności płciowe stanowią Część pożycia małżeńskiego, bez której aż nadto rada będzie się obchodzić.

Co za szczęście, że trafiła na Edwarda, myślała naiwnie. Że los pozwolił jej zostać żoną takiego dobrego, delikatnego mężczyzny, który jest nie tylko gotów uznać dziecko Kita za swoje i zapewnić im obojgu dom, lecz ponadto nie będzie mógł mieć do niej nigdy żalu o jej oziębłość seksualną, tak jak miał Kit.

Chociaż niezbyt pomyślnie rozpoczynało się to ich małżeństwo, Lizzie miała mocne postanowienie bycia Edwardowi dobrą żoną, otaczania go wszelką troską i opieką, jakiej będzie potrzebował, kochania go i pielęgnowania jak męża, chociaż ich miłość nie będzie nigdy cielesna. Zасыpiając obiecywała sobie żarliwie, że będzie odtąd robiła wszystko co w jej mocy, dla okazania, jaka jest mu wdzięczna za to, co dla niej uczynił. Znajdą wspólnie sposób przywrócenia Cottingdean do poprzedniego stanu, uczynienia z niego prawdziwego domu, wypełnionego miłością i ciepłem, na jakie zasługuje dziecko Kita. Prawdziwego domu, jakiego ona sama nigdy nie miała, odkąd zamieszkała u cioci Vi.

„Dzisiaj się dowiedzieliśmy, że Japonia skapitulowała i wojna jest skończona”.

Liz patrzyła na to, co napisała, w poczuciu winy, że odkąd przyjechali do Cottingdean, wojna zesłała dla niej na drugi plan w obliczu ciągłych zaskoczeń, ustawicznych drobnych problemów, wymagających niezwłocznego rozwiązania, jakie przynosił każdy dzień. Ich izolacja nie stanowiła usprawiedliwienia, choć faktem było, że nie mieli radia, nie otrzymywali gazet, rzadko kiedy ktoś ich odwiedzał.

To ostatnie Liz przypisywała początkowo swojej osobie, lecz nieliczni goście, jakich mieli, szybko, choć bezwiednie, wyprowadzili ją z błędu. Zdumiewało ją, że ludzie tutaj tak łatwo zaakceptowali ją jako żonę Edwarda mimo dzielącej ich różnicy wieku i uderzającego kontrastu między jej świeżą młodością a jego kalectwem, od którego - widziała - nawet pastor odwraca wzrok, niezdolny patrzeć zbyt długo na Edwarda. Jedyne doktor, Ian Holmes, tryskający optymizmem, pięćdziesięcioletni przybysz z północy, przyjmował naturalnie dolegliwości Edwarda.

Ludzie miejscowi nadal wprawdzie traktowali ją z rezer-

wą, ale nie dlatego, jak wkrótce się miała przekonać, żeby się czegoś domyślali. Nie, powodem było to, że zarówno ona, jak Edward, choć ten w mniejszej mierze, są tutaj obcy.

Od doktora dowiedzieli się, że małżeństwo, które miało się opiekować domem, wyjechało ponad rok temu. Edward podejrzewał, że Kit doskonale znał sytuację, lecz nie można go było już zapytać, czemu dopuścił do takiej dewastacji domu. Wystarczyła doba przebywania tutaj, by Liz zrozumiała, jak bardzo jej się przydadzą umiejętności nabyte w domu ciotki Vi. Wolniej docierał do jej świadomości fakt, w jakim stopniu starsza krewna przekazała jej swoją niezłomną wolę. Nikt, kto ma wybór, nie zechciałby pozostać w takim miejscu, stwierdziła, obudziwszy się owego pierwszego ranka w kuchni w Cottingdean, z ciałem skostniałym i zeszywniałym na wilgotnym materacu, z fetorem śluzowatym w zaciśniętych nozdrzach.

Ale czyż mają jakiś wybór? Widziała wstrząs i niedowierzanie w oczach Edwarda, kiedy i on się obudził, jego rozpacz i upokorzenie, i w owej chwili wzięła na swoje barki owo brzemie, które miała dźwigać przez resztę życia.

Wymagało od niej nie lada wysiłku, żeby go wprowadzić w nieco lepszy nastrój i przekonać, żeby się pozwolił zawieźć do miasteczka. Trzeba było przecież kupić coś do jedzenia, ustalić, co się stało z Johnsonami, oraz odwiedzić doktora i przekazać mu list ze szpitala.

Zaskoczyło ją, kiedy Edward zaczął ją przedstawiać jako Liz zamiast Lizzie, ale po chwili stwierdziła, że jej się to podoba. Brzmiało bardziej dojrzałe, bardziej dojrzałe, sprawiał, że nie czuła się już jak bezradna dziewczynka.

W jakiś sposób, dzięki pośrednictwu doktora, który im podał nazwiska kilku farmerów, w nadziei że będą im mogli użyteczny na pół dnia czy dzień jakiejś pary rąk do pomocy, zdołali doprowadzić małą część domu do stanu używalności. Co do kuchni, to Liz pracowała nad nią niezamordowanie przez tydzień, szorując po wielokroć podłogi, ściany i półki całą gorącą wodą, jaką piec nadążał ogrzać, i żółtym mydłem gospodarczym, które znalazła w stajni, dopóki nie zdecydowała, że choć może kuchnia nie zaspokoiliby jeszcze wymagań ciotki, to ma już przyzwoity wygląd.

Najczystsze i najsuchsze pokoje na parterze, poddane podobnym zabiegom, zostały zamienione w tymczasowe sypialnie. Wprawdzie prycze i cienkie materace przeznaczone najwidoczniej na użytek ludzi, dla których dom zarekwirowano na początku wojny, były jeszcze mniej wygodne niż jej łóżko w bursie, ale stanowiły przynajmniej jakieś miejsce do spania, a Liz kładła się wieczorem tak zmordowana, że żadne niewygodności nie mogły jej zakłócić snu. Inaczej miała się sprawa z Edwardem. Liz przeraziła się w pierwszej chwili, kiedy Ian Holmes przepisał mu miksturę nasenną, ale po tygodniu musiała przyznać, że mąż faktycznie zaczyna lepiej wyglądać.

Gdyby szczęściem nie przydarzył się akurat okres pięknej pogody, pozwalający Liz wywozić Edwarda na dwór, kiedy

sama pracowała w domu, nie wiedziałyby, co robić.

Nie ulegało wątpliwości, że odkrycie, w jakim stanie znajduje się dom, wstrząsnęło Edwardem do głębi. Wpadł w takie przygnębienie, że Liz się zastanawiała, czy słusznie Zrobiła, pozostając w Cottingdean, czy Edward nie otrząsnąłby się prędzej, gdyby nie musiał codziennie patrzeć na ruinę królestwa swojej młodości. Ale gdzie by mieli pojechać?

Spędzili niemal miesiąc w Cottingdean, nim wygospodarowała chwilę czasu, żeby się wyprawić nieco dalej niż do ogródka przy domu. Skłoniła ją do obejrzenia majątku stara mapa, którą znalazła w jednej z szuflad kredensu. Pokazała mapę Edwardowi, proponując zawieszenie jej nad kominkiem w pokoju, który nazywał biblioteką, ale po wyrazie bólu, który przyćmił jego oczy, zorientowała się, że palnęła głupstwo. Skłęła się w duchu za swój nietakt.

Biblioteka była pokojem, który Edward odmalowywał jej w najbardziej promiennych barwach. W jego wspomnieniach zapisana była jako przytulny, ciepły pokój, pachnący drzwami płonącymi na kominku, tomami oprawnymi w skórę, tyto-

niem. W oknach wisiały miękkie aksamitne zasłony, biurko dziadka stanowiło wielką wyspę polituowanego drewna, na której babcia umieszczała co dzień wazon świeżych kwiatów. Po obu stronach kominka stały dwa głębokie fotele, a siedząc w nich, można było oprzeć nogi na wysokiej kratownicy przed paleniskiem. Wizyty w bibliotece zawsze stanowiły dla Edwarda wydarzenie.

Nikt wchodzący teraz do tego pokoju nie utożsamiłby go z opowieściami Edwarda. Nie pozostało śladu po meblach, które opisywał z taką miłością. Nawet półki na książki były częściowo połamane, nie wiadomo, przypadkiem czy rozmyślnie. Ich zawartość, owe książki, których zapach wrył się tak głęboko w jego pamięć, leżała teraz porozrzucana po podłodze, z poprzetrącanymi grzbietami i butwiejącymi kartkami, powygryzаныmi przez kolonie myszy, które jakoś szczególnie upodobały sobie ten pokój i w książkach wiły gniazda.

Liz zrobiła, co mogła, dla przywrócenia w bibliotece względnego porządku, czując, że gdyby jej się udało odtworzyć w tym jednym pomieszczeniu choćby cień dawnego Cottingdean, przyczyniłoby się to nieco do uśmierzenia cierpień Edwarda.

Nie mijał bowiem dzień, by nie czynił sobie gorzkich wyrzutów z powodu tego, co zaszło, nie powtarzał, że nie powinien był się z nią nigdy żenić ani ściągać jej tutaj. Zdawał się z niechęcią przyglądać, jak Liz pracuje, podczas gdy ona z zaskoczeniem odkrywała, jaką jej to sprawia satysfakcję. Nieoczekiwanie mało męczyło ją żmudne szorowanie i pucowanie, mozolne przeszukiwanie stosów rozlicznych śmieci dla upewnienia się, że nie wyrzuca nic, co ma jakąkolwiek wartość. Nawet gdy nie widziała bezpośredniego zastosowania dla jakiegoś przedmiotu, odkładała go skrupulatnie na bok, licząc, że może kiedyś, w przyszłości, gdy Edward będzie do tego zdolny, odkryje w nim zaginiony skarb dzieciństwa.

Nikt zdawał się nie wiedzieć, co się stało z umeblowaniem domu. Liz, która była inteligentną dziewczyną i podejrzewała, że upłynili je Johnsonowie, nie domyślała się, że Edward, pozwalając jej w to wierzyć, ukrywa przed nią własne przypuszczenia co do prawdziwego przebiegu wydarzeń, przeświadczenie, że cokolwiek miało wartość, spieniżył Kit, po czym, dla siebie tylko wiadomych powodów, pozwolił domowi popaść w ruinę. Nie dość, że pozwolił, uczynił nie wiadomo czemu prawie wszystko, by do tego doprowadzić.

Edward odkrył również spustoszenie małej piwniczki, którą dziadek budował przez lata. Wśród szkła z potłuczonych kieliszków i butelek po starych winach rzadkich roczników znalazł również dowody, że pijatyki nie odbywały się wyłącznie w męskim towarzystwie kompanów Kita.

Edward nie podzielił się tym odkryciem z Liz. Wystawił ją i bez tego na dostateczną próbę. Myślała, że jedzie do wygodnego domu, gdzie wraz ze swoim dzieckiem będzie obsługiwana i rozpieszczana. Tymczasem... tymczasem szoruje na czworakach podłogi.

Edward patrzył na to z niechęcią. Był mężczyzną dawnych przekonań, wychowanym przez sztywnych, nieprzystępnych rodziców. W jego oczach Liz stanowiła drogocenną, wątłą istotę, która nie powinna się zniżać do podobnych czynności.

Liz nie podzielała jego zapatrywań. Teraz, gdy się otrząsnęła z początkowego szoku, borykanie się z zapuszczonym domem sprawiało jej niemal przyjemność. Również jej ciąża była już na tyle zaawansowana, że przestały jej dokuczać męczące mdłości poranne.

Jeden z farmerów, z którymi ich zapoznał Ian Holmes - ten sam, który im z ociąganiem, za opłatą, odstąpił czterech swoich ludzi do połatania przeciekającego dachu - poradził Liz z równym ociąganiem, że najlepszą rzeczą dla jej ogrodu byłoby kupienie pary kóz.

- I mleczko też będzie pani miała. Nie każdy może je lubi...

Liz przyjęła tę informację z rezerwą. Brzmiała ona zbyt pięknie, by była prawdziwa. Zwierzęta, które oczyszczą ogród z płataniny chwastów, tak że będzie on gotów do skopania na wiosnę, a które zarazem będą dostarczały mleka.

Poradziłaby się chętnie Edwarda, ale przekonała się już, że nie tylko nie wie on nic o gospodarowaniu, ale, co więcej, jakby nie chciał wiedzieć. Podczas gdy ona odkrywała w sobie ciekawość, jaki to gatunek kur składa owe duże cętkowane brązowawe jaja, których kilka wsunęła jej żona farmera, pani Lowndes, kiedy zdobyła się pierwszy raz na odwagę, żeby ją odwiedzić, to Edward uważał, że takie zainteresowania nie przystoją pani na Cottingdean.

Pani na Cottingdean... Liz o mało nie wybuchnęła śmiechem. Miała mu ochotę przypomnieć, jak daleko jej do pani, ale się powstrzymała, nie chcąc urazić jego uczuć.

W ogóle zaczynała odkrywać w Edwardzie cechy, których przedtem nie dostrzegała. Przede wszystkim to, że jest po trosze snobem. Nie przejawiało się to w jakiś szczególnie przykry sposób, widziała jednak, że ważne są dla niego różni-

ce klasowe, na przykład między nim a farmerami, chociaż ci ostatni mają się bez porównania lepiej od niego. A ponieważ ona jest jego żoną, przywiązywał wagę również do tego, żeby postępowała zgodnie z jego wyobrażeniami. Oznaczało to w oczach Edwarda zachowanie niejakiego dystansu wobec ludzi, traktowanie ich z pewną wyniosłością, która - stwierdziła Liz - wcale do niej nie pasuje.

Próbowała się stosować do życzeń Edwarda, ale pragnęła również pozostać sobą. Czowała się głupio, kiedy przysłani robotnicy zwracali się do niej per pani, chociaż była od nich o tyle młodsza, podczas gdy ona miała im mówić po imieniu.

Przez małżeństwo z Edwardem wkroczyła w nieznamy świat, w którym - jak zaczynała odkrywać - pieniądze nie stanowią jedynego kryterium pozycji społecznej. Był to ów świat, o którym jej z takim upodobaniem opowiadała ciocia

Vi tyle że teraz nie oglądała go zza obitych zielonym rypsem drzwi, które za ciocinych czasów oddzielały państwa od służby.

Inną użyteczną informacją, którą uzyskała od Jacka Lownesa, było zdumiewające odkrycie, że część uprawnych pól po drugiej stronie miasteczka należy do majątku.

- Kiedyś to były mokradła. Wydierzał je od starego dziedzica Jimmy Sutton, musi minęło już czterdzieści lat. Płacił galantą dzierżawę, tak, Jimmy płacił, jak się patrzy, dopóki starszy pan nie pomarł i nie nastał ten jego syn...

Liz знаła trochę psychikę wieśniaków z czasów zamieszkiwania w miasteczku cioci *Vi*. Spytała ogłędnie Edwarda, czy nie wie o jakimś czynszu za dzierżawę ziem należących do majątku.

Edward objawił jej ostatnio jeszcze jedno swoje oblicze. Wiedziała już, *jaki potrafi być drażliwy, jaki dumny i przeczulony* na pewnych punktach, i zdawała sobie sprawę, że nie przyjąłby zbyt dobrze informacji o stanie swego majątku, pochodzącej od przedstawiciela klasy, którą - zaczynała podejrzewać - w głębi ducha pogardza.

Jej ostrożność okazała się uzasadniona. Edward się nastrozył i zapytał, skąd jej to przyszło do głowy. Odparła, najniewinniej w świecie, że na mapie; którą znalazła, odkryła nad rzeką ziemie należące, jak jej się wydaje, do majątku.

Nie było to całkowitą nieprawdą. Na mapie zaznaczono owe podmokłe łąki, wątpiła jednak, czy by na nie zwróciła uwagę, gdyby nie informacja farmera.

Patrzyła, jak Edward poprawia się nerwowo na fotelu. Nie znosił, gdy go ktoś zaskakiwał nieznanymi faktami. Liz, która nauczyła się dostrzegać drobne, lecz wymowne oznaki jego irytacji, starała się zachować beztrojski uśmiech na twarzy. Tak rozpaczliwie potrzebują pieniędzy. Edward sam jej to powiedział. Jeżeli majątkowi należą się jakieś zaległe czynsze...

- Można by sprawdzić u adwokatów twego stryja - podsunęła niepewnie.

Edward uchwycił się tego z wdzięcznością. Nie mógł się ciągle otrząsnąć z szoku, jakim było znalezienie Cottingdean

w stanie ruiny. Świadomość, że odziedziczył majątek, który tak kochał, a który uważał za utracony na zawsze, świadomość, że Liz zostanie jego żoną i że będzie mimo wszystko miał upragnionego dziedzica, by mu ten majątek przekazać, wprawiła go w stan takiej euforii, iż cios dotknął go z podwójnym okrucieństwem.

Czuł się zagubiony, oszołomiony, niemal obrażony na Cottingdean, a chwilami również na Liz. A przecież ona pracuje z takim zaparciem, tyle robi... Nie ma prawa się na nią dąsać. Jest dla niego taka nieskończenie dobra, przedkłada jego wygody nad swoje, a że go traktuje jak starego schorowanego wujaszka, no, czegoż innego może oczekiwać? Zdawał sobie przecież od początku sprawę, że nigdy nie wzbudzi w niej pożądania, a nawet gdyby wzbudził... Widział niepokój zasnuwający jej oczy, widział, jak jej twarz spoważniała, nabrała nieoczekiwanej dojrzałości, tak że mimo swego młodego wieku wygląda teraz na kobietę, nie na dziecko. Widział to i brzemień winy ciążyło mu tym bardziej.

To on wyrządził jej tę krzywdę, ściągnął ją tutaj, poczynił jej na swój sposób tyle samo fałszywych obietnic co Kit.

Jedynie Ian Holmes wiedział prawdę o dziecku, które Liz nosi w łonie. Znał Kita i kręcił głową nad uporem Edwarda, żeby pozwolić jej zachować nieskażony obraz jego stryjecznego brata.

- Liz jest inteligentną młodą kobietą. Prędzej czy później się domyśli. Kit nie cieszył się sympatią w miasteczku. Ludzie na razie milczą, nie znają jeszcze dostatecznie Liz, ale w końcu ktoś jej powie. Kit tu przyjeżdżał, wszyscy to wiedzą, przywoził ze sobą rozmaite kobiety. - Ian zrobił zde gustowaną minę. - Rozumiem, była wojna, mężczyźni żyjący w ciągłym napięciu muszą się wyładować, ale u niego to...

- Nie - odpowiadał Edward - niech Liz zachowa złudzenia, dopóki to możliwe. Niewiele jej już pozostało, nie wolno odbierać jej i tego.

Patrzył na nią i widział jej ręce, czerwone i spuchnięte od szorowania, twarz podrapaną od zrywania owoców w gąszczu dziczalego sadu za domem... Pamiętał swoją matkę i babkę, ich miękkie białe dłonie, i przeklinał się na nowo.

- Napiszę do Petera Allwooda - obiecał Edward. - Jego przodkowie byli adwokatami naszej rodziny od dziada pradziada. Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, moja droga.

Nie chciał się z nią dzielić swoimi podejrzeniami, że Kit sprzedał ziemię, która przedstawiała jakąś wartość, i zapewne dlatego nie wpływają czynsze za łąki uwidocznione na mapie. Pragnął jej oszczędzić rozczarowania, póki było to możliwe.

Ale informacja o wydzierzawionych łąkach skłoniła Liz do obchodu majątku.

Wyruszyła wczesnym popołudniem, upewniwszy się, że Edwardowi nic nie potrzeba. Wyporządziła bibliotekę, na ile to było możliwe, ale nie udało jej się przekonać Edwarda, żeby z niej korzystał. Twierdził, że mu tam zimno, i wolał siedzieć w ciepłej kuchni, chociaż Liz doskonale wiedziała, że

mierzi go konieczność spędzania tam większości czasu. Kuchnie są, jego zdaniem, dla służby i Liz podejrzewała, że we wcześniejszym życiu zdarzało mu się może co najwyżej tędy przemaszerować.

Jej ciąża stała się teraz widoczna, uwydatniona pewnie wyjątkową szczupłością Liz. Ale o jedzenie było trudno, o pieniądze jeszcze trudniej. Jej oszczędne serce gospodyni krajało się na widok marnotrawstwa w zaniedbanym ogrodzie, podczas gdy wszystkiego im brakowało.

Uprosiła panią Lowndes, żeby jej sprzedała kilka swoich kur, ale ptaki okazały się kapryśne i jakoś nie bardzo chciały się nieść, tak że Liz zaczynała się gryźć, czy karmienie ich nie będzie kosztowało więcej, niż okażą się warte zniesione przez nie jajka.

Co do kóz, dyskretnie się o nie rozpytywała, ale nikt z miejscowych ludzi jakoś nie wiedział, gdzie ich szukać. Najlepiej, żeby o to zapytała własnego pasterza, poradziła jej pani Lowndes.

Zaskoczyło to Liz. Widziała młodego Vica, jak go nazywano, tylko raz. Przyszedł do domu trzy dni po ich przyjeździe, kiedy dotarła do niego wieść o pojawieniu się nowego dziedzica. Z opowieści Edwarda Liz wyobrażała sobie, że ujrzy kościstego starca po siedemdziesiątce, więc zbiło ją z tropu pojawienie się wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, zaledwie o parę lat starszego od niej. W pierwszej chwili, przestraszona jego wzrostem i barczystą postacią, kiedy stanął w drzwiach kuchni, cofnęła się odruchowo, zapominając, że jest żoną i wkrótce zostanie matką, pomna tylko, że ma przed sobą zdrowego, młodego samca, który w jakiś niezrozumiały sposób wnosi zagrożenie w jej egzystencję.

Kiedy zapytał nieśmiało o pana Danversa, musiała go wpuścić do kuchni, ustawiła się jednak za wózkiem Edwarda, zjeżona jak lisica, która osłania jedyne lisiątko. Vic, który wiedział równie mało o kobietach, jak Liz o mężczyznach, znał się jednak na zachowaniu samic różnych gatunków, więc od razu się zorientował, że za jej milczącą agresywnością kryje się strach o siebie i chęć chronienia męża.

Vic został sierotą jako mały chłopiec i wychowywał się niemal wyłącznie pod okiem dziadka. Ponieważ większość czasu spędzał z psami wśród owiec, pozbawiony towarzystwa rówieśników, wyrósł na spokojnego, zamkniętego w sobie młodzieńca, który łatwo przyswoił sobie wszystko, czego mógł go nauczyć opiekun, a ponadto wykazywał naturalny talent, na którym dziadek się poznał.

- Ten chłopak ma dryg - chwalił go przed kompanami podczas nieczęstych wizyt „Pod Jagnięciem”. - Czucie do bydłatek ma jak rzadko kto. Kocha je jak kobietę, słowo daję, sakramencki mięczak. Ale zaraz pozna, jak któraś owieczka słabuje.

, Owa wrażliwość pozwoliła mu dostrzec za wrogością Liz jej strach i obudziła w nim współczucie. Wyczuł siłę jej ducha i instynktownie się zorientował, że ta kobieta ocali dziedzictwo mężczyzny, nad którym czuwa. Jego dziadek umarł minionej zimy i Vic mieszkał od tej

pory sam w domku, który stanowił od pokoleń prywatną domenę pasterzy. Owczarnia w Cottingdean służyła niegdyś z jakości swojej wełny, jednakże w ostatnich latach podupadła, zdziesiątkowana przez choroby i zarazy. Obecnie, mimo najtroskliwszej opieki, znajdowała się w kiepskim stanie. Wieczorami, nie mając nic innego do roboty, Vic zachłannie czytał. Z lektur dowiedział się wiele o sztuce krzyżowania ras. Jego ambicją było wyhodowanie rasy, która by dawała runo bogatsze od innych, cenione jak świat szeroki. Do tego jednak potrzebował odpowiedniego barana, miał usług starego tryka Tima Bensona, którego progenitura była żyłasta, niezdatna ani na mięso, ani na wełnę.

Ale rasowy tryk, taki, o jakim marzył, kosztuje masę pieniędzy. Vic wiedział, że w Australii i Nowej Zelandii hodowcy wciąż eksperymentują i już udało im się ze starych ras brytyjskich otrzymać przychowek bardziej odporny na choroby i dający bogatsze runo, przy tym runo nowej jakości, bardziej stosowne do nowoczesnych maszyn.

Niech inni się troszczą o hodowanie bydlatek, które by dawały jak najwięcej mięsa. Dziadek nazywał go mięczakiem i może faktycznie nim jest, ale nie pozwoli, żeby jego jagniątko były tuczone na rzeź, jeśli mogą żyć i co roku wynagradzać jego cierpliwość i troskę obfitym, gęstym runem.

Takie były marzenia Vica: aby pewnego dnia wszędzie tam, gdzie ludzie znają się na tym, mówiono o jego owczarni z podziwem i szacunkiem w głosie. Lecz wystarczył mu jeden rzut oka na Edwarda, by wiedzieć, że ten człowiek nie podzieli jego marzeń, nie pojmie nigdy, co się może za nimi kryć. Patrząc na Edwarda ze współczuciem i szacując jego kalectwo bez odrazy, dostrzegł również, że w jego życiu wydarzyło się coś, co złamało jego ducha.

Pojął również, wiedzą, której nie próbował zgłębiać ani którą nie zamierzał się lubieżnie delektować - po prostu wiedział i już - że dziecko, które ta kobieta nosi w łonie, nie może być jego dzieckiem. Ale to już ich sprawa i nikomu nic do tego.

Edward, patrząc na młodego pasterza, poczuł momentalny przypływ niechęci. Jego gwałtowna reakcja wynikała jednak z innych pobudek niż Liz. Brała się ze stwierdzenia, że w osobie Vica ma przed sobą wspaniały okaz rodzaju ludzkiego, człowieka, od którego promieniuje dobroć i czystość ducha i którego życie nie zdoła nigdy złamać, gdyż nigdy nie będzie winił życia za nic, co może go dotknąć.

Jego niechęć zrodziła się z tego, że miał przed sobą mężczyznę całego, zdrowego i młodego. Mężczyznę, który przez te ostatnie lata powinien był służyć krajowi, nie zaś doglądać owiec. Powiedział to i czekał na reakcję Vica.

Vic posłał mu uśmiech. Nieznajomi często zadawali mu to pytanie, z różnym stopniem agresywności. Nie brał im nigdy za złe tej ciekawości, rozumiejąc, co się za nią kryje.

Przeszedł jako dziecko zapalenie stawów, które mu osłabiło serce. Odrzucono go, kiedy się zgłosił na komisję poborową, a doktor Holmes dał mu potem delikatnie do zrozumienia, że nigdy już nie będzie zdolny do służby wojskowej.

Czasami wiosną, kiedy się kocą owce i trzeba harować dzień i noc, chwytą go ból w piersi i drętwieje mu ręka. Odpoczywa wówczas, póki ból nie ustąpi. Nie zważa na to, bo lubi swoją pracę i nie myśli się przejmować czymś, na co nie może nic poradzić.

Opowiedział o swojej dolegliwości bez krygowania się rozczulania nad sobą. Nie sposób mu było nie wierzyć. Promieniowała od niego prawda i uczciwość. I chociaż Liz zdawała sobie teraz sprawę, że najprostszą rzeczą pod słońcem byłoby poprosić Vica, żeby ją oprowadził po majątku, pokazał owczarnię, poradził, jak najlepiej uporządkować ogród, doprowadzić go z powrotem do kwitnącego stanu, żeby wyglądał jak tamten, który widziała podczas jedynej przelotnej wizyty na jego małej farmie, nie uczyniła tego. Nie tylko z nieśmiałości, zdała sobie sprawę, lecz także z niechęci.

Wiedziała, że nie ma powodu czuć niechęci do Vica. Bez jego oddania, mówili jej wszyscy, po owczarni nie byłoby już dawno śladu. Z upokorzeniem podejrzewała, że Vicowi nie wypłacano poborów od śmierci dziadka Edwarda, lecz nie miała odwagi poruszyć tego tematu w rozmowie z mężem. Może dowiedzą się więcej, kiedy przyjedzie adwokat.

Poświęciła całe popołudnie na obchód majątku, posługując się mapą, którą skopiowała z oryginału znalezionej w domu, i starannie unikając natknięcia się na Vica i jego owce.

Sama nie wiedziała, czemu go unika. Jakaś cząstka jej osoby mówiła, że jest z gruntu dobrym i delikatnym człowiekiem, którego nie potrzebuje się obawiać. Z drugiej strony była ta jego męskość, której nie mogła nie widzieć, jej instynktowne kobiece postrzeżenie go jako mężczyzny...

Wizyta adwokata, Petera Allwooda, wiele wyjaśniła. Dawne łąki należały ciągle do majątku i adwokat złapał się za głowę, słysząc, że dzierżawca nie płaci za nie czynszu. Uważał, że sprawą należy się niezwłocznie zająć.

Peter Allwood był niskim, szczupłym mężczyzną o suchym, precyzyjnym sposobie wyrażania się. Jeżeli zaszokował go stan domu, nie okazał tego po sobie. Jeżeli zaszokował go fakt, że Liz jest żoną Edwarda i spodziewa się dziecka, ukrył to równie dobrze. Po odjeździe adwokata Edward zasięgnął rady Iana Holmesa co do najlepszego sposobu ściągnięcia zaległego czynszu. Liz zauważyła, że zaczyna mu ufać. Ona też polubiła tego przybysza z północy, z jego bezpośrednim sposobem bycia.

Wkraczała teraz w siódmy miesiąc ciąży i czuła, jak jej ciało przygotowuje się nieubłaganie do bliskiego porodu. Doznawała niemądrego żalu, że jej dziecko nie urodzi się na wiosnę, na początku cyklu życiowego przyrody, lecz w styczniu, w samym środku jego końcowego okresu.

Nie chciała niepokoić Edwarda, ale drżała na myśl o zimie. Już w listopadzie zaczęło się zanosić na śnieg. Zapas drewna w stajni był na wyczerpaniu. Podczas krótkich spacerów widziała suche drzewa, które by należało ściąć i porąbać na opał, tylko kto to ma zrobić? Nie mogą ciągle liczyć na pomoc

sąsiadów, a Edward jest taki drażliwy na punkcie swojej niemocy zrobienia czegokolwiek.

Obiecawszy dopilnować, żeby Jim Sutton zgłosił się do Edwarda w sprawie zaległego czynszu, Ian Holmes zapytał Liz, jak się czuje. Radzili sobie jakoś we dwoje z Edwardem w Cottingdean przez lato i jesień, ale znacznie trudniej będzie im egzystować w zimie.

Powiedział to samo Vicowi, kiedy go spotkał poprzedniego dnia w miasteczku. Czego im potrzeba, to sumiennego młodego człowieka do pomocy, kogoś, kto by rąbał drzewo, wyporządził ogródek przy domu, rozpałał co rano pod kuchnią, tak żeby Liz nie musiała tego robić sama. Kogoś, kto by potrafił wykonywać drobne bieżące naprawy w Cottingdean, które już tak podupadło przez zaniedbanie.

Napomknął o tym również Edwardowi, sugerując delikatnie, że można by na ten cel przeznaczyć spodziewany czynsz.

- Przydałby się ktoś - przyznał Edward, lecz zaraz dodał z powątpiewaniem: - Ale gdzie są ci dobrzy pracownicy do najęcia?

- Mężczyźni zaczynają wracać z wojny, będą potrzebowali pracy - przypomniał mu Ian.

Liz miała nadzieję, że ziarno posiane przez Holmesa zapuści korzenie. Poczyniłaby sama podobną sugestię, znała już jednak trochę Edwarda i wiedziała, że ma staromodne opory wobec przyjmowania od niej jakichkolwiek inicjatyw. Jako kobieta powinna siedzieć w salonie, stamtąd nadzorować dom i służbę. Takie Edward ma wyobrażenie o jej roli, niepomny faktu, że salon jest smętnym wspomnieniem po dawnej świetności, z tynkiem opadającym z sufitu i tapetami obłazącymi ze ścian. Edward trzyma się kurczowo swoich idei w obawie, że jeśli od nich odstąpi, zawali się do reszty jego świat, przyznawała ze współczuciem Liz. Nie poruszała więc sprawy najęcia kogoś, licząc, że słowa Iana wydadzą owoce.

Nie została dopuszczona do rozmowy z Jimem Suttonem, barczystym, chępliwym mężczyzną, który w niej wzbudził instynktowną antypatię i który - przypuszczała - stawiał się bardziej pod naciskiem opinii publicznej, niż w uznaniu swojej niesumienności jako dzierżawca.

Nie dowiedziała się, co sobie powiedzieli, Edward oznajmił jej tylko, że zaległy czynsz zostanie zapłacony, nie zdradzając jednak, jaka to będzie kwota. Lizzie podejrzewała, że pozwolił się ograbić z części tego, co im się prawnie należało.

Mniejsza o to, dość że będą jakieś pieniądze. Na pewno wystarczy na opłacenie jednego człowieka. Jednakże Edward nic o tym nie wspominał, a Liz ociągała się z poruszeniem tego tematu.

Pod koniec listopada spadł pierwszy śnieg. Kiedy Liz się obudziła pewnego ranka, uderzyła ją niezwykle jasność za oknem.

Ona i Edward sypiali teraz w oddzielnych pokojach na parterze, dzieląc tylko dużą wspólną łazienkę, po której hulał wiatr. Ona jedna wiedziała, jakim drzeniem przejmuje ją myśl

o jakiegokolwiek intymności z nim i jakim wstydem oraz poczuciem winy napęłnia ją ta jej niechęć.

Edward odzyskał pewną samodzielność od czasu przyjazdu do Cottingdean i nie potrzebował już pomocy w ubieraniu się. Nauczył się poruszać w swoim wózku po parterowej części domu, jednakże w zimne i wilgotne dni, kiedy mu dokuczał ból w amputowanych kończynach, robił się niecierpliwy i poirytowany, więc Liz westchnęła przeczuwając, co zwiastuje niezwykła jasność za oknami.

Kiedyś - wydawało się, że minęły od tej pory wieki - pierwszy śnieg przejmował ją dreszczem radości. I obecnie nie utraciła całkowicie zadziwienia nad zdolnością przyrody do zupełnego przeobrażenia krajobrazu w ciągu jednej nocy, teraz jednak sprawy praktyczne brały górę nad podziwem. Opał jest rozpaczliwie bliski wyczerpania, kury trzeba będzie wkrótce zamknąć na zimę, a co do kóz, zrezygnowała już z prób ich zdobycia.

Rozpalała ogień pod kuchnią, gdy usłyszała ujadanie psów. Zesztywniała wiedząc, co to oznacza. Jedyne psy w okolicy ma młody Vic. Podniósłszy się i podszedłszy sztywno do okna, ujrzała go, wkraczającego na dziedziniec, z grzbietem pochylonym pod ciężarem sań, które ciągnął.

Ze zmarszczonym czołem otworzyła drzwi. Mimo zimna twarz Vica robiła wrażenie rozgrzanej, promieniała siłą i zdrowiem. Zdawał się nie czuć chłodu, który ją zmroził do kości i, podobnie jak jego psy, nie zwracał uwagi na osiadające płatki śniegu.

- - Przywiozłem drewna na opał - oznajmił spokojnym tonem. - Ułożę je tam, gdzie zwykle. Kapkę przypóźno, ale miałem utrapienie z jedną owieczką. Po prawdzie, drwa powinny poleżeć do przyszłej zimy, żeby się paliły, jak trza.

Liz patrzyła, jak ciągnie sanie do wrót stajni i zdejmuje plandekę. Pod nią piętrzyły się równo pocięte szczapy. Wystarczy ich do ogrzewania bojlera przez całą zimę.

W jej oczach niespodziewanie zalśniły łzy, zapiekły ją w gardle. Powstrzymując je, zdała sobie sprawę, od jak dawna nie płakała, jak dawno przestała wylewać nie kończące się łzy nad utraconą miłością. Kit... Rzadko pozwalała sobie teraz o nim myśleć, bo co to da? Kit nie żyje. Nigdy nie weźmie jej już w ramiona, nigdy nie powie, jak bardzo ją kocha, nigdy...

Nie miała pojęcia, że Vic ciął i rąbał kloce przez całą noc, nic w jego swobodnym, niewymuszonym zachowaniu nie wskazywało, że dostarczanie opału nie należy do jego normalnych obowiązków, że zrobił to specjalnie dla niej, ze współczucia dla jej słabości i szacunku dla siły.

Sanie były na pół puste, zanim się zdobyła na pójście do stajni z kubkiem herbaty i pajdą chleba domowego wypieku.

Uśmiech, jakim jej podziękował, był ciepły i naturalny, a jego wdzięczność za to, że o tym pomyślała, uzmysłowiła jej ponownie, jakim jest naprawdę dobrym człowiekiem. Mimo to czuła się nieswojo w jego męskiej bliskości.

Ukończywszy wyładunek, odniósł jej kubek do kuchni.

- Czas wracać do moich owieczek - powiedział, gdy mu dziękowała.

Nocny śnieg wkrótce stopniał, ale stanowił ostrzeżenie przed nadchodzącą zimą, do której nie są przygotowani, myślała Liz drżąc w swojej lodowatej sypialni.

W drugim tygodniu grudnia nastął okres pięknej pogody, z przygrzewającym słońcem, i Liz ogarnęła nieprzeparła potrzeba przebywania na świeżym powietrzu.

Jesienią zabrała się do stopniowego przywracania boazerii w holu do stanu, w jakim się niegdyś znajdowała, jednakże w ostatnich tygodniach rosnący brzuch zaczął jej przeszkadzać w swobodnej pracy nad partiami bliższymi podłogi i teraz, za każdym razem, kiedy tędy przechodziła, hol zdawał jej się wyrzucać opieszłość.

Tego ranka odwiedziła ją żona pastora, Luiza Femdean, żeby się taktownie wypytać o jej przygotowania na przyjęcie dziecka. W obecnych czasach, przy obowiązujących kartkach i brakach w zaopatrzeniu, niełatwo jej pewnie skompletować wyprawkę, tym bardziej że nie ma żadnych krewnych, którzy by jej przekazali rzeczy po swoich niemowlętach.

Pastorowa się nie myliła. Liz spędzała długie godziny, sortując starą odzież, nagromadzoną w kufrach na strychu. Gdyby miała maszynę do szycia, mogłaby poczynić lepszy użytek z żółknącej lnianej bielizny pościelowej i wysłużonych staromodnych ubranek dziecięcych.

Znalazła na strychu również kołyskę, pokrytą grubą warstwą kurzu i spowitą pajęczynami, zbyt ciężką, by mogła ją sama znieść na dół. Kiedy wspomniała o tym pastorowej, ta z miejsca obiecała jej przysłać do pomocy swego ogrodnika. Liz nie powinna pod żadnym pozorem dźwigać nic ciężkiego.

Co do maszyny, to chętnie jej pożyczy swoją, zaproponowała, ukrywając litość. Dziewczyna jest taka młoda, jej mąż tak straszliwie okaleczony. Tragiczna para i taka dzielna. Żyją w tym opuszczonym, walącym się domu. Proboszczówka też pozostawia wiele do życzenia, ale jest przynajmniej cała i sucha.

Liz wiedziała teraz, że lepiej nie wspominać Edwardowi o pomocy pastorowej. Znała już dobrze jego nieustępliwą dumę, gorycz, że są uzależnieni od innych, a także zazdrość, kiedy zdarzyło jej się zawrzeć z kimś bliższą znajomość bez jego udziału. Nie lubiła tej jego zaborczości, ale wolała przejść nad tym do porządku dziennego, zresztą po trosze go rozumiała. Finansowo zrobiło się teraz trochę lżej dzięki pieniędzom za dzierżawę, ale w ogóle czasy były ciężkie dla wszystkich, a dla nich bardziej niż dla innych.

W miasteczku wzmagał się nastrój niepokoju, w miarę jak coraz więcej mężczyzn wracało z wojny. Kobiety skarżyły się, że ich mężowie są dziwnie odmienieni, że nie mogą sobie znaleźć miejsca ani zajęcia. Edward jednak nie czynił nic, żeby nająć kogoś do pomocy.

Oddalając się od domu wąską drogą, wspinając się na wzgórze, Liz myślała, jak bardzo jej życie odmieniło się w ciągu jednego krótkiego roku.

Przerażało ją czasami, że Kit, który jest pośrednio odpowiedzialny za większą część tych zmian, staje się w jej pamięci coraz ulotniejszym cieniem. Budziła się często w nocy, z twarzą mokrą od łez z daremnego wysiłku, by go żywiej

ujrzeć oczami wyobraźni. Kocha go nadal, oczywiście, że go kocha, to się nigdy nie zmieni... Ale jego obraz wciąż tracił ostrość w jej wspomnieniach.

Pamięć umarłej miłości stopniowo zacierały codzienne problemy jej życia z Edwardem, osoba samego Edwarda, no i Cottingdean.

A ostatnio także Edwarda i Cottingdean wypychała z jej myśli zaborcza siła dziecka, dojrzewającego w jej łonie. Sama nie wiedząc, jak to się dzieje, przestawała tak uparcie myśleć o nim jako o dziecku Kita. Miast tego nie narodzone dziecko kojarzyło się w jej umyśle z Cottingdean, tak jakby syn, którego ma wydać na świat, i dom, w który pragnie tchnąć nowe życie, były ze sobą nierozzerwalnie związane.

Ścieżka pięła się w górę stromiej, niż Liz przypuszczała, tak że musiała przystanąć, aż minie ostra kolka, która ją zakłuła w boku. W miasteczku nikt nie wiedział, kiedy się pobrali z Edwardem, a fakt, że przyjechali razem i znali się jakiś czas przedtem, kazał wszystkim przypuszczać, że ich małżeństwo trwa dłużej niż w rzeczywistości. Ludzie zachodzili zapewne w głowę, co skłoniło taką młodą dziewczynę do poślubienia kaleki, ale byli zbyt dobrze wychowani, by o to pytać. Zresztą większość sądzi pewnie, przypuszczała Liz, że wyszła za Edwarda, gdy był jeszcze cały i zdrowy, a żadne z nich nie śpieszyło się wyprowadzać ich z błędu. Wiedziała, że Edwardowi zależy, by go uważano za ojca, a ponieważ rozumiała, że mimo wszelkich niewygód łatwiej jej będzie wychowywać dziecko w Cottingdean niż gdzieś samej w hańbie, była wdzięczna Edwardowi i gotowa uszanować jego życzenie.

Ponadto, wiedzona kobiecym instynktem i rosnącą dojrzałością, czuła, że dziecku wyjdzie na korzyść, jeśli Edward uzna je za swoje i nie będzie ustawicznie rozpamiętywał, że zostało splodzone przez jego brata stryjecznego.

Edward nienawidził Kita, upewniła się już ostatecznie co do tego, i dla dobra ich całej przyszłej trójki nie chciała dopuścić, by ta niechęć przeszła na jej dziecko.

Wspinaczka okazała się bardziej uciążliwa, niż to zapamiętała z poprzedniego spaceru tą drogą. Minęły jednak trzy miesiące, odkąd tędy szła w ciepłe jesienne popołudnie, a teraz było zimno, mimo świecącego słońca, ona zaś miała na sobie tylko cienkie paletko. Coś ją jednak pchało, żeby jeszcze raz zobaczyć piękny panoramiczny widok na Cottingdean i okolicę, jaki się rozpościerał ze szczytu.

Blżej szczytu teren stał się nagi i kamienisty, pokryty cienką warstewką ziemi, na której nie rosła nawet trawa. Liz się zadyszała, nim tu dotarła, rozboleły ją nogi i plecy. Czuła, że nie powinna iść dalej, ale widziała już wierzchołek, więc parła z uporem naprzód.

Kiedy nieoczekiwanie stąpnęła na płat luźnego łupku, nie miała się czego przytrzymać i upadła ciężko na ziemię. Ból

spowodowany upadkiem był tak dotkliwy, że leżała przez chwilę jak sparaliżowana, niezdolna do żadnej myśli, z sercem tłukącym się w piersi.

Minęło parę minut, nim się odważyła poruszyć. Wyciągnąwszy ręce i nogi, stwierdziła z ulgą, że nic sobie nie zrobiła.

Naraziła jednak nie tylko siebie samą, wyrzucała sobie, zaczynając ostrożnie schodzić w dół. Naraziła na niebezpieczeństwo również dziecko.

Nie mieściło jej się teraz w głowie, jak mogła się wypuścić na tak ryzykowną eskapadę. Ogarnęła ją paniczna chęć znalezienia się z powrotem w bezpiecznych murach Cottingdean. Z trudem się hamowała, żeby schodzić powoli i ostrożnie, żeby się nie puścić szaleńczym pędem po zboczu. I żeby nie chwycić co chwila za wypukłość brzucha dla dodania otuchy sobie i dziecku.

Idąc przemawiała do niego cicho, wyznając mu, jaką ma niemądrą matkę, i prosząc je o wybaczenie. Przemawiała teraz do niego często, niekiedy siedząc nad pustą kołyską, którą ogrodnik z probostwa zniósł ze strychu, zabrał ze sobą i odwiózł po paru dniach, cudownie odświeżoną i wyposażoną w becik i wyprawkę.

Pastorowa powiedziała jej tylko, że to drobny podarunek, nie zdradzając, że wymogła na własnej bratowej, żeby ta wyprosiła wyprawkę od swojej córki, która jakiś czas temu urodziła trzecie dziecko i poprzysięgła, że nie będzie rodzić więcej.

Liz zeszła do połowy góry i zaczynała oddychać nieco lżej, rozluźniać napięte mięśnie, kiedy chwycił ją skurcz tak ostry, że musiała stanąć, sparaliżowana przeszywającym bólem. Był tak silny, że choć próbowała powściągnąć strach, wiedziała, że nie jest to tylko nowa kolka.

Z determinacją ruszyła dalej, szybciej teraz. Po cóż ma się dłużej hamować? W myśli błagała dziecko, by się trochę wstrzymało. Wyrzucała sobie gorzko swoją lekkomyślność, powtarzała z uporem, że niepotrzebnie wpada w panikę, że do porodu pozostał jeszcze co najmniej miesiąc. Ale kiedy zaczęła się pocieszać, że to fałszywy alarm, nadszedł drugi skurcz.

Dostrzegłszy ją schodzącą z góry, Vic się zaniepokoił. Nie powinna w swoim stanie wypuszczać się tak daleko od domu. Przypominała mu niektóre młode rozbrykane owieczki, nieprzywykłe jeszcze do ciężaru macierzyństwa.

Obserwując ją, zobaczył, jak się zatrzymuje i chwytą za brzuch. Znajdowała się zbyt daleko, by mógł widzieć wyraz jej twarzy, lecz mógł go sobie wyobrazić, tak wymowny był ten gest.

Ruszył jej naprzeciw niemal biegiem, zanim sobie uświadomił, że podjął decyzję. Dziewczyna jest dwie mile od Cottingdean, pół mili od jego farmy. Biegając gwizdnął na psy, żeby pilnowały owiec.

Liz nie wiedziała pasterza. Zbyt była przejęta swoim stanem, borykaniem się z bólem, który nadchodził falami. Wiedziała, że musi dotrzeć do Cottingdean, lecz każdy nowy

paroksyzm zatrzymywał ją, przyćmiewał wzrok. Kiedy Vic do niej dobiegł, siedziała skulona, obejmując brzuch ramionami, z oczami rozszerzonymi bólem i szokiem. Zobaczyła go, lecz jakby go nie widziała, zbyt sparaliżowana strachem, by reagować na cokolwiek, prócz przypadłości swego ciała.

Vic wymówił jej imię i ujął delikatnie, z wahaniem za rękę. Widział, jak jej wzrok koncentruje się na nim, jak go poznaje i jak ustępuje ślepe przerażenie w jej oczach.

Poznawszy go, Liz poczuła, jak jej wrogość w stosunku do niego rozplywa się w uczuciu ulgi, że nie jest już sama. Pozwoliła się objąć i poprowadzić w dół.

- Vic... dziecko... - wykrztusiła, szcękając zębami, walcząc z bólem.

Popatrzył na nią pobłaźliwie. Jest taka silna, że chwilami zapominał, jaka jest młodziutka. Za młoda na żonę majora Danversa... Zmarszczył się. Nie wolno mu dopuszczać takich myśli. Jest żoną majora i już.

- Muszę wrócić do Cottingdean...

Widząc, jak szybko po sobie następują bóle, Vic się zorientował, że nie zdążą tam dojść. Mogą nie dojść nawet do jego farmy. Wiedział, że to nienormalne, żeby pierwszy poród zaczynał się tak gwałtownie, i że takim przypadkom towarzyszy często krwotok, nierzadko śmiertelny. Miał zawsze kłopoty, kiedy któraś z jego młodych owieczek rodziła zbyt szybko. Jego troska była stokroć większa, gdy teraz w milczeniu sprowadzał z góry Liz.

• Zorientowawszy się, dokąd idą, Liz zatrzymała się, ze strachem w oczach.

• Nie, Vic, muszę wrócić do domu... Dziecko...

• Urodzi się, zanim tam dojdziemy - odparł spokojnie.

- Moja farma jest bliżej.

Liz poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Co on mówi? Skąd może wiedzieć? Kiedy zrozumiała, że Vic ma rację, wpadła w panikę.

- Doktor Holmes...

Vic widział przerażenie w jej oczach i zrobiło mu się jej niezmiernie żal. Nie powiedział, że nie ma czasu na wezwanie doktora, że nie pozostaje im nic innego, jak pozwolić się dziecku urodzić bez jego pomocy. Jednakże jego pewny uścisk uspokoił ją na tyle, że pozwoliła mu się poprowadzić na dziedziniec farmy.

Nigdy nie widziała wnętrza jego domu. Kuchnia lśniła czystością, stół był wyszorowany do białości jak u niej. W nozdra uderzyła ją znajoma woń duszącego się mięsa i Liz z zaskoczeniem poczuła głód. Lecz raptownie dopadł ją znów ból, swoją gwałtownością odwracając jej myśli od wszystkiego, tak że tylko jak przez mgłę zdawała sobie sprawę, że Vic prowadzi ją na górę, do małego zimnego pokoiku, w którym niegdyś sypiał jego dziadek, a który teraz był ogołocony ze wszystkiego prócz łóżka.

Poczuła, jak się pod nią ugina materac. Była świadoma, że czyjeś ręce zdejmują z niej odzież, że czyjś pewny głos przemawia do niej uspokajająco, podczas gdy raz po raz targał nią rozdzierający ból; ustępował na chwilę, by znów powrócić

z przesywającą, porażającą siłą.

Słyszała własny krzyk i czyjeś słowa, czuła, jak potęga nowego życia w jej ciele domaga się samoistnej egzystencji, paraliżował ją ból rodzenia, obawiała się niebezpieczeństwa dla niej samej i dla dziecka. Musiała wykrzykiwać głośno swoje lęki, bo czyjś głos jej odpowiadał, dodawał otuchy.

Na dworze zrobiło się ciemno, zimowy zmierzch przeszedł w mrok. Vic widział więcej porodów, niż mógł spamiętać, ale każde narodziny były czymś szczególnym, chwilą poza czasem, w której człowiek czuje się nieśmiertelny, będąc świadkiem podobnego cudu. Lecz nigdy nie doznał takiego uniesienia i pokory zarazem, jak w chwili urodzenia tego chłopca.

Wszelkie skrępowanie, jakiego mogła oczekiwać po takiej sytuacji, dawno opuściło Liz. Nie czuła nic prócz wdzięczności i intensywnej więzi, niewyrażalnej w słowach, kiedy Vic podawał jej dziecko. Jego ruchy były tak niewymuszone, naturalne, czuła, że nie odczuła najmniejszego zakłopotania, gdy jej przysunął niemowlę do piersi. Nieświadoma krwotoku spowodowanego porodem, przyjęła bez sprzeciwu, gdy jej powiedział, że musi unieść nogi łóżka.

Wyczarował skądś baranią skórę do owinięcia dziecka, żeby je utrzymać w ciepłe, wyjaśnił Liz.

- Dam mu na imię Dawid - oznajmiła sennie.
- To bardzo piękne imię - potwierdził szybko. - Królewskie.

Była śmiertelnie zmęczona, ciało miała wydrążone, wyprane z sił, lecz uniesienie faktem, że wydała na świat nowe życie, kazało jej się kurczowo trzymać świadomości.

Vic, nie chcąc jej alarmować, siedział przy niej, śledząc w milczeniu osłabiający ją wpływ krwi. Krwotok się zmniejszał, lecz nie ustawał. Vic podejrzewał, że Liz potrzebuje paru szwów w rozerwanych miejscach. Powinien ją zostawić i sprowadzić pomoc. Major pewnie już szaleje z niepokoju. Gdy to jednak powiedział, uczepiła się jego ręki.

- Nie, nie zostawiaj nas. Tyle mamy...

Urwała, kręcąc głową w sprzecznie wobec własnych myśli, własnych pragnień. Co chciała mu powiedzieć, czym się z nim podzielić? Jest obcym-mężczyzną, bardziej obcym niż Edward. A jednak przeżyli razem coś tak niezwykłego, coś tak intymnego, że połączyło to ich i dziecko nierozdzielnie na resztę życia. Wstrząsnął nią nagły dreszcz.

- Mów do mnie - poprosiła. - Powiedz mi, czego oczekujesz od życia, Vic.

Uczynił zadość jej prośbie, obserwując ją, gdy mówił, i nie okazując po sobie ulgi, gdy krwawienie powoli ustało i śmiertelna bledność zaczęła znikać z jej twarzy.

Będzie dobrą matką, stwierdził przyglądając się, z jaką instynktowną łatwością trzyma niemowlę. Szczęściem, chłopak jest zdrow, mimo przedwczesnego urodzenia dobrze rozwinięty, przyssał się do jej piersi jak smok.

Tak musiała wyglądać Madonna, pomyślał patrząc, jak Liz uśmiecha się do dziecka, dotyka jego policzka. Poczul ostre ukłucie zazdrości. Nadzieje, jakie żywił, plany, jakie snuł,

przestały nagle wystarczać. Nieoczekiwanie zapragnął więcej, zapragnął jej, Liz.

Odepchnął to pragnienie od siebie, spróbował je zdusić, nim się ukształtuje, ale już było za późno. Świadomość, że ta kobieta nigdy nie będzie leżała w jego łóżku, karmiąc jego dziecko, ta świadomość pozostanie zawsze krwawiącą raną w jego piersi.

- Mów dalej - poprosiła Liz, odrywając wzrok od syna.
- Mówiłeś... że chciałbyś sprowadzić rasowego barana...

Edward był uszczęśliwiony narodzeniem syna. Zaaprobował nawet imię, które mu wybrała. Liz podejrzewała jednak, że nie może jej wybaczyć, iż dopuściła do przedwczesnego urodzenia Dawida, i to w takim okropnym miejscu, przy asyście prostego pasterza.

Był potem przez kilka tygodni opryskliwy w stosunku do Vica, o co Liz robiła sobie wyrzuty, uważając, że jego gniew skierowany jest w rzeczywistości przeciwko niej. Nie rozumiała, że to normalny przejaw instynktownej męskiej zazdrości wobec drugiego mężczyzny, u którego wyczuwa zainteresowanie swoją towarzyszką.

Natomiast Ian Holmes nie mógł się nachwalić Vica, traktując okoliczności urodzenia Dawida z naturalnością, za którą Liz była mu głęboko wdzięczna.

- Miałas szczęście, że trafiłaś właśnie na Vica. Nie mogłaś sobie wymarzyć lepszej akuszerki. On ma znacznie większe doświadczenie w odbieraniu porodów niż ja.

Edwardowi ta uwaga bardzo się nie spodobała. Z niesmakiem zauważył, że kobieta to co innego niż owce.

- Nie kiedy chodzi o rodzenie - odparł dobrodusznie Ian.

Nie dodał, że gdyby nie szybka interwencja Vica, krwotok Liz mógłby się okazać znacznie bardziej groźny.

Dzięki temu, że sprawy się tak szczęśliwie ułożyły, Liz powróciła szybko do sił po połogu i promieniowała zdrowiem i dumą. Dziecko znajdowało się również w kwitnym stanie.

Ktoś wyczarował skądś dwie kozy i Liz zmuszała się do picia tłustego mleka ze względu na Dawida, Ian ostrzegł, że bez tego mogłoby jej zabraknąć pokarmu dla niemowlęcia przy nędznym odżywianiu, na jakie są wszyscy skazani.

Kiedy Dawid miał około pół roku, wydarzyły się w krótkich odstępach czasu trzy rzeczy, które miały wywrzeć głęboki wpływ na ich życie.

Pierwszą było pojawienie się nieoczekiwanego gościa, który zapukał do nie używanych frontowych drzwi Cottingdean punktualnie o czwartej pewnego ciepłego popołudnia na początku czerwca, akurat kiedy Liz ułożyła zarówno Dawida, jak Edwarda do drzemki, która się stała częścią rytuału dnia.

Gdyby Liz musiała kiedyś spisać błogosławieństwa, które

na nią spłynęły, jako pierwsze wymieniałaby miłość Edwarda do syna. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak łatwo jej przychodziło myśleć o Dawidzie jako o ich synu. Edward go pokochał od momentu, gdy go pierwszy raz ujrzał na oczy, i obchodził się z nim z czułością, która dla Liz zakrawała na cud.

Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości co do sensu swego małżeństwa, to rozpieczędły się one, w chwili gdy zobaczyła wzrok Edwarda, promieniejący czystą miłością ojcowską, która - wiedziała to - nie zostanie nigdy przyćmiona. A jeśli czasami nachodziło ją bolesne wspomnienie roześmianego, przystojnego mężczyzny, który dał Dawidowi życie, to poprzysięgła sobie, że nikt się nigdy o tym nie dowie.

Dawid stał się synem Edwarda, który drżał o niego znacznie bardziej niż ona. Z początku Edward się krzywił na fakt, iż Liz karmi go sama piersią. W jego świecie panie tego po prostu nie robiły. Jednakże Ian Holmes, który miał zdecydowane poglądy, wynikające z twardego północnego wychowania, wytłumaczył mu, nie bawiąc się w sentymenty, że mleko Liz stanowi znacznie ekonomiczniejszy i zdrowszy pokarm dla dziecka niż jakakolwiek kupna mieszanka podawana z butelki.

Jakby na potwierdzenie jego słów Dawid rozwijał się wspaniale. W wieku pół roku był spokojnym pulchnym dzieckiem z puklami ciemnych włosów, z poważnymi niebieskimi oczami, które powoli nabierały szarego odcienia, i z buzią ogorzałą od długich godzin spędzanych w koszyku u boku matki pracującej w ogrodzie.

Kozy spełniały swoją rolę, a teraz ktoś - podejrzewała, że Jan Holmes albo młody Vic - skłonił Jacka Lowndesa do Wypożyczenia jej dwóch ludzi do cięższych wiosennych robót ogrodowych.

Liz nie zgodziła się na wycięcie schodzących stopniami drzew owocowych przy murze, kazała je tylko przyciąć, na ile miała odwagę, licząc, że przy odpowiedniej pielęgnacji i nawożeniu zaczną na nowo owocować. Teraz, w czerwcu, kiedy wczesnym rankiem szła przez ogród, stanowiący jej królestwo, po nakarmieniu kur i sprawdzeniu, że kozy nie zerwały się z uwięzi, serce jej rosło na widok równych rzędów roślin, zapowiadających obfity zbiór.

W zapobiegliwości, wpojonej jej przez ciocię Vi, już teraz planowała, że na jesieni zawekuje, ile tylko zdoła, przetworów z owoców i jarzyn.

Pojawienie się jakiegokolwiek gościa stanowiło niecodzienne wydarzenie. Ludzie miasteczkowi trzymali się własnego podwórka, Liz zaś była zbyt świadoma, że jest ni psem, ni wydrą w miejscowej hierarchii społecznej, by sama szukać znajomości. Wizyta w poniedziałkowe popołudnie, kiedy każda rozsądna gospodyni wykańcza z ulgą cotygodniowe pranie, była więc sama w sobie wystarczającym zaskoczeniem, a już wizyta osoby, która stuka do nie używanych frontowych drzwi, wprawiła Liz niemal w popłoch. Szybko ściągnęła z siebie kombinezon i wytarła ręce.

Właściwie jedynym pomieszczeniem, nadającym się do

mieszkania, była kuchnia. Edward pogodził się z faktem, że na dobrą sprawę spędzają tutaj cały dzień, i nie zaprotestował, kiedy Liz, z pomocą Vica, ściągnęła ze strychu dwa wiekowe fotele z wilgotnymi, wytartymi obiciami, ale z całymi sprężynami. Przez większą część wiosny pracowała wieczorami na pożyczonym Singerze, szyjąc pokrowce na fotele z pary starych adamszkowych kotar, które znalazła na strychu. Wykładana kamiennymi płytami część podłogi lśniła czystością, na wyszorowanych deskach pozostałej części połyskiwały wypucowane naczynia cynowe, spod blachy rozchodziło się zawsze miłe ciepło.

Wszedłszy do holu, Liz skrzywiła się. Ostatnio nabrała zwyczaju używania tylnych schodów, które stanowiły wygodniejsze połączenie z kuchnią, a od urodzenia Dawida nie miała czasu na dalsze porządkowanie domu. Silne promienie letniego słońca, wpadające do wnętrza, uświadomiły jej teraz na nowo stan jego zaniedbania.

Trudno, powiedziała sobie z determinacją, siłując się z ciężką zasuwą. Jeżeli komuś zachciało się wchodzić od frontu, to będzie się musiał pogodzić z bałaganem.

Otworzywszy drzwi, zmrużyła na chwilę oczy od promieni słonecznych, po czym rozwarła je szeroko ze zdumienia. Przed nią stała wysoka, koścista kobieta, z szopą kręconych siwych włosów na głowie i skórą ogorzałą jak u Cyganki. Musi być pod siedemdziesiątkę, oceniła Liz, uśmiechając się do przybyłej i zapraszając ją do środka.

- Jestem Harriet Fane - przedstawiła się kobieta.

Wyciągnęła rękę i ku zaskoczeniu Liz uściśniła jej dłoń z niemal męską siłą. Palce miała długie i kościste, skórę stwardniałą od pracy fizycznej. Weszła do holu, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego zaniedbanie.

- Mieszkam z bratem w Fane Place, wie pani. A właściwie mieszkalam. Pochowałam go w zeszłym tygodniu. I dobrze, że tak się stało. Podziurawili go jak rzeszoto pod Dunkierką. Powinni z nim tam byli skończyć. Dlatego tu przyjechałam. Słyszałam o pani mężu. Nigdy go nie poznałam, ale znałam jego rodzinę...

Liz słuchała zakłopotana. Wiedziała o Harriet Fane, właściwie lady Harriet Fane, od Iana Holmesa, który napomknął podczas ostatniej wizyty o śmierci jej brata, lorda George'a Fane'a. O Fane'ach krążyły w miasteczku opowieści jako b ekscentrycznej parze, mieszkającej w Fane Place, dworze, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej zrujnowanym niż Cottingdean. Żadne z nich nie wstąpiło nigdy w związek małżeński. Lady Harriet, o której mówiono, że żyje dla swoich koni i dla swego ogrodu, miała męskie obyczaje, niewyparzony język i talent do popełniania mimowolnych nietaktów. Pastorkowa powiedziała kiedyś Liz, że żał jej tej kobiety.

- Wydaje mi się, że pod swoim szorstkim sposobem bycia ukrywa nieśmiałość. Prowadzą oboje z bratem bardzo samotne życie w tym wielkim pustym dworze. On jest przykuty do łóżka i często cierpi okropne bóle. Nie mają żadnej bliższej

rodziny, a bardzo niewielu przyjaciół.

Przypominając to sobie, Liz wyjaśniła z lekkim zażenowaniem, że mieszkają na dobrą sprawę w kuchni, i poprowadziła do niej gościa. Żałowała, że Edward odbywa akurat swoją popołudniową drzemkę. W jego obecności łatwiej by jej było stawić czoło gościowi.

- Przyjemny zapach.

Liz posłała kobiecie niepewny uśmiech. Edward był bardzo wybredny i żeby go skłonić do jedzenia, musiała mu gotować smaczne rzeczy. W dni prania u cioci Vi był tylko chleb i zimne mięso z piklami, ale tego rana Liz wstała wcześniej, żeby upiec świeży chleb, a teraz dusiła potrawkę z kury. Wskazała kobiecie jeden z foteli i zaproponowała filiżankę herbaty.

- Powiem pani, po co tu przyjechałam - oznajmiła Harriet Fane, od razu przechodząc do rzeczy. - Chodzi o Chiversa.

Liz słuchała, niepewnie uśmiechnięta. Nie miała pojęcia, kto to taki ten Chivers. Może w ogóle nie człowiek, tylko koń, który uciekł lady Harriet.

• Chiversa? - spytała uprzejmie.

• Tak, to ordynans George'a. Był z nim przez wiele lat. Utrzymywał go przy życiu. Najlepszy pielęgniarz, jakiego można sobie wymarzyć, mówił zawsze George. Potrafi wszystko. Muszę mu teraz, po śmierci George'a, znaleźć miejsce. Słyszałam, że państwo szukają kogoś do pomocy...

Liz się speszyła. Rzeczywiście, przekonała ostatnio Edwarda, że powinni zaangażować kogoś, kto by ją wyręczał w cięższych pracach gospodarczych. Serce jej się krajało na widok zniszczenia i marnotrawstwa, otaczającego ją w domu i wokół niego. Zdawała sobie sprawę, że przy odrobinie wysiłku i pomysłowości wielu rzeczom można by zaradzić minimalnym kosztem. Miała nadzieję, że wśród mężczyzn, wracających z wojny, znajdą kogoś, znającego się trochę na ciesiółce i budownictwie, kogoś, kto by rąbał drwa na opał i pomagał jej w ogrodzie w miarę potrzeby. Potrzebowała jednak silnego, młodego mężczyzny, nie jakiegoś podtatusiałego rezydenta, który będzie kręcił nosem, że się od niego wymaga takich ostatnich prac. Poza tym, nie mogą mu zbyt hojnie płacić. Przypomniawszy to sobie, wydała westchnienie ulgi i wyjaśniła kobiecie sytuację.

- Och, to nie ma znaczenia - odparła ku jej konsternacji lady Harriet. - Chiversowi nie potrzeba wiele. Prawdę mówiąc, George nie płacił mu chyba nigdy. Nie, chodzi po prostu o znalezienie mu kwatery. On nie ma żadnej rodziny. Człowiek poczuwa się do odpowiedzialności. Nie będzie się w końcu żyło wiecznie. Chivers jest nadzwyczajny.

A więc to sprawa z rodzaju *noblesse oblige*, zorientowała się Liz. Szukała gorączkowo jakiejś wymówki, ale nie przyszło jej do głowy nic, prócz banalnego:

- To bardzo ładnie, że pani o nas pomyślała. Ale decyzja będzie, oczywiście, należała do Edwarda...

- Chivers to człowiek, jakiego mu potrzeba. Nieba przychylił pani mężowi. - Lady Harriet wstała. - Cieszę się, że

sprawa załatwiona. Przywiozę go rano.

- Rano? - Liz patrzyła na nią z niedowierzaniem. Chwyła się ostatniej deski ratunku. - Ale ten... Chivers może nie zechceć u nas pracować...

- Nonsens! - huknęła lady Harriet. - To dla niego wymarzone miejsce. Zamartwia się od śmierci George'a. No, na mnie czas. Muszę nakarmić konie.

Zupełnie pokonana, Liz wyprowadziła lady Harriet przez hol i patrzyła, jak kobieta sadowi się w wiekowym Morrisie. Jego silnik zakrzuszył się, nim zaskoczył, i przerdzewiała karoseria zaklekotała od drgania. Po odjeździe lady Harriet Liz usiadła z filiżanką herbaty. Edward będzie wściekły, i nie bez racji. Ale żadne jej argumenty nie zdołały zachwiać determinacji tej kobiety.

Odczekała i poinformowała Edwarda o tym, co zaszło, dopiero po kolacji. Nie zirytowało go to tak, jak się spodziewała, i Liz zrozumiała, że kodeks towarzyski, obowiązujący w sferze, do której należy jej mąż, ma jeszcze wiele nie znanych jej stron. W odróżnieniu od niej Edward nie widział nic dziwnego w tym, że ordynans świętej pamięci lorda Fane'a zostaje przekazany jak sprzęt z jednego domu do drugiego. Wprost przeciwnie, zdawało mu się pochlebiać, że lady Harriet uznała ich dom za godny odziedziczenia go. Zupełnie, jakby im robiła łaskę. Podczas gdy Liz nie miała wątpliwości, że im wyświadcza niedźwiedzią przysługę.

Jej obawy się potwierdziły, kiedy lady Harriet przywiozła rano Chiversa, który okazał się niskim, okrągłym mężczyzną o lysej czaszce i cerze gładkiej jak u niemowlęcia. Może mieć równie dobrze czterdzieści, jak sześćdziesiąt lat, oceniła Liz, witając go nieco sztywno. Wstała wcześniej, żeby przygotować dla niego pokój, ale miała nadzieję, że rzuci on raz okiem na dom i oznajmi, że nie może tu pozostać.

Kiedy go prowadziła przez hol, zauważyła, jak się przygląda boazerii, którą próbowała czyścić. Oskrobane do nagości drewno prosiło się teraz o zagruntowanie. Idealny do przywrócenia mu życia byłby olej lniany, ale kto jest w stanie zdobyć jakikolwiek olej w tych czasach braków i racjonowania?

Powiedziała Edwardowi, że to on musi zdecydować, czy zatrzymają Chiversa, poprowadziła więc nieproszonego gościa do czystej, lecz nagiej biblioteki, w której czekał Edward. Rozpałała na kominku ogień, ale nie poczyniła żadnych innych wysiłków dla nadania bibliotece pozorów zamieszkania. Niech ten człowiek zobaczy dom tak, jak on naprawdę wygląda. Niech się przekona, jak naprawdę żyją.

Wbrew niechęci wobec sytuacji, w jaką ją wmanewrowano, Liz nie potrafiła się wyzbyć zasad wpojonych jej przez ciocię Vi i przygotowała w kuchni tacę z herbatą i ciasteczkami dla gościa. Ciasteczka były niewymyślne i prawie bez cukru, ale nic lepszego nie udało jej się zrobić ze skromnych zapasów, jakimi dysponowała.

Wystarczyły trzy dni, żeby Liz zmieniła całkowicie zdanie o Chiversie. Zachodziła teraz w głowę, jak lady Harriet Fane zdoła sobie urządzić życie bez niego.

Usłyszawszy o tym wydarzeniu, pastorkowa przybiegła do Cottingdean i wykrzyknęła:

- Masz Chiversa, szczęściara z ciebie! Jakżeś go zdobyła?

- To nie moja zasługa - sprostowała Liz i przystąpiła do opowiadania.

Wyjaśnienie, w jaki sposób trafił do Cottingdean, przypadło w udziale samemu Chiversowi.

Liz zastała go któregoś dnia na czworakach w holu, nasycającego troskliwie boazerię czymś pachnącym podejrzanie jak olej lniany. Kiedy go o to zapytała, przyznał, że to istotnie olej lniany, po czym przyłożył wskazujący palec do ust i szepnął, że nie może zdradzić swoich źródeł zaopatrzenia. A zaczęły się ostatnio dziać w Cottingdean rozmaite tajemnicze rzeczy. Cudownie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zniknęła dziura w dachu stajni, w której załatanie kiedykolwiek Liz dawno zwątpiła. Przegniłe półki w bibliotece magicznym sposobem przemieniły się w nowe.

- Chivers się tu marnuje - powiedziała mu Liz z podziwem. - Powinien Chivers rządzić krajem.

- Nie podziękowałbym pani za taką posadę - odrzekł jej.

Mówił jej zawsze pani i nigdy, czego się początkowo obawiała, nie dał jej odczuć, że wie, iż Liz pochodzi z klasy niższej niż jej mąż.

- Kiedy usłyszałem, jakie państwo tu mają kłopoty, od razu pomyślałem, że to by była dla mnie wymarzona kwatery. Przypieczętowało sprawę, że tak powiem, kiedy się pani urodziło dziecko.

Więcej nie powiedział, a Liz wolała nie pytać. Lady Harriet nie wygląda może na dobrą wróżkę, ale podarunek, jaki im uczyniła z Chiversa, był rzeczywiście nieoceniony.

Życie zrobiło się nagle nieco łatwiejsze. Liz stwierdziła, że się częściej śmieje, złapała się na tym, że śpiewa, pracując w ogrodzie. Zauważyła również, że coraz rzadziej myśli o Kicie, wspomnienia jego osoby nie nawiedzały jej często przez kilka dni.

Nadeszły i minęły jej urodziny, uczczone tortem upieczonym przez Chiversa i zaskakującą kolekcją nieoczekiwanych prezentów.

Aż raptem, pewnego słonecznego letniego dnia, kiedy zaczęła się właśnie na dobre zadamawiać w swoim nowym świecie, zjawił się drugi niespodziewany gość.

I tym razem była to kobieta, która zastukała do drzwi frontowych. Poza tym stanowiła jednak uderzający kontrast w stosunku do Harriet Fane.

Liz otworzyła drzwi z uśmiechem na wargach, mimo woli rozkoszując się dyskretnym połyskiem wypoliturowanych boazerii, i jej uśmiech zamarł ze zdumienia na widok stojącej przed nią kobiety. Wysoka i szczupła, ciemne włosy miała

związane w elegancki kok, na twarzy nieskazitelny makijaż. Jeżeli w jej oczach malowała się pewna twardość, to Liz udala miłosiernie, że tego nie dostrzega. Kobieta szybkimi, nerwowymi pociągnięciami paliła papierosa, strój miała szykowny i kosztowny, podobnie jak pierścionek z brylantem, który nosiła obok obrączki.

Wyglądała, jakby wyszła z jednego z magazynów ilustrowanych, które pastorowa Luiza Ferndeau dostawała czasem od swojej zamężnej córki -kosztowna, krucha kobieta, zupełnie, ale to zupełnie nie na miejscu w holu w Cottingdean.

Za nią, na podjeździe, lśniło wielkie auto, także ostentacyjnie nowe. Kobieta, jakby wyczuwając zaskoczenie Liz, zrobiła w jego kierunku gest i poinformowała niemal lodowatym tonem:

- Prezent od mojego nowego męża. Ładne, co? Mogę wejść? A, powinnam się pewnie przedstawić. Jestem Lillian Chalmers.

Liz nie wiedziała, co odrzec. Kobieta najwidoczniej uważała, że ona powinna znać jej nazwisko.

- Byłam narzeczoną brata stryjecznego Edwarda, dopóki się nie dał zestrzelić z tym swoim samolotem.

Zgniotła obcasem papieros niemal z wściekłością i powiedziała zdławionym głosem:

- Nie mógł mi pewnie zrobić większej przysługi. Znała

pani Kita? Siedziałam w Stanach Bóg wie jak długo i dowie-

działam się o państwa małżeństwie dopiero po powrocie. Za-

raz pomyślałam, że zajrzę tu przed wyjazdem, ze względu na

dawne czasy. Bo jadę znowu do Nowego Jorku teraz, kiedy

wysłałam za Lee. Wie pani, Kit urządził kiedyś w Cottingdean

straszne pijatyki. Nie znaczy, że bym była na nie zapraszana.

Mężczyzna nie zaprasza na takie imprezy narzeczonej, szcze-

gólnie kiedy się z nią żeni tylko dla pieniędzy.

Świat wirował Liz przed oczami. Ogarnęło ją dziwne wra-

żenie *deja vu* -jakby już raz to przeżyła. Zapadała się w czar-

ną otchłań rozpacz i bólu.

- Przykro mi - wykrztusiła. - Niestety...

Ta kobieta była zaręczona z Kitem, kochała go... I została

przez niego skrzywdzona...

Liz czuła się jak uwięziona w lodowatym koszmarze, od

którego nie zdoła się nigdy wyzwolić. Ta kobieta nie ma

oczywiście pojęcia, że ją, Liz, coś wiązało z Kitem, uświadomiła sobie. Jej jad nie jest skierowany przeciwko Liz osobiście. Chce się tylko oczyścić z brudu, szuka emocjonalnego *katharsis*, żeby móc się odwrócić od przeszłości i wkroczyć wolna w nowe życie.

- Ja go kochałam, rozumie pani - powiedziała z goryczą tamta, wchodząc za Liz do kuchni, gdzie natychmiast zapaliła nowego papierosa. - To było istne piekło. Kochałam go, a on mnie przez krótki czas utrzymywał w przekonaniu, że też mnie kocha. Ale tylko po to, żebym z nim poszła do łóżka. Dla niego to była zabawa. Wiedział, że nie zdobędę się na zerwanie z nim. Sprawiało mu przyjemność dręczenie mnie. Mówienie, że żeni się ze mną tylko dla pieniędzy.

Liz miała ochotę krzyczeć, żeby kobieta zamilkła, że ona nie chce tego słuchać, że tamta burzy jej własne złudzenia, odziera ją z najcenniejszych wspomnień. Żałowała, że akurat jest sama w domu.

Chivers wybrał się z Edwardem i Dawidem do miasteczka. Przytwierdził do wózka stary koszyk od roweru, tak że mógł ich wozić obu jednocześnie. Bóg wie, kiedy wrócą.

- Wiedziałam, jaki on jest, a mimo to myślałam potem... kiedy zginął... że umrę. Życie straciło cały sens. - Skrzywiła jaskrawo umalowane wargi. - Żałowałam nawet, że nie miałam z nim dziecka. Śmieszne, co? To ostatnia rzecz, jakiej Kit by sobie życzył. Zdawało mi się przedtem przez jakiś czas, że jestem... Rozumie pani. Kit się wściekał, wrzeszczał na mnie. Mimo że nie miałam o tych sprawach pojęcia, on był moim pierwszym mężczyzną...

Urwała, zagryzła wargi. Zaciągnęła się głęboko papierosem.

Liz z trudem powściągała mdłości. Nie chce tego słuchać. To ponad jej siły. Dlaczego? Dlaczego musiało ją to spotkać? Dlaczego nie dane jej było pozostać w nieświadomości?

- Dal mi adres. Poszłam tam. Było to brudne, obskurne miejsce, a ta baba... - Kobieta się wstrząsnęła. - Na szczęście się okazało, że to fałszywy alarm. Dowiedziałam się później od przyjaciółki, że ta wiedźma już uśmierciła parę dziewcząt.

Milczała chwilę.

- Kit nienawidził kobiet - oznajmiła. - O, nigdy by pani tego nie przypuściła. Był chodzącym urokiem, umiał szeptać czułe słówka. Ale w głębi duszy nas nienawidził. Sprawiało mu przyjemność znęcanie się nad ludźmi. Edward mi to kiedyś powiedział, ale mu nie uwierzyłam. Uważałam, że Ed-

ward mu po prostu zazdrości, bo Kit ma wszystko, a on nic. Nawet zanim został kaleką, Edward nie mógł się z nim równać. Kita wszyscy uwielbiali, kobiety traciły dla niego głowę. Może to było właśnie jego nieszczęście. Gardził nami za to, że tak na niego lecimy. Kit nie kochał chyba w życiu nikogo prócz siebie.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Jak tylko umarł jego ojciec, sprzedał wszystko, co tu miało jakąkolwiek wartość. Ściągał swoich kompanów od kieliszka i ich dziwki, urządzał orgie. Ta para, którą jego ojciec opłacał, żeby doglądała domu, wyniosła się. Biedny Edward. To, co odziedziczył, okazało się pewnie bardziej utrapieniem niż dobrodziejstwem. Jeśli rodzina miała jeszcze jakieś pieniądze, Kit je przepuścił...

Zmierzyła Liz zimnym wzrokiem.

- Jest pani bardzo młoda jak na żonę Edwarda. Człowieka tak okaleczonego...

Czując na sobie spojrzenie jej niebieskich oczu, bynajmniej nie przyjaznych, Liz usłyszała swój zdławiony głos:

- Znałam Edwarda, jeszcze zanim... zanim...
- I kiedy go potem odesłali w takim stanie, czuła się pani zobowiązana do dotrzymania danego słowa? To bardzo szlachetnie z pani strony. I jakie jest... to wasze życie?

Liz patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Ta kobieta się boi, stwierdziła. Pod tym całym makijażem i kosztownym strojem ukrywa strach.

- Jak życie - odparła z cierpkim humorem. - Od nas zależy, co zrobimy ze swoim życiem.

Ironiczna maska powróciła natychmiast na twarz kobiety.

- Ta-ak? Muszę zobaczyć, co mi się uda zrobić z moim życiem. Lee jest przynajmniej dostatecznie bogaty, żeby mi płacić przyzwoite alimenty, jeśli się zdecydujemy rozstać i wziąć rozwód. Sytuacja się odwróciła, jak pani widzi - dorzuciła z promiennym uśmiechem. - Mój ojciec stracił majątek, a ja wyszłam za Lee z tego samego powodu, dla którego Kit chciał się żenić ze mną. Zgorszyłam panią, co? Po tym, jak zostałam potraktowana przez Kita, nie powinnam była...

- Nie moją rzeczą jest sądzić-odparła spokojnie Liz.

W jakiej mierze jej postawa, jej cynizm, jest dziełem Kita? Czy całego tego zniszczenia dokonał w niej ból przez niego zadany?

Dopiero później Liz zdała sobie sprawę, że ani razu nie przyszło jej do głowy zakwestionować rewelacje tej kobiety. Ani razu spontaniczne zaprzeczenie nie powstało jej w głowie. Było tak, stwierdziła, jakby jakaś cząstka jej duszy od początku wiedziała, jaki naprawdę jest Kit, tylko że ona, Liz, niby dziecko, lękające się ciemności, chciała się za wszelką cenę trzymać swoich złudzeń.

- E, nic tu po mnie. Nie wiem, po co właściwie przyjechałam...

- Żeby przepędzić złego ducha - poddała ze współczuciem Liz.

Po odjeździe Lillian siedziała długo, wpatrzona w przestrzeń. Czuła od początku, że Edward nie lubi brata stryjecznego, a że była dostatecznie wrażliwa, by wiedzieć, iż pragnie wspomnienie o nim okryć niepamięcią, starannie unikała choćby wymieniania jego imienia. Nie wypowiadała go nawet szeptem, gdy pozostawała sama z Dawidem. Pamiętała, jaki Edward potrafi być zazdrosny.

Przyrzekła Edwardowi, że Dawid będzie jego synem, dała mu słowo i ani razu tego słowa nie złamała. Teraz się cieszyła, że jej dziecko dorośnie w niewiedzy, kto był jego prawdziwym ojcem. Dziękowała losowi, że pozwolił jej spotkać na swej drodze Edwarda i wyjść za niego. Zadrżała na przypomnienie krótkiego, lecz wystarczająco wyrazistego opisu miejsca, do którego Kit posłał tamtą kobietę. Dzięki Bogu, nie miała okazji powiedzenia Kitowi o swojej ciąży.

Chociaż nie uświadamiała sobie tego, kiedy tak siedziała pogrążona w myślach, zamknęła tego popołudnia kartę swojej młodości. Zamknęła ją i zapieczętowała, przysięgając sobie, że po kres swoich dni będzie robić wszystko, by się odwdzięczyć Edwardowi. Dawid, Edward, Cottingdean - to będzie odtąd orbita jej życia.

Kit obrabował ją już z pociągu pociowego, z czego sobie nie zdawała sprawy. Teraz pozbawiał ją również marzeń.

Jeszcze ten jeden, ostatni raz, bardziej za karę niż jako odtrutkę, pozwoliła sobie odtworzyć w pamięci każdą sekundę z nim spędzoną, każde wyszeptane słowo, każdy uścisk, tym razem jednak odarte z jej niewinności i naiwności. Ujrzała je teraz w realnym świetle i poczuła obrzydzenie do siebie. Jak mogła być taka zaślepiona? Kit jej nigdy nie kochał, wyśmiały ją, gdyby się domyślił jej uczuć.

Zmusiła się teraz do przypomnienia sobie, jak w chwili oddania mu się nie doznała żadnej przyjemności... Nic, prócz bólu... Bólu i strachu...

Nie czuła najmniejszego żalu, że jej życie u boku Edwarda upłynie w całkowitej wstrzemięźliwości. Ma syna, ma troskliwego i oddanego męża, ma dom, który pewnego dnia doprowadzi do dawnej świetności. Opieka nad nimi będzie odtąd jej celem, jej przeznaczeniem.

Miała wówczas dziewiętnaście lat.

Trzecim wydarzeniem nie była nieoczekiwana wizyta, lecz list. List pisany na maszynie i zaadresowany do niej osobiście. Kiedy go otworzyła i zaczęła czytać, twarz jej się zmieniła.

- Coś się stało? - zapytał Edward.

Jedli śniadanie w małej słonecznej jadalni, którą wspólnie z Chiversem doprowadziła do porządku i umeblowała sprzętami znalezionymi na strychu.

Strych okazywał się niewyczerpanym skarbcem. Większość zgromadzonych tam mebli była staromodna i połamana, ale cudotwórcze dłonie Chiversa potrafiły je zawsze wyreperować, Liz zaś dochodziła powoli do wniosku, że woli patynę tych wysłużonych, niekiedy obskurnych sprzętów od nowoczesnej użyteczności dzisiejszych mebli, tak w porów-

naniu z tamtymi pozbawionych wdzięku.

- Tak - odparła na pytanie Edwarda. - To list od adwokata mojej cioci.

Liz pisywała do cioci Vi regularnie od urodzenia Dawida, ale nie otrzymała ani razu odpowiedzi. Teraz dowiadywała się z zaskoczeniem, że ciocia umarła i że przed śmiercią zarządziła, żeby Liz zawiadomiono dopiero po pogrzebie. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją wiadomość, że ciocia Vi zapisała jej cały swój majątek: mały domek wraz z jego zawartością oraz sumę pieniędzy, która zaparła Liz dech w piersiach.

- Ponad tysiąc funtów. Niezła sumka - orzekł Edward.
- Ależ to fortuna! - zaprotestowała z oburzeniem Liz. Edward uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

Był teraz bardziej zadowolony z życia, niż oczekiwał w najśmielszych marzeniach. Choć rany ciągle mu dokuczały, miał obecnie coś, czego nie miał nigdy dotąd. Miał nadzieję. Miał Liz, miał Dawida, miał Cottingdean - i kochał to wszystko. Poprzysiął sobie, że nigdy nie będzie się narzucał Liz ze swoimi uczuciami. Do czegoż by to prowadziło? Nigdy nie będzie dla niej mężem w jakimkolwiek fizycznym sensie. Obserwował ją jednak zazdrośnie, zastanawiając się, czy nie nadejdzie dzień, gdy zapragnie ona związku cielesnego z jakimś innym mężczyzną. Kiedy się zakocha w jakimś mężczyźnie!

- Co my zrobimy z tymi pieniędzmi? - zapytała go Liz.

Pomyślała, że mogliby kupić jakieś małe auto, jeśliby się udało coś takiego znaleźć. Ułatwiłoby to życie Edwardowi, uczyniło je przyjemniejszym. Gdy to jednak powiedziała, Edward zmarszczył czoło i odparł krótko:

- Nie, Liz, to twoje pieniądze. Powinnaś je wydać na siebie. Może sobie kupisz coś ładnego do ubrania - zaproponował niezobowiązująco.

Liz się roześmiała. Coś ładnego do ubrania. Co by jej z tego przyszło? Mężczyźni nie mają pojęcia o rzeczywistych potrzebach. Przemyśliwała ostatnio o kupieniu używanej maszyny do szycia - nie może przecież wiecznie pożyczać maszyny od pastowej - ale wspomniała o tym kiedyś Chiversowi i maszyna już się jakimś cudem pojawiła. Liz nie zdziwiła się nawet specjalnie. Przestała go w ogóle pytać, gdzie zdobywa rzeczy, które się nagle pojawiają w domu. Była mu jedynie wdzięczna.

Wydać pieniądze na siebie, mówi Edward. I raptem, kiedy stała po południu w ogrodzie, patrząc na wzgórze, powzięła konkretny plan, na co przeznaczyć spadek po cioci.

- Kupić barana... ?

Vic patrzył na nią niedowierzająco.

• Nie byle barana, Vic. Najlepszego, jaki istnieje. Gdybyś mógł go szukać wszędzie w świecie, gdzie byś pojechał?

• Do Australii - odpowiedział bez wahania. - Hodują tam wspaniałe nowe krzyżówki. Czytałem o tym niedawno. - Wzruszył ramionami. - Ale to nierealne.

• I owszem, jak najbardziej realne - skorygowała go Liz.

Musiała włożyć wiele wysiłku, żeby go przekonać do po-

dróży, a jeszcze więcej, żeby przekonać Edwarda, ale w końcu postawiła na swoim. Sąsiad hodowca zgodził się za wynagrodzeniem zaopiekować ich stadem wraz ze swoim, Liz wystosowała listy, poczyniła wszystkie przygotowania.

- Wyprawiasz się jak Jazon po złote runo - zażartowała kiedyś.

- Święte słowa. Nasze runo będzie warte furę złota, jeśli uda mi się przywieźć jednego z najlepszych tryków australijskich. Ale to nie takie łatwe...

- Nie, niełatwe - przyznała Liz, posyłając Vicowi uśmiech. - Ale ty tego dokonasz.

Cząstką duszy zazdrościła mu niemal przygody, jaka go czeka. Ale cóż, ona ma swój własny świat. Jej światem jest Cottingdean, a jeśli ten świat wydaje jej się czasami ciasny... Odsunęła od siebie te myśli, napominając się, że powinna być wdzięczna za to, co ma.

Cień przesłonił na chwilę blask księżycy w oknie - i Sage przewróciła się we śnie. Pamiętnik leżał na dywanie koło łóżka, tam, gdzie się zsunął, gdy zasnęła, zbyt zmęczona, by czytać dalej, a zarazem tak zaabsorbowana, że nie chciała przerywać lektury, aż oczy same jej się zamknęły.

Sny miała urywane, powikłane. Stała w nich w holu domu, ale nie w tym holu, który знаła przez całe życie, dyskretnie wymakowanym, z politurowaną boazerią, ciężkimi dębowymi meblami, perskim dywanem. Hol ze snu był pusty, boazerię miał brudną i wilgotną, na suficie girlandy pajęczyn, tak jak to opisywała mamusia w swoim pamiętniku.

Z dworu dobiegło wycie lisicy, żaloszny zawodzący dźwięk, który przeniknął do snu Sage. Był to odwieczny głos samicy wzywającej samca, wołanie o opiekę, towarzystwo, miłość. Sage zaszlochała i zawołała przez sen:

- Scott, nie, nie zostawiaj mnie...

Lecz twarz ukochanego, niegdyś tak znajoma, już blakła, rozplywała się, a jej miejsce zajmowały twarze innych mężczyzn, zbyt licznych, liczniejszych, niżby chciała pamiętać. Mężczyzn, którym oddawała ciało, ale nigdy serce. Mężczyzn, którzy jej pomagali zapomnieć, jak została odrzucona, wzgardzona. Mężczyzn aż nazbyt chętnych do dzielenia z nią rozkoszy cielesnych, których nie było jej nigdy dane dzielić ze Scottem.

Jak łatwo pozwalali się zwodzić, utrzymywać w przekonaniu, że coś dla niej znaczą. Jacy byli głupi i próżni. Wszyscy po kolei.

Nie, nie wszyscy, jeden ją przejrzał. Zorientował się i wzgardził nią. Poznał fałszywą monetę, jaką mu ofiarowywała, i cisnął jej w twarz.

Stał przed nią teraz jak żywy, wyższy od niej o głowę,

wściekły na nią, tak wściekły, że przez chwilę myślała, iż ją uderzy. Fakt, że tego nie uczynił, świadczył na korzyść jego, nie jej. Widziała, jak toczy walkę ze swoim gniewem, jak się ze sobą zмага i jak zwycięża. Kiedy się odwrócił, by odejść, poczuła ten idiotyczny impuls, żeby zawołać i... Zawołać po co? Dla wyjaśnienia, przeproszenia?

Przewróciła się gwałtownie we śnie, jakby próbując: uciec od tych majaków, grożących obaleniem bariery, jaką zawsze wznosiła między sobą a innymi. A zagroził obaleniem tej bariery pamiętnik mamusi, nowe światło, w jakim ją ukazywał, nie jako matkę, lecz jako kobietę, wrażliwą, dzielną, ciepłą kobietę, jaką zawsze chciała mieć za przyjaciółkę.

Na wąskim łóżku szpitalnym Elizabeth Danvers ocknęła się na krótko z narkotycznego snu. U jej boku wyrosła natychmiast zaalarmowana pielęgniarka. W tym stadium najistotniejsze było utrzymanie pacjentki w całkowitym spokoju.

Pielęgniarka z zawodową wprawą powściągnęła niespokojne ruchy jej dłoni, równocześnie przebiegając wzrokiem monitory aparatury, która ją utrzymywała przy życiu.

Elizabeth otworzyła oczy, czując instynktownie, że znajduje się w jakimś obcym, nieznanym miejscu. Wiedziała, że musi coś zrobić, musi się z kimś zobaczyć, nagli ją coś niezmiernie ważnego... Ale pielęgniarka wbijała już zręcznie igłę w jej żyłę, wstrzykiwała środek uspokajający, śledząc równocześnie czułe monitory.

Dopiero gdy się upewniła, że pacjentka jest znowu pogrążona w spokojnym, życiodajnym śnie, odstępowała od jej łóżka.

Faye nie mogła spać. Zawsze tak było w pierwszy poniedziałek miesiąca, a czasami przez parę nocy przedtem i potem. Sage przekazała jej pierwszy z pamiętników mamusi. Zaczęła go czytać w łóżku i przez jakiś czas przykuwał jej uwagę.

Młoda Liz ze swymi nadziejami i marzeniami, ze swoją wiarą, że jest kochana, poruszyła czułą strunę w jej sercu. Natomiast, w przeciwieństwie do Sage, nie wstrząsnęło ją odkrycie, że Edward nie był naprawdę ojcem Dawida.

Zawsze kochała teściową i wiedziała, że zawsze będzie ją kochała. Liz ofiarowała jej to, co Faye miała najlepszego w życiu, bezpośrednio w osobie męża i pośrednio, przez niego, w osobie córki. I nie tylko to. Ofiarowała jej miłość... i coś równie cennego jak miłość. Nauczyła ją dystansu do własnej przeszłości, pomogła otrząsnąć się z poczucia winy za wszystkie ciemne plamy minionych lat. Dzięki niej Faye zaczęła się widzieć nie jako katalizator całego zła, lecz jako ofiara wydarzeń, nad którymi nie miała kontroli.

Odkrycie, że Liz także zaznała cierpienia i zdrady, że również zgrzeszyła przeciwko kodeksowi moralnemu swego świata, to odkrycie tylko zbliżyło jej teściową.

Odkrycie zaś, że Dawid, cudowny nieoceniony Dawid, który jej dał tyle szczęścia, nie był synem Edwarda, nie od-

mieniło w niczym jej miłości do niego ani do jego matki.

Pamiętnik przejął ją, tak jak Sage, nieprzeparaną potrzebą dowiedzenia się więcej o losie autorki, widziała to jednak w innym świetle niż Sage. Odłożywszy go o trzeciej nad ramię, otworzyła szufladkę nocnego stolika.

Wewnątrz mienił się w świetle lampki nocnej znajomy flakonik.

Zacisnęła kurczowo palce, powstrzymując się przed sięgnięciem po niego. Wiedziała, że zawarte w nim tabletki nasenne położą kres ciemności i strachowi. Wystarczy jedna, żeby zapewnić noc bez majaków. Jedna jedyna. Ale nie, nie wolno jej wkroczyć ponownie na tę drogę.

Po śmierci Dawida, kiedy doktor Palmer przepisał jej tabletki, brała początkowo jedną, potem, kiedy działanie osłabło, dwie, potem jeszcze więcej, aż w końcu zaczęła żyć w stałym letargu narkotycznym.

I to właśnie Liz zabrała jej tabletki, powiedziała twardo, że nie wolno szukać zapomnienia w narkotycznym otępieniu. To Liz wbijała jej do głowy, że chociaż utraciła męża, ma jeszcze dziecko, córkę, która będzie długo potrzebowała matki.

Siedziała z nią noc w noc, słuchała jej i przemawiała do niej, a Faye toczyła ze sobą w owe czarne noce po utracie Dawida walkę bardziej heroiczną niż kiedykolwiek dotąd i, dzięki wsparciu teściowej, odniosła zwycięstwo.

Lecz teraz nie było u jej boku Liz i nagle, z monstualną siłą, powrócił dawny strach, paniczny strach, którego nigdy do końca nie przezwyciężyła. Czaił się gotów do skoku, chichocząc z jej słabości i bezradności.

Serce tłukło się w piersi Faye, strach napinał jej mięśnie, w głowie wirowało. Spróbowała głęboko oddychać, powtarzając sobie, że sama się doprowadza do takiego stanu. W końcu nie musi tam jechać, nie ma właściwie potrzeby. Nie zmusza jej do tego nic prócz własnego sumienia, prócz wiary, że poddając się tej comiesięcznej próbie w jakiś sposób prześluguje zazdrosnych bogów, w jakiś sposób chroni córkę, że w zamian za dobrowolne wzięcie przez nią na barki brzemienia winy zostanie zaoszczędzone Kamili to, co ona przeszła.

Na dole, w kuchni, stoi słoć z ziółkami, które parzyły sobie we dwie z teściową w noce takie jak ta, kiedy nie mogła spać, dręczona wspomnieniami przeszłości.

Spojrzała ponownie na flakonik, zaciskając do bólu palce, żeby po niego nie sięgnąć. Popatrzyła na zegarek. Trzecia, zostało parę godzin. Jutro o tej porze będzie po wszystkim. Aż do następnego miesiąca.

Drżąc odrzuciła kołdrę i sięgnęła po ładny bawełniany szlafroczek, leżący w nogach łóżka. Dawid żartował często z tej jej potrzeby okrywania ciała. Żartował, ale nigdy nie próbował jej zmuszać do przełamania tego odruchu.

Tylko na czas, kiedy się kochali, pozwalała mu zdjąć z siebie koszulę, po czym zawsze dokonywała rytualnej kąpieli, początkowo sekretnie, w poczuciu winy, dopóki jej nie powiedział, że to rozumie. Potem naciągała czystą koszulę i wskakiwała z powrotem pod kołdrę.

Spytała raz Dawida, czy mu nie przeszkadza, że bez względu na to, jaki jest delikatny, czuły i wyrozumiały, ona nie może się wyzwolić na tyle od przeszłości, by się zdobyć na cokolwiek więcej niż udostępnienie mu swego ciała.

- Kocham cię... kocham jako człowieka, Faye - odparł jej łagodnie. Po czym, z tym swoim cudownym, dobrotliwym uśmiechem, dorzucił niemal autoironicznie: - Zresztą, ja nie mam wielkich potrzeb seksualnych. Podejrzewam, że w innej epoce mógłbym się z łatwością przystosować do życia w celibacie. W dzisiejszych czasach nie czuję powołania religijnego na księdza ani zakonnika, bo w przeciwnym razie... Jesteśmy małżeństwem, Faye, ale nasze pożycie jest wyłącznie naszą sprawą, niczyją więcej, i może gdyby nie to, że oboje chcemy potomstwa...

Potomstwo. Tak, oboje pragnęli mieć dzieci. Nie posiadali się oboje z radości, kiedy pierwszy raz poczęła, i jednakowo rozpaczali, kiedy poroniła.

Chociaż Dawid ją zapewniał, że to nonsens, Faye była przekonana, że to kara. I kiedy później poczęła drugi raz i donosiła Kamilę do pomyślnego rozwiązania, nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Tak, była przez krótki czas szczęśliwa.

Bo niedługo potem Dawid zginął. Ten nowy cios utwierdził ją w przekonaniu o własnej winie i karze za nią.

List nadszedł w miesiąc po śmierci Dawida. Liz zastała ją z listem w ręku, w stanie szoku, bliską hysterii. Faye opowiedziała jej wówczas wszystko, absolutnie wszystko, nie oszczędzając się nic a nic...

Na dole zagotowała wodę i wyjęła sój z ziółkami. Picie ich w samotności nie było tym samym, co w towarzystwie Liz. Tak bardzo się boi. Ale musi pojechać. To jej kara, nie może się od niej uchylać. Nie może ze względu na Kamilę...

Alaric Ferguson rzucił okiem na zegarek. Teoretycznie powinien był rozpocząć o północy wolną dobę, ale akurat kiedy się zbierał do wyjścia ze szpitala, przywieziono ciężki wypadek.

Mógł był zostawić operację dyżurnemu stażystce, lecz Alaric miał po kądzieli dziadka szkockiego prezbiterianina, który mu wpoił głębokie poczucie obowiązku i odpowiedzialności, przekonanie, że praca jest zawsze ważniejsza od zabawy.

Jancis powtarzała mu do znudzenia, że lubi z siebie robić męczennika, znajduje upodobanie w obowiązkach, jakie na niego nakłada zawód. Jego koledzy chirurdzy postępują inaczej. Mają czas dla żon, dla dzieci, nie odmawiają sobie rozrywek, a mimo to robią karierę znacznie szybciej od niego.

- Popatrz tylko na siebie - wyrzucała mu lodowatym tonem. - Ilu z tych, którzy ukończyli studia razem z tobą, węgtuje jeszcze w obskurnym szpitalu służby zdrowia, żyje z miżernej pensyjki, spędza w pracy nie kończące się godziny? I po co to wszystko? Miałeś pierwszą lokatę na roku, Alaric. A co ci z tego przyszło? Nic.

Czuł gorycz, kryjącą się za jej gniewem, zdawał sobie sprawę, jaki zawód przyniosło jej małżeństwo z nim.

Kiedy się poznali, także studiowała medycynę. On zdał właśnie egzamin dyplomowy i w równej mierze zdumiało go, jak mile polectało, gdy zaczęła się nim interesować. Surowe, często rygorystyczne wychowanie nie zostawiało dotąd w jego życiu miejsca na wiele przyjemności.

Jego matka młodo owdowiała i chociaż utwierdzała go z zaparciem w postanowieniu zostania chirurgiem, osiągnięcie tego celu wymagało od nich obojga niemałych wyrzeczeń. Nie miał łatwej egzystencji, więc flirt z tą ładną, niebieskooką blondyneczką, droczącą się przekornie, otworzył przed nim zupełnie nowy świat.

Kiedy się z nią żenił pół roku później, był w niej zakochany po uszy, gotów pozwolić jej wytyczyć kierunek ich wspólnego losu. Śmiał się beztrąsko, kiedy mu mówiła, czego chce. A chciała, żeby mieli piękny dom, w którym ona będzie przyjmowała jego kolegów i sławnych pacjentów.

Sądził wówczas, że to tylko dziewczęce rojenia, nie przychodziło mu do głowy, że oczekuje od niego naprawdę tego, co mówi. A kiedy to zrozumiał, było za późno. Choćby pragnął, nie potrafiłby się już zmienić. Styl życia, o jakim ona marzyła, był diametralnie różny od tego, jak on widział ich wspólną przyszłość. I gdy któregoś dnia, wróciwszy wcześniej do domu, zastał ją w łóżku ze swoim kolegą - jednym z tych obrotnych, cynicznych lekarzy, który już miał na oku lukratywną praktykę prywatną, nastawioną na bogate pacjentki dostatecznie głupie, by wierzyć, że zręczne palce chirurga są w stanie odmienić ich życie, korygując defekty ciała czy twarzy - wiedział, że to definitywny koniec ich małżeństwa.

Nie żywił do niej żalu. Zawiódł ją tak samo jak ona jego. Nad tym, że odplaciła mu rozmyślną zdradą za mimowolny zawód, jaki jej sprawił, wolał nie deliberować. Cieszył się tylko, że nie mają dzieci.

Bardziej cierpiała nad tym jego matka. Kończy niedługo czterdzieści dwa lata, powtarzała mu za każdym widzeniem, powinien się powtórnie ożenić. Alaric uśmiechał się tylko i nie odpowiadał. Jeżeli doskwiera mu czasami samotność, to cóż, jest to samotność z wyboru. Marnuje się w tym szpitalu, mówiło wielu jego kolegów, którzy pootwierali prywatne praktyki, on jednak uważał, że ma do spełnienia misję, że ciąży na nim odpowiedzialność za los słabych i chorych, obowiązek stawiania swoich umiejętności do dyspozycji ogółu, nie uprzywilejowanej mniejszości. I często, tak jak minionej nocy, spędzał w sali operacyjnej znacznie więcej godzin aniżeli musiał. A jeśli czasami mijały tygodnie i miesiące, w ciągu których nie miał okazji rzucić okiem na ciekawszy, barwniejszy świat, nie bolał nad tym zbyt.

Kiedy Jancis go zostawiła, sprzedał duży, nieprzytulny dom, który razem kupili, i przeprowadził się do małego, wygodnego mieszkania służbowego.

Jeżeli rzadko czuł się w nim jak w prawdziwym domu, to cóż, spędzał tu zbyt mało czasu, by miało to większe znaczenie. A jeżeli budził się czasami z ciężkiego snu niemal z bo-

lesnym pragnieniem, by obok, w zbyt wielkim łóżku, czuć ciepłą, intymną obecność kobiety, to wystarczało mu przypomnienie fatalnego małżeństwa z Jancis. Niestety, rzeczywistość współczesnych związków, jakie znał, rzadko bywała duchową wspólnotą, do jakiej tęskniła jego celtycka dusza.

Zrobiła się ósma rano, nim mógł wyjść ze szpitala. Mężczyzna, którego przywieziono o północy, ofiara nożownika, budził się z narkozy w sali pooperacyjnej. Pozostanie mu na pamiątkę długa, zakrzywiona blizna, nic więcej. Miał szczęście: nóż był o włos od poczynienia nieodwracalnej szkody wewnętrznej, której nie byłyby w stanie naprawić dłonie najzręczniejszego chirurga. Jest jeszcze tyle rzeczy do nauczenia się o ciele ludzkim. Tyle rzeczy, które go gniewają i doprowadzają do rozpacz, naigrawają się z jego bezsilności, niemożności uratowania wszystkich, którzy przechodzą przez jego ręce.

Na przykład ta kobieta w sali intensywnej terapii. Nigdy nie przypuszczał, że wyżyje. A tymczasem wszystko wskazuje, że niedługo będzie wystarczająco silna, by ją operować, że będzie mógł spróbować usunąć ten ucisk na jej mózg. Co sprawia, że niektórzy ludzie trzymają się życia bez względu na obrażenia, jakich doznali, podczas gdy inni... ?

Z lekkim westchnieniem wyszedł z budynku. Na dworze było jasno, niebo zapowiadało pogodny dzień. Wsiadając do auta, pospolitego modelu, którym jeździł od czterech lat, pomyślał, że już dawno nie odwiedzał matki. Mieszkała teraz na południowym wybrzeżu, w sennym miasteczku nadmorskim, w którym rezydowali głównie emeryci, a życie toczyło się powoli i spokojnie. Przygnębiało go to czasami, kiedy tam przyjeżdżał, ale jej to odpowiadało.

Po komunalnym mieszkanku w jednej z najbardziej zaniedbanych dzielnic Manchesteru, przystanią, o jakiej marzyła przez całe życie, musiał jej się wydawać mały domek w czystym, strzeżonym osiedlu emerytów.

Na myśl o pustce jej życia Alaric doznawał niekiedy wyrzutów sumienia. Jako chłopiec, a potem student dostrzegał małe i duże wyrzeczenia, jakie dla niego czyniła, liczenie się z każdym pensum, dzięki czemu mógł się spokojnie uczyć, korzystając ze stypendium, jakie mu przyznano w wyniku egzaminu konkursowego, a potem robić specjalizację chirurgiczną.

Odpłacił jej, gdy tylko było go na to stać. Kupił ten domek w nadmorskiej miejscowości, wyznaczył comiesięczną pensję, by nigdy więcej nie musiała się obchodzić bez dóbr materialnych, uprzyjemniających egzystencję. Ona sama niczego od niego nie żądała, nawet jego czasu i zainteresowania, jak to robili inni rodzice.

Jadąc autostradą, prowadzącą na południe, zastanawiał się, czy był w jej przeszłości okres, kiedy pragnęła od życia czegoś więcej, kiedy tęskniła do mężczyzny, który by zajął miejsce jego ojca, do dalszych dzieci, do komfortu... Jeżeli tak, to nigdy nie dała mu tego odczuć.

Pod wpływem impulsu, tuż przed opuszczeniem Londynu, zatrzymał wóz przed kwaciarnią, na żółto oznakowanej prze-

strzeni, z niezwykłą u siebie pogardą dla zakazu parkowania. Ekspedientka za witryną umieszczała właśnie w wysokich wazonach wielkie, zroszone bukiety kwiatów. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł.

Wszedł po kwadransie, czując się niezręcznie i nieco głupio z naręczem kupionych kwiatów. Kwiaciarka, odprowadzając go wzrokiem, westchnęła tęsknie, zastanawiając się, czy jej kochankowi przyjdzie kiedyś do głowy zatrzymać się i kupić jej nie jedną wiązanekę, lecz całe naręcze świeżutkich kwiatów, tak jak to zrobił przed chwilą ten klient.

Kiedy Sage wstała, Faye nie było już w domu. Zapytana o nią Kamila spojrzała na zegarek i odparła nie bardzo przytomnie:

- Och, to dzień tego comiesięcznego zebrania Komitetu Pań, na które mamusia zawsze jeździ z babcią.

Sage się zdziwiła. Istotnie, niewiele ostatnio wiedziała o zwyczajach mamusi, ale zaskoczyło ją, że poświęcała co miesiąc dzień na zebranie jakiegoś prowincjonalnego komitetu. Jej czas pochłaniało niemal bez reszty osobiste nadzorowanie prosperującej fabryki, której wyroby ceniono we wszystkich zakątkach świata, gdzie żyją ludzie dostatecznie majątni i wybredni, by nabywać odzież szytą ze sławnych welen cotingdeńskich.

- Dokąd dokładnie pojechała? - zapytała Kamili.

- Nie wiem. Mamusia z babcią od dawna jeżdżą gdzieś co miesiąc. Zapytaj Jenny, może ona wie.

Sage przetrwała tę wiadomość, kiedy weszła Jenny z tacą. Przygotowała śniadanie na dwie osoby, zauważyła Sage.

Zapytana, Jenny potwierdziła słowa Kamili. I owszem, pani Faye wyjeżdża z panią starszą wcześniej rano w każdy pierwszy wtorek miesiąca. Wracają zwykle dopiero wczesnym wieczorem. Ale dokąd jeżdżą, tego ona nie wie.

Najwidoczniej te comiesięczne wypady stanowiły tak uświęcony element życia Cottingdean, że nie budziły niczyjej ciekawości. Sage jednak była ciekawa i ta ciekawość pozostała w jej świadomości na resztę dnia, jak ziarenko piasku ocierające wrażliwe miejsce. Wydało jej się to tak nie pasujące do charakteru Faye, przywiązanej przecież serdecznie do mamusi, żeby znikać na cały dzień nie pozostawiając żadnej wskazówki, gdzie jej szukać w nagłym wypadku.

Nie znaczy to jednak, żeby się miała przez resztę dnia głowić nad dziwnym zachowaniem bratowej. Z poranną pocztą nadszedł numer miejscowej gazety z dużym artykułem o planowanej autostradzie. Gazeta ukazywała się w odległym o pięć mil Siddington, gdzie opinie o spodziewanej inwestycji były najwyraźniej podzielone.

Niektórzy uważali, że przyniesie ona targowemu miasteczku zwiększony dobrobyt. Dowodzili, że autostrada ściągnie tu zakłady przemysłowe, co stworzy nowe miejsca pracy dla młodych, kończących szkoły, którzy dotąd musieli opuszczać rodzinne strony i szukać zatrudnienia w wielkich miastach.

Innych, tak jak mamusię, niepokoiło zagrożenie przez autostradę środowiska naturalnego i dotychczasowego stylu życia.

We wszystkich miejscowościach na trasie proponowanej autostrady powstawały komitety protestacyjne. Czytając ich listę, zaopatrzoną w adresy osób, z którymi należy się kontaktować, Sage gryzła dolną wargę, zastanawiając się sarkastycznie, czy Daniel Cavanagh będzie zaszczycał swoją obecnością zebrania we wszystkich tych miejscowościach, czy też tylko w tych, w których ministerstwo będzie reprezentowała panna Ordman. Podejrzewała, że już zna odpowiedź na to pytanie. Ale czemu miałaby mu to właściwie brać za złe? Daniel, mimo swej niezaprzeczonej męskości, nie jest agresywnym samcem pokroju Alexiego. Domyślała się, że w tym wypadku myśliwym jest raczej panna Ordman, on zaś zwierzyną.

Skarciwszy się, że pozwala sobie zbaczać na idiotyczne manowce, Sage zebrała pocztę, nalala sobie drugą filiżankę kawy i zapowiedziała Kamili, żeby się szykowała, to ją odwiezie do szkoły. Przygotowywała się duchowo, że będzie musiała spędzić większą część dnia w gabinecie mamusi, jednakże nie, jakby sobie tego życzyła, na pochłanianiu jej pamiętników, do których ciągnęło ją tak, jakby się w nich spodziewała odnaleźć coś czy kogoś dawno zaginionego, tylko na sumiennym analizowaniu potencjalnych planów ratowania Cottingdean przed najazdem buldożerów pana Cavanagha.

Faye dojechała do nadmorskiego miasteczka o dziewiątej. Zawsze docierała tu o wiele za wcześnie, co jej teściowa traktowała z pobłażliwym humorem. Czas pozostały do godziny odwiedzin spędzały zwykle pijąc herbatę w jednej z kafejek na nadbrzeżu.

Fellingham było miejscowością dbałą o zaspokajanie potrzeb swoich mieszkańców, którzy nie cenili nowomodnych barów z hamburgerami ani knajpek z szafami grającymi. Obfitowało natomiast w rozmaite „Staroangielskie Herbaciarnie” i „Kawiarnie pod Miedzianym Dzbankiem”, w których można się było napić herbaty „Earl Grey” i zjeść kawałek placka domowego wypieku.

„Earl Grey” nie kusił dzisiaj Faye, i bez tego czuła podchodzące do gardła mdłości. Dopóki znajdowała się na autostradzie, jej uwagę pochłaniało przynajmniej prowadzenie.

Z nawyku zaparkowała przy nadbrzeżu, przodem do morza. Kanał był dzisiaj spokojny, woda odbijała czysty, ostry błękit nieba. Mieszkańcy Fellingham zapełniali już schludne alejki, biegnące wzdłuż wzorowo utrzymanych kwietników między jezdnią a nadbrzeżem.

Dlaczego taki porządek, taka czystość i schludność, działa na nią zawsze przynębiająco, zastanawiała się Faye, usiłując nie patrzeć bez przerwy na zegar w aucie, odmierzający leniwie minuty. Dlaczego musi zawsze przyjechać tak wcześnie? Przecież nie dlatego, żeby się rwała do tych odwiedzin... Mogłaby zapalić silnik, zawrócić i pojechać z powrotem do domu. Nikt by się nigdy nie dowiedział. Przez chwilę była

bliska poddania się pokusie, ale zaraz się zreflektowała. Jest dorosłą kobietą, nie dziewczynką. Przyjechała tutaj i musi stawić czoło temu, co ją czeka. Za pięć dziesiąta. Czas się zbierać. Jeśli będzie szła wolno...

Wysiadła z auta, szczupła, mała kobieta, której względna młodość zdawała się rażąco nie na miejscu wśród mieszkańców Fellingham. Paru spośród nich odprowadziło ją spojrzeniem niechęci czy zazdrości, dopóki nie zobaczyli, dokąd idzie.

Dom był jednym z najokazalszych na spokojnej ulicy. Niegdyś stanowił prywatną rezydencję, obecnie odgradzały go dyskretnie od świata sztachety, pełniące nie tylko dekoracyjną funkcję, oraz system alarmowy, który oznaczał, że Faye musiała odczekać dobrą chwilę, nim furtka otworzyła się przed nią.

Był to zawsze jeden z najgorszych momentów, świadomość, że kiedy ją przekroczy, znajdzie się jak w pułapce. Wprawdzie wypielegnowany ogród nie ma w sobie nic groźnego... Faye przypomniała sobie, jak Liz zwróciła jej uwagę na jego sielankowy wygląd, kiedy przyjechały tu po raz pierwszy.

Podeszła do drzwi wejściowych. Kobieta, która jej otworzyła, robiła wrażenie przeciętnej, nieco oschlej pani domu w średnim wieku, jednakże Faye dopatrzyła się w niej momentalnie cech szczególnych. A może to tylko strach i poczucie winy każą jej dostrzegać w oczach tej kobiety specjalną determinację, stalową wolę niewpuszczania w te drzwi nikogo niepowołanego? Świadomość ta powinna jej dodać otuchy, lecz zamiast się poczuć podniesiona na duchu, Faye skuliła się jak dziecko w obliczu zatrważającego faktu życiowego. Kobieta powitała ją serdecznie, posyłając ciepły uśmiech.

- Zobaczysz pani, mamy dzisiaj jeden z lepszych dni. Myślę, że to pogoda tak wpływa na pacjentki. Są spokojniejsze.

Widząc, że kobieta spogląda jej przez ramię, Faye się zorientowała, że wypatruje Liz.

- Przyjechałam dzisiaj sama - wyjaśniła szybko. - Teściowa miała wypadek.

Słyszając parę słów profesjonalnego współczucia, odpowiedziała na nie automatycznie, ale to już się zaczynało. Strach, mdłości, panika. I silniejszy od wszystkiego gniew. Przytłaczał ją sam ich ciężar, dławił gardło, porażał. Czuli, jak się pod nią uginają nogi, jak w piersi wzbiera krzyk. Krzyk, który nauczyła się poskramiać.

- Chciałaby pani, żeby pani ktoś towarzyszył na górę?

Głos kobiety był starannie modulowany. Bóg wie, ile razy dziennie musi powtarzać to pytanie. Ile umęczonych dusz wchodzi codziennie przez te drzwi z tym samym strachem i ociąganiem, co ona.

Posłała jej przesadnie promienny uśmiech, potrząsnęła głową.

- To zbędne - zapewniła.

W końcu mamusia nie jest niebezpieczna, nie miewa ataków szału, nie zrobi jej krzywdy. Różni się od niektórych przebywających tu kobiet. Faye słyszała czasami ich krzyki, ich skowyt przeszywał jej ciało tysiącem ognistych ostrzy.

To silniejsze od nich, powiedziała jej kiedyś jedna z pielęgniarek. Nie wiedzą, biedaczki, co czynią. Dzięki Bogu, oszczędzona im jest przynajmniej świadomość.

Była to świeżo przybyła, młoda Irlandka, nie zdająca sobie sprawy, że dla większości odwiedzających myśl, iż ich bliskim oszczędzona jest świadomość tego, co się z nimi dzieje, stanowi jedynie żdźbło pociechy w bezmiernym oceanie cierpienia i rozpacz.

Jakkolwiek to nazwać, jakkolwiek próbować tłumaczyć, jest to po prostu obłąd, zwyczajny, nagi obłąd. Obłąd, który dopada i niszczy, czasami obłąd starczy, czasami nie, zawsze coś, na co nikt nie może patrzeć bez bólu i przerażenia, bez pytania, dlaczego na człowieka zsyłana bywa taka kara, czym rodzaj ludzki zasłużył sobie na to, by go odzierano ze wszystkiego, co jest w nim człowieczeństwem.

Faye weszła po schodach na górę. Nie skorzystała z windy, chcąc w ten sposób jeszcze trochę odwlec nieuniknione.

Przed drzwiami czekała na nią pielęgniarka. Uśmiechnęła się ciepło.

Ta córka jest jedną z lepszych odwiedzających. Nie zamknęła tutaj chorej, żeby zapomnieć o jej istnieniu. Zjawia się regularnie i siedzi z matką nawet w najgorsze dni. Skądinąd ta starsza pani nie należy do najbardziej chorych, nie ma napadów furii, jak niektóre z tych kobiet. Co nie znaczy, żeby serce się nie ścisnęło, kiedy się na nią patrzy, kryjącą się w kącie jak przestraszone dziecko, bełkoczącą coś do siebie, skomlącą i płaczącą, gdy się ją próbuje podnieść, żeby umyć...

Ciężko było z początku patrzeć na to, co się może stać z umysłem i z ciałem ludzkim. Stare kobiety o sile, jakiej by się nikt po nich nie spodziewał, zachowujące się jak małe dzieci. Niektóre furiatki wymyślające rymsztkowym językiem, od którego uszy wędną, a kiedy im próbować pomóc... Czyż nie ma całego ciała pooranego ich paznokciami, że przechodzi ludzkie pojęcie?

Wytrzymała to jednak, bo płaca jest dobra. To nie jeden z zaniedbanych szpitali służby zdrowia, tylko prywatna klinika. A jaka droga! Z początku każda pacjentka miała pokój z własną łazienką, co nie znaczy, żeby wiele z niej korzystało. Jedna ze starszych pielęgniarek opowiadała również, że po otwarciu kliniki pokoje były wyłożone dywanami. Ale to nie trwało długo, szybko musieli zastąpić dywany zmywalnymi wykładzinami. Niektóre chore potrzebują nawet prześcieradeł jednorazowego użytku. Cóż, to nie ich wina. Przeważnie nie wiedzą, co robią. A jeśli wiedzą...

- Chce pani, żebym z panią weszła? - spytała odwiedzającej.

Na jej odmowną odpowiedź wzruszyła ramionami. Ta tutaj boi się śmiertelnie wizyt u matki. Widać to po jej oczach. Ładna z niej kobieta. Jak ona to znosi, zastanowiła się pielęgniarka. Ona sama na jej miejscu...

Kiedy otworzyła drzwi, Faye zawahała się chwilę, zbierając siły, po czym wkroczyła pewnie do pokoju.

- Dzień dobry, mamusiu - powiedziała pogodnie. - Jak się dzisiaj czujesz?

Słyszając za sobą zamykanie drzwi i przekręcanie klucza

w zamku, starała się nie zważać na te dźwięki, lecz skupić całą uwagę na kruchej, małej postaci, siedzącej przy oknie, której głowa się obróciła, oczy spoczęły na niej. Ale Faye wiedziała, że chora jej nie poznaje. Nigdy jej nie poznaje. Dlatego właśnie jest to takie idiotyczne. Że ta kobieta, którą nazywa matką, która ją urodziła, ta kobieta, za którą czuje takie potworne brzemię odpowiedzialności, która w niej budzi taki bezmiar winy i nienawiści, że ta kobieta jej nie poznaje.

Uśmiechnęła się do Faye trwożnym, niepewnym uśmiechem, ale oczy miała czujne i wystraszone, a kiedy Faye się do niej zbliżyła, skurczyła się gwałtownie w fotelu i w jej gardle zabulgotało paniczne kocie miauczenie.

Momentalnie sparaliżowała Faye znajoma mieszanina gniewu i rozpacz. Bezsilna rozpacz, że nie potrafi się przebić z pociechą do tych resztek świadomości, które się jeszcze kołaczą w pustce umysłu mamusi, i przypływ wściekłego gniewu, że ta kobieta, jej matka, zdołała uciec od ich wspólnej przeszłości, podczas gdy ona, Faye, ciągle nie może się od niej wyzwolić.

Jednakże żadne z tych uczuć nie odmalowało się na jej twarzy. Wyszkoliła się dawno w nieokazywaniu tego, co się w niej dzieje. Te nie kończące się, straszne sesje u psychiatry,

który przeprowadzał jej terapię, nauczyły ją, że nie wolno reagować na potworność tego, co się stało z mamusią, przywoływaniem własnej udreki.

Stać się silną, wyzbyć się winy, ze względu na siebie samą, na Dawida, później na Kamilę - to był jej cel. Udało jej się częściowo uzbroić w siłę, ale uwolnienie się od poczucia winy, do której, dowodził psychiatra, nie ma powodów, to było nieosiągalne. A spleciony z tą winą wił się w jej piersi żywy, tchnący jadem wąż - jej bunt, jej gniew i, tak, jej nienawiść. A przecież jaką krzywdę mamusia jej właściwie wyrządziła? Czyż nie była, jak ona, ofiarą? Lecz mimo że próbowała analizować, mimo że wciąż te same pytania, jakie miała chęć rzucać w twarz każdemu, zamierały jej nie wypowiedziane na wargach, mimo to nie mogła zapomnieć, nie mogła się otrząsnąć z oburzenia i goryczy.

Czyż na miejscu mamusi... ? Otóż nie, już dawno powiedziała sobie, że walczyłyby zębami i pazurami, zadawała rany i zabijała, byleby nie pozwolić nikomu skrzywdzić Kamili. Tylko że ona i mamusia to dwie różne istoty. Ona nie musiała się nigdy borykać z życiem takim jak mamusi. Więc nie ma prawa jej oskarżać, porównywać ze sobą. A zresztą, co to da? Przeszłości nie można odwrócić. Przeżyła to, prawda, ale również spotkała Dawida, urodziła Kamilę. Zaznała godziwej porcji spokoju i zadowolenia. A wizyty tutaj to sposób kupienia pewności, że jej córka, jej ukochana Kamila, nigdy, przenigdy nie będzie musiała przejść takich tortur jak ona. Jeżeli ceną tej pewności, tej asekuracji są comiesięczne odwiedziny w tym miejscu, obowiązek comiesięcznego patrzenia na kobietę, która jej dała życie, to niech tak już będzie.

Spędziła z nią cztery godziny, przemawiając cicho, opo-

wiadając o tym i owym, modulując głos tak, by uśmierzyć jej strach, aż mamusia się trochę odprężyła. Obserwowała ją nawet nieśmiało, ale ani razu Faye nie dostrzegła w jej oczach nic, co by świadczyło, że wie, kim ona jest, że ją poznaje.

Nim mogła odjechać, musiała zjeść z nią zwyczajowy lunch, patrzeć, jak mamusia przesuwa pokarm na talerzu, dzieli wszystko na małe kawałeczki. W przeciwieństwie do niektórych chorych, pozostała fizycznie sprawna, nie cofnęła się w pożałowania godne drugie niemowlęctwo, groteskową parodię tego, czym jest zaranie życia.

Odgłosy i zapachy, jakie się wydostawały przez uchylane czasami drzwi, kiedy przechodziła korytarzem, zaciskały żołądek, przyprawiały o mdłości. Faye zdarzało się widzieć wychodzących stamtąd krewnych, zgnębionych tym, co widzieli i słyszeli, chociaż świadomych, że ich pieniądze zapewniają ich matkom, ciotkom, babkom najlepszą możliwą opiekę.

W tych zamkniętych na klucz pokojach żyją w niewoli swego ciała kobiety, które dały życie potomstwu, a później egzystencję tego potomstwa zatruty swoją bezlitosną chorobą.

Demencja mamusi jest odmienna, ma przyczyny bardziej duchowe niż fizyczne, jej źródło jest łatwe do wskazania. W przeciwieństwie do większości odwiedzających ona, Faye, nie doznaje przynajmniej dręczącego strachu, że patrzy na samą siebie w przyszłości. Nie widzi w udręczonych rysach, tak niegdyś znajomych, a teraz zmienionych nie do poznania, przerażającej karykatury własnej przyszłej twarzy.

Było wczesne popołudnie, kiedy wyszła, z głową pulsującą bólem, ciałem wstrząsanym dreszczem, i skierowała się do swego auta.

Przed domem znajdowało się przejście dla pieszych. Jakiś samochód zatrzymał się, żeby ją przepuścić. Posłała kierowcy nieprzytomny uśmiech, który go zastanowił. Poznał ją, nim weszła na jezdnię. Synowa tej kobiety z sali intensywnej terapii. Ale jakże inaczej wygląda niż wtedy, gdy ją widział po raz pierwszy.

Była wówczas wstrząśnięta, wystraszona, jak krewni tyłu jego pacjentów, lecz wtedy panowała nad swoimi reakcjami, przynajmniej do momentu gdy jej dotknął. Kiedy teraz jej się przyjrzał, jego doświadczone oko rozpoznało osobę bliską załamania nerwowego. Kogoś, kto mógłby mu wejść pod auto, gdyby się nie zatrzymał. Ulica była pusta, nikt go nie przynaglał do dalszej jazdy, więc nie ruszał, odprowadzając Faye wzrokiem, gdy się skierowała ku nabrzeżu i swojemu samochodowi.

Zmarszczył czoło widząc, jak otwiera drzwiczki. W interesie bezpieczeństwa publicznego nie powinno jej się pozwolić prowadzić w takim stanie. Z ulgą stwierdził, że się nie szykuje do ruszenia. Widział stąd dokładnie, jak opadła bezsilnie na tylne siedzenie.

Rzucił okiem na budynek, z którego wyszła, i zobaczył dyskretną tablicę na jednym ze słupków, podtrzymujących furtkę.

W Fellingham jest wiele podobnych zakładów, przypomniał sobie, a ten cieszy się opinią lepszego niż niektóre inne.

Specjalizuje się w pielęgnacji kobiet w zaawansowanym stadium choroby Alzheimera, lepiej znanej jako demencja starcza, a nikt, kto widział jej niszczycielskie działanie zarówno na pacjenta, jak i na tych, którzy usiłują się nim opiekować, nie może wątpić w potrzebę istnienia takich zakładów.

Synowa tej pacjentki wydała mu się za pierwszym widzeniem stworzeniem delikatnym, skłonnym do wspierania się w życiu na innych. Nie robiła wrażenia istoty, która by miała siłę na wizyty w takim miejscu. Osoby jej pokroju odwracają się zwykle plecami, wynajdują sobie usprawiedliwienia, umieszczają krewnych w zakładach zbyt odległych od domu, żeby móc ich regularnie odwiedzać.

Mówiąc sobie, że czyni to w interesie bezpieczeństwa publicznego, zaparkował swój wóz w pewnej odległości od auta Faye, w miejscu, skąd mógł ją dyskretnie obserwować. Jeśli ta kobieta spróbuje w obecnym stanie prowadzić, będzie zagrożeniem nie tylko dla siebie, ale, co ważniejsze, dla innych. Jego obowiązkiem jest ją ostrzec, powstrzymać...

Faye nie zauważyła jego manewrów. Była wyczerpana, wyżęta z sił, zdawało jej się, że gdyby zamknęła oczy, życie by z niej po prostu uleciało. Czowała się tak chora i słaba, głowę miała tak lekką jak wówczas, kiedy poroniła. Wstrząsnęła się w nagłym przypiływie zimna. Wiedziała, że powinna przejść na przednie siedzenie i uruchomić wóz, ale nie miała siły, wola odmawiała jej posłuszeństwa, mogła jedynie siedzieć skulona na tylnym siedzeniu, ledwo odważając się oddychać, jak osaczone zwierzę kryjące się przed myśliwym.

Dlaczego nie może zapomnieć? W końcu było to tak dawno, należało do innego życia. A jednak nie może, nie potrafi się z tego otrząsnąć. W jej głowie tańczyły obrazy ostre i wyraźne, wspomnienia żywsze niż wspomnienia Dawida. Żywsze niż jakiegokolwiek szczęśliwe wspomnienia, którymi próbuje je przesłonić.

Kazirodztwo. Słowo, które niewielu waha się dziś wypowiedzieć, lecz które dla Faye miało siarkowy odór piekła, które jej przywodziło na pamięć obrazy palące niczym infernalny ogień.

Jako dziewczynka nie wiedziała w ogóle, że takie słowo istnieje. W swojej niewinności i naiwności uważała, że nikt na świecie nie był nigdy taki niegrzeczny, aby zasłużyć na karę taką jak ona. Że nie ma innych niegrzecznych dziewczynek, karanych tak, jak ją karze jej ojczym. Że nie ma innych sześćioletnich dziewczynek, leżących bezsennie w takim strachu, że kiedy wreszcie zaczynały się zbliżać znieawidzone kroki, kiedy sprowadzająca ból ręka zaczynała najpierw pieścić, a potem wymagać, kiedy przychodziło wtargnięcie obcego, dorosłego, męskiego ciała, tak wstrętne, iż chciała krzyczeć i krzyżeć, wówczas doznawała niemal ulgi, że to się już dzieje, bo wiedziała, że potem będzie mogła zasnąć, wyzwolona ze strachu.

To dlatego że jest taką niegrzeczną dziewczynką, musi jej to robić, powtarzał zawsze. Szeptał jej te słowa po wielekroć, wbijając w głowę, jaka jest niegrzeczna, podczas gdy jego ciało ją rozpychało i rozdzierało, a dłoń zatykała jej usta, du-

sząc swoim zapachem i ciepłem.

To dlatego że była taka niegrzeczna, umarł jej własny tatuś, a on poślubił jej mamusię, bo Pan Bóg chciał, żeby ją ukarał. Ale nie wolno jej tego nikomu mówić, bo jeśli powie, to Bóg będzie się na nią bardzo gniewał i zabierze mamusię.

W końcu nadszedł czas, kiedy podrosła wystarczająco, by rozumieć, co się dzieje, i własna inteligencja jej podszeptała, że jest okłamywana. Modliła się wówczas co noc, żeby mamusia odkryła, co z nią robi, i kazała mu przestać. Bo chociaż wiedziała już, że jej tatuś umarł na raka, a ojcym używa jej dla własnej przyjemności, mówił, że władze odbiorą ją mamusi i oddadzą na wychowanie obcym ludziom, jeśli się poważy komukolwiek powiedzieć.

Wiedziała, że to prawda, bo w jej klasie były dzieci odebrane rodzicom i oddane na wychowanie rodzinom zastępczym.

Później, kiedy jeszcze bardziej podrosła, groźba brzmiała inaczej: mamusia pójdzie do więzienia. Zarazem, w miarę jej cielesnego dojrzewania, doszło przekonanie, że jest, jak jej zawsze powtarzał, grzeszna i zła. Że popełniła grzech i zło, pozwalając mu to robić. Słyszała, jak dzieci w szkole żartują na tematy seksualne, rozmawiają o dziewczętach, które to robią, i rósł jej wstręt do samej siebie. Ale nie była w stanie przerwać tego wizyt w jej pokoju, w jej łóżku...

Fantazjowała, że mamusia to odkrywa i wyrzuca go z domu, Modliła się co dzień, żeby to nastąpiło, ale bez względu na to, ile robił hałasu, mamusia spała twardym snem.

Aż nastąpiły krytyczne wydarzenia. W dniu swoich czterynastych urodzin dostała zaraz po obudzeniu gwałtownych torsji. Przez tydzień chorowała co rano i widziała nerwowe spojrzenia, jakimi mamusia ją omiatała, kiedy wychodziła z łazienki. Błagała ją nieszczęśliwym wzrokiem, żeby coś zauważyła, coś powiedziała, ale mamusia ciągle nic nie dostrzegała.

Ale dostrzegli inni. Nigdy się nie dowiedziała, która z nauczycielek się domyśliła, że jest w ciąży. Została wezwana do przełożonej, która ją poddała delikatnemu, ale nieustępliwemu przesłuchaniu. Który to chłopiec wpędził ją w biedę? Wyслуchała kazania o swoim wieku, o prawie, o nieodpowiedzialności własnej i tego chłopca, ale załamała się i powiedziała wszystko dopiero wtedy, kiedy przełożona zagroziła, że wezwie jej rodziców.

Teraz wie, że miała szczęście. Przełożona jej uwierzyła i wszczęła niezwłocznie akcję. Nie została, jak tyle dziewcząt w podobnych okolicznościach, odesłana do domu z listem do rodziców, że kłamie.

Płód usunięto, w szpitalu wszyscy byli dla niej dobrzy i troskliwi, ale nic nie mogło zmazać bólu, szoku i grozy gwałtownego przejścia z dzieciństwa w wiek kobiecy.

Została umieszczona w rodzinie zastępczej i przekonała się wkrótce, że nie przypomina to w niczym życia więziennego, jakim ją straszyl ojcym. Opiekunowie, wybrani starannie ze względu na swoje doświadczenie z ciężko skrzywdzonymi

dziećmi, byli kochający i wyrozumiali. Dostała własny pokój zamykany od wewnątrz i własną łazienkę. Nikt nigdy do niej nie wchodził nieproszony, a pan Masters, wujek Bob, uważał, żeby jej nigdy nie dotykać. Koszmar minął. Tak się przynajmniej wydawało.

Bo nadszedł proces i wstrząs odkrycia, że mamusia od początku wiedziała, co się dzieje. Wiedziała i nie uczyniła nic, zupełnie nic, żeby jej bronić.

Faye była wówczas zbyt młoda, by rozumieć, jak to zrozumiała później, że istnieją kobiety niezdolne sprzeciwić się w niczym takim mężczyznom, jak jej ojczym. I to wówczas, w tej sali sądowej, z jej strachu, bólu i męki zrodził się gniew na matkę, złość i nienawiść do niej.

Patrząc wstecz, Faye przyznawała, że miała szczęście, przynajmniej pod pewnymi względami. Przybrani rodzice okazali się cudowni, okazali jej więcej miłości, niż była im w stanie odpłacić. Bowiem wstrząs odkrycia, że jej własna matka wiedziała przez cały czas, co ją spotyka, i wiedząc nie uczyniła nic, by jej bronić, ten wstrząs wywołał taki uraz, że została w niej jakby zabita zdolność odwzajemniania uczuć.

Zdawała sobie sprawę, jaką miłością i troską jest otaczana, ale miała wrażenie, jakby ją odgradzała od innych niewidzialna ściana, która jej nie pozwala sięgnąć i objąć ich.

Co dziwniejsze, jej żal do matki i gniew na nią były znacznie silniejsze aniżeli jej nienawiść do ojczyma.

Przez resztę swoich dziewczęcych lat żyła jakby zawieszona w próżni. Chodziła do szkoły - innej szkoły, w której nikt nie wiedział o jej przeszłości - uczyła się pilnie i zdawała egzaminy tak dobrze, że miała szansę dostać się na uniwersytet.

Wiedziała, że zewnątrz zachowuje się przez wszystkie te lata normalnie, robi, co należy, lecz wewnątrz, w duszy... O, to była inna historia. W domu jej przybranych rodziców nigdy nie wspomniano o tym, co przeszła, niewątpliwie w najlepszej wierze, ale skutek był taki, że dorastając, nie umiała sobie poradzić ze strachem i wstrętem, które ją paraliżowały, kiedy zaczynali się do niej zalecać rówieśnicy.

Wychodziła z domu jedynie w towarzystwie dziewcząt, i to tylko wówczas, gdy miała absolutną pewność, że koleżanki nie zechcą jej skojarzyć z jakimś chłopcem.

Tylko raz w okresie zamieszkiwania u przybranych rodziców pozwoliła się dotknąć osobnikowi płci przeciwnej. Stało się to na przyjęciu z okazji osiemnastych urodzin przyjaciółki szkolnej, kiedy w chwili nieuwagi znalazła się nagle w niezdarnych objęciach kolegi, który ją chciał pocałować.

Zesztywniała w jego ramionach, sparaliżowana strachem i mdłą odrazą. Szczęściem chłopiec był zbyt niedoświadczony, by się poznać na jej anormalnej reakcji, i po prostu ją puścił.

Wróciła natychmiast do domu, zaniknęła się w swojej łazience i szorowała pod prysznicem całe ciało, aż do otarcia skóry.

Do tej pory nie zastanawiała się właściwie nad przeszło-

ścią, nad tym, jakie będzie jej życie, teraz jednak, leżąc w łóżku, przy świetle lampki nocnej, bo nie mogła się przemóc, żeby spać w zupełnej ciemności, zdobyła się po raz pierwszy na spojrzenie prawdzie w oczy.

Nie będzie nigdy taka jak inne dziewczęta, nie będzie nigdy zdolna do przekomarzania się, flirtowania, eksperymentów seksualnych. Nie będzie nigdy w stanie się kochać. Kochać się... Same te słowa przy wodziły jej na usta histeryczny krzyk protestu. Żadna z jej koleżanek, żadna z tych głupich dziewczyn, chichoczących nad tym, co która robiła, z kim i jak to było, i jak to będzie, kiedy zaczną naprawdę to robić, nie ma zielonego pojęcia, czym jest rzeczywiście życie płciowe, jak mężczyźni używają kobiet i jakie to wszystkie jest brudne, poniżające... Jak może którakolwiek kobieta faktycznie tego pragnąć, znajdować w tym przyjemność... ?

Faye była inteligentną, odczytaną dziewczyną. Miała w końcu dosyć czasu na lektury, kiedy koleżanki latały na randki, a ona siedziała sama. Zdawała sobie sprawę, że jej stosunek do mężczyzn, do spraw płci, jest wypaczony przez doświadczenia dzieciństwa. Wiedziała, że to, co czyta, co słyszy, nie może być w całości wyimaginowane, ale sama myśli, że miałyby pozwolić komukolwiek, jakimukolwiek mężczyźnie na to, co z nią robił ojczym, przyprawiała ją o mdłości z niesmaku i obrzydzenia.

Ale najgorsze było jej własne poczucie winy, zabójcze przeświadczenie wewnętrzne, że w jakiś sposób sama odpowiada za to, co ją spotkało, że w jakiś sposób sama to sprowadziła na siebie, sama do tego zachęcała. Że w głębi duszy była rzeczywiście grzeszna i zła, że owe gorączkowe, chrapliwe, obleśne słowa, wysapywane przez ojczyma, kiedy ją karał za jej nikczemność, że owe słowa mówiły prawdę.

Dopiero kiedy była na uniwersytecie, inni zaczęli zauważać jej rezerwę w stosunku do mężczyzn. Dowiedziawszy się, co o niej mówią - że jest lesbijką - zamknęła się jeszcze bardziej w sobie, koncentrując się bez reszty na nauce.

Była na ostatnim roku studiów, gdy jej przybrani rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Oplakiwała ich śmierć, wiedząc, jak serdecznie ją pokochali, lecz w rzeczywistości nie potrafiła wykrzesać z siebie nic prócz bezosobowego żalu. To stanowiło właśnie jej problem - ta niemożność doznawania niczego, absolutnie niczego naprawdę.

W połowie roku odszedł adiunkt kierujący jej pracą i opiekę nad nią przydzielono innemu, niejakiemu Jeremy'emu Catesby. Miał on trzydzieści pięć lat, żonę i dwójkę małych dzieci.

Od samego początku Faye czuła się nieswojo w jego towarzystwie, nie potrafiąc sprecyzować dlaczego. W jego zachowaniu nie było nic, co by jej mogło zagrażać. Wprost przeciwnie. W odróżnieniu od niektórych młodych profesorów, Jeremy Catesby nie próbował ukrywać swego stanu cywilnego. Na jego biurku stały fotografie rodzinne, opowiadał często i serdecznie o żonie i dzieciach. Jej koleżanki uważały go za marzyciela i zastanawiały się głośno, jaki by był w łóżku. Faye, jak zawsze, milczała podczas takich rozmów.

Pewnego dnia rano miała wyznaczoną u niego prywatną

konsultację. Te spotkania w jego gabinecie napawały ją lękiem, ale była zdecydowana uczynić wszystko dla ukończenia studiów z wyróżnieniem. Będzie jej to potrzebne, skoro ma się utrzymywać sama przez resztę życia. Małżeństwo nie wchodzi dla niej w rachubę. Macierzyństwo też...

Ta ostatnia świadomość sprawiała jej ból, lecz nie pozwalała sobie na roztkliwianie się nad sobą. Logika jej mówiła, że dla niej, czternastolatki, urodzenie dziecka, które poczęła, było niemożliwe, że lekarz i opiekunka społeczna podjęli słuszną decyzję. Wiedziała jednak, że w głębi ducha będzie zawsze tęskniła do macierzyństwa. Nie dlatego że nie dane jej było urodzić tamtego dziecka, lecz dlatego że tkwi to w jej naturze, że ma głęboko zakorzenioną potrzebę rodzenia, karmienia, wychowywania. Niemożność zaspokojenia tej potrzeby stanowiła dla niej dodatkowe źródło goryczy.

Konsultacja z opiekunem przebiegała gładko. Faye była sumienną studentką i liczyła, że po otrzymaniu magisterium uzyska posadę archiwistki, w miarę możliwości w miejscu, gdzie będzie najmniej narażona na stykanie się z ludźmi. Po zakończeniu omawiania postępów jej pracy wstała i zaczęła zbierać swoje papiery i książki. Obróciła się do drzwi, gdy Jeremy Catesby zawołał cicho za jej plecami:

- Poczekaj, Faye. Chcę z tobą jeszcze o czymś pomówić.

Momentalnie przejął ją dreszcz. Ostrzeżona jakimś szóstym zmysłem, chciała się rzucić ku drzwiom i uciec. Ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Jeremy wyszedł zza biurka i stanął przed nią. Był wysokim, muskularnym mężczyzną o dużych, ostrych zębach, które mu nadawały drapieżny wygląd, poruszał się sprężysto i cicho. Uśmiechnął się i wskazał jej ręką krzesło.

- Siadaj - zaprosił.

Chciała odmówić, wszystko się w niej rwało do ucieczki, ale stał między nią a drzwiami. Jeśli się nie odsunie, gotów wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Na myśl o tym ugięły się pod nią nogi, przeniknął ją mdlący dreszcz. Wybrała krzesło najdalsze od innych i usiadła.

- Och, nie rób takiej przerażonej miny - powiedział z uśmiechem Jeremy. - Wiesz, Faye - ciągnął - nie rozumiem cię. Należysz do moich najlepszych studentek, uczysz się sumiennie. Normalnie, kiedy ktoś z podopiecznych patrzy na mnie takim wzrokiem, to dlatego że się obawia reprimendy z powodu niezadowolających postępów w studiach. Ale funkcja opiekuna ma swoją drugą stronę, związaną nie tyle z postęпами akademickimi studenta, lecz z jego problemami osobistymi...

On wie! W jakiś sposób się dowiedział. Faye poczuła, jak uderzają na nią zimne poty, jak serce zaczyna jej walić ze zgrozy. Nastąpiło to, przed czym drżała przez te wszystkie lata. Że ktoś, w jakiś sposób dowie się prawdy i posłuży się nią w taki sposób, jak jej ojczym.

- Jesteś ładną dziewczyną, Faye, mało, piękną dziewczyną, a... jakby to ująć? No, powiedzmy, że zdajesz się prowadzić życie zakonnicy.

Faye czuła, jak twarz jej płonie. Chciała krzyknąć, protestować przeciw tej ingerencji w jej prywatne sprawy. Przejmował ją wstrętem sposób, w jaki na nią patrzył, ten pełen wyrozumiałości, a zarazem wyrachowany męski uśmiezek na jego wargach. Uśmiezek mówiący, że on zna sposób na odmienienie tego jej rzekomo zakonnego trybu życia i ona będzie mu za to wdzięczna.

- Jako twój opiekun, jeden z twoich opiekunów, uważam za swój obowiązek czuwać, żebyś, jak wszyscy moi studenci, wyniosła z lat uniwersyteckich znacznie więcej niż tylko wiedzę przewidzianą programem, a jeśli masz z tym jakiegokolwiek problemy, jakiegokolwiek trudności, to, oczywiście, stanowi to przedmiot mojej troski i pragnę uczynić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Faye nie mogła na niego patrzeć. Biły na nią gorące i zimne poty, paliła ją nienawiść i gniew, a zarazem mroził strach.

251

Miała ochotę parsknąć i pluć na niego jak kotka, krzyknąć, jak

bardzo się myli, rzucić mu w twarz wiadomość, że nie jest niedoświadczoną dziewicą, za jaką ją uważa. Opowiedzieć mu, w jaki sposób zdobyła doświadczenie seksualne i co w wyniku tego sądzi o mężczyznach. A równocześnie chciała

przed nim uciekać, gdzie oczy poniosą, ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie będzie mógł się grzebać

w jej przeszłości, w jej cierpieniu...

- Czasami w życiu, nie z własnej winy, popadamy w sytu-

acje, które się robią dokuczliwe. Stajemy się celem może nieświadomych, ale przecież obiektywnie okrutnych uwag, a w młodości, kiedy dopiero szukamy gruntu pod nogami, jesteśmy najbardziej wrażliwi. Szczególnie na sprawy dotyczące płci...

Obserwował ją, lecz Faye nie mogła się przemóc, żeby na

niego spojrzeć. Bała się, że gdyby to uczyniła, zobaczyłaby

w jego oczach takie samo spojrzenie, jakie widywała u ojczy-

ma. Rozróżniała już w jego głosie ów celowo hipnotyzujący ton podnieconego seksualnie samca, lepki i gorący jak męski wytrysk. I jak wytrysk, własny głos zdawał mu się sprawiać niezmierną przyjemność.

- Oczywiście dyskutowanie takich spraw, nawet z przyja-

ciółkami, może być dla ciebie żenujące i kłopotliwe. Obawiasz się, że by się z ciebie śmiały, drwiły z twego dziewic-

twa. Być może wychowywano cię w przekonaniu, że

powin-
naś je chronić aż do nocy poślubnej, lecz powoli zaczyna
ci
ono ciążyć. Nie wiesz, co robić. Jesteś inteligentną
dziewczy-
ną, Faye, ale pewnie się nie domyślasz, że twoi koledzy
robią
zakłady, który cię będzie miał pierwszy. A kiedy wyjdiesz
stąd w świat, dziewictwo zacznie ci jeszcze bardziej ciążyć.
Trzeba ten problem rozwiązać.

Faye słyszała w jego głosie nutkę rozbawienia. I
pewność
siebie, wiarę w swój sukces. A pod tym czuła gorące,
drapież-
ne męskie pożądanie.

Zdołała jakoś wstać, lecz on, jakby przewidując ruch, jaki
uczyni, był szybszy. Zagroził jej drogę i chwycił za ramiona,
tak że się znaleźli twarzą w twarz.

Książki wysunęły jej się z rąk, ogarnęła ją panika i mdło-
ści, bo zniżył głowę do jej ust.

Instynktownie, w odruchu obrony, przejechała mu pazno-
kiami po policzkach, orała nimi raz po razie, póki jej nie
puścił, klnąc głośno.

Ledwo go słyszała. Rzuciła się do drzwi, szarpnęła je
i o mało się nie zderzyła z mężczyzną, który nadchodził kory-
tarzem. Za sobą słyszała zduszony głos Jeremy'ego Catesby:

- Ty głupia dziwko!

Ale nie miało znaczenia, jak ją nazywa. Znaczenie miało
tylko to, że mu się wyrwała i uciekła. Że nie zrobił jej tego, co
ojczym, że jej nie tknął, nie ukarał, nie zbrukał...

Rzuciła się w swoim pokoju na łóżko, wstrząsana gwał-
townym dreszczem. Zrobiła sobie groźnego wroga, wiedziała
to. Jeremy Catesby jest człowiekiem próżnym i nie wybaczy
jej tego, że nim wzgardziła. Lecz nic ją to nie obchodziło.
Myśl, że mógłby dotykać jej ciała, że jakkolwiek mężczyzna
mógłby dotykać jej ciała, była tak odrażająca, że wszystko
wydawało się lepsze od tego.

Jak się spodziewała, Jeremy Catesby ukarał ją, organizując
przeciwko niej kampanię nękającą, to bardziej, to mniej sub-
telną. Doszły ją pogłoski, że go próbowała uwieść i że musiał
jej udzielić nagany. Stała się obiektem dowcipów z rodzaju
tych, na jakie wzdrygała się jej dusza. Z ulgą się dowiedziała,
że przydzielono jej nowego opiekuna.

Spędzała coraz więcej czasu w samotności, myśląc tylko
o ukończeniu studiów i zaszyciu się potem gdzieś, gdzie nikt
więcej nie będzie mógł jej nękać i napastować.

Z Dawidem zetknęła się po raz pierwszy cztery dni po
pisemnym egzaminie końcowym. Sprawdziła coś w bibliote-
ce uniwersyteckiej, kiedy wszedł i, biorąc ją omyłkowo za
bibliotekarkę, poprosił, żeby mu pomogła. Mimo swego wzrostu i barczystych ramion miał w sobie
coś, co ją od razu natchnęło ufnością. Coś tak delikatnego

niegroźnego, że ją to przyciągnęło, tak jak chłodny powiew przyciąga w upalny dzień, gdy atmosfera jest ciężka przed nadchodzącą burzą.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Faye uczyniła w jego kierunku krok, potem drugi.

Szuka, powiedział jej, książek o średniowiecznej Anglii, szczególnie traktujących o życiu wiejskim. Temat ten interesuje jego matkę, wyjaśnił, więc obiecał jej poszperać w bibliotece, kiedy przyjedzie tu objąć asystenturę.

A więc jest asystentem. Nie wygląda na to. Prawdę mówiąc, nie wygląda jak nikt z jej znajomych, stwierdziła Faye. Ma w sobie coś, co go odróżnia od innych, coś specjalnego, czego nie potrafiłaby określić. Wiedziała tylko, że po raz pierwszy w życiu ma ochotę wyciągnąć rękę do drugiego człowieka.

Skierowawszy Dawida do właściwych półek, obserwowała go dyskretnie, zachodząc w głowę, co ją w nim tak pociąga. Kiedy wybrał odpowiednie książki, podziękował jej z uśmiechem i odszedł, zostawiając ją w niepewności, jaka to magnetyczna siła czyni go tak odmiennym od innych mężczyzn.

Wkrótce się przekonała, że nie ona jedna uważa go za odmiennego. Studenci nazywali go „Świętym Dawidem” i traktowali z mieszaniną pogardy i sympatii.

Jego specjalnością okazała się geografia, co zaskoczyło Faye. Nie wiedzieć czemu przyjęła a priori, że jest asystentem na filozofii czy jakimś podobnym kierunku.

Czego sobie nie uświadomiła, to że był tym mężczyzną, na którego o mało nie wpadła, wybiegając z gabinetu Jeremy'ego Catesby. Dawid rozpoznał w niej jednak wkrótce tamtą dziewczynę i zorientował się, że nie jest bibliotekarką, za którą ją początkowo wziął. Doszły i do jego uszu plotki, kursujące na jej temat, znał jednak złą reputację, jaka dotarła za Jeremym Catesby z Oksfordu, gdzie został usunięty z asystentury jako domniemany sprawca ciąży jednej ze studentek.

Jeremy nie był jedynym nauczycielem akademickim ze słabością do wtajemniczania studentek nie tylko w przedmioty objęte programem, miał jednak w sobie jakąś brutalność, potrzebę dominacji i zadawania cierpienia duchowego, wykraczające daleko poza zaspokajanie żądzy.

Dawid znał opinię uwodziciela, jaka otaczała Jeremy'ego, kiedy studiował on w Oksfordzie, tam jednak nie miał nad koleżankami tej przewagi, jaką ma tutaj jako adiunkt i opiekun z urzędu. Tak więc Dawid współczuł Faye, a krążące plotki przyjmował z niesmakiem i rosnącą antypatią do Jeremy'ego.

W przeciwieństwie do swego kolegi, Dawid nie gustował w uwodzeniu studentek. Ożeni się kiedyś i zostanie panem na Cottingdean, które będzie potrzebowało dziedzica. Uśmiechnął się lekko na tę myśl. Jakąż ważną rolę pełni Cottingdean w życiu rodziców, jak je kochają i jak o nie dbają! Sądząc po ich stosunku do domu i majątku, można by sądzić, że to, co ma mu przypaść w dziedzictwie, to feudalne latyfundium.

Kiedyś, jako nastolatek, zwrócił mamusi bardzo delikatnie uwagę, gdy rozprawiała o jego przyszłych obowiązkach, o potomstwie, którego po nim oczekuje, że nie wie, czy się

będzie chciał w ogóle żenić, ale jest jeszcze Sage i równie dobrze jej dzieci mogą odziedziczyć Cottingdean.

Reakcja mamusi była natychmiastowa i wiele mówiąca. Nie, odpowiedziała stanowczo. Tylko jego dzieci mogą dziedziczyć. Uderzyła go przykro jej gwałtowność. Wiedział, oczywiście, że jest jej ukochanym dzieckiem, wiedział i bardzo go to bolało. Czynił też, co mógł, żeby zrekompensować młodszej siostrze nierówne traktowanie ich.

Tak, ożeni się pewnego dnia, a kiedy się będzie żenił, chciałby, żeby jego narzeczona miała chłodną rezerwę dziewczyny poznanej w bibliotece. Współczesne młode kobiety sprawiały na nim często wrażenie zbyt napastliwych, szczególnie pod względem seksualnym.

Był okres, kiedy Dawid serio się zastanawiał, czy jego brak ostrych apetytów seksualnych, takich jakie okazywali jego koledzy, nie wynika z tłumionej predylekcji do własnej płci, lecz mimo wnikliwego rachunku własnych myśli i uczuć nie mógł odkryć nic, co by to potwierdzało. W jego życiu nie było ani jednego epizodu, w którym by odczuł pociąg fizyczny czy uczuciowy do drugiego mężczyzny.

Lubił i cenił kobiety. Bawiło go czasami słuchanie rozmów studentek. Porównywał je często ze swoją matką, która wprowadziła w czyn wiele z rzeczy, o jakich one teraz marzyły, i to w czasach, kiedy kobiet nie zachęcano do robienia kariery zawodowej, do wykazywania energii i inicjatywy w świecie interesów.

Niewinność utracił w czasie studiów za sprawą koleżanki, która drwiła z jego ignorancji i była aż nadto chętna do oświecenia go. Zapisał ją w pamięci z czułością i wdzięcznością, wiedział jednak od tej pory, że nie jest partnerem dla kobiety o silnym popędzie płciowym.

Częściowo wpłynęło na to, być może, małżeństwo jego rodziców. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że bez względu na to, co ich łączyło w przeszłości, rodzice obecnie ze sobą nie żyją. Co robiło jednak na nim znacznie silniejsze wrażenie niż ich przypuszczalna obustronna wstrzemięźliwość, to fakt, że ich małżeństwo, oparte nie na wzajemnym pociągu płciowym, tylko na obopólnym szacunku, współczuciu i przyjaźni, prosperowało lepiej i trwało dłużej niż wiele innych małżeństw, i to mimo że ciężar pielęgnowania kalekiego męża odbijał się niekiedy na opanowanej twarzy mamusi.

Dawid zdawał sobie sprawę, że odstaje od swych rówieśników, dążących do obalenia wszystkich tabu społecznych, ograniczających poprzednie pokolenia. Może wypływa to po prostu z ich liczebności, z tego że owe dzieci, narodzone wkrótce po wojnie, stanowią największą grupę ludnościową i po prostu dzięki temu ich głosy są tak wyraźnie słyszalne.

Ciekawiło go, czy ta tendencja się utrzyma, czy owe nastolatki lat sześćdziesiątych, ze swoją hałaśliwą muzyką, swoimi idolami i swoją odmową przestrzegania konwenansów, będą do końca życia przyciągały uwagę, fascynowały i narzucały swoje poglądy.

Faye była tak niepodobna do innych współczesnych kobiet, jak to tylko możliwe. Nie przejawiała nic z ich determi-

nacji i agresywności, z ich przekonania, że przysługuje im prawo do aktywności seksualnej, ilekroć mają ochotę, gdziekolwiek mają ochotę i z kimkolwiek mają ochotę. Budziła w nim żywy instynkt opiekuńczy, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył.

Stwierdził, że szuka jej towarzystwa, i zaczął z nią prowadzić nie kończące się rozmowy, próbując ją wyrwać ze skorupy, w której się zamknęła.

Dla Faye Dawid stanowił całkowicie nowe doświadczenie. Nigdy nie przypuszczała, że mogą istnieć mężczyźni tacy jak on. Był dobry, delikatny, zupełnie niegroźny. Nie przemawiał do niej, tylko z nią rozmawiał. Słuchał, kiedy mu odpowiadała.

Mówił jej dużo o sobie, opowiadał o swoim domu i swojej rodzinie, aż Faye mu zazdrościła, żalowała gorzko, że nie może zamienić swego dzieciństwa na podobne do jego, na dzieciństwo pod skrzydłami troskliwych, kochających rodziców, dzieciństwo, które się wspomina z sentymentem i czułością.

Uważała bardzo, by nie mówić o własnym dzieciństwie, dopóki pewnego dnia, przez nieuwagę, nie wyrwało jej się coś o przybranych rodzicach. Zesztywniała z przerażenia, że Dawid to skomentuje, zacznie ją wypytywać, ale zachował się tak, jakby nic nie słyszał, jakby nie zauważył paniki, jaka ją ogarnęła.

Im bliżej poznawała Dawida, tym bardziej go lubiła i tym bardziej miała się na baczności, by nie zdradzić przed nim swojej historii. Nie zniosłaby odrazy, pojawiającej się w jego oczach, jego odruchowego odsunięcia się od niej, jak gdyby była nieczysta.

Nie myślała o nim jako o potencjalnym kochanku, taka myśl stanowiłaby prawie świętokradztwo, nawet gdyby się widziała w sytuacji podobnej intymności fizycznej. Dawid był przyjacielem, kimś, kogo poważała, niemal ceniła. Kimś, czyją dobroć ceniła jak skarb, czyje zrozumienie pociągało ją nieodparcie.

Wiedziała, że ich przyjaźń nie może trwać długo. Ona wkrótce opuści uniwersytet, asystentura Dawida jest również tylko czasowa. Sam jej powiedział, że prędzej czy później musi wrócić do domu, żeby przejąć prowadzenie fabryki założonej przez jego matkę.

Faye nie potrafiła sobie wyobrazić jego matki. Dawid ją niewątpliwie uwielbiał, lecz jej wydawała się ona surowa i groźna. Dziewczyna nie miała złudzeń, że ich rozkwitająca przyjaźń musi się urwać, że ich drogi wkrótce się rozejdą, więc tym bardziej ceniła czas spędzany razem, owe niemal przypadkowe spotkania, które się zawsze kończyły długimi, serdecznymi dyskusjami.

Zdawała sobie sprawę, że ich przyjaźń intryguje i bawi ludzi, ale nie przejmowała się tym. W towarzystwie Dawida nie czuła się nigdy zagrożona, tak jak się czuła w towarzystwie innych mężczyzn. I chociaż nigdy nie znalazła się z nim sam na sam - Dawid starannie unikał zapraszania jej do swego mieszkania czy wpraszania się do jej pokoju - wiedziała, że gdyby nawet zostali sami, byłaby z nim równie bezpieczna, jak pośrodku akademika pełnego studentów.

Aż spadł cios. Ogłoszono wyniki egzaminu końcowego i Faye stwierdziła, że zamiast w wymarzonej pierwszej grupie wyróżnionych, znalazła się dopiero w ostatniej trzeciej grupie przeciętniaków.

Odeszła od tablicy ogłoszeniowej, zataczając się niemal z szoku. Mały kącik jej mózgu, zdolny jeszcze do logicznego myślenia, podpowiadał, że jakimś sposobem musi to być zemsta Jeremy'ego Catesby, że to on się kryje za jej nędznym stopniem, lecz reszta jej mózgu odrzucała tę myśl. Winna jest ona sama. Widać przeceniła jakość swoich wyników. Opuściła się w nauce. Bo nie do wyobrażenia jest, żeby człowiek na tak odpowiedzialnym stanowisku, adiunkt darzony zaufaniem, użył w tak haniebny sposób swoich wpływów.

Dawid zobaczył ją z daleka, idącą przez dziedziniec uniwersytecki, z twarzą pobladłą z wrażenia. Nim się przebił przez tłum studentów, wysypujących się z audytoriów, znikła mu prawie z oczu. Idzie do biblioteki, domyślił się.

Dogonił ją w połowie pustego korytarza i przytrzymał z tyłu za ramię. Poczul szok, który wstrząsnął jej ciałem, jakby ją złapał prąd. Jej paniczne „Nie!”, pełne bólu, strachu i gniewu, przejęło go swą intensywnością, tak jakby on sam doświadczył tych uczuć. Po czym poznała go i twarz oblał jej rumieniec.

- Dawid - wykrztusiła. - Ja...

- Co się stało?

Potrząsnęła głową, niezdolna wypowiedzieć słowa.

- Chodź, nie możemy tutaj rozmawiać. Pójdziemy do mnie.

Pozwoliła mu się drętwo prowadzić labiryntem korytarzy.

Jego mieszkanko było nagie i schludne, niemal jak cela klasztorna, dziwnie podnoszące na duchu swoją surowością. Bez protestu usiadła na wskazanym fotelu.

- Co się stało? - zapytał powtórnie. - Wyniki egzaminu... ?

- Jestem w trzeciej grupie - odparła cicho. - Liczyłam na pierwszą...

Dawid zdumiał się. Było powszechnie wiadome, że Faye powinna zdać z wyróżnieniem. Przypomniał sobie teraz strzęp zasłyszanej rozmowy między Jeremym Catesby a nowym opiekunem Faye. Nie przywiązywał do tego wówczas wagi, ale teraz... Jeremy nie jest pierwszym egzaminatorem, nadużywającym swojej władzy dla odegrania się na studentach, musi jednak wyjątkowo nienawidzić Faye, żeby się posunąć do tak jaskrawego zaniżenia jej lokaty na dyplomie.

- Poczekaj tutaj - polecił dziewczynie z poważnym wyrazem twarzy.

Faye nigdy się nie dowiedziała, co takiego powiedział Jeremy'emu Catesby, czym mu zagroził. Nie miała jednak wątpliwości, że coś takiego uczynił, bo kiedy wrócił po dłuższej chwili, oznajmił krótko:

- Sprawa załatwiona. Widziałem się z dziekanem. Nastąpiła pomyłka. Czasami to się zdarza. Miałaś rację. Zdałaś z wyróżnieniem. Jesteś w pierwszej grupie, jak wszyscy się

spodziewaliśmy. Gratulacje...

Z początku Faye nie chciała mu wierzyć, ale Dawid obstawał przy swoim. Kiedy w końcu ją przekonał, doznała takiej ulgi, że w głowie jej zawirowało. Wpadła niemalże w euforię.

- I co teraz zamierzasz robić? - spytał Dawid.

Faye pokręciła głową.

- Naprawdę nie wiem. Znajdę sobie jakieś tymczasowe zajęcie na lato i będę się rozglądała za stałą pracą.

- Zajęcie na lato? Niewykluczone, że mógłbym ci w tym pomóc. Biblioteka w Cottingdean od dawna prosi się o skatalogowanie. Cóż, to nudna praca i nie najlepiej płatna, ale miałabyś czas na rozejrzenie się za czymś lepszym. To nie tak daleko od Londynu.

Faye patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Praca w Cottingdean. W Cottingdean, o którym tyle się nasłuchiwała. Mieszkałaby w domu Dawida, poznała jego rodziców... Owładnęły ją momentalnie dwie równie silne, co sprzeczne emocje.

Pierwsza to przemożna chęć przyjęcia propozycji, obywatniająca fala radości, że Dawid chce ją widzieć w swoim domu, że uznaje ją za godną tego. I druga, mdląca świadomość,

jak w rzeczywistości jest tego niegodna, jakby zareagował, gdyby się dowiedział o niej prawdy, jak miejsce jego dobroci, hojności i przyjaźni zajęłyby dystans i pogarda, gdyby się kiedykolwiek domyślił...

- Będziesz potrzebowała trochę czasu na zastanowienie - ciągnął tymczasem Dawid. - Nie martw się, nie ma pośpiechu. Semestr jeszcze się nie skończył i jeśli ci się nawinie coś lepszego, nie krępuj się powiedzieć.

Coś lepszego? Cóż mogłoby być lepszego? Faye zaczynała sobie uświadamiać, że jakaś częśćka jej duszy nie pragnie od życia nic więcej, jak spędzić jego resztę pod opiekuńczymi skrzydłami Dawida. Przełknęła z trudem, idąc z powrotem do swojego pokoju. Nawet z Dawidem nie potrafiła sobie wyobrazić intymności pożycia płciowego. Popęd płciowy przemienia mężczyzn w brutali, wyzwala w nich sadystyczną skłonność do upokarzania i zadawania bólu. Ale Dawid jest inny. Gdyby się jednak dowiedział prawdy, niechybnie odwróciłby się od niej ze wstrętem. Wstrząsnęła się. Jej przeszłość stawiała się podwójnym brzemieniem, wstydliwą tajemnicą, którą musi ukrywać przed światem. Była zdecydowana uczynić wszystko, żeby pozostała nie odkryta.

Nie przewidziała, że istnieje ktoś, kto ma przeciwne intencje. Jeremy Catesby był mężczyzną próżnym i, jak zazwyczaj ludzie próżni, zdolnym do wszelkiej niegodziwości, gdy jego miłość własna została zraniona.

Z satysfakcją wymierzył Faye karę za jej idiotyczną reakcję na jego zaloty. Trwało ładne parę tygodni, nim się zagoiły zadrapania na jego policzkach. Żona, która straciła już wobec niego złudzenia, powiedziała mściwie, że dobrze mu tak, bodajby mu zostały szramy na resztę życia. Oczywiście, nie zostały, ale był przez pewien czas przedmiotem powszechnych drwin.

Bez trudu załatwił przeniesienie Faye pod opiekę jednego z kolegów, jeszcze łatwiej przyszło mu subtelne przekonanie go przy sprawdzaniu prac egzaminacyjnych, że Faye nie zasługuje na więcej niż trójkę.

Czyniąc to, nie miał skrupułów. Głupia dziwka zasłużyła sobie na nauczkę, a co do jej dyplomu... Wyda się za męża i będzie płodziła bachory, ten cholerny dyplom i tak jej na nic niepotrzebny. Strata czasu to całe kształcenie kobiet, chociaż on osobiście musi przyznać, że ma to również swoje przyjemne strony. Nie przestawała go nigdy bawić naiwność jego studentek. Tak im się śpieszy, żeby mu paść w ramiona, wskoczyć do jego łóżka. Mają to, na co zasługują. Nie, on właściwie nie lubi kobiet.

Niemiałym szokiem było pojawienie się Dawida Danversa z żądaniem obejrzenia pracy Faye i groźbą zadenuncjowania go przed dziekanem, jeśli nie ogłosi, że zaszła pomyłka i nie przywróci jej należnej lokaty.

Jeremy nigdy nie lubił Dawida, a o wściekłość przypawiło go, że musiał się przed nim ugiąć. Żona by mu nigdy nie darowała, gdyby został wyrzucony z drugiego uniwersytetu. I tak jest rozgoryczona i odgrywa się za to, że się nie urządził na jakiejś prestiżowej katedrze. Wychodząc za niego, miała nadzieję - jak zresztą i on - że dostanie kontrakt do Oksfordu, gdzie jej ojciec jest profesorem. Gdyby nie to, nigdy by się z nią nie ożenił. Zawsze była zbyt apodyktyczna, zbyt wymagająca, zbyt pewna siebie, by go naprawdę pociągać. Teraz nie mógł sobie jednak pozwolić na rozwód z nią zarówno ze względu na karierę, jak i na finanse, więc mścił się na niej i na całej płci żeńskiej serią rozkosznych romansików ze studentkami, wyciskając na nich swoje piętno, by tak rzec, przez podważanie ich ideałów i podkopywanie ich wiary w siebie - i pod względem seksualnym, i intelektualnym.

Jeremy Catesby miał w sobie żyłkę niszczyciela, a niczego nie pragnął tak bardzo, jak zniszczenia Faye.

I wkrótce znalazł sposób. Niefortunna uwaga dziekana o tym, jak wspaniale Faye się spisała, biorąc pod uwagę jej nieszczęśliwy start życiowy, nasunęła mu myśl zainteresowania się jej przeszłością. Bez trudu znalazł ślady umieszczenia jej przez opiekę społeczną w rodzinie zastępczej. Dokopanie się do dalszej przeszłości zajęło mu więcej czasu, ale rezultaty przekroczyły najśmielsze oczekiwania.

Z lubością rozpamiętywał to, co odkrył. Co za przewrotna dziwka! To jej udawanie, że jest prawiczką, granie zimnej i nietykalnej. Święty Dawid przeżyje niełichy wstrząs, kiedy się dowie. Jeremy roześmiał się głośno do swoich myśli. Święty Dawid z ladacnicą. Bo kimże innym jest ta dziewczyna? Nikt mu nie powie, że nie doprowadziła tego biednego głupola, żeby mu potem złamać życie. Wszystkie kobiety są takie same, tyle że niektóre zaczynają wcześniej niż inne. Jedna w drugą prowokują, podpuszczają mężczyznę, a potem podnoszą wielki krzyk, kiedy im zrobi to, o co się prosiły. Tej małej Faye musiało się to podobać, inaczej by tego nie robiła przez tyle lat. Gdyby sobie nie zafundowała dzieciaka, pewnie by używała do dzisiaj. Jednego można być pewnym - kobieta

zawsze znajdzie sposób zwaleni winy na kogoś innego.

Stwierdził, że jest zlany potem, a ciało stężało mu z podniecenia i gwałtownego przyływu energii. Stosunek sprawiał mu zawsze najwięcej rozkoszy, kiedy jego żądze zostały rozpalone do białości. Przyjemnie jest wtedy ujarzmić siłą fizyczną leżącą pod nim kobietę. Jeśli się opiera, to tym lepiej. Daje mu to pretekst do ukarania jej, oskarżenia, że go zwodziła, i wejścia w nią od razu, nawet gwałtem, a potem skupienia się wyłącznie na własnej przyjemności.

Otarł dłonią wilgotne czoło, tłumiąc podniecenie. Poczekajmy, aż Święty Dawid dowie się prawdy o swojej niepokalanej Faye.

Jeremy starannie zainscenizował rozwiązanie. Męczył żonę, aż się zgodziła urządzić popołudniowe przyjęcie dla jego odchodzących studentów. Zaprosił Faye wraz z Dawidem.

Miała ochotę się wymówić, ale nie pozwoliła jej duma. Uzyskała dyplom i nic, co może zrobić czy powiedzieć Jeremy Catesby, nie odbierze jej tego.

Utrzymując się ze stypendium, bez oparcia w rodzinie, Faye nigdy nie miała pieniędzy. A już na pewno nie starczało jej na modne stroje. Roboczy ubiór, złożony z plisowanych spódnic i swetrów w zimie, a z dzinsów i lekkich bluzek w lecie, stanowił jej całą skromną garderobę.

Nie wiedziała zupełnie, co na siebie nałożyć, idąc na cocktail party. Instynkt podpowiadał jej, że inne dziewczęta przyjdą wystrojone. Początek lata był upalny, tak upalny, że w przyływie rozrzutności kupiła sobie przyjemną bluzkę bawełnianą i parę kolorowych koszulek sportowych z krótkimi rękawami do dzinsów.

Faye nigdy nie nosiła strojów odsłaniających jej ciało ponad konieczność. Była właściwie za szczupłą, więc wybierała rzeczy obszerne, czyniące jej figurę tęższą i nieco bezkształtną. Makijaż ograniczała do minimalnego pociągnięcia warg szminką, włosy zawsze wiązała z tyłu. Koleżanki przywykły do jej zupełnego braku pretensji, do rezygnacji z jakiegokolwiek próby podkreślenia swojej urody. Znalazłszy się jednak na niepokalanej murawie ogrodu Catesbych, Faye poczuła się nieswojo pod wzgardliwymi i rozbawionymi spojrzeniami zebranych.

Na ratunek przybył Dawid, dobry, kochany, troskliwy Dawid. Nie dotykając jej, dodał w jakiś sposób otuchy samą swoją obecnością. Uśmiechając się do niej ciepło, zapytał, co sądzi o ogrodzie Catesbych.

Faye się nie podobał. Równo poprzycinane krzewy róż wydały jej się martwe i mało atrakcyjne, ich zbyt na jej gust ściśle pąki sterczały bezdusznie nad wypieloną do naga ziemią, same krzewy były uszeregowane z matematyczną dokładnością.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się podoba - wyznała. - Jest taki... wylizany.

- Chwali ci się to - przytaknął. - Przypadniecie sobie do serca z moją mamą. Ona nie znosi takich klombów. Poczekaj, zobaczysz ogród w Cottingdean.

Uśmiechnął się, a przez jej ciało przebiegło najdziwniejsze z doznań, połączenie wdzięczności i ciepła, świadomość blisko-

ści jego osoby, bliskości mężczyzny, niepewna, rozkwitająca potrzeba pochylecia się ku niemu, dotknięcia wygiętych kącików jego warg, by uchwycić cudowną istotę tego uśmiechu.

Gdy tak stała wpatrzona w niego, poruszona do głębi nieoczekiwanym uczuciem, u jej boku wyrósł nieoczekiwanie Jeremy Catesby.

- No, no, Święty Dawid ze swoją służebnicą. Co za uroczy obrazek. Niewinny jak nie z tego świata. I, oczywiście, z gruntu fałszywy. Podziwiam cię, Dawidzie. Muszę przyznać, że ja bym się czuł odrobinę nieswojo w towarzystwie kobiety o przeszłości Faye. Jak mówi przysłowie, nie ma dymu bez ognia. Utrzymujesz ostatnio kontakty ze swoim ojczymem, Faye?

Dawid usłyszał cichy, udręczony charkot, wydobywający się z jej gardła, spostrzegł, jak twarz dziewczyny robi się szara, potem biała, poczuł wstrząs, rozchodzący się dreszczem po jej ciele - i zareagował instynktownie, zbliżył się do niej, osłaniając ją i chroniąc.

• Znasz chyba przeszłość Faye, Dawidzie? - ciągnął Jeremy z bezlitosną uciechą. - Czy też to jej słodka tajemnica? Mam mu ją zdradzić za ciebie, Faye? Rozumiem twoje zakłopotanie. Po takim długotrwałym i uporczywym udawaniu dziewicy może ci być trudno przyznać, że nie tylko nią nie jesteś, ale już miałaś jedną skrobankę. Ta mała kryje w sobie splot niespodzianek, Dawidzie. Najpierw sypiała z własnym ojczymem, a potem posłała go do więzienia. Wyrzekła jej się nawet rodzona matka, i trudno się dziwić. Starczy tego, żeby się człowiekowi zebrało na wymioty. Uwieść własnego ojczyma, a potem go...

• Nie!... Nie!... Nie!...

Faye słyszała w pobliżu czyjś krzyk, jego dźwięk tłukł się echem w głowie i nie chciał ustać, aż całe ciało zaczęło jej dygotać od nieludzkiego odgłosu cierpienia owej ludzkiej istoty.

Wokół niej obłędnie wirował ogród ze swymi krzykliwymi kolorami, w jej piersi eksplodował paroksyzm bólu i cały świat przemienił się w czerwono-czarną kulę udręki, w ognistego smoka z rozdziawioną paszczą, która ją wciągała w ciemność.

- Faye, już dobrze. Już dobrze...

Otworzyła oczy. Siedziała na przednim siedzeniu auta Dawida albo raczej pół siedziała, pół leżała na jego kolanach. Jego chłodna dłoń spoczywała na jej czole, głaszcząc je delikatnie, podczas gdy druga dłoń mierzyła puls, tętniący obłędnie w jej przegubie.

- Dawidzie...

Przełknęła odruchowo, bo wypowiedziane słowo zazgrzytało jej bólem w gardle.

• Dawidzie...

• Proszę pani! Dobrze się pani czuje?

Faye uniosła głowę i spojrzała przez szybę auta. Z tamtej strony przyglądał jej się jakiś mężczyzna. Było w nim coś znajomego, ale minęła dobra chwila, nim go rozpoznała.

Ten lekarz ze szpitala. Serce podskoczyło jej w piersi. Liz! Coś się stało z Liz! Była wciąż zamroczona i półprzytomna, nie przyszło jej do głowy, że nie zawiadamałaby jej o tym osobiście, zresztą skąd mógłby wiedzieć, gdzie jej szukać.

- Dobrze się pani czuje?

Odkręciła szybę ruchami niezręcznymi z pośpiechu i zaskoczenia. Wyrwał ją tak brutalnie ze świata wspomnień, że wciąż była zdezorientowana.

- Liz... Moja teściowa...

Alaric Ferguson domyślił się momentalnie, jakie przypuszczenie przyszło jej do głowy na jego widok, i zaklął w duchu.

Czemu nie zostawił jej w spokoju? Nie miał zwyczaju mieszać się w cudze sprawy, ale zaniepokoił go jej stan.

- Nie, nie, z pani teściową jest wszystko w porządku - uspokoił ją szybko.

Wszystko w porządku? Więc o co mu chodzi? Alaric niemal wyczuł, jak się od niego oddała. Oczy pociemniały jej z przestraszenia.

- Przepraszam. Nie powinienem był pani niepokoić. Zdawało mi się, że pani nie bardzo dobrze się czuje...

- Mam okropny ból głowy - ucięła Faye. Nie było to w końcu całkowite kłamstwo.

- Współczuję. Może by się pani napiła herbaty? Jest tu obok cukierenka, gdzie podają wyśmienitą herbatę. Wiem to z pewnego źródła, od mojej matki...

Faye otworzyła usta, żeby odmówić. Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, to siedzieć z tym obcym mężczyzną nad filiżanką herbaty i silić się na uprzejmą konwersację. Musi wracać do domu, zrobiło się późno. Wstrząsnął nią dreszcz.

Alaric dostrzegł wyraz jej oczu i powtórnie zaklął w duchu. Ta kobieta wyobraża sobie, że on ją próbuje podrywać. Czyż nie ma końca kobiecej próżności, zastanowił się sceptycznie. Bez zaskoczenia przyjął jej śpieszną odmowę, wypowiedzianą wysokim, nienaturalnym głosem:

- Dziękuję, ale... muszę muszę wracać. Córka pewnie zachodzi w głowę, gdzie jestem.

Gdzie jest, nie, gdzie była. Alaric zbyt dobrze znał wstrząsające wrażenie, jakie choroba umysłowa potrafi wywierać na najbliższych osoby nią dotkniętej, by się dziwić stanowi, w jakim wyszła z tego domu. Tylko co tam robiła sama, skoro tak to na nią działa? Milczał chwilę, zawieszony między irytacją a troską. Nie o tę kobietę. Jeśli jest tak głupia, by go podejrzewać o chęć poderwania jej, to... To co? To nie zasługuje na jego współczucie, na pomoc?

Czy to jakaś skaza w nim powoduje ten uwiąd człowieczeństwa, czy też jest to symptom ogólnej choroby wieku?

Faye patrzyła na niego, modląc się, żeby sobie poszedł. Widział ją w stanie całkowitej bezbronności, bezradności. Przejmowało ją to poczuciem zagrożenia, strachem. Coż za fatalny zbieg okoliczności, że przejeżdżał tędy akurat, kiedy

stamtąd wyszła! Usłyszała jego powątpiewający głos:

- Jeśli pani na pewno nic nie jest...
- Absolutnie nic - skłamała.

Czemuż on sobie nie idzie? Czyż nie widzi, że ona nie życzy sobie jego towarzystwa?

- Bo wie pani - spróbował jeszcze raz - jeśli pani się nie bardzo czuje, to może nie powinna pani prowadzić...

Faye rzadko dawała się wyprowadzić z równowagi, ale teraz była bliska wybuchu. Oczy zabłyśły jej gniewem.

• Jest pan lekarzem mojej teściowej, nie moim - rzuciła mściwie. - Niepotrzebne mi pańskie rady...

• I nie życzy pani sobie mojego towarzystwa. Więc dobrze, zostawiam panią.

Widziała, że go to zirytowało, i na moment ogarnęły ją wyrzuty sumienia, kiedy go odprowadzała wzrokiem.

Alaric przejechał parę mil, nim sobie zdał sprawę, że przekracza dopuszczalną szybkość. Zwolnił natychmiast i spróbował odprężyć napięte mięśnie. Co za idiotka! I on idiota, że jej się narzucał z pomocą. Dobry Boże, czy ona rzeczywiście przypuszcza, że gdyby mu wpadła w oko, nie potrafiłby jej tego okazać w subtelniejszy sposób?

Gdyby mu wpadła w oko. Zmarszczył czoło, nie chcąc się przyznać przed samym sobą do ambiwalentnych uczuć w stosunku do tej kobiety. W końcu prawie jej nie zna.

Sage zamierzała spędzić rano nad wstępnymi szkicami do jednego z zamówionych projektów. Długo trwało, nim sobie wyrobiła renomę oryginalnej artystki, i teraz nie mogła całkowicie zaniedbać swojej pracy, choćby najbardziej pragnęła poświęcić czas bez reszty na inne sprawy.

Przede Wszystkim na dalszą lekturę pamiętników mamusi. Odłożyła stępiony ołówek, ale nie sięgnęła po drugi. Co powoduje, że nie może się od tych pamiętników oderwać?

Czytanie ich to jakby otwarcie drzwi do nieznanego świata. Do świata młodej kobiety podobnej do niej, kobiety, z której problemami i niepokojami jest jej, Sage, tak nieoczekiwanie łatwo się utożsamić. Przez całe dotychczasowe życie nie była w stanie znaleźć z mamusią wspólnego języka, a teraz odkrywa, że pod etykietkami „matki” i „oddanej żony”, które jej przypinała, kryła się siostrzana dusza, kobieta, którą potrafi zrozumieć i której współczuje. Czy mamusia zdaje sobie sprawę, jak wiele zdradzają jej pamiętniki? Nie zawsze wprost, jej własnymi wypowiedziami, częściej półsłówkami, pozwalającymi się domyślić uczuć innych osób. Czy mamusia wiedziała, jak bardzo przywiązany był do niej Edward? Jak głęboko ją kochał, mimo że ta miłość nie mogła znaleźć potwierdzenia w intymności cielesnej?

Sage spojrzała na rysownicę. Zamówiono u niej freski na ściany krytego basenu, budowanego przy pewnej rezydencji. Miały stanowić jej osobistą wizję siedemnastowiecz-

nego ogrodu w stylu włoskim. Nie było to nic szczególnie nowatorskiego i Sage podejrzewała, że akurat tym klientom zależy głównie na możliwości pochwalenia się przed znajomymi, iż namalowała je na ich specjalne zamówienie. Powinno to być łatwe, ale jakoś spod jej ołówka nie chciały wychodzić konwencjonalne aleje i posągi. Zamiast nich rysowała alejki obrzeżone grządkami z wielobarwnym rozgardiaszem kwiatów na tle wyblakłego ceglanego muru.

Park mamusi, stwierdziła z irytacją.

Może lepiej zająć się na razie czymś innym, zdecydowała, lustrując krytycznie szkic na rysownicy.

Nurtował ją ciągle problem autostrady. Przy tak potężnych wpływach jej zwolenników, nikłe wydawały się szanse powodzenia choćby najlepiej zorganizowanej kampanii prowincjonalnego komitetu protestacyjnego. Ponadto oczywiste było, że autostrada musi zostać którąś przeprowadzona i że musi zrewolucjonizować życie miejscowości, w pobliżu których będzie przechodziła.

W przypadku Cottingdean jednak autostrada mogłaby omijać łukiem miasteczko, gdyby została przesunięta na bagniste tereny za łąkami. Koszty stanowiłyby jednak koronny argument przeciw takiemu przesunięciu. Nie chodziłoby przy tym tylko o wydłużenie samej autostrady, lecz głównie o konieczność osuszenia moczarów i budowę odpowiednich podpór, co by się oczywiście wiązało ze znacznymi nakładami finansowymi.

Sage wstała i podeszła do biurka mamusi po teczkę z dokumentacją.

Mamusia zebrała tu wycinki o prowincjonalnych akcjach > protestacyjnych przeciwko różnym inwestycjom budowlanym. Podzieliła je na dwie części w zależności od tego, czy kampanie zakończyły się powodzeniem, czy nie. Pierwsza kupka była deprymująco cienka w porównaniu z drugą, mimo że ludzie stali się ostatnio bardziej wyczuleni na względy ekologiczne i przeciwstawiają się znacznie energiczniej zagrożeniu środowiska naturalnego.

Sage kupiła mapę całego hrabstwa w wielkiej skali i przeniosła jego zarysy na kalkę, uwzględniając tylko ważniejsze miejscowości i istniejące szosy. Rozpościerając ją i przypinając do rysownicy, uśmiechnęła się do swoich wspomnień. W latach szkolnych główny zarzut pod jej adresem brzmiał, że jest inteligentna, ale zbyt leniwa, żeby robić użytek ze swojej inteligencji. W głębi duszy uważała, że winę ponoszą w równiej mierze nauczyciele, którzy nudzą, nie potrafiąc obudzić jej zainteresowań. Kiedy tylko miała odpowiednią motywację, coś, co stanowiło wyzwanie... Skrzywiła się na przypomnienie swojego grymasnego usposobienia. Ileż to razy jej nagły entuzjazm gasł równie szybko, jak się rozpałił. Trwało to, dopóki się nie przemogła, nie zmusiła do wykańczania z zaciśniętymi zębami rozpoczynanych prac, bez względu na to, jak były żmudne i monotonne. Do tego czasu nie potrafiła niczego konsekwentnie doprowadzić do końca.

Stanowiło to fatalną skazę w jej charakterze, ta niezdolność do trzymania się wytkniętego celu i doprowadzania rzeczy do

końca. Dopiero kiedy raz zakosztowała przyjemności wykonania podjętego zadania, zaczęła w sobie zwalczać tę wadę.

Jak bardzo się zmieniła przez te ostatnie lata. Dojrzała... Skrzywiła się do swoich myśli. Może dojrzała pod pewnymi względami, lecz w głębi drzemie w niej wciąż bałaganiarstwo dawnej Sage.

Sage, Szałwia. Jak można dać komuś takie imię? Czy mamusia wybrała je dla niej w nadziei, że wpłynie ono w jakiś sposób na poskromienie jej niesfornej osobowości? Skądże! Nie mogła przecież z góry przewidzieć, jaki z nią będzie miała krzyż pański.

Czy jej poczęcie, jej narodziny przyjęła z równą radością, jak przyjście na świat Dawida? Dawida, którego oboje rodzice kochali bez pamięci, choć, jak się okazuje, nie był wcale synem Edwarda. Kochali go nie ze względu na to, kto go spłodził, jak się teraz dowiaduje, lecz ze względu na to, jaki był.

Zastanawiała się często, czy stosunek tatusia do niej był spowodowany sposobem, w jaki ona została poczęta. Czy odgrywał w tym rolę fakt, że się poczęła nie z tajemnicy zespolenia dwojga ciał, lecz z jednego z pierwszych cudownych eksperymentów współczesnej medycyny? Musieli jej w pewnym okresie pragnąć, szczególnie mamusia, jeśli się zdecydowali na taki krok.

Przeszła się nerwowo po pokoju, zatrzymała zamyślona przed oknem, wychodzącym na ulubioną część ogrodu mamusi.

Słońca dziś nie było, niebo miało typowo angielski, popielaty odcień, który tak doskonale harmonizuje z równie pastelowymi kolorami kwiatów mamusi.

Stała przed tym oknem wiele, wiele razy, zwykle słuchając z buntem w duszy jednego ze spokojnych, logicznych kazań mamusi o którymś ze swoich wybryków. Patrzyła wówczas nie widzącymi oczyma, tak że dzisiaj jakby ujrzała ogród po raz pierwszy, i zdjął ją podziw nad doskonałą harmonią barw, liliowych, różowych, niebieskich, białych... Nie mogła wyjść ze zdumienia, skąd mamusia brała czas na wypracowanie takiego zgrania kolorów i kształtów, i skąd miała tyle smaku. Była zawsze kobietą niewiarygodnych talentów. Silna i zdecydowana w interesach, przecinała biurokratyczne opory i próżną gadaninę z precyzją wprawnego chirurga, a zarazem umiała jakoś nigdy nie zranić wrażliwej męskiej miłości własnej, rzecz, której ona, Sage, chyba nigdy się nie nauczy.

Mamusia była pionierką, jeśli chodzi o przejmowanie przez kobiety kierowniczych ról w świecie mężczyzn, i potrafiła to osiągać bez szkody dla swojej kobiecości, swoich zasad. Nigdy nie wykorzystywała faktu, że należy do słabej płci,

nigdy tego nie wygrywała, jak tyle znanych Sage kobiet, a zarazem nie stała się mężczyzną w spódnicy, chłopczycą, gardzącą swoim rodzajem. Zdołała wytyczyć sobie własną drogę i z niej nie zbroczyć, pozostała wierna sobie. Była jak ten ogród, odkryła ze zdumieniem Sage - na pierwszy rzut oka

może zbyt spokojna i przyciszona, dopiero przy bliższym, wnikliwszym przyjrzeniu się zdradzająca swoją urodę i doskonałość, swoją mądrość i umiejętności, składające się na pełnię człowieczeństwa.

Sage poczuła nagle ostre, bolesne pragnienie, żeby ją mieć przy sobie. Boi się, stwierdziła. Boi się nie tylko tego, że ją utraci, że utraci kobietę, którą dopiero zaczyna poznawać - i którą uczy się cenić, przyznała pokornie - lecz boi się, że nie będzie potrafiła sprostać jej zasadom, jej ideałom...

Sprawa autostrady w całej swojej złożoności objawiła się teraz jako symbol wszystkiego, czego jej brakuje. Sam trud - i wytrwałość konieczne, by choćby zapoczątkować sensowną kampanię protestacyjną, będą wymagały subtelnej oceny charakterów ludzkich, która nie jest jej mocną stroną. Nie posiada tych cech, stwierdziła z rozpaczą, które czynią z mamusi taką mistrzynią taktyki. A na nią spada teraz zadanie ocalenia Cottingdean. Co będzie, jeśli jej się nie uda?

Wzdrygnęła się ujrawszy przelotnie oczyma duszy Cottingdean nie takie, jakie jest teraz, doskonałą, niemal czarodziejską, żyjącą i oddychającą reinkarnacją pierwotnego domu, odrestaurowanego i wypieszczonego przez mamusię, wypieszczonego nie na muzeum, lecz na miejsce do mieszkania, tak jednak przesyczone przeszłością, że wkraczając w jego progi, wchodziło się jakby we fragment historii. Ujrzała Cottingdean takie, jakim było, kiedy mamusia tu przyjechała po raz pierwszy, i jakim mogłoby się stać znowu, z zaniedbanymi ogrodami, zapuszczonym domem...

„Nie bądź niemądra” - przywołała się do rzeczywistości. Autostrada nie będzie przecież przebiegać w bezpośredniej bliskości domu. Zagrożone jest miasteczko. Oczywiście, ono i jego mieszkańcy znajdują się w poszerzonym polu odpowiedzialności mamusi, i poczytywałyby ona za swój obowiązek ich bronienie. Teraz ten obowiązek spada na nią, Sage...

Wróciła niespokojnie do biurka i w oczy wpadł jej wiszący na ścianie oprawny plan majątku. Coś kazało jej baczniej mu się przyjrzeć.

Różne tereny oznaczone były na planie różnymi kolorami, ziemi nie należące do Cottingdean kolorem łupkowoszarym. Zwróciła jej uwagę duża łupkowoszara plama na północ od miasteczka, tuż obok proponowanej trasy autostrady. Przyglądając się jej, Sage starała się przypomnieć sobie ukształtowanie terenu. Mamusia ma gdzieś inną, nowszą mapę. Znalazła ją złożoną starannie w wyraźnie oznakowanej teczce i wstąpiła na przypomnienie rozgardiaszu na własnym biurku. Co jak co, ale porządna to ona nie jest, jak się często uskarżała jej sekretarka. Sage lubiła jednak swój nieporządek, był znajomy, dodawał jej pewności.

Rozwinąwszy mapę, zaczęła wypatrywać granicy ich majątku z łupkowoszarymi terenami. Nie ma wątpliwości, że ich właściciel zarobi na autostradzie grube pieniądze. Jeśli dobrze pamiętała, posiadłość ta przylega do miejsca, gdzie z autostradą będzie się łączyć jedna z istniejących bocznych szos. Idealna lokalizacja na budowę centrum handlowego i osiedla, które

będą się rozrastać i ostatecznie pochłoną miasteczko.

Przyglądając się mapie odkryła, że granice posiadłości zostały wyraźnie zakreślone przez mamusię, a obok widnieje zapisane jej równym charakterem nazwisko właścicielki.

Agnes Hazelby. Obgryzając skórkę zadartą koło paznokcia, Sage przypomniała sobie, że mamusia opowiadała kiedyś o samotnej starszej pani w sąsiedztwie, zmuszonej przez chorobę do sprzedania posiadłości dla uzyskania funduszy na zamieszkanie w domu opieki. A więc to ona. Czy sprzedała posiadłość? Najprostszym sposobem dowiedzenia się będzie telefon do adwokata mamusi.

Przypomniało jej to z kolei, że któraś z nich, Faye albo ona, będzie się musiała wkrótce wybrać do fabryki i zobaczyć z Henrym Bradingiem, który potrafi wprawdzie doskonale radzić sobie z produkcją, dowiadywał się jednak kilkakrotnie z niepokojem o zdrowie mamusi i Sage wiedziała, że mamusia na jej miejscu wybrałaby się niezwłocznie, żeby go uspokoić.

Sięgnęła po telefon i nakręciła numer adwokata.

Okazało się, że nie ma on pojęcia, kto jest obecnie właścicielem terenów na północ od miasteczka, ale dowiedzenie się tego nie powinno nastęrczać większych trudności. Pamięta, że jej mamusia chciała kupić te ziemie, ale zostały one wystawione na licytację i poszły za sumę wyższą od tej, jaką była gotowa zapłacić.

- Wiem, że osiągnęły cenę znacznie, znacznie wyższą od płaconych normalnie za ziemie rolnicze. A propos, jak się czuje twoja mamusia? Są jakieś nowe wiadomości?

- Jak dotąd bez zmian - odparła Sage. Tyle razy musiała odpowiadać na troskliwe pytania o zdrowie Liz, że formułowała te słowa niemal bezwiednie. - Chcą ją operować, gdy tylko to będzie możliwe. Jest jakiś ucisk na mózg...

Głos jej się załamał, bo wiedziała, co to znaczy. Życie mamusi wisi na włosku, cieniutkim włosku, który może się w każdej chwili zerwać.

- Nic się nie martw, Sage - pocieszył ją adwokat. - Liz jest twarda, przetrzyma każdą operację. Zadzwonię, jak tylko zdobędę tę informację. Nie powinno to zająć zbyt wiele czasu.

Czekając na odpowiedź, Sage zabrała się do studiowania wycinków zebranych przez mamusię. Chciała przeanalizować, jakie elementy wspólne miały akcje uwieńczone powodzeniem.

Zdecydowała, że wspólny mianownik stanowiły w pewnej mierze wpływy w odpowiednich instancjach oraz umiejętność zainteresowania środków masowego przekazu, tak by uzyskać możliwie najwięcej reklamy. Przede wszystkim rzucało się jednak w oczy, że za wszystkimi udanymi akcjami stały atuty bardziej przekonujące niż żarliwe protesty ludzi, nie chcących dopuścić do budowy na swoim terenie drogi czy fabryki. Zwykle były to względy historyczne, jakkolwiek pewne miasteczko zostało uratowane przed zakusami planistów dzięki temu, że leży w okolicy o wyjątkowych walorach krajobrazowych i jest jednym z trzech ostatnich miejsc w An-

glii, gdzie się zachował rzadki gatunek dzikich kwiatów.

Sage przesunęła palcami po włosach. Nigdy nie słyszała, by w Cottingdean czy jego okolicy rosły jakieś szczególnie dzikie kwiaty albo gnieździły się rzadkie ptaki, a co do dworu i miasteczka, to są one wprawdzie wiekowe, ale nie przedstawiają specjalnej wartości historycznej.

Patrząc na sprawę bezstronnie, nie ma powodu, dla którego koło Cottingdean nie mogłaby przebiegać autostrada, a jedynym argumentem przeciwko temu jest możliwość przesunięcia jej bez szkody o parę mil, co się jednak łączy ze znacznym dodatkowym kosztem i nakładem pracy.

Przeżuwała te niepomysłne konkluzje, kiedy zadzwonił telefon.

- Udało mi się dowiedzieć, kto nabył te tereny - oznajmił sucho adwokat. - Nie jest to zbyt zaskakujące. Czy mówi ci coś nazwa Domy Heverowskie?

- Nie, poza łatwym do odgadnięcia faktem, że jest to firma budowlana.

- Tak. Specjalizuje się w wynajdywaniu i wykupywaniu atrakcyjnych terenów budowlanych, nie buduje jednak wieżowców, tylko osiedla zindywidualizowanych domków jednorodzinnych. I cieszy się w City nad podziw dobrą opinią. Ale nie to jest najciekawsze. Otóż Domy Heverowskie stanowią część składową znacznie większej firmy, Towarzystwa Budowlanego Cavanagha.

Sage ścisnęła mocniej słuchawkę.

- Ależ to firma Daniela Cavanagha, która ma budować nasz odcinek autostrady.

- Właśnie. Nie wydaje ci się to zbyt pięknym zbiegiem okoliczności, że pan Cavanagh kupuje tereny nie przewidziane wprawdzie jak dotąd pod budowę osiedla w rodzaju tych, w jakich się specjalizuje jego firma, położone jednak w rejonie projektowanej autostrady i jej dróg dojazdowych? Przy obecnej polityce rządu łatwego zwalniania terenów rolniczych pod budowę, pan Cavanagh nie powinien mieć zbytnich trudności z uzyskaniem potrzebnych zezwoleń. Bardzo to dalekowzroczone z jego strony, takie wykupywanie zawczasu ziemi, chociaż i dosyć ryzykowne, bo co, jeśli autostrada pobiegnie inną trasą? Jeśli jednak nie, on, a właściwie jego firma, ma szansę zarobienia kupy pieniędzy. Pod warunkiem że uda im się obalić warunek Agnes Hazelby, że dwór zostanie nienaruszony. Autostrada skłoni wielu ludzi do przeniesienia się dalej od Londynu, a nowiutkie luksusowe wille w pobliżu malowniczego miasteczka zwiększą atrakcyjność przedsięwzięcia. Oznacza to, oczywiście, że Cottingdean przestanie istnieć w swoim obecnym kształcie. Wiem, że Liz prowadzi akcję protestacyjną przeciwko budowie autostrady, ale wygląda, że będzie miała przeciwko sobie potężne siły...

I wpływowe instytucje, dodała Sage melancholijnie w myśli, przypominając sobie zaborczą kobiecą dłoń na ręce Daniela. Co było pierwsze, zastanowiła się sarkastycznie, kupno ziemi czy znajomość z tą osobką z ministerstwa?

Podziękowała adwokatowi i odłożyła słuchawkę, zdumio-

na, że tak nią wstrząsnęło to, czego się dowiedziała. Powinna raczej odczuwać gorzką satysfakcję, pamiętając wyższość, z jaką Daniel rzucił jej kiedyś w twarz oskarżenia o dwulicowość, zakłamanie, używanie innych dla swoich celów.

Krażyła podekscytowana po gabinecie, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Kamila.

- Mamusia nie wróciła? - spytała. - To dziwne, zwykle są już z babcią z powrotem o tej porze. Chyba nic jej się nie stało?

Kamila zadała to pytanie z pozorną nonszalancją, lecz Sage dostrzegła w jej oczach niepokój i domyśliła się ze współczuciem, że wstrząs spowodowany wypadkiem babci odbił się na jej odporności.

- Z pewnością nic się nie stało. Prawdopodobnie wszyscy ją rozpytują o babcię i to przedłuża sprawę. Gdzie się właściwie odbywają te spotkania?

Sage była rada, że coś ją odrywa od rozmyślań o Danielu Cavanaghu. Czemu akurat jego przedsięwzięcie jest zaangażowane w budowę tego odcinka autostrady? Jej zadanie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby nie miała do czynienia z nim, tylko z jakimś anonimowym nieznajomym.

- Nie wiem - zafrasowała się Kamila. - Prawdę mówiąc, nie wiem w ogóle, dokąd jeżdżą. Wiem tylko, że powtarza się to co miesiąc. Ani mamusia, ani babcia nigdy o tym nie opowiadają.

Sage zmierzyła bratanicę ciekawym spojrzeniem. W innych okolicznościach, gdyby chodziło o inną kobietę i gdyby Faye nie towarzyszyła zawsze mamusia, Sage by przypuszczała, sądząc po tajemnicy, otaczającej wypadki, że bratowa jeździ na schadzki z kochankiem. Zmarszczyła czoło w zastanowieniu, skąd jej się bierze takie wewnętrzne przekonanie, że Faye nie ma kochanka.

Przecież nie dlatego, że nie dba o swój wygląd, ubiera się skromnie, prawie się nie maluje? Trzeba nieskończonej naiwności, by sądzić, że mężczyźni pociągają tylko kobiety, które ich kokietują. Ileż to razy Sage spotykała kobiety, które przedstawicielkom ich własnej płci wydawały się nieatrakcyjne, nawet pospolite, a jednak miały owo coś nieokreślonego, co ciągnęło do nich mężczyzn jak muchy do miodu.

Cóż, Faye nie ma owego nieokreślonego seksapilu, tego Sage była pewna. Wyszła za męża jako stosunkowo młoda dziewczyna, urodziła dziecko i chociaż Sage pierwsza przyznawała, że nikt postronny nie wie naprawdę, jak wygląda od podszewki jakiegokolwiek małżeństwo, miała wszelkie podstawy do wierzenia, iż jej brat nie był mężczyzną, który by traktował kobietę - jakąkolwiek kobietę, a już szczególnie żonę - w taki sposób, by po jego śmierci odstręczające wspomnienia powstrzymywały ją od stosunków z jakimkolwiek przedstawicielem jego płci. Nie przypuszczała również czegoś odwrotnego: by Faye tak kochała Dawida, iż po jego śmierci nie jest w stanie znieść myśli o tym, że inny mężczyzna mógłby zająć jego miejsce.

Inna rzecz, że można nie chcieć wychodzić ponownie za mąż, ale pod względem seksualnym... Dojrzała kobieta musiałaby się odznaczać niezwykle zdolnością do samookłamywania, by wierzyć, że nie ma pociągu seksualnego bez miłości. Ona, Sage, wie to aż nadto dobrze. Cóż, Faye nie jest jednak nią i myśl o bratowej wykradającej się dla spędzenia paru godzin w ramionach nieznanego kochanka wydawała się Sage tak niedorzeczna, iż ją z miejsca odrzuciła.

Więc dlaczego nęka ją to uporczywe wrażenie, że coś się za tym kryje?

Spojrzała na bratanicę. Kamila miała ciągle zatroskaną minę, więc Sage pośpieszyła ją uspokoić.

- Jak ci już powiedziałam, mamusię z pewnością coś po prostu zatrzymało. Złe wiadomości docierają szybko. Gdyby miała wypadek... - Spostrzegłszy, jak Kamila drgnęła, powtórzyła pewnie: - Gdyby miała wypadek, już dawno by nas o tym zawiadomiono.

Nie dodała, jak dziwne jej się wydaje, że Faye nic nie wspomniała o swoich planach, nie zostawiła numeru telefonu, pod którym można by ją znaleźć, skoro tak się niepokoi o mamusię. Ale cóż, Faye jest dorosłą osobą, więc Sage nie czuła się powołana do kwestionowania słuszności jej zachowań.

- Co to? - spytała Kamila, spostrzegłszy mapę rozpostartą na rysownicy.

- Chciałam sprawdzić, kto kupił te tereny - wyjaśniła Sage.

- Babcia chciała je kupić, kiedy zostały wystawione na licytację.

- Tak, wiem.

Jeśli Daniel zamierza budować wille na tym terenie, to będzie się tym usilniej sprzeciwiał jakimkolwiek zmianom trasy proponowanej autostrady. Panna Ordman robi, oczywiście, wszystko, co będzie leżało w jego interesie. Zastanawiając się nad tym, Sage dochodziła jednak do wniosku, że odpowiednia kampania prasowa może bardzo nadwerżyć dotychczasową nieposzlakowaną opinię imperium budowlanego Daniela.

Zmarszczyła nos, napominając się natychmiast, że mamusia sprzeciwiłaby się takiej akcji jako niegodziwej. Ale jak nazwać postępowanie Daniela, jeśli chodzi o kupno tych terenów? Czasami trzeba ogień zwalczać ogniem. Ta myśl uświadomiła jej jednak niemiłą prawdę, że nie zablźniły się jeszcze całkiem dawne rany i że sprawia jej niejaką przyjemność perspektywa odplacenia Danielowi za zniewagi, jakimi ją niegdyś obrzucił, okazania mu takiej samej wzdgardy, jaką on jej okazał, takiej samej rozwścieczającej wyższości moralnej, jaką ją upokorzył. Owszem, sprawiłoby jej nie lada uciechę patrzeć, jak Daniel się wije. I może... może wcale nie musiałoby dojść do publicznej rozprawy. Może by wystarczyło danie mu do zrozumienia, że wiedzą o wszystkim i mogą w każdej chwili rozpocząć odpowiednią kampanię w środkach masowego przekazu...

Odepchnęła myśl, że nic nie wskazuje, by Daniel, przynajmniej taki, jakim go znała przed piętnastu laty, był skłonny do ustąpienia pod jakąkolwiek presją. Nie zaszkodzi zadzwonić,

zdecydowała, i zaproponować spotkanie, żeby przynajmniej wy badać grunt. No, i dać mu do zrozumienia, że ten zakup ziemi nie jest tajemnicą.

Usłyszała za plecami głos Kamili oznajmiającej, że się wybiera na przejażdżkę konną. Kiwnęła głową, sięgając równocześnie po teczkę z notatkami mamusi. Szybko znalazła to, czego szukała. Jest adres biura Daniela w Londynie. I oczywiście numer telefonu.

Nakręcając go, poczuła nieoczekiwane skurcz w żołądku. Czyżby się bała rozmowy z Danielem Cavanaghem? Śmieszne. Przecież...

Chłodny, rzeczowy głos telefonistki przerwał tok jej myśli. Przedstawiła się i poprosiła o połączenie z panem Cavanaghem, wyjaśniając sucho:

- Chodzi o kontrakt na budowę projektowanej autostrady.
- Sage? Czym ci mogę służyć?

Na tak szybkie połączenie z nim nie była przygotowana. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją wrażenie, jakie na niej zrobił dźwięk jej imienia w jego ustach, tak jakby przez wszystkie te lata jakaś cząstka jej duszy pamiętała, nie wiadomo czemu, tembr jego głosu, jego intonację. Zalał ją gniew na siebie, że wszystko to wryło się tak głęboko w jej pamięć, podczas gdy nie może przywołać choćby najslabszego echa głosu Scotta.

- Danielu, myślę, że powinniśmy się spotkać.

W słuchawce zaległa cisza, od której twarz Sage zapłonęła. Zupełnie, jakby mu zrobiła niedwuznaczną propozycję! Zaciśnęła palce na słuchawce i dorzuciła lodowatym tonem, zominając o ostrożności:

- Chodzi o autostradę.
- Oczywiście.

Jego ton brzmiał grzecznie i swobodnie, lecz Sage mogłaby przysiąc, że kryje się w nim tłumiony śmiech. Gorzej niż śmiech...

Ty idiotko - zganiała się w myśli. Jak można wygadywać takie głupstwa. Oczywiście, że chodzi o autostradę. O cóż innego mogłoby chodzić?

- O czym dokładnie chcesz ze mną rozmawiać?
- Muszę... musimy porozmawiać osobiście. To nie jest sprawa na telefon.

Co się z nią dzieje? Ma głos zdławiony jak pensjonarka proponująca randkę. Wściekła na siebie i na niego, była bliska odłożenia słuchawki i zrezygnowania z rozmowy. To typowe dla niej, wyrzucała sobie gorzko, puszcza się na coś tak ryzykownego bez zastanowienia, bez planu działania. Mamusia na jej miejscu porobiłaby przedtem notatki, rozważyła dokładnie, co powinna, a czego nie powinna mówić. Zarzuciłaby jakąś przynętę i czekała, aż zostanie połknięta. A ona, jak skończona idiotka, podstawa się z miejsca, wymyślała sobie w duszy.

W słuchawce ponownie zapanowała cisza, po czym rozległo się rozważne:

- Rozumiem... Mam jutro wolne pół godziny, gdybyś mogła wpaść do mnie do biura...

Do niego do biura? O nie! To nie jest sprawa,

z którą może wystąpić na jego terenie, gdzie będzie miał przewagę.

- Niestety, to niemożliwe - odrzekła szybko. - Bratowej w tej chwili nie ma, a ja muszę pozostawać w stałym kontakcie ze szpitalem.

Nie była to prawda, ale lepsza wymówka nie przyszła jej do głowy.

- Ta-ak... Rozumiem, że ta sprawa, dotycząca autostrady, nie cierpi zwłoki? To coś, co nie może zostać załatwione normalnymi kanałami twojego komitetu?

Jego głos jest taki grzeczny, taki uprzejmy, taki pełen zrozumienia, więc dlaczego poczuła się raptem zdemaskowana, zagrożona?

- Myślę, że sam uznasz, że lepiej porozmawiać w cztery oczy - odparta, ignorując ciche ostrzeżenie instynktu. - Zaoszczędzi to nam obojgu dużo czasu - dodała, siłąc się na uprzejmość.

Najpierw groźba, potem kropla balsamu, czy nie tak się to załatwia? Brakuje jej doświadczenia w podobnych sprawach. Takie sztuczki nie leżą w jej charakterze, są sprzeczne ze wszystkim, w co wierzy.

- W takim razie... może wpadłbym wieczorem do Cottingdean? Czy też wolałabyś schadzkę w jakimś bardziej anonimowym miejscu?

Te dwa słowa, „anonimowe” i „schadzka”, zaskoczyły ją i zdenerwowały. Czy dlatego, że niedawno przebiegły jej samej przez myśl w innym kontekście? Bo chyba nie ma powodu przypuszczać, że Daniel posłużył się tymi terminami ze słownictwa kochanków rozmyślnie, aby podważyć jej morale?

- Nie widzę powodu, dlaczego nie moglibyśmy porozmawiać w Cottingdean - odparła cierpko. - Jeśli chodzi o mnie, nic nie stoi na przeszkodzie...

Niech poczuje smak swoich własnych nędznych insynuacji. Ona, spotykając się z nim, na pewno nie ma nic do ukrywania, podczas gdy on... Ta babka z ministerstwa zachowywała się wobec niego nader zaborczo. Wahała się przez chwilę, czy rozsądnie będzie dać mu do zrozumienia, że może sobie nie życzy, żeby tamta kobieta się dowiedziała, że się spotyka z nią, Sage, lecz ostatecznie zdecydowała, że to zbyt ryzykowne. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to zantagonizować go tak, żeby odmówił w ogóle widzenia z nią.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, że mi pozwalasz przyjechać, skoro musisz być w każdej chwili przygotowana na wezwanie ze szpitala.

Sage patrzyła wściekle na słuchawkę, mając ochotę wygarnąć mu bez ogródek, co myśli o nim i tym jego podstępny wykupie ziemi, ale opanowała się wiedząc, że nie może sobie teraz pozwolić na utratę opanowania. Ileż razy popełniała już ten błąd ku chwilowej satysfakcji i późniejszej... O tak, wybuchy gniewu kosztowały ją drogo, bardzo drogo, wolała nie pamiętać, ile to już razy. Ich wynikiem było prawie zawsze upokorzenie, często katastrofa.

• Zwykle kończymy kolację koło dziewiątej - poinformowała, siłąc się na spokój i opanowanie.

- A więc o dziewiątej - brzmiała odpowiedź, uprzejma a zarazem nie wiadomo czemu irytująca, po czym nastąpił jeszcze bardziej irytujący ciąg dalszy: - Muszę przyznać, Sage, że nie będę się mógł doczekać tej rozmowy z tobą. Nieczęsto się zdarza okazja ponownego skrzyżowania szpady z dawnym adwersarzem. Muszę cię jednak ostrzec: naostrz dobrze brzeszczot. O ile mnie pamięć nie myli, przy poprzednim starciu pozwoliłaś namiętności wziąć górę nad taktyką. To nigdy nie jest rozważne...

Sage odłożyła słuchawkę, bojąc się, że nie zdoła zapanować nad sobą. Jak śmiał? Jak śmiał napomknąć o tym słowem? Jak śmiał sugerować, że tamto ma jakikolwiek związek z dzisiejszym? Tamto była sprawa osobista, wysoce osobista. Tym razem to co innego, tym razem... Tym razem co? Tym razem ona będzie górą? No, ma nadzieję!

Odłożywszy słuchawkę, Daniel podniósł wzrok na kominek po przeciwnej stronie gabinetu. Pokój był ładny, ściany miał wyłożone siedemnastowieczną sosnową boazerią, ocaloną z jakiejś rozbiórki, podłogę pokrytą bardzo eleganckim ciemnozielonym dywanem, harmonizującym z gobelinowym obiciem dwóch staroświeckich głębokich foteli z bocznymi oparciami.

Rada nadzorcza zgłosiła wątpliwości, kiedy odrzucił ofertę ulokowania biur dyrekcji w prestiżowym nowoczesnym wieżowcu w City i postanowił zamiast tego kupić jedną z czteropiętrowych siedemnastowiecznych kamieniczek na placyku w bardzo wówczas niemodnej dzielnicy Londynu.

Przeprowadził jednak swoje, nie siłą, lecz odbywając dyskretne rozmowy z poszczególnymi członkami rady, przekonując ich do swojego punktu widzenia. Wyszło to na dobre, nie tylko ze względu na estetyczną przyjemność pracy w tak miłym otoczeniu, lecz także dlatego, że owa niegdyś pogardzana dzielnica stała się w ostatnich latach nader poszukiwaną lokalizacją. Do początkowej środkowej kamieniczki firma dokupiła dwie sąsiadujące po obu stronach, tak że biura zajmowały teraz cały jeden bok placyku, zewnątrz trzy odrębne budynki, mieszczące całą administrację Towarzystwa Budowlanego Cavanagha.

Daniel uważał się za budowniczego nie tylko z fachu, lecz także z charakteru. Lubił budować mosty między ludźmi tak samo, jak lubił dla nich budować domy, lecz jeśli chodzi o Sage Danvers, wątpił, czy kiedykolwiek znajdzie grunt, na którym zdoła wznieść most nad dzielącą ich przepaścią.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie teraz życzył, była konfrontacja z nią, do której ona najwyraźniej prze. Czego, u Boga Ojca, może od niego chcieć? Jednego był pewien: nie rozmowy o dawnych czasach.

Dawne czasy. Zaciśnął wargi z gorzką drwiną. Od chwili wstrząsu, jakim było niespodziewane ujście jej na tym cholernym zebraniu, nie mógł się opędzić wspomnieniom.

A może pora, żeby się przestać od nich opędywać? Może spełnią terapeutyczną rolę? Szczycił się większą od przeciętnej świadomością własnej motywacji, umiejętnością spoglądania w głąb siebie i analizowania tego, co tam dostrzeże. W przeciwieństwie do większości przedstawicieli swojej płci, nie odrzucał potrzeby lepszego poznania samego siebie, nie gardził też na ogół intuicją. Więc czemuż nie miałby się zdać na nią i tym razem?

Jego biurko stało między dwoma wysokimi oknami, frontem do kominka, nad którym wisiał portret drugiego męża jego matki, Roberta Cavanagha, człowieka, który poślubiwszy ją adoptował go jako nastolatka i nadał mu swoje nazwisko. Portret został namalowany po śmierci Roberta na zamówienie Dawida. Malarz na podstawie fotografii zdołał stworzyć niezwykle trafną i żywą podobiznę Roberta Cavanagha.

Dziwne, jak dotkliwie odczuwa po dziś dzień brak ojczyzny. Ich drogi zeszyły się na krótko, a jednak wywarło to na niego trwałe wpływy, tak samo jak owo skrzyżowanie szpad z Sage. Pod wieloma względami zetknięcie z nimi stanowiło punkty zwrotne jego życia.

Przyglądając się portretowi Roberta Cavanagha, zastanowił się, co on by powiedział o bezpardonowej postawie budowniczych i inwestorów nowego pokroju. Postawie, która staje się powszechna, od firm budujących pojedyncze domki poczynając, a na gigantach podejmujących konstrukcję nowoczesnych autostrad kończąc. On sam miał swój udział w przedsięwzięciach obu rodzajów.

Firma, którą odziedziczył po Robercie Cavanaghu, była obecnie mocno zaangażowana w budowę dróg i mostów. Przestała być jego wyłączną własnością, a jej akcje pojawiły się na giełdzie, co zostało podyktowane sytuacją na rynku. On sam jako prezes towarzystwa akcyjnego utracił w znacznej mierze kontakt z realiami budownictwa, spędzając większość czasu na nie kończących się seriach zebrań, często nader burzliwych. Co do autostrad, to wszyscy uważali je za cudowną rzecz, wszyscy rozumeli ich potrzebę, wszyscy chcieli z nich korzystać. Tylko jakoś nikt nie chciał przy nich mieszkać.

Zaplanowany ostatnio węzeł drogowy napotkał na szczególnie silne opory. Daniel zmarszczył czoło. Sam nie miał do niego przekonania. Tylko ministerstwo... Zdał sobie sprawę, że maże na bibularzu, i skrzywił się widząc, co narysował. Szkic starego domu o tradycyjnym kształcie litery E. Rzucił z niesmakiem ołówek na biurko, nie mając wątpliwości, co to za dom. Jest jak dziecko przypinające się do smoczka, stwierdził kwaśno, chwytając z powrotem za ołówek. Co się z nim dzieje? Nie boi się chyba spotkania z Sage?

Poderwał się gwałtownie z krzesła i zbliżył do portretu. W zimie palił się w kominku ogień, czy raczej nowoczesna technika stwarzała iluzję, że się pali ogień. W lecie ta sama firma, która dbała o pięknie rozplanowane skrzynki z kwiatami, zdobiące frontony kamieniczek po tej stronie placu,

dostarczała codziennie świeże kwiaty do olbrzymiego wazonu przed kominkiem.

Oczy pociemniały Danielowi, rysy się napięły, gdy tak stał wpatrzony w wiejski bukiet. Mamusia tak lubiła wiejskie kwiaty. Życie nie dostarczyło jej zbyt wielu okazji, żeby się nimi nacieszyć. Dopiero kiedy...

Czy to z powodu mamusi nie chciał dostrzec prawdy o Sage, wierzył, że... ? Zamknął na chwilę oczy. Otworzył wszy je, wrócił do biurka i nacisnął guzik telefonu. Odezwała się sekretarka.

- Kończę na dzisiaj urzędowanie, Heather. Gdyby wyskoczyło coś nagłego, będę w mieszkaniu. Ale tylko gdyby coś ważnego... Aha, możesz także wyjść wcześniej, jeśli chcesz.

Do mieszkania, jak eufemistycznie nazywał dwa górne piętra środkowej kamieniczki, które przerobił na swój użytek, można się było dostać tylko prywatną windą, umieszczoną dyskretnie w głębi ośmiobocznego holu, albo schodami ukrytymi za fałszywym skrzydłem boazerii.

Wszedłszy po schodach, Daniel znalazł się w przedpokoju o kremowych ścianach, z detalami zdobniczymi w oryginalnych siedemnastowiecznych kolorach i drogocennym zabytkowym dywanem na froterowanej posadzce, kupionym na aukcji w jakimś dworze na długo przedtem, nim ludzie zaczęli sobie zdawać sprawę z potencjalnej wartości takich staroci.

W mieszkaniu królowały antyki zebrane w podobny sposób. Okna salonu wychodziły na drzewa i otoczony żelaznymi sztachetami ogródek, zajmujący całą długość placyku. Za salonem mieściła się jadalnia, dostatecznie obszerna do przyjmowania gości, a za nią wygodna kuchnia z wyjściem na dach z małym ogródkiem.

Daniel nie miał stałej gosposi, wolał radzić sobie sam i być nieskrępowany. Kiedy urządzał przyjęcia, korzystał z usług wyspecjalizowanej agencji, a żadna z kobiet, które się przewijały przez jego życie, nie spędziła pod jego dachem więcej niż kilka pojedynczych nocy. Żadnej nigdy nie poprosił o zamieszkanie z nim. Nie uganiał się za kobietami, nie bawiło go to.

Co nie znaczy, żeby nie lubił kobiet. Ich towarzystwo, rozmowy z nimi, poznawanie ich osobowości i sposobu myślenia sprawiały mu przyjemność, tak samo jak ich ciała. Od czasu do czasu, gdy brakowało im materiału, kolumny plotek towarzyskich zamieszczały wzmianki o nim, wymieniały jego ostatnią flama, zastanawiały się, czy tym razem się ożeni. On sam nie był przeciwnikiem małżeństwa. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce małżeństwo obfitowało w tyle pułapek. Czego natomiast nie uznawał, to rozwodów, szczególnie gdy w grę wchodziły dzieci.

Podszedł teraz do biblioteki, zajmującej całą ścianę i z zamkniętej szafki wyjął butelkę whisky i szklanekę. Zastanowił się chwilę, po czym wstawił je z powrotem, zamknął szafkę zdecydowanym ruchem i przeszedł do kuchni, gdzie zamiast tego wyjął z lodówki wodę mineralną.

Jak na mężczyznę lat trzydziestu siedmiu, który trawi długie godziny przy stołach konferencyjnych, był wyjątkowo

sprawnym fizycznie. Nie ćwiczył wprawdzie obsesyjnie, nie spędzał długich godzin na przyrządach gimnastycznych ani na biegach po Hyde Parku, ale starał się wygospodarować ile mógł czasu na wypadki za miasto, podczas których jeździł konno i odbywał długie marsze. Korzystał również dwa, trzy razy w tygodniu z basenu w pobliskim klubie sportowym.

Kiedy zdjął marynarkę, pod wykwintną bawełnianą koszulą zagrały twarde mięśnie jego pleców i ramion.

Otworzył drzwi, wyszedł ze szklanką wody mineralnej do ogródka na dachu i, oparty o poręcz, zapatrzył się na dachy Londynu.

Jako chłopiec, dorastający w jednej z najgorszych dzielnic Liverpoolu, nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić luksusów, w jakie teraz opływał, mimo że matka, która umiała ocenić ładne rzeczy, opowiadała mu nieraz o meblach w domach, gdzie sprzątała, i o ludziach, którzy w nich mieszkali. Czuł wówczas z bezsilną furią dziecka, że nie jest szczęśliwa, rozumiał jednak, że smutek w jej głosie nie wynika jedynie z tego, iż nie mieszkają w domu podobnym do tych, o których mu opowiada.

Mamusia była Walijką, ładną ciemnowłosą dziewczyną z dolin, o głosie tak melodyjnym, że się rozplywało serce. Tatuś natomiast był Irlandczykiem, krzepkim niedźwiedziowatym mężczyzną, który pracował, gdy miał zajęcie, a pił po całych dniach w pubie, gdy nie miał. Daniel, który był jedynakiem, wiedział z opowiadań mamusi, jak go poznała, kiedy przyjechał do Walii pracować przy budowie drogi prowadzonej w głąb jednej z dolin, jak się pobrali i przyjechali do Liverpoolu, gdzie rodzina ojca mieszkała od dwóch pokoleń.

Ryanowie pochodzili z hrabstwa Cork i mimo długich lat przeżytych w Liverpoolu strzegli programowo i uporczywie swojej irlandzkości. Dziadkowie w swoim ciasnym, obskurnym domku w dzielnicy portowej wychowali siedmiu synów, hałaśliwy, zaczepny klan Ryanów, który się z czasem wylał z domu rodzicielskiego, by wejść we własne związki małżeńskie i płodzić dalszych Ryanów.

Danielowi wydawało się czasami, że Liverpool jest zaludniony jego kuzynami. On sam był inny niż oni. Wiązało się to jakoś z tym, że mamusia pochodziła z Walii. W przeciwieństwie do tatusia, jego sześciu braci poślubiło rodowite irlandzkie dziewczyny i chociaż nikt nigdy nie mówił o tym w jego obecności, Daniel czuł, że oni dwoje z mamusią różnią się od tej jego rodziny. Świadczył o tym fakt, że babcia Ryan właściwie nie zauważała jego matki, może dlatego że wszyscy pozostali, jego stryjowie i stryjenki, spłodzili po kilkoro dzieci, podczas gdy jego rodzice mieli tylko jednego syna.

Daniel czuł, że jest w jakiś sposób temu winien. I to, że tatuś nigdy go nie podrzuca do góry ani nie nosi na barana, tak jak stryjowie Liam i Joe swoich chłopaków, wiąże się z jego winą, że jest jedynakiem.

Jedno wiedział na pewno: że spłodzić tylko jedno dziecko to hańba dla Ryana. Mamusia też to czuła. Dlaczego inaczej tak by się zmieniała podczas coniedzielných wizyt u dziad-

ków? Gdy pozostawali sami, we dwoje, także bywała czasem smutna, częściej jednak śmiała się, śpiewała i opowiadała mu swoim melodyjnym walijskim głosem legendy o smokach i bohaterach, od których oczy robiły mu się okrągłe jak guziki, a serce ścisnęło z trwożnej emocji.

A w niedzielę zawsze się zmieniała, zupełnie jakby życie z niej ulatywało.

Do tego dochodziła jeszcze tajemnica otaczająca jej rodziców. Daniel wiedział, że mieszkają w Walii, ale nigdy nie jeździli do nich w odwiedziny i tylko raz w roku, na Gwiazdkę, mieli od nich znak życia - kartkę z życzeniami i funta na jego książeczkę oszczędnościową.

Daniel miał wiele razy na końcu języka pytanie o nich. Dziwiło go, że chociaż mamusia często opowiada o Walii i swoich młodych latach, nigdy nie wspomina rodziców.

Korciło go, żeby o nich zapytać, ale powstrzymywało jej uporczywe milczenie na ten temat. Był wrażliwym chłopcem, mniejszym i szczuplejszym od swoich irlandzkich braci i siostr stryjecznych, którzy mu dokuczali i przezywali go maminsynkiem. Z chłopakami dawał sobie jeszcze jakoś radę, gorsze były dziewczyny, bo się z nim drażniły i szczypały go, a potem podnosiły wielki krzyk, że to on je zaczepia. Te ich krzyki sprowadzały zawsze kogoś ze starszych.

- To Daniel - skarżyła się z płaczem któraś z dziewczynek. - Uszczypnął mnie.

I Daniel dostawał klapsa od stryja czy stryjenki, którzy musieli się oderwać od miłych płoteczek w salonie, żeby sprawdzić przyczynę lamentu.

- Ten twój Daniel to urodzony rozrabiaka - usłyszał raz, jak babcia mówi kostycznie do mamusi.

Chciał protestować, zapewniać, że to nieprawda, ale gardło miał ściśnięte, bo wiedział, że babcia mu nie uwierzy, że czemuś sprawia jej przyjemność nazywanie go rozrabiaką. Nie rozumiał tego, tak samo jak nie rozumiał, dlaczego babcia nigdy nie bierze go na kolana, dlaczego zawsze o nim zapomina przy rozdziale upragnionych słodczy, dlaczego stryjowie nigdy go nie podnoszą i nie podrzucają do góry jak innych chłopców.

Nawet własny ojciec wołał cudze dzieci od niego. Łypał na niego złym okiem, kiedy szli z wizytą, nie zauważał go, kiedy siedzieli w domu. Tyle że Daniel rzadko go w ogóle widywał.

Tatusz nie wracał po południu do domu jak większość ojców, tylko szedł prosto do pubu i często zjawiał się dopiero, kiedy Daniel był już w łóżku. Słyszał go klnącego i walącego w drzwi, krzyczącego na mamusię, żeby mu dawała jeść.

Daniel wzdrygał się w takich chwilach i chował z głową pod kołdrę. Inni ojcowie też czasem podnosili głosy - Daniel słyszał, jak stryjowie krzyczą na swoje dzieci - ale kiedy jego ojciec podnosił głos, Daniela przechodził dreszcz. Był prawie pewien, że nie kocha tatusia, a w każdym razie nie w ten instynktowny, żywiołowy sposób, co mamusię, i podejrzewał, że tatusz też go nie kocha. Napelniało go to smutkiem, któremu czasami towarzyszył ostry skurcz w piersi.

Kiedy Daniel ukończył jedenaście lat, przystąpił wraz ze

swymi rówieśnikami do egzaminu państwowego do szkoły średniej. Po ogłoszeniu wyników okazało się, że nie tylko zdał, ale przyznano mu miejsce w renomowanej płatnej szkole w lepszej dzielnicy. Mamusia nie posiadała się z radości.

Ale nie tatuś.

Ten wrócił do domu późno, cuchnący piwem. Daniel był z mamusią w kuchni i zauważył, jak się skuliła po jego wejściu. Uderzyło go nagle, że jest taka drobna. On sam wybijał ostatnio bardzo i prawie dorównywał jej już wzrostem, ojciec przytłaczał ich jednak oboje swoją barczystą postacią.

Daniel spostrzegł od razu, że jest we wrednym humorze. Kiedy ją klął i pomstować na majstra, Daniel zamarł. W Liverpoolu nie było tak łatwo o pracę, a tatusia wylewano już kilkakrotnie, bo zbyt łatwo wdawał się w bójki z innymi robotnikami. Słyszał, jak stryjowie rozmawiają o tym między sobą, widział ich wymowne spojrzenia.

Mamusia czym prędzej podała tatusiowi jedzenie. Chciał zawsze widzieć talerz na stole, kiedy tylko wejdzie. Daniel uważał, że tatuś powinien umyć ręce przed jedzeniem. Palce miał zarośnięte brudem, paznokcie czarne i połamane. Daniel z mamusią zjedli na obiad kanapki z pastą rybną, dla niego jednak mamusia, ze swoich mizernych zarobków sprzątaczką, kupiła mięsa na paszteciki.

Chociaż nigdy się o tym nie mówiło, Daniel dobrze wiedział, że tatuś nie zawsze daje mamusi pieniądze i często wszystko, co ma ona na życie i komorne, to te skromne parę funtów, które sama zarobi. Danielowi serce się krajało, kiedy ją czasami widział, idącą ulicą. Miała taki zmęczony wygląd, zgarbione ramiona, oczy matowe, bez wyrazu. Tak samo jak wówczas, kiedy tatuś wracał wieczorem pijany.

Kiedy mu podała paszteciki, Daniel usłyszał przekleństwo ojca i jego gniewny okrzyk, że to nie jedzenie dla mężczyzny, który haruje tak jak on.

- Chcę gulaszu, takiego jak u mamusi - warknął, odsuwając talerz. - I będę go miał. Wiesz, jaka z tobą bieda? - zapytał od drzwi. - Umiesz tylko zadzierać nosa, a nie umiesz uszanować mężczyzny. Gdyby nie ja, tobyś z tym swoim bachorem...

- John, John, zaczekaj chwilę.

Daniel posłyszał nutkę rozpaczony w głosie mamusi i poczuł nienawiść do ojca za to, że tak ją traktuje.

- Daniel... Daniel dostał się do Szkoły Drapersa. Czy to nie cudownie?

Na chwilę zaległo milczenie, po czym Daniel zobaczył, jak ojciec się obraca i wbija w niego wzrok. Jego oczy błyszczały okrucieństwem i złośliwą radością. Jadowitość tego spojrzenia zaparła Danielowi dech w piersiach.

Wiedział, że ojciec go nie kocha, ale ta wrogość, ta nienawiść...

- Cudownie? Cudownie, powiadasz? A ja ci oświadczam, że mój syn nie będzie chodził do żadnej francowatej szkoły dla paniczyków. Będzie chodził do Ostatniej Mili, tak jak jego ojciec, jak jego stryjeczni.

Ostatnia Mila, największe i najpodlejsze gimnazjum w ca-

łej dzielnicy. Daniel wiedział wszystko o Ostatniej Mili, o tamtejszych bójkach i gangach. Jednemu z gangów przewodził najstarszy z jego braci stryjecznych. Danielem wstrząsnął dreszcz.

- Nie, John, proszę cię. Ty nie rozumiesz... To wielka szansa dla Daniela. Jak ukończy gimnazjum z dobrym wynikiem, będzie mógł pójść na uniwersytet...

- Będzie mógł, co? Chcesz, żeby się wywyższał nad swego ojca, nad swoich stryjecznych?

Błagając go, mamusia uczepliła się jego ramienia. Kuchnia zdawała się wibrować powściąganymi namiętnościami. Ale silniejszy od nich jest jego własny świat, stwierdził Daniel.

Nie miał odwagi otworzyć ust, spróbować przebłagać ojca.

- Proszę cię, John. Daniel musi mieć tę szansę. Twarz tatusia wykrzywił nienawistny wyraz.

- Musi, co? To mój syn, zapamiętaj to sobie, Megan. A mój syn będzie chodził do tej szkoły, do której ja go posłę. Cała bieda z tobą, że tylko się o niego trzęsiesz. Wiesz, co mówi ksiądz Leary?

Daniel zobaczył trwożne spojrzenie mamusi. Znał księdza Leary'ego, który przychodził do dziadków co niedzielę i rozmawiał z każdym po kolei z wyjątkiem mamusi i niego. Ale oni nie są katolikami. Mamusia była metodystką i pozostała przy wierze rodziców nawet po wyjściu za tatusia. Z początku Daniela dziwiło, że nie chodzi w niedzielę do kościoła jak jego kuzyni, ale w końcu przestał się dziwić.

Widząc teraz nerwowe spojrzenie, jakie mamusia posyła tatusiowi, Daniel poczuł skurcz w trzewiach. Pragnął do niej podejść, wziąć ją w ramiona i osłonić.

- Błagam cię, John - powtórzyła.

Daniel zamarł, bo tatuś oswobodził się z jej uścisku z taką łatwością, jakby była małą dziewczynką, i ni to pchnął, ni rzucił ją przez szerokość małej kuchni, tak że uderzyła o piecyk.

- Nie będzie tam chodził i już. Żaden Ryan nie ma nic do roboty w takiej szkole dla maminsynków. I kto by miał za to płacić? Jak tylko wystarczająco podrośnie, pójdzie na budowę jak wszyscy jego stryjeczni, żeby zarobić na swoje żarcie.

Mamusia, z twarzą wykrzywioną z bólu, stała oparta o kuchenkę, trzymając się za lewe biodro. Daniel patrzył w milczeniu, jak tatuś się odwraca i wychodzi.

Wrócił, kiedy Daniel już spał. Obudziły go ich podniesione głosy. Podniesione głosy i płacz mamusi.

Następnego dnia mamusia po raz pierwszy nie przyszła go obudzić, a kiedy wstał, odkrył, że jest jeszcze w łóżku, leży z odwróconą twarzą w ciemnym, dusznym pokoiku.

- Nie, nie odsuwaj zasłon - powiedziała.

Jej głos utracił całą swoją śpiewność, brzmiał jakoś tak głucho i nienaturalnie, że Daniel się przeraził. Po tatusiu nie było śladu, a mamusia leżała wciąż w łóżku, kiedy wychodził do szkoły. Boli ją trochę głowa, powiedziała, ale to niedługo przejdzie. Wróciwszy ze szkoły, zastał dom pusty. Na stole leżała kartka od mamusi, że wróci późno, ale żeby się nic nie

martwił.

Nie było jej po szóstej, kiedy tatuś akurat raz przyszedł wcześniej. Zły wzrok, jakim na niego lypnął pytając, gdzie matka, przejął Daniela nagłym przyływem nienawiści i strachu.

- Myśli, że mnie przekabaci, żebym ci pozwolił chodzić do tej szkoły dla maminsynków? Możesz jej powiedzieć, żeby sobie to wybiła z głowy. Nie wyrzucę ani pensa na fanaberie. Mundurki, drogie książki...

• Gdzie idziesz? - zapytał nerwowo Daniel, widząc, że ojciec otwiera kuchenne drzwi.

• Nie twój zasmarkany interes. Człowiek ma chyba prawo do odrobiny przyjemności. Nawet ksiądz to mówi.

Zrobiła się siódma, zanim wróciła mamusia. Zdawała się podniecona i zarazem wylękniona.

• Przepraszam, że tak późno wracam. Uciekł mi autobus, a następny był przepełniony.

• Tak długo pracowałaś? - zapytał Daniel.

• Co? A tak, tak, pracowałam.

Na kości policzkowej miała wielki siniak, poruszała się sztywno, jakby ją bolały wszystkie kości. Na pytanie Daniela, czy upadła, obróciła się do niego plecami i zabrała do szorowania czystego zlewu.

- Tak, tak... Potknęłam się na schodach, kiedy wyszedłam do szkoły. Musiałam chyba jeszcze spać. Przyniosłam ci śliczny kawałek dorsza. Dostałam go od pani Silverstone. Kupiła go dla męża, ale on jadł na mieście, a ona nie lubi ryb.

Pod jej udaną wesołością Daniel wyczuwał napięcie. Powtórzył słowa tatusia i z niepokojem śledził jej reakcję.

• Nie martw się, wszystko będzie dobrze - powiedziała cicho. - Będziesz chodził do tej szkoły. Tylko ani słowa ojcu.

• Ale co z czesnym?

• Niech cię o to głowa nie boli. Wszystko załatwione. Pomoże trochę babcia, ja też zarobię...

• Babcia? - Daniel zamrugał ze zdziwienia oczami. - Babcia pomoże? Ależ ona mnie nie lubi. Nie tak jak innych wnuków. W niedzielę zawsze...

Zobaczył, jak mamusia zagryza wargę.

- Nie babka Ryan, Danielu. Rozmawiałam z twoją drugą babcią, babcią Rees. Zadzwoiłam od pani Silverstone. Pozwoliła mi, ale czekałam na niższe opłaty po szóstej.

• Babcia Rees? - Daniel patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Ależ...

• Żadnych pytań, Danielu. I pamiętaj, nie wolno ci pisać słówka.

Daniel kończył szesnaście lat, kiedy tatuś zginął w wypadku na budowie. Nie potrafił go żałować, za bardzo go wtedy nienawidził. Ojcu nie udało się zapobiec pójściu syna do pańskiej szkoły, ale odgrywał się za to na żonie. Daniel nie miał wątpliwości, że regularnie ją bije, chociaż mamusia ze stoicyzmem temu zaprzeczała, mówiła, że znowu upadła, że jest taka niedzarna.

Daniel pragnął ją wielokrotnie zapytać, dlaczego nie ode-

jdzie od tatusia, dlaczego trwa w tym domu. Wiedział, że go nie kocha. Bo jak może jakakolwiek kobieta kochać mężczyznę, który ją tak traktuje? I nie chodziło tylko o bicie, ale o cały jego stosunek do niej. Daniel orientował się teraz wystarczająco w religii ojca, żeby wiedzieć, że rozwód nie wchodzi w rachubę. Żaden Ryan nigdy się nie rozwodzi. Z zasłyszanych rozmów stryjostwa i kuzynów dowiedział się także, że ojciec ma inną kobietę, którą regularnie odwiedza i u której zostaje czasami na noc.

- Oczywiście, wszystkiemu jest winna Megan - usłyszał kiedyś słowa stryjenki Sheili, żony stryja Liama. - Gdyby mu była dobrą żoną, toby siedział w domu. Jasne jest, że ze sobą nie spiają. Mają tylko jednego Danny'ego.

Myśl o tym, że mamusia może być narażona na zakusy seksualne ojca, napawała Daniela obrzydzeniem. Nie mieściło mu się w głowie, że jego życie poczęło się z cielesnego obcowania tych dwojga.

Nie wiedział do końca, czy ojciec się domyśla, skąd się biorą pieniądze na czesne dla niego, ale przyrzekł sobie solennie, że jak tylko będzie mógł, wynagrodzi mamusi jej poświęcenie. Zresztą nie tylko mamusi, lecz także tej nie znanej mu drugiej babci.

Wielokrotnie pytał mamusię, dlaczego nigdy nie jeżdżą do Walii, nie odwiedzają jej rodziny. Wiedział już, że oboje jej rodzice żyją, że ma żonatego brata, a on, Daniel, ma walijskich braci wujecznych.

Ci ostatni go nie interesowali.. Dość miał swoich irlandzkich kuzynów. Traktowali go jak obcego, odmienca z racji jego walijskiej krwi. Nazywali go walijskim bękartem, a on to znosił, bo poprzysiągł sobie, że nigdy, przenigdy nie uczyni swoją pięścią, z nienawiści, z zemsty, z chęci zadawania bólu, tego, co ojciec robi z mamusią. Że nigdy, przenigdy nie podniesie ręki na drugiego człowieka.

Wytrwał w tym postanowieniu przez trudne początkowe lata w gimnazjum, gdzie był znowu odmiencem wśród uczniów z zamożnych, uprzywilejowanych rodzin. Z początku przezywali go dziadem, w końcu jednak niechętnie go zaakceptowali. A teraz, ze śmiercią ojca, spadło z jego ramion brzemień strachu i gniewu, które dźwigał pospołu z mamusią. Jej strachu i jego gniewu.

Na pogrzebie, patrząc, jak babka głośno szlocha nad utratą ukochanego syna, zastanawiał się, dlaczego on nic nie czuje, najłżejszego wzruszenia. Czy dlatego że nie ma żadnego wspomnienia czułości, do którego by się mógł odwołać w chwili, gdy ciało jego ojca spuszczano do grobu?

Kiedy mogiłę pokryto kwiatami i synowie wzięli pod pachy rozpaczającą babkę, odwróciła się i zasyczała mściwie do mamusi:

- To wszystko twoja wina. Ty go wpędziłaś do grobu swoim zadzieraniem nosa. Nie powinien się być nigdy z tobą zenić. I nie ożeniłby się, tak, nie ożenił, gdybyś go nie wrobiła...

Mamusia wrobiła tatusia? Przecież musiało być akurat odwrotnie. Danielowi nie mieściło się w głowie, żeby jakakolwiek kobieta chciała wyjść za mężczyznę takiego jak jego ojciec. Mimo to czuł się winny i wstyd mu było, że nie dozna żadnego smutku, żadnej żaloby po jego śmierci.

Przez jakiś czas po pogrzebie ich życie biegło dawnym tokiem, tyle że nie kładła się już na nim cieniem obecność ojca. Było im ciężko, lecz mamusia zaczęła się znowu śmiać i śpiewać. W soboty i niedziele, kiedy nie szła do pracy, a Daniel nie miał szkoły, odwiedzali muzea i galerie miejskie, a czasami jechali pociągiem do jakiejś miejscowości w rodzaju Lytham St Anne's, gdzie mu pokazywała frontony rezydencji i otaczające je ogrody. Uśmiechał się pobłaźliwie, gdy mamusia mówiła, że jeśli się będzie nadal tak dobrze uczył, to pewnego dnia zamieszka w podobnym domu.

Jeśli to się kiedykolwiek spełni, to ona będzie mieszkała z nim, obiecywał sobie Daniel. Chciał jej dać wszystko, czego nie dawał tatuś. Chciał, żeby się ładnie ubierała, żeby przestała tak ciężko harować i nie była taka umęczona.

Tak było, dopóki w trzy miesiące po śmierci tatusia, na początku ferii letnich, nie nastąpiła druga śmierć, która odmieniła diametralnie jego życie.

List nadszedł w poniedziałek z samego rana, charakter pisma na kopercie był nieznamy, męski.

To od jej brata, powiedziała mamusia przecinając kopertę, z twarzą raptem pobladłą.

- Umarł twój dziadek... Pogrzeb był w zeszłym tygodniu, a teraz Gareth, twój wujek, pisze, żebyśmy przyjechali. Mamusia mnie potrzebuje. Twoja babcia.

Nic więcej, żadnego dalszego wyjaśnienia, lecz coś w jej głosie ostrzegło Daniela, żeby nie pytać.

Dojechali pociągiem do Aberystwyth, a stamtąd autobusem do małego miasteczka nad Zatoką Cardigańską.

Piękno pagórkowatego wybrzeża hrabstwa Pembroke zapierało dech w piersi Danielowi, który znał widok morza tylko z nabrzeży Liverpoolu i równinnych nieużytków Lytham St Anne's. Jeszcze kiedy autobus zatrzymał się na małym zapyłonym ryneczku i mamusia wstała ze swego miejsca, a on za nią, nie mógł oderwać oczu od widoku za oknami.

Rynek był dziwnie pusty po ruchliwym Liverpoolu i pachnącej spalinami ulicy, na której mieszkali.

Autobus ruszył w dalszą drogę nadbrzeżną szosą. Z miejsca, gdzie stali, schodziła do morza stroma uliczka i w dole widać było port z kutrami rybackimi.

-Tędy.

Mamusia dotknęła lekko jego dłoni. W autobusie, zafascynowany akcentem pasażerów, Daniel uświadomił sobie, że mamusia mówi tak jak oni i że jej mowa staje się tutaj jeszcze bardziej śpiewna, bardziej... bardziej walijska.

Na wąskiej ulicy nie było ludzi, ale tu i ówdzie Daniel

dostrzegał lekkie poruszenia koronkowych firanek w oknach. Mamusia wskazała mu właśnie przejście między dwoma domami, kiedy ulicą nadjechało pędem auto i zahamowało koło nich.

Wyskoczył z niego mężczyzna wzrostu niewiele ponad średniego, o bystrych piwnych oczach i kędzierzawych włosach. Było w nim coś znajomego, lecz dopiero później Daniel uświadomił sobie co. Mamusia wydała dziwny gardłowy dźwięk. Mężczyzna już biegł do nich z otwartymi ramionami i szerokim uśmiechem.

- Gareth - wyszeptła zdławionym głosem. - Tyle czasu. Nie spodziewałam się, że po nas wyjedziesz...

- Spóźniłem się, bo odbierałem piąte dziecko Becky Saunders. Pamiętasz Becky, chodziła z nami do szkoły. Wyszła za Simona Carruthersa. Jego ojciec ma farmę koło Haverfordwest. A to musi być Daniel. No, moim chłopcom wyjdą na wierzch oczy. Ma dopiero szesnaście lat, a jest o dobrą głowę wyższy od nich, chociaż skończyli siedemnaście. Ale wsiadajcie do auta. Mama nie może się doczekać, kiedy was wreszcie zobaczy.

- Jak się ona czuje, Gareth? - usłyszał Daniel głos swojej mamusi.

- Trzyma się dzielnie. Znasz ją i wiesz, że ojciec nie zawsze był łatwy we współżyciu.

- Danielu, siadaj z przodu z wujkiem - poleciła mamusia.

Z wujkiem. A więc ten Gareth to jej brat. Daniel przyjrzał się uważniej. Wsiadając do auta, starał się nie okazać onieśmienia jego luksusem. W rodzinie Ryanów nikt nie miał wprawdzie samochodu, lecz Daniel był otrząskany z widokiem różnych drogich modeli, którymi podrzucano do szkoły jego kolegów gimnazjalnych. Auto wujka Garetha było duże volvo kombi z nowiutkimi tablicami rejestracyjnymi.

- Chciałem cię zawiadomić o pogrzebie, ale mama nie pozwoliła. Powiedziała, że papo by sobie nie życzył.

Daniel usłyszał w jego głosie przepraszającą nutkę i zdziwił się, dlaczego dziadek miałby sobie nie życzyć obecności córki na swoim pogrzebie. Orientował się od dawna, że mamusia jest skłócona ze swoją rodziną, ale nie znając przyczyny i nie mając odwagi jej zapytać, skoro sama nigdy nie poruszała tego tematu, przypuszczał, że łączy się to jakoś z małżeństwem jego rodziców, że zapewne rodzina miała jej to małżeństwo za złe, tak jak rodzina Ryanów jego ojcu.

- Słyszę, że masz zdolnego chłopaka, Megan. Podobno dostał się do ekskluzywnego gimnazjum i zbiera świetne stopnie. Mamusia nam mówiła. Chwali się nim po całym mieście.

Powiedziane to zostało z taką serdecznością, było tak dalekie od jakiegokolwiek wyższości czy drwiny, a uśmiech, jaki mu posłał wujek, tak nie przypominał wrogiego spojrzenia, do jakiego przywykł w oczach tatusia, że Daniel patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, nieświadom myśli, jakie przebiegały przez głowę Garetha Reesa.

Biedny chłopak, myślał Gareth. Lepiej dla niego, że ten

jego ojciec dograł się na swojej budowie. I że papo odszedł. Nie powinien być nigdy potraktować Megan w ten sposób. Gdyby on sam, Gareth, nie był wtedy w Ameryce... No, ale to już przeszłość. John Ryan nie żyje, papo nie żyje, a co do tego chłopca, to chociaż ciemne włosy odziedziczył niewątpliwie po Ryanach, zdaje się, że, szczęśliwie, ma w sobie bardzo niewiele z ojca.

- Wiesz, że przeprowadziliśmy się z Sarą do domu rodziców, kiedy papo przeszedł na emeryturę? Rodzice kupili sobie parterowy domek na nowym osiedlu.

- Tak, mamusia mi pisała. Podobno schody w starym domu stały się zbyt uciążliwe dla taty.

- To prawda. Od lat miał kłopoty z sercem, a ten jego choleryczny temperament także nie wychodził mu na zdrowie. No, jesteśmy w domu.

Wujek zwolnił i skręcił w alejkę obrzeżoną gęstymi krzakami rododendronów. Na jej końcu ukazał się solidny kamienisty dom z dużymi oknami po obu stronach wejścia.

Daniel przyglądał się w zdumieniu. Więc to tutaj wychowała się mamusia? Przypomniawszy sobie ich nędzny domek, z podłogami wyłożonymi popękany linoleum, z rdzawymi zaciekami w wannie i zlewie, z drzwiami frontowymi wychodzącymi prosto na ulicę, a tylnymi prowadzącymi na miniaturowe podwórko.

Ten dom tutaj miał ogromny ogród. Mignęło mu także coś, co wyglądało na kort tenisowy.

Otworzyły się drzwi frontowe i wybiegła z nich szczupła ciemnowłosa kobieta. Ledwo mamusia wysiadła z auta, kobieta wzięła ją w ramiona, po czym poprowadziła ku otwartym drzwiom.

To musi być żona wujka, domyślił się Daniel. Przyjrzał jej się. Była w tym samym wieku co mamusia, może nawet nieco starsza, ale wyglądała tak odmiennie. Po pierwsze była lepiej ubrana, ale co najważniejsze, nie emanowało od niej zmęczenie jak od mamusi. Nie miała jak mamusia paznokci połamanych od szorowania podłóg, jej włosy lśniły zdrowiem.

- Megan, taki szmat czasu! Chodź, mamusia nie może się doczekać. Wysłałam chłopców do kolegi, żebyście się mogli swobodnie rozgościć. Zamieszkacie, oczywiście, u mamy, ale tymczasem...

- Nie zapominaj o młodym człowieku, Saro - wtrącił się wujek.

Położył Danielowi krzepiąco dłoń na ramieniu, jakby zgadując, jak obco, niepewnie i niezręcznie się czuje.

- Oczywiście. Chodź, Danielu. Babcia zamęczała nas tu cały czas opowiadaniem, jaki jesteś zdolny.

Wprowadziła ich oboje do obszernego holu, zagraconego ciężkimi meblami, a stamtąd do słonecznego pokoju, również przeładowanego meblami, ale jakoś ciepłego i przytulnego.

Siedziała tu twarzą do drzwi drobna, ciemnowłosa kobieta. Nie wstała na ich powitanie i Daniel po chwili się zorientował, że siedzi w fotelu inwalidzkim, a jej dłonie są powykęcane i zdeformowane, z opuchniętymi kostkami i stawami.

- Mamo! - usłyszał zdławiony głos swojej mamusi i poczuł łzy w oczach widząc, jak przypada do kobiety unieruchomionej w fotelu.

- Megan, kochana! No, no, po co te łzy. Usiądź koło mnie i powiedz, dlaczego przez szesnaście lat nie przywiozłaś mi swego syna, żebym go poznała.

- Nie mogłam, mamusiu. Nie mogłam, póki żył tato i John...

Głos jej się załamał, a Daniel, na przypomnienie sińców na jej twarzy i lęku w oczach, poczuł nagły przypływ dawnej nienawiści do ojca i do wszystkich mężczyzn, którzy używają przemocy w stosunku do słabszych. Jakim człowiekiem był ten jego dziadek, że nie zainteresował się, jak żyje jego córka?

- Danielu, podejdz, przywitaj się z babcią. Podeszedł posłusznie i stanął przy nich.

- Więc to jest Daniel...

Jasne oczy, tego samego szarego odcienia co jego, mierzyły badawczo jego twarz, jedna z powykręcanych dłoni ujęła go za rękę. Pergaminowa skóra była gorąca w dotyku i Daniel pojął, nie wiedząc jak i skąd, że te spuchnięte stawy promieniają bólem, a za pogodnym uśmiechem kobiety, która jest jego babcią, kryją się długie godziny cierpienia cielesnego i duchowego.

- Dorodny chłopak, Megan. I taki zdolny.

Daniel poczuł, jak się czerwieni z zakłopotania. Na chwilę nie opuszczała go świadomość, że to ciężka praca mamusi i hojność tej babci umożliwiają mu naukę w pierwszorzędnej szkole, a teraz, kiedy chciał jej podziękować, powiedzieć, że rozumie swój dług wdzięczności, nie mógł wykrztusić słowa. Stał tylko, czując się głupio i niezręcznie.

- Zostaniesz na dłużej?

Daniel obrócił się na słowa wujka skierowane do mamusi.

- No, chcielibyśmy...

- Zawsze macie tutaj dom, Megan, wiesz dobrze. Zawsze go mieliście.

Daniel zobaczył, jak mamusia potrząsa głową.

- Nie, mamo, nie mieliśmy, póki żył tato. Nie mogłam... Zawiodłam go tak okropnie, wychodząc za Johna.

- Pokładał w tobie wielkie nadzieje. Chciał, żebyś poszła w ślady Garetha, została lekarką.

Mamusia lekarką? Daniel patrzył na nią wielkimi oczami. Nie przypuszczał, nie przyszło mu do głowy, kiedy spędzała z nim długie godziny pomagając mu w lekcjach i dodając odwagi, że mogła zostać lekarką. Mogła mieć tak wiele, a zamiast tego musiała wyjść za ojca.

Daniel był nie w ciemną bity. Miał szesnaście lat i umiał liczyć. Urodził się w pięć miesięcy po ich ślubie. Serce mu się ścisnęło. Co mamusia czuła, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży i musi wyjść za tatusia? Widać go wówczas kochała, chociaż to trudne do wyobrażenia.

Babcia mówiła coś o herbacie, zanim pojedą do niej, ciocia Sara namawiała, żeby zostali na kolacji, ale Daniel przestał ich słuchać. Podeszedł wyjrzeć przez okno.

- Wszystko w porządku, synu?

Zaskoczył go serdeczny głos i delikatny uścisk wujka.

- Tak, tak. Chciałem tylko zobaczyć, czy stąd widać morze. Tak tu inaczej niż w domu...

- Morze widać ze strychu. Pokażę ci kiedyś. Współczuję ci śmierci tatusia. Nie znałem go...

- Ja go nie żałuję.

Słowa wyrwały mu się gorzkie i piskliwe. Zaczerwienił się i zacisnął pięści, bo uciął koguta. Ta kłopotliwa zmiana głosu, oznaka nadchodzącej męskości, wprawiała go w takie samo zmieszanie, jak inne przejawy dojrzewania.

Wstrzymał dech w obawie, że wujek zacznie go wypytywać. Instynktownie czuł, że mamusia by sobie nie życzyła obnażania przed rodziną wstydliwych stron swego małżeństwa, że duma nie pozwoliłaby jej nigdy przyznać, jakim mężem był John Ryan.

Minął przeszło tydzień, odkąd zamieszkali u babci. Daniel zaprzyjaźnił się przez ten czas serdecznie z bliźniakami wujka Garetha i czuł, że po raz pierwszy znalazł miejsce, w którym jest mile widziany. Na dźwięk podekscytowanego głosu babci podniósł głowę znad stołu kuchennego, przy którym czytał.

- O, idzie Robert Cavanagh. Widać przyjechał do rodziny Nory. Danielu, idź mu otworzyć. Twoje nogi są młodsze od moich.

Wstając Daniel spojrzał przelotnie na mamusię. Jej twarz zrobiła się szara jak kit, zniknęły z niej zupełnie zdrowe rumieńce, których nabrała w ostatnich dniach.

Daniel ze zdumieniem i zachwytem obserwował przemianę, jaką w niej zachodziła. Od przyjazdu tutaj ubyło jej jakby lat. Śmiała się i śpiewała, krzątając po kuchni babci, jej oczy nabrały blasku, poruszała się nawet inaczej, tak jakby z jej barków zostało zdjęte brzemię. A teraz, w przeciągu paru sekund, przemieniła się z powrotem w kobietę, jaką była w Liverpoolu - załęczoną, nerwową, niespokojną. Czemu?

Otworzył drzwi, zanim nadchodzący mężczyzna zdążył zastukać. Był wysoki, ciemnowłosy, o najprzenikliwszych błękitnoszarych oczach, jakie Dawid kiedykolwiek widział. Jego czerstwa, ogorzała twarz człowieka, który pracuje na powietrzu, kontrastowała z ciemnym garniturem i świeżą białą koszulą, które nosił tak, jakby były jego codziennym strojem, ze swobodą, jaką Daniel obserwował u ojców swoich kolegów gimnazjalnych. Nie jest to odświętny strój na specjalną okazję, ocenił Daniel, ten człowiek ma pozycję i pieniądze. Dlaczego jego pojawienie się wprawilo mamusię w taki płoch?

Stała teraz odwrócona plecami do drzwi, obierając kartofle na lunch. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko do babci, po czym zeszytniał lekko na widok mamusi. Zawahał się sekundę, nim podszedł uścisnąć babcię.

- Megan, co za wspańiała niespodzianka - powiedział opanowanym tonem do mamusi. - Nie miałem pojęcia, że wróciłaś.

- Jest tu dopiero tydzień, Robercie. A to jej syn, Daniel.

- Dzień dobry, Danielu!

Mocny uścisk dłoni, męski uśmiech i krótkie chłodne spokanie oczu powiedziały Danielowi wiele, lecz równie wiele zostawiły nie dopowiedzianego. Widać, że ten człowiek jest bystry i ostrożny. Daniel nie wyczuł w nim nic z gorąckrwi-
stej porywczosci ojca. Nie ulegało wątpliwości, że babcia go bardzo lubi, więc Daniel zachodził w głowę, skąd te fale strachu, które czuł, emanujące niemal namacalnie od mamusi, odwróconej uporczywie plecami.

Robert Cavanagh nie pozostał długo, tylko tyle, żeby złożyć babci kondolencje i odmówić wypicia proponowanej herbaty.

Spędził w domu nie więcej niż dziesięć minut, a przez cały ten czas mamusia, chociaż skończyła obieranie kartofli niedługo po jego przyjsciu, udawała, że jest zajęta przy zlewie. Nie pozwoliła się również wciągnąć w rozmowę, zauważył Daniel, mimo prób zarówno ze strony gościa, jak i babci. Dopiero kiedy wyszedł, odezwała się głosem głuchym i twardym, który zabrzmiał niemiłym dysonansem we wrażliwych uszach Daniela.

- A gdzie jego żona? Odwiedza bez niej jej rodzinę?
- Mój Boże, nie mówiłam ci, Megan? Biedaczka Nora nie żyje. Miała ostatnio coraz częstsze nawroty swojej choroby. Zdarzyło się to, kiedy była na leczeniu w szpitalu. Wymknęła się jakoś i wybiegła prosto pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Zginęła na miejscu. Oczywiście, Robert wyrzucał sobie, że to jego wina, ale cóż mógł poradzić? Był zawsze najlepszym mężem. Wielu mężczyzn na jego miejscu dawno by rzuciło kobietę w jej stanie. Nigdy nie była już sobą po śmierci dziecka. Ileż to razy, kiedy tutaj mieszkali, Robert wzywał do niej w nocy twojego ojca. A takie z niej było ładne stworzenie, kiedy się pobierali, i tacy byli obydwój młodzi.

Kiedy zostali sami, Daniel zapytał mamusię, co właściwie dolegało żonie pana Cavanagha. Czego naprawdę chciał się dowiedzieć, to czemu jego pojawienie się wprawilo mamusię w taki popłoch. I dlaczego on jeden zdawał się to dostrzegać?

Wujek zabrał ich tego dnia do siebie na herbatę i kiedy babcia napomknęła o wizycie Roberta Cavanagha, oboje, wujek Gareth i ciocia Sara, zaczęli go głośno wychwalać.

Okazało się, że jego ojciec był miejscowym budowniczym, a Robert, odziedziczywszy po nim firmę, rozwinął ją tak znacznie, że w końcu musiał się przenieść do Cardiff, gdzie prowadzi mu się znakomicie.

- Ale nie zapomniał o rodzinnym mieście - skomentowała ciocia. - Kiedy trzeba było wymienić dach na kościele, Robert przysłał swoją ekipę i wykonał robotę na dobrą sprawę za darmo.

Wieczorem, kiedy wrócili do babci, mamusia opowiedziała Danielowi cichym głosem historię żony Cavanagha.

- Urodziła dziecko, ładniutką dziewczynkę. Miałam może piętnaście lat w tym czasie. Robert i Nora mieszkali tu wtedy. Ona była śliczną dziewczyną, lubiła się zawsze pośmiać, pożartować z chłopcami. Niektórzy uważali, że jest trochę flirtiarą. Któregoś dnia wzięła wózek z dzieckiem i poszła się

przejsz po klifie. I spotkała tego chłopca, przypadkowo czy nie, nie wiem. Zagadali się i Nora postawiła wózek zapomniawszy widać włączyć hamulec, bo nim się zorientowali, zaczęła się staczać ku przepaści. Rzucili się go zatrzymać, ale było za późno. Klif ma tu dobre siedemdziesiąt metrów, w dodatku fala była wysoka. Jednym słowem, maleństwo nie miało najmniejszych szans... Odmieniło to Norę nie do poznania. Zaczęła się snuć nocami po klifie, załamała się zupełnie. Robert musiał ją umieścić na jakiś czas w szpitalu dla nerwowo chorych. - Mamusia pokręciła lekko głową. - To straszna rzecz dla kobiety, takie coś. Biedaczka. Mam nadzieję, że Bóg pozwolił jej zaznać spokoju choć po śmierci.

- A Robert... pan Cavanagh... jak to przyjął?

- Był zrozpaczony, szalał za małą. Ale dla mężczyzny to nie to samo...

- A nie mieli więcej dzieci? - chciał wiedzieć Daniel. Mamusia potrząsnęła głową.

- Nora nie mogła mieć więcej dzieci. Coś się wydarzyło podczas pierwszego porodu i lekarze jej to powiedzieli. Dlatego był to dla niej podwójny cios.

Dopiero później Daniel uświadomił sobie, że ta rozmowa stanowiła punkt zwrotny w jego życiu. Mamusia zaczęła go traktować jak równego sobie, dorosłego mężczyznę, nie dziecko. Z odejściem z ich życia tatusia stał się jakby ojcem rodziny.

Wspominając później to lato spędzone w Walii, Daniel zawsze uważał, że było jednym z najszcześniejszych w jego życiu.

Jego wujeczni bracia, bliźniacy Andrew i Anthony, chociaż blisko dwa lata od niego starsi, przyjęli go z otwartymi ramionami. W miasteczku nie było gimnazjum, nie mieli tu wielu rówieśników, ich najbliżsi koledzy mieszkali w Aberystwyth.

Skądś znalazł się dla Daniela rower i jeździli tam niekiedy we trzech na spotkanie z paczką ich kolegów. Spędzali popołudnia, gapiąc się na dziewczęta na plaży i na mołu, zaczepiając je od czasu do czasu i zastanawiając się niefrasobliwie, co by zrobili, gdyby im się poszczęściło uzyskać odpowiedź którejś z nich na ich słowne wyzwania.

W końcu, ku zdziwieniu samego Daniela, zrobiło się tak, że to on budził największe zainteresowanie w grupie dziewcząt, które przychodziły nad morze pod pretekstem plażowania, a w rzeczywistości dla spotkania się i przekomarzania z chłopcami.

W cieniu pod mołem zaznał pierwszego niezdarnego pocałunku, innym razem doświadczył pierwszego niepewnego i nieco żenującego dreszczyku niezręcznego szamotania się z odzieżą dziewczyny, która go pouczała, trzepocząc się w jego ramionach:

- Nie, nie tak... To się rozpina tutaj, widzisz?

Może ze względu na swój wzrost i szerokie bary, może ze względu na głos, który mu ostatecznie pogrubiał i zrobił się męski, może ze względu na pierwszy zarost, który mu ocieniał, szczęki, a może po prostu dlatego, że wszyscy traktowali go i jak rówieśnika starszych od niego bliźniaków, brano go na

ogół za mającego więcej niż szesnaście lat. Po raz pierwszy w życiu zaznał prawdziwej akceptacji i rozkwitał w jej promieniach, szybko ucząc się odpowiadać na przekomarzenia dziewcząt, szybko wyzbywając się ostrożności i lęku wyniesionego ze współżycia z ojcem.

Kiedy pod koniec lata wrócił z mamusią do Liverpoolu, był ładnie parę centymetrów wyższy i szerszy w barach, miał mięśnie twarde od wiosłowania łodzią bliźniaków i opaleniżnę od całodziennego przebywania na powietrzu, no, i naprawdę musiał się zacząć golić, choć na razie niezbyt często.

Brakowało mu kuzynów, tęsknił do Walii, a dni w szkole dłużyły mu się niemożliwie. Zawsze dotąd trzymał się na dystans od kolegów, wiedząc, że się od nich różni, że jest ledwo tolerowany, bo nie ma zamożnych, wykształconych rodziców, lecz pobyt w Walii dodał mu pewności siebie, uświadomił, że jego zaplecze rodzinne nie ogranicza się do świata Ryanów. Miał dziadka lekarza, ma wujka lekarza, mamusia też mogłaby być lekarką, nie musi się więc wstydzić swego pochodzenia.

Babcia wymogła na mamusi obietnicę, że przyjadą ponownie do Walii na Boże Narodzenie, jednakże na długo przedtem, w połowie semestru, zjawił się nieoczekiwany gość.

Kiedy wróciwszy pewnego dnia ze szkoły, zastał w kuchni Roberta Cavanagha, rozmawiającego z mamusią, jego pierwszym odruchem było iść jej z pomocą, nieoczekiwanie jednak zamiast strachu dostrzegł malującą się w jej oczach radość. Stała obrócona do tego mężczyzny, z twarzą zaróżowioną i podekscytowaną, z włosami, które zaczęła inaczej czesać, podkreślając jej ładne rysy. Odmłodziła ostatnio i robiła wrażenie szczęśliwszej, w domu pojawiły się też oznaki pewnej zasobności, dzięki pomocy wujka Garetha, jak się domyślał Daniel.

On sam również pracował w weekendy, uzupełniając towar na półkach miejscowego supersamu, a lwią część zarobionych pieniędzy, wbrew jej protestom, oddawał mamusi.

- Danielu! - Robert Cavanagh wyciągnął do niego z uśmiechem rękę, po czym wyjaśnił, że jest w interesach w Liverpoolu i pozwolił sobie ich odwiedzić. - Właśnie mówiłem twojej mamusi, że chciałbym was oboje zabrać gdzieś na obiad.

Robert Cavanagh przebywał w Liverpoolu przez tydzień i co wieczór dokądś ich zabierał. Daniel widział, że mamusia go lubi. Sztywniała, a jej twarz się chmurzyła tylko wówczas, gdy Robert przypadkiem wspomniał jego ojca.

W przeddzień odjazdu Cavanagh przyjechał po Daniela do szkoły. Ujrzawszy go niespodzianie, czekającego w ciemnoczerwonym jaguarze, Daniel zawahał się przez chwilę, czy skorzystać z zaproszenia i wsiąść do auta.

- Chciałem z tobą porozmawiać w cztery oczy, Danielu.

Jak mężczyzna z mężczyzną. Kocham twoją mamę i chcę się z nią ożenić. Nie oświadczyłem się jej jeszcze, chciałem najpierw porozmawiać z tobą, żebyś znał moje zamiary. Jesteś dobrym chłopcem, Danny, i jeśli się pobierzemy z twoją mamą, będziesz mi jak własny syn. Wiem, że nie miałeś łatwego życia ze swoim ojcem, i rozumiem, że możesz sobie nie życzyć drugiego mężczyzny w życiu mamusi. Ryanowie nie traktowali jej tak, jak na to zasługuje. Wracam jutro do domu, ale zobaczymy się znowu, kiedy przyjedziecie na Boże Narodzenie. Nie będę przedtem z nią rozmawiał. Nie chcę jej zaskakiwać, rozumiesz?

- A jeżeli sobie nie życzę, żeby pan się ożenił z moją mamą? - zapytał sztywno Daniel.

Robert obrócił się do niego na siedzeniu, z twarzą poważną i surową.

- Masz do tego prawo, Danny, ale ja nie proszę o twoje pozwolenie. To ona będzie musiała zdecydować tak czy inaczej. Kiedy będziesz już dorosłym mężczyzną, zrozumiesz, że kiedy mężczyzna kocha kobietę tak jak ja twoją mamusię, jest ona dla niego ważniejsza niż cokolwiek pod słońcem. Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, Danny, ale od ciebie będzie zależało, czy tak się stanie...

Mamusia wyszła za Roberta Cavanagha na wiosnę. Robert kupił jej dom na przedmieściach Cardiffi zostało uzgodnione, że Daniel, który zrobił małą maturę, zaliczając z dobrym wynikiem dziesięć przedmiotów, przeniesie się na ostatnie dwa lata do szkoły w Cardiff, gdzie zrobi maturę. Tym razem jednak będzie uczniem płacącym pełne czesne.

Rozpocząło się dla nich wszystkich nowe życie, a Daniel miał co do niego mieszane uczucia. Lubił Roberta Cavanagha, lecz zarazem żywił do niego jakby żal... żal o jego zażyłość z mamusią. Miał mu za złe sposób, w jaki jej twarz się odprężyła i rozjaśniła na jego widok. Jest o nią zazdrosny, uświadomił sobie. Przyznawał, że jego reakcje są irracjonalne, nie potrafił ich jednak powściągnąć.

Pierwsze lato nowego małżeństwa mamusi spędził u babci. Bliźniacy zaczęli w tym roku studiować medycynę w Saint Andrews, ale przyjechali na wakacje do domu i we trzech, ze znacznie większą zręcznością i determinacją, wyprawiali się na połów dziewcząt na zaskakująco zasobnych wodach Aberystwyth.

Dzięki usilnym zabiegom pewnej uczennicy miejscowej szkoły zakonnej Daniel wyszedł ze stadium nieporadnego raczkowania w dziedzinie miłosnej. Na siedemnaste urodziny Robert dał mu w prezencie małe auto, więc podczas pobytu u babci przeznaczył część zarobionych pieniędzy na opłacenie nauki jazdy.

Wujostwo zabrali go wraz z bliźniakami na trzy tygodnie kempingowania w Bretanii i tu po raz pierwszy poznał przyjemności i niebezpieczeństwa flirtów z cudzoziemczkami. Dojrzywał szybko, lecz w przeciwieństwie do bliźniaków nie bardzo wiedział, co chce robić po ukończeniu szkoły. Nosił się z myślą studiowania ekonomii, ale na tym jego plany się

kończyły.

Robert proponował mu wejście do jego firmy, która prosperowała i rozwijała się, Daniel chciał być jednak niezależny. Ponadto myśl o pracy w budownictwie kojarzyła mu się niemile z ojcem, z jego agresywnością i awanturnictwem.

Wrócił do Cardiff dwa dni przed zapowiedzianym terminem, bo bliźniacy postanowili wyjechać wcześniej do Saint Andrews, żeby wziąć udział w fuksówce na powitanie nowego roku akademickiego. Otworzył drzwi własnym kluczem, który Robert mu wręczył, gdy tylko się wprowadzili do nowego domu.

Mamusia była zachwycona domem. Został on zbudowany pod koniec ubiegłego stulecia przez pewnego potentata kolejowego. Miał okna wychodzące na morze, wysokie kwadratowe pokoje z mnóstwem słońca i wielki ogród, w którym mamusia lubiła pracować w pogodne dni.

Teraz to ona była panią najmującą sprzątaczkę, zamiast sama się zajmować do sprzątnięcia cudzych domów. Przychodził również dwa razy w tygodniu ogrodnik, żeby pleć grządki i ścinać trawę. Mamusia wydawała się teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek za pamięci Daniela, a jednak czasami w chwilach zamyślenia dostrzegał w jej oczach niepewność i smutek, które go niepokoiły.

Nadal nie był pewien swoich uczuć w stosunku do Roberta. Istniała między nimi jakaś niezręczność, jakaś bariera, której Daniel nie próbował przełamać.

Nie, żeby nie lubił Roberta; lubił go tak bardzo, że czasami ciążyło mu poczucie winy, iż woli go od rodzonoego ojca.

W holu wisiał zapach róż, których olbrzymi bukiet stał w wazonie na stoliku. Daniel uśmiechnął się na ten widok. Mamusia wyznała mu kiedyś, że możliwość kupowania wciąż świeżych kwiatów stanowi dla niej szczyt luksusu.

Zostawiwszy w holu walizkę, wchodził na górę, żeby się wykapać i przebrać, kiedy w przejściu usłyszał z pokoju mamusi dźwięk, od którego zamarł.

Najpierw był to jej cichy, bolesny jęk, potem jakieś niezrozumiałe słowa Roberta, wreszcie udręczony krzyk mamusi, gardłowy odgłos śmiertelnej męki.

Nie zastanawiając się szarpnął drzwi i wpadł do pokoju, z jedną myślą w głowie. Robert krzywdzi jego matkę, krzywdzi ją tak, jak niegdyś ojciec.

Robert leżał z mamusią na łóżku, jego gołe ciało było muskularne i opalone, z wyjątkiem jaśniejszych pośladków. Obrócił głowę do drzwi, osłaniając równocześnie sobą ciało mamusi, zorientował się Daniel. I zaraz pojął resztę.

Robert nie robił mamusi krzywdy, tylko się z nią kochał... A te dźwięki, które go zaalarmowały... Daniel miał już dosyć doświadczenia seksualnego, by wiedzieć, że rozkosz wydziera

czasami z gardła odgłosy dziwnie podobne do cierpienia.

Czując, jak policzki płoną mu ze wstydu, mamrocząc ja-

kieś nieartykułowane usprawiedliwienia, wycofał się z pokoju-

Mamusia i Robert... Wiedział, oczywiście, ale spychał tę wiedzę gdzieś w głąb świadomości, wołał się oszukiwać, że ich małżeństwo ogranicza się do koleżeństwa i przyjaźni, mimo że Robert mówił mu, jak bardzo ją kocha. Wpadłszy do swego pokoju, stwierdził, że cały drży, że zbiera mu się na mdłości. Czuł się oszukany, zdradzony, głęboko wstrząśnięty zetknięciem z tym przejawem potrzeb seksualnych mamusi i zawstydzony własną głupotą.

Niezdolny do spojrzenia w oczy matce ani Robertowi, wybiegł i włóczył się do późnej nocy po Cardiff.

Wrócił późno, ale w holu i w salonie paliło się światło. Na odgłos otwieranych drzwi z salonu wyszedł Robert i oznajmił spokojnie:

- Chciałbym z tobą zamienić parę słów, nim pójdziesz spać, Danny.

Robert jest jedynym człowiekiem, który nazywa go Dan-nym, jakby był wciąż małym chłopcem, zżymał się w duchu Daniel, wchodząc za nim do salonu.

- Wracając do dzisiejszego popołudnia - zaczął agresywnie - myślałem...

Urwał i potrząsnął w zakłopotaniu głową, niezdolny przyznać, co myślał, żeby nie wyjść na jeszcze większego dumnia.

- Co myślałeś, Danny? Że maltretuję twoją matkę, tak jak to robił John?

Daniel poczuł, jak twarz nabiega mu krwią. Nie mógł spojrzeć Robertowi w oczy, czuł się napiętnowany tym samym grzechem co ojciec, skażony tą samą porywcznością, niezdolnością panowania nad swoimi reakcjami, nad swoją siłą, żeby nie skrzywdzić kogoś słabszego.

- Wiem wszystko o tym, jak John się znęcał nad twoją mamusią.

- Nie mogłem go powstrzymać... Chciałem i bałem się... Daniel umilkł, sam nie wiedząc, jak mu się wyrwały te słowa, uświadamiając sobie dopiero w tej chwili, jak bardzo go dręczy to, że nie potrafił jej obronić.

- Oczywiście, że go nie mogłeś powstrzymać. Zresztą...

Daniel nie zauważył, że Robert się zbliżył, dopóki nie poczuł na ramieniu jego uścisku, tak jakby tamten rozumiał.

- I może lepiej, że nie próbowałeś interweniować. To by pewnie tylko pogorszyło sytuację. Zresztą, to nie była wyłącznie wina Johna, ja też byłem winien. Podejdz i usiądź, Danny. Chcę ci coś powiedzieć. Coś, co powinniśmy ci byli powiedzieć, nim się pobraliśmy. Ale chciałem mieć więcej czasu... Chciałem, żebyś mnie lepiej poznał, nim mnie zaczniesz osądzać...

Daniel patrzył na niego wielkimi oczami, nie rozumiejąc, o czym Robert mówi i czemu ma taką poważną minę.

- Wiesz, że byłem żonaty, zanim poznałem twoją mamusię?

- Wiem.

- Otóż po śmierci dziecka Nora, moja żona, załamała się nerwowo i lekarz uważał, że dobrze jej zrobi, jeśli powróci na jakiś czas do rodziców. Przeprowadziła się do nich, a ja zamieszkałem sam przy biurze. Znałem trochę twoją mamusię, bo chodziliśmy z Garethem do jednej klasy. Przyszedł z nią któregoś dnia do naszego biura, miał jakąś sprawę, ale ja widziałem tylko ją. Skończyła dopiero siedemnaście lat i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkałem w życiu. I taką nieśmiałą! Ale kiedy się uśmiechnęła... To była taka rozkosz wywoływać uśmiech na jej twarzy, że nie bardzo słuchałem, co mówi Gareth, a ponieważ ją zostawił i poszedł jeszcze załatwić coś na mieście, zaproponowałem, że ją odprowadzę i dowiem się przy okazji, o co mu właściwie chodziło. Po drodze Megan mi powiedziała, że będzie zdawać na medycynę. Chodziła wtedy do szkoły w Aberystwyth. Tam poznała twojego ojca, który pracował przy budowie drogi. Wpadła mu w oko i męczył ją tak długo, aż się z nim umówiła na kawę. Bała się go chyba już wówczas. Kiedyśmy się pożegnali, nie mogłem przestać o niej myśleć. Co gorsza, zacząłem pod różnymi pretekstami zachodzić do domu twoich dziadków, żeby ją tylko zobaczyć. Powiedziała, że lubi piesze wycieczki, więc uprosiłem twoją babcie, żeby mi ją pozwoliła zabrać na całodniową wędrówkę nadmorską szlakiem z St David's. Był upalny letni dzień, powietrze takie nieruchome, niebo takie błękitne... Nie umiem ci wytłumaczyć, dlaczego zrobiłem rzecz, której nie powinienem był nigdy zrobić... Megan była jeszcze dzieckiem, a ja byłem dorosłym mężczyzną, w dodatku żonatym... Ale kiedy ją pocałowałem, odwzajemniła się tak słodko, że zupełnie straciłem głowę... Robert zamilkł na chwilę.

- Nie miałem zamiaru się z nią kochać. Przysięgam ci... Chciałem tylko patrzeć, jak się uśmiecha... Potem byłem zupełnie zdruzgotany tym, co zrobiłem, oszołomiony własnymi doznaniem... Uważałem się za mężczyznę doświadczonego, miałem przed ślubem parę dziewczyn. Chciałem jej po-

wiedzieć, jak bardzo ją kocham, jak bardzo jej pragnę, ale jakże mogłem? Odprowadziłem ją do domu, z postanowieniem, że przyjdę następnego dnia, że wytłumaczę... Ale tego wieczoru zadzwoniła matka Nory, że Nora próbowała popełnić samobójstwo i jest w szpitalu. Musiałem oczywiście do niej pojechać. Była bardzo chora, na ciele i na duchu, i lekarze radzili, żebym ją zabrał dokądś, gdzie będzie daleko od wspomnień. Pojechaliśmy na cztery miesiące do południowej Francji. Kiedy wróciłem, twoja mamusia była już żoną Johna Ryana i plotka głosiła, że się spodziewa dziecka...

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

- Uświadomiłem sobie wtedy, jak bardzo ją kocham - podjął zdławionym głosem Robert. - Chyba jej wówczas nie nawidziłem za to, że się związała z innym mężczyzną. Nie pytałem o szczegóły, kim jest ten człowiek, jak go poznała... Dopiero później się dowiedziałem, że twój dziadek sprzeciwiał się ze wszystkich sił temu małżeństwu i uległ dopiero, kiedy Megan mu powiedziała, że jest w ciąży. Uległ, ale poprzysiągł, że nie zamieni z nią słowa do końca życia. Taki już był, surowy, nieustępliwy, a Megan była jego ukochanym dzieckiem... W późniejszych latach dochodziły mnie jakieś okrucieństwa wiadomości o twojej mamusi. Starłem się nie słuchać. Nie mogłem znieść myśli, że jest szczęśliwa z kimś innym. Czas łagodzi ból, ale nie jest w stanie usmierzyć go całkowicie... Potem zginęła Nora, umarł John. I kiedy wszedłem tego dnia do kuchni twojej babci i zobaczyłem twoją mamusię, zrozumiałem, że nigdy jej nie przestałem kochać...

- Ale ona tak się pana przestraszyła.

- Nie mnie, Danny - powiedział łagodnie Robert. - Przestraszyła się, że wystarczy mi jeden rzut oka na ciebie i będę wiedział, że nie jesteś synem Johna Ryana, tylko moim.

Pokój zawirował Danielowi przed oczami. Wydał widać jakiś dźwięk, bo poczuł na ramieniu uścisk Roberta. Słyszał jak przez mgłę jego głos, zdławiony z emocji:

- Przepraszam cię, synu. To dla ciebie wstrząs, wiem. Dla mnie to też był wstrząs dowiedzieć się, że Megan cierpiała rozpaczliwie przez tyle lat, żeby mnie chronić. Że poślubiła Johna Ryana, bo zaszła ze mną w ciążę, a wiedziała, że skandal złamałby mi życie. Usiłuję sobie wmawiać, że gdybym o tym wiedział, tobym zrobił, co należy. Rozwiódłbym się z Norą i ożenił z nią. Oczywiście, chciałbym to uczynić, ale jak mówi twoja mama, jakżebym mógł opuścić biedną Norę? Jak pomyślę, ile Megan przeze mnie wycierpiała... ile ty wycierpiałeś... Ale ty jesteś moim synem, Danielu, nie masz w sobie nic z Johna Ryana, jesteś moim synem...

Jest synem Roberta! Wstrząs był zbyt wielki, by Daniel mógł szybko ochłonać, ale jakoś dziwnie nie miał odruchu protestu, nie czuł rozpaczliwej niezdolności uwierzenia w to, co usłyszał. Czuł raczej, że oto spada mu z ramion brzemień strachu, że odtąd nie będzie się już nigdy musiał obawiać, iż drżenie w nim porywczosć i okrucieństwo, odziedziczone po Johnie Ryaniu. A równocześnie przenikał go ból i zamęt, ból, że to z jego powodu mamusia dźwigała krzyż tego małżeństwa, i zamęt, że całe jego wyobrażenie o sobie i swoim po-

chodzeniu oparte było na kłamstwie, że wcale nie jest Ryanem... że jest Cavanaghiem... że jest kimś obcym dla samego siebie.

- Nie sądz mnie zbyt surowo, synu. Wszyscy robimy w życiu rzeczy, których potem żałujemy, działamy czasem pochopnie, bez zastanowienia. Najbardziej wstydę się tego, że sprowadziłem na Megan tyle cierpienia, że przez tyle lat musiała dźwigać brzemień mojego grzechu. Bo to, że jestem ojcem jej dziecka, uważam za jeden z najcudowniejszych uśmiechów losu w moim życiu, a to, że tym dzieckiem jesteś ty, Danny, za jeden z jego najwspanialszych darów. Nie proszę cię, żebyś mnie pokochał, bo niby dlaczego miałbyś mnie kochać? Mnie jest znacznie łatwiej kochać ciebie jako syna, bo jestem twoim ojcem, Danny. I przysięgam ci, że uczynię wszystko, by oszczędzić twojej matce najmniejszego bólu, najmniejszej przykrości...

A więc jest synem Roberta. Nie Johna Ryana, tylko Roberta. Nie jest Ryanem, tylko Cavanaghiem. W jego żyłach nie płynie pół krwi irlandzkiej, a drugie pół walijskiej, tylko sama krew walijska.

Leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami, Daniel usiłował przetrwać to, co usłyszał. Wątpił, czy kiedykolwiek zdoła przejść nad tym do porządku dziennego.

Scotta McLarena, a przez niego Sage, poznał Daniel w Alcester, podczas podyplomowych studiów inżynierii lądowej i wodnej.

Ukończył już wówczas z chwalebny wyróżnieniem ekonomię, ale kilka lat wakacyjnej pracy u Roberta uświadomiło mu, że jakkolwiek się przed tym początkowo bronił, budownictwo kryje w sobie coś, co go pociąga.

- Masz to widać we krwi - skomentował krótko Robert, kiedy Daniel mu zakomunikował, że zmienił zdanie i chciałby pracować w firmie.

Żyli teraz ze sobą bliżej, może nie jak ojciec z synem, na pewno nie tak blisko jak wujek Gareth ze swymi bliźniakami, lecz jak dwu mężczyzn, których charaktery się nie kłócą i którzy się nawzajem szanują. Decyzję podjęcia dodatkowych studiów inżynierskich Daniel uzgodnił z Robertem, który rozszerzył ostatnio działalność firmy na budowę wielkich centrów biurowych i handlowych, a chciał ją następnie rozciągnąć na budowę dróg i mostów, i planował, że Daniel kiedyś * obejmie nadzór nad tą ostatnią dziedziną.

Kiedy Daniel przyjechał do Alcester na pierwszy rok studium podyplomowego, jedyny, jaki miał spędzić na samym uniwersytecie, przed dwoma dalszymi latami stażów i praktyki w terenie, był o parę lat starszy od większości kolegów i cechowała go dojrzałość umysłu, która mu pozwalała dobrze maskować wewnętrzną wrażliwość i niepewność.

Jakkolwiek nigdy nie przyszło mu żałować, że jest synem

Roberta Cavanagha, a nie Johna Ryana, nosił ciągle w duszy jątrzącą się ranę, nierozumne uczucie żalu i gniewu, na które nie pomagały żadne logiczne tłumaczenia. A ponieważ świadomość tego przyprawiała go o poczucie winy, wolał to ignorować, trzymać pogrzebane pod warstwami zdobywanej wiedzy i doświadczenia, z których budował swoją osobowość.

Będąc na pierwszym roku ekonomii przeżył namiętny i burzliwy romans z koleżanką, jednakże kiedy ta zaczęła nalegać na zalegalizowanie związku, jął się wycofywać, niezdolny do trwałego zaangażowania się. Choć nadal bardzo jej pożądał, stwierdził, że nie ma ochoty wiązać się na stałe z obawy, czy nie będzie go to zbyt wiele kosztowało, czy się nie okaże, że pragnęła wcale nie jego takiego, jakim jest, lecz całkiem innego mężczyzny.

Zdawał sobie sprawę, że jego opory wynikają z pamięci, iż mamusia wyszła za Johna Ryana bez miłości, i chociaż rozumiał jej motywy, a nawet podziwiał w pewnym sensie to, co uczyniła, pozostawiło mu to niejasną podejrzliwość w stosunku do płci pięknej, świadomość kobiecej dwulicowości i męskiej nieumiejętności jej przejrzenia.

Scotta poznał w kółku dyskusyjnym, do którego obaj należeli. Scott był studentem pierwszego roku, który po raz pierwszy znalazł się dłużej poza domem, i Daniel czuł, że gnębi go nostalgia. Bardzo szybko dowiedział się wszystkiego o wielkim ranchu hodowli owiec, które jego ojciec prowadzi w Australii, o tym, jak Scottowi nawinęła się okazja skorzystania z wymiany, którą miejscowy uniwersytet nawiązał z uniwersytem brytyjskim, i jak jego ojciec nie chciał początkowo słyszeć o tym projekcie, ale w końcu uległ.

- Rozumiesz, brak mi staruszka. Zostaliśmy tylko my dwaj, mama umarła niedługo po moim urodzeniu. Była Angielką, tatuś ożenił się z nią, kiedy odbywał swoją wielką podróż po Europie.

Daniel wynajmował w Alcester mały domek, Scott natomiast mieszkał w jednym z akademików.

Daniel nigdy się nie dowiedział, jak Scott poznał Sage, przypuszczał, że na uniwersytecie. Zwróciło natomiast jego uwagę, że wkrótce po poznaniu jej Scott nie wypowiedział jednego zdania, które by nie zawierało jej imienia. Daniel był od niego o trzy lata starszy i na tyle doświadczony, jeśli nie cyniczny, że lekko go bawiło oczywiste zadurzenie młodszego kolegi.

Jak dotąd nie poznał tej dziewczyny, ale podejrzewał, że owo uosobienie wszelkich cnót okaże się jeszcze jedną niedoświadczoną studenteczką pierwszego roku, obleczoną w długą nieforemną suknię z rodzaju preferowanych ostatnio przez większą część żeńskiej populacji uniwersytetu. Jest przypuszczalnie chudą sierotką, skoro Scott wyraża się o niej ustawicznie w kategoriach sugerujących bezradność i wrażliwość. Ma pewnie bladą cerę i przyciemnione powieki, a studiuje coś artystycznego i bezużytecznego życiowo.

Kiedy ją wreszcie poznał, zaskoczyło go, jak bardzo się mylił.

Przede wszystkim uderzyła go burza jej kasztanowych włosów, powiewających niesfornie na wietrze, gdy Scott go zauważył na głównej ulicy Alcester i pociągnął w jego kierunku swoją wyraźnie niechętną towarzyszkę.

Kiedy podała mu rękę, stwierdził, że jej uścisk jest nadszpedziewanie silny, palce długie i szczupłe, przegub pełny i formny. Okazała się też wyższa, niż się spodziewał, może dziesięć centymetrów mniejsza od Scotta, który był z kolei tylko o parę centymetrów niższy od jego metra osiemdziesięciu ośmiu centymetrów. Nie była też obleczona w długą nieforemną suknię.

Zauważył ponadto z niejakim rozbawieniem, że bynajmniej nie przypadł jej do gustu, chociaż starała się z widocznym wysiłkiem poskromić skądinąd wojownicze, jak podejrzewał, spojrzenie swoich niezwyklej oczu. Zdziwiła go nie po raz pierwszy przewrotność natury ludzkiej, która kazała komuś tak spokojnemu, tak zorganizowanemu, tak miłującemu porządek jak Scott zakochać się w dziewczynie o charakterze, nie miał co do tego wątpliwości, równie rozwichrzonym jak jej czupryna. Nawet jej zęby były niepokojąco ostre, a pozorna miękkość pełnych warg mogła zwieść tylko niewprawne oko, chcące się w niej dopatrywać delikatności i uległości. Daniela to nie zwiodło. Od razu wiedział, że nie jest ona odpowiednią towarzyszką dla Scotta, chociaż jawnie go uwielbia.

Zorientowawszy się po jej spojrzeniu, że chce mieć Scotta na swoją wyłączną własność i bynajmniej nie życzy sobie towarzystwa osób trzecich, rzucił od niechcienia:

- Szedłem właśnie „Pod Koronę”. Może ze mną pójdziesz?

Bez patrzenia na nią wyczuł jej gniew. Scott, nic nie zauważając, przyjął skwapliwie propozycję.

- Świetnie. Sage chciała się właśnie czegoś napić.

Sage. Szałwia. Daniel z trudem powstrzymał śmiech. Ktośkolwiek wymyślił jej takie imię, musiał się później dziwić samemu sobie. Czy też może wbrew nadziei liczy nadal, że to imię będzie działało mitygująco na niesforny charakter, jakim ją los obdarzył?

Nie, stanowczo nie była w jego guście i Daniel mógł się tylko dziwić zaślepieniu Scotta, który nie widzi, jaka ta dziewczyna jest naprawdę.

On sam wolał kobiety bezkonfliktowe i powściągliwe, w miarę możliwości blondynki, z powłóczką chłodnego poluru, wynikiem wychowania w zamożnym burżuazyjnym środowisku. Typowe upodobanie chłopaka z proletariackiej rodziny, wychowanego przez ulicę, drwił często z samego siebie, chociaż się okazało, że wcale takim chłopakiem nie jest, że jest synem człowieka, o którym nawet najpoważniejsze gazety zaczynają pisać na kolumnach finansowych jako o jednym z najruchliwszych i najrzęczniejszych inwestorów w przemyśle budowlanym ostatniej dekady.

Robert był obecnie milionerem, przynajmniej na papierze, i Daniel cieszył się wszystkimi zewnętrznymi akcesoriami

i luksusami życia syna człowieka o jego pozycji społecznej. Resztek swego liverpoolskiego akcentu wyzbył się już w ostatnich dwóch latach nauki w gimnazjum. Za pracę w czasie wakacji Robert płacił mu dobrze, a ponadto wysyłał go w parotygodniowe podróże zagraniczne, oficjalnie po to, żeby się zapoznał z metodami budownictwa w innych krajach. Dzięki temu Dawid poznał Francję, Niemcy, Hiszpanię i Włochy, a ostatnio również Stany Zjednoczone i Kanadę.

Oprócz opłaty czesnego Robert wyznaczył mu hojne kieszonkowe, a na dwudzieste pierwsze urodziny, w miejsce auta ofiarowanego cztery lata wcześniej, kupił mu zielonego wyścigowego morgana brytyjskiej produkcji, który stał obecnie w garażu w Cardiff. Daniel używał go tylko w letnich miesiącach, teraz zaś, w połowie trymestru jesiennego, jeździł małym BMW, które odziedziczył po mamusi, kiedy Robert kupił jej nowy wóz.

Należał niewątpliwie do studentów uprzywilejowanych, takich jak on było jednak wśród jego kolegów więcej. Alcester cieszył się rosnącą renomą niewielkiego, lecz dobrego uniwersytetu, oczywiście nie klasy Oksfordu i nie dla tych, którzy zamierzali zaszczyścić swoją pracą przemysł komputerowy - dla tych był Cambridge - wyrabiał sobie jednak w kołach akademickich reputację uczelni, przyciągającej nieprzeciętną liczbę studentów z bogatych domów.

Daniel nie miał więc powodów, żeby odczuwać wyrzuty sumienia czy zażenowanie swoją sytuacją finansową. Wiedział, że Scott dostaje od ojca pokaźną pensję, a przypuszczał, że i tej dziewczynie nie zbywa na niczym, mimo że patrzy na niego z pogardą świeżo nawróconej komunistki dla zatwardziałego kapitalisty.

- Ja właściwie chciałam się napić kawy - powiedziała teraz do Scotta, nie puszczając jego ramienia i patrząc wyzywająco na Daniela.

Równie zaborcza, co chimeryczna, pomyślał Daniel i posłał jej rozbijający uśmiech.

- „Pod Koroną” jest kawa - zapewnił słodko, udając, że się nie domyśla prawdziwej przyczyny jej oporu.

Widział, że ma ochotę wysuwać dalsze obiekcje, i wprawiło go w lekkie rozbawienie, że wykazuje tak mało zrozumienia dla temperamentu ukochanego. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Scott ceni w życiu spokój i harmonię? Ze wszystkich znanych mu mężczyzn był najmniej predysponowany do znoszenia dąsów i burz, do jakich ta dziewczyna ma niewątpliwą predylekcję.

Dziwił się w duchu ignorancji i zadufaniu, które jej każą wierzyć, że wystarczy, iż ona kocha Scotta, a on odpłaca jej taką samą miłością.

Jest jak samowolne, niepoohamowane, zbuntowane dziecko, kiedy tak na niego, obcego, patrzy tymi gniewnymi oczami, mówiącymi, że chce Scotta wyłącznie dla siebie. Samowolne i potencjalnie bezbronne dziecko. Czy nie pojmuje, że prędzej czy później Scott się od niej odwróci, zmęczony nie nią, lecz zmiennymi humorami, wieczną huśtawką jej uczuć?

Kiedy w końcu dojrzeje i stanie się kobietą, będzie potrzebowała mężczyzny zdolnego stawić jej czoło, mężczyzny, który będzie jej równy, który nią pokieruje i poprowadzi na najwyższe szczyty uniesienia. Nic z tego nie znajdzie w Scotcie, a kiedy to zrozumie, ugodzi to najdotkliwiej w nią samą, bo jego przed jej wzlotami i upadkami będzie zawsze chronił spokojny temperament.

Daniel cofnął się puszczając ją przodem, kiedy zawrócili w kierunku pubu. Scott, anielsko nieświadomy napięcia iskrzącego się między nimi, zaczął entuzjastycznie opowiadać o jakimś wykładzie, na którym był ostatnio.

Daniel słuchał go jednym uchem, lecz jego uwaga skupiała się na Sage. Porusza się jak żrebak, myślał z przekąsem, rwanymi, nie skoordynowanymi ruchami, które jednak mają swój specyficzny wdzięk. Kiedy przechodzili, ludzie oglądali się za nimi. Oglądali się za nią.

Nie była piękna w konwencjonalnym sensie, ale miała w sobie owo coś, ten nieomylny zew pomieszanej zmysłowości i bezbronności, wyzwania i nieokielznania, które go w niej od razu uderzyły. Pokusa dla każdego mężczyzny, niebezpieczna pokusa, budząca instynktową potrzebę tropienia i łowienia, osławiania i poskramiania. Nie spotkał nigdy kobiety, która by w nim tak rozpalila owe pierwotne męskie instynkty jak ta dziewczyna, przyznawał w duchu, ubawiony tą świadomością, która mówiła wiele o nim samym.

Zastanawiał się, jaka jest w łóżku, nie przepaszając za to Scotta nawet w myśli. To kobieta, na którą żaden mężczyzna nie spojrzy, by sobie nie zadać tego pytania. A przecież nie ma w niej nic jawnie zmysłowego, żadnego świadomego wabienia, żadnego rozmyślnego podkreślania własnych wdzięków. Robi raczej wrażenie zażenowanej swoją kobiecością, zagniewanej na nią. Czy dlatego wybrała właśnie Scotta? Może w skrytości ducha przerażają myśl, co by było, gdyby wzięła partnera odpowiadającego na jej popęd swoim popędem, na jej żądzę swoją żądzą, na jej namiętność swoją namiętnością?

Przy Scotcie wszystko to, co jest w jej naturze kapryśne i nieobliczalne, będzie bezpiecznie kontrolowane, będzie tłumione i wyciszane, gdyż temperament Scotta nigdy nie będzie się szamał między owymi męczącymi i dręczącymi biegunami rosnącej i malejącej intensywności. Scott nigdy nie doświadczy owego niemal boskiego doznania, owego prawie nieznośnego bolesnego uczucia zespolenia i jedności, do jakiego może wynieść namiętność, tak samo jak szczęśliwie nie doświadczy nigdy zapadania w otchłań poniżenia, w jakie może ona wciągnąć.

Ta dziewczyna natomiast zazna tego wszystkiego, może już zaznała, wbrew swemu czystemu i nieskalanemu wygładowi, wbrew swojej zaskakującej niby-niewinności. Dopiero gdy się zajrzy w te oczy wcielonej Lilith, przyjrzy tym jawnie zmysłowym wargom...

Pożąda jej, zdał sobie sprawę Daniel. Zna ją, patrzy na nią dopiero od pięciu minut, a przecież nie ma wątpliwości, jakie to uczucie pali mu trzewia.

Zdumiało go, a zarazem ubawiło to odkrycie. Nie jest przecież w jego typie, jest zbyt niespokojna, zwiastuje ustawiczne burze. Wolał przecież zawsze kobiety łagodne i powściągliwe, i nie myśli się z tego wycofywać.

Kiedy przyjdzie czas na znalezienie żony i ustakowanie się, nie będzie się kierował namiętnością. To już dawno postanowił. Dość się napatrzył, do czego może doprowadzić namiętność, jak potrafi niszczyć i okaleczać. John Ryan niewątpliwie kochał jego matkę, ale czuł, że ona go nie kocha. Gnębiło go to bez przerwy, był jak w pułapce i to go uczyniło porywczym i brutalnym. A chociaż on, Daniel, nie jest synem Johna Ryana, nie opuszczała go jednak głęboka świadomość, jakie destruktywne ziarna mogło zasiać w jego duszy przyglądanie się od dzieciństwa agresywnym zachowaniom. Gdyby się znalazł w podobnej sytuacji, w związku, w którym by sam kochał, a nie otrzymywał w zamian równej miłości, czy nie uległby pokusie uciekania się do gwałtu, czy nie wzięłyby w nim góry uwarunkowania lat młodzieńczych? Nie, nie miał zamiaru narażać się na podobne ryzyko.

Wiedział, że prędzej czy później się ożeni. Nie cechowały go łowieckie instynkty wiecznego kawalera. Nie gardził uciechami płci, ale duchową płaszczyznę miłości cenił na równi z cielesną. A kiedy się ożeni, to z kobietą, którą będzie szano-

wał tak samo jak ona jego. Choćby ich zawsze dzielił dystans taki, jaki dzieli dwoje ludzi, wchodzących w związek małżeński bardziej z rozsądku niż z namiętności, mogą prowadzić razem dobre życie, mieć dom, dzieci, zabezpieczony spokój... A tymczasem zaspokajał apetyty seksualne przygodami przysparzającymi i jemu, i jego partnerkom przyjemności, a nie niosącymi zagrożeń uczuciowych.

Ta kobieta nie pojęłaby tego za tysiąc lat. Byłaby nienasycona jak kłęska głodu i dwa razy tak zabójcza. Nie starczyłoby jej wszystkiego, co mężczyzna może dać, chciałyby ponadto tego, czego nie może. Domagałaby się ustawicznej dbałości, niepodzielnej uwagi, aż w końcu by go pewnie doprowadziła do szaleństwa.

Lecz zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, Daniel wiedział, gdy jej teraz otwierał drzwi pubu i stojąc o pół metra od niej miał w nozdrzach kobiecą woń jej skóry i włosów, wiedział, że gotów by był na każde szaleństwo, żeby pójść z nią do łóżka i kochać tak długo, aż jej dzikie zielone oczy przestaną miotać na niego pioruny a zrobią się wielkie i mgliste z rozkoszy, aż jej ciało spręży się pod nim w ekstazie, aż z jej ust wyrwie się w pasji i namiętności jego imię, aż ta dziewczyna będzie go pożądała tak, jak on jej pożąda.

Szczęściem miał już dość doświadczenia, by maskować starannie swoje uczucia przed nią i przed Scottem.

Zdziwiło go niemile, że tak łatwo, tak niefrasobliwie odsuwa na bok wymogi lojalności wobec młodszego kolegi. Nigdy nie szukał dreszczyku kłusowania w rewirach innych męż-

czyn, szczególnie gdy ci mężczyźni byli przyjaciółmi. Zresztą, nigdy tego nie potrzebował. Był typem mężczyzny, do którego kobiety lgną instynktownie. Tak dalece, że dawno • wypracował sobie metodę trzymania ich na dystans bez zbyteznego ranienia ich uczuć, ich godności własnej.

Lubił kobiety, ale ta dziewczyna nie wzbudziła jego sympatii ani on nie wzbudził jej. Zastanawiał się z ironią, ile czasu zajmie jej dostrzeżenie, że pod tą antypatią płynie nurt pożądania seksualnego. A kiedy to dostrzeże, czy zechce się do tego przyznać nawet przed sobą?

Dawid nie należał do ludzi złośliwych, wątpił jednak, by Scott był pierwszym kochankiem tej dziewczyny, mimo że, jak oceniał, nie ma ona więcej niż osiemnaście lat.

Dziewczyna o takim temperamencie musiała wcześniej dojrzeć, musiała sobie wcześniej uświadomić siłę swego popędu płciowego. Jeśli nie była przez ostatnie cztery lata uwięziona za murami klasztoru, nie przypuszczał, by się położyła do łóżka Scotta jako niewinna, niedoświadczona dziewica. Dziwne tylko, że zdaje się nie dostrzegać, jakby się można spodziewać po kobiecie z jakim takim doświadczeniem seksualnym, że pod powierzchnią jej antagonizmu wobec niego, Daniela, i jego pobłażliwej reakcji przetacza się nurt głębszych, mroczniejszych emocji.

Z rozmysłem trzymał ich w pubie dłużej niż zamierzał. Uparł się postawić im lunch i przyglądał się z rozbawieniem, które tylko igrało mu w oczach, jak Sage posyła mu spojrzenie takie, jakby lada chwila miała mu rozorać policzek paznokciami albo cisnąć w twarz nie chciany posiłek.

Scott, nic nie zauważając, cieszył się szczerze jego towarzyswem, aż w końcu Daniel poczuł pierwsze ukłucie irytacji na kolebę. Jeśli McLaren nie zacznie uważać, to bardzo szybko ktoś mu sprzątnie przyjaciółeczkę. Inni mężczyźni nie będą mieli takich skrupułów jak on.

A może nie okaże się to takie proste, zastanowił się widząc, jak Sage niemal z rozpaczą przysuwa krzesło do krzesła Scotta i wtula się w niego, jakby był jej jedyną ucieczką, jedyną ostoją w świecie, który ją przeraża. Sage przerażona? Niemożliwe, to nie leży w jej charakterze. A jednak przez sekundę w spojrzeniu, jakim obrzuciła kochanka, odmalowały się lęk i bezradność.

Obserwując ich, Daniel nie mógł nie dostrzec, jak niechętnie Sage na najkrótszą chwilę wypuszcza Scotta z zasięgu wzroku, jak jej twarz się rozjaśnia, gdy on powraca do stolika po krótkiej wycieczce do baru, z jakim trudem się powstrzymuje, by go ciągle nie chwytać za ramię, jak przygasa i blaknie jej ognista zadziorność i duma, gdy patrzy na młodego Australijczyka.

Sprawiało to niemalże takie wrażenie, jakby jeden Scott był w stanie zaspokoić jakąś jej głęboką potrzebę wewnętrzną, jakby Scott i tylko Scott mógł dopełnić jej osobę tak, by się stała pełną istotą ludzką, jakby czuła, że bez niego jej życie utraciłoby oś, wokół której się obraca, że bez niego stałaby się cieniem.

Dostrzegłszy w niej taką otchłań niepewności, taką głębię zależności, Daniel się zasępił. Po raz pierwszy zastanowił się nad jej przeszłością, nad jej dotychczasowym życiem, nad tym, co ją formowało i co w niej wykształciło taką wrażliwość i bezbronność. I nad tym, dlaczego antidotum na nie znajduje w kimś takim, jak Scott.

Musi, postanowił, musi się o niej dowiedzieć więcej. Dużo, dużo więcej.

Odczekał, aż będzie miał okazję porozmawiać ze Scottem sam na sam. Młodszy kolega skarżył się, że nie jest zbyt zadowolony ze swego pokoju w akademiku, i chociaż do tej pory Daniel nie dopuszczał myśli, że mógłby wziąć współlokatora, a nawet nie pozwalał kochankom zainstalować się na dłużej w swoim małym domku, zaprosił któregoś wieczora Scotta napomykając, że ma wolny pokój i Scott mógłby w nim zamieszkać.

Wracali obaj ze spotkania kółka dyskusyjnego. Scott zaczął mu wylewnie dziękować, po czym dorzucił niepewnie:

- Tylko że mam niewiele czasu. Obiecałem zobaczyć się po dyskusji z Sage.

- Trzyma cię krótko, co? - spytał Daniel, znając z góry odpowiedź. - Uważaj, Scott, zaborcze kobiety potrafią zatruć życie. Nawet takie atrakcyjne jak Sage. Jeśli chcesz znać moje zdanie, radzę: bądź ostrożny. Sage to niebezpieczna osobka. - Bo... bo ona nie ma zbyt szczęśliwego życia w domu

- odrzekł śpiesznie Scott. - Czyni ją to... niecierpliwą i drażliwą. Ale w głębi... w głębi duszy to najśodsza dziewczyna pod słońcem.

Sage słodka. Daniel nie rozumiał, jak Scott może się tak ludzić. Sage to żółć i siarka. Jedyna słodycz w niej to mdły posmak po wypiciu trucizny.

Zatrzymał Scotta dłużej, niż ten chciał siedzieć, mówiąc sobie, że w ten sposób czyni im obojgu przysługę. Sage musi się prędzej czy później nauczyć, że nie wszystko może się układać po jej myśli. Mimo zapewnień Scotta, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo, Daniel nadal widział w niej rozpieszczoną i rozpuszczoną pannę, która nigdy nie zaznała braków ani trudności uczuciowych czy materialnych.

Kiedy Scott się do niego wprowadził, czekał, nie wiedząc, z większą niecierpliwością, czy ironią - tą ostatnią głównie w stosunku do siebie za swoje niemal obsesyjne zainteresowanie jej osobą - jak zareaguje Sage.

Spotykali się już kilkakrotnie - spotkania te starannie reżyserował Daniel, choć ani Scott, ani Sage nie domyślali się tego - i Daniel nie miał wątpliwości, że dziewczyna bierze mu za złe wpływ wywierany na jej kochanka.

Chce go mieć na swoją wyłączną własność i sama chce być jego wyłączną własnością, wnioskował Daniel, ale Scott nie ma jej namiętnej natury ani chorobliwej zaborczości i ten romans nie może trwać. A kiedy się skończy... Daniel zmarszczył się w zamyśleniu. Scott jest jego przyjacielem, ale Sage, zaczynał sobie uzmysławiać, to dziewczyna, której pożąda

tak, jak nie pamięta, by pożądał jakiegokolwiek kobiety w życiu.

Pewnego weekendu na początku trzeciego trymestru Sage zabrała Scotta ze sobą, żeby mu pokazać Cottingdean. Po powrocie Scott opowiadał entuzjastycznie o jej domu i o jej matce.

- To wspaniała kobieta, chociaż jakoś nie bardzo się zgadzają z Sage. Szkoda, bo to pod pewnymi względami naprawdę niezwykła osoba.

Daniel patrzył na niego z niedowierzaniem. Czyżby Scott się odkochał w Sage, by się zakochać w jej matce? Daniel nie wątpił, że kobieta, która dała życie Sage, musi być równie piękna, co twarda, a Scott, który nigdy nie miał matki, może czuć fatalny pociąg do takiej kobiety.

- Ma rude włosy? - spytał wyzywająco. Scott pokręcił głową.

- Nie, jest blondynką. Mieliśmy szczęście, żeśmy ją w ogóle zastali w domu. Wróciła akurat z Hongkongu. Jeździła sprzedawać wełnę, którą produkuje. To nie do wiary, czego ta kobieta dokonała wyłącznie o własnych siłach. Z tego, co słyszę, ojciec Sage był inwalidą przez cały czas ich małżeństwa.

- Nie takim znowu inwalidą, skoro spłodził Sage - zauważył sucho Daniel.

Scott pokręcił ponownie głową.

- To było niezupełnie tak. Sage miała brata starszego od niej o dziesięć lat, ale zginął w wypadku, kiedy była w ostatniej klasie. A ona, sama mi to powiedziała, została poczęta przez sztuczne zapłodnienie. Nie chce wiele o tym mówić, jest oczywiście uczulona na tym punkcie, ale uważa, że jej ojciec nigdy nie zaakceptował, nigdy jej nie uznał za swoją córkę.

Daniel zastanowił się z irytacją, czy Scott nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo miałaby mu za złe Sage, że się dzieli jej zwierzeniami z osobą trzecią, jak bardzo musiałoby ją to dotknąć. Lecz zaraz powiedział sobie, że to nie jego rzecz bronić tej dziewczyny, że potrafi się ona doskonale bronić sama.

Złościło go trochę, że Sage nigdy nie przychodzi do nich do domu, że zawsze się umawia ze Scottem na mieście. Jedno wszakże wiedział - że Scott nigdy nie zostaje u niej na noc. Próbował sobie wyobrazić siebie, gdyby był jej kochankiem, zostawiającego ją w łóżku i wracającego spać samemu w swoim, ale nie mieściło mu się to w głowie.

Gdyby był jej kochankiem... Ale nie jest. Ona kocha Scotta. Albo wydaje jej się, że kocha.

Cztery dni po wizycie Sage i Scotta w Cottingdean nadszedł z Australii telegram, wzywający Scotta do natychmiastowego powrotu z powodu kryzysowej sytuacji, jaka się wytworzyła na ranczu.

Daniel wiedział od początku, że Scottowi niepotrzebny jest stopień akademicki, że jego pobyt w Anglii ma na dobrą sprawę za cel jedynie otarcie się w świecie. Czekając, gdy Scott próbował uzyskać połączenie telefoniczne z Australią,

żeby się dowiedzieć czegoś bliższego, Daniel się zastanawiał, czy myślał on już o tym, jak wiadomość o jego wyjeździe przyjmie Sage.

Ku rozpaczy Scotta rozmowa telefoniczna przyniosła bardzo niewiele szczegółów. Został w domu jedynie gosposię, która potrafiła mu powiedzieć tylko tyle, że rządcą dostał ataku serca i leży w szpitalu, wobec czego potrzebny jest niezwłoczny przyjazd Scotta do pomocy w zarządzaniu olbrzymim ranczem. Była to funkcja, do której Scotta przygotowywano od urodzenia i która go nie przerażała - szykował się z ochotą do przejęcia kiedyś rancza po ojcu. Kiedy obiecał przyjechać pierwszym dostępnym samolotem odłożył słuchawkę, Daniel zapytał cicho:

- A co z Sage?
- Z Sage... ?

Przez chwilę mogło się wydawać, że Scott zapomniał, kto to taki, lecz zaraz zrobił zafrasowaną minę.

- No, będę jej musiał oczywiście powiedzieć. Pójdę się z nią zobaczyć. Sage zrozumie. Chętnie bym ją ze sobą zabrał, ale...

Sage miałyby zamieszkać na rozległych pustkowiach Australii? Daniel przypuszczał, że żadne z nich się nigdy poważnie nie zastanowiło nad przyszłością. Sage jest zbyt delikatna, zbyt wrażliwa, nie ma wewnętrznej odporności, by znieść samotne życie na odludziu. Gdyby wyszła za Scotta i pojechała do Australii, uciekłyby pewnie od niego w przeciągu roku.

A co do Scotta... Czy Sage mogła przez chwilę przypuszczać, że byłby szczęśliwy, mieszkając w Anglii, skoro od dzieciństwa wiedział, że musi pewnego dnia przejąć po ojcu zarządzanie ranczem? Musi i chce. Mówi się, że miłość jest ślepa. W przypadku Sage nie tylko jest ślepa, ale działa na własną zgubę. Bo chociaż Daniel nie miał wątpliwości, że Scott ją kocha, wiedział, że nie kocha jej z tą wyłączną, ślepą, namiętną intensywnością, z jaką ona kocha jego.

- Pójdę porozmawiać z Sage - oznajmił Scott.

Daniel słyszał, jak przyjaciel odjeżdża swoim MG. Scott ma hojnego ojca, ale być może również zaborczego, a na pewno zdecydowanego. Ojca o jasnym, sprecyzowanym poglądzie na to, jakiego rodzaju dziewczynę Scott winien poślubić. Daniel bardzo wątpił, by dziewczyna ta przypominała w czymkolwiek Sage.

Kiedy nadeszła i minęła północ, a Scott nie wrócił, Daniel podniósł z niepokojem wzrok znad podręcznika, który studiował. Scott wyjechał o ósmej, cztery godziny powinny mu aż nadto starczyć na wyjaśnienia i pożegnania, z towarzyszącymi im niewątpliwie zapewnieniami, że niedługo powróci i że Sage będzie w jego myśli i sercu przez cały czas rozstania.

O pierwszej, kiedy zaczął się szykować do łóżka, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, usłyszał na drugim końcu linii głos Sage wykrzykującej histerycznie jego imię. Minęło kilka cennych minut, nim zdołał ją na tyle uspokoić, że zrozumiał, co się stało. Kiedy wreszcie pojął, serce mu zamarło

z rozpacz i poczucia winy.

- W którym szpitalu jesteś? - zapytał szybko, po czym dodał: - Nie ruszaj się. Zaraz tam będę.

Wsiadając do swego BMW, modlił się, by sytuacja nie okazała się tak krytyczna, jak to wynikało z jej słów. Powiedziała mu, że jechali gdzieś autem... Może Scott postanowił zakomunikować jej o swoim wyjeździe w jakimś miejscu, gdzie będą sami. Daniel mógł się tylko domyślać.

Z tego, co zdołał z niej wydobyć, pokłócili się i była z niego taka wściekła, że zaabsorbowała zupełnie jego uwagę i Scott nie spostrzegł wozu nadjeżdżającego z przeciwnika. Zderzyli się z nim i tamten kierowca, jak się okazało, pijany, zginął na miejscu.

O ile Daniel dobrze zrozumiał, Sage prawie nic się nie stało, wyszła z katastrofy z jakimiś zadrapaniami i potłuczeniami, no i śmiertelnie przerażona. Natomiast Scott leży nieprzytomny i w szpitalu domagają się adresu jego najbliższej rodziny.

W niecałe pół godziny Daniel załatwił, co było można. Powiadomił personel szpitalny, że ojciec Scotta mieszka w Australii, i podał jego telefon, który odkrył nabazgrany szczęśliwym trafem przez Scotta, gdy ten dzwonił po południu na rodzinne ranczo.

Kiedy doktor powiedział Sage, że nie ma po co siedzieć w szpitalu i żeby wracała do domu, ta jęła histerycznie wykrzykiwać, że się stąd nie ruszy. Mimo jej błagań doktor nie ustąpił.

Na Daniela spadło zadanie pół wyciągnięcia, pół wyniesienia jej ze szpitala i wsadzenia do swego BMW, w którym musiał czym prędzej zablokować drzwi, bo zaczęła szarpać klamką, żeby się wydostać.

Jego decyzja, by ją zabrać ze sobą do domu zamiast odwiedzić do akademika, wynikła bardziej z obawy przed dal-

szymi scenami i koniecznymi wyjaśnieniami niż z myśli o jakimkolwiek cielesnym zbliżeniu.

Zmuszenie jej do połknięcia pastylki uspokajającej, którą mu dał doktor, wymagało właściwie użycia siły. Daniel uczynił to szybko i sprawnie metodą, jaką niegdyś aplikował swojemu szczeniakowi środek przeciw robakom. Zaciskając jej jedną ręką szczęki, drugą masował gardło, dopóki nie poczuł, że połknęła pastylkę. Przez cały czas piorunowała go nienawistnie swoimi dzikimi zielonymi oczami.

Zaniósł ją następnie na górę do pokoju Scotta i rzucił na łóżko. Zostawił ją, uprzedziwszy przed wyjściem, że wszystkie drzwi na dole są zamknięte i on ma klucze. Kiedy jednak zajrzał rano do jej pokoju, stwierdził, że zniknęła. Uciekła przez okno na parterze.

Nie widział jej potem przez parę dni, choć zachodził regularnie do szpitala odwiedzić Scotta, który znajdował się ciągle

w niepokojącym stanie głębokiej zapaści.

Jego ojciec przyleciał z Australii, gdy się tylko dowiedział o wypadku, lecz kiedy Daniel zapytał go o Sage, odpowiedział stanowczym głosem:

- Zapowiedziałem lekarzom, że nie mogę się z nią widzieć.

Dlaczego „nie mogę” zamiast „nie chcę”, zastanowił się Daniel, ale powstrzymał się od dalszych indagacji.

Ojciec Scotta był wysokim mężczyzną, o włosach jeszcze ciemnych, zielonych oczach i opalanej skórze, napiętej na kościach policzkowych z ascetyczną surowością, zdającą się sugerować, że życie nie oszczędziło mu cierpienia. Zamknięty w sobie mężczyzna, który dużo przeszedł, ocenił Daniel. Dziwne, bo wygląda na człowieka życzliwego, a nie ma cienia litości dla Sage. Czyżby uznał ją za winną wypadku, zastanowił się.

- Jeśli pan ją zobaczy, proszę powiedzieć, żeby nie przy-

chodziła odwiedzać Scotta. Lekarze uważają to za niewskazane.

Jeśli ją zobaczy, co mało prawdopodobne, myślał Daniel. Lecz nieoczekiwanie, kiedy otworzył wieczorem drzwi nie zapowiedzianemu gościowi, ujrzał Sage.

Była blada jak upiór i sprawiała tak żalosne wrażenie, że zapało mu niemal dech. Jej oczy utraciły cały ogień, stały się matowymi krążkami zastygłego bólu.

- Sage...

Daniel cofnął się, żeby ją wpuścić.

- Nie dopuszczają mnie do Scotta - oznajmiła, załamując ręce, głosem chrapliwym z powściągniętej udręki. - Muszę go zobaczyć, Danielu, muszę... Kocham go, kochamy się oboje...

Głos zaczął jej się histerycznie podnosić, więc Daniel ujął ją pod ramię i wprowadził do swego małego saloniku. Popchnął ją delikatnie na fotel.

• Scott jest bardzo chory, Sage - powiedział spokojnie. - Najważniejszą rzeczą jest teraz, żeby mógł w spokoju wrócić do zdrowia. Jego ojciec uważa, że największe szanse na wyzdrowienie będzie miał w domu. Za zgodą lekarza zabiera go ze sobą do Australii.

• Nie!

Zaprzeczenie wydarło jej się z gardła jak rozpaczliwy głos zwierzęcia złapanego w sidła. Bezmiar jej rozpaczki był porażający, lecz Daniel nie mógł sobie pozwolić na luksus współczucia.

- Tak, Sage - potwierdził stanowczo. - Obawiam się, że nic na to mozesz poradzić.

- To twoja wina, wszystko twoja wina! - jęła nagle wykrzykiwać, okładając go pięściami po piersi. - Ty chciałeś do tego doprowadzić, chciałeś nas rozdzielić... !

Przez moment Daniel myślał, że go oskarży, iż jej cały czas pożądał, i przygotował się, by temu zaprzeczyć, chociaż wie-

dział, że to prawda. Pożądał jej i nadal pożąda. Ale nie za cenę wypadku Scotta i tego straszliwego cierpienia, które trzyma ją teraz w swoim uścisku. Lecz zamiast tego wykrzyknęła z furją:

- Nigdy mnie nie lubiłeś! Wiedziałam to od początku. Zawsze uważałeś, że jestem nieodpowiednią dziewczyną dla Scotta!

- Rzeczywiście tak uważałem - przyznał zgodnie z prawdą Daniel. - Ale z tego nie wynika, że chciałem was rozdzielić. Scott jest dorosłym mężczyzną, nie chłopcem. Decyduje za siebie.

- Nieprawda, nie decyduje. To ojciec postanowił za niego, że ma wracać do Australii! Gdybym tylko mogła się zobaczyć ze Scottem... Gdyby odzyskał przytomność i mi odpowiedział...

- Ale nie możesz się zobaczyć - oznajmił stanowczo Daniel. - Jego stan jest zbyt krytyczny. Życie się na nim nie kończy, Sage. Przekonasz się...

- Nie! - odrzuciła wściekle. - Bez Scotta nie ma dla mnie życia! Bez niego nie ma dla mnie nic, jestem niczym... !

Jej słowa wstrząsnęły nim, lecz ukrył swoje współczucie za następnym ironicznym pytaniem.

- Jest twoją bratnią duszą, co?

- Tak... Nie... - Jej głos zabrzmiał głucho, jak przez mgłę, oczy miała matowe, nie widzące. - Nie bratnią duszą - sprostowała z determinacją. - On jest moją duszą, moim drugim ja... Jest częścią mnie, bez niego nie istnieje... Czy ty tego nie rozumiesz?

Daniel patrzył na nią, dziwnie poruszony jej namiętnym wybuchem, czując mimo woli bezsilne współczucie dla jej cierpienia i obłądnej wiary.

Choć od początku wiedział, że jest zdolna do intensywnej namiętności zmysłowej, nie przyszło mu jakoś do głowy, że może być zdolna do równie eksplozywnej pasji duchowej.

Cóż, mężczyźni nie lubią patrzeć prawdzie w oczy, wsłuchiwać się w ostrzegawczy głos wewnętrzny.

- To sprawa skończona, Sage - powiedział łagodnie. - Im prędzej to zrozumiesz, tym łatwiej ci będzie żyć.

- Nie! - wrzasnęła. - To nie jest sprawa skończona! Nie będzie nigdy skończona, dopóki żyje którekolwiek z nas! My się kochamy, kochamy się oboje...

- Nie, Sage - sprostował Daniel. - Ty kochasz samą siebie. Pożadasz Scotta zachłannie jak dziecko nowej zabawki. Omal go nie zgubiłaś tą swoją zachłannością. To twój wybuch doprowadził do wypadku, twoja odmowa pogodzenia się z tym, że musi wracać do Australii.

Patrzyła na niego wielkimi oczami.

- Mam rację, prawda? Tak było? Nie chciałaś przyjąć do wiadomości, że musi wyjechać. Próby udobruchania cię, wytłumaczenia, sprawiły, że Scott odwrócił uwagę od szosy i... kosztowało go to niemal życie. Pozwól mu odjechać, Sage, nim go zniszczysz do reszty.

Rzuciła się teraz na niego z pięściami, ze łzami w oczach

i krzykiem buntu na ustach, ale przytrzymał ją za rękę, a po chwili, w obawie, że może sobie zrobić krzywdę, przyciągnął i uwięził tak ciasno w ramionach, że czuł szalone bicie jej serca, tak jakby biło w jego własnej piersi.

Była taka szczupła, taka krucha... a miała przy tym piersi tak zaskakująco pełne, że jego ciało nie mogło tego nie odnotować i zareagowało mimowolnym podnieceniem.

Walcząc z własnymi sprzecznymi doznaniem - mężczyzny pierwotnego, kierującego się podstawowymi instynktami, i mężczyzny myślącego, wytworu tysiącleci cywilizacji, który się nauczył powściągać te instynkty i przedkładać nad nie inne wartości - odsunął ją od siebie, ale było już za późno, widział w jej oczach pomieszane uczucie oburzenia i furii, z jakimi przyjęła jego reakcję.

- Świnia!

Czy naprawdę prychnęła na niego tym słowem, czy tylko tak mu się zdawało, zastanowił się z rezygnacją, trzymając ją silnymi dłońmi na dystans od swego niezdiscyplinowanego ciała.

- Sage - odezwał się spokojnym, równym głosem.
- Nie pozwolę mu odjechać... Kocham go, kocham...
- Tak, ty go kochasz - potwierdził Daniel. - Nie jesteś tylko pewna, czy on cię kocha z równą siłą, prawda?

Nie wiedział, skąd mu się wzięły te słowa. Scott nigdy nie dał mu do zrozumienia, że jego uczucie do Sage nie jest równie silne jak jej do niego. Wprawdzie temperament Scotta był inny, nie tak namiętny, nie tak intensywny, spokojniejszy, ale Daniel nigdy nie wątpił w siłę uczucia młodszego kolegi. Teraz jednak, kiedy Sage zrobiła się bezwładna w jego ramionach, jej twarz pokryła się szarością, a usta zaczęły drżeć cierpieniem zbyt wielkim, by mogła je ukryć. Daniel stwierdził pośpiesznie, że jego przypadkowa uwaga dotknęła czulego miejsca, trafiła w piętę achillesową, której istnienia nigdy nie podejrzewał.

- Scott mnie kocha... kocha...

Powiedziała to jak mała dziewczynka. Uleciała z niej cała pasja, cała furia, ustępując miejsca takiemu przepastnemu zwątpieniu, że Daniel poczuł, jak serce mu się ścisza ze współczucia i niewytłumaczalnego gniewu, nie na nią za tę jej bezradność, lecz na tych wszystkich ludzi w jej przeszłości, którzy podkopali jej wspaniałą dumę i niezależność, a zarazili ją zamiast tego cierpieniem i strachem.

„Zawsze uważała, że zajmuje poślednie drugie miejsce w sercach rodziców, szczególnie ojca” - powiedział kiedyś Danielowi Scott.

Daniel potraktował to wówczas z rozbawieniem i sceptycyzmem, nie przyjmując do wiadomości, by mogła w to rzeczywiście wierzyć, porównując jej luksusowe dzieciństwo ze swoim ubogim, jej wymaginowany brak miłości ojcowskiej ze swoim nader realnym. Teraz, nagle, przestał być tego taki pewien.

Czego był pewien, to swego przemożnego pragnienia wzięcia jej w ramiona i tulenia, aż się uspokoi i poczuje bez-

pieczna, zaniesienia jej do łóżka i pieszczona, aż...

Pochłonięty swoimi myślami, zwolnił na tyle uścisk, że się wyrwała i rzuciła do drzwi.

Musi jej pozwolić odejść. Rozsądek mówił mu, że nie może jej tu trzymać siłą, lecz patrząc, jak wybiega, miał dziwne wrażenie, że ją w jakiś sposób zawiódł. On ją zawiódł? Przecież przyjaźni się nie z nią, tylko ze Scottem. A Scott podjął samodzielnie decyzję powrotu do Australii. Podjął ją przed wypadkiem.

W domu Scott będzie miał stałą dwudziestoczworogodzinną opiekę, niezbędną, jeśli ma wyjść z zapaści, jeśli ma kiedykolwiek powrócić do pełnego zdrowia. Sage nie jest w stanie zapewnić mu takiej opieki. Brak jej po temu owej solidnej, niezłomnej wytrwałości, brak stabilności uczuciowej. Pod tyłoma względami jest jeszcze dzieckiem. Rozpieszczonym, niesfornym dzieckiem, które mu dzisiaj uświadomiło, że wychowanie w bezpiecznym, zamożnym domu nie chroni automatycznie przed głodem uczuć.

Podczas gdy Daniel rozpamiętywał przeszłość, Sage, również zatopiona we wspomnieniach, zastanawiała się z drżeniem, czy będzie zawsze skazana na utratę ludzi, których najbardziej kocha.

Najpierw Dawid, potem Scott, teraz mamusia leży nieprzytomna... Odepchnęła myśl o najgorszym, zamknęła oczy.

Czyżby ją kochała? Jak to możliwe, skoro wie, że jej miłość jest nie odwzajemniona?

Na chwilę przypomniała sobie bezsilny ból dziecka, którym niegdyś była, i ból, kiedy stała w przymusowym odosobnieniu, sama jedna, na pogrzebie Dawida i patrzyła na nich wszystkich, wiedząc, że jest obca, że jest wyrzutkiem, kimś niepotrzebnym i nie chcianym. Widziała, jak mamusia pochyliła się z troską w oczach nad wózkim tatusia. Widziała, jak Faye przysuwa się do mamusi, kiedy trumnę z jej bratem spuszczano do grobu. I wiedziała, że gdyby się teraz oddaliła, żadne z tych trojga nie zauważyłoby nawet jej nieobecności.

Była tuż po maturze, kiedy Dawid zginął. Nie dalej niż tamtego ranka pocieszał ją po ostatniej awanturze z mamusią, przemawiał do niej serdecznie. Była to taka bezsensowna, niepotrzebna, okrutna śmierć. Dziwiła się często, skąd mamusia wzięła siły, żeby to znieść. Wstrząsnęła się na myśl, że to może po śmierci Dawida zrodziła się jej niechęć do urodzenia dziecka. Ze strachu, że ona, Sage, nigdy by nie zniosła takiej utraty. Bo mamusia kochała Dawida o wiele, wiele bardziej, niż kiedykolwiek kochała ją.

Jednym z owych dziwnych kaprysów losu znajdowali się wszyscy w domu, kiedy nadeszła wiadomość. Sage niedawno wróciła ze szkoły na wakacje, a Dawid i Faye przyjechali z wizytą, przywożąc ze sobą Kamilę, która była jeszcze w wózcisku. Sage pamiętała ukłucie zazdrości, kiedy pierwszy raz zobaczyła widome uwielbienie Dawida dla Faye i dla małej.

Dawid miał zebranie rady parafialnej, na którym musiał być obecny. Niedługo wróci, oznajmił, i pojechał.

W niecałą godzinę później policja zawiadomiła ich, że wydarzył się wypadek. Dawid chciał ominąć dziecko, które na rowerze wyjechało niespodziewanie na szosę, ale auto wpadło w poślizg i uderzyło w drzewo. Zginął na miejscu.

Znajdowali się wszyscy w salonie mamusi, kiedy ich zawiadomiono. Tatusz miał jeden ze swoich rzadkich lepszych dni. Sage pamiętała, że odruchowo spojrzała najpierw na mamusię, potem na tatusia.

Twarz mamusi pozostała spokojna, zastygła, ale twarz tatusia...

Pamiętała, że poderwała się z fotela i podbiegła, chcąc go pocieszyć w jego bólu i sama szukać u niego pociechy w swoim. Lecz kiedy się zbliżyła, odepchnął ją z taką siłą, że upadła, uderzając się boleśnie w ramię.

- Nie zbliżaj się do mnie! Wynoś się stąd! - wrzasnął na nią. - O mój Boże, dlaczego to musiał być Dawid? Dlaczego nie mogłaś być ty? To powinnaś być ty! - rzucił jej głosem pełnym nienawiści i obrzydzenia.

Było to gorsze, niż gdyby ją uderzył, znacznie, znacznie gorsze. Pamiętała, jak powstrzymywała z całej siły łzy. Oczywiście, wiedziała zawsze, że tatusz kocha bardziej Dawida, ale usłyszeć to, usłyszeć w taki okrutny sposób, jaka głęboka jest przepaść między jego miłością do Dawida a zupełnym brakiem miłości do niej...

Pamiętała, jakby to było dzisiaj, pulsujący ból w ramieniu i nieznośny, rozdzierający ból w piersi.

Pamiętała, jak mamusia podeszła i ujęła ją za rękę. Pamiętała, jak się wyrывała, kiedy ją wyprowadzała śpiesznie z salonu. Mamusia miała ciągle suche oczy i zastygła twarz.

- Idź do siebie na górę - powiedziała jej. - Ja się zajmę tatusiem...

Zawahała się, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale Sage jej nie pozwoliła wybuchając:

- Tak, posyłasz mnie na górę, chcesz się mnie pozbyć! Nie chcesz mnie widzieć po tym wszystkim, żadne z was nie chce mnie widzieć! Nie jestem waszym kochanym Dawidem, tak? Więc ja też was nie potrzebuję, nikogo z was! Co, żałujecie wszyscy, że to Dawid zginął, nie ja? Wiedźcie, że mnie to nic nie obchodzi! Nic a nic... !

Ale obchodziło ją, oczywiście, obchodziło tak straszliwie, tak boleśnie, tak paraliżująco.

Później Chivers przyniósł jej herbatę. Widać było, że płakał.

- Mamusia prosi, żeby panienka nie schodziła przez jakiś czas na dół, panno Sage - oznajmił z zakłopotaniem. - Posłała po doktora. Pan major...

Sage przestała słuchać. Nie chciała słyszeć o ojcu, nie chciała wiedzieć. Tak samo jak on nie chce wiedzieć o niej...

Zamknawszy się w swoim pokoju, płakała długo nad swoim bratem i nad sobą. I poprzysięgła sobie wtedy, że pewnego dnia pojawi się w jej życiu ktoś, kto ją będzie kochał, szczerze kochał.

Pogrzeb był jednym wielkim koszmarem. Faye zemdląa, złamana śmiercią Dawida. Tatuś miał tak chory wygląd, że Sage nie mogła wyjść ze zdumienia, iż lekarz pozwolił go w ogóle zabrać na cmentarz.

Jedna mamusia wydawała się niewzruszona. Stała z suchymi oczami przy grobie, a potem, w domu, opanowana, krzątała się wśród żalobników. Sage pamiętała, że kiedy wszyscy się rozjechali, Faye po silnym zastrzyku uspokajającym została zapakowana do łóżka, a tatuś zamknął się w swoim gabinecie, ona nie wytrzymała i zaczęła wykrzykiwać do mamusi:

- Dawid należał także do mnie, wiesz? Był także moim bratem, moim bratem! I był jedynym człowiekiem w tym domu, którego w ogóle obchodziłam!

Powtarzała sobie, że się cieszy, iż jedzie na uniwersytet. Że może nigdy więcej nie ujrzeć na oczy Cottingdean.

Ale w półtora miesiąca po śmierci Dawida tatuś rozchorował się ciężko i przestał wstawać z łóżka. Jego zdrowie było zawsze kruche, a po śmierci Dawida jakby opuściła go wola życia.

I tym razem mamusia pozostała spokojna i nie utraciła panowania nad sytuacją. To Sage stała pod drzwiami jego pokoju, z twarzą zalaną łzami, wypłakując duszę i pytając niemo, czemu jej nigdy nie lubił, czemu ją zawsze odpychał, czemu nie pozwolił jej nigdy okazać swojej miłości, nigdy się do siebie zbliżyć. Nie oczekiwała, że kiedykolwiek otrzyma pa te pytania odpowiedź, kiedykolwiek się dowie, co w niej jest takiego, że się odwracają od niej wszyscy, którzy powinni jej być najbliżsi.

W niespełna rok po śmierci Dawida nastąpiło to, czego wszyscy się spodziewali - Edward Danvers zmarł spokojnie we śnie.

Faye z Kamilą mieszkały już w tym czasie na stałe w Cottingdean. Sage czuła się tu bardziej niepotrzebna i nie chiana niż kiedykolwiek. Rada była, że wraca na uniwersytet. Nic jej nie trzymało w Cottingdean. Mamusia stała się osobą obcą, której Sage nie kochała ani nawet nie lubiła. Tak przynajmniej wówczas uważała.

Wstała teraz i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju.

A jednak, wbrew wszystkiemu, przywiozła Scotta do Cottingdean. Cóż, zrobiła to dlatego, że był ciekaw, wypytywał o jej dom.

Pamiętała, że wybrała starannie weekend, kiedy sądziła, że mamusia będzie w interesach za granicą. Lecz kiedy przyjechali, okazało się, że mamusia skróciła podróż i już wróciła.

Nie zdradziła, naturalnie, zaskoczenia ani irytacji, że Sage wybrała na przyjazd weekend, kiedy jej miało nie być. Przyjęła Scotta z serdecznością, którą szybko przewyciężyła jego onieśmienie. Zadbala również o to, przypomniała sobie Sage z przekąsem, żeby go umieszczono w pokoju gościnnym na przeciwnym krańcu domu niż pokój córki.

Scott z miejsca uległ jej urokowi. Sage przyglądała się z zazdrością, jak świetnie się rozumieją i jak gorliwie Scott zaspokaja jej zainteresowanie jego osobą. Zazdrosna o swoją

rozkwitającą miłość, Sage mówiła jej o nim dotąd jak najmniej, i to Scott sam jej powiedział, jak ojciec wysłał go do Anglii po to, by nabrał trochę poloni, jak to określał.

- McLaren? - powtórzyła mamusia, kiedy Scott podał jej swoje nazwisko, tak że chłopak zmieszał się i pośpieszył wyjaśnić:

- Tak. Nasi przodkowie przyjechali, zdaje się, ze Szkocji.

- Tak by wyglądało.

Potem, takie przynajmniej wrażenie odniosła Sage, mamusia na dobrą sprawę zaanektowała Scotta, tak że ona nie mogła z nim pozostać na chwilę sama. Co ją najbardziej irytowało, to fakt, że Scott zdawał się być tym uszczęśliwiony i z entuzjazmem odpowiadał na jej nie kończące się pytania o życie w Australii.

- A może by panie obie przyjechały zobaczyć, jak się żyje na naszym ranchu? - zaproponował w końcu. - Zostawię pani adres i telefon.

Sage wtrąciła się na to z drwiną:

- Owcze rancho na zakazanej prowincji australijskiej to ostatnie miejsce, jakie mamusia miałaby ochotę oglądać. Prawda? - rzuciła wyzywająco.

Była zazdrosna, uświadomiła sobie później, zazdrosna o własną matkę. Zazdrosna o łatwość, z jaką usidliła ona Scotta, Scotta, który jest jej własnością, jej i niczyją więcej.

Mogłaby przysiąc, że Scott przypadł mamusi do serca, a jednak to ona skomunikowała się z jego ojcem i uruchomiła ciąg zdarzeń, które doprowadziły w rezultacie do ich rozłączenia. Znienawidziła matkę za to definitywnie, kiedy się dowiedziała, że to ona ni mniej, ni więcej, tylko zatelefonowała do ojca Scotta, by go ostrzec, że przyjaźń między ich dziećmi przybiera obrót, który nie wyjdzie na dobre żadnej ze stron.

Uważała wówczas, że mamusia się wmieszała w ich sprawę, gdyż pragnęła dla niej mariażu zupełnie odmiennego rodzaju. Wtedy to postanowiła, że bez względu na to, co pocnie ze swoim życiem, nie wyjdzie nigdy za mężczyznę przez nią wybranego.

Kiedy ją oskarżyła, że to ona rozmyślnie doprowadziła do ich rozłączenia, mamusia nie zaprzeczyła, powiedziała tylko, że działała, jak sądzi, w najlepiej pojętym interesie Sage.

- Jestem już kobietą, nie dzieckiem - odrzuciła gorzko Sage. -I kocham Scotta.

- Kochasz go teraz albo ci się zdaje, że kochasz. - Mamusia powiedziała to spokojnie, ale zbladła okropnie i miała wyjątkowo jak na siebie niepewną minę. - Ale on nie jest dla ciebie odpowiednim mężczyzną, Sage. Małżeństwo z tobą by go zgubiło - oświadczyła jej z całym okrucieństwem. - Czy tego pragniesz? Scott potrzebuje kobiety spokojniejszej, łagodniejszej...

- Skąd ty możesz wiedzieć, czego potrzebuje Scott? - pytała jadownicę Sage, błada jak ściana. - Nic o nim nie wiesz!

- A ty wiesz, Sage? Jak zwykle widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. Tobie potrzebny jest do szczęścia znacznie silniejszy mężczyzna.

- Żeby mnie trzymał w ryzach, chciałaś powiedzieć. Nigdy ci nie wybaczę tego, co zrobiłaś! - krzyknęła. - Nigdy, nigdy! A jeśli ci się zdaje, że mnie wydasz za swój ideał, Jonatana...

- Za Jonatana? - powtórzyła mamusia i parsknęła śmiechem, doprowadzając Sage do furii. - Moja droga, musiałabyś mieć mnóstwo szczęścia, żeby zaciągnąć do ołtarza Jonatana. Ale podejrzewam, że nie jest taki głupi i ożeni się z potulną, pracowitą panną, którą jego mamunia będzie musztrowała od rana do wieczora.

Ale Sage jej nie uwierzyła - zbyt dobrze знаła mamusię z jej makiawelicznym umysłem. Tak jej się przynajmniej wtedy wydawało.

Mamusia była ponownie za granicą, kiedy mieli ze Scottem ten wypadek. Polubiła widać Scotta, bo mimo że Sage była półprzytomna z bólu, wbiło jej się w pamięć, jak mamusia się dopytywała, co się właściwie wydarzyło i jakie są szanse Scotta na wyzdrowienie.

- Dlaczego nie zadzwonisz do jego ojca? - powiedziała

jej gorzko Sage. - Tak jak zadzwoniłaś, żeby wyekspediować Scotta do domu i rozdzielić nas. Jak ci się to udało? Posłużyłaś się swoim sławnym czarem czy też mu po prostu oświadczyłaś, że syn hodowcy owiec to nie partia dla panny Danvers?

- Nie bądź śmieszna - odparła chłodno mamusia i nie chciała o tym więcej mówić.

A jednak to ona, zaalarmowana przez Daniela, przyjechała ją zabrać do domu, do Cottingdean, kiedy Sage po wyjeździe Scotta do Australii straciła wolę do czegokolwiek i spędzała całe dni zamknięta w swoim pokoju w akademiku, nie jadła, nie spała, tylko leżała skulona w łóżku i roiała o ukochanym. To ona na nią chuchała, dopóki wstyd, że pielęgnuje ją jej wróg, zdradziecka matka, nie zdopingował Sage do wzięcia się z powrotem w garść i przyobleczenia w maskę, za którą mogła skryć cierpienie.

Z początkiem nowego roku akademickiego wróciła na uniwersytet z postanowieniem poświęcenia się całkowicie studiom i nieangażowania w żadne związki uczuciowe, tak by nikt, ale to nikt nie mógł nigdy więcej tak głęboko zranić jej wrażliwości. Postanowiła ukończyć wydział sztuki i uniezależnić się od mamusi, odciąć od niej i usunąć ją na zawsze ze swego życia, ażeby nigdy, nigdy więcej nie mogła interweniować w jej sprawy.

Daniela nie było już w Alcester, kiedy tu wróciła, i Sage doznała ulgi, że go nigdy więcej nie zobaczy. Spychała na dno świadomości pamięć o swojej ostatniej upokarzającej konfrontacji z nim. Rany pozostałe po niej były zbyt świeże, by chciała ryzykować rozdrapywanie ich przy każdym spotkaniu

z tym rzekomym „przyjacielem” Scotta.

Daniel nie widział Sage przez parę dni po jej ostatniej, katastrofalnej wizycie, dopóki alarmujący telefon ze szpitala nie zwrócił mu uwagi na jej poczynania. Ze zmarszczonym czołem wysłuchał wiadomości, po czym złapał kurtkę i kluczyki i pobiegł do auta.

Żał mu było Sage i zachodził w głowę, co to za człowiek ten ojciec Scotta, żeby jej nie pozwolić na spędzenie tych paru ostatnich godzin przy łóżku syna.

Nie przypuszczał, by ktokolwiek oprócz niego samego się domyślał, że to histeryczne zachowanie Sage doprowadziło do wypadku. Rozumiał, że Lewis McLaren może chcieć zabrać Scotta do domu, że mógł być niespecjalnie zadowolony, iż jego syn i dziedzic zakochał się w nieznannej angielskiej dziewczynie, ale niedopuszczanie jej do łóżka chorego, tym bardziej że już wkrótce rozdzielią tych dwoje długie tysiące mil, wydawało się Danielowi zbyt dużym okrucieństwem.

Siostra, która zadzwoniła ze szpitala, powiedziała mu, że Sage snuje się jak duch po korytarzach, błagając wszystkich, żeby ją dopuścili do Scotta, chociaż wie, iż jest on ciągle nieprzytomny i prawdopodobnie w ogóle jej nie pozna. Parę razy musieli ją niemal siłą wyprosić ze szpitala, ale nawet to jej nie zraziło, a ostatnio personel szpitalny zaczyna się niepokoić o jej zdrowie. Wiedzą, że Daniel był jednym z najbliższych przyjaciół Scotta, więc zwracają się do niego w nadziei, że może on zdoła jej przemówić do rozsądku. Bo pan McLaren katygorycznie zabronił dopuszczania Sage do syna, a ponieważ Scott nie może się tymczasem sam wypowiedzieć, zmuszeni są stosować się do życzenia ojca.

Na głównej ulicy zdarzył się wypadek, wywróciła się ciężarówka i rozsypała po jezdni swój ładunek. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało, ale ruch został zatamowany na dłuższy czas. Czekając na przejazd, Daniel miał przedsmak problemów, przed jakimi stanie przy wzrastającym ruchu większość angielskich miasteczek ze swymi wąskimi uliczkami. Pociąganie to za sobą konieczność wytyczania objazdów i budowy nowych dróg, co stanowi pomyślną prognozę dla przedsiębiorstw takich jak jego ojca. W przyszłości pomyślną prognozę również dla niego samego.

W końcu jezdnię uprzątnięto i Daniel mógł ruszyć dalej, ale w rezultacie dojazd do szpitala zajął mu znacznie więcej czasu niż powinien, i spodziewał się, że Sage już dawno nie będzie.

Poszedł prosto na oddział intensywnej terapii, gdzie siostra, ładna, energiczna dwudziestoparoletnia dziewczyna, powitała go miłym uśmiechem i oznajmiła, że Sage siedzi nadal w poczekalni.

- A chory? - zapytał Daniel.
Potrząsnęła głową.

- Jest ciągle nieprzytomny, chociaż pojawiają się od czasu

do czasu oznaki, że zaczyna się budzić. Ojciec chce go jak najszybciej zabrać do domu. Podobno mają jutro lecieć. Wynajął specjalny samolot z wyposażeniem szpitalnym. - Uniosła brwi. - Piękna rzecz, jeśli kogoś na to stać.

Działając pod wpływem impulsu, Daniel zapytał półgłosem: - A czy nie ma sposobu, żeby Sage mogła go na chwilę zobaczyć? Ostatecznie, skoro tak niedługo odlatują...

Siostra oddziałowa posłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, pan McLaren ostatnio trochę zmiękł. Zgodził się, żeby go odwiedziła, ale tylko na pięć minut i w obecności pielęgniarki. Jedne pięć minut, rozumie pan? Może dobrze, żeby i pan przy tym był.

Podziękowawszy jej, Daniel skierował się ku drzwiom wahadłowym, za którymi znalazł Sage, siedzącą w dusznej, przygnębiającej klitce bez okna. Całe umeblowanie stanowiło kilka krzeseł i stół ze stosem starych pism.

Kiedy wszedł, Sage siedziała wpatrzona tępo w ścianę. Serce mu się ścisnęło. Nigdy nie zdarzyło mu się widzieć w nikim takiej odmiany.

Zdawało się, że wyciekło z niej całe życie, poszarzała, bardzo schudła, o wiele za bardzo. Jeśli przedtem była szczupła, teraz zrobiła się niemal koścista. Kiedy na jego widok podniosła obronny gestem dłoni do twarzy, Daniela zaskoczyła cienkość jej przegubu. Podejrzał, że mógłby go z łatwością objąć kciukiem i palcem wskazującym.

Ubrana była na czarno, a surowość tego stroju nadawała jej szokującą klaunowską nierealność, jakby niemożliwym było wyglądać naprawdę tak nieszczęśliwie jak ona. Jej cierpienie wstrząsało swoją intensywnością. Daniel wyobrażał sobie, jak ludzie się od niej odwracają, wylęknięci lub zagniewani taką ostentacją. W tym świecie na nietakt, jeśli nie wręcz niemoralność zakrawało tak jawne okazywanie uczuć ku zakłopotaniu bliźnich.

Nie płakała, lecz powieki miała zaczerwienione, zapewne bardziej z braku snu niż czegokolwiek innego, zdecydował Daniel, a kiedy zwróciła na niego oczy, nie było w nich dawnego ognia. Ognia ani nadziei. Nic. - Sage.

Na dźwięk swego imienia spojrzała na niego, ale z tak martwą twarzą, że Daniel na moment poważnie się przeraził, czy cierpienie nie pomieszało jej zmysłów.

- Daniel? Co ty tu robisz?

Głos miała powolny, apatyczny, bezbarwny, jak osoba pod działaniem środka odurzającego.

- Zadzwonili do mnie ze szpitala. Martwią się o ciebie bardzo. Musisz z tym skończyć, Sage.

Gdzie są jej krewni, jej przyjaciele, zastanowił się ze złością, kiedy nie wywołało to żadnego odzewu. Nie wiedzą, co się z nią dzieje? Ktoś musi przecież wiedzieć. A jeśli wiedzą, czemu nic nie robią, żeby jej pomóc? Czy nic ich to nie

obchodzi?

Spodziewał się, że zareaguje wybuchem rozpacz i gniewu, zaatakuje go fizycznie i werbalnie jak poprzednio, lecz ku jego przerażeniu siedziała nadal bez słowa, patrząc na niego tylko nieobecny, obojętny oczami, dopóki nie oznajmił cicho:

- Mc Laren podobno zmiękł i zgadza się na pięciominutowe odwiedziny, żebyś się mogła pożegnać ze Scottem, Ale, Sage, ja mam być przy tym...

Nie słuchała. Wstała i już ni to szła, ni biegła ku niemu, z twarzą tak promienną, tak rozjaśnioną szczęściem, że ta nagła przemiana była niemal zastraszająca. Daniel złapał ją i zatrzymał, nim dotarła do drzwi. Zdumiała go chudość jej ręki.

- Tylko bez scen, Sage - ostrzegł, nie puszczając jej. Scott jest bardzo słaby. Nie odzyskał dotąd przytomności, więc pewno cię nie pozna. Wiesz, że jego ojciec wynajął samolot i zabiera go jutro do Australii?

Kiwnęła głową. Nagłym ruchem załamała rękę i po raz pierwszy wybuchnęła po dawnemu:

- To nic nie zmieni. Kochamy się i nic nas nie może rozdzielić. Jak tylko Scott wyzdrowieje, wróci po mnie, zobaczysz.

Scott leżał w separacie. Czuwała przy nim dyskretnie pielęgniarka, kiedy Daniel otworzył drzwi i wpuścił Sage. Poczł, jak po jej ciele przebiega dreszcz, gdy ujrzła Scotta nieprzytomnego, z ciałem podłączonym do baterii aparatów medycznych. W kącie obracał się bezgłośnie magnetofon kasetowy.

- Transmitujemy pacjentowi słowa otuchy od ojca - wyjaśniła pielęgniarka. - Dlatego ma w uszach słuchawki.

- Pięć minut, Sage - przypomniał jej Daniel, ale jeżeli go słyszała, to niczym tego nie zdradziła.

Jej cała uwaga była skupiona na Scotcie. Pochyliła się nad nim i ujęła go ostrożnie za rękę, z wyrazem twarzy, w którym dziewczęcy strach mieszał się z niemal matczyną miłością.

• Nic mu nie lepiej? - zapytała siostrę nie odrywając wzroku od Scotta.

• Jest ciągle bardzo słabiutki.

• C-czy... wyzdrowieje?

• Za wcześniej jeszcze, żeby coś powiedzieć. Jest młody i silny fizycznie. Mieliśmy pacjentów znacznie starszych i słabszych, którzy wracali zadziwiająco szybko do zdrowia.

Koło łóżka stał fotel. Daniel przysunął go i wskazał Sage miejsce. Kiedy usiadła, zauważył, jak drży. Wyciągnęła rękę i zaczęła wygładzać i bez tego niepokalaną pościel. Nie wie-

dzieć czemu, od widoku tego nieporadnego gestu
czułości

Daniel poczuł dławienie w gardle.

Wszystko się w nim rwało, by wziąć ją w ramiona i
utulić,
natchnąć miłością i poczuciem bezpieczeństwa,
których jej
potrzeba. Wiedział to instynktownie, bo dostrzegał w
niej te
same wątpliwości, tę samą bezradność i samotność,
które tak
często nękały jego.

Zdziwiło go to uczucie. Należą przecież do dwu
różnych
światów. Jej życie było diametralnie różne od jego
życia. Nie
pastwił się nad nią żaden John Ryan, nie tyranizowali
jej
bracia stryjeczni, nie nabijali się z niej koledzy. Nie miała
tego
wiecznego poczucia, że jest odmieńcem i intruzem.

A jednak nie opuszczało go wrażenie, że kryje w sobie
jakąś zagadkę. Siedziała z opuszczoną głową, włosy jej się
rozchyliły, odsłaniając delikatny kark. Skóra na nim była bia-
ła, niemal przezroczysta, rysował się pod nią zbyt ostro stos
pacierzowy. Choć uleciała gdzieś promienna żywość, która
ją czyniła piękną, pozostała dla Daniela równie ponętna jak
przedtem, jakkolwiek jego pożądanie tłumili teraz współczu-
li

cie i troska. Gdyby mógł się z nią teraz kochać, czyniłby to
z czułością, wziąłby ją wśród tkliwych pieszczot, bez tej pło-
miennej intensywności, która go paliła poprzednio.

Placze, stwierdził, spostrzegłszy krople niemych łez, ka-
piących jej na dłonie.

Pielęgniarka zakasłała znacząco, patrząc na zegarek.

Daniel dotknął delikatnie ramienia Sage, lecz nim zdążył
cokolwiek powiedzieć, wyciągnęła ręce, ostrożnie zdjęła Scotto-
wi z głowy słuchawki i jęła mu błagalnie szeptać do ucha:

- Scott, wyzdrowiej, proszę cię, wyzdrowiej... Tak cię
potrzebuję... Nie opuszczaj mnie... Nie mogę bez ciebie
żyć... Scott, Scott...

Pielęgniarka ruszyła w kierunku łóżka, więc Daniel, uprze-
dzając jej interwencję, ujął Sage zdecydowanie za ramiona
i podniósł znad poduszki, przemawiając do niej uspokajająco:

- Dosyć, Sage. Nasz czas minął. Sage.

Idąc ku drzwiom, nie zauważyli - ani oni, ani odprowadza-
jąca ich wzrokiem pielęgniarka - jak niema postać w łóżku
czyni drobny ruch, a jej czoło marszczy się jakby w wysiłku
pojęcia nagłej ciszy.

Sage wyszła na korytarz z pochyloną głową, usiłując ukryć

ły. Daniel patrzył taktownie w drugą stronę, udając, że nie widzi.

Zauważył mężczyznę, obserwującego ich z mrocznego załomu korytarza. Zaciśnął usta, poznawszy ojca Scotta, który przyglądał się Sage badawczo. Co on tu robi? Czuwa, żeby nie przekroczyli przydzielonych łaskawie pięciu minut? Daniel rozumiał ból ojcowski, ale nie zamierzał pozwolić temu człowiekowi wylać go na Sage, choć Bóg mu świadkiem, nie wiedział, skąd mu się bierze ten instynkt chronienia jej, za co z pewnością by mu nie podziękowała.

Sage wyglądała tak blado, że Daniel by się nie zdziwił, gdyby zemdląła, nim ją doprowadzi do auta. Wsadziwszy ją

354

na przednie siedzenie, musiał jej zapiąć pas, bo sama zdawała się do tego niezdolna.

Przestała płakać, lecz w pewnej chwili Daniel nieopatrznie zajrzał jej w oczy i zobaczył w nich takie piekło bólu i udręki, że poczuł się winien, jakby zdarł z niej odzież i przyglądał się bezwstydnie jej nagości.

Zabrał ją ze sobą do domu, jak wówczas w nocy po wypadku, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby z nią zrobić. Nie uważał jej za typ samobójczy, ale wolał jej nie zostawiać samej. Poza tym, jeśli będzie ją miał pod okiem w domu, powstrzyma od dalszych wizyt w szpitalu.

Umieści ją jak poprzednio w pokoju Scotta, zdecydował. Zaparkowawszy auto przed swoim wąskim domkiem, obszedł je naokoło, żeby otworzyć drzwiczki i pomóc jej wysiąść.

Przeraził go jej całkowity brak reakcji, tak że wprowadziwszy ją do *środk*a, chociaż sobie powtarzał, że to nie *jego* sprawa i nie powinien się w to mieszać, zadzwonił i wezwał swojego własnego lekarza domowego.

- Jest w głębokim szoku - orzekł trzy godziny później lekarz. - Jak dawno był ten wypadek?

Daniel powtórzył to, co mu już raz powiedział.

- Ta-ak. Dałem jej tymczasem zastrzyk uspokajający. Powinna po nim spać przez dwadzieścia cztery godziny, co jej na pewno źle nie zrobi. Potrzebny jej jest sen i dobre odżywianie. O pierwsze na jakiś czas zadbałimy, co do drugiego...

Zastrzyk zrobił swoje, tak że Sage była głęboko uśpiona, kiedy odlatywał prywatny odrzutowiec wynajęty przez Lewisa McLarena. Organizm, korzystając z szansy regeneracji sił, utrzymywał ją we śnie przez noc i cały następny dzień. Daniel, który zaglądał do niej co parę godzin, zastał ją rozbudzoną dopiero, kiedy zaszedł na górę o północy.

- Jaki dziś dzień? - spytała zamiast wszystkich pytań, których się spodziewał, na przykład o to, dlaczego jest w jego domu.

Zgadując tok jej myśli, odpowiedział spokojnie:

- Za późno, Sage. Samolot odleciał o dziewiątej, trzy godziny temu.

Może było to okrutne z jego strony, ale przecież musiała się

prędzej czy później dowiedzieć, że ojciec zabrał Scotta.

- Robię sobie właśnie kolację - skłamał gładko. - Zjesz coś? - Widząc, że zaczyna potrząsać głową, ciągnął, jakby nic nie zauważył: - To będzie tylko zwykły omlet. Przyniosę ci kawałek, dobrze?

Odwróciła twarz do ściany i Daniel domyślił się, że płacze. Tłumiąc westchnienie, wstał z łóżka i zszedł na dół zrobić omlet, którego, był pewien, żadne z nich nie tknie.

Wyłożył połówkę omleta na talerz, nalał Sage szklanek mleka i, otworzywszy z tacą w rękę drzwi do saloniku, stanął jak wryty.

W półmroku, twarzą do niego, stała Sage. W pokoju paliła się tylko boczna lampka, przy której czytał, było jednak na tyle jasno, że dostrzegł, iż nałożyła jego szlafrok, którego nie zawiązała i pod którym jest naga. Mokre włosy zmierzwiły jej się niesfornie, ściekały z nich kropelki, które się zbierały u nasady brody i spływały między piersiami, po brzuchu, do jeszcze bardziej zmierzwionych włosów między nogami.

Daniel poczuł, jak zalewa go obezwładniający żar. Ogarnęła go nieprzeparła potrzeba przekonania się, czy otoczka jej sutek ma rzeczywiście ciemnoróżowy odcień, jaki sobie zawsze wyobrażał, i czy same sutki są rzeczywiście tak twarde, że kłują materiał szlafroka, czy też tylko mu się tak wydaje. Chciał ją wziąć w ramiona i pokazać jej, jak na niego działa, wtulić twarz w ów nęcący trójkąt zmierzwionych włosów, wciągnąć w nozdrza niepowtarzalną woń jej kobiecości, wolno dotykać językiem wrażliwego dziewczęcego ciała, zgłębiać jego najintymniejsze tajemnice, aż poczuje, że zaczyna drzeć cała żądzą tak nabrzmiałą jak jego własna i otwiera się przed nim, szepcząc, jak bardzo pragnie, by jej dał rozkosz.

Wszystko to, oczywiście, czysta fantazja. Nie wiedział, po co zeszła na dół, ale na pewno nie po to, żeby się z nim kochać. A jednak, kiedy postawił tacę na stoliku, zsunęła z ramion szlafrok i jęła powoli iść ku niemu, nie odrywając oczu od jego twarzy, jakby miała ona przyciągającą siłę magnesu.

-Sage...

Powtarzał sobie potem, że chciał tylko do niej przemówić, że wyciągnął ramiona, żeby ją powstrzymać, wsunęła się w nie jednak i przywarła do niego całym ciałem, oplatając go rękami i szepcząc natarczywe błaganie:

- Weź mnie, Danielu... Kochaj mnie... Tak bardzo tego pragnę...

Zapomniał z kretesem, co zamierzał uczynić, pamiętał jedynie te długie noce, gdy leżał tęskniąc do niej, wyobrażając sobie, że tak właśnie do niego przychodzi, nie przyznając się nawet przed samym sobą, jak bardzo jej pożąda.

Trzymając ją teraz w ramionach, stwierdził, że drży jak chłopiec, ściskający pierwszy raz dziewczynę, że jest bardziej zalękniony i urzeczony, niż był w rzeczywistości z ową pierwszą dziewczyną. Jej ciało spowijał ciągle cień. Widział tylko wabiące, tajemnicze wygięcie ust i baczne, rozumiejące spojrzenie ciemnych oczu, które niosły ową pokusę i obietnicę wcielonej Lilith.

Dotknął jej, przesunął palcami po plecach, po raz pierwszy upewniając się namacalnie, że nie jest zjawą, wyczarowaną przez jego wyobraźnię, lecz żywą istotą z krwi i kości. Jął teraz sunąć powoli dłońmi po jej ciele, napawając się atlasową gładkością i chłodem skóry, wilgotnej jeszcze miejscami po kąpieli, zastygłej jakby w oczekiwaniu, aż ją natchnie życiem.

Rozmyślnie nie dotykał jej piersi, omiótł tylko ich zewnętrzne wypukłości, gdy unosił dłonie, by zamknąć je na jej ramionach, a potem zapleść na szyi, szukając wielkimi palcami pulsu u jej nasady. Wstrząsnął nim do głębi trzewi dreszcz, kiedy przesunął wargami po jej policzku i jął się zbliżać do ust.

Nie pamiętał, ile razy się zastanawiał, jakby smakowały te pełne wargi i czy jej ostre ząbki gryzłyby w ekstazie, teraz jednak, ku jego zaskoczeniu, odwróciła raptem głowę, a jej ciało zeszytywniało w jego objęciach.

Inne istoty jej płci lubiły zwykle zmysłowy kontakt ust z ustami, igranie ze sobą języków, dłoń kochanka błędząca po miękkim zarysie ich twarzy, palce wplatające się we włosy, on też to lubił, rozkoszując się wstępną grą niemal na równi z samym zespoleniem.

Daniel lubił kobiety i lubił się z nimi kochać, wiedział też bez próżności, że jest dobrym kochankiem, bynajmniej nie dlatego, że się nim stara być. Każdy mężczyzna może osiąść arkana techniki miłosnej, a mimo to nie dawać i nie czerpać jednej dziesiątej tej rozkoszy, jaką dzieli z partnerką, w której jakże odmiennym i jakże powabnym kobiecym ciele znajduje instynktowne upodobanie, w którym jest prawdziwie rozmilowany. Tak, Daniel lubił kobiety, lubił słyszeć ciche jęki ich rozkoszy, lubił czuć aksamitną gładkość ich skóry, lubił dotykać i smakować każdy cal ich ciała, aż ich podniecenie osiągało te same wyżyny co jego. I nigdy nie pragnął tego bardziej niż z tą dziewczyną.

Kiedy chciała powtórnie odwrócić głowę, przewidział to i przytrzymał dłońią jej brodę, tak że mógł wreszcie poznać nieprawdopodobną subtelność jej warg. Drżały pod jego pieśszczotą, aż się wstrząsnął, z trudem powściągnąjąc ogarniające go szaleństwo naturalnego impulsu, by ją położyć tu, gdzie stoją, na dywanie, i przypieczętować swoje posiadanie tak, by nigdy żaden inny mężczyzna nie zdołał zatrzeć jego wspomnienia.

Takie porywy nie licowały z jego potrzebą okazania jej zrozumienia i czułości, z postanowieniem powściągliwości i szacunku dla jej uczuć.

Badał koniuszkiem języka kształt jej warg, ale kiedy chciał go wsunąć między zęby, napotkał opór. Poczul przenikający ją dreszcz, tak jakby ją ogarnął strach.

A przecież to on jest tym, który się boi. Boi się, że nie dorówna sztuce jej poprzednich kochanków. Że ona się w ostatniej chwili cofnie. Boi się, że... że co... ? Że szuka w nim namiastki Scotta? Scotta, którego jak wiedział, tak kocha?

Odsuwając te myśli od siebie, jął szeptać, że ją weźmie do łóżka i będzie pieścił, aż zacznie krzyczeć z rozkoszy, zapewnić, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo mu się podoba. Błądził

przy tym dłońmi z rosnącą namiętnością po jej ciele, obsypywał pocałunkami gładką skórę szyi, miękko zarysowane policzki, nieprawdopodobnie delikatne konchy uszu.

A ona drżała w jego ramionach, z zamkniętymi oczyma, z ciałem majaczącym w półmroku.

Daniel poczuł, jak trzewia ściska mu skurcz, kiedy spojrzął na nią, na alabastrową przejrzystość jej skóry, na jędrną krągłość piersi, na wezbraną twardość sutek, na ciemną różowość ich otoczek, taką jak sobie wyobrażał.

Zaczął się rozbierać, prawie zdzierając z siebie ubranie w gorączkowym pośpiechu, żeby jej nie utracić, nie pozwolić się • wyszliźnąć. Jest w każdym calu taka doskonała, taka doskonała...

Pragnął obejmować dłońmi te pełne piersi, czuć, jak oddycha coraz szybciej, jak jej ciało się pręży, a nabrzmiałe sutki pulsują, gdy je delikatnie drażni wilgotnym językiem, aż wyda okrzyk i przycisnie jego głowę, by je ssał mocniej, gryzł wargami, tak by jej namiętność rozpalala się jego ogniem.

Ignorował sygnały wysyłane przez mózg, że coś jest nie w porządku, że Sage jest zbyt cicha, zbyt napięta, zbyt mało podniecona, nie podziela jego niecierpliwości. Oczywiście, wszystko to jest dla niej zbyt nagle, zbyt nieoczekiwane, nie popycha jej do tego żądza, nawet nie pożądanie. Chłód jej ciała odpowiada chładowi jej uczuć, nabrzmiała sztywność sutek jest wynikiem chłodu zarówno wewnętrznego, jak zewnętrznego, tak samo jak gęsia skórka, którą czuł na jej ciele.

Ale nie chciał słuchać tych sygnałów, chciał...

Odetchnął głośno, zrzuciwszy z siebie resztę ubrania. Dostrzegł w półmroku błysk jej oczu i poczuł w piersi uczucie pierwotnej męskiej dumy. Jego ciało jest tak różne od jej ciała, skóra opalona od ostatniego okresu przepracowanego na jednej z budów ojca, miejscami stwardniała i zrogowaciała, piersi gęsto pokryte delikatnymi ciemnymi włosami, brzuch płaski i twardy tam, gdzie jej jest lekko zaokrąglony i miękki, ręce zawężone napiętymi mięśniami, szorstkie od ciemnego owłosienia, podczas gdy jej są miękkie i białe... I za chude.

Serce ścisnęło mu się współczuciem. Mimo pełności biustu, mimo kobiecości kształtów, uderzyła go nagle jej kruchość. Mógłby dłońmi łatwo, nadto łatwo objąć jej kibić. Pod wpływem impulsu, którego nie próbował analizować, pochylił głowę i złożył lekki pocałunek na aksamitnej skórze jej brzucha, a gdy się wstrząsnęła pod tym dotknięciem, porwał ją na ręce i ruszył ku drzwiom.

- Nie!

Zatrzymał go jej głos nieoczekiwanie mocny, rozkazujący.

• Nie bój się - powiedział uspokajająco. - Nie zrobię ci krzywdy. Chcę cię tylko zanieść na górę. W łóżku będzie nam wygodniej.

• Nie! - Tym razem jej głos zabrzmiał gardłowo. - Nie na górę. Tutaj... Od razu...

• Od razu?

Popatrzył na nią i postawił na ziemi. Rozejrzył się w półmroku pokoju.

Dziecko z niej, ale trzeba jej ustąpić... Może później, kie-

dy się odpreży, bardziej z nim oswoi, może wtedy zaniesie ją na górę...

Uśmiechając się do myśli o pieszczotach, jakie będą dzielić, pochylił się i odgarnął jej z oczu zmierzwioną burzę włosów, po czym ją sunąc rozchyłonymi wargami po jej twarzy, napawając się zapachem i smakiem skóry. Dotarłszy do ucha, wziął w usta jego płatek, a palcami przesunął po delikatnej skórze za nim.

Zareagowała jak oparzona, jakby nikt nigdy nie dotykał jej w ten sposób. Sztywna, oswobodziła się z jego objęć, protestując chrapliwym głosem:

- Nie, dosyć... Weź mnie... Szybko...

Daniel, zaskoczony, patrzył na nią wielkimi oczyma. Nie zdawał sobie sprawy, że jest taka podniecona. Prawdę mówiąc...

Posłała mu ostrzegawczy błysk, kiedy tak jej się przyglądał.

- Pożądasz mnie, prawda? - zapytała, świdrując go wzrokiem. -Bo jeśli nie...

Uśmiechnął się do siebie. Nie mógł zaprzeczyć, dowód jego pożądania pulsował aż nadto widocznie przed jej oczami.

I wówczas popełnił swój największy błąd. Zamiast usłuchać cichego głosu wewnętrznego, nakazującego ostrożność, ostrzegającego, że nie wszystko jest tak, jakby chciał, wziął jej słowa za dobrą monetę i porwał ją z powrotem w objęcia, dając dowód, jak bardzo jej pożąda, że pożądał jej na dobrą sprawę od momentu, kiedy ją pierwszy raz ujrzał na oczy.

Próbował sobie wmawiać, że nie jest zawiedziony, iż nie chce długotrwałej, powolnej gry wstępnej, o jakiej śnił, iż zdaje się po prostu pragnąć... domagać się nagiego, szybkiego żaru jego obecności w jej ciele bez żadnych preliminariów. Próbował sobie nawet wmawiać, że nie jest zawiedziony, iż nie chce go całować, dotykać, patrzeć na niego, że nie uważa, iż jej zachowanie redukuje go w jego własnych oczach do roli ogiera rozplodowego. Próbował sobie wmawiać, kiedy ją kładł na ziemi i przykrywał swoim ciałem że ona pragnie zespolenia tak samo jak on.

Prawda, dziwiła go sztywność jej ciała, to, że nie robi nic, żeby mu pomóc czy ułatwić działanie, że musi sam rozsunąć jej nogi, żeby móc w nią wejść, ale był tak zaślepiiony swoim pożądaniem, przeświadczony, że musiała je zawsze podzielać w skrytości ducha, musiała, skoro sama do niego przyszła błagając, domagając się, żeby ją wziął, był tak zaślepiiony, że oczywistość prawdy uderzyła go dopiero, kiedy pchnąwszy silniej, poczuł skurcz jej mięśni, niepodatność ciała, natychmiastową przeszkodę, i pojął to, co powinien był pojąć: od razu, gdy mu rzuciła tamto: „Nie, dosyć... ”

Nie dlatego wypowiedziała te słowa, że się nie mogła doczekać, kiedy ją weźmie, pojął w paroksyzmie gniewu. Wyrzuciła je z siebie jak dziecko, które się broni przed zażyciem paskudnego lekarstwa, jak kobieta, która się wzdraga przed nieuniknioną, lecz morderczą próbą. A nie ułatwiała mu zadania nie dlatego, że się chciała z nim drażnić, rozpalić jeszcze bardziej jego żądzę, lecz po prostu dlatego, że nie

wiedziała, jak się zachować.

- Ty jesteś dziewicą..

Zdał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa na głos, dopiero kiedy się spod niego wywinęła i usiadła. Podciągnęła kolana pod brodę, opasała je obronnym gestem.

- I co z tego? - zapytała agresywnym tonem, łypiąc na niego gniewnie.

Patrzył na nią wstrząśnięty, miotany wściekłością i niedowierzaniem. Jest dziewicą. Cholerną dziewicą. Ta dziewczyna, o której snuł rojenia od miesięcy, przekonany, że ma w małym palcu wszystkie sztuczki miłosne, jakie może posiadać kobieta... A tymczasem ona okazuje się zupełnie zieloną prawiczką...

Zalewał go gniew. Gniew na siebie, gniew na Scotta, ale nade wszystko gniew na nią. Co za gry ona prowadzi? I po co... ?

- Nie masz zwyczaju kochać się z dziewicami? Czy tak? Jej drwina go ubodła, więc zareagował ostro:

- Jakbyś zgadła, że nie mam. Po pierwsze, jeśli się kocham z kobietą, to chcę wiedzieć, że to jest kobieta, a nie przerażona dziewczynka. Kobieta, która umie mi dać tyle samo rozkoszy, co ja jej, a nie dziewczynka, która zaciska mięśnie i woła: „Nie!” A po drugie...

Urwał czując, że jest niepotrzebnie okrutny. Pragnął cofnąć swoje słowa, ale nie mógł, popychany przez siłę, nad którą nie panował, siłę, której nie chciał określić jako frustrację seksualną, bo odebrałoby mu to we własnych oczach poczucie, że jest człowiekiem cywilizowanym.

- Po drugie, z pewnością nie łykasz pigułek, a ja nie zamierzałem się zabezpieczyć. Czy ty masz dobrze w głowie?

Poderwał ją na kolana i potrząsnął nią w porywie gniewu, nad którym nie panował.

• A może o to ci właśnie chodziło? - zapytał gniewnie.

- Może liczyłaś, że zajdziesz ze mną w ciążę? Czego ty właściwie ode mnie chciałaś, Sage? Dziecka, które by ci zastąpiło Scotta? Bo na pewno nie pragnęłaś mnie jako mężczyzny. Mój Boże, ty byś nawet nie wiedziała, co począć z prawdziwym mężczyzną. Całe te opowiadania, jak szaleńczo kochasz Scotta... Wszystko to bajki... Dlaczego on z tobą nie żył, ty... ?!

• Na pewno nie dlatego, że jestem dziewicą...

Jej słowa były podszyte sarkazmem, zadającym kłam drżeniu jej głosu i łzom, które, Daniel był pewien, zabłysły w jej oczach.

Teraz, poniewczasie, pojął, co uczynił, i pragnął z całej duszy móc cofnąć okrutne słowa.

Kiedy się poderwała na nogi, sięgnął, żeby ją zatrzymać, ale zrobiła unik. Złapała szlafrok, owinęła się szczelnie.

- Scott mnie kochał. Kochał i szanował. Chciał... chciał, żebyśmy poczekali, aż nasze rodziny... On mnie kochał... !

. Prawie wykrzyczała te słowa. Daniel zauważył, że użyła czasu przeszłego. Słyszał w jej głosie przerażenie, pojął wątpliwości, które ją teraz nachodzą, i serce ścisnęło mu się

współczuciem.

Dobry Boże, gdyby był zdolny spojrzeć poza własne pragnienia, nie pozwolił się zaślepić żądzy. Gdyby poczekał, wypytał, wysłuchał.

- Dlaczegoś ty właściwie do mnie przyszła? - zapytał trzeźwo, pewien, że zrozumie, o co mu chodzi.

- Dlaczego? - Obróciła ku niemu twarz wykrzywioną jak maska grymasem goryczy i nienawiści. - Dlaczego? Naprawdę muszę ci tłumaczyć? Utraciłam Scotta. Jest jedynym człowiekiem, którego będę kiedykolwiek kochać, a masz raczej co do jednego: to ja spowodowałam wypadek. O mało go nie przyprawiłam o śmierć. Modliłam się później, żeby nie umarł. Przysięgłam sobie, że uczynię wszystko, poniosę każdą ofiarę, byleby on żył. Nie przypuszczałam, jaka może być tego cena... Cena wyrzeczenia się samego Scotta... Czy ty nie rozumiesz? - wykrzyknęła w rozpacz. - Chciałam się ukarać, chciałam cierpieć tak, jak na to zasługuję. Dlatego do ciebie przyszłam. Bo wiedziałam, że nie może być gorszego zaparcia się siebie, większego poniżenia fizycznego, większego upokorzenia duchowego, większego cierpienia niż oddanie tobie tego, co chciałam ofiarować Scottowi. Dlatego do ciebie przyszłam...

Zacząła się śmiać śmiechem zbyt wysokim, rozbrzmiewającym mu boleśnie w uszach, kiedy stał próbując pojąć to, co mu powiedziała. Przez całą urażoną dumę, całą ujmę dla jego męskości, przenikała do niego nienawiść i szyderstwo, jakie na niego wylewała. W tym momencie zrozumiał, że gdyby jej tknął, okaleczyłby ją pewnie na całe życie, więc odsunął się i stanął do niej tyłem, by nie patrzeć na zapamiętanie, malujące się na jej twarzy i nie widzieć w tym zapamiętaniu fałszywej obietnicy rozkoszy, którą mieli dzielić.

- Danielu!

Na dźwięk swojego imienia poczuł skurcz w piersiach. W jej głosie brzmiała taka niepewność, taki ból, takie błaganie, jak w głosie dziecka, przerażonego gwałtownością własnych uczuć, wołającego o pociechę i ukojenie. Lecz on już znieczulił serce na jej cierpienie. Nie obracając się, odparł chłodno:

• Nie chcę słyszeć, co masz mi do powiedzenia, Sage. Żał mi ciebie. Pewnie uważasz, że winienem ci wdzięczność, że mi chciałaś uczynić dar... nie dar, ofiarę ze swego ciała. Ale ja nie mam zamiaru przyjąć tej ofiary. Możesz zostać na noc, ale chcę, żebyś się wyniosła z samego rana.

• Danielu, proszę cię...

• Nie, Sage. Czegokolwiek ode mnie chcesz, nie mogę ci tego dać. Ani seksualnie, ani uczuciowo, ani pod żadnym innym względem. Jesteś nieszczęściem przez wielkie N i jeśli chcesz znać moje zdanie, Scott może sobie powinszować, że mu się udało uciec. Ty zniszczysz każdego mężczyznę, który się do ciebie zbliży. Jesteś tego rodzaju kobietą.

• Pragnęłam mnie...

• Nie, chciałem się posłużyć twoim ciałem - odrzekł brutalnie i kłamliwie. - Nie ciebie pragnęłam, Sage. A teraz

wracaj do łóżka.

Nieoczekiwanie go posłuchała, a kiedy wstał rano, nie było jej w pokoju Scotta. Zniknęła nie tylko z jego domu, ale w ogóle z terenu uniwersytetu. Minęło parę dni, nim odkrył, że się po prostu zamknęła w swoim pokoju w akademiku, nie mówiąc nikomu dlaczego, choć większość tych, którzy ją znali, przypuszczała, że z żalu po odejście Scotta.

Po tygodniu wahania zatelefonował do jej domu. Pani Danvers, powiedziano mu, wyjechała w interesach i wróci dopiero pod koniec miesiąca, ale owszem, przekażą jej po powrocie wiadomość.

Daniel próbował uciszyć wyrzuty sumienia, pograżając się w nauce, ale poczucie winy jątrzyło się i nie ustępowało. Jątrzy się do dzisiaj, pomyślał, patrząc w zamyśleniu na pustą szklankę. Do dziś dnia.

Daniel miał pod dostatkiem czasu, żeby się przygotować na spotkanie z Sage i dojechać na umówioną godzinę do Cottingdean, lecz stwierdził, że się ociąga, zwleka, prawie jakby chciał się rozmyślnie spóźnić. Spóźnić tak bardzo, że Sage się zmęczy czekaniem na niego i nie będzie chciała z nim rozmawiać.

Gdyby był przeczuł, gdyby mu przyszło w najśmielszych przypuszczeniach do głowy, że ona może być w to zaangażowana, wysłałby na zebranie innego reprezentanta firmy, kierownika reklamy, Dale'a Hughesa albo swojego zastępcę, Matthewa Petriego. Prawdę mówiąc, wcale nie musiał osobiście w tym brać udziału. Kiedy jednak zobaczył pierwsze plany proponowanego przebiegu autostrady, kiedy przeczytał nazwę Cottingdean, powiedział sobie, że pojechanie tam może się okazać sensowną inwestycją. Jazda do Cottingdean na długo przed oficjalnym ogłoszeniem planów, rozumował, to przejaw zdrowego zainteresowania zawodowego.

Z zaskoczeniem odkrył, że Cottingdean ma wciąż wygląd sennego miasteczka prowincjonalnego, choć widać w nim dobrobyt i w rzeczywistości nie jest wcale takie prowincjonalne, skoro wyroby jego fabryki włókienniczej znajdują nabywców na całym świecie, a przynajmniej w tych jego zakątkach, gdzie mieszkają ludzie wystarczająco zamożni i wybredni, by docenić jakość tkanin z wełny pochodzącej z najlepszych

owiec w Anglii, tkanin produkowanych metodami łączącymi najlepsze techniki przeszłości i teraźniejszości.

Na temat kobiety, która zorganizowała ten lukratywny przemysł i tchnęła w niego życie, Daniel słyszał same pochwały. Co do jej córki, zdumiało go, jak mało miejscowi ludzie o niej wiedzą, znacznie mniej niż on tu, w Londynie. No cóż, Londyn jest pod wieloma względami nadal zlepkiem prowincjonalnych miasteczek, których stali mieszkańcy znają

wszystkich współobywateli, a szczególnie osoby prowadzące tak światowe życie jak Sage.

Prawda, plotki o jej wybrykach, kochankach i nieobliczalności przycichły znacznie w ostatnich latach, w miarę jak rósł jej rozgłos utalentowanej malarki fresków.

Minionego lata Daniel widział jedno z jej dzieł w willi dalekich znajomych, w mało jeszcze zaludnionym zakątku Ibizy. Fresk go zaskoczył, zdumiała jego inwencja, dramatyzm i głębia. Nawet nie znając Sage, po zobaczeniu fresku wiedziałby, że jest on dziełem osoby obdarzonej intuicją i wrażliwością, współczuciem i zrozumieniem. Mimo woli pomyślał wówczas, jak bardzo chciałby zamówić u niej fresk dla siebie, i ogarnął go żal, że to niemożliwe.

Ostatnią wiadomością o niej, jaka mu wpadła w oko w jednej z kolumn towarzyskich, była plotka, że asystuje jej jakiś australijski Grek, który za nią przyleciał do Londynu. Kimkolwiek on jest, nie wydaje się, żeby odgrywał obecnie większą rolę w jej życiu.

Daniel zastanawiał się często, jak odmiennie mogłoby się potoczyć życie ich obojga, gdyby był uległ owej nocy popędu i został jej pierwszym kochankiem, gdyby ją może nawet zapłodnił...

Krzywiąc z autoironią usta, zebrał papiery i wyszedł z mieszkania.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie wówczas życzył, było mieć dziecko z jakąkolwiek kobietą, więc skąd mu się teraz raptem wzięło niepokojąco plastyczne wyobrazenie dziecka, jakie mogli byli wówczas począć?

Wsiadając do auta i zapalając motor, wiedział, że będzie musiał jechać szybko, jeśli nie chce się spóźnić. Gdyby, angażując się w sprawę autostrady, przeczynał, że będzie musiał stawić czoło Sage, stanąc z nią oko w oko, poruszyłby niebo i ziemię, żeby tego uniknąć. Bo problem... problem w tym, że wciąż nie jest mu obojętna.

Zaklął głośno, gwałtownie hamując, na pół zdecydowany zawrócić, sięgnąć po telefon i zadzwonić, że się z nią nie spotka. Równocześnie wiedział, że tego nie uczyni, że pcha go coś silniejszego od rozsądku i logiki.

Klął się w duchu. Ma trzydzieści siedem lat, a myśl o niej wprawia go w taki popłoch, jakby był niedowarzoną siedemnastolatkiem. Skądinąd jest przecież taki wybredny, taki świadomy zarówno zdrowotnych niebezpieczeństw romanсів z kobietami, prowadzącymi bujne życie erotyczne, jak i ubóstwa uczuciowego przygodnych stosunków, ich braku prawdziwej bliskości duchowej. Nie pociągają go przygody oparte jedynie na dreszczyku seksualnym, na wzajemnym zaspokojaniu popędu zmysłów. Może jest to jego słabość, że dzieląc z kobietą przyjemności ciała, chce z nią również dzielić przyjemności ducha i umysłu, mniejsze i większe intymności życia codziennego. Może dlatego nie zdarzyło mu się spotkać kobiety, z którą chciałby się związać na trwałe, nie zaprosił nawet nigdy żadnej z kochanek, żeby się do niego wprowadziła.

Żadnej z kochanek... Uśmiechnął się z przekąsem do swoich myśli. Nie było ich właściwie w ostatnich latach. Owszem, umawiał się z różnymi kobietami, bawiło go ich towarzystwo, wiedział, że mógłby z łatwością posuwać znajomości z nimi dalej, ale jakoś przestał go interesować seks dla seksu. W rezultacie obecnie w jego życiu nie ma nikogo.

Helen Ordman dawała mu ostatnio niedwuznacznie do zrozumienia, że byłaby chętna do przekształcenia ich dotychczasowych kontaktów służbowych w prywatne, lecz nie pociągała go właściwie jako kobieta, chociaż podziwiał jej talenty zawodowe. Czyżby cenę sukcesu w dzisiejszym stresującym świecie bezpardonowej walki konkurencyjnej rzeczywiście stanowiła automatyczna utrata libido? Wystarczyło mu pomyśleć o Sage, żeby wiedzieć, że to nieprawda.

Ku swojej irytacji łapał się na tym, że coraz więcej czasu spędza na rozmyślaniu o niej. Z zaskoczeniem odkrył, jak dalece gotowa jest się zaangażować w sprawę autostrady.

A przecież Sage jest z natury indywidualistką, osobą zazdrośnie strzegącą swego prawa do prywatności. Społecznicą i filantropką w rodzinie jest jej matka, ale nic nie wskazywało, że Sage tak skwapliwie i sprawnie przedzierzgnie się w jej skórę.

Niepokoiliła go trochę ta przemiana, choć właściwie czemuż by nie? Ludzie się zmieniają. Dlaczego nie miałyby dojrzeć i Sage? On sam też dojrzał. Więc dlaczego fakt, że dojrzała, drażni go jak ziarnko piasku w oku? Z początku jedynie uwierające, z czasem zaczyna powodować dotkliwy ból.

Nigdy właściwie nie otrząsnął się z poczucia winy, że tak ją potraktował tamtej nocy. Nigdy nie wybaczył sobie, że nie pokierował sytuacją z większą subtelnością, nigdy nie stał żałować, że sprawy nie potoczyły się inaczej, nigdy nie wyzbył się uczucia, że on, jako bardziej dojrzały, powinien był

znaleźć sposób przedarcia się przez żywopłot kolców uczuciowych, za którym się skryła, wyprowadzenia jej zaa tego, oswobodzenia z koszmaru utraty Scotta, którego kochała, na-
wiązania z nią porozumienia, wzbudzenia w niej na tyle ufności, by przynajmniej zaczęła w nim dostrzegać przyjaciela, do
którego może się zwrócić w potrzebie. Niestety, kiedy owej nocy dała tak niedwuznacznie upust nienawiści i odrazie do
niego, zbyt był dotknięty, by zareagować racjonalnie, zadać
sobie pytanie, czemu miotają ją tak potężne i gwałtowne
uczucia w stosunku do niego, czy przypadkiem nie dlatego że,

jak podejrzewał, czuje do niego od początku pociąg, z pewnością niechętny, nie chciany pociąg, który ją przeraża i złości, niemniej jednak istnieje.

Za późno było wyrzucać sobie teraz, że nie pokierował sprawą inaczej, zresztą, pod racjonalizmem wpojonym przez ściśle wykształcenie miał w sobie dość dziedzicznego celtyckiego fatalizmu, by częścią duszy wierzyć, że istnieją sprawy z góry przesądzone przez los, których nie są w stanie odmienić żadne ludzkie starania.

Znalazłszy się na autostradzie, nacisnął silniej pedał gazu. Jeśli Bóg pozwoli, a policja drogowa nie przeszkodzi, dojedzie jednak do Cottingdean na czas. Raptem, nie wiedzieć czemu, stało się to sprawą pierwszej wagi.

Wpół do dziewiątej. Sage zaczynał ogarniać strach. Zewnętrznie nauczyła się dawno kontrolować wszelkie przejawy uczuć, ale wewnątrz paniczny skurcz ścisnął jej żołądek, mięśnie nieprzyjemnie się napinały, grożąc utratą panowania nad sobą.

Nie pomagało powtarzanie sobie, że ta konfrontacja z Danielem została zaaranżowana przez nią samą. Ręce pocą jej się ze zdenerwowania, stwierdziła. Co będzie, jeśli Daniel nie ulegnie jej groźbom? A nawet jeśli ulegnie, co to właściwie da? Wycofanie się głównego przedsiębiorcy przysporzy rządowi trochę kłopotów, ale w końcu znajdą na jego miejsce kogoś innego i budowa potoczy się swoim torem.

W końcu... Jeśli uda jej się wymusić na Danielu, żeby się wycofał z kontraktu, zyska przynajmniej trochę na czasie.

Może wystarczająco, żeby mamusia wróciła do zdrowia i ujęła sprawę z powrotem w swoje ręce...

Jeśli w ogóle wyzdrowieje... Sage wzdrygnęła się, objęła ramionami, roztartą gęsią skórkę na rękach.

A jeśli mamusia nie wyzdrowieje? Jeśli... ? Przygryzła dolną wargę do bólu. Musi wyzdrowieć, musi. Lekarze są

dobrej myśli. Jest bardzo silna, mówią. Ale nie na tyle silna, żeby mogli ją już poddać operacji koniecznej do usunięcia ucisku na mózg...

Alec Ferguson przedstawił jej z całą brutalnością szanse mamusi na wyzdrowienie. Mózg jest uciskany przez skrzep spowodowany urazem. Mieli nadzieję go rozpędzić", ale to się nie udało. Muszą teraz odczekać, aż pacjentka się wzmocni i nie trzeba jej będzie dłużej podawać silnych środków uspokajających dla ułatwienia wyjścia z szoku. Wtedy będzie można podjąć próbę operacyjnego usunięcia skrzepu. Wybór odpowiedniego momentu będzie tu odgrywał zasadniczą rolę, wyjaśniał, czas i szanse musi wyważyć on jako chirurg prowadzący. Jego decyzja może zaważyć na życiu pacjentki...

Sage zastanawiała się, czy mamusia może sobie uświadczać, jak silnie tkwi w jej myślach, żyje w jej modlitwach, jak bardzo ona, córka, pragnie, by wyzdrowiała. Nie z poczucia winy, nie z wyrzutów sumienia, nawet nie z miłości. Zrodziła się w niej teraz przemożna potrzeba dowiedzenia się więcej o tej kobiecie, którą poznaje z pamiętników. Potrzeba rozmowy z nią, zgłębienia, dlaczego nigdy naprawdę jej nie знаła, powiedzenia jej, jak bardzo ją podziwia, jak bardzo pragnie, by stały się równymi partnerkami i przyjaciółkami, nie rozdzielonymi przepaścią burzliwej przeszłości.

Poderwała się, usłyszawszy nadjeżdżający samochód i wybiegła do holu czując, jak żołądek ścisną jej się nowym panicznym spazmem. Z ulgą i lekkim uczuciem zawodu stwierdziła, że to nie Daniel, tylko Faye.

• - Przepraszam, że tak późno wracam - powiedziała niepewnie Faye. - Byłabym wcześniej, gdyby nie ten idiota...

Sage zamrużyła, równie zdumiona przekleństwem w ustach Faye, jak jej niezrozumiałym wybuchem. Odezwwała się łagodząco, ignorując tłumaczenia bratowej:

• Dobrze, że wróciłaś. Niepokoiłyśmy się o ciebie.
• Patrzcie państwo! - zachnęła się Faye. - Niepokoiłyście się. A to niby dlaczego? Jestem samodzielną dorosłą osobą, nie małym dzieckiem. Chciałabyś, żebym ja się o ciebie niepokoiła za każdym razem, kiedy trochę później wracasz?

• Może powinnaś się niepokoić, gdybym zniknęła na cały boży dzień, nie mówiąc nikomu, dokąd jadę - odparła sucho Sage i szybko ciągnęła dalej, żeby uprzedzić nowy wybuch Faye: - Nie myślę się wtrącać w twoje sprawy, moja droga, nie moja rzecz, jak sobie urządzasz życie. Ale Kamila się o ciebie martwiła, a to dla niej bardzo trudny moment. Zbliżają się egzaminy, mamusia leży w szpitalu. Kamila czuje z pewnością, że jej całe życie się wali. Dziewczętom w jej wieku

wydaje się, że wszystko pozostanie zawsze takie samo, że wszyscy bliscy będą wiecznie koło nich, a kiedy się okazuje, że wcale nie musi tak być...

- Wiem - przytaknęła Faye. - Ja też drzę o twoją mamusię...

- Kamila jest, zdaje się, trochę dotknięta, że jej nie powiedziałas, dokąd jedziesz. Mówiła coś, że jeździcie obie z mamą raz na miesiąc we wtorek na jakieś posiedzenia komitetu pań.

- A ty w to nie wierzysz? - zjeżyła się Faye. - O to ci chodzi?

- Nieważne, w co ja wierzę, ważne, co myśli Kamila- uważyła Sage.

- Co ty mi chcesz właściwie powiedzieć? Uważasz, że się wymykamy co miesiąc we dwie z mamusią na schadzki z jakimiś facetami? To do ciebie podobne, Sage. Ale dla twojej informacji...

- Nie jestem ciekawa, co robiłaś. Mało mnie to w ogóle obchodzi - odrzuciła Sage z irytacją.

Rozstroiła ją ta historia z Danielem. Jest taka zdenerwowana, taka spięta tym, że go za chwilę zobaczy. To śmieszne tak ciągle przeżywać coś, co się wydarzyło piętnaście lat temu, coś, o czym on - nie wątpiła w to - dawno zapomniał. Miała przynajmniej nadzieję, że zapomniał.

- O, tak, ciebie nic nie obchodzi, co ktoś drugi robi - odpaliła Faye, a jej łagodna twarz zrobiła się niemal zła. - Ty nie dbasz o nic ani o nikogo, prawda, Sage? Nie dbasz nawet o siebie. Dla twojej informacji, ty może sypiasz z różnymi mężczyznami, ale ja nie sypiam z żadnym, rozumiesz? A jeśli chcę utrzymać ten rozdział mego życia w tajemnicy, to może jest to konieczne nie ze względu na mnie, tylko na Kamilę. Ale to by ci nigdy nie przyszło do głowy, prawda? Bo ty nigdy w życiu nie przedkładałaś nikogo ponad siebie...

Faye urwała, z oczyma nagle pełnymi łez. Dobry Boże, cóż ona wygaduje? Ale jest taka wściekła na tego człowieka, na tego wścibskiego doktora. Jak on śmiał sugerować, że... Że co? Że ona nie jest w stanie wrócić sama do domu? Że jest głupia i nieporadna, niezdolna do takiej prostej rzeczy, jak prowadzenie auta? Ale czyż on nie wypowiedział po prostu tego, co sama o sobie sądzi? Być może, ale ona jest tylko człowiekiem, a jaki człowiek lubi, żeby mu inni wypominali jego słabości. Dlatego tak kochała Dawida. Przy nim nie musiała się nigdy czuć głupia i słaba. Dawid nie zmuszał jej nigdy do spojrzenia w oczy upiorom przeszłości. Nie popychał do robienia rzeczy, których nie chciała robić. A może powinien był to uczynić? Nie, to raczej ona sama powinna się była na to zdobyć. Dlaczego miałby za nią myśleć ktoś inny? Dlaczego nie widziała wówczas, że najlepszy sposób wyzwolenia się od przeszłości, to stawienie jej czoła?

To lektura tych pamiętników tak ją rozstroiła. Przekonanie się, że inni też mają swoje upiory, lęki i strachy, że nie ona jedna dźwiga brzemień winy i nienawiści.

- Skończyłam czytać, następny pamiętnik - poinformowała Sage, przechodząc do porządku nad wybuchem Faye. - Położy-

łam ci go w pokoju. Aha, i zaprosiłam Daniela Cavanagha, żeby tu dziś przyjechał. Chcę z nim omówić pewną sprawę.

- Daniela Cavanagha? Czy to nie dyrektor tej firmy, która ma budować nasz odcinek autostrady? - Faye zrobiła zdziwioną minę. - Czy to rozsądne? Chciałam powiedzieć... - Potrząsnęła głową. - Przepraszam cię, Sage. Obawiam się, że nie mogę ci być w niczym pomocna. No, lepiej pójdę spróbować udobruchać Kamilę. Gdzie ona jest?

- Wyszła, powiedziała, że do jakiejś koleżanki. Poprosiła Jenny, żeby ją odwiozła. - Widząc reakcję Faye, Sage dorzuciła: - Uważała, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- No, chyba nie. Lubię tylko dokładnie wiedzieć, z kim wychodzi i dokąd. W dzisiejszych czasach nie można być zbyt ostrożną...

- Ależ ona niedługo kończy osiemnaście lat - przypomniała jej Sage. - Nie możesz jej trzymać do końca życia pod kloszem, Faye.

Nigdy nie widziałam jej takiej wzburzonej, pomyślała Sage, kiedy bratowa posłała jej wymuszony uśmiech i ruszyła ku schodom. Zastanawiała się przez chwilę, co mogło Faye tak wyprowadzić z równowagi, lecz zaraz odsunęła myśl o niej i o jej potencjalnych problemach, bo usłyszała ponowny chrzęst opon na żwirze podjazdu.

Poprosiła uprzednio Jenny, żeby otworzyła drzwi, kiedy przyjedzie Daniel, licząc, że taka ostentacyjna formalność zapewni jej korzystniejszą pozycję w rozmowie. Dlatego między innymi ściągnęła go do Cottingdean, zamiast się z nim umówić w jakimś neutralnym miejscu.

Potrzebne jej będą wszelkie możliwe atuty, przypomniała sobie teraz, słysząc otwieranie drzwiczek samochodu. Daniel cieszy się w City wielkim poważaniem, i to nie tylko jako bystry i rzutki biznesmen, lecz, zaskakująco, także jako człowiek honoru i wysokich zasad moralnych. Zdziwiło ją to trochę, ale czy właściwie powinno? Tej nocy, kiedy nią wzgardził, kiedy obrócił się do niej plecami i potraktował ją, jakby wypełzła z rynsztoka, miała próbkę jego imponującej siły woli i jego zasad moralnych. Mogła była przysiąc, że jej pożąda, czuła to przez cały czas, kiedy go ze Scottem widywali, i była

pewna, że ją weźmie. Była także przekonana, że kiedy to się stanie, ona zdoła się zagubić, wyzwolić ze swojej męki we wspólnej pasji, która ich połączy. Czego właściwie chciała? Wypalić beznadziejną miłość do Scotta w ogniu namiętności Daniela?

Odgłos zatraskiwanych drzwiczek auta przywołał ją do rzeczywistości. Ruszyła ku drzwiom gabinetu, nie mogła się jednak nie zatrzymać na chwilę przed siedemnastowiecznym lustrem w pozłacanej ramie, jedną z aukcyjnych zdobyczy mamusi. Lustro zdobyło niegdyś salon irlandzkiego dworu i miało w ramie wyrzeźbiony herb możnego rodu, na którego zamówienie zostało wykonane. Stanowiło piękny okaz sztuki snycerskiej, z każdym detalem wypracowanym pieczo-

łowicie w owocowym drewnie ramy, Sage jednak ledwo rzuciła na nią okiem, skupiając zamiast tego uwagę na swoim nienagannym makijażu, sprawdzając, co zobaczy Daniel, kiedy spojrzy na jej twarz.

Czy przyrówna obecne, śmiało zarysowane wargi, pociągnięte dyskretnie pastelową szminką, do owych drżących, nabrzmiiałych warg dziewczyny, która wówczas wzywała jego imienia w śmiertelnym bólu i zgnębieniu? Czy popatrzy w jej umiejętnie umalowane oczy i dostrzeże, zamiast opanowania i doświadczenia, które się w nich obecnie malują, cierpienie i błaganie jej ówczesnego, dziewiętnastoletniego wcielenia? Czy spojrzy na jej włosy i zobaczy, zamiast sztucznie zaprowadzonego ładu, niesforną płataninę zmierzwionych kędziurów, otaczających pomazaną łzami twarz, kiedy wówczas cisnęła w niego obelgi, doprowadzona do nieprzytomnej, szaleńczej żądzy zranienia go tak, jak on ją zranił.

Dostatecznie ciężko było jej żyć ze świadomością, że Scotta nie nęka ten sam przemożny głód skonsumowania ich miłości, co ją. Wmawiała sobie, że on ma rację, że nalegając na czekanie daje dowód, jak bardzo ją kocha i szanuje, że chcąc, by poznali nawzajem swoich rodziców, nim zostaną

kochankami, przejawia jedynie troskę o nią, którą tak bardzo sobie ceniła. Kiedy jednak wzgardził nią Daniel, którego płomienne spojrzenia podchwytywała niejednokrotnie, kiedy ten Daniel odwrócił się od niej, oświadczając brutalnie i jednoznacznie, że jej nie chce, dotknęło ją to tak boleśnie, jak nigdy nic dotąd. Ogarnęły ją wówczas pierwsze poważne wątpliwości co do swojej osoby, co do swojej atrakcyjności i wartości jako kobiety. Skoro nie jest godna pożądania i pożądana, to czemu doświadcza tej pulsującej, dojmującej potrzeby zespolenia z drugą istotą ludzką, czemu jest skazana na upokorzenie tego jałowego rozbudzenia, tego niepotrzebnego pociągu fizycznego?

Czym wobec tego jest? Kobietą pozbawioną prawdziwej kobiecości, atrakcyjności seksualnej, zdolności podniecania i bycia w zamian podniecaną?

Za drzwiami rozległ się stukot staroświeckiej kołatki. Sage odwróciła się śpiesznie od lustra i weszła do gabinetu, który omiotła szybko wzrokiem, sprawdzając, czy sceneria została przygotowana tak, jak sobie tego życzyła. Jenny rozpałała na kominku ogień, nadający pokojowi aurę przytulności i ciepła, które - miała nadzieję Sage - sprawią, że Daniel się rozluźni i poczuje swobodny, a w konsekwencji nie będzie się miał tak na baczności.

Na srebrnej tacy połyskiwała w świetle płomieni karafka sherry i kryształowe kieliszki. Sherry należało do nielicznych pozostałości z piwnicy dziadka, które uszły uwagi Kita, kieliszki były ze szkła waterfordzkiego i miały zabytkową wartość. Natomiast specjalnej wartości materialnej nie przedstawiała platerowana taca, ofiarowana mamusi w dowód wdzięczności przez dzieci z miejscowego gimnazjum, o którego

utrzymanie i funkcjonowanie stoczyła ona swego czasu kampanię i na rzecz którego łożyła pokażne sumy, zarówno z funduszy prywatnych, jak fabrycznych, tak że stanowiło ono obecnie jedną z lepiej wyposażonych szkół w Anglii. Na lśniącej powierzchni wygrawerowana była legenda z nazwiskiem mamusi i datą wręczenia.

Do niedawna Sage patrzyła na tacę z ironią, dziwiąc się, że mamusia, która lubi się otaczać rzeczami pięknymi i wartościowymi, zdaje się przywiązywać do niej taką wagę. Teraz czuła, że to rozumie, a ta nowa świadomość napełniała ją pokorą.

Usłyszała w holu kroki, potem głosy, wesoły i dźwięczny Jenny, niższy, przytłumiony i bardzo męski Daniela.

Poczuła, jak ściskają jej się mięśnie brzucha, kiedy Jenny, zapukała do drzwi, a kiedy się otworzyły, zdała sobie z rozpaczą sprawę, że kuli palce w pantoflach jak przerażona dziewczynka.

Nie takie chce zrobić wrażenie. Ze zmarszczonym czołem rzuciła okiem na nienagannie skrojony żakiet i zdjęła z niego niewielki pyłek. Był to strój, którego nie znosiła. Nakładała go normalnie na nie lubiane zebrania i spotkania z klientami, wiedziała jednak, że nadaje jej odpowiednio wysmakowany, światowy wygląd. Prosta, krótka spódnica podkreślała jej kobiecość, długi dwurzędowy żakiet stanowił ostrzejszy, dysnansowy akcent autorytatywnej męskości. Kostium był uszyty z miękkiej wełny w kratę *a la* księżę Walii, a wełna, odkryta z rozbawieniem Sage, pochodziła z fabryki mamusi.

Pod żakiem miała szytą na zamówienie, kremową jedwabną bluzkę koszulową, a pod nią... pod nią równie prostą i jeszcze kosztowniejszą jedwabną bieliznę, stanowiącą jeden z niewielu zbytków, na jakie sobie pozwalała. Kupowała ją u Rigby'ego i Pelleri w Londynie, ale kiedy pracowała, to znaczy przez większą część czasu, wkładała na nią dzinsy i za dużą męską koszulę. Zresztą, kiedy nie pracowała, ubierała się właściwie tak samo, z wyjątkiem formalnych „spędów” towarzyskich, w których rzadko i niechętnie brała udział, oraz wizyt w Cottingdean, u mamusi, która również wymagała przestrzegania określonych form.

Dotąd Sage uważała te wymagania mamusi za małostkowe, za jeszcze jeden dowód jej nieumiejętności przystosowania się do ducha czasu, teraz jednak, po lekturze pamiętników, zaczynała widzieć to w innym świetle, rozumieć, jak trudno byłoby kobiecie wychowanej tak jak mamusia, poślubionej tak młodo mężczyźnie pokroju tatusia, kobiecie, która zaznała tylu trudności materialnych, jak trudno byłoby jej się wyzbyć całozyciowych przyzwyczajzeń i przyoblec w niedbały bezklasowy strój, który ona, Sage, tak lubi.

Jeśli ona z kolei urodzi kiedyś córkę, czy też będzie jej tak trudno się z nią porozumieć, czy też nie będzie umiała przetrząść mostu nad dzielącą je przepaścią?

Córka... Dziwne, że pomyślała o macierzyństwie akurat teraz, skoro nie przyszło jej to do głowy od tak dawna, skoro nie pozwalała sobie na myślenie o tym od utraty Scotta.

Uspokajała siebie do tej chwili, że jest więcej niż gotowa na spotkanie z Danielem, że z jego fizyczną obecnością nie

wiążą się już żadne urazy ani obawy, że po pierwszym szoku, kiedy go ujrzała wchodzącego tamtego wieczora na salę... Ledwo jednak przekroczył próg gabinetu, wiedziała, że to nieprawda.

Czemu, choć jest stosunkowo wysoką kobietą, sama jego sylwetka zapiera jej dech w piersiach i przyprawia o szybsze bicie serca? Jest wysoki, ale nie za wysoki, szeroki w barach, ale bez niemal małego torsu niektórych barczystych mężczyzn, który ją raczej odpychał niż pociągał.

Kiedy zaczął się zbliżać, wypatrywała w jego gęstej ciemnej czuprynie śladów siwizny, a nie dostrzegłszy ich, zastanowiła się, czy przypadkiem nie farbuje włosów, zaraz jednak odrzuciła tę myśl jako nieprawdopodobną. To nie w jego stylu, choć głowę ma ostrzyżoną i wymodelowaną przez dobrego fryzjera.

Jeszcze teraz, z wypielęgnowanymi paznokciami, dłonie i przeguby miał żylaste i brązowe, jakby nadal spędzał długie godziny na pracy fizycznej wraz ze swymi robotnikami. Sage przypomniała sobie, jak podziwiał go za to Scott. Wyliczał jej cnoty Daniela, a ona szydziła z jego nowego przyjaciela, utrzymując, że go nie lubi.

Scott... Co on teraz robi? Czy myśli o niej czasami? Wie-
działa, że się ożenił, bo ktoś anonimowy zadał sobie trud przysłania jej australijskiego magazynu, w którym pod nagłówkiem „Mariaż roku” opisano jego ślub z córką bogatego biznesmena.

Było to sześć lat temu, a Scott nie wyglądał na zdjęciach na nieszczęśliwego. Listy, które do niego pisała w gorączkowej udręce pierwszego okresu po rozstaniu, wróciły wszystkie nie rozpieczętowane. Na swoje telefony nie otrzymała żadnego odzewu. Tylko raz dostała krótką notkę od ojca Scotta, w której informował, że Scott powraca do zdrowia i nie życzy sobie, żeby do niego pisała.

Lat między wypadkiem a małżeństwem Scotta wolała nie pamiętać. Odurzała się w nich mocnym, upajającym winem życia i przekonała, że przyprawia ją to niekiedy o przykrego kaca moralnego, z którego trudno się potem wyleczyć.

Odrutką, do której się uciekała albo próbowała uciekać dla wymazania z pamięci przeszłości, były przyjemności płci. Trwa-
ło to do dnia, gdy obudzwszy się rano stwierdziła, że

wolałaby
się znajdować w łóżku sama niż w towarzystwie
mężczyzny,
z którym spędziła noc. Uznała wówczas, że uciechy
cielesne
mogą służyć jako odtrutka tylko dopóty, dopóki się wierzy
w ich
siłę uzdrowicielską, i koniec końców lepiej jest spojrzeć w
oczy
przykrym faktom i znosić ból, jaki niosą, niż szukać
dalszego
zapomnienia. Powiedziała sobie, że przygody seksualne,
choć
przynoszą przyjemność ciału, są w ostatecznym
rozrachunku
uczuciowo jałowe, a uganianie się za nimi to z jej strony
działa-
nie samoniszczycielskie, które uprawia łudząc się, że
czyni to
jedynie dla zaspokojenia zmysłów.

Potrzebowała wielu samotnych godzin bolesnej
autoanali-
zy, żeby sobie uświadomić, że to, co robi, to karanie,
okalecza-
nie, unicestwianie samej siebie.

Działo się to ponad sześć lat temu, ale kolumny plotek
towarzyskich przypisywały jej nadal zmienianych w nieskoń-
czoność kochanków, podczas gdy w rzeczywistości... w rze-
czywistości nie ma ich wcale od dwóch lat a i przedtem było
ich znacznie mniej, niż chcieli dziennikarze.

Tyle że tamci mężczyźni za nią szaleli, niektórzy niemal do
oblędu, w przeciwieństwie do tego tu, myślała, gdy Daniel
zbliżał się do niej.

Nie zmienił się właściwie, dojrzał tylko, zmężniał, nabrał
doświadczenia. Jego przenikliwe szare oczy są wciąż takie
same, zdają się dostrzegać więcej, niżby sobie życzyła, uścisk
dłoni tak samo zdecydowany, usta wciąż niepokojąco namięt-
ne, nawet gdy się rozciągają w chłodnym, baczny uśmiech-
ku, z jakim ją lustruje.

- Danielu, dziękuję bardzo, że znalazłeś czas, żeby tak
szybko przyjechać.

Obdarzyła go uśmiechem, bezosobowym, zawodowym
uśmiechem, wyćwiczonym dla odstręczenia klientów, którzy
mieli czelność zakładać, że jest do kupienia nie tylko jako
malarka fresków, lecz także jako kobieta.

- O ile mnie pamięć nie myli, nie zostawiłaś mi wielkiego
wyboru.

Głos mu się zmienił, zrobił niższy, pewniejszy, bardziej
opanowany. Może tak jak jego właściciel?

Przygląda się biurku mamusi, stwierdziła Sage.

- Piękna robota - zauważył, oceniając je fachowym okiem.
- Podobno, chociaż ja nie bardzo się znam na antykach.

Mamusia wynalazła je gdzieś w Irlandii. Była na tyle przewi-

dująca, że zaczęła skupować starocie w latach pięćdziesiątych, kiedy rozbierano wiele zabytkowych domów, a większość ludzi umarłaby ze wstydu, gdyby musiała pokazać gościom mebel mający więcej niż pół roku.

Daniel uśmiechnął się w duchu z jej określenia mianem „staroci” przedmiotów, które są bez wątpienia drogocennymi antykami. Zaskoczyło go w pierwszej chwili, kiedy został wprowadzony do tego pokoju i zobaczył Sage wychodzącą zza biurka, ubraną jak zimna amerykańska *businesswoman*. No, powiedzmy, jak bardzo kobieca, niepowtarzalna wersja osoby tego pokroju.

Zastanowił się z przekąsem, czy świadomie nałożyła tę jedwabną bluzkę po to, żeby uwydatnić piersi, ale zaraz odrzucił to przypuszczenie jako krzywdzące. O ile znał Sage - a mimo owego końcowego katastrofального tete-a-tete uważał, że ją znał dobrze w dawnych czasach - nie mógł jej nigdy posądzić, że jest rozmyślnie wyzywająca seksualnie. Nie potrzebowała tego.

Ciekaw był, czy prawdziwe są słuchy, jakie go ostatnio dochodzą, że żyje na dobrą sprawę w celibacie. Stanowiłoby to nie lada nowość po latach, kiedy zmieniała kochanków niemal równie często jak toalety, jeśli prawdą były krążące plotki. No cóż, mimo wszystko cechowała ją zawsze jakaś nieoczekiwana czystość wewnętrzna.

Pamiętał, jak naskoczyła pewnego razu na Scotta, kiedy zaproponował beztrąsko spróbowanie narkotyków halucynogennych, tak wówczas modnych wśród części studentów. Płomiennie i plastycznie opisała niebezpieczeństwa, jakie się kryją w takich eksperymentach. Daniel ani w owym czasie, ani nigdy później nie czuł pociągu do bawienia się narkotykami, lecz uderzyło go wtedy silnie, że Sage nosi w sobie nieprzeciętny potencjał charakteru i przekonań, a kiedy jej poglądy się wykrystalizują, nie będzie ich zmieniała pod żadnym naciskiem. Więc jeśli postanowiła żyć w celibacie, to z pewnością potrafi w tym wytrwać.

- Mówiłaś, że chcesz coś ze mną przedyskutować - przypomniał jej Daniel, gdy mu wskazała fotel. - Jakąś rzecz nie cierpiącą zwłoki.

- Ta-ak. Prosiłam Jenny, żeby nam podała herbatę. Chyba że wolisz kawę?

W dawnych czasach pijał kawę, tylko kawę, teraz jednak, słysząc jej zwodniczo słodką propozycję, patrząc w jej ostrożne zielone oczy, skrzywił usta w równie krokodylim uśmiechu i potrząsnął głową.

- Chętnie napiję się herbaty. Jak wszyscy, zrobiłem się może przeczulony na punkcie zdrowia. W każdym razie groźba zatrucia kofeiną skłoniła mnie do całkowitego przerwania się na herbatę.

Sage odwróciła się do niego plecami. Usłyszał, jak mówi, przeciągając drwiąco słowa:

- Dobry Boże, jak nisko upadają moiżni tego świata. Czy naprawdę ten dawny silny człówek z walijskich gór boi się teraz wypić filiżankę kawy, żeby mu przypadkiem nie pobudziła zbytńnio wydzielania adrenaliny?

Daniel, nie reagując na zaczepkę, odpowiedział po prostu, z fałszywą uprzejmością:

- Och, wszyscy staliśmy się w ostatnich czasach bardziej wrażliwi na punkcie zdrowia, nie uważasz?

Jeśli dosłyszała w jego tonie drwinę, nie dała tego po sobie poznać. Nauczyła się w ciągu tych lat panować nad rumieńcami, które tak szybko i zdradliwie wykwitwały dawniej na jej policzkach. Teraz, kiedy się do niego z powrotem obróciła, w jej zielonych oczach tylko na moment zabłysło coś, co mogło być równie dobrze gniewem, jak rozbawieniem.

- Orientujesz się z pewnością, że musiałam dość nieoczekiwanie zająć miejsce w komitecie - oznajmiła, zmieniając całkowicie temat. - Przed tamtym zebraniem nie miałam czasu zapoznać się wystarczająco z problemem...

- Nie? A propos, jak się ma twoja mama? Ukrył uśmiech, kiedy uniosła brwi w zaskoczeniu.

- Bez zmian - odparła tonem sugerującym, że Daniel nie ma prawa, żadnego prawa do takich poufałości względem jej rodziny.

Dawniej, nawet kiedy już wiedział, że jest synem Roberta Cavanagha, nie Johna Ryana, rozgniewałby Daniela taki ton, dotykający wrażliwych strun jego duszy. Teraz miał już dość dojrzałości i poczucia humoru, żeby się tylko uśmiechnąć wewnętrznie.

Jego spokojne rozbawienie ubodło Sage. Zapomniała na moment, że jest jej wrogiem, niebezpiecznym wrogiem, i zareagowała na ten przejaw jego męskiej wyższości w sposób, w jaki by dawniej zareagowała wobec tamtego Daniela.

- Czyżbyś znał moją matkę? - rzuciła gniewnie.

Pożałowała tych słów, ledwo je wypowiedziała. Oczywiście, że jej nie zna, a ona, robiąc z tego kwestię, zachowała się jak smarkula. Jednakże, ku jej zaskoczeniu, zamiast zaprzeczyć, Daniel odrzekł:

- Nie śmiałybym twierdzić, że ją znam. Sądzę, że bardzo niewielu ludzi mogłoby to powiedzieć. Ale przy jedynej okazji, kiedyśmy się zetknęli, zrobiła na mnie wrażenie niezwyklej kobiety.

Sage otworzyła usta ze zdumienia. Nim je zdążyła zamknąć, zauważyła, że Daniel przygląda jej się z uśmiechem.

- Bo połkniesz muchę, Sage - zażartował. Zaciśnęła gniewnie wargi.

- Poznałem twoją mamę, kiedy po raz pierwszy ogłoszono projekt budowy autostrady. Przyszła na wstępne zebranie publiczne, na którym też byłem.

Nie powiedział Sage, że jej matka podeszła do niego specjalnie, ale nie ze względu na jego funkcję prezesa firmy, która ma budować ich odcinek autostrady, tylko dlatego że zapamiętała jego nazwisko, jak mu wyjaśniła, jako nazwisko młodego człowieka, który telefonował kilkakrotnie dowiadywać się o zdrowie i samopoczucie Sage w owych ponurych miesiącach po jej rozstaniu ze Scottem. Rozmawiała z nim wówczas długo, a po tej rozmowie Daniel zaczął nieco lepiej rozumieć wiele spraw, które go intrygowały w Sage.

Wściekła na siebie, Sage odwróciła się od niego znowu.

Czemu, u Boga, nie pomyślała o tym, że Daniel mógł poznać mamusię jako przewodniczącą miejscowego komitetu protestacyjnego?

- Tak. Zapomniałam, jaką jesteś obecnie ważną figurą - odparła cierpko. - Prezes rady nadzorczej wielkiego konglomeratu budowlanego. Dyrektor mniejszej firmy, wchodzącej w jego skład...

- Hm - mruknął Daniel nie wiedząc, do czego Sage zmierza, ale raptem pewien, że przechodzi do sedna sprawy, w której chciała się z nim tak pilnie zobaczyć.

- Więc nie zaprzeczasz, że jesteś dyrektorem Domów Heverowskich? - natarła Sage.

Daniel zmierzył ją zdziwionym wzrokiem, po czym wrzucił ramionami.

- A czy jest powód, dla którego miałbym zaprzeczyć?

- Nie wiem - odrzekła Sage z przekąsem.

Jest jak wąż, który się szykuje do ukąszenia, pomyślał Daniel obserwując ją, zafascynowany sposobem, w jaki zmienne nastroje odbijają się w zielonych głębiach jej oczu. Oto kobieta, która, choćby nie wiem jak się starała, nigdy nie będzie zdolna ukryć swoich uczuć. Przynajmniej nie przed tymi, którzy ją znają.

Uderzyło go z nową ostrością, że pamięta ją zbyt dobrze, zbyt intymnie jak na człowieka, który rzekomo odrzucił wszelką myśl o niej przed piętnastu laty. Dziwiło go, że Sage roztacza aurę takiej wrażliwości i bezradności, kiedy skądinąd dobrze wiadomo, że miała tabuny kochanków. Nie uszedł jego uwagi sposób, w jaki się cofnęła, kiedy wszedł do pokoju. Nie jak osoba zagniewana, że ktoś obcy ośmiela się wkroczyć na jej prywatne terytorium, lecz jak kobieta zagrożona i przestraszona zbytnią bliskością osobnika płci przeciwnej.

Zaskoczyło go to i zaintrygowało od razu, tym bardziej że było tak szybkie i instynktowne, iż z pewnością wolne od wszelkiego wyrachowania.

Jest wielkim splotem przeciwieństw. Młoda dziewczyna, pozująca na kobietę światową. Rozpustnica, gustująca według plotek w uciechach dla uciech, która się cofa poza zasięg męskiego ramienia jak trwożna dziewica. A przecież co jak co, ale dziewicą nie jest. Czy za tym pierwszym razem myślała o Scotcie, wyrwała się do niego całą swoją namiętą naturą? Czy wróciwszy potem do samotnego łóżka leżała, wyobrażając sobie, że mężczyzną, któremu ofiarowała swoje dziewictwo, był jej niezapomniany, nad miarę kochany Scott?

Przerwała im na chwilę Jenny, która weszła z herbatą na tacy, po czym szybko się wycofała.

Sage przystąpiła do nalewania herbaty z tym samym wrodzonym wdziękiem, z jakim robiła wszystko. Jednakże w jej ruchach była tym razem jakaś niepewność, niemal niezręczność, która spowodowała, że w pewnej chwili Daniel instynktownie wyciągnął rękę, żeby podtrzymać jej dłoń z imbryczkiem. Gdy tylko jego palce zacisnęły się na jej przegubie, poczuł napięcie. Jego kciuk trafił przypadkiem na jej puls i zatrzymał się na nim, czując przyspieszony rytm, dopóki

Sage nie zaprotestowała zdławionym głosem:

- Nie dotykaj mnie!

Ich oczy spotkały się na moment i Daniel ujrzał w nich to, do czego duma nie pozwalała jej się przyznać - potwierdzenie, że pamięta równie dobrze jak on noc, kiedy go błagała o coś wręcz przeciwnego.

Puścił powoli jej przegub, wiedząc, że jeszcze długo po rozstaniu z nią będzie czuł na palcach dotyk jej skóry.

- Co takiego chciałaś mi powiedzieć, Sage?
- Otóż... - zaczęła, stawiając imbryczek.

Nie ufając swoim dłoniom, wskazała mu filiżankę, zamiast ją podać. Starła się ze wszelkich sił stworzyć pozory panowania nad sytuacją, która - czuła to - zaczyna jej się groźnie wymykać spod kontroli.

- Otóż dowiedziałam się przypadkiem, że kupiłeś za pośrednictwem Domów Heverowskich sąsiedni dwór i majątek, które należały do Agnes Hazelby. Zamierzasz zapewne wybudować na tym terenie osiedle tandetnych domków pseudo-georgiańskich czy coś w tym rodzaju - oświadczyła z szyderstwem - a przy okazji dobrze na tym zarobić. Kupiłeś te tereny, zanim projekt nowej autostrady został podany do wiadomości publicznej, działałeś zatem na podstawie poufnego przecieku informacji, czyż nie tak? Nie zrobiłoby to zbyt dobrego wrażenia, gdyby prasa ogłosiła, że prezes taki a taki, chlubiący się swoją moralnością i uczciwością, posłużył się dla zysku zakulisowymi machinacjami. Że, nazywając rzecz po imieniu, wszedł w posiadanie majątku na dobrą sprawę drogą oszustwa, zapewniając poprzednią właścicielkę, że nie rozbierze dworu, że go zostawi w obecnym stanie.

Daniel, nie spuszczać z niej wzroku, popijał z namysłem herbatę. Sage wstrzymała dech, czekając, kiedy się oburzy, przystąpi do kontrataku, spróbuje odeprzeć jej oskarżenia. Zamiast tego powiedział spokojnie, odstawiając filiżankę:

- Zadałaś sobie dużo trudu, Sage. Czego właściwie ode mnie chcesz?

Teraz ona go zmierzyła wielkimi oczyma. Spodziewała się po nim czegoś więcej. Wybuchu gniewu, sarkazmu, pogardy dla taktyki, którą obrała. Wszystkiego, tylko nie tej spokojnej rezerwy.

Minęła dłuższa chwila, nim się zorientowała, że Daniel czeka faktycznie na jej odpowiedź. Kiedy do niej przystąpiła, stwierdziła, że jej głos jest zdławiony i chrapliwy, że brzmi niepewnie, jakby prosiła o uprzejmość, zupełnie nie jak głos zwyciężczyni, dyktującej warunki.

- Chcę, żebyś... żeby Towarzystwo Budowlane Cavanaugh wycofało się z kontraktu na budowę autostrady.

Nawet to go nie wyprowadziło z równowagi.

- A to z jakiego powodu? Chciałbym wiedzieć, czy to osobista wendeta, rachunek za błędy przeszłości - zawiesił

głos, bacznie ją obserwując - czy też kryje się za tym jakiś bardziej altruistyczny motyw?

Po raz pierwszy tego wieczoru zobaczył, jak jej twarz oblewa się purpurą. Zrobiło mu się jej prawie żal, kiedy patrzył, jak z rezolutnej kobiety interesu przemienia się w niepewną dziewczynkę.

Ma obecnie trzydzieści cztery lata, a jej twarz pozostała równie czysta i delikatna, jak kiedy miała dziewiętnaście. Wszystko się w nim wrywało, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jej skóry, przekonać się, czy jest tak samo ciepła i gładka, czy nadal smakuje pod wargami tak, jak zapamiętał. Zamknął oczy i momentalnie tego pożałował, bo nawiedziła go wizja sprzed piętnastu lat, obraz jej nagiego ciała i wyciągniętych do niego ramion.

- Jak śmiesz sugerować, że może się za tym kryć cokolwiek osobistego? Czy naprawdę uważasz, że jestem idiotką, która przez tyle lat pielęgnuje urazę? I że w ogóle to, co kiedyś między nami zaszło, ma jeszcze dla mnie znaczenie? Chodzi mi wyłącznie o autostradę, Danielu, i nic do rzeczy nie ma fakt, że cię znam. Prawdę mówiąc, wolałabym mieć do czynienia z kimś nieznanym. Nie jestem mamusią, nie mam jej doświadczenia i umiejętności, ale zrobię wszystko, żeby jej nie zawieść.

Sage wstała i zaczęła krążyć po gabinecie.

- Kiedy tu przyjechałam i zetknęłam się z tą sprawą po raz pierwszy, wydawało mi się idiotyzmem robić tyle szumu dookoła głupiej autostrady. Co to ma za znaczenie, którędy przebiegnie? Musi którędyś przebiec i wiadomo, że czyjś ogródek musi zostać zrujnowany, czyjeś pole poświęcone. Czemu nie mają to być mieszkańcy tego miasteczka? Potem się jednak dowiedziałam, co ludzie o tym myślą, i zrozumiałam, jakie będą naprawdę skutki przeprowadzenia tędy autostrady. Cottingdean to nie martwe miasteczko, służące za sypialnię ludziom, dojeżdżającym do pracy w Londynie czy mieszczu-

387

chom, przyjeżdżającym na weekendy. To miejsce, które ma nie tylko przeszłość, ale i przyszłość, gdzie ludzie pracują i chcą, żeby żyły i pracowały ich dzieci i wnuki. I wcale sobie nie życzą, żeby ich egzystencja została zakłócona przez autostradę, która może zostać śmiało przeprowadzona naokoło, nie między ich domami. Sage przerwała na chwilę.

- Mamusia miała niewątpliwie jakiś plan działania. Pojechała do Londynu w dniu wypadku. Nie wiem, z kim się chciała zobaczyć, ale nie ulega wątpliwości, że nie brakuje jej

wpływowych przyjaciół. Mnie jest potrzebny czas, czas, żeby wyzdrowiała i włączyła się z powrotem do akcji. Mogę jedy- nie odwlekać sprawę, a do tego potrzebna mi twoja pomoc. Wszystko zależy od ciebie. Wycofaj się z kontraktu, a ja zapo- mnę o tych terenach.

Zagryzła wargi.

- Och - wybuchnęła nagle - to nie znaczy, że pochwalam to, co zrobiłeś. Uważam, że to nikczemne!

Stwierdziła z niesmakiem, że drży jej nie tylko głos, lecz że drży cała. Daniel wpatrywał się w nią. Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. W jego oczach widziała tylko spokojny chłód i twarde nieprzejednanie.

- Mam rozumieć, że chcesz mnie szantażem zmusić do wycofania się z kontraktu? - spytał zimno.

Szantaż. Wzdrygnęła się w duchu na to słowo i poczuła winna, jakby zbrukana.

- Możesz sobie to nazywać szantażem, jeśli chcesz - od- parła wyniośle. - Ja nazywam to wykorzystywaniem własnych atutów. W końcu to nie ja obiecałam chorej staruszce, że się zaopiekuję jej dworem, odrestauruję i będę w nim mieszka- ła.

- Nie, to nie ty, fakt - przyznał posępnie Daniel.

Wstał tak raptownie, że ją to zaskoczyło. Cofnęła się odruchowo, bo zaczął iść ku niej, Zobaczyła, jak się uśmiecha, widząc jej reakcję.

Niech go diabli! Co on sobie wyobraża? Ona nie jest wątłą staruszką, którą można tak łatwo zastraszyć.

- Więc jak będzie? - zapytała agresywnie
- Potrzebuję trochę czasu do namysłu.

Sage się zmieszala. Nie przewidywała takiej odpowiedzi. Spodziewała się natychmiastowego tak lub nie, wściekłego wybuchu, brutalnych oskarżeń, może nawet jakiejś groźby czy szarpaniny, ale nigdy tego chłodnego, niezrozumiałego żądania czasu do namysłu, które wydało jej się podejrzane. Spojrzała na niego nieufnie.

- Ile?
- Dwa dni. Za dwa dni dam ci odpowiedź.

Miała ochotę się z nim spierać, żądać niezwłocznej decyzji, ale coś ją powstrzymało, jakiś instynkt, któremu zawierzyła. Zaakceptowała jego warunki milczącym skinieniem głowy, z gorzką świadomością, że w podstępny sposób, perfidnie, zdołał tym przejąć z jej rąk kontrolę nad sytuacją.

Najchętniej wezwałaby teraz Jenny, żeby go wyprowadziła, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Po pierwsze, liczyła

się z tym, że byłby zdolny do wyjścia samemu bez czekania. Po drugie... po drugie, było to sprzeczne z wszelkimi zasadami grzeczności wpojonymi jej przez mamusię, a tych nie potrafiła się wyzbyć nawet w tej sytuacji.

Czując się idiotycznie i dziwnie niepewnie, odprowadziła go do drzwi wyjściowych. Otworzywszy je, powiedziała sucho:

- Dwa dni, Danielu. To wszystko. Potem podam sprawę do prasy.

- Dwa dni.

Zatrzymawszy się na schodkach, niżej od niej, miał oczy dokładnie na wysokości jej oczu. Już się odwracając, zapytał od niechcienia:

- A propos, czy nie miałaś ostatnio wiadomości od Scotta? Wybieram się w interesach do Australii, może bym go odwiedził. Wymieniamy nadal życzenia gwiazdkowe. Nie wiesz pewnie, że ochrzcił swego pierwszego syna moim imieniem?

Sage poczuła, jak dech ulatuje jej z płuc w dławiących, bolesnych spazmach, niczym krew, tryskająca ze śmiertelnej rany. Kiedy się odwrócił i zanurzył w ciemność, stała jak wrośnięta, modląc się, żeby się nie obejrzał i nie zobaczył w jej oczach łez zrączych jak kwas.

Scott... Scott... Do dziś dnia jakaś cząstka jej duszy rwała się do niego, nie chciała się pogodzić z tym, że odszedł na zawsze. Sage nie pożałowała go już, przestała go pożądać wiele lat temu - jeśli chodzi o ścisłość, owej nocy w saloniku Daniela - ale nie przestała odczuwać jego braku. Wciąż miała wrażenie, że tracąc go utraciła jakąś cząstkę siebie, że bez niego jest jakby fizycznie niepełna.

Tak, utrata Scotta pozostała otwartą raną, która się nigdy nie zagoi. Utrzymywała to w tajemnicy przed wszystkimi, którzy ją znają, ale pojawił się ten człowiek, który jej wcale nie zna, a który, okazuje się, zna ją tak dobrze. Który odczytuje jej najskrytsze myśli, który paroma słowami wypowiedzianymi mimochodem pokazał jej, jaka jest wobec niego bezsilna, jak mało ma przed nim tajemnic.

Drżąc weszła do domu, zastanawiając się, co jeszcze mogła mu mimo woli zdradzić. Jakie jeszcze jej tajemnice zdołał zgłębić? Jakie jeszcze swoje słabości nieopatrznie przed nim obnażyła?

Sage obudziła się raptownie. Resztki koszmaru spowijały jeszcze jej umysł jak lepkie pasma mgły, zniekształcając widzenie, nim zaczęła po trochu postrzegać rzeczywistość.

Śniło jej się dzieciństwo, śnił jej się tatuś. Wyrwała się do niego, pragnęła jego miłości i akceptacji, jakimi cieszył się Dawid.

We śnie nic nie krępowało ślepej zazdrości i gniewu, które tak silnie odczuwała w dzieciństwie, a którym surowa kontrola mamusi nigdy nie pozwalała się uzewnętrznic, jednakże

danie im ujęcia nie sprawiło jej spodziewanej satysfakcji i nie przyniosło ulgi, lecz raczej mdlącą świadomość, kiedy stała patrząc w wyniosłą, obcą twarz tatusia, że oto do jego niechęci i dezaprobaty doszła pogarda.

Czemu nie kochał jej tak jak Dawida? Czy dlatego że jest dziewczyną? Kiedyś tak myślała, bo łatwiej było się pogodzić ze świadomością, że jest odrzucana ze względu na swoją pleć, nie z powodu jakiejś wrodzonej skazy w sobie.

Dotknęła twarzy i nie zdziwiło jej, że jest zalana łzami. Zamknęła na chwilę oczy, żeby się wyswobodzić z koszmaru, wyrzucić z pamięci tę porażającą chwilę jasności, kiedy spojrziała w twarz tatusia i zobaczyła w niej ową nagą nienawiść. I nagle, zaskakująco, jego rysy rozplynęły się w mroku, by zaraz ułożyć się w inną twarz - teraz patrzył na nią z urazą i pogardą nie tatuś, tylko Daniel.

Daniel... Co ona robi, jeśli odrzuci jej żądanie? Czy faktycznie zdemaskuje go przed prasą, będzie ją na to stać? Zasluguje na to po niegodziwości, jaką popełnił. Wstrząsnął nią dreszcz, przycisnęła ramionami kolana do piersi. Nawet jeśli Daniel ulegnie, jeśli się wycofa z kontraktu, to wkrótce zastąpi go ktoś inny. Nie da się wstrzymywać w nieskończoność budowy autostrady. Czy zwłoka, jaką uzyska, wystarczy, żeby mamusia wyzdrowiała i wzięła sprawę z powrotem w swoje ręce?

Przesunęła palcami przez gęstwinę swoich włosów. Miała wrażenie, że wyciekła z niej cała energia, tylko umysł jest nadmiernie czynny, splątane myśli pędzą gorączkowo.

Nie potrzebowała psychiatry, by wiedzieć, że koszmar został wywołany jej wątpliwościami co do własnego postępowania, jej lękami i niepewnością. Nie rozumiała tylko, dlaczego jej lęki oblokły się w rysy Daniela. A może wolała nie rozumieć?

Daniel był zawsze bardzo męski, należał do gatunku mężczyzn, którego odruchowo unikała, kiedy była młodsza, wyczuwając w sobie niebezpieczną podatność na ich seksapil, na charyzmat, którym muszą instynktownie próbować podporządkować sobie kobietę. Nie wiedzieć czemu już w tamtych czasach czuła, że byłaby zupełnie bezbronna w takim intensywnym związku, że coś w niej niemal pragnie, by została porwana przez energię płciową, jaka promieniuje od Daniela, że jakaś jej część jest gotowa się poddać jej potędze, wyrzec własnej woli i niezależności, wszystkiego, do czego przez całe życie dążyła.

Była jak zwierzę zafascynowane ogniem, rwące się do jego jasności i ciepła, choć wie, że zbliżenie się może oznaczać zgubę. A jednak trwała w bliskości płomieni, buntując się przeciwko sile ich przyciągania, nienawidząc siebie i nienawidząc Daniela, gdyż wbrew potędze swojej miłości do Scotta - miłości, która miała w sobie ostrą, jasną czystość - Sage była świadoma ciemniejszej strony swojej natury, wiedziała, że zaczyna ona z wolna brać w niej górę, że reaguje na wszystko, co jest męskie w Danielu, w sposób, w jaki żadna jej część nigdy nie reagowała na nic w Scotcie. Wiedziała, że Daniel posiada moc sięgnięcia do najbardziej intymnych zakamarków jej duszy, które ona trzyma zamknięte, zapieczę-

towane nie tylko przed innymi, ale i przed samą sobą

Lękała się w owych czasach swojej utajonej zmysłowości. Porównując ją z lodowatą czystością mamusi, z sielankowo romantycznym współżyciem Dawida i Faye, dostrzegała przepastną otchłań, istniejącą między ich uczuciami a uczuciami, do których, wiedziała to, jest wbrew samej sobie zdolna. Z gniewem odpychała zew zmysłów, widząc w nim zasadniczą skazę swego charakteru, wyczuwając, w miarę rosnącej dojrzałości - w której było jednak jeszcze zbyt wiele pozostałości dzieciństwa, by mogła się zdobyć na obiektywny i chłodny osąd - że stanowi on dla niej niebezpieczeństwo, może ją uczynić bezbronną, narazić na gwałt cielesny i duchowy. Wiedziała, że się różni od pozostałych członków swojej rodziny, że owe ciemne podskórne soki, które w niej krążą, są odwieczną, potencjalnie niszczycielską klątwą, przed którą musi się nauczyć bronić, nad którą musi się nauczyć panować. Toteż gdy tylko spojrzała na Daniela i poczuła palący odzew ciała, zniechęciła go z całą namiętnością swojej nieokiełznanej natury.

Ktoś nie znający jej tak dobrze, jak ona siebie, zdziwiłby się może, dlaczego, odepchnięta przez Daniela, rzuciła się na oślep w serię namiętnych romansów.

Wy tłumaczeniem było to, że mężczyźni, w ramionach których dawała fizyczny upust swojej zmysłowej naturze, nie mieli mocy dotykania równie namiętnego jądra jej uczuć.

Pożądała ich i znajdowała przyjemność w kochaniu się z nimi, niektórzy działali także pobudzająco na jej intelekt, ale zawsze i nieodmiennie strzegła się zaangażowania uczuciowego, które mogłoby ją narazić na cierpienie.

Życie zgotowało jej twarde lekcje. Nikt z tych, których kochała, nie odwzajemniał z równą intensywnością jej uczucia, wszyscy widzieli jej braki i odpychali ją - tatuś, mamusia, Scott. Bezpieczniej było pozwolić sobie na dawanie tylko fizycznego, seksualnego upustu intensywności własnych uczuć. Zresztą, przyjemność tego też ostatnio zbladła. Jak dziecko przesyczone słodyczami, Sage stwierdziła, że odwraca się od uciech zmysłowych, znajduje trwalszą przyjemność i satysfakcję w pracy, niż kiedykolwiek znajdowała w ramionach kochanka.

Oglądając się teraz wstecz, patrzyła z pewnym rozbawieniem na siebie, jaką kiedyś była. Po raz pierwszy w życiu zaczynała się czuć pogodzona ze sobą, widzieć w sobie kobietę całkowitą, mimo wszelkich swoich wad i niedoskonałości, rozumieć, że może być tylko sobą, że nigdy nie będzie mamusią. Obserwując, jak koleżanki jej lat studenckich wychodzą za mąż, płodzą dzieci i grzęzną w życiu rodzinnym, patrzyła nieco z góry na ich animalne - w jej odczuciu - uleganie dyktatowi hormonów. Ona jest stworzona do życia w samotności, mówiła sobie, odpowiada jej to i nie skarży się na swój los, jest zadowolona, na ile może być zadowolona jakakolwiek istota ludzka. Dawno już wyrosła z wieku, w którym wierzyła, że jedyną prawdziwą wartością życia ludzkiego jest dzielenie go z bratnią duszą, dawno porzuciła beznadziejną pogoń z lat młodości za tą cząstką siebie, którą uważała za brakującą.

Kiedys zdawało jej się, że dopełnienie takie znalazła w Scotcie, wierzyła w to tak intensywnie i namiętnie, że jego utratę przeżyła jak utratę połowy siebie. Teraz, od dłuższego już czasu, rozumiała, że gdyby się pobrali, zniszczyłaby go w końcu, że pod wszystkimi istotnymi względami była od niego silniejsza. A jednak miesiące, które ze sobą przeżyli, wywarły na nią taki łągodzący wpływ, tak bardzo zmieniły jej stosunek do siebie...

Daniel Cavanagh... Do dziś dnia nie zapomniała tego końcowego starcia z nim. Tej nocy, kiedy przyszła do niego w zamęcie rozpaczy i pragnienia, kiedy z rozmysłem przymknęła oczy na wszystko, co wiedziała o nim i o sobie, kiedy...

Skończ z tym - powiedziała sobie wściekle - skończ z tym raz na zawsze. Czy nie dość długo wilaś się w palącym ogniu nienawiści do siebie? Daniel tobą wzgardził i co? Powinnaś mu być za to wdzięczna. Gdybyście zostali kochankami.

Lecz w mroku myśli doznała przeblysku świadomości, ile niebezpiecznych wspomnień kryje się jeszcze w fibrach jej ciała, jak żywo potrafi ono wyczarować dotyk jego długich palców na skórze, dreszcz, przebiegający po zakończeniach nerwów, stężenie pulsujących sutek, wibrujące ciepło w mięśniach brzucha, pragnienie, by sięgnąć i dotknąć go w odpowiedzi, nie delikatnie, po dziewiczymu, lecz gorąco, żarłocznie, z całą namiętnością, która w niej wrzała.

Tak, powinna być wdzięczna, że nią wzgardził. Spaliłaby się w tym ogniu, gdyby uległa.

A jednak ta jego wzgarda kładła się jeszcze czasami cieniem na jej myślach, stanowiła jątrzącą się ranę na poczuciu dumy. Sage budziła się niekiedy w nocy z pulsującymi członkami i zamętem w głowie, z twarzą zlaną łzami i rozpaloną skórą, uświadamiając sobie, że we śnie doznawała po raz nie wiadomo który tych dotknięć tak upragnionych przez ciało i duszę, iż będą jej towarzyszyły po koniec jej dni. Po czym trzeźwość rozpraszała mrok snów i Sage odpychała od siebie to, co uważała za niegodną słabość. Nie pozwalała sobie na myślenie o Danielu już od lat, od momentu gdy ostatecznie dorosła i uznała, że może być samowystarczalna i potrafi żyć sama, że ma więcej siły, determinacji i dumy, niż kiedykolwiek przypuszczała.

Niepotrzebny jej do szczęścia Daniel Cavanagh.

Czemu go więc przewrotnie ściągnęła? Jeśli nawet przewrotnie, to nie ze względów osobistych. Posłużyła się nim dla dobrej sprawy. To wszystko.

Poderwała się niecierpliwie i odrzuciwszy przykrycie, spuściła na podłogę smukłe nogi. Najwyższy czas wstać i przestać rozpamiętywać przeszłość. Ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy zeszła na dół, usłyszała z pokoju śniadaniowego głosy Faye i Kamili, które zdawały się sprzecznać. Wszedłszy zatrzymała się przy drzwiach, słuchając ze zmarszczonym czołem. Głos Kamili był gniewny, głos Faye ostrzejszy niż zwykle.

• Przykro mi, Kamilo, ale nie pozwolę ci jechać. Po pierwsze, masz niedługo egzaminy...

• A jak się nie będę uczyć przez jeden wieczór, to nie zdam, tak? - przerwała jej z oburzeniem Kamila. - Akurat. Nie pozwalasz mi jechać, bo nie chcesz, żebym miała przyjemność.

• Co ty wygadujesz, Kamilo? - zaprotestowała Faye. - Oczywiście, że chcę.

• Nie chcesz-. Gdybyś chciała, tobyś mi pozwoliła jechać. Wszyscy jadą.

• Wszyscy? - zapytała z przekąsem Faye. - Przed chwilą zdaje się mówiłaś, że macie jechać minibusikiem?

Sage ujrzała, jak twarz bratanicy czerwienieje z gniewu.

• No, prawie wszyscy. Nie rozumiem, dlaczego mi nie chcesz pozwolić.

• Nie rozumiesz? Mówisz mi, że jedziesz na prywatkę, ale nie bardzo wiesz, gdzie ona ma być. Mówisz, że jedziesz z koleżankami szkolnymi i że jakiś ich kolega ma zawieźć minibusem, ale nie potrafisz mi podać żadnego nazwiska. Niestety, Kamilo, nie mogę cię puścić z paczką młodzieży, której nie znam, na zabawę w miejscu, którego nie potrafisz mi określić. Zdajesz sobie chyba sprawę z niebezpieczeństwa zabaw, na których mogą być narkotyki...

- Ależ to nie jest nic takiego - zaprotestowała Kamila.

Słowo daję, mamó, chyba nie uważasz mnie za taką głupią?

A zresztą, dlaczego moje pokolenie ma być odpowiedzialne za coś, co zostało zapoczątkowane przez wasze? Wszyscy dobrze wiedzą, co się działo w latach sześćdziesiątych. Trawka, orgie... Wam to uchodziło, a my mamy za to odpowiadać? Nic, tylko wysłuchujemy wiecznych kazań o narkotykach i rozwiązłości.

Faye posłała Sage błagalne spojrzenie nad głową Kamili. Śpiesząc z odsieczą, Sage powiedziała spokojnie:

- Mamusia ma rację, Kamilo. To karygodna lekkomyślność wypuszczać się gdzieś w obecnych czasach z ludźmi, których się dobrze nie zna. Ale ty też masz swoją rację. Nasze pokolenie nie może świecić przykładem. Uważaliśmy beztrąsko, że wolno nam łamać wszystkie tabu, a teraz wasze pokolenie płaci za nasze tak zwane przyjemności. I rozumiem, że chciałabyś się oderwać trochę od nauki - dorzuciła cicho, siadając i udając, że nie widzi nadąsanej miny Kamili.

Żadna z nich nie jest sobą od wypadku mamusi, myślała w duszy. Wszystkie trzy się zmieniły i zmieniają nadal, Kamila może najbardziej, bo żyła z nią najbliżej. Pod tą jej obecną krnąbrnością, podejrzewała Sage, płynie rwący nurt strachu. Kamila jest w tym szczególnie wrażliwym wieku, kiedy utrata kogoś kochanego, na kim się polega, może mieć daleko idące konsekwencje, może zaważyć na całym dalszym życiu.

Sage nie była nigdy dotąd świadkiem gniewnej wymiany zdań między matką a córką i często przyglądała się z zazdrością panującej między nimi zgodzie. Wraz z wypadkiem mamusi ta zgoda przysła, Faye zmieniła się tak samo jak Kamila i ona. Sage nigdy nie widziała bratowej takiej podenerwowanej i takiej... takiej po ludzku ułomnej. Zupełnie jakby pękł klosz, który zdawał się ją zawsze osłaniać przed rzeczywistością, wystawiając na szorstki dotyk życia. Wygląda nawet inaczej, stwierdziła Sage,

przyglądając jej się dyskretnie. Ma wypieki na policzkach, ogień w oczach, jej ruchy zdradzają napięcie.

- Och, mogłam się domyślić, że weźmiesz stronę mamusi - wytknęła ciotce Kamila. - Babcia by mnie zrozumiała.

- Nie bądź śmieszna, Kamilo - przerwała jej z irytacją Faye. - Wiesz doskonale, że babcia by cię nie puściła tak samo jak ja. Bądźże rozsądna. Powinnaś myśleć o egzaminach.

- Ciągle tylko egzaminy i egzaminy. Czy ty nie potrafisz mówić o niczym innym? Tylko po to ci jestem potrzebna, żebyś się mogła chwalić przed znajomymi, że zdałam celująco. A, zapomniałam, ty nie masz żadnych znajomych. Ale ja nie jestem tobą, mam, nie zamierzam spędzić reszty życia odcięta od świata. Chcę naprawdę żyć. Nosem wyłazi mi ta wieczna nauka, to wieczne słuchanie, co mam robić. Nie jestem już dzieckiem, niedługo skończę osiemnaście lat.

- Więc przestań się zachowywać jak dziecko.

Sage westchnęła w duchu. Czyż Faye nie widzi, że w ten sposób odstręcza Kamilę jeszcze bardziej? Nie rozumie, że za jej buntem kryje się prawdopodobnie strach przed utratą babci? Że to ów strach powoduje nagle domaganie się niezależności, gniewne fanaberie nastolatki?

Sage drgnęła, gdy Kamila odsunęła raptem krzesło i poderwawszy się od stołu, zawołała oskarżycielsko, głosem zdławionym łzami:

- Wiedziałam, że mnie nie zrozumiesz! Mów sobie; co chcesz, ale nie jestem już dzieckiem. Mam prawo wybierać, co chcę robić w życiu, i nie pozwolę ci w nieskończoność decydować za mnie!

- Kamilo, wróć!

Faye poderwała się również, z twarzą czerwoną z gniewu, i patrzyła z niedowierzaniem, jak Kamila wybiega z pokoju.

- Pozwól jej odejść - poradziła Sage.

- Nie rozumiem, jaki diabeł w nią wstąpił. Zawsze była taka rozsądna...

Zauważyła spojrzenie, z jakim Sage pyta ją sucho:

- Czy to by nie było groźne? Rozsądne zachowanie u nastolatki? Czy to by nie oznaczało, że niepokój i bunt kryją się pod powierzchnią?

- Chcesz powiedzieć, że indywidualność Kamili jest rozmyślnie dławiona?

- Nie, chcę powiedzieć, że Kamila reaguje w sposób dość łatwy do przewidzenia. Jest młoda, boi się. Jedyną obok ciebie osobą, na której mogła polegać, która, wiedziała, że ją wysłucha i zawsze poradzi, ta osoba stała się nagle bezsilna, zdana na innych. Kamila leży pewnie w tej chwili na łóżku i wypłakuje sobie oczy, zachodząc w głowę, dlaczego jest taka wściekła na babcię, że miała ten wypadek, i robiąc sobie gorzkie wyrzuty, że jest na nią wściekła. Czy naprawdę nie możesz jej puścić na tę prywatkę? Dobrze by jej to zrobiło, pozwoliłoby się trochę wyładować...

- Wykluczone. Przede wszystkim nie potrafi czy nie chce mi powiedzieć, kto i gdzie ją organizuje. Mówi tylko, że wybierają się całą paczką jej koleżanki szkolne i jacyś ich

znajomi chłopcy.

- Tak, to rzeczywiście brzmi zastanawiająco. Może by wobec tego zorganizować imprezę konkurencyjną? Jakąś zabawę przedegzaminacyjną? Miejsca mamy dosyć, a Jenny na pewno z przyjemnością zajmie się jedzeniem i przygotowaniami. Albo może jeszcze lepiej, niech zajmie się wszystkim sama Kamila z koleżankami. Stwórz jej coś, co pozwoli odebrać myśl od choroby mamusi i egzaminów.

- Proponujesz tutaj urządzić zabawę? Teraz, kiedy mamusia... ?

Zgorszenie w tonie Faye zirytowało Sage.

- Na miłość Boską, Faye - przerwała cierpko bratowej - cóż to może szkodzić mamusi? Proponuję jedynie zastosowanie taktyki dywersyjnej dla zapobieżenia jawnemu buntowi Kamili, który może doprowadzić do rzeczy znacznie niebezpieczniejszych niż dąsy i spazmy.

Faye zbladła.

- Dajesz mi do zrozumienia, że Kamila mogłaby się zbuntować i pojechać na tę imprezę bez mojego pozwolenia?

Czy Faye jest aż tak naiwna? - zastanowiła się pośpiesznie Sage. Nie rozumie, że odmawiając poszukania jakiejś pośredniej drogi, którą mogłyby pójść wspólnie, w istocie odpycha od siebie córkę? I że Kamila gotowa jest potraktować odmowę choćby częściowego uznania, iż jest już prawie dorosła i ma prawo kierować swoim życiem, za wyzwanie, z jakim nie pogodzi się żadna dorastająca dziewczyna?

- Ależ ona nigdy czegoś takiego nie zrobiła - zaprotestowała Faye, prawdziwie przejęta. - Zawsze zachowywała się wzorowo.

Sage milczała.

- Uważasz, że jestem przeczulona i niesprawiedliwa, tak? - zapytała gorzko Faye. - Ależ ja chcę ją tylko chronić. Zapewnić jej bezpieczeństwo...

Urwała, lecz nutka tłumionej hysterii w jej głosie nie uszła uwagi Sage.

- Nie myślę cię krytykować, Faye - odezwała się spokojnie. - Bóg jeden wie, że na twoim miejscu pewnie bym popełniała wszystkie możliwe błędy. Ale nie możesz Kamili trzymać wiecznie pod kloszem, bo uczynisz ją tak bezbronną, że pierwsze zderzenie z rzeczywistością stanie się dla niej śmiertelną groźbą. Będzie jak dziecko trzymane w sterylnym otoczeniu, dla którego zwykle przeziębienie staje się tak niebezpieczne, że może je przyprawić o śmierć. To rzecz naturalna, że dziewczyna w jej wieku chce się zabawić. Proponuję tylko, żebyś jej to umożliwiła tutaj, we względnie bezpiecznym własnym domu, gdzie nie będzie narażona na to, co może jej grozić, jeśli się zbuntuje i pojedzie na tę prywatkę, która rzeczywiście wygląda dość podejrzanie.

- To zupełnie tak, jakbyś mówiła, że można się dziecku pozwolić bawić zapalkami, jeśli w pobliżu czuwa ktoś z gaśnicą - zauważyła Faye z sarkazmem.

Sage nie dała się sprowokować.

- Tak - przyznała - coś w tym rodzaju. Przy odrobinie szczęścia skończy się na poparzeniu palców i ten drobny ból

uchroni ją przed ryzykiem zrobienia sobie znacznie większej, potencjalnie nieodwracalnej krzywdy.

- Nie chcę tego więcej słuchać... - zaczęła Faye przez zaciśnięte usta, co ją dziwnie upodobniło do córki.

Urwała, bo rozległ się natarczywy dzwonek telefonu.

Przyjęła Sage, znajdująca się najbliżej aparatu, i zeszywniała na dźwięk kobiecego głosu, który oznajmił, że chce z nią rozmawiać doktor Ferguson. Musiała czekać na połączenie ładne kilkadziesiąt sekund, rzecz, która by ją normalnie zirytowała. Tym razem jednak z zapartym tchem modliła się w duchu: „Boże, pozwól, żeby jej nic nie było, proszę Cię, proszę...”

- Panna Danvers? Chciałbym porozmawiać o pani matce.

Jakim cudem on potrafi mówić zawsze takim zmęczonym i klinicznie bezosobowym głosem, pomyślała Sage, ściskając mocniej słuchawkę.

- Jej stan się trochę poprawił. Wyszła już na tyle z szoku, że chcielibyśmy zrobić operację.

Sage chciała odpowiedzieć, lecz stwierdziła, że nie może wydobyć głosu. W ustach czuła suchość, gardło ścisnęła jej spazm strachu.

- Kiedy? - zdołała wykrztusić w paraliżującą ciszę.

Rozpaczliwie pragnęła go teraz mieć przed sobą. Była przekonana, że gdyby mogła na niego spojrzeć, wyczytałaby z jego oczu, czy mamusia ma szansę. Czy chce on podjąć operację tylko pro forma, wiedząc, jak minimalne są widoki na powodzenie, czy też uważa, że może rzeczywiście przynieść pomyślny rezultat.

- Pojutrze.

'Dwa dni. Tylko dwa dni. Potem...

• Chciałabym... chciałybyśmy ją przedtem zobaczyć. Mogłybyśmy dzisiaj przyjechać?

• Dzisiaj nie. Jej stan się dopiero poprawił. Jest przytomna i wzruszenie wizytą mogłoby ją wyprowadzić z równowagi. Zobaczą ją panie przed operacją. Polecę sekretarce, żeby panie zawiadomiła.

W słuchawce zapanowało milczenie i Sage myślała już, że połączenie zostało przerwane, gdy doktor zapytał zupełnie odmiennym tonem, prawie jakby mu to nie chciało przejść przez gardło:

- Czy pani bratowa dojechała cało do domu?

Sage spojrzała przez stół. Faye musiała dosłyszeć jego słowa, bo jej twarz, dotąd zastygła i blada, oblała się nagle purpurą.

- Oczywiście, że dojechała - odparła Sage, patrząc ze zdziwieniem na Faye. - Chciałby pan z nią rozmawiać?

Zaprzeczył natychmiast głosem, z którego uleciało zupełnie poprzednie wahanie:

- Nie, to zbyt ciężkie. Do widzenia pani.

Odkładając słuchawkę, Sage nie spuszczała oka z bratowej. Oczekiwała jakiegoś komentarza, ale ku jej zaskoczeniu Faye wstała niezręcznie, mówiąc jedynie:

• Więc jednak zdecydowali się na operację. Mój Boże,

mam nadzieję, że wiedzą, co robią.

- Ja też - przytaknęła Sage.

W szufladzie biurka czekało jeszcze kilka nie przeczytanych pamiętników i nagle ogarnęła ją nieprzeparła potrzeba niezwłocznego ich poznania, jakby od tego zależał wynik operacji.

Ma mnóstwo czasu, powiedziała sobie. Zdąży je przeczytać wieczorem, czekając na odpowiedź Daniela Cavanagha. Bo może zadzwoni on już dzisiaj zamiast jutro, jak obiecał.

Daniel Cavanagh... Dziwne, nie przyszło jej do głowy, że może znać mamusię. Ale niby skąd mogła przypuszczać? Były wszystkim, tylko nie bliskimi powierniczkami przez te ostatnie lata. Niechęć stanowiła między nimi uczucie silniejsze niż miłość. Przynajmniej z jej strony. Obojętność, jaką mamusia jej zawsze okazywała, a która tak ją bolała w młodości, zaczęła ją raczej odstręczać od niej i gniewać, kiedy dorosła. A przecież Liz, jaką tak intymnie poznaje z pamiętników, jest całkowitym zaprzeczeniem kobiety, za jaką miała dotąd mamusię. Autorki pamiętników nie cechuje bynajmniej obojętność, niewrażliwość, brak współczucia. Wprost przeciwnie.

Czemu więc stosunek mamusi do niej był tak odmienny? Sage słyszała o kobietach, które odpychają jedno ze swoich dzieci. Czy to właśnie ją spotkało? Czy mamusia odpychała ją, trzymała zawsze na dystans z jakiegoś szczególnego powodu?

Dorósłszy, Sage próbowała to analizować i doszła ostatecznie do wniosku, że chodziło po prostu o ścieranie się dwóch odmiennych osobowości, które nie potrafiły znaleźć wspólnego języka. Bo nie mogło być wynikiem 'nie chcianej ciąży. Sam fakt, że mamusia, aby ją w ogóle począć, zdecydowała się poddać czemuś, co dla kobiety o jej charakterze oznaczało niewątpliwie kłopotliwy i wstydlivy ciąg zabiegów, stanowił niezbity dowód, że była dzieckiem chcianym.

Zastanawiała się, czyjej inicjatywy doszło do tego poczęcia. Od Dawida dzieliła ją tak znaczna różnica wieku, że nie mogło chodzić po prostu o to, żeby się nie wychowywał jako jedynak. A jednak mamusia musiała odczuwać głęboką potrzebę urodzenia drugiego dziecka, jeśli w ogóle dopuściła do siebie myśl o sztucznym zapłodnieniu. Więc może chciała mieć drugiego syna?

Cóż jej da dociekanie tego teraz? Może pozostałe pamiętniki rzucą światło na tę sprawę. Jedyne, czego może być w tej chwili pewna, to fakt, że oboje rodzice pragnęli drugiego dziecka, skoro przystali na zabieg konieczny do jej poczęcia. Go do niechęci tatusia w stosunku do niej, od dawna podejrzewała, że powodem jest fakt, iż to nie jego nasienie dało jej życie. Fakt, iż to inny mężczyzna, chociaż anonimowo i pośrednio, bez kontaktu cielesnego z mamusią, dostarczył tej nieodzownej iskry.

Zawsze zakrawało w jej odczuciu na ironię, że to właśnie ona ze swoim gwałtownym, nieokiełznanym temperamentem

jest produktem czegoś tak klinicznie zimnego, jak zapłodnienie przy pomocy technik nowoczesnej medycyny.

Jenny, która weszła w tym momencie do pokoju śniadaniowego, uniosła brwi na widok Sage samej i zatopionej w myślach.

- Pani Faye i Kamila nie były głodne? - zapytała, lustrując ich czyste talerze.

- Posprzeczają się - wyjaśniła Sage. - Są wiadomości o mamusi. Mają ją pojutrze operować. To jedyna szansa. Pozwolą nam się z nią przedtem zobaczyć.

Ku jej zaskoczeniu Jenny pochyliła się, by ją objąć. Kobie-ty rzadko jej dotykały. Sage miała w sobie jakąś wyniosłość, która, w połączeniu z jej urodą i elegancją, sprawiała, że przedstawicielki jej płci trzymały się od niej na dystans. Znalazłszy się teraz w pulchnych ramionach Jenny, Sage była bliska dziecinnej reakcji zalania się łzami.

- Wszystko będzie w porządku, kochana. Mamusia jest zbyt silna, żeby się tak łatwo poddać.

- Ja też mam taką nadzieję, Jenny. Muszę teraz wyjść na pół godziny. Gdyby ktoś dzwonił, proszę powiedzieć...

Urwała zastanawiając się, czy Daniel może zadzwonić w czasie jej nieobecności. Podejrzewała, że raczej doczeka końca wyznaczonych czterdziestu ośmiu godzin, zanim się z nią skontaktuje.

- ... proszę po prostu powiedzieć, że mnie nie ma.

Wsiadła w swego porsche'a i pojechała do miasteczka po gazetę. Mały sklep z agencją pocztową był zatłoczony. Wszy-

scy tu wiedzieli o wypadku Liz Danvers i składali Sage jako córce wyrazy współczucia. Wszyscy mieli też sprecyzowane

zdanie o budowie nowej autostrady, które jej sążnięcie wyłu-

szczałi, tak że minęła blisko godzina, nim się wyrwała.

Ogarnął ją dręczący, nagłący niepokój, który przypominał

najgorsze nastroje jej lat młodzieńczych. Nie miała ochoty wracać do domu, żeby wysłuchiwać kłótni Faye i Kamili, ale

nie chciała również być zbyt daleko. Dlaczego? W razie gdy-

by niespodziewanie przyjechał Daniel? No to co? Oznaczałoby to tylko, że podjął wcześniej decyzję. Szantażując takiego człowieka jak Daniel, nie można oczekiwać, że jego pogarda

dla niej, niechęć zarówno do niej, jak do jego własnego pociągu fizycznego przemieni się nagle w szacunek i... I w co? Czego ona właściwie od niego oczekuje?

Niczego, powiedziała sobie, zapalając wściekle silnik porsche'a. Niczego od niego nie oczekuje.

Nawet satysfakcji zatarcia wspomnienia tego, jak nią wówczas wzgardził, zastąpienia jej inną, znacznie pochlebniejszą jego reakcją. Ciało jej nagle się spięło, gardło ścisnął pulsujący skurcz, skórę zapiekła fala gorąca. Czemu, czemu myśl, że jest dla Daniela ponętna, że go podnieca, że jej pożąda, czemu ta myśl działa raptem tak ekscytująco na jej zmysły?

"Jeżeli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, moja panienko - napomniała się drwiąco - to widać niewiele się nauczyłaś przez te wszystkie lata".

Owszem, aż nadto dobrze znała odpowiedź, nie czuła się jednak na siłach, żeby stawić czoło temu, co się za nią kryje.

„Zapomnij o Danielu Cavanaghu” - powtarzała sobie ostrzegawczo, a mimo to, zamiast na południe, wyjechała z miasteczka na północ, skręciła w wąską drogę, prowadzącą do majątku, który kupił Daniel, i zaparkowała przed bramą to swoje krzyczące czerwone monstrum, które straciło dla niej, nagle całą atrakcyjność.

Czego chciała dowieść kupując je? Że ją stać na porsche'a, że potrafi prowadzić jak mężczyzna, że lubi dreszczyk szybkiej jazdy? Czy naprawdę jest taka niedojrzała? Wysiadłszy zlustrowała krytycznie wóz, obiecując sobie, że go wymieni na inny. Tylko na jaki? Może na astona martina? Zachichotała nad nieprawdopodobieństwem tego, by ją było kiedykolwiek stać na taki zbytek. Wciąż z uśmiechem na wargach, przeszła przez przejazd i skierowała się zarośniętą ścieżką ku Staremu Dworowi.

Znajdował się on od lat w ruinie, drogę dojazdową do niego zagrażała brama zaryglowana i zamknięta na kłódkę. Agnes Hazelby, jego ostatnia mieszkanka, trwała tu w ekscentrycznym uporze, nie przyjmując do wiadomości, że wszystko dokoła niej się wali.

Z niskiego pagórka, na którym stała, Sage miała nie zakłócony widok na cały dwór, w okresie swojej świetności większy od Cottingdean. Jego najstarsza część została wzniesiona w tym samym czasie co siedziba Danversów, do tego dobudował skrzydło dziedzic z epoki georgiańskiej, drugie dodał jego wiktoriański potomek.

Skrzydło wiktoriańskie padło pastwą płomieni, trzymał się tylko na słowo honoru kikut jego środkowej części. Skrzydło georgiańskie, powstałe w epoce, gdy zdrowe zasady budowlane poświęcono na rzecz efektu, miało groźne rysy w murach i wyraźnie osiadało pod ciężkim zwieńczeniem, nie wspartym na wystarczająco solidnych fundamentach. Mimo to całość miała dziwnie szelmowski wdzięk, ujmującą i niemal komiczną buńczuczność, która się domagała uznania i uszanowania.

Sage się nie dziwiła, że Agnes zastrzegła sobie, iż nabywcy nie wolno rozebrać dworu. Ale jakąż wartość przedstawia dla Daniela ziemia, jeśli go nie rozbierze? Potencjalni nabywcy

wystawionych przez niego nowoczesnych, luksusowych willi nie będą chcieli tolerować w sąsiedztwie ruiny w rodzaju Staro Dworu.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że świadomość, iż Daniel tak kłamie i oszukuje, sprawia jej dziwną przykrość. Przecież powinna się cieszyć...

Posuwała się powoli zarośniętą ścieżką, nie bardzo wiedząc, czego tu szuka, co spodziewa się znaleźć. A nawet dlaczego wpadło jej w ogóle do głowy, że może tu coś znaleźć.

Im bardziej się zbliżała do dworu, tym widoczniejszy stawał się jego opłakany stan. Mgielka odległości, spowijająca jego zniszczenie rozplynęła się, tak że Sage niemal się ucieszyła, gdy zeszła do jaru i cała budowla z wyjątkiem kominów skryła się za murem ogrodu, obrośniętym płataniną zdziaczałych drzew i krzewów.

Jako dziewczynka była urzeczona Starym Dworem, coś w jego zapuszczeniu i zarośnięciu przemawiało do niej w sposób, w jaki nigdy nie przemawiał jej własny nieskalany dom.

Może jest jednak bardziej podobna do mamusi, niż jej się wydawało, stwierdzała teraz. Wiedziała z jej pamiętników, jaką satysfakcję sprawiło mamusi podjęcie wyzwania Cottingdean i przeobrażenie go w coś niemal całkowicie własnego. Mamusia była wizjonerką, twórczynią, którą cieszyło branie podstawowych surowców życia i kształtowanie z nich nowych jakości. Najlepszym dowodem jest fakt, że dostrzegła takie możliwości w hodowli owiec i że rozwinęła fabrykę w tak dochodowe przedsięwzięcie. Mogła tego dokonać tylko osoba o nieprzeciętnych horyzontach.

Rozumiała teraz, że ona, Sage, odziedziczyła coś z tej rozległości widzenia mamusi. Z jej wyobraźni, bo talenty ma inne niż ona, swoje własne. Więc czemu teraz, kiedy wreszcie poznała siebie, kiedy z takim wysiłkiem pogodziła się ze wszystkim, czym jest i czym nie jest, kiedy pojęła, że musi zaakceptować siebie taką, jaka jest, musi zacząć lubić i szanować samą siebie, nim będzie mogła wymagać tego od innych, czemu ciągle pokutuje w niej coś z owej małej dziewczynki, która kopała z płaczem w drzwi gabinetu tatusia, domagając się, żeby ją wpuścił, żeby jej nie odmawiał swojej miłości?

Czy jest w niej coś, co sprawia, że nie można jej kochać miłością, jakiej kiedyś łaknęła? Czy też pragnie, żąda po prostu zbyt wiele, intensywność uczuć, jakiej się domaga, musi po prostu przerażać i odstręczać każdego, kto się znajdzie w jej orbicie?

Jakkolwiek jest, nauczyła się dawno hamować i poskramiać tę intensywność. Po utracie Scotta odsunęła na drugi plan emocjonalną stronę swojej natury i skupiła się na fizycznej, jej atrakcyjność i terapeutyczne działanie jednak szybko zbladły, uświadamiając Sage, że nie ma dla niej bezpiecznej drogi pośredniej, że albo musi się zdecydować na cielesną i uczuciową wstrzemięźliwość, pozwalając sobie jedynie na najbardziej zdawkowe związki emocjonalne, albo musi całkowicie i bez reszty puścić wodze intensywności swoich uczuć, domagających się miłości ślepej i bezgranicznej. Po smutnym

doświadczeniu ze Scottem wiedziała jednak, jak niebezpieczne jest takie zaangażowanie.

Znalazła furtkę w murze, pchnęła jej próchniejące i kruszące się drewno. Ogród za murem był jedną wielką płataniną wybujałych krzewów, chwastów i pokrzyw, sięgających pasa. Spowijał go, jak zamek śpiącej królowny, niemal zaczarowany welon opuszczenia.

Sage uśmiechnęła się gorzko do siebie, przebijając się wąską ścieżką przez gęszcz roślinności. Daniel nie jest księciem, który czułym dotknięciem przywróci zamek do życia. Będzie raczej burzycielem.

Za drzewami i krzakami rozciągała się otwarta przestrzeń, która była pewnie kiedyś wypielęgnowanym trawnikiem, a teraz przypominała dziką łąkę, z wysoką trawą przetykaną zielonymi i połnymi kwiatami.

Trawa była mokra, Sage poczuła wilgoć przez nogawki dżinsów, zabrnęła jednak zbyt daleko, by zawracać. Ręce miała podrapane przez kolce i poparzone przez pokrzywy, włosy wplątywały jej się tyle razy w nisko rosnące gałęzie, że straciła cierpliwość i kawałkiem tasiemki znalezionej w kieszeni związała je gniewnie w nieporządnym koński ogon.

Podchodziła do dworu z boku, od wiktoriańskiego skrzydła, którego wypalone mury i poczerniałe belki w festonach porostów majaczyły tajemniczo w cienkich oparach porannej mgiełki.

W miasteczku opowiadano, że ludzie, którzy przybiegli pierwotnie na ratunek, wrócili później zaopatrzeni w rozmaite

wózki, żeby zabrać ocalałe cegły, z których wyrosły następnie przybudówki do kilku miejscowych domków.

Widok wypalonych, wałących się ścian działał zawsze przygnębiająco na Sage, więc minęła skrzydło szybko, z odwróconą twarzą. Za załosem muru rozpościerał się tylny dziedziniec, zabudowany z trzech stron. Między jego kamieniami rosły chwasty, okna samego dworu i przyległych zabudowań ziały pustką.

Na ciężkich drewnianych drzwiach wejściowych ktoś umieścił wielką kłódkę. Sage przyglądała jej się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami. Nie bardzo sama wiedziała, po co chce wejść do środka. Ale skoro coś ją tu dzisiaj przygnało, jakiś instynkt, jakaś potrzeba, to nie skapituluje przed kłódką Daniela Cavanagha.

Z łatwością wspięła się do jednego z ziejących pustką okien. Nieco większego trudu wymagało przeciśnięcie się przez wąski otwór, ale jakoś tego dokonała po kilku obrotach ciała. Zeskoczywszy na nierówną kamienną podłogę jednego z pomieszczeń kredensowych, skrzywiła się z niesmakiem na smugi kurzu z parapetu, które zostały na jej dżinsach i swetrze.

Wewnątrz pachniało wilgocią i zgnilizną. Atmosferę opuszczenia pogłębiał stary fotel z dziurami w sfatygowanym obiciu i wyłażącą wyściółką. Przechodząc do dalszych pomieszczeń, Sage starała się zamknąć uszy na towarzyszące jej

krokom szmyrganie i gniewne piski.

Za dawnych czasów, kiedy we dworze mieszkała jeszcze Agnes, Sage bywała tu częstym gościem. Mamusia roztaczała nad starszą panią sąsiedzką opiekę, a Sage lubiła wizyty tutaj, przyciągana tajemniczością domu i jego właścicielki.

W owych latach egzystencja Agnes ograniczała się właściwie do jednej sypialni, kuchni i małego saloniku. Reszta dworu już wówczas popadała w ruinę, meble w pozostałych pokojach stały spowite w płócienne pokrowce, nazywane tutaj holendrami, co, jak wyjaśniła mamusia, było staromodną nazwą osłon zakładanych na sprzęty w wielkich domach na czas nieobecności państwa.

Sage przywodziły one zawsze na myśl całuny. Były upiorne, białe i napelniały ją smutkiem.

Idąc teraz przez kuchnię i pokój kredensowy, Sage stwierdziła, że są prawie puste. Widać Daniel ze swoją systematycznością zadbał o to, by dwór został opróżniony ze wszystkiego, nim mu wymierzy śmiertelny cios.

Tudorowska część środkowa miała niewielką sień z odpowiednio wąskimi schodami, które Agnes zawsze nazywała kuchennymi. Główny hol, mieszczący się w skrzydle georgiańskim, był ładną owalną salą o gustownych marmurowych schodach z poręczami z kutego żelaza, płynącymi lekko w górę przez wszystkie cztery kondygnacje dworu. Sage pamiętała, z jakim zachwytem zadzierała zawsze głowę, żeby podziwiać z dołu zwieńczający plafon w misternej owalnej ramie gipsowej, który przedstawiał, jak tłumaczyła mamusia, greckiego boga Zeusa, spoglądającego na ziemię przez czarne burzowe chmury z błyskawicami.

Przedzierając się teraz przez pokoje zarosłe pajęczynami brudem, pełne stęchłego, wilgotnego powietrza, starając się nie zauważać zdradzieckich zacieków na ścianach i sufitach, nie widzieć butwiejących boazerii i odpadających stiuków, Sage była ciekawa, czy plafon się jeszcze ostał.

Ostał się, owszem, ale jego niegdyś wspaniałe chmury, brzemienne deszczem, nabrały teraz jednolitego ołowianego zabarwienia. W paru miejscach farba odpadała płatami, a dumne dawniej rysy Zeusa zatarły się i zbladły. Od czasu kiedy pierwszy raz zatrzymała wzrok na plafonie, Sage odwiedziła Włochy i podziwiała zapierające dech freski Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Lecz być może pierwsze zetknięcie się z czymś, co ma wytyczyć kierunek życia, jest jak noc z pierwszym kochankiem, rzeczą, której się nie zapomnia, którą się zawsze rozpamiętuje z czułością i rozrzewaniem, którą się nosi w sercu z miłością i wiernością.

Co do niej, to może i nosi w sercu pamięć pierwszego zachwyty, że ktoś, jakiś człowiek naprawdę namalował na tej kopule Zeusa w chmurach, ale na pewno nie nosi w sercu wspomnienia pierwszego kochanka. Może gdyby był nim Daniel...

Zesztywniała jak sparaliżowana dotkliwym bólem, plafon rozplynął jej się przed oczami.

Zaczęła wchodzić po schodach, koncentrując całą uwagę

na swoich ruchach, starając się otrząsnąć z wrażenia, wymazać z pamięci absurdalność tej myśli.

Na wysokości pierwszego piętra hol otaczała wąska galerijka, z której odchodził korytarz, prowadzący do pokojów. Powtarzało się to na drugim piętrze. Zatrzymawszy się między piętrami, Sage zauważyła, w jak wielu miejscach brakuje balustrady, jak niebezpiecznie nierówne są stopnie. Pokrywał je pył i tynk, tak że za każdym, choćby najostrożniejszym stąpieniem wznicała tumany dławiącego kurzu. Im bardziej się zbliżała do plafonu, tym wyraźniej widziała jego zniszczenie. Farba odłaziła z niego wielkimi, cienkimi płatami. Daniel nie będzie potrzebował przykładać ręki do uśmiercenia Zeusa, czas i zaniedbanie zrobiły to już za niego.

Poczuła w oczach piekące łzy. Nagle zapragnęła tylko jednego: uciec jak najdalej od ruiny tego domu.

Zawróciła na pięcie i zaczęła schodzić. Poniżej pierwszego piętra zamarała i wciągnęła ze świstem dech, bo zobaczyła przyglądającego jej się z dołu Daniela Cavanagha.

' - Co ty tu robisz? - zapytała, pokrywając wstrząs agresywnym tonem.

Zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem, nim odparł ze zwodniczym spokojem:

- No, co do mnie, to jestem na swoim terenie.

Sage patrzyła na niego czując, że się oblewa rumieńcem przyłapanej na gorącym uczynku pensjonarki. Widząc, że Daniel rusza w jej kierunku, cofnęła się odruchowo i straciła równowagę, stąpawszy na kawałek odpadłego tynku. Usłyszała ostry, ostrzegawczy krzyk Daniela.

Chciała się złapać poręczy, ale nie trafiła na nią i, nie mając się czego przytrzymać, runęła w dół, ku marmurowej podłodze.

Usłyszała swój krzyk, zamknęła instynktownie oczy i napięła mięśnie szykując się do zderzenia z podłogą, ale zamiast tego poczuła chwytające ją silne dłonie i usłyszała stęknienie Daniela, kiedy ją złapał, a potem jego przekleństwo wyrzucone resztką tchu, kiedy ją odciągał spod kawałków tynku i gruzu, sypiącego im się na głowy.

- Ty idiotko, nie widziałas, że te schody są niebezpieczne? - syknął jej w ucho.

Po ledwo zażegnanym wypadku czuła pustkę w głowie.

- Czy na to się powołasz, żeby ci pozwolili rozebrać dwór? - rzuciła mu.

Zaparło jej dech, bo podniósł ją dosłownie z ziemi i potrząsnął nią w powietrzu.

- Co za głupia z ciebie dziewczyna! - powiedział wściekle. - Nie rozumiesz, że mogłaś się zabić?

Wiedziała to już, żołądek miała jeszcze ściśnięty ze strachu, ale nie mogła się do tego przyznać, musiała mu się sprzeciwić.

• I co? - zapytała drwiąco. - Miałbyś przynajmniej problem z głowy. Szkoda, żeś o tym nie pomyślał, nim ci się zachciało bawić w błędnego rycerza.

• Wielki Boże!

Skrzywiła się, czując mimo ochronnej warstwy swetra miażdżący ucisk jego palców na ramionach. Była chora i sła-

ba, nie pamiętała, kiedy czuła się taka bezsilna.

Na twarzy miała coś ciepłego i lepkiego, a kiedy podniosła do niej dłoń, zobaczyła na palcach krew.

- To nic takiego - powiedział szorstko Daniel, puszczejac jedną ręką jej ramię, żeby odsunąć palce od twarzy. - Tylko draśnięcie.

Szarpnęła się, kiedy sięgnął do jej policzka. Jej wściekle spojrzenie przypomniało mu swoją dzikością orła. Twarz miała brudną od pyłu, z włosami związanymi w koński ogon wyglądała równie młodo jak wówczas, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Pierś paliły mu uczucia, z których, jak sądził, dawno się wyleczył. Mogła się była zabić, mogłaby tu teraz leżeć pod kupą tynku, gruzu i metalu, z twarzą taką bledziutką jak tej nocy, kiedy do niego przyszła.

Sage nie chciała być tak blisko niego. Wzbudzało to w niej zbyt wiele wspomnień. Zbyt wiele wysiłku wymagało, żeby się nie poddać, nie oprzeć po prostu o niego, nie wtulić w mocne ramiona...

- Ty musisz zawsze wierzyć, co, Sage? - rzucił jej oskarżycielsko. - Musisz zawsze dowodzić, jaka jesteś twarda. Jaka niezależna, jaka niezłomna i jaką ci to sprawia przyjemność. Lubisz górować nad nami, prawda? Wiesz, co o tobie mówią mężczyźni, kiedy się wyrwą z twojego łóżka? Mówią, że przy całej swojej atrakcyjności, inwencji i pomysłowości miłosnej, jesteś zabójcą jak modliszka.

Zbladła, potem poczerwieniała, nie wiedząc, czemu przeżywa ją taki rozdzierający ból ani czemu miałoby ją obchodzić, co on o niej sądzi, wiedząc tylko to jedno, że musi mu odplacić, musi uderzyć i zranić go tak okrutnie, jak on ją.

Spróbowała się wyrwać z jego uścisku, a kiedy jej się to nie udało, prychnęła z pasją:

- Wobec tego twoja wygrana, że mną wtedy wzgardziłeś. Wiadomo, mężczyzna taki jak ty nie wystawi na szwank swojej męskości.

• Mężczyzna taki jak ja? - Był na nią wściekły i nie starał się tego ukryć. - Co ty o mnie wiesz?

• A co ty o mnie wiesz? - odpała.

• Co wiem? Wiem, że chcesz tego.

Zdarzało jej się już być całowaną w gniewie, rozmyślnie prowokowała taki gniew, lubiła poczucie przewagi seksualnej, jaką jej dawał. Teraz nagle boleśnie stwierdziła, że tym razem jest inaczej, że z jej ciała i myśli uleciała pamięć doświadczeń, które powinny jej służyć pomocą w tym, co ją spotyka. Nie mogła się ruszyć w jego ramionach, była przezrażliwie bezradna pod dotknięciem jego ust, niezdolna odepchnąć ich miazdzącego naporu, wargi miała sparaliżowane, jakby znały dotąd tylko pocałunki wolne od wszelkiej zmysłowości. Ciało ogarnęła dziwna słabość, było jak porażone, porażone wstrząsem wypadku, uświadomiła sobie, wstrząsem spotkania z Danielem, a nade wszystko wstrząsem tego brutalnego, karzącego pocałunku, który przekreślił wszystkie dzielące ich lata, przeniósł ją momentalnie w inny czas i w inne miejsce, w ową noc, kiedy by z radością powitała żarłocz-

ność tych gniewnych męskich ust.

Otrząsnąwszy się raptem z paraliżu, ugryzła silnie wargi, które jej narzucały swoją dominację, lecz ku jej zaskoczeniu Daniel odpowiedział tym samym, gryząc jej dolną wargę tak, że poczuła słone ciepło krwi.

Z gniewnym okrzykiem protestu pomacała językiem ranę, lecz zaraz jej język został odepchnięty przez jego silniejszy, który ją badał skaleczenie, przesuując się najpierw szybko, potem wolniej, coraz wolniej po wrażliwej skórze. Było to takie delikatne dotknięcie i taka nieprawdopodobna przyczyna głupiej słabości i żaru, który buchnął w niej gwałtownym płomieniem, zaskakując ją tak, że nie potrafiła się bronić, mogła się tylko wpatrywać w Daniela bezradnymi, porażonymi oczami, czując, jak żar rozchodzi jej się po ciele, niezdolna poskromić nieproszonego tężenia sutek, mgiełki pożądania zaćmiewającej oczy, zdradzieckiego jęku, którego nie zdołała zdławić w gardle.

Wszystko to było niczym w porównaniu ze ślepym skurczem żądy, który zawibrował w dole jej ciała, tak że jej inteligentny umysł nie mógł się ludzić, iż gdyby Daniel tylko zechciał, to tu, zaraz, bez usprawiedliwiających pozorów dobrej zabawy ani obopólnej sympatii i szacunku, bez najprymitywniejszych wygód, bez oszołomienia dobrym winem, przyćmionym światłem i zmysłową muzyką, bez otoczek wykwinutu, jakie normalnie uważała za nieodzowne akcesoria intymności cielesnej, bez czystej pościeli, bez rozbawienia poczuciem, jak bardzo partner jej pożąda i jak dalece może się posunąć w rozpalaniu i dręczeniu go, nawet bez najprostszych, elementarnych środków zapobiegawczych, bez wszystkiego tego pozwoliłaby mu skwapliwie, żarłocznie i lubieżnie doprowadzić gniewne napięcie między nimi do naturalnego finału w akcie oddania się tak nagłym i szalonym, jak żądza, która się w niej obudziła.

Uświadomienie sobie tego przeraziło ją i przyprawiło o mdłości. Na cokolwiek sobie pozwalała, nigdy, przenigdy nie upadła tak nisko, nigdy nie sięgnęła takich głębin upodlenia. Nigdy tak nie pożądała żadnego mężczyzny, nigdy nie doświadczyła takiej ssącej, ślepej potrzeby zespolenia, by porażała ona najsilniej w niej zakorzenione, najbardziej intymne poczucie dumy i szacunku dla siebie samej.

Patrząc w twarz Daniela, doznała drugiego, jeszcze przeraźliwszego wstrząsu, uświadomiwszy sobie, że on dokładnie wie, co się z nią dzieje, że zna jej najintymniejsze uczucia. Wyczytawszy to w jego oczach, porażona tym odkryciem, przywrócona do palącej, gorzkiej rzeczywistości, jęła się wyrywać z jego objęć.

- Nie, Sage, nie - powiedział zdławionym głosem.

Stał między nią a otwartymi drzwiami, tak że nie widziała sposobu ucieczki, do której wszystko ją pchało. Nie było sposobu zachowania twarzy przez zignorowanie tego, co zaszło, przez udawanie, że nic się nie stało.

Nie pozostało jej nic, prócz stawienia mu czoła. Zebrała całą odwagę, na jaką mogła się zdobyć, wiedząc, że kłamstwo

na nic się nie zda, że chowanie się za pozory nie zwiedzie żadnego z nich, a tylko pograży ją w jeszcze głębszą otchłań.

Głosem tłumionym obrzydzeniem do siebie, lecz z wysoko podniesioną głową, spytała zjadliwie:

- Czego mam nie robić, Danielu? Nie palić się do ciebie, jak goniąca się suka?

Widząc, jak twarz mu tężeje, a szczęki się zaciskają, zaśmiała się gorzko.

- Masz rację, to wulgarne, obrażające. To ostatnia rzecz, jakiej sobie życzysz, zresztą również ostatnia rzecz, jakiej ja sobie życzę. Ale nic się nie martw, nauczyłam się przez te lata odrobiny samokontroli.

Posłała mu boleśnie promienny uśmiech, od którego się wzdrygnął w duchu.

- Nie pytaj, dlaczego cię chcę, nie umiem na to odpowiedzieć. Może to odwieczna tęsknota za tym, co minęło.

Znów panowała nad sobą, głos miała mocny i drwiący, bladeść ustępowała jej z twarzy. Tylko jej zielone oczy pozostały baczne i nieobecne po szoku, patrzyła jakby nie na niego, lecz poza niego.

Spróbowała zrobić krok ku drzwiom, ale zastąpił jej drogę.

- Sage, my jesteśmy...
- Nie ma żadnych my- przerwała mu ostro. - Nigdy nie było i nigdy nie będzie.
- Przecież mnie pragniesz.

Zmierzyła go wzrokiem. Wrzało w niej piekło bezsilnej wściekłości.

- Owszem - przyznała drżącym głosem. - Ale droższy mi jest szacunek dla samej siebie. Stoczyłam ze sobą długą, trudną walkę, żeby się go dopracować, Danielu. Nie potrzebuję, żeby jakikolwiek mężczyzna kochał się ze mną z litości czy dlatego, że mu się nawinęła sposobność. A jeśli ci się wydawało... jeśli ci się wydawało, że wykorzystasz moją słabość dla zatuszowania sprawy kupna tego majątku...

Posunęła się za daleko. Poznała to po jego oczach, po błysku gniewu, wymykającego się spod kontroli.

Ogarnęła ją panika, instynktowny strach przyrodzony istocie jej płci od zarania czasu. Chciała się przemknąć koło niego, zapominając o wszystkim, czego ją nauczyło życie, lecz zamiast ustąpić jej z drogi, schwycił ją i, pół niosąc, pół wlokąc, przysunął pod ścianę i przydusił ciężarem ciała, dłońmi unieruchamiając równocześnie jej mlóćące ramiona. Usłyszała, jak miażdżąc ustami jej wargi, mówi chrapliwie:

- Powiniennem to być zrobić już wówczas. Bóg mi świadkiem, gdybym zrobił...

Słowa zamaryły pod siłą pocałunku, którego - nie chciała przed sobą przyznać - łaknęła przez blisko połowę życia. Zadrgały w niej wspomnienia, które uważała za dawno pogrzebane, odradzając ową nagłą potrzebę, której towarzyszył dawny strach, dawne przerażenie, że ten mężczyzna bardziej niż wszyscy inni posiada nad nią moc tak niebezpieczną, iż samo jej uznanie podważa fatalnie jej zdolność oporu.

Walczyła wszelkimi siłami ze sobą i z nim, ale on znał teraz

jej słabość, znał i wykorzystywał przeciwko niej, nie zważając na twardo zaciśniętą linię jej warg i spięte defensywnie ciało. Przywarłszy do niej obezwładniająco całym sobą, wiążąc jej dłonie, wykonywał tak przemyślnie zmysłowe poruszenia, że dusza roztopiała się w niej ze słodkiej udręki, a ciało pulsowało jak pod uderzeniami tysiąca drobnych piąstek.

Czując budzący się w jej ciele odzew, ponaglany własną niepohamowaną reakcją, Daniel oderwał usta od jej warg i na chwilę zwolnił wiążący ją uścisk, chcąc znaleźć słowa, które by złagodziły nieco gorzkość w jej oczach, chcąc powiedzieć, że nie jest sama w swojej udręce i potrzebie. Lecz ten krótki moment rozluźnienia wystarczył, by się wyślizgnęła z jego objęć i rzuciła do drzwi.

Mógł ją zatrzymać, mógł dogonić i wziąć z powrotem w ramiona. Lecz nigdy w życiu nie zmusił żadnej kobiety, by się z nim kochała, i teraz powstrzymała go obawa, że jest tego bliski.

Sage biegła, dopóki nie dotarła do auta. Znalazłszy się w jego bezpiecznym wnętrzu, pozamykała drzwiczki i zapaliła silnik, ale była zbyt rozdygotana, żeby prowadzić. Ciało miała rozpalone, drżała ciągle ze strachu. Z grymasem na ustach wytarła wilgotne dłonie o dzinsy. Była zdruzgotana swoim zachowaniem, prawie całkowitą utratą panowania nad sobą. Nie ma już, na miłość boską, dziewiętnastu lat, mówiła sobie. Wściekła na siebie, ruszyła wreszcie ku szosie. Co sprawiło, że tak się zatraciła? Ma już dość doświadczenia, żeby znać seksualne potrzeby i własne i większości heteroseksualnych mężczyzn, więc czemu nie potrafiła zapobiec katastrofalnemu finałowi spotkania z Danielem?

Nic jej nie da wmawianie sobie, że wszystkiemu było winne zaskoczenie jego nieoczekiwanym pojawieniem się, nic jej nie da uciekanie od prawdy. Ale stawienie czoła tej prawdzie przekracza w tej chwili jej siły, więc najlepiej o tym na razie nie myśleć. Ma dosyć innych spraw na głowie. Uśmiechnęła się melancholijnie, bo nasunęło jej się pytanie, jakby się w podobnych okolicznościach zachowała mamusia. Czyby nie utraciła, tak jak ona, panowania nad sobą, utrzymała spokój światowej damy? Czy by ją było na to stać?

Gniewnie dodała gazu, próbując zatracić myśli w posłusznym zrywie auta. Poszuka od nich ucieczki w pieleniu przez

resztę dnia chwastów w ogrodzie mamusi. Wysilek fizyczny pozwoli jej wyrzucić z pamięci Daniela.

Zszedłszy następnego dnia rano na dół, zastała Faye, krążącą nerwowo po holu. Wyraz głębokiej troski mąciła aż na-

zbyt pogodną zwykle twarz bratowej.

Sage nie miała najmniejszej ochoty słuchać o jej problemach z Kamilą. Tłumiąc lekkie westchnienie, zapytała:

- Stało się coś?
- Tak... Nie... Muszę wyjechać. Kamila poszła pojeździć konno. Powiedz jej, jak wróci.

Odwróciła się ku schodom, nim szwagierka mogła o cokolwiek więcej zapytać. Ruchy miała tak szybkie i nerwowe, że Sage odprowadziła ją zdumionym wzrokiem.

Co się z nią, u Boga, dzieje? Zachowuje się w ostatnich dniach w sposób tak niepodobny do siebie. Ale, prawdę mówiąc, można by to zarzucić im wszystkim trzem. Gdy tylko zabrakło w ich życiu mamusi, wszystkie są takie... Właściwie jakie? Zmienione. A może to tylko stres, wywołany jej wypadkiem, wyzwala pewne cechy ich charakteru, dotąd nie ujawniane?

Nie zastanawiając się, co robi, Sage ruszyła ku drzwiom gabinetu. Wszedłszy wydała westchnienie ulgi i rozluźniła ciało, jakby spodziewała się znaleźć w tym pokoju przystań. Jej wzrok pobiegł odruchowo ku biurku mamusi.

Bez analizowania swoich motywów wiedziała, że spodziewa się znaleźć zapomnienie o wydarzeniach ubiegłego dnia, oderwanie od chwili obecnej i swoich problemów, w pograżeniu się w przeszłości, w odsłaniających się z wolna dziejach mamusi.

Czytając jej pamiętniki, wyrzuci z myśli własne niepokoje, własne wspomnienia, własne cierpienie...

Z głębi domu dochodziły ją przytłumione odgłosy. Jenny włączyła gdzieś odkurzacz, Faye krzątała się, szykując do wyjścia. Ale wszystko to wydawało się teraz Sage tak odległe, jakby się rozgrywało na innej planecie.

Usadowiła się przy biurku, otworzyła z kluczyka szufladę i wybrała następny pamiętnik.

Chociaż prawie gorączkowo przewracała jego kartki, miała świadomość, że nad potrzebą poznania tej nieznajomej, która jest jej matką, góruje teraz jej własny naglący impuls zatopienia się w czymś, co jej pozwoli zapomnieć o wczorajszej konfrontacji z Danielem.

Daniel... Wstrząsnęła się, bo pamięć przywiodła jej wspomnienie jego zapachu i dotyku. Spod jej złości i równie silnego niesmaku do siebie przebijała świadomość, że jakaś jej część musiała zawsze wiedzieć o tej jej słabości, pułapce na nią samą, i że jakaś jej część przyjęła to, co zaszło, w poczuciu nieuchronności, które ją pozbawiło sił do walki ze swymi reakcjami.

Przez lata nie pomyślała ani razu o Danielu i gdyby ją ktoś o niego zapytał, utrzymywałaby, że ledwo pamięta tego człowieka. Tym bardziej ją teraz bolało, że ona, która zawsze żądała od siebie znacznie większej uczciwości, niż kiedykolwiek wymagała od innych, że ona musi teraz sama przyznać, iż popełniała w stosunku do siebie najbardziej niebezpieczne i niemądre oszustwo.

Otwarte kartki pamiętnika falowały jej przed oczami, więc całą siłą woli skupiła na nich uwagę, jak gdyby stanowiły ostat-

nią drogę ucieczki, jak gdyby umiejętność skoncentrowania się na nich mogła ją naprawdę oderwać od teraźniejszości i przenieść w przeszłość. Nic nigdy nie wymaże z jej pamięci tego zaskakującego spotkania z Danielem, ale może ta lektura zajmie przynajmniej myśli i przyniesie chwilowe uspokojenie.

Marszcząc w napięciu czoło, zaczęła czytać pierwsze słowa.

„Dzisiaj opuścił nas młody Vic, wyruszając w długą podróż do Australii. Odwiozłam go do Southampton. Edward nie chciał z nami jechać. Jazda autem nawet na krótkie dystanse sprawia mu obecnie zbyt wiele cierpienia. Nie wiem, jak Chivers tego dokonał, ale fakt, że zdobył skądś wystarczającą ilość benzyny na jazdę tam i z powrotem. Nie mam pojęcia, co byśmy bez niego poczęli. Opiekuje się cudownie Edwardem, któremu daje się bardzo we znaki tegoroczne zimne, mokre lato. Wilgoć przenika mu do kości i powoduje bóle w amputowanych kończynach, Ian Holmes robi, co w jego mocy, ale, jak mi tłumaczy, gdyby raz zaczął przepisywać morfinę, jedyny środek, który może przynieść pełną ulgę, jest bardzo prawdopodobne, iż uzależniłoby to Edwarda od narkotyku tak, że nie byłby w stanie bez niego wytrzymać. Chivers twierdzi, że wspaniałym lekarstwem na wszelkie bóle reumatyczne jest tran z dorsza, i jakoś udało mu się przekonać Edwarda, żeby wypijał codziennie dwie łyżeczki tego słońca.

Ian Holmes uważa, że dobrodziejstwem byłoby dla Edwarda zainstalowanie w domu centralnego ogrzewania. Proponuje, żebyśmy napisali podanie do ministerstwa o specjalne pozwolenie, motywując je tym, że Edward jest inwalidą wojennym, ale nawet gdybyśmy uzyskali przydział potrzebnych materiałów na budowę, wątpię, czy by nas było na to stać.

Na razie oboje z Chiversem pilnujemy, żeby zarówno w bibliotece, jak w sypialni Edwarda palił się zawsze solidny ogień.

Chiversowi udało się znaleźć dwóch ludzi, którzy teraz stale u nas pracują. Pierwszy, Dan Holcombe, jest cieślą z zawodu i oddaje nieocenione usługi w odbudowie i odnawianiu dworu. Drugi, Sam Oldfield, jest trochę upośledzony umysłowo, ale dostatecznie silny i sprawny, żeby wykonywać wszystkie prace fizyczne, które przekraczają możliwości Chiversa i moje. Jest nieskończenie delikatny i uwielbia Dawida. Jego matka, wdowa, mieszka w miasteczku, tak że Sam wraca na noc do domu. Dan Holcombe natomiast mieszka w pokoiku nad stajnią, który jakimś cudem sobie wyporządził. Jest to bardzo milczący mężczyzna po pięćdziesiątce, o wyraźnym akcencie londyńskim. Nie opowiada nigdy o sobie i podejrze-

wam, że w jego przeszłości musi się kryć jakaś tragedia. Przypuszczam, że jego rodzina zginęła podczas któregoś z niemieckich bombardowań, a on po demobilizacji nie mógł się zdobyć na powrót do Londynu i dawnego życia... "

Liz się zawahała, po czym odłożyła pióro. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła pisać pamiętniki, z trudem przychodziło jej przelewanie myśli na papier. Przeczytała to, co napisała, raz,

potem drugi, ze smutkiem w oczach. Palce lekko jej zdrząły, kiedy przesunęła je po zapisanej kartce i natrafiła na słowa: „Dzisiaj opuścił nas młody Vic...”

Czy to naprawdę dopiero dziś rano wsiadali oboje do auta, ona za kierownicę, Vic na miejsce obok? Siedział potem nieco niepewny w nowym garniturze, raz po raz macając niespokojnie kieszeń, w której miał portfel z biletami i papierami. Milczeli przez większą część jazdy, lecz było to dobre milczenie między dwójgim towarzyszy podróży, którzy nie czują się ze sobą skrępowani. Odzywali się z rzadka, Vic przeważnie, żeby jej powiedzieć o jeszcze jednym niebezpieczeństwie, które może grozić stadu, a o którym nie wie, czy mówił, o jakiejś chorobie czy pasożytach.

Jechali autem kupionym od Iana Holmesa, który też nauczył Liz prowadzić na nalegania Edwarda. Liz uważała początkowo, że auto jest zbytkiem, którego nie potrzebują, a zresztą i tak by go prawie nie używali ze względu na racjonowanie benzyny. Ponadto na auto, mimo że nienowe, musiałyby, po odłożeniu tego, co potrzebne na zakup tryka, pójść resztką spadku po cioci Vi. Jednakże Edward dalekowzrocznie dowodził, że racjonowanie nie będzie trwało wiecznie, a w nowym wspaniałym świecie, o którym wszyscy mówią, auto przestanie być zbytkiem, a stanie się koniecznością.

Ku swemu zaskoczeniu Liz się przekonała, że prowadzenie sprawia jej przyjemność.

Wyjechali przed świtem, bo statek odpływał o czwartej, co oznaczało, że Vic musi się stawić o dwunastej. Liz czuła, że Edward by wolał, żeby nie odwoziła Vica autem, żeby dotarł on do Southampton własnym środkiem transportu. Wiedziała, że Edward go nie lubi, że jest o niego zazdrosny. Zresztą w ogóle nie znosił, gdy spędzała czas w towarzystwie jakichkolwiek mężczyzn, z wyjątkiem Iana Holmesa. Robił się coraz bardziej chmurny i coraz bardziej zaborczy wobec niej. Ilekroć jednak zaczynał ją wyprowadzać z równowagi, zmuszała się do przypomnienia, ile mu zawdzięcza i jak bardzo cierpi on fizycznie i psychicznie z powodu swego kalectwa.

Po brzydkim lecie, podczas którego wygniło mnóstwo upraw w jej ogrodzie, a w spiżarni nie nagromadził się zwykły zapas owoców i weków, ostatnie dni września przyszły ciepłe i pogodne.

Dojechali do Southampton z solidną rezerwą czasu i zaczęli szukać drogi do portu. Musieli przystawać parę razy, żeby się dowiedzieć o nabrzeże, przy którym cumuje statek Vica.

- Emigruje szanowne państwo? - zapytał jakiś mężczyzna, biorąc ich za małżeństwo. - Nie dziwota. Nic dobrego nie czeka nas teraz w kraju. Idzie człowiek na wojnę i co ma, jak wróci? Zona uciekła z jakimś Amerykańcem albo znalazła sobie innego. Jakiegoś fagasa, który nie kiwnął palcem w obronie kraju, a teraz siedzi na ciepłej posadce, którą wam sprzątnął.

Tak, dużo teraz w Anglii niezadowolonia, westchnęła Liz, podziękowawszy mężczyźnie za wskazówki i ruszając ostrożnie w kierunku nabrzeża. Ludzie nie godzą się już, żeby im

mówiono, co jest dla nich dobre i jak mają żyć. Wojna zmieniła" wiele rzeczy, niektóre nieodwracalnie.

Zdumiała ją liczba wielkich statków przy nabrzeżu, i tłum rojących się ludzi, rodziny z małymi dziećmi, żegnające się płacząco z tymi, którzy pozostawali. Czytała, oczywiście, w gazetach i słyszała w radiu, że wielu ludzi emigruje, żeby szukać nowego życia w krajach Wspólnoty, w Kanadzie, Australii czy Nowej Zelandii, ale widok grupek z manatkami, szykujących się do opuszczenia na zawsze ojczyzny, przyprawił ją o uczucie niepewności i melancholii.

Spróbowała sobie wyobrazić, z jakimi uczuciami ona by opuszczała na zawsze Anglię, porzucała Cottingdean, do którego tak się przywiązała. Czy to rozsądne pokochać tak bardzo dom? Czuć się z nim tak bardzo związaną, jakby stał się jej częścią, jakby stanowił duchową ostoję? Zawsze pragmatyczna, zganiła się za te niemądre myśli. Cottingdean to w końcu tylko dom, bardzo piękny i zabytkowy, ale tylko dom. Dawid, Edward, to się naprawdę liczy.

Ponieważ mieli jeszcze sporo czasu, zaproponowała Vicowi, żeby coś zjeść w mieście. Vic się z początku sprzeciwiał, ale w końcu uległ jej namowom. Wrócili do centrum Southampton i zaparkowali obok kilku aut na częściowo uprzątniętym placu po zbombardowanym domu.

Liz zdumiewało, że tyle się w mieście buduje. Przyglądała się przez chwilę z zazdrością grupce mężczyzn, którzy się uwijali przy fundamentach nowego budynku. Żałowała, że ona nie ma ich sił i umiejętności, żeby bardziej popchnąć naprzód odbudowę Cottingdean.

W jednej z restauracji Lyonsa zjedli szybki lunch, za który Vic uparł się zapłacić. Liz taktownie mu się nie sprzeciwiała.

Od narodzenia Dawida istniała między nimi niewidzialna więź. Chociaż Vic był od niej o parę lat starszy, pod wieloma względami wydawał się Liz jak młodszy brat, którego nigdy nie miała. Był milczącym mężczyzną, nie umiał o sobie mówić, ale wystarczyło go zobaczyć, krzątającego się przy owcach, by docenić jego dobroć i delikatność.

Liz wiedziała, że może mu w pełni ufać, jeśli chodzi o powierzone zadanie, ale miała lekkie poczucie winy, że go odrywa od wszystkiego, co Vic zna i kocha, że go wysyła w obcy, daleki świat. Stwierdziła również, kiedy jechali z powrotem do portu, że mu trochę zazdrości jego swobody.

Mimo całej miłości do Dawida, mimo pogłębiającego się przywiązania do Cottingdean, mimo wdzięczności dla Edwarda, zdarzały się chwile, kiedy tęskniła do swobody bycia po prostu sobą, do wyzwolenia się od wszystkich obowiązków i całej odpowiedzialności. Ale zaraz przypominała sobie, że owe obowiązki, szczególnie wobec Edwarda, stanowią cenę tego, że może żyć tak, jak żyje. Że bez niego los jej i Dawida byłby bardzo, bardzo ciężki. Nachodziły ją wówczas dotkliwie wyrzuty sumienia, odsuwała buntownicze myśli i rzucała się w wir wyczerpujących prac fizycznych, które spychały w głąb świadomości wszystko prócz poczucia, że musi po-

święcić cały czas, całą energię i włożyć wiele miłości, jeżeli chce choćby w przybliżeniu doprowadzić do końca narzucone samej sobie zadanie przywrócenia Cottingdean do życia.

We dwoje z Chiversem zrobili już i tak wiele. Jak powtarzał z żartobliwym uśmiechem Ian Holmes, „dokonali prawdziwych cudów”. Kiedy urodził się Dawid, nie przypuszczała, że będzie miała tak szybko nie tylko spory, zadbane i urodzajny ogród warzywny i owocowy, lecz że zostaną również przywrócone do dawnej urody dwa otaczające go rzędy grządek ziołowych. W tym zakresie pomógł jej wydatnie Sam, któremu natura zdawała się wynagradzać upośledzenie umysłowe wrodzonym wycuciem wszystkiego, co rośnie. Zdumiewał on często Liz swoją znajomością roślin i to on zdobywał sadzonki i ablegierki, które stopniowo zapełniały puste grządki. Spędzał też długie, mozolne godziny na wyrwaniu chwastów i karczowaniu ciernistych krzewów, dzięki czemu dziś po powrocie do domu Liz będzie mogła spędzić cenną godzinę na podziwianiu swego ogrodu i rozkoszowaniu się samotnością i spokojem.

Jeśli chodzi o sam dom, to największe szkody połatali w nim, materiałami, jakie im się udało „zorganizować”, Chivers i Dan. Dach już nie przeciekał, kuchnia ogrzewała pod dostatkiem wody, a zacieki zaczynały powoli znikać ze ścian. Dan wykazywał ponadto zaskakującą pomysłowość w naprawianiu odpadających tynków i sztukaterii, tak że dom po trochu powracał do życia.

Czując zdenerwowanie Vica, kiedy zaparkowali auto i szli nabrzeżem, Liz wsunęła mu rękę pod ramię. Uciskając je po siostrzanemu dla dodania mu otuchy, doznała przez moment szokującej świadomości, jak odmienne w dotyku jest jego ciało od miękkiego dzieciennego ciała Dawida i wychudzonego, kościstego ciała Edwarda. Na moment przypomniał jej się Kit, rzecz, która rzadko jej się ostatnimi czasy zdarzała. W końcu niewiele miała powodów, żeby go pamiętać, ale przez krótki, nieskończenie bolesny ułamek sekundy, dotknąwszy twardych męskich mięśni Vica, poczuła dreszcz zapomnianego wrażenia, jak to było... jak to było kochać i pragnąć mężczyzny...

Puściła szybko ramię Vica i odwróciła twarz ku morzu. Cóż to za niemądre myśli u kobiety w jej sytuacji. Idiotka z niej. Tym bardziej że kochanie się z Kitem nie sprawiało jej bynajmniej przyjemności.

Kiedy pasażerów wpuszczono wreszcie na pokład, Liz weszła razem z Vikiem, który miał dzielić ciasną kabinę z drugim samotnym mężczyzną. Umieścił walizkę w malutkiej wnęce na bagaże, po czym wyszli z powrotem na pokład, oboje milczący, pogrążeni każde w swoich myślach.

Vic pierwszy przerwał milczenie niespokojną refleksją:

- Tom Hudson jest dobrym hodowcą, ale w końcu to nie jego owce.

- Wiem, Vic - uspokoiła go łagodnie Liz. - Nic się nie martw. Już moja w tym głowa, żeby im niczego nie brakowało.

Nad nimi zatrzeszczał megafon i rozległo się wezwanie,

żeby wszyscy, którzy nie odpływają, opuścili statek. Vic odprowadził ją do trapu, przy którym, kiedy się do niego obróciła, żeby mu życzyć szczęśliwej podróży, wziął ją zaskoczoną w ramiona i, przyciskając za mocno, złożył na jej wargach niezdarny, ale bynajmniej nie braterski pocałunek.

Puścił ją zaraz i czerwony, unikając jej wzroku, wymamrotał zacinając się słowa przeprosin, ale ten nieoczekiwany uścisk i dotyk męskich ust na jej wargach, jakkolwiek niewprawny był ich pocałunek, obudziły w Liz tyle wspomnień, że na chwilę zaniemówiła. Czyżby Vic jakimś cudem czytał w jej myślach, czyżby mimo woli, podświadomie dała mu do zrozumienia, że... ? Przelknęła, wściekła na siebie, siłąc się, by odzyskać spokój. Zdobyła się na uśmiech, miała nadzieję, że przekonujący, i powiedziała z ożywieniem:

- To dla ciebie bardzo wzruszająca chwila, Via Wyjeżdżasz pierwszy raz z kraju.

- Tak.

Potwierdził jej słowa zdławionym głosem i odwrócił się od niej. Zdała sobie sprawę, że nagle poczuł się skępowany jej obecnością. Nie może mu pozwolić tak odjechać. Zawdzięcza mu tyle, życie Dawida, a może i własne. Wyciągnęła rękę i dotknęła go, żeby go pocieszyć i okazać zrozumienie. Poczula, jak mięśnie jego ramienia napinają się pod jej palcami.

- Będzie mi ciebie brakowało, Vic - powiedziała cicho.

- Ale byłoby to z mojej strony samolubstwem trzymać cię w Cottingdean, kiedy tak potrzebujemy tego tryka. Kto wie
- dorzuciła z udawaną wesołością - może oprócz medalowego barana przywieziesz sobie z tej Woolongi także ładniutką australijską narzeczoną?

Odwzajemnił jej się teraz uśmiechem, dzielnie próbując podchwycić bagatelizujący ton.

- Tryk bardziej mi w głowie niż żona.

Zawahał się, wpatrzony w nią. Na widok spojrzenia, jakim ją mierzy, Liz szybko odwróciła oczy. Poczula niemy ucisk w dołku. Widziała już raz takie spojrzenie w męskich oczach. Wzięła je wówczas naiwnie za miłość. Niemożliwe, żeby Vic ją kochał. Nie wolno mu jej kochać. Gdyby ją kochał, musiałyby go natychmiast zwolnić, a za bardzo im jest potrzebny. Cottingdean nie może się bez niego obyć. A jednak...

Zamknęła oczy, odpychając myśl, jak słodko by było się teraz o niego oprzeć, pozwolić mu się objąć i szeptać jej do ucha, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wyruszyli razem na poszukiwanie złotego runa... żeby...

Żeby co? Żeby zostali kochankami, zganiła się z goryczą. Czy niczego się nie nauczyła, nie wyciągnęła żadnej lekcji z przeszłości? Jest mężatką, ma męża inwalidę i małe dziecko. W dodatku ślubowała sobie życie we wstrzemięźliwości...

A jednak, kiedy tak stała, patrząc na Vica, pamiętając, jak czule nią się opiekował przy porodzie, jakie delikatne i uważające były jego dłonie, na usta cisnęły jej się słowa, które mu chciała powiedzieć. Słowa, które ją paliły w gardle, ale których, wiedziała, nie może mu powiedzieć, bo jakkolwiek go lubi, jakkolwiek potrzebuje jego siły i towarzystwa, czuła

w głębi serca, że go nie kocha. Że pozwalając mu się łudzić, iż jest inaczej, nie tylko by zdradziła Edwarda i Dawida, ale oszukiwała także jego samego. Więc chociaż serce jej się krajało, wyciągnęła do niego rękę, ułożyła wargi w coś, co miała nadzieję, było dobrą imitacją uśmiechu, i potrząsając jego dłonią powiedziała, jak mogła najweselej:

- Czas na mnie. *Bon voyage*, Vic. I pamiętaj, liczymy, że przywieziesz tego tryka. Pokładam w nim wielkie nadzieje.

Roześmiał się wówczas, choć może był to śmiech nieco wymuszony.

Rozmawiali o tym wiele razy lub raczej to ona mówiła, a on słuchał. Zapalała się w trakcie mówienia i snuła plany odnowienia dawnej tradycji i tkania na miejscu welen z runa cottingdeanskich owiec. Chciała uruchomić na nowo fabrykę, należącą do majątku, która stała teraz pusta i zaniedbana, z kołem wodnym napędzającym niegdyś maszyny, a teraz rdzewiejącym w zarosniętym, pozbawionym przepływu stawie.

- Do zobaczenia, Vic - powiedziała szeptem, bo głos jej nagle odmówił posłuszeństwa.

Wspięła się na palce i cmoknęła go krótko w policzek, po czym, nie śmiać na niego spojrzeć, odwróciła się i wmieszała między ludzi schodzących po trapie.

Nie czekała, aż statek podniesie kotwicę, tylko wsiadła w auto i ruszyła w drogę powrotną do Cottingdean. Prowadząc starała się myśleć nie o tym, co minęło, lecz o tym, jakie będzie teraz jej życie. W Cottingdean z synem, z mężem, z obowiązkami wobec nich...

Analizując tak sytuację, rozbrajała potencjalne napięcia, dopóki nie poczuła, że może spokojnie powrócić do domu i do rodziny, z sercem nie splamionym żadną winą.

Przejeżdżając przez jedno z miasteczek, musiała się zatrzymać dla przepuszczenia czterech mężczyzn, niosących olbrzymią, bogato rzeźbioną dębową skrzynię. Kiedy na nich patrzyła, przyszło jej do głowy, że skrzynia wspaniale by pasowała do pustego holu w Cottingdean. Pod wpływem impulsu zjechała na bok i dogoniwszy wolno oddalających się mężczyzn, zapytała bez tchu, co zamierzają zrobić ze skrzynią.

- Wyciepać ją - odparł pośpiesznie jeden z nich. - Zagracała nam pokój, odkąd się do nas sprowadziła moja matka starsuszka. Teraz, kiedy odeszła, Panie, świeć nad jej duszą, żona kazała wyciepać zawalidrogę.

Skrzynia była stara, miejscami wytarta i czarna od brudu, ale pod tym wszystkim Liz dojrzała ukryte piękno drewna i potencjalną urodę, jaką mogła odzyskać po należytych oczyszczeniu i odnowieniu.

- Kupię ją od pana - powiedziała, nie zostawiając sobie czasu na namysł ani wahanie. - Dam pięć funtów - dorzuciła - sześć, jeśli panowie mi ją umocują na dachu.

Mężczyzna spojrział na nią, jakby była niespełna rozumu. Przyglądał jej się chwilę podejrzliwie, po czym powiedział sceptycznie:

- Toto jest zdatne ino na opał. Ale jak szanowna pani chce... Tylko żeby mi tego nie odwiózł z awanturą paniny

chłop.

- Nie, nie, na pewno tego nie zrobi - zapewniła go Liz i prędko wyciągnęła z portmonetki sześć funtów.

Szczęściem Edward kazał jej zabrać ze sobą trochę pieniędzy w razie, gdyby się czuła zmęczona i zdecydowała wracać dopiero rano.

Trwało dobrą godzinę, nim mężczyźni umocowali ku jej satysfakcji skrzynię na dachu. Ale w końcu im się to udało, Liz zapłaciła i ruszyła w dalszą drogę, w nastroju radosnego podniecenia, które zajęło miejsce uprzedniej melancholii.

Nie wiedząc tego, rozpoczęła w ten sposób długoletni romans z antykami. Później miały jej się trafiać okazy znacznie cenniejsze niż ta wiekowa skrzynia, ale nigdy dreszczyk odkrycia i kupna nie przewyższał słodkiej radości, z jaką wracała tego popołudnia powoli i dumnie pustymi bocznymi drogami południowej Anglii, nucąc z zadowolenia, ze skrzynią kołyszącą się niebezpiecznie na dachu auta.

Pół roku nieobecności Vica przebiegało bardzo pracowicie. Oczywiście, nieuniknionych kłopotów przysparzały owce. Natomiast Dawid wyrastał szybko na spokojnego chłopca o tak słodkim charakterze, że Liz czasami zapierało dech w piersiach. Nie przypominał w niczym ojca, nie było w nim nic z egoizmu ani okrucieństwa Kita, miał własną osobowość. Vic pisał z Woolongi, że właściciel medalowych tryków z uporem odmawia sprzedaży, i Liz wyrobiła sobie wyobrażenie o nim jako o człowieku twardym i bezkompromisowym, niepodatnym na uczucia i sentymety. Z listów Vica odnosiła wrażenie, że dostał się on pod wpływ australijskiego hodowcy, i zaczęła się niepokoić, czy Vic po powrocie zadowolony jest on spokojnym, nieurozmaiconym życiem Cottingdean. W końcu jest on młodym mężczyzną, tak jak ona jest młodą kobietą, szeptał jej buntowniczy głos wewnętrzny. Nie chciała tego głosu słuchać, nie stać jej było na to.

Zima nastąpiła ciężka, ale wspólnie z Tomem Hudsonem zdolali jakoś ograniczyć ubytki stada do minimum. Liz utraciła rachubę nocy, które spędzała przy kocących się owcach, w ponurej determinacji niezawiedzenia ufności pokładanej w niej przez Vica, rozpamiętując wciąż na nowo noc narodzin Dawida.

Kuchnia była pełna osieroconych jagniąt. Liz obserwowała, zaskoczona i wzruszona, z jaką czułością odnosi się do nich Dawid, który zdawał się instynktownie wyczuwać cierpienie wszelkich stworzeń i starał się nieść im ulgę, Liz zastanawiała się często, czy to dobrze, że spędza on tyle czasu w towarzystwie Edwarda. Może powinna go zachęcać do większej żywości i przedsiębiorczości, na podobieństwo wiejskich chłopców. Ale Edward i Dawid czują się ze sobą tak dobrze, zdają się rozumieć bez słów...

Chivers ograniczył opiekę nad Edwardem, żeby pomagać przy owcach. Kiedy Liz się już zdawało, że zimą się nigdy nie skończy i nigdy nie nastanie wiosna, śnieg zaczął topnieć, a w osłoniętych zakątkach ogrodu jęły rozkwitać krokusy. Co jeszcze bardziej pocieszające, wkrótce nadszedł list od Vica,

zawiadamiający, że wyrusza on w drogę powrotną i wiezie ze sobą tak potrzebnego tryka.

W liście nie było słowa o tym, w jaki sposób udało mu się zmiękczyć nieprzejednanego Australijczyka, ale uszczęśliwiona Liz nie zastanawiała się, jakim cudem tego dokonał.

Sam Vic zjawiał się w kilka tygodni po liście, opalony, barczystszy, odmieniony, z oczami, które zdawały się patrzeć poza ograniczony horyzont okolicznych wzgórz. Wkrótce po przyjeździe wziął Liz na bok i oznajmił, że przywiózł ze sobą nic tylko tryka.

- To pani mi poddała tę myśl - powiedział cicho.

Uczucie utraty i żalu ścisnęło Liz gardło, kiedy na nią spojrział.

- Znalazłeś sobie żonę-odparła po prostu.

- Tak. To córka rządcy z Woolongi. Rzecz... rzecz w tym, że ona spędziła całe życie na tym ranczu, a to jest cudowne... prawie zaczarowane miejsce. Zniewała człowieka, ja sam uległem jego urokowi. Ona chciała tu przyjechać, zobaczyć Anglię. - Uśmiechnął się krótko, boleśnie. - Ale kiedy tryk się zaaklimatyzuje, a ja znajdę odpowiedniego pasterza, żeby mnie zastąpił, będziemy pewnie chcieli wrócić do Woolongi.

Woolonga... Woolonga... Poczwała w ustach gorzki smak tej nazwy, a kiedy podniosła wzrok na Vica, zobaczyła w jego oczach wszystko to, czego nie powiedział, czego nie mógł powiedzieć.

„Kto wie - rzuciła mu beztrzesko wtedy, przed odjazdem - może przywieziesz sobie z tej Woolongi ładniutką australijską narzeczoną”.

Nie traktowała tego wówczas serio. Nie miała najmniejszego zamiaru wypłaszać go z Cottingdean. Zbyt go tu potrzebują, żeby go tracić.

Wiadomość ugodziła ją jak sztylet obosiecznym bólem świadomości, jak bardzo będzie go jej brakowało i jakie samolubne jest uczucie, które ją przenika. Nie ma żadnego prawa chcieć go tu zatrzymać wiedząc, że nic mu nie może ofiarować. A przynajmniej ofiarować tego, co znajdzie u młodej żony. Nie ma prawa nawet czuć tego, co czuje, najmniejszego prawa.

Poznała jego żonę parę dni później. Miała na imię Beth i była ciemnowłosą dziewczyną o bardzo ogorzalej twarzy i żywych niebieskich oczach. Odnosiła się do Liz z zainteresowaniem i lekką agresywnością, która uświadomiła Liz, że nigdy nie zdołałaby z nią nawiązać nieskrępowanych stosunków. Nie potrafiła powiedzieć, czy powodem jest to, że Beth wyczuwa w niej w jakiś sposób zagrożenie dla swego pożycia z Vikiem, czy też po prostu to, że wychowawszy się w kraju nie znającym podziałów klasowych, odmawia traktowania Liz i Edwarda z tradycyjnym respektem, okazywanym im przez Vica. Mimo całego bólu serca musiała przyznać, że decyzja Vica ułożenia sobie życia w Australii jest prawdopodobnie najrozsądniejszą dla wszystkich zainteresowanych.

Zgodnie z obietnicą nie zdecydował się on jednak na wy-

jazd, dopóki nie wynalazł pasterza, którego uznał za godnego objęcia po nim miejsca. Trwało to trzy miesiące, w ciągu których Liz zaczęła mieć serdecznie dość ustawicznego wysłuchiwanie od Beth, że u nich na ranczu to czy tamto jest takie, że u nich w Woolondze to czy tamto robi się tak. Słuchając jej, odnosiła wrażenie, że i ranczo, i jego właściciel są ponad naturalną miarę, a w każdym razie, że nic w Cottingdean nie może się umywać do tego, co jest w Woolondze. Śmieszne było czuć zazdrość o miejsce, którego nie widziała na oczy, mieć wrażenie, że każdą swoją przechwałką Beth rzuca jej wyzwanie do zaprzeczenia, iż Cottingdean ustępuje jej rodzinnemu ranczu. Ale takie były odczucia Liz, która złapała się pewnego wieczora na tym, że mówi gniewnie do Edwarda:

- Nie mogę się doczekać, kiedy Vic i Beth wreszcie wyjadą. Dość mam już wiecznego słuchania o tej ich Woolondze.

- Beth cierpi na nostalgię - zwrócił jej łagodnie uwagę Edward. - To często czyni ludzi przewrażliwionymi. Ale muszę przyznać, że ona bywa istotnie zbyt agresywna w obronie wszystkiego, co australijskie. Może w jakimś zakamarku duszy żywi lęk, że Vic zmieni zdanie i będzie chciał tu pozostać.

- Och, na pewno tego nie zrobi - ucięła Liz czując, że Edward ją obserwuje. Wiedziała, że nie wyzbył się nigdy podejrzliwości w stosunku do młodego pasterza, odkąd ten przyjął jej poród, więc dorzuciła, jak umiała najniebezpieczniej, mimo bólu, jaki jej to sprawiało: - Może to i lepiej, że wyjedzie. W Cottingdean nie ma dla niego właściwie przyszłości. Ten nowy pasterz jest starszy, więc prawdopodobnie u nas zostanie. A z tego, co mówi Vic, już sobie zaczyna radzić ze stadem.

- Mm... Mam nadzieję, że się nie zawiedziesz na tryku, w którego zainwestowałaś tyle pieniędzy. Podziwiam twoją determinację, żeby polepszyć rasę naszych owiec, ale jak na razie, to krajowi potrzebne jest mięso, nie wełna.

- Tak, na razie bardziej potrzebne jest mięso - przyznała Liz - ale ja stawiam na przyszłość, na czasy, kiedy materiały nie będą już na kartki i ludzie zaczną patrzeć na jakość. W Anglii dotkliwie brakuje teraz dobrych welen, niewiele fabryk je w ogóle produkuje i prędzej czy później musi zrodzić się na nie popyt.

- I ty będziesz wówczas zaopatrywać rynek? - spytał Edward. - Moja droga, przykro mi rozwiewać twoje złudzenia. Prawda, że kiedyś, przed laty, nasze owce dostarczały runa wysokiej jakości, z którego tkano na miejscu wełny, ale te czasy dawno minęły. Nasza fabryka nadaje się już tylko do rozbiórki, maszyny diabli wzięły, w Cottingdean brak siły roboczej. Nie mamy nic, a nade wszystko nie mamy pieniędzy na inwestycje. Z trudem latamy dach nad głową.

- Wszystko się powoli ułoży - nie ustępowała Liz. - Zobaczysz. Anglia potrzebuje nowego przemysłu, a ludzie będą kupować nasze wełny. Znajdziemy na wszystko sposób.

Usłyszała westchnienie Edwarda, zobaczyła, jak sznuruje on sceptycznie usta, i poczuła skurcz frustracji w piersi. Jak tu

żyć? Ma tyle planów, takie wielkie nadzieje... i właściwie nie więcej. Czyż Edward nie widzi, jak bardzo potrzebna jest jej wiara w to, co robi? Musi przecież czymś zająć myśli. Dawid nie jest już niemowłębem i coraz mniej jej potrzebuje. Zrobił się taki samodzielny. Edward szuka pomocy fizycznej prawie wyłącznie u Chiversa, a bodźców intelektualnych u Iana Holmesa i proboszcza. A ona musi coś począć ze swoim życiem, musi mieć jakiś cel, coś, co by ją mobilizowało, w czym by mogła wyładować nagromadzoną energię, która przyprawia ją często o taki niepokój. Jest w końcu młodą kobietą, ma przed sobą całe życie.

Wydarzenie z Vikiem otworzyło jej oczy na zasadzki, które mogą na nią czyhać, jeśli nie znajdzie sobie czegoś, co zaabsorbuje jej myśli i wypełni czas. Nie wystarczał jej już sam wysiłek fizyczny, który ją wyczerpywał tak, że walila się wieczorem na łóżko jak kłoda, a zresztą dochodzili już do punktu, w którym nie byli w stanie samodzielnie wiele ulepszyć w domu. To, co pozostało do zrobienia, wymagało fachowej ręki. Więc musi mieć ten cel, dążenie do wskrzeszenia z popiołów dawnego dobrobytu dla Cottingdean. Owce stanowiły bogactwo majątku w przeszłości i owce powinny się stać ich bogactwem w przyszłości. A jeśli nie pozostał jej nikt, z kim by mogła dzielić ten cel, to trudno, będzie do niego dążyła samotnie, postanowiła z uporem.

Żegnając się tym razem z Vikiem, nie żegnała go sama. Cottingdean urządziło jemu i Beth przyjęcie pożegnalne, na które Liz zaprosiła wszystkich z sąsiedztwa. Nie mieli z Edwardem pieniędzy, żeby im kupić kosztowny prezent, ale z resztek serwisu, które ocaliła z dwóch zakurzonych szafek, Liz skompletowała im ładny wedgewoodowski serwis do herbaty z cienkiej porcelany kostnej.

Widziała, jak Beth lustruje serwis krytycznym okiem, a potem Vic ujmuje kruche naczynia w wielkie dłonie. W jego znajomym dotknięciu było tyle czułości, że poczuła ostre ukłucie bólu. Odepchnęła od siebie myśl, jak inaczej sprawy mogłyby się potoczyć, gdyby... Gdyby co? Gdyby nie była żoną Edwarda? Ale jest żoną Edwarda i powinna być za to diabło wdzięczna. Nawet w małym Cottingdean mieszkają kobiety, których dzieci nie mają ojców. Niektóre są wojennymi wdowami, inne... Dzieci tych drugich, owoc wojennych romansów, cierpią za to, że nie mają ojców. Ona może tylko dziękować Bogu, że taki los został oszczędzony Dawidowi.

Kiedy nadeszła chwila ostatecznego pożegnania, Vic odwrócił oczy. Liz rozumiała, że tak jest pewno lepiej, ale zabolalo ją to głęboko. Życzyła mu ze szczerego serca wszystkiego najlepszego, wiedziała jednak, że jej życie będzie bez niego uboższe.

Jakby domyślając się jej uczuć, podszedł do niej Dawid i wsunął jej rączkę w dłoń. Ale jego ciało było takie miękkie, a ona pragnęła twardszego, mocniejszego uścisku. Uścisku męzczyzny, a nie chłopca. Zamrugwała powiekami, żeby rozpedzić łzy, wyrzucając sobie głupotę i słabość. Musi patrzeć

w przyszłość, nie oglądać się w przeszłość.

Przyszłość... przecież mężczyzna taki jak Vic miałby koniec końców prawo oczekiwać od niej intymności cielesnej, do której, jak to wiedziała po doświadczeniu z Kitem, jest niezdolna. A jednak zdarzały się noce, długie, męczące noce, gdy leżała nie śpiąc, rozbudzona niepokojem w całym ciele, rodzącą się potrzebą, której nie rozumiała, nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Która ją wprawiała w popłoch i zawstydzenie.

Sięgając po następny pamiętnik, Sage zauważyła z uśmiechem, że oto odkrywa w mamusi nieoczekiwany i zapewne przypadkowy nerw dramatyczny,

Czytając całą końcową partię poprzedniego pamiętnika, miała wrażenie rosnącego napięcia, uczucie, że życie mamusi zbliża się do jakiegoś dramatycznego punktu zwrotnego. A może to wrażenie wypływało z innych źródeł, nie mających nic wspólnego z pamiętnikiem? Z jej własnej niecierpliwości?

Faktem jest, że kiedy mamusia podejmowała walkę o swoją przyszłość na ostatnich stronicach, które Sage czytała, życie jej samej też jakby się zbliżało do jakiegoś przełomu. Więc może to tylko jej własna rozpaczliwa chęć zapomnienia, ucieczki od własnych myśli i problemów, każe jej się dopatrywać w pamiętniku mamusi jakiejś tajemniczości, której w nim wcale nie ma?

A może to po prostu fakt, że po raz pierwszy ogląda mamusi oczami kobiety, nie dziewczynki, i ze zdumieniem, ale i zrozumieniem odkrywa, że mamusia była taką samą młodą kobietą jak ona, z uczuciami i porywami, których nie mogło w żadnej mierze zaspokoić życie z Edwardem?

Otworzywszy nowy pamiętnik, zmarszczyła się na widok dat wypisanych na wewnętrznej stronie okładki. Tom ten obejmował prawie całe dziesięciolecie.

mogłaby otworzyć duszę, jemu jednemu mogłaby wyznać, jak bardzo jest dotknięta zdradą Scotta. Ale Dawid zginął i nigdy go już nie będzie. Nie mając ujścia dla swego gniewu, zamiast go obrócić przeciw Scottowi i jego ojcu, z jakiegoś niewiadomego, niezrozumiałego powodu, jak widziała teraz, obróciła się przeciwko Danielowi Cavanaghowi. Może dlatego że w ten sposób pozostawiała drzwi otwarte na wypadek, gdyby Scott się namyślił i zdecydował do niej powrócić. A może dlatego że podświadomie czuła, iż Daniel jest jedyną dostatecznie silną, zrównoważoną osobowością, żeby się uporać z jej gniewem.

Logika jej mówiła, że nie jest winą Scotta, iż ojciec uparł się go zabrać do Australii. A prawdopodobnie także to, iż ukochany nie uczynił żadnej próby nawiązania z nią kontaktu.

Rzeczą, której nigdy nikomu nie zdradziła, był popłoch, w jaki ją wprawił jej własny pociąg seksualny do Daniela.

I niesmak, jaki jej zostawił. Nigdy też nie powiedziała nikomu o tym, jak Daniel nią wzgardził. Czemu? Zmarszczyła czoło w zastanowieniu. Czy dlatego że się wstydzi swoich uczuć, swego zachowania? Czy też dlatego że zawsze wiedziała, iż nawet Dawid, ten jej ukochany brat, gdyby żył, nie byłby w stanie jej zrozumieć... ?

Mimo całej miłości do niego czuła instynktownie, iż nie podziela on jej tłumionej, podskórnej zmysłowości, iż pociąg płciowy jest dla niego nie ludzkim porywem, tylko darem zesłanym przez Boga dla podtrzymania gatunku. Czuła, że Dawid nie posiada takiej jak ona ostrej ciekawości innych ludzi, ich motywacji, tego, co skrywane w ich życiu. Że woli nie wnikać zbytnio w mroczne zakamarki duszy ludzkiej, podczas gdy ona z zaskoczeniem odkrywała w sobie często żądzę dowiedzenia się i zrozumienia, co ludźmi kieruje, nie tylko w sprawach seksualnych, lecz w ogóle uczuciowych.

Tak, kochała Dawida i do dziś odczuwa dotkliwie brak jego delikatnej obecności w swoim życiu, brak jego tonizującego wpływu. Zastanawiała się czasem, czy Faye teraz, jako dojrzała i atrakcyjna kobieta, nigdy nie spogląda wstecz na swoje pożycie z Dawidem. Doszłaby może wówczas do wniosku, że pod względem seksualnym mogłoby ono nie wytrzymać próby jej postępującej dojrzałości i rosnących potrzeb. Faye nie jest kobietą zimną, jest raczej kobietą nie rozbudzoną. A wiedząc to, co teraz wie o mamusi, Sage podejrzewała, że i ona musiała zdawać sobie z tego sprawę. Czy dlatego odnosiła się zawsze z taką opiekuńczością do Faye? Nie dlatego że kochała ją bardziej od własnej córki, nie dlatego że aprobowała jej skromność i wstrzemięźliwość i chciała je stawiać za wzór swojej niesfornej latorośli, lecz dlatego że wyczuwała od dawna wrażliwość i bezbronność Faye, jej lęk, który Sage, ku swemu zawstydzeniu, zaczynała dostrzegać dopiero teraz.

Dlaczego nie uderzyło jej nigdy, jak Faye się wzdryga przy zbliżeniu jakiegokolwiek mężczyzny? Dlaczego nie widziała napięcia w jej spojrzeniu i postawie, ilekroć bratowa znalazła się w nieznanym męskim towarzystwie? Nie zaszczerpił jej tego lęku Dawid, tego Sage była pewna. To raczej ten lęk tłumaczył, dlaczego Faye wyszła za Dawida, a po jego śmierci chroniła się z taką determinacją pod opiekuńczymi skrzydłami Liz. Dopiero teraz, gdy zabrakło przy nich mamusi, Sage zaczynała dostrzegać rzeczywiste uczucia, które Faye kryje pod płaszczykiem pozornego spokoju. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, jak niebezpieczne jest tłumione napięcie, w jakim żyje jej bratowa.

Porozmawia z nią, kiedy Faye wróci wieczorem, postanowiła twardo Sage. Wybada, co ją gnębi. Zachęci do zwierzeń.

Czy szuka jeszcze jednego sposobu ucieczki od własnych problemów? zastanowiła się. Czy też rzeczywiście martwi się o Faye?

Oczywiście, że się o nią martwi. Zawsze obchodziła ją rodzina, obchodziła znacznie bardziej, niż chciała to przyznać przed samą sobą. Jako dziecko żyła w wiecznym cieniu niechęci tatusia i chłodu mamusi, ale odmiennie od innych kobiet

w jej sytuacji nie spędzała później dorosłego życia na szukaniu aprobaty mężczyzn. Przyjęła przeciwną postawę, karania ich, stwierdzała teraz ponuro. Odpychania ich w odwecie za odpychanie jej przez tatusia. A większość mężczyzn się na to godziła. Większość, ale nie Daniel. Nigdy Daniel.

Daniel, Daniel... Jej myśl krąży w kółko i wraca wciąż do tego samego punktu. Do Daniela Cavanagha. Czy zadzwoni tak, jak obiecał, czy też zignoruje po prostu jej ultimatum? A jeśli zignoruje... ?

Stwierdziła, że drży. Zrobiła głęboki wdech i zaczęła nerwowo przewracać kartki nowego pamiętnika. Nie chciała myśleć o wczorajszym ranku, nie chciała się pogрузić w orgii wspomnienia, rozpamiętywania. I pozwolić swemu ciału, swoim kobiecym porywom wziąć górę nad inteligencją i logiką...

Czytała szybko krótkie, suche notatki, zapelniające początkowe kartki pamiętnika. Nowy tryk okazał się wspaniałym nabytkiem, jego progenitura miała delikatne runo, o jakim marzyła mamusia. Jeżeli za lakoniczną notatką: „List od Vica. Beth jest w ciąży” - Sage wyczuła cień melancholii, to nie pozwoliła sobie na analizowanie tego ani na współczucie dla mamusi, wiedząc, że rozczulanie się nad sobą jest ostatnią rzeczą, na jaką sama mamusia by sobie pozwalała.

Pamiętnik okazał się złożony w większej części z krótkich zapisków, które stały się jeszcze krótsze zimą, kiedy Edward zapadł na ciężką gripę i musiał iść do szpitala. Wiosna przyniosła wiele jagniąt i Liz napisała, że myśli o zakupie drugiego tryka.

Zacząła szukać sposobów uruchomienia na nowo fabryki i tkania własnych wełen. Na razie sprzedawała runo małej firmie tuż za szkocką granicą. Korespondowała z właścicielami fabryki i umówiła się, że przyjedzie ich odwiedzić. Przeprowadzała także wywiad, czy i jaką ewentualną pożyczkę na wdrożenie nowej produkcji mogłaby uzyskać od rządu.

Ludzie otrząsali się po trochu z ponurych doświadczeń wojennych i zaczęli planować w kategorii nadchodzących lat, nie najbliższych tygodni. Ci, którzy doświadczyli na własnej skórze koszmaru wojny i wiedzieli, co znaczy żyć w ustawicznej grozie śmierci, obiecywali sobie, że przyszłość ich dzieci będzie inna.

Kraj ogarniały nowe nastroje, utwierdzało się przekonanie, że sprawy muszą wziąć pomyślniejszy obrót, że nie można przeżyć tego, co się przeżyło, i nie wyjść z tego jakoś odrodzonym. Dochodziła do tego determinacja uczynienia wszystkiego, żeby następne pokolenie, owe dzieci poczęte w mroku rozpacz, znalazło w życiu tylko pogody i szczęścia. Tak więc matki, które przez lata wojny zadowalały się nędzną, tanią odzieżą, pragnęły teraz, może na razie podświadomie, lepszych rzeczy, jeśli już nie dla siebie, to dla swego potomstwa.

Rodzi się zapotrzebowanie na wełny z runa cottingdeanskich owiec, uważała Liz i była zdecydowana uczynić wszystko, żeby ich dostarczać.

Opozycja wobec jej planów była tak silna, że ktoś inny, słabszy, na jej miejscu dałby za wygraną, uległ naciskowi, mimo że był to nacisk delikatny, wywierany pod pozorem

troski o nią.

Edward nabrał zwyczaju szukania ucieczki w wyniosłym milczeniu, ilekroć próbowała z nim dyskutować o swoich planach. W milczeniu, jakim posługuje się rozpieszczone dziecko dla ukarania dorosłego, który ośmiela mu się sprzeciwić, stwierdzała z przykrością Liz.

Zdrowie Edwarda stanowiło dla niej przyczynę nie kończących się zmartwień. Od początku wiedziała, że nigdy nie będzie silny, zawsze będzie potrzebował troskliwej opieki, ale ostatnia grypa uczyniła go jeszcze węższym. Zresztą, nie tylko węższym fizycznie, ale i bardziej agresywnym, skłonny do żądania i czepiania się, do dąsów i obrażonego milczenia, ilekroć uważał, że nie poświęca mu dostatecznej uwagi.

Szcześnie, że Dawid jest takim łatwym dzieckiem. Czasami aż za łatwym, martwiła się, porównując jego zachowanie z zachowaniem innych chłopców w jego wieku.

Kiedy się jednak podzieliła swoimi niepokojami z lanem Holmesem, ten ją szybko zapewnił, że Dawid jest zdrowy i najnormalniejszy w świecie.

- Jest spokojny, wiem - tłumaczył łagodnie. - Ale to do bry spokój, nic się za nim nie kryje.

- Ale spędza tyle czasu sam.

- Tak, bo lubi być sam. To się zmieni, jak pójdzie do internatu.

Sprawa szkoły Dawida stanowiła następną kość niezgody między nią a Edwardem. Edward chciał posłać Dawida do tej samej małej szkoły prywatnej, do której sam uczęszczał, Liz natomiast uważała, że siedem lat to o wiele za młody wiek, żeby wypuszczać chłopca z domu. Żona pastora ją rozumiała, ale sama z bólem serca wysłała swoich dwóch synów do internatu, gdyż uważała, że chłopcom potrzeba dyscypliny. Edward natomiast argumentował, że w szkole Dawid nawiąże znajomości i przyjaźnie, które mu później zapewnią pozycję w dorosłym życiu, i chociaż jej tego nie mówił, Liz po raz pierwszy miała wrażenie, że daje jej delikatnie do zrozumienia, iż się urodziła w zupełnie odmiennym środowisku niż on.

Ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, wychodząc za Edwarda, była chęć awansu społecznego, ale umiała patrzeć i nawet w tych powojennych czasach widziała respekt, jakim są otaczani ludzie o dobrym pochodzeniu i właściwym akcencie. Z drugiej strony wiedziała, że dla wygospodarowania pieniędzy na czesne będzie musiała poczynić istotne oszczędności w wydatkach domowych.

Przyściśnięta do muru, nie mogła nie przyznać, że chce, oczywiście, żeby Dawid otrzymał jak najlepsze wykształcenie. Co do samego Dawida, to kiedy poruszyła z nim tę sprawę, okazało się, że nie ma nic przeciwko pójściu do internatu. Był trzeźwym chłopcem o promiennym usposobieniu i zapewniał ją, że nie będzie się czuł nieszczęśliwy ani osamotniony. Wygląda, jakby to ona była dziecinna, stwierdziła cierpko Liz.

Irytowało ją, że mimo wszystkiego, co zrobiła dla Cottingdean, mimo całego wkładu swojej pracy, pozostaje nadal tak dalece pod subtelną dominacją mężczyzny swego życia.

Edward okazywał zdecydowaną dezaprobatę dla jej planów uruchomienia fabryki. Uważał, że to zajęcie nie przystoi kobiecie, ale w Liz coś się zbuntowało. Zawdzięcza mu wiele, właściwie wszystko, ale odpłaciła mu za to z nawiązką. Mają wspaniałego syna, dom, który coraz bardziej kocha, a jeśli nie są zbyt dobrze sytuowani finansowo, to powodzi im się i tak lepiej niż wielu innym ludziom. Ogród rodzi tyle, że nigdy im nie brakuje jarzyn i owoców, hodują inwentarz na własne potrzeby, kury, które składają jajka. Przy oględnym gospodarowaniu są w stanie żyć względnie swobodnie z renty Edwarda oraz opłaty zadzierżawionej ziemi ornej.

Prawda, proces wyposażania ogołoconego domu posuwał się wolno, Liz miała jednak szczęście do okazji, a od czasu owego przypadkowego postoju w drodze powrotnej z Southampton spędzała wiele szczęśliwych godzin na szperaniu po salach aukcyjnych i na wiejskich kiermaszach staroci.

Ostatni jej nabytek stanowiły piękne brokatowe story, zdobiące teraz okna salonu. Kupiła je za bezcen i przykroiła do wymiarów jego okien, znacznie mniejszych od okien zrujnowanej dwupiętrowej sali balowej, do której zostały niegdyś uszyte.

Delikatny koloryt oraz mięsista faktura materiału, pochodzącego, jak przypuszczała Liz, z epoki, kiedy jeszcze na stronie zasiadała królowa Wiktoria, i przewyższającego wszystko, co mogłaby obecnie dostać, nawet gdyby miała na to środki, nasunęły jej myśl przywrócenia całego salonu do pierwotnego stanu.

Dawna farba spłowiła w brudny, bury kolor, ale w bibliotece - gdzie na półkach pieczołowicie wypokostowanych

przez Chiversa olejem lnianym i wypoliturowanych woskiem pszczelim stały znowu równym szeregiem książki - znalazły się plansze z oryginalną ornamentyką ścian salonu, utrzymanych w tonacji żółto-zielonej, która powinna, jak uważała Liz, znakomicie współgrać ze złocistymi brokatowymi storami.

Białą farbę klejową można dostać, poinformował ją oględnie Chivers, ale z kolorami będzie kłopot. Nie zniechęciło to Liz, która już uprzednio zaczęła eksperymentować z barwnikami roślinnymi. Utrzymywała to w tajemnicy, nie zdradzając nikomu, że robi plany na przyszłość, kiedy to nabyta wiedza przyda jej się do barwienia nie tylko farb klejowych. Chodziło jej o zgłębienie tajemnicy dyskretnych kolorów niektórych materiałów odziedziczonych po lady Jeverson, miękkiej przytłumionej tonacji jej szkockich tweedów, tak różnych od krzyżących welen produkowanych obecnie.

Liz miała jasne wyobrażenie, czego oczekuje po swojej fabryce. Etykietą Cottingdean będą się mogły chlubić tylko i wyłącznie wełny najwyższej jakości.

Na aukcji w jednej ze starych rezydencji znalazła się koło grupki amerykańskich turystów, których rozmowa dała jej wiele do myślenia. Nie ulegało wątpliwości, że są to ludzie bardzo bogaci i bardzo wybredni, którzy podróżują w poszukiwaniu antyków. Sprzątnęli oni Liz sprzed nosa wyjątkowo

piękne osiemnastowieczne biurko w stylu *bonheur de jour* za cenę, która wyrwała jej z piersi westchnienie zazdrości. Tacy właśnie ludzie będą kupowali kiedyś jej wełny.

Nie miała pojęcia, ilu spośród ich znajomych kręci ze zdumieniem głową nad jej cierpliwością wobec Edwarda. Mało powiedzieć: cierpliwością, jej prawdziwym oddaniem. Najbardziej może dziwił się Ian Holmes.

Jak często powtarzał w rozmowach z żoną, nie jest to życie dla młodej kobiety. Wiedział, oczywiście, że Dawid nie jest synem Edwarda i w początkowym okresie po ich przyjeździe do Cottingdean po trosze oczekiwał, że natura upomni się

prędzej czy później o swoje prawa i Liz weźmie sobie ko-

chanka. Prawdę mówiąc, nie miałby jej tego za złe. Liz jest

przecież nie tylko piękną kobietą, lecz także fascynującą oso-

bowością. I to Ian przekonał w końcu Edwarda, żeby jej po-

zwolił na uruchomienie fabryki, tłumacząc, że młoda zdrowa

kobieta musi mieć naturalne ujście dla swojej energii i cel,

którego realizacja da jej zadowolenie.

Usłyszawszy tę argumentację, Edward zmierzył go pode-

jrliwym spojrzeniem i po raz pierwszy w dziejach ich przyjaźni zaciął się w niemal dzieciennym milczeniu,

jakim

często w obecności bezradnego Iana karał Liz. Lecz Edward

był w głębi serca człowiekiem prawym i zycziwym, a jeśli

czasami robił się przykry dla żony, to dlatego że ją kochał,

a nie będąc jej pewnym, drżał, że kobieta taka jak ona znudzi

się nim pewnego dnia i go porzuci. Miał jednak dosyć trzeźwości, by widzieć, że trudno o bardziej oddaną

żonę i że sam sobie przysparza niepokoję, tak więc w końcu

przyznał

niechętnie, że może kiedyś, w przyszłości, gdy sytuacja finan-

sowa na to pozwoli, warto by się zastanowić nad uruchomie-

niem na nowo fabryki.

Gdy sytuacja finansowa na to pozwoli... Liz nie zdradzała

się ze swymi myślami, miała jednak własny plan zebrania

potrzebnego kapitału. Za poradą, której jej udzielił na

odjezd-
nym Vic, prowadziła wspólnie z nowym pasterzem
konsekwentnie i rozważnie krzyżówki w obrębie
cottingdeañskiego stada, ażeby wyhodować medalowe tryki, i to nie tylko dla
produkcji wełny na własne przyszłe potrzeby, lecz także
dla

wykorzystania nagłego popytu na baraninę.

Wojenne wyrzeczenia zrodziły w ludziach obok żądzy
lepszych, bardziej luksusowych towarów również żądę
lepszej żywności, diety nie ograniczonej do artykułów
pierwszej potrzeby, produktów atrakcyjnych dla oka i podniebienia.
Farmerzy w całym kraju nastawiali się na hodowlę
pogłównia,

które by zaspokoilo ten popyt, a Liz ze swoją dalekowzroczną
inteligencją chciała wykorzystać sytuację dla swoich celów.

Edward sprzeciwił się z irytacją, kiedy pierwszy raz napomknęła o pokazaniu ich młodych tryków na jednym z okolicznych jarmarków. Było niemal widać, jak krzywi z niesmakiem arystokratyczny nos, i Liz musiała mu dopiero taktownie przypomnieć, że hodowla jest od dawna uświęconym zajęciem ziemian.

Ustał z ociąganiem i w rezultacie Liz, wspólnie ze swoim pasterzem, po trochu, ostrożnie, uważając stale, żeby nie przeholować, zaczęła wyrabiać markę cottingdeañskiej owczarni. Powiodło jej się tak dalece, że w ostatnim roku jeden z jej młodych tryków uzyskał pierwszą nagrodę na pokazie w Smithfield, i to sprzedaż jego męskiej progenitury miała się stać zaczątkiem kapitału potrzebnego do odnowienia fabryki.

Liz, w tajemnicy przed wszystkimi, oglądała ją już wiele razy, starając się widzieć nie jej pożałowania godny stan, lecz zalety.

Gdyby miała być zupełnie szczerą, jedyną zaletę fabryki stanowiło to, że stoi w samym środku miasteczka, w rejonie, gdzie trudno o pracę. Z tego właśnie powodu Liz liczyła, że władze będą patrzeć na jej inicjatywę zyczliwym okiem. Mężczyźni, którzy niedawno przelewali krew za ojczyznę, nie mogli się teraz pogodzić z faktem, że zostali bez zatrudnienia i zarobku, więc każdy, kto obiecywał stworzyć nowe miejsca pracy, szczególnie w takim wiejskim rejonie, mógł liczyć na przychylność czynników oficjalnych.

Tak się złożyło, że Ian Holmes wybierał się właśnie do Edwarda z wizytą zawodową, nie towarzyską. Badał go dokładnie kilka razy w roku i za każdym razem próbował z nim przeprowadzić rozmowę na temat jego stanu zdrowia, ale

Edward nie był człowiekiem skłonny do dyskusowania z kimkolwiek o swoich intymnych sprawach, robił się przy takich okazjach opryskliwy lub też zamykał w sobie, tak że na nic zdawał się cały takt Iana.

Ianowi udało się jedynie dopiąć tego, że Edward patrzył na działalność Liz przychylniejszym okiem. To za jego namową Edward zawarł na rzecz Liz znajomość z kilkoma okolicznymi notablami, w tym z lordem namiestnikiem, zapalonym myśliwym i dobrym gospodarzem, który miał znaczny wpływ na londyńskim Whitehallu.

Liz uczyła się powoli zasad gry. Formalnie to Edward był inicjatorem uruchomienia fabryki, ona zaś występowała tylko jako rzeczniczka jego idei, gdyż zły stan zdrowia utrudniał mu uczestniczenie w długich, wyczerpujących zebraniach.

Za pośrednictwem lorda namiestnika Liz nawiązała kontakt z małym prywatnym bankiem handlowym, poszukującym nowych inwestycji, Ian podziwiał ją i miał szczerą nadzieję, że jej się powiedzie. Biedna dziewczyna potrzebuje w końcu jakiejś odmiany w życiu. Dawid jest teraz w internacie, a co do Edwarda...

Ian zasepił się, skręcając w drogę do dworu. Zaczynały go niepokoić u Edwarda coraz częstsze nawroty depresji, tym niebezpieczniejsze, że ten nie chciał ich dostrzegać. Doktor próbował mu przy kilku okazjach sugerować, że dobrze by zrobiło zarówno jemu, jak Liz, gdyby pojechał na tydzień czy dwa do któregoś z nowo otwartych, prywatnych domów wypoczynkowych dla ludzi tak ciężko jak on poszkodowanych przez wojnę. Jednakże Edward nie chciał o tym słyszeć.

Rzucało się w oczy, że trudy opieki nad nim zaczynają się dawać Liz we znaki. Nielatwo musiało jej, w końcu młodej, zdrowej i pięknej kobiecie, być żoną takiego mężczyzny jak Edward. Mimo że Liz odnosiła się do niego zawsze z niezwykłą dobrocią i cierpliwością, Ian był kilkakrotnie świadkiem scen, przy których z ledwością się powstrzymał, żeby nie interweniować i nie wygarnąć Edwardowi, iż jego zazdrość nie ma najmniejszych podstaw.

Biedna Liz. Nie wzięłyby jej za złe, gdyby sobie rzeczywiście znalazła kochanka.

Pani jest na jakimś spotkaniu w związku z fabryką, poinformował Chivers, otworzywszy Ianowi drzwi. W jego zachowaniu po raz pierwszy widać było niepokój. Zamiast wprowadzić Iana do biblioteki, zapytał z zakłopotaną i nieszcześliwą miną:

- Czy mógłbym z panem zamienić słówko, panie doktorze?

Zarówno jego oficjalny ton, jak i sama prośba zdziwiły Iana.

- Oczywiście, Chivers - odrzekł bez namysłu. - Masz jakieś kłopoty?

Prawdę mówiąc, powinien mu kazać przyjść do gabinetu w godzinach przyjęć, lecz Ian wiedział, że atmosfera gabinetu lekarskiego onieśmiela wielu pacjentów i wolą oni zasięgać porady w mniej krępujących warunkach.

- Bo, panie doktorze... tu chodzi o pana majora - wy-

krztusił Chivers.

Zaskoczyło to Holmesa, który się spodziewał, że Chivers ma do niego jakąś osobistą sprawę.

- Tak? - zachęcił go spokojnym głosem.
- Zna pan doktor te ponure nastroje pana majora, prawda?

Cóż, trudno mu się dziwić. Ból, który ustawicznie znosi... Więc nie można mu się dziwić, ale ostatnio... - Chivers zamilkł na chwilę. - Nie wiem, czy to ja powinienem panu doktorowi mówić, ale ktoś musi, a pani, ona to nie piśnie słówka, a jak ja sam próbowałem powiedzieć panu majorowi, że to się nie godzi...

Ian zeszytniał i serce mu się ścisnęło. '- Co się nie godzi, Chivers? - zapytał podejrzewając, że już się domyśla.

- No, pan major ma te swoje wybuchy, jak pan doktor wie. Wykrzykuje wtedy rzeczy, których na pewno nie myśli. Człowiekowi w jego sytuacji jest naprawdę niełatwo żyć. A pani... pani zachowuje się w stosunku do niego jak prawdziwa święta. Uśmiecha się promiennie, próbuje go uspokajać, głaszcze, zapewnia, że nie ma powodu do niepokoju... Ale ostatnio... - Chivers zawałał się, po czym podjął niepewnie: - Nie chciałbym, żeby pan doktor myślał, że się wtrącam w nie swoje sprawy. Nigdy się nie zniżałem i nie zniżam do plotek, ale kiedy człowiek widzi, jak...

Zacisnął na chwilę wargi, próbując znaleźć właściwe słowa, Ian czekał cierpliwie, nie chcąc mu nic sugerować.

- Chodzi o to, panie doktorze, że ostatnio te wybuchy pana majora, one się robią coraz gorsze. Rzeczy, które wygaduje do pani... żadna kobieta nie powinna być narażona na wysłuchiwanie czegoś takiego. Ale pani mówi, że to wszystko z powodu nieznośnego bólu i żeby na to nie zwracać uwagi. W zeszłym tygodniu pani wróciła późno z jakiegoś zebrania i poszła zanieść panu majorowi kolację, i jak on zaczął na nią wykrzykiwać... Słyszałem każdziutkie słówko i panicz Dawid też...

Chivers zacisnął ponownie wargi.

- Pomyślałem, że pójde zobaczyć, czy paru nie potrzebuje pomocy. Czasami jak pan major wpadnie w taki szał, to próbuje wstawać z fotela i pani się boi, żeby nie upadł i nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy. Dość że jak otworzyłem drzwi, to zobaczyłem, że pani stoi pochylona nad fotelem, a on ją trzyma... Tak mi się przynajmniej wydawało w pierwszej chwili, ale zaraz...

Chivers przełknął i spojrzał prosto na doktora.

- Zaraz się zorientowałem, że on jej robi krzywdę, panie doktorze... Że trzyma ręce na jej gardle i jeśli mam być szczerzy, przez moment myślałem... Ale jak mnie tylko zobaczył, to ją puścił... Pani kazała mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiem. Mówi, że pan major zapomniał się na chwilę. Ale następnego dnia miała siniaki na szyi i musiała chodzić w apaszcze prawie przez tydzień. A to nie jedyny wypadek. Nie, żeby pan major był z natury taki skłonny do gwałtu, panie doktorze, pani pierwsza by to potwierdziła, ale jest o nią taki chorobliwie zazdrośny... Więc pomyślałem, czy pan doktor nie mógłby czegoś w tej

sprawie zrobić, porozmawiać z panem majorem czy co. - Chivers milczał chwilę, po czym dokończył niepewnie: - Mam nadzieję, że pan doktor nie pomyśli, że się mieszam nie do swoich spraw, ale jak mówiłem, pani to bagatelizuje, twierdzi, że to nic wielkiego, a to przecież...

- Bardzo dobrze, że mi powiedziałaś - uspokoił go Ian.
- Jak sam podkreślasz, biedny major cierpi nieludzkie bóle w amputowanych kończynach. Porozmawiam z nim. Na rynku ma się wkrótce pojawić kilka nowych specyfików, dobrze by mu również zrobił jakiś wyjazd.

- Nie przeżyłby utraty pani - wtrącił ze smutkiem Chivers.
- Jest mu wspaniałą żoną. Opiekuj się nim jak istna święta.

Ale Liz jest także normalną, zdrową kobietą, która nie ukończyła jeszcze trzydziestu lat, dodał w myśli Ian, otwierając drzwi biblioteki, i jeżeli Edward się nie otrząśnie ze swoich depresji i nie zapanuje nad wybuchami, może ściągnąć na siebie dokładnie to, czego się tak obawia. Bo oczywiście, że boi się ją utracić, oczywiście, że jest o nią zazdrosny.

Jak oczekiwał Ian, Edward przyjął wybuchem gniewu sugestię, że najwyższy czas zastanowić się poważnie nad jego stanem i że dobrze by mu zrobił wyjazd na jakiś czas. Jął się miotać na fotelu, zaciskać i rozwierać pięści w bezsilnej wściekłości, tak że patrząc na niego, doktor nie miał wątpliwości, iż, jak się obawia Chivers, zdolny jest zrobić Liz krzywdę. Wszystko w zachowaniu Edwarda potwierdzało słowa ordynansa, więc Holmes nie chciał narażać Liz na jego wzmożoną agresję, rzucając mu bezpośrednio wyzwanie. Wiedział, że ich małżeństwo może się zakończyć tragedią i był zdecydowany uczynić wszystko, żeby temu zapobiec.

Może najlepszą rzeczą będzie porozmawiać z Liz, zdecydował, zmuszony uznać, że nic nie jest w stanie wskórać u Edwarda, który kategorycznie odrzuca wszelkie aluzje, że przestaje panować nad sobą z bólu i zazdrości.

- Dlaczego mnie w ogóle o to wszystko wypytujesz? - zaatakował Iana. - Liz poleciała do ciebie na skargę, tak? Ta cholerna fabryka, to jedno ma teraz w głowie...

W miarę jak go opuszcza gniew, zauważył Ian, Edward popada w płaczliwe rozczulenie nad sobą.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda, Edwardzie - skarcił go. - I nie, Liz ze mną w ogóle nie rozmawiała. Jeśli cię pytam, jak znosisz ból, to dlatego że jest faktem powszechnie znanym w medycynie, że organizm ludzki przyzwyczaja się nawet do najlepszych środków przeciwbólowych i ich skuteczność stopniowo maleje. Na rynku pojawiają się coraz nowe, ulepszone środki, a ponadto, jak już mówiłem, dobrze by ci zrobił wyjazd na jakiś czas...

- Nie, nie i nie. Nie ruszę się stąd nigdzie, dopóki mnie nie wyniosą w trumnie - odrzucił wściekle Edward. - To jest mój dom i zamierzam w nim pozostać do śmierci.

- Pamiętaj, Edwardzie - zwrócił mu spokojnie uwagę Ian - że możesz w tym domu egzystować tylko dzięki temu, że Liz się tobą opiekuje z takim oddaniem.

Ze współczuciem patrzył, jak Edward się kuli się w fotelu i oblewa purpurą na te słowa. Być może, okrucieństwem z je-

go strony jest mu wypominać jego bezradność, ale należało to uczynić.

- No, zostawiam cię, żebyś spokojnie przemyślał naszą rozmowę - podsumował Ian wstając.
- Nie ma tu nic do przemyślenia - odwarknął Edward.

Doktor Holmes był w połowie holu, kiedy w drzwiach wejściowych ukazała się Liz. Miała zmęczony, blady wygląd, ale na widok Iana jej twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem.

- Ian, cieszę się, że cię widzę! Myślałam, że się rozminniemy. Jak tam Edward? - zapytała trwożnie. - Tak bardzo ostatnio cierpi. Martwię się o niego.

Stwarzało to wymarzoną okazję do rozmowy, więc Ian podszedł do niej mówiąc:

- Tak, wiem. I właśnie chciałem z tobą porozmawiać, jeśli masz chwilę czasu.

Gdyby mogła się przygotować do tej rozmowy, oceniła później Liz, miałyby się bardziej na baczności. Jednakże podejrzenie tego, co nastąpi, zrodziło się w niej dopiero, gdy siedzieli oboje w saloniku.

- Niepokoję się o Edwarda - zaczął Ian bez wstępów, po czym, widząc popłoch w jej oczach, pośpieszył ją uspokoić: - Nie, nie myślę o jego zdrowiu fizycznym, pod wieloma względami ma się obecnie znacznie lepiej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać, a to dzięki tobie, Liz. Martwi mnie stan jego nerwów. Nie ulega wątpliwości, że wzmożony ból w amputowanych kończynach wywiera na niego zgubny wpływ. Zaproponowałem mu zastosowanie nowych środków, ale tym, co mnie naprawdę niepokoi, jest jego stosunek do ciebie.

Spostrzegł, jak Liz sztywnieje, więc podjął uspokajająco:

• Jesteś wyjątkową kobietą, Liz. To, czego tu dokonałaś, co zrobiłaś dla Edwarda, to niezwykle, wspaniałe osiągnięcia. Ale poza tym wszystkim jesteś normalną młodą kobietą, z normalnymi, naturalnymi potrzebami młodej kobiety, a Edward...

• Jeżeli próbujesz mnie pytać, czy zdradzam Edwarda, to odpowiedź brzmi nie - przerwała mu zdławionym głosem, czerwieniąc się ze wstydu, ale nie odwracając oczu. - Nie jestem kobietą o zbyt silnym popędzie płciowym - podjęła ze szczerością. - Odkryłam to wiele lat temu... w zetknięciu z Kitem, ojcem Dawida. Był moim... moim pierwszym i jedynym kochankiem. - Zagryzła wargę. - Zdawałam sobie sprawę, czego mogę oczekiwać, kiedy wychodziłam za Edwarda, i dobrowolnie wzięłam na siebie ten ciężar. Nigdy nie zdradziłam Edwarda i nie zamierzam tego zrobić. Nie chcę, nie potrzebuję kochanka. - Widząc współczucie, a może nawet politowanie w jego oczach, brnęła dalej: - Bardzo trudno mi z tobą o tym mówić. Nikt nie lubi się przyznawać do swoich upośledzeń i braków. Ale wierz mi, przekonałam się...

że jeśli chodzi o potrzeby płciowe... no, że ja po prostu... jestem niezdolna do odczuwania...

Ian się zmarszczył. Klóciło się to z jego znajomością Liz, coś innego sugerowało również wszystko, co wiedział o Kicie Danversie. Holmes był lekarzem, człowiekiem światłym i do-

świadczonym, szczerze lubił i cenił kobiety, a dla Liz miał ponadto szczególny szacunek i sympatię. Wpadł jej więc delikatnie w słowo:

- Kiedy mówisz o swoich upośledzeniach i brakach, mam wrażenie, że bierzesz na siebie cudze winy. - Widząc, że patrzy na niego nie rozumiejąc, jął tłumaczyć: - Z tego, co mi opowiadałaś o swojej ciotce, wynikało, że była wyjątkowo surową i zimną kobietą. Dorastanie w takiej atmosferze musiało się na tobie odbić. Ile ty właściwie miałaś lat, kiedy zaszłaś w ciążę? Osiemnaście?

- Siedemnaście - sprostowała Liz z wahaniem i na jej czole pojawiła się zmarszczka zastanowienia.

Siedemnaście, Ian westchnął w duchu. Była jeszcze pełnym dzieckiem, a Kit Danvers ile mógł mieć lat? Dobrze pod trzydziestkę, jeśli nie więcej. Z pewnością nie brakowało mu doświadczenia, żeby ją poprowadzić czule i delikatnie do odkrycia własnej zmysłowości. Lecz jeśli prawdą jest wszystko, co słyszał o Kicie, należał on do tych mężczyzn, którzy gonią samolubnie i bezwzględnie za własną przyjemnością, nie zważając na uczucia partnerek.

- Te braki, które sobie przypisujesz, obciążają przede wszystkim Kita - oznajmił jej twardo. - Był od ciebie znacznie starszy i z pewnością znacznie bardziej doświadczony.

Liz poruszyła się niespokojnie w fotelu.

- To niesprawiedliwe obciążać winą Kita - odparła ze szczerością. - Ja w końcu przez te wszystkie lata... przez te wszystkie lata nigdy...

Urwała, rumieniąc się znowu. Trudno jej było mówić o tak osobistych sprawach nawet z lekarzem, którego знаła tak dobrze jak Iana.

- Co przez te wszystkie lata? - sondował doktor. - Nie czułaś nigdy pożądania? Nigdy?

Oblała się jeszcze gorętszym rumieńcem. Czy możliwe, żeby Ian jakimś cudem wiedział o tych wszystkich nocach, kiedy się budziła rozpalona i podniecona, świadoma nurtującego jej ciała niepokoju?

- Nigdy nie miałam ochoty na stosunek płciowy z żadnym mężczyzną - wykrztusiła zdławionym głosem.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie chciałaś się przyznać przed sobą, że masz ochotę na stosunek z mężczyzną - skorygował domyślnie Ian. - A to zupełnie inna sprawa. Nie chcę cię wprawiać w zakłopotanie ani wyprowadzać z równowagi, Liz. Niepokoi mnie tylko sposób, w jaki Edward ostatnio wyładowuje na tobie swoją gorycz i frustrację. Rozumiem, to naturalne reakcje, ale z chwilą, kiedy zaczyna dochodzić do przemocy fizycznej...

Sposób, w jaki zeszytywniała, potwierdził, że Chivers nie przesadza.

- Czegoś takiego nie można tolerować, Liz.
- Jest o mnie taki zazdrosny... Nie rozumiem tego, nigdy mu nie dałam najmniejszego powodu...

Przełknęła z trudem.

- Kocha cię, moja droga - powiedział Ian ze współczuciem. - Ma normalne popędy seksualne kochającego mężczyzny, a nie może im dać cielesnego wyrazu, więc oczywiście się boi, że jakiś inny mężczyzna, sprawniejszy od niego, zajmie jego miejsce jako twój kochanek.

Cała krew odpłynęła Liz z twarzy.

- Ależ to... to zupełnie...

- Tacy już są mężczyźni - podjął sucho Ian. - To głęboko zakorzeniony atawizm, uczucie nie mające nic wspólnego z rozsądkiem ani logiką. My wszyscy jesteśmy skłonni do zazdrości, gdy chodzi o naszą wybraną towarzyszkę, rzecz w tym, że w przypadku Edwarda zazdrość zaczyna się wymykać spod kontroli. Myślę, że dobrze by wam obojgu zrobił jakiś krótki wyjazd...

- Edward nigdy się na to nie zgodzi - przerwała mu Liz.

- I ja tak sądzę. Ale musimy mu jakoś uświadomić absurdalność jego zazdrości, doprowadzić do tego, żeby pojął irracjonalność swojego zachowania. Obawiam się, że gwałtowność jego wybuchów... bo posuwa się do gwałtu, wiemy to oboje... - Ian westchnął, po czym ciągnął: - Nie możesz być w tym małżeństwie szczęśliwa, Liz. Jesteś...

- Jestem żoną Edwarda - odparła sztywno. - Zawdzięczam mu tak wiele, więcej, niż przypuszczasz, Ianie. Gdybym go zostawiła...

- Gdybyś go zostawiła, jego świat by się zawalił. Ale co z twoim światem, Liz, co z tobą? Obawiam się, że tak długo przedkładałaś potrzeby innych nad swoje, że grozi ci całkowite zapomnienie, iż masz własne.

- Do czego ty zmierzasz, Ianie? Sugerujesz, żebym zostawiła Edwarda i wzięła sobie kochanka? - Posłała mu gorzkie spojrzenie. - Jakżeby to mogła zrobić? Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Muszę myśleć o Dawidzie, no i, oczywiście, o Edwardzie. On nie potrafi nad tym zapanować, nie rozumiesz tego? Te napady melancholii wprawiają go w taką rozpacz, w takie przerażenie... Biedak się miota i sam nie wie, co mówi, co robi... - Urwała, zagryzając wargę. - On mnie potrzebuje, Ianie, i jak długo będzie mnie potrzebował, ja będę przy nim.

- Bardzo pięknie, Liz. Ale pamiętaj, że jestem zawsze do twojej dyspozycji, kiedykolwiek mnie będziesz potrzebowała.

I w dalszym ciągu będę próbował nakłonić Edwarda, żeby dał wam obojgu chwilę wytchnienia, zgodził się wyjechać na tydzień czy dwa.

Jadąc z powrotem do domu, Ian się zastanawiał, czy przypadkiem nie wyświadczył Liz niedźwiedziej przysługi. Czy nie litościwiej byłoby ją zostawić w nieświadomości, w przekonaniu, że jej reakcje seksualne są upośledzone i kalekie, niż uświadamiać, że padła ofiarą mężczyzny zbyt samolubnego, zbyt bezwzględnego, by pozwolić jej odkrywać po trochu własną zmysłowość, by jej pomóc rozwijać ją i pielęgnować? Przecież w wieku siedemnastu lat nie przestało jeszcze rosnąć jej ciało, a co dopiero mówić o jej rozwoju duchowym i umysłowym.

Po odejście Iana Liz stała długi czas zapatrzona w ogród.

Czy możliwe, żeby prawdą było to, co powiedział o Kicie... ?

Jeśli nawet tak, co to ma teraz za znaczenie? Jest związana z Edwardem i zamierza z nim pozostać. Kocha go... może nie jako mężczyznę, a już na pewno nie jako kochanka, ale jest do niego przywiązana jako do człowieka...

Wstrząsnęło nią, że Ian się domyślił, jak bardzo Edward ją obraża i jakie gwałtowne formy przybierają jego wybuchy, wiedziała bowiem, jaką grozą przejmują chwilami samego Edwarda świadomość, jak fatalnie na ich stosunkach odbijają się przemienne stany jego depresji i agresji. Wrażliwy, troskliwy Edward, który by świadomie nie wyrządził nikomu krzywdy, lecz który jak wszyscy ludzie ma w sobie ciemne porywy, porywy, które pod wpływem cierpienia fizycznego i udręki duchowej zaczynają w nim brać górę.

Liz odwróciła się z westchnieniem od okna i ruszyła ku drzwiom. Edward zachodzi niewątpliwie w głowę, co się z nią dzieje.

Po wizycie Iana sprawy poprawiły się na jakiś czas. Depresje Edwarda stały się nieco mniej dokuczliwe, tak że Liz łatwiej było z nim omawiać problemy fabryki bez wywoływania wybuchów jego gniewu i fali oskarżeń, że dba o interesy bardziej niż o Dawida i o niego. Co do dyskretnych komentarzy Iana na temat jej potrzeb seksualnych, Liz wypchnęła je ze świadomości. Bo cóż jej da rozmyślanie o tym?

Tymczasem rozpoczęły się prace nad odbudową fabryki. Liz już nie po kryjomu studiowała pisma fachowe, lecz otwarcie dyskutowała ich zawartość z Edwardem. Pogodnie ignorowała jego ponure nastroje, starając się budzić jego zainteresowanie wszystkim, co robi, skrupulatnie włączając go we wszystkie najdrobniejsze szczegóły odbudowy.

Zrodziła się konieczność znalezienia kierownika fabryki, człowieka o dostatecznym doświadczeniu, by przyuczyć i kontrolować surową siłę roboczą, a zarazem człowieka, który by w pełni rozumiał, co Liz chce osiągnąć. Terenem rokującym najwięcej nadziei na znalezienie odpowiedniego kandydata były, oczywiście, tekstylne miasta Lancashire lub pogranicza szkockiego. Ostatecznie, po uzgodnieniu z Edwardem, który zaczynał powoli akceptować fabrykę jako część składową ich życia, oraz po uzyskaniu aprobaty banku handlowego, który finansował odbudowę, Liz umieściła ogłoszenia w wybranych gazetach prowincjonalnych.

Nawał odpowiedzi wywołał ze strony Edwarda nową powódź wątpliwości. Przemysł włókienniczy jest w zastoju, jeśli wręcz nie w upadku, zagranica zalewa rynek tanimi materiałami, więc jakże w tej sytuacji Liz znajdzie nabywców na drogie wełny, jakie się uparła produkować?

- Będziemy je sprzedawali do Ameryki i do różnych innych krajów, gdzie ludzie mają pieniądze i szukają towarów najwyższej jakości.

Edward przyglądał jej się w osłupieniu. Co się zrobiło z tej nieśmiałej, przerażonej dziewczyny, z którą się żenił? Z tej dziewczyny, która tak go potrzebowała, która tak na nim

polegała? Teraz on jest tym, który jej potrzebuje. Było to dla niego jak otwarta, nie chcąca się goić rana.

Sage mogła recytować jak wyuczoną lekcję historię fabryki i jej sukcesu, tak dobrze ją znała, nie od mamusi, lecz od jej współpracowników, związanych z przedsięwzięciem od po-

czątku. Stwierdziła teraz, że czytając przeskakuje całe akapity a nawet stronicę, w niecierpliwości dotarcia do opisu swego poczęcia.

Jak dotąd nie natrafiła na nic, co by zwiastowało, że w mamusi, kobiecie mającej syna w internacie, męża kalekę podupadającego na zdrowiu i fabrykę w rozruchu, zaczyna dojrzywać tak przemożna potrzeba drugiego dziecka, by chciała uczynić z siebie właściwie królika doświadczalnego. Przecież w owych czasach sztuczne zapłodnienie było jeszcze techniką niemal eksperymentalną, stosowaną niezmiernie rzadko, do której odwołać by się mogła tylko kobieta rozpaczliwie pragnąca mieć dziecko. Skończyła akurat czytać parę akapitów poświęconych postępom Dawida w szkole i jego wakacjom letnim, kiedy rozległ się ostry dzwonek telefonu.

Sage momentalnie ogarnął popłoch. Nim podniosła słuchawkę, wiedziała, że na drugim końcu linii usłyszy Daniela, a mimo to, kiedy rzeczywiście usłyszała jego głos, wrażenie ścisnęło jej gardło. Jak on może mówić tak spokojnie, tak obojętnie, kiedy jej cały system nerwowy, nie wspominając już o uczuciach, kiedy wszystko w niej się jeszcze gotuje na wspomnienie spotkania w Starym Dworze? Całą siłą woli spróbowała się skoncentrować na słowach, a nie na brzmieniu jego głosu.

- Co zdecydowałeś, Danielu? - zapytała, ucinając jego uprzejme zainteresowanie zdrowiem mamusi, z bezwzględnością podyktowaną przez instynkt samozachowawczy.

Nastąpiła krótka pauza, podczas której serce Sage dudniło ze' zdwojoną szybkością.

- Niestety, nie podjąłem jeszcze decyzji. Potrzebuję więcej czasu, co najmniej drugie dwa dni.

Drugie dwa dni. Za dwa dni będzie pewnie po operacji. Wtedy... wtedy może być już obojętne, jaką Daniel podejmie decyzję. Sage wątpiła, by komitet mógł działać bez mamusi, by akcja protestacyjna miała bez niej szanse powodzenia.

- Sage, jesteś tam jeszcze?

Niemożliwe, żeby to troska brzmiała w jego głosie. Biorąc się w garść, odparła twardo:

- Jestem, jestem. Chyba się orientujesz, Danielu, że ja nie rzucałam słów na wiatr?

- Ani przez chwilę tak nie myślałem. Zapominasz, że cię znam, Sage.

Zesztywniała. W pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, kle wiedząc, że to by było śmieszne, musiała się zadowolić lodowatym:

- Chcesz powiedzieć, że mnie znałeś. Ale to było dawno i nieprawda.

Nie podjął wyzwania, powtórzył zamiast tego spokojnie:

- Jeszcze dwa dni, Sage. Za dwa dni przekażę ci swoją decyzję. Nie decyduję sam, muszę się liczyć z zarządem...

- Więc dobrze - zgodziła się z nagłą determinacją Sage.
- Dwa dni, Danielu.

Odkładając słuchawkę, zastanawiała się, czy mądrze zrobiła ustępując, czy nie traci w ten sposób przewagi, jaką jej dawało zaskoczenie.

W swoim gabinecie Daniel również odłożył słuchawkę. Sage ustąpiła znacznie łatwiej niż oczekiwał. Melancholijnie stwierdził, że czuje się jakby oszukany szybkością, z jaką przystała na jego żądanie. Zupełnie jakby się cieszył na konfrontację, na przeprowadzenie z nią długiej rozmowy.

Nękało go widmo własnej słabości. Wczoraj... Ale co za sens o tym myśleć? Sage dała mu aż nadto jasno do zrozumienia, co sądzi o wybuchowej reakcji seksualnej, jaka się rodzi z bliskości ich ciał, i, szczerze mówiąc, Daniel jej się nie dziwił. Na jej miejscu byłby pewnie tak samo zbulwersowany własną nagą żądzą, odartą z łagodzącej otoczki czułości, pozabawioną jakiegokolwiek podbudowy uczuciowej. Przynajmniej ze strony Sage...

Bo co do jego własnych uczuć... uśmiechnął się posepnie do swoich myśli. Nie miał wątpliwości, jakby zareagowała Sage, gdyby był kiedykolwiek na tyle niemądry, żeby jej wyjawić prawdę. Dochodziły go słuchy, jak traktuje mężczyzn, którzy nierozważnie wyznają jej miłość. Nie uśmiechało mu się wcale doszłusować do klubu' tych nieszczęśników. Nie odwzajemniona miłość do niej stała się przez lata czymś dobrze znanym, przykrym stanem, z którego by się chętnie otrząsnął, a który musiał leczyć w myśl znanego porzekadła: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Jednakże, jak reumatycy, wiedział, że bywają dni, kiedy ból dolega bardziej i trudniej sobie z nim radzić, dni, kiedy udręka kochania grozi przyćmieniem wszystkiego. Nauczył się jednak z tym żyć, chociaż ta umiejętność nie przyszła mu łatwo.

Dwa dni. Jeśli pogłoska, która dotarła do niego rano, okaże się prawdą, to być może, zanim będzie musiał udzielić odpowiedzi, groźba Sage stanie się nieaktualna.

Kocha ją, nie miał co do tego wątpliwości, uczuciem, które dalece, dalece wykracza poza zwykły pociąg fizyczny. Ileż to lat temu zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że to co do niej czuje, to nie tylko pożądanie, lecz także miłość? Kiedy sobie to uświadomił? W czasie, gdy Scott leżał w szpitalu? Czy też zaczęło to do niego docierać już wcześniej? Może w chwili, kiedy ją pierwszy raz ujrzał?

Cóż, bez względu na uczucia, jakie go nurtują, ma na głowie sprawę firmy i nie może siedzieć beczynnym, rozmyślając jak nastolatek o kobiecie, z którą pewnie nigdy nie będzie dzielił życia we wszystkich formach, o jakich by ma-

rzył. Idiotyczne, że rozmawiając z nią, ni mniej, ni więcej, tylko wyobrażał sobie, jakie dzieci mogliby mieć ze sobą.

Kręcąc głową nad swoją głupotą, wrócił do papierów rozłożonych na biurku.

Minęła prawie godzina od rozmowy z Danielem, nim Sage była w stanie znowu się skupić na pamiętniku. W ciągu tej godziny poszła do kuchni pod pozorem, że chce się napić kawy, a potem spacerowała niespokojnie po gabinecie, miotana sprzecznymi uczuciami. Co się z nią dzieje? Dlaczego pozwala sobie na takie niemądre reakcje? Zachowuje się jak... jak... Jak kobieta zakochana.

Niemożliwe. Wstrząsnęła się i zamknęła oczy, próbując odepchnąć od siebie niemądrą myśl o tak żalosalnej zdradzie samej siebie.

Kobieta zakochana, też coś. Żądza, żądza to wszystko, co czuje do Daniela. Od tamtej pory nie czuła nigdy do żadnego mężczyzny nic prócz żądy.

Zmusiła się, żeby usiąść i zabrać się na nowo do lektury.

Lato okazało się pomyślne. Cottingdean zyskiwało rozgłos hodowli rasowych tryków, a fabryką pod fachowym okiem nowego kierownika zaczynała powoli produkować wełny, o jakich marzyła Liz.

Dawid czynił zadowalające postępy w szkole i wydawał się zadowolony, chociaż Liz czasami się martwiła, że jest takim spokojnym chłopcem, unikającym towarzystwa. Nawet zdrowie Edwarda jakby się trochę poprawiło, co jednak nie zmniejszyło jego zaborczości, coraz trudniejszej do znoszenia dla Liz. Ian Holmes zaczął mu podawać nowy środek przeciwbólowy, który skuteczniej niż poprzednie uśmierzał jego cierpienia, tak że Edward mógł nawet spędzać ciepłe popołudnia w ogrodzie, dzięki czemu jego cera, pod wpływem słońca i świeżego powietrza, wyzbyła się chorobliwej bladeści.

Liz stwierdziła, że uwalnia się stopniowo od napięcia fizycznego i duchowego, które stało się tak nieodłączną częścią jej egzystencji, że pierwsze oznaki jego ustępowania napełniły ją trwożnym zdziwieniem. Jednakże cudownie było nie ważyć każdego słowa, które wypowiada do Edwarda, nie śledzić jego reakcji na wszystko, co proponuje, nie musieć się mieć ustawicznie na baczności, żeby uniknąć jego wybuchu. Pozyskała jego zaufanie, gdy chodziło o fabrykę, wiedziała jednak, że nie przestaje go nurtować zazdrość o innych mężczyzn.

Teraz, gdy fabryka zaczynała prosperować, choć jeszcze na niewielką skalę, wszyscy, którzy jej początkowo rzucali kłody pod nogi, prześcigali się w zachętach i pochwałach.

Minęło już parę lat od czasu, kiedy wymogła na Edwardzie niechętną zgodę na odbudowę, i w następnym roku, o czym Edward jeszcze nie wiedział, Liz planowała przypuścić pierwszy atak na najważniejszy rynek, amerykański. Po cichu, lecz dociekliwie prowadziła rozeznanie, chcąc być pewna < faktów, nim je zaprezentuje Edwardowi. Będzie potrzebowała odpowiedniego przedstawiciela, człowieka, który zna amery-

kański sposób prowadzenia interesów, któremu może zaufać i który będzie podzielał jej wiarę w welny cottigdeañskie. Westchnęła, przycinając krzaki róż. Najlepiej by było, gdyby mogła sama pojechać do Ameryki, ale wiedziała, że to nie wchodzi w rachubę.

Z uczuciem spokoju i zadowolenia szykowała się do odwiezienia Dawida do internatu z końcem wakacji. Miała teraz to poczucie, że jej kłopoty i trudności się skończyły, przynajmniej na jakiś czas. Nawet rzadkie listy Vica czytała bez owego ukłucia żalu za tym, „co by było, gdyby”, bez niejasnego wrażenia utraty, niemal zazdrości w stosunku do jego żony, nieokreślonej tęsknoty do tego, co by jej mogło przypaść w udziale w odmiennych okolicznościach.

Kiedy Sheila Holmes zauważyła w rozmowie z mężem, że Liz wspaniale sobie radzi ze swoim nowym przedsięwzięciem, Ian przytaknął, po czym dodał z przekąsem, że aż dziw, do jakich osiągnięć popycha ludzi popęd płciowy pozbawiony normalnego ujęcia. Lubił Liz i podziwiał ją, lecz nie mógł się oprzeć męskiemu politowaniu, że kobieta taka jak ona nie znajduje naturalnego wyładowania dla swojej zmysłowości.

Odwożąc Dawida do szkoły Liz napawała się rzadką okazją do spędzenia paru godzin sam na sam z synem. Wstąpili na lunch do pięknego hotelu z widokiem na rzekę, a pożegnawszy go Liz ze zdziwieniem stwierdziła, że musi zatrzymać auto, żeby wytrzeć nos i osuszyć łzy, napływające jej nieoczekiwanie do oczu. Nie uważała się za nadmiernie opiekuńczą matkę. Oczywiście, kocha Dawida, ale trudno nie kochać takiego dziecka jak on, wszyscy go kochają. A z pewnością nie kocha go już tą przemożną, zaborczą miłością, jaką go kochała przed urodzeniem, gdy tylko stwierdziła, że jest w ciąży, po prostu dlatego, że jest dzieckiem swego ojca.

Po ówczesnym dziewczęcym uwielbieniu dla Kita pozostał jej tylko wstyd i ulga, że zniknął na zawsze z ich życia. A co do Dawida, jest on teraz chyba bliżej z Edwardem niż z nią, co może być wynikiem przebywania w internacie albo po prostu tego, że są obaj tej samej płci i tej samej krwi. Lubiła widzieć ich razem, bo upewniało ją to, że Edward nie nosi w sercu żalu, iż Dawid nie jest jego synem, i że go naprawdę kocha.

Na dworze panowało od paru dni babie lato i Liz czuła się znakomicie. Rano, w pośpiechu, wyjechała z rozpuszczonymi włosami, zamiast je upiąć w schludny kok, jak się czesała od czasu uruchomienia fabryki. Uważała, że przysparza jej to aury, nadaje poważny, profesjonalny wygląd. Edwardowi się to nie podobało i często jej to wytykał. Wiedząc, jak wrażliwi na punkcie rodziców są mali mężczyźni, ubrała się na wyjazd w nową suknię, model z „Vogue'u”, skopiowany za tegoroczną modą paryską, o dopasowanej górze z bufiastymi rękawami i spiczastym dekoltem oraz o lekko rozkloszowanej spódnicy, która podkreślała szczupłość jej kibici. Uszyła ją sobie sama, z pięknej piki bawełnianej w żółto-białe wzory.

Na szczególnie uroczyste okazje sprawiła sobie do tego modny biały kapelusz z takiej samej bawełny oraz, co zakra-

wało już na ekstrawagancję, długie białe rękawiczki do łokci. Nie miała ich dzisiaj na sobie, ale uprzednio pojechała tak ubrana na dzień rodzicielski w szkole Dawida i spotkała się z komplementem jednego z jego kolegów, że wygląda „wprost bombowo”.

Uśmiechnęła się do siebie. Mówi to coś o życiu, jakie prowadzi, że pamięta do dziś bezpłciowy komplement małego chłopca, ale cóż by jej przyszło z komplementów mężczyzn? Jest żoną Edwarda, matką Dawida. Prowadzi pełne, czynne życie, sprawy szczęśliwie jej się układają. Jeżeli ceną, jaką musi płacić za sukces, jest wyrzeczenie się kobiecości, to nie jest to wygórowana cena. Prawdę mówiąc, ilekroć się zetknie z seksualnie agresywnym mężczyzną, ogarnia ją natychmiastowa odraza, niemal panika. I aż nadto żywo przypomina jej się nieszczęsny stosunek z Kitem...

No, zdarza jej się wprawdzie doznawać drażącej pustki w ciele, kiedy zobaczy całującą się parę, kiedy widzi kochanków, wymieniających tkliwe spojrzenia, ale to nie powód, żeby się nad sobą rozczulać. Bo i co to da?

Potrzebna jest Edwardowi, potrzebna Dawidowi. Potrzebna im znacznie bardziej, niż jej może być potrzebna krótka, nic nie znacząca chwila rozkoszy z jakimś nieznajomym.

Kiedy przejeżdżała przez miasteczko, ciepły wrześnieowy dzień otulał się złotym płaszczem popołudniowej błogości.

Po drodze widziała kępy dojrzałych jagód, granatowych i soczystych, i żałowała, że się nie może zatrzymać, żeby ich nazrywać, gdyż ma na sobie swoją jedyną wyjściową sukienkę, mieszałyby je z wczesnymi jabłkami i upiekła smakowitą struclę dla Edwarda.

Kiedy w połowie podjazdu ukazał się jej oczom dwór, zobaczyła zaparkowane przed nim nieznajome auto, nowego, połyskującego świeżym lakierem forda, przy którym jej stary morris zdawał się jeszcze bardziej wysłużony i sfatygowany, niż był w rzeczywistości. Tak rzadko miewali nie zapowiedzianych gości, że widok luksusowego auta przyprawił ją odreszcz obawy.

Nie zastanawiając się weszła od frontu, nie jak zwykle przez kuchnię, wiedząc, że gość jest z pewnością z Edwardem w bibliotece. Zbliżywszy się do otwartych drzwi, usłyszała głosy: znużony i lekko wymuszony Edwarda, i silny, męski, ale stonowany nieznajomego, którego akcentu nie mogła w pierwszej chwili umiejscowić.

Wszedłszy do biblioteki, ujrzała zmęczonego Edwarda o wychudzonym ciele i siwych włosach, i kontrastowo prostą sylwetkę stojącego obok mężczyzny. Kiedy się zbliżyła, zlustrowały ją żywe zielone oczy, nie było to jednak spojrzenie mężczyzny taksującego kobietę, stwierdziła Liz, lecz odległy, nieobecny wzrok, przyglądający jej się w sposób niemal obojętny.

- Kochanie, to jest pan Lewis McLaren - przedstawił go Edward. - Przyjechał z Australii, chce zobaczyć, jak się spisuje jego tryk.

Lewis McLaren, właściciel Woolongi, australijski pracodawca Vica. To on wyhodował tego wspaniałego tryka, płodzącego

teraz owce, z których runa tkane są jej wyborowe wełny.

- Miło mi pana poznać.

Zauważył, że przygląda mu się z rezerwą, prawie wrogo. Kiedyś pobudziłoby to jego zaciekawienie tą kobietą. Kiedyś... Jest niezwykle piękna, ocenił, i w jego w oczach odmalowało się pewne zdziwienie.

Słyszał o niej, oczywiście, i od Vica, i od Beth. Zauważył niechęć do niej Beth i milczenie Vica. Słyszał także o Edwardzie Danversie i był przygotowany na to, że jest inwalidą. I faktycznie, jest inwalidą, ma jednak żonę i syna.

Jego wargi wykrzywił grymas goryczy i Liz, która to zauważyła, zastanowiła się, czy to nie ona swoim chłodem przywiodła smutek na jego twarz. Wyciągnął do niej dłoń, bardziej z grzeczności niż z potrzeby, była przekonana. Uścisnęła ją przelotnie, niemal z ociąganiem, i zesztyniała, czując jej zgrubiałą twardość. Przeszył ją ostry dreszcz, szokujące doznanie jego zdrowej męskości, tak odmiennej od wycieńczenia Edwarda, ale momentalnie odepchnęła od siebie to porównanie.

Jest zmęczona, napięta i tyle. Zmęczona ciągłym chodzeniem na palcach koło Edwarda, z jego zmiennymi nastrojami depresji i agresji.

- Odwiozłaś bezpiecznie Dawida? - zapytał Edward i nie czekając na odpowiedź, obrócił się do gościa, by mu oznajmić z dumą: - Dawid to nasz syn. Wspaniały chłopak.

Jego miłość do Dawida i duma z niego zawsze ujmowały Liz za serce, przypominając jej, ile zawdzięcza Edwardowi.

- A pan ma rodzinę? - pytał gościa Edward.
- Nie. Nie mam.

Wyrzucił te słowa z goryczą, prawie z gniewem, a towarzyszyło im ponure zaciśnięcie warg i wiele mówiące drgnięcie mięśni szczęki,

Liz się zastanowiła. Vic i Beth niemal na pewno pisali w jednym z ostatnich listów, że żona właściciela Woolongi spodziewa się dziecka. Jednakże zachowanie Lewisa McLarena świadczyło wyraźnie, że nie ma on ochoty rozmawiać o swoim życiu prywatnym.

Zmieniała taktownie temat, uważając, żeby zachować odpowiedni dystans między sobą a gościem. Nie było to trudne. Odnosił się do niej z kurtuazją, ale miała wrażenie, że nie widzi w niej w ogóle kobiety. I całe szczęście. Coraz trudniej przychodziło jej panowanie nad zazdrością Edwarda.

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zarzucił jej w przyprawie wściekłości, że ma dosyć jego i małżeństwa z nim. W ogóle coraz częściej nachodziły go ponure myśli i miotał się w furii pomstując na swój los, dopóki nie opadł z sił, po czym zbierało mu się na płacz i szlochał, tuląc się do niej jak dziecko i błagając, żeby go nie opuszczała.

Sceny te dawały się Liz coraz bardziej we znaki, a Bóg jeden wie, ile musiały kosztować samego Edwarda.

Sage odsunęła pamiętnik i wpatrzyła się nie widzącym

wzrokiem w ścianę. Lewis McLaren. Przecież to ojciec Scotta. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że mamusia mogła go znać. Ale niby skądże miałyby przyjść? Dzieliły ich przecież tysiące mil. Wiedziała, oczywiście, że mamusia sprowadziła pierwszego tryka z Australii, ale nawet podczas lektury poprzednich pamiętników nie łączyła nigdy Woolongi ze Scottem, nie przeczuwała, że to jego dom rodzinny. W swoich opowiadaniach Scott nazywał go zawsze ranczem.

Ale dlaczego mamusia nigdy nie wspomniała, że zna jego ojca, nawet kiedy Sage przywiozła Scotta do domu i kiedy go przedstawiła? Wstrząs tego odkrycia przyprawił ją o szybsze bicie serca, odnowił ból tamtej zdrady.

Było to, jakby wyszła zza węgła domu i zamiast zobaczyć znajomy widok, ujrzała, że wszystko się odmieniło, nabrało obcych, groteskowych kształtów.

- Ciociu, ciociu! O, dobrze, że jesteś. Chodź szybko. Mamusia wróciła w strasznym stanie...

Oderwana nagle od swoich myśli, Sage z trudem spróbowała skupić uwagę na bratanicy, która wpadła do gabinetu, z przejętą twarzą i łzami w oczach.

Co takiego mówi Kamila? Coś o Faye. Sage machinalnie podniosła się z miejsca.

- Przyjechała i pobiegła prosto na górę. Szlochając, a ona nigdy nie płacze, w każdym razie nie tak. - W głosie Kamili zabrzmiała nutka paniki. - Musisz coś zrobić, ciociu.

Coś zrobić... Co ona może zrobić? Mamusia by wiedziała, co zrobić, ale mamusi nie ma. A ona... Cóż ona?

Podniósłszy się, Sage pogłaskała Kamilę po głowie i zaskoczył ją nagły przypływ emocji, kiedy poczuła pod dłonią miękkość dziewczęcych włosów. Nostalgiczne uczucie ni to żalu, ni cierpkiej samowiedzy. Nieproszona, przelotna myśl, że gdyby Daniel jej wówczas nie odepchnął, i ona by mogła mieć dzisiaj taką córkę...

Przez całe dorosłe życie zaklinała się, że dzieci to nie dla niej, że nie czuje chęci ani potrzeby macierzyństwa, tej najbardziej zasadniczej i niewdzięcznej funkcji kobiety, a teraz doznaje fizycznego żalu, że nie miała dziecka z mężczyzną, który nawet nie był w pełni jej kochankiem. Czy to tylko sprawa biologii... czy też coś więcej?

- Chodź, ciociu - przynagliła Kamila. - Pośpiesz się. Tak się boję. Nigdy nie widziałam mamusi w takim stanie. Wszystko się wywróciło do góry nogami w tym domu - wybuchnęła nagle z pasją, jakby niezdolna pogodzić się z faktem, że los poważił się cokolwiek odmienić w ich życiu. - Od wypadku babci nic nie jest takie samo. Wszystko się pokręciło...

Mimo pozornej dojrzałości jest jeszcze ciągle rozpieszczonym, trzymanym pod kloszem dzieckiem, pomyślała Sage, wychodząc za nią z gabinetu.

Faye we łzach... Faye zachowująca się w sposób przypominający bardziej jej własną ostentację emocjonalną w początkowym okresie buntu przeciw mamusi niż sposób, do którego wszyscy przywykli u spokojnej, opanowanej młodszej pani

Danvers. Popłoch Kamili udzielił się Sage, kiedy wbiegała za bratanicą po schodach. Drzwi pokoju Faye były zamknięte. Zapukawszy Sage zwróciła się spokojnie do Kamili:

- Dobrze by było, żebyś zeszła na dół i przyniosła nam wszystkim herbaty.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze by było, żebym zniknęła na jakiś czas? - domyśliła się bystro Kamila.

- Może. Jeśli mamusia jest taka wzburzona, jak twierdzisz...

- Uważasz, że może sobie nie życzyć, żebym wiedziała, co ją tak wzburzyło?

Sage potaknęła skinieniem głowy i poczekała, aż Kamila zejdzie na dół, nim otworzyła drzwi. Faye siedziała na łóżku z głową w dłoniach, a jej ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy. Sage uklękła instynktownie koło bratowej i ująwszy za ramiona, potrząsnęła nią delikatnie.

- Faye, co ci jest, kochanie? - zapytała. - Co takiego się stało?

Faye uniosła głowę i popatrzyła na nią wzrokiem tak nieprzytomnym, prawie dzikim, że przez kilka panicznych uderzeń serca Sage myślała, iż bratowa postradała zmysły. Po chwili jednak jej oczy skupiły się na Sage i zrobiły nieco przytomniejsze.

- Co się stało? - Jej głos był ostry, podszyty histerią, czuło się, że z trudem panuje nad sobą. - O, nic wielkiego... właściwie nic... Spędziłam po prostu pół dnia na przyglądaniu się, jak umiera moja matka, to wszystko... Nic wielkiego... i nic mi nie jest... Dlaczego miałoby mi coś być? W końcu czekałam na to przez dwadzieścia pięć lat albo więcej... Więc powinnam się śmiać, a nie płakać, prawda? Umarła... jestem wreszcie wolna... O, Boże, Sage, nie wiem, dlaczego tak się zachowuję. Nie poznaję samej siebie. Może jestem podobniejsza do niej, niż mi się wydawało... Może też wariuję... O Boże!...

- Opanuj się, Faye. Posłuchaj mnie. Przeżyłaś ciężkie chwile, może ci przyniesie ulgę, jak mi o tym opowiesz.

- Opowiedzieć ci? - Usta Faye wykrzywił grymas. - Gdybyś wiedziała, jak często chciałam właśnie to zrobić, opowiedzieć o tym całemu światu, wykrzyczeć przed nim, co czuję, mówić wszystkim, że to nie była moja wina, że nie zasługuję na potępienie, że nie rozumiałam... Wstrząsnęły nią znowu suche, rozdzierające spazmy, od których Sage poczuła również ból w piersiach.

- Ci-i, Faye. Już dobrze. To minęło...

Bezwiednie Sage trafiła na właściwe słowa, gdyż Faye wymamrotała przez łzy:

- Tak, minęło... Dzięki Bogu. Nic mi właściwie nie jest, to chyba tylko reakcja po szoku... Tyle lat czekałam, żeby umarła, ale nigdy naprawdę nie wierzyłam, że umrze... I nigdy nie przypuszczałam, że mi to sprawi taki... taki ból...

Wzrok miała skierowany nie na Sage, tylko gdzieś w przestrzeń, jakby śledziła wydarzenia, rozgrywające się poza obrębem

bem pokoju.

- Zdaje ci się, że wiesz, co to nienawidzić własną matkę, co, Sage? - zapytała z goryczą. - Ale co ty wiesz, co ty wiesz... Uważasz, że twoja matka złamała ci życie, ale to było nic... Nic! Wiesz, co moja matka zrobiła mnie, wiesz? - zapytała z furią, łapiąc Sage za przeguby i wbijając jej do bólu paznokcie w skórę. - Wiesz, co moja matka zrobiła mnie? Pozwoliła ojczymowi mnie gwałcić. Wiedziała, że mnie używa, że mnie niszczy, i nie zdobyła się na słowo protestu...

Sage zaniemówiła. W głowie miała tylko jedną myśl - jakie to szczęście, że coś ją tknęło i posłała Kamilę na dół.

- Jesteś wstrząśnięta, zgorziona... Zastanawiasz się, czy nie kłamię, czy nie przesadzam... Może zastanawiasz się nawet, czy sama go nie zachęcałam, nie prowokowałam...

- Nie! -zapewniła ją Sage. -Skądże, wierzę ci, Faye...

I wierzyła. Instynktownie czuła, że przekreśliła klucz i otworzył się przed nią widok tak przerażający, tak pełen bólu i cierpienia, że -jak Epimeteusz po otwarciu puszek Pandory - żałowała, iż tego klucza nieopatrnie tknęła. Ale było już za późno. Faye potrzebuje katharsis, musi z siebie wyrzucić wszystko, co przecierpiała, a ponieważ ona, Sage, jest jedyną osobą, która może jej wysłuchać, musi to uczynić.

Tonem przypominającym mamusię bardziej, niż przypuszczała, zaproponowała łagodnie:

- Opowiedz mi wszystko po kolei, Faye. Wszystko od samego początku.

Faye uczyniła głęboki wdech, potem drugi. Starła się zapanować nad swoimi uczuciami od rana, kiedy odebrała telefon z wiadomością, że jej matka jest umierająca. Nie były to normalne emocje dziecka, nawet dorosłego dziecka, otrzymującego wiadomość, że grozi mu utrata jedynej pozostałości z rodziców, lecz uczucia, przed których niegodziwością Faye się wzdrgała, miały ją bowiem na przemian gniew, strach, ulga, a w końcu złość, że jest skazana na przeżywanie tego, że wskutek zbrodniczej bezwolności mamusi musi teraz cierpieć wyrzuty sumienia za grzech niekochania jej.

Ileż to razy budziła się w nocy, drżąc i zlana potem, nie mogąc się wyzwolić z koszmaru, który się powtarzał, a który zawsze miał ten sam przebieg? Powolne otwieranie się drzwi i cień niewidocznej, lecz przerażającej znajomej postaci, która podchodzi coraz bliżej i bliżej łóżka, uśmiechając się do niej zniemawionym uśmiechem prześladowcy, sadysty, znajdującego przyjemność w poniżaniu i zadawaniu bólu. Usiłowała wówczas wzywać ratunku, uciekać, ale zawsze gdy docierała do drzwi, zastawała je zamknięte. Zamknięte nie przez niego, lecz przytrzymywane... przytrzymywane przez mamusię.

Ileż to razy nawiedzona tym koszmarem budziła w nocy Dawida, by znaleźć ukojenie w jego ciepłych, czułych ramionach? W ramionach Dawida zastępującego jej w pewnym sensie i ojca, i matkę, których nigdy nie miała. Dawida, który

ją chronił, który ją otaczał głęboką, lecz beznamiętną miłością, jakiej tak łaknęła od własnej matki, a jakiej nigdy nie otrzymywała.

Brak namiętności w ich małżeństwie stanowił ich wyłączną tajemnicę, jej i Dawida. Nie podzieliła się nią nawet z Liz. Dawid ją kochał, mówił jej to i czuła, że to prawda. Nie odczuwał jednakże żadnej żądy i przyjmował to tak, jakby ta potężna siła, powodująca innymi mężczyznami, nie wchodziła po prostu w skład jego doświadczenia. Żadne z nich nad tym nie bolało, byli ze sobą szczęśliwi.

Dawid powiedział jej przed ślubem, że chce mieć dzieci. Dzieci są dla niego ważniejsze, wyznał, znacznie ważniejsze niż życie płciowe. Więc Faye urodziła mu dziecko i byłaby rodziła następne, gdyby los nie zrządził inaczej. Los, który pozwolił im się odnaleźć, by go następnie zabrać. Jeszcze jedna kara dla niej...

- Faye...

Faye skupiła na chwilę wzrok na twarzy Sage, zauważając mimo woli, że wygląd szwagierki zmienił się w ostatnich dniach w jakiś nieokreślony sposób. Jej twarz wydawała się młodsza i bardziej ludzka, jakby opadła z niej skorupa wyostrzająca rysy.

Faye dystansowała się dotąd świadomie od Sage. Bo jakże kobieta tak jawnie nastawiona na uciechy płciowe i tak w tym zakresie doświadczona mogła pojąć jej własne mroczne lęki? Teraz jednak Faye instynktownie czuła, że znajdzie w Sage powiernicę, która jej nie potępi i której nie zgorszy... Ale czy na pewno? Uśmiechnęła się posępnie do swoich myśli. Nie mieściło jej się w głowie, że naprawdę uczyniła to, co uczyniła.

- Moja matka nie żyje.

Tym razem powiedziała to beznamiętnie, a słysząc swoje słowa stwierdziła, że, tak jak podejrzewała, straciły swoją wagę, swój posmak. Że fakt śmierci mamusi nie niesie już radości ani ulgi, tylko niezmierne, melancholijne morze litości, nie dla siebie samej, lecz dla tej kobiety, która na swój sposób wycierpiała na pewno nie mniej, a może i więcej niż ona, Faye.

- Słuchaj, jeśli nie masz ochoty o tym mówić... Posłałam Kamilę po herbatę.

Faye dotknęła ręki Sage.

- Ależ mam ochotę. Muszę to z siebie wyrzucić.

Zaczęła opowiadać, z początku powoli, dobierając słowa, formułując zdania, które najlepiej przylegały do nagiej prawdy tego, co ją spotkało, dbając, żeby nie dramatyzować faktów. Czuła, że byłoby to nie na miejscu, nie zdawała sobie natomiast sprawy, że odarta z wszelkich łagodzących osłonek jej przeszłość staje się tym straszniejsza, tym bardziej odrażająca, tak że Sage była jak sparaliżowana ze zgrozy i wstrętu. Przerwało im wejście Kamili z herbatą. Odebrawszy od niej tacę, Sage zapewniła, że Faye jest już spokojna, po czym przyglądała się z zazdrością, jak matka i córka wymieniają uścisk.

• No, a teraz wracaj do nauki - powiedziała Faye stanowczo. - Nie zapominaj, że czekają cię egzaminy.

• Ciągle tylko nauka, egzaminy. Mam już tego dosyć - zaprotestowała Kamila, ale Sage widziała, że uspokoił ją równy, - stanowczy ton matki.

Ociągała się chwilę w drzwiach, dopóki Faye nie klasnęła w dłoń i nie powtórzyła spokojnie:

• No, do roboty. Pamiętaj, że po operacji babci będziemy spędzały dużo czasu w szpitalu.

• Myślisz, że babcia wyzdrowieje?

- Tego nie wiemy, Kamilo. Wiemy tylko, że ma bardzo silny organizm i że się znajduje w najlepszych możliwych rękach - odparła Faye.

Jak to mądrze z jej strony, pomyślała Sage, że nie czyni córce złudnych zapewnień, nie robi jej fałszywych nadziei,

a zarazem, traktując ją jak osobę właściwie dorosłą, nie obciąża jej faktami co do rzeczywistych szans wyzdrowieni a mamusi.

Kiedy Kamila z ociąganiem zamknęła za sobą drzwi, obie kobiety milczały, póki Sage nie nalała herbaty. Faye parsknęła krótkim śmiechem, gdy szwagierka podawała jej filiżankę.

• Stało się coś? - zapytała niespokojnie Sage, bojąc się nowego ataku hysterii.

• Nie, nic. Tylko że na moment zrobiłaś się taka podobna do swojej mamusi. Czy wiesz, że nie uroniłaś ani kropelki, nalewając herbatę?

Sage spojrzała na niepokalanie białą serwetkę, przykrywającą tacę. Zlustrowała ją w poszukiwaniu plam, zwykłego wyniku jej prób manewrowania ciężkim zabytkowym srebrnym dzbankiem, w którym na życzenie mamusi podawano popołudniową herbatę.

- Święta racja.

Chciała się uśmiechnąć, lecz uśmiech zamarł jej na wargach, a oczy zasnuły się nagłą trwogą, którą Faye trafnie zinterpretowała.

• O nie, moja droga - napomniała ją. - To nie jest żaden omen, znak, że... że z mamusią będzie źle. Wyzdrowieje z całą pewnością. Nie pytaj mnie, skąd to wiem... ale czuję, że tak będzie... - Zacerwieniła się i popatrzyła niepewnie na Sage, nim podjęła zdławionym głosem: - Może ci się to wyda dziwne, ale czuję dzisiaj taką bliskość Dawida. Zupełnie jakby był z nami, gdzieś w drugim pokoju, jeśli mnie rozumiesz... Miałam, to uczucie przez cały czas, kiedy... kiedy byłam przy niej... I później znowu...

• Tęsknisz za nim ciągle?

• A ty nie? Był takim wyjątkowym człowiekiem, taką niezwykłą osobowością.

• Tak - zgodziła się Sage.

Tyle rzeczy w stosunkach brata i bratowej, których dotąd nie rozumiała, stało się teraz jasne. Zdawało jej się, że ona cierpiała, że wie, co to ból. Teraz widziała, że jej cierpienia

były niczym w porównaniu z koszmarem, który przeżyła Faye... Niczym.

Faye podjęła opowiadanie. Nic nie ukrywała. Wykręcając rozpaczliwie dłonie, mówiła o swojej nienawiści do matki. I o tym, jak drżała przed każdą wizytą u niej.

- Więc dlaczego ją odwiedzałaś? - spytała Sage. - Ja na twoim miejscu...

- Musiałam. To był imperatyw wewnętrzny, umowa, jaką zawarłam z bogami, jeśli wolisz. Wiedziałam, że muszę i już. To był okup, zapłata za wszystkie dobre rzeczy, jakie mnie spotkały w życiu. Widzisz, kiedy braliśmy z Dawidem ślub, nie pozwoliłam jej przyjechać, nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. I potem, kiedy zginął...

Wstrząsnął nią lekki dreszcz, więc Sage ścisnęła jej współczująco dłoń, wiedząc dobrze, co Faye chce powiedzieć.

Nie mieściło jej się w głowie, jak bratowa to wszystko przeżyła, jak zdołała to znieść. Miała upokarzającą świadomość, że ona by tego nie wytrzymała, że jej zbyt wyczulony system nerwowy załamałby się pod takim naporem. Łzy współczucia i wściekłości piekły jej oczy, nie znajdowała słów, by wyrazić to, co czuje.

Teraz, teraz rozumiała małżeństwo Faye z Dawidem. I nagle pojęła coś jeszcze.

- Mamusia o tym wiedziała... o tym, co przeżyłaś?

- Tak - odparła z prostotą Faye. - Mieszkałam już tutaj, kiedy mnie zawiadomiono, że moja matka miała załamanie nerwowe i że jest chora. Twoja mamusia akurat skądś wróciła i zastała mnie w straszliwym stanie. Opowiedziałam jej wszystko. Była cudowna, nie usłyszałam od niej ani słowa krytyki...

- K r y t y k i ? - Sage patrzyła na nią niedowierzająco.

- Krytyki w stosunku do ciebie, chcesz powiedzieć? Jakżeby ktokolwiek mógł cię krytkować?

- Bardzo łatwo - zapewniła ją Faye i cień przemknął jej po twarzy na wspomnienie historii uniwersyteckiej. - Ja sama się czasami zastanawiam, czy to nie była w jakiejś mierze moja wina, czy sama podświadomie nie prowokowałam...

- Urwała widząc, jak Sage potrząsa gwałtownie głową.

- Nie waż się tego mówić, nie waż się tego nawet myśleć. Miałaś sześć lat, Faye, byłaś małą dziewczynką. Mój Boże, kiedy pomyślę, co ty przeszłaś... Jak mogła matka, jak mogła jakakolwiek kobieta pozwolić na taką krzywdę wyrządzaną własnemu dziecku... ?

Sage urwała.

- Przepraszam cię, nie powinnam tego mówić.

- Dobrze, że powiedziałaś. Czy wiesz, że na chwilę przybrałaś taki ton, jakbyś sama była matką?

Sage opuściła powieki. Faye nie może się dowiedzieć, że niespodzianie przed oczyma wyobraźni stanęła jej dziewczynka o rysach Daniela, nieco tylko złagodzonych przez swoją pleć, dziecko jego i jej, i myśl, że tę ich córeczkę mogłoby spotkać to, co spotkało Faye, sprawiła, że Sage zacisnęła

pięści, gotowa bić i szarpać ludzi, którzy by ją tak skrzywdzili, aż by krzyczeli z bólu, błagali o litość, o śmierć...

Przeraziła ją gwałtowność własnej reakcji. Nie uważała się nigdy za kobietę o rozwiniętym instynkcie opiekuńczym wobec jakiegokolwiek dziecka, w ogóle za kobietę obdarzoną instynktem macierzyńskim, a oto już nie po raz pierwszy wyobrażnia podsuwa jej obraz dziecka, którego los nie pozwolił jej począć.

Cichy głos wewnętrzny podszeptał jej, że jeszcze nie za późno, że nie jest seksualnie obojętna Danielowi, nawet jeśli jego pożądanie bierze swój początek w gniewie i złości, a nie w miłości i czułości. Mogłaby jeszcze mieć z nim dziecko, mogłaby mu wykraść ten najcenniejszy dar.

Wstrząsnęło nią, że ona, -która zawsze szczyliła się uczciwością wobec siebie i innych, z taką łatwością widzi siebie w roli osoby zmierzającej do celu obłudą i podstępem. Nie może tego zrobić i nie robi. Byłoby to nieuczciwe wobec dziecka, które zechciałoby się może pewnego dnia dowiedzieć, z jakiego ojca się poczęło, i spojrzaloby na nią oczami Daniela, z jego niechęcią i odrazą.

Wzdrygnęła się, aż Faye rzuciła trwożnie:

- Zbulwersowałam cię, przepraszam. Gdybym...
- Skądże, żałuję tylko, że nie wiedziałam wcześniej, że nie zdawałam sobie sprawy...

- To by nic nie zmieniło. Już dawno odkryłam, że nikt mi nie może pomóc. Stwierdziłam to na przykładzie Dawida. Owszem, fakt, że on wie, złagodził nieco na jakiś czas moje

C

ierpienia, moją udrękę, ale nigdy ich całkowicie nie rozproszył. Kochałam Dawida. Zawdzięczam mu najpiękniejsze lata życia, no, i zawdzięczam mu Kamilę. Ale seksualnie... Zwiesiła głowę, aż Sage ścisnęło się serce. Jak mężczyzna może zrobić coś takiego małej dziewczynce? Okaleczyć ją tak, że nie jest w stanie wyrosnąć na pełnowartościową kobietę, że popełniona na niej zbrodnia będzie się zawsze kładła cieniem na jej życiu uczuciowym.

- Dawid cię kochał. Sprawy płci nie miały dla niego większego znaczenia. Wiesz, ja zawsze uważałam, że powinien być zostać księdzem, jezuitą...

- Tak, sam zdawał sobie z tego niewątpliwie sprawę. Lubił młodzię, lubił uczyć i doradzać. Ale był zbyt uczciwy, żeby wstąpić do stanu duchownego, nie czuł powołania, uważał, że nie ma dostatecznie silnej wiary, żeby dobrze służyć Bogu. Tak mi przynajmniej kiedyś powiedział. A poza tym, ze względu na swego ojca, chciał mieć dzieci, dziedziców Cot-

tingdean. Wiedział, ile to dla niego znaczy...

Urwała, widząc zmienioną twarz Sage i słysząc cichy dźwięk, jaki się wydobył z jej gardła.

478- Och, Sage, przepraszam cię. Nie chciałam ci sprawić przykrości. Oczywiście, ty mogłabyś wyjść za mąż i także mieć dzieci... I któregoś dnia to jeszcze z pewnością nastąpi...

- Moje dzieci nie znaczyłyby dla tatusia ani w przybliżeniu tyle, co dzieci Dawida - sprostowała melancholijnie Sage. Machnięciem ręki zbyła protest Faye. - Nie okłamujmy się, moja droga - powiedziała. - Ty byłaś wobec mnie szczerą, więc pozwól, że i ja będę szczerą wobec ciebie. Mój ojciec nigdy mnie nie kochał, w każdym razie nie tak jak Dawida, nawet nie tak jak ciebie. Jako dziewczynka starałam się rozpaczliwie zdobyć choćby jego zainteresowanie, z tym skutkiem, że go zrażałam do siebie jeszcze bardziej. Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego mamusia chciała mnie w ogóle mieć.

- Ależ ona cię kocha, Sage.

Sage posłała jej sceptyczny uśmiech.

- Czyżby?

- Oczywiście - potwierdziła stanowczo Faye, po czym ku zaskoczeniu Sage dorzuciła z namysłem: - Jeśli mam być szczerą, to zastanawiałam się często, czy cię po cichu nie kocha bardziej niż Dawida.

Sage uniosła brwi i posłała bratowej drwiący uśmiechek, podszyty taką niewiarą, że Faye się wzdrygnęła.

- Teraz nie mam już wątpliwości, że się mylisz, Faye. To utrata Dawida zabiła tatusia. Oboje rodzice kochali go znacznie bardziej niż mnie. I właściwie czemu nie mieliby go bardziej kochać? W pełni na to zasługiwał.

- Tak. Często miałam uczucie, że jest prawie świętym. Tak dalece górował nade mną w stosunkach z ludźmi, że ogarniała mnie czasami czarna rozpacz.

- Często się zastanawiałam, czemu nie wyszłaś nigdy po wtórnie za mąż. Jesteś taką piękną kobietą... Teraz już wiem - powiedziała cicho Sage.

Faye wydała z głębi gardła przeczące mruknięcie, ale Sage nie ustąpiła:

- Nie przecz, jesteś. Nie ja jedna tak myślę. Temu chirurgowi ze szpitala mamusi wyraźnie wpadłaś w oko.

- Alaricowi Fergusonowi?

Jeśli Faye zdawała sobie sprawę, jak wiele mówi fakt, że pamięta jego nazwisko, to nie dała tego po sobie poznać.

- To bardzo przystojny mężczyzna - zauważyła Sage. -

Przystojny i atrakcyjny seksualnie.

- Zapominasz, że... tacy mężczyźni...

- Przepraszam cię, Faye...

Faye pokręciła głową.

- Nie masz za co przepraszać. Prawdę mówiąc... -Posłała Sage badawcze spojrzenie, po czym wyrzuciła z siebie szybko: - Nie wiem, co sobie o mnie pomyślisz, jak ci powiem, co zrobiłam potem... potem, jak mamusia odeszła... Czułam się

taka odmieniona, jakby oczyszczona... Bo wiesz, zanim umarła, odzyskała na krótką chwilę przytomność. Siedziałam przy niej, trzymałam ją za rękę. Dostała w nocy zawału, podobno bardzo rozległego, który jej jednak od razu nie zabił. Wzięli ją do szpitala, jak się tylko zorientowali. Dość że otworzyła oczy, popatrzyła na mnie i powiedziała moje imię... Po raz pierwszy od lat... I w jej oczach pojawił się wyraz takiej udręki, takiego żalu, takie rozpaczliwe błaganie... że wiedziałam, że ona wie... że pamięta... i że mnie prosi...

- O przebaczenie - dopowiedziała Sage, gdy głos Faye się załamał.

- Tak, tak, o przebaczenie. I wiesz, miałam uczucie, że mego boku stoi Dawid i mówi mi, że muszę dokonać wyboru. Że mogę dla pozorów powiedzieć, że jej przebaczam, ale odmówić prawdziwego przebaczenia, zachować żal w sercu... albo jako kobieta teraz dojrzała otworzyć dla niej serce zdjąc z niej przytłaczające brzemię cierpienia, żeby mogła

odejść w spokoju. Wybór należał do mnie i tylko do mnie. Nie potrafię ci opisać tego uczucia. Dawid był przy mnie, ale nie wywierał na mnie najmniejszego nacisku, nie dawał żadnych pouczeń, jak mam postąpić. Patrzyłam na nią i miałam wrażenie, że ona wie. I nagle cały pokój wypełnił się jakby światłością, zdawało mi się, że światłość wypełnia także mnie... Czułam niemal euforię, jakby spadł mi ogromny ciężar z serca, i przysięgam ci, że patrząc tak na mnie, ona wiedziała, bez słowa z mojej strony, że jej przebaczyłam... Parę chwil potem umarła...

Sage stwierdziła, że ma oczy mokre od łez. Nie zastanawiając się wyciągnęła ramiona i wzięły się w objęcia. Tulily się tak do siebie, kołyszając się lekko, przekazując sobie zrozumienie dwu bliskich sobie kobiet.

- Ale to nie wszystko - wyszeptwała drżącym głosem Faye, kiedy się rozdzieliły.

Nie mogła spojrzeć Sage w oczy.

- Zgorszy cię to, co powiem, mnie samą gorszy... Ale muszę ci powiedzieć, bo chociaż było to w pewnym sensie karygodne, była to zarazem najwspanialsza, najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłam... Po śmierci mamusi wyszłam ze szpitala i zaczęłam po prostu iść przed siebie. Szłam tak długo, długo, aż trafiłam na plażę i stanęłam, wpatrując się w fale. Zdawało mi się, że czuję w sobie ich przyplawy i odpływy. Na plaży był mężczyzna, który się bawił z psem. Ani stary, ani młody, bardzo zwyczajny, nie odznaczający się niczym. Musiałam się dziwnie zachowywać, jak samobójczyni czy ktoś w tym rodzaju, bo podszedł do mnie i zapytał, czy nic mi nie jest. Powiedziałam, że nie, ale zaczęłam, nie wiem, dlaczego, płakać...

Faye zerknęła na Sage. Zrobiła głęboki wdech i ciągnęła dalej:

- Mężczyzna nie odszedł, jął wypytywać, co tu robisz.

Powiedziałam mu, że przed chwilą umarła moja mamusia. Miał ze sobą kawę w termosie, nalał mi. Odparł, że wie, co czuję, bo w zeszłym roku umarła na raka jego żona. Nie mieli dzieci, a pies był jej własnością. Mieszka w Fellingham, jest nauczycielem. Zapytał, czy bym nie chciała do niego zajść. Nie miał żadnych uwodzicielskich zamiarów, mogę przysiąc. Chciał mi po prostu okazać życzliwość. Rozumiesz, wiedział, co to za uczucie. Szok patrzenia na śmierć, pustka, jaka po tym zostaje, uczucie niepewności, zagubienia... Nie byłam gotowa wracać do domu, więc z nim poszłam. Dom miał przyjemny, mały, ale dobrze utrzymany, w salonie stały fotografie żony. Ale mimo że wszystko było niepokalane, czuło się tu brak kobiecej dłoni. Powiedział mi, że po śmierci żony wyniósł się z sypialni, nie zasnąłby w łóżku, które z nią dzielił. Nie wiem, co we mnie nagle wstąpiło, Sage, naprawdę nie wiem. Spojrzałam na niego i nim się połapałam, co mówię, usłyszałam, jak go pytam, czy by się nie chciał ze mną kochać...

Twarz Faye zrobiła się czerwona, oczy jej pociemniały.

- Nie powinnam ci tego opowiadać, to...
- Owszem, jak najbardziej powinnaś - sprzeciwiła się ła-
godnie Sage. - Wiedz, że wcale mnie to nie gorszy. I jak on
zareagował? Kochał się z tobą?

- O tak, tak... Z początku był zaszokowany. Nie powie-
działam mu nic o sobie ani o Dawidzie, ale on jakby rozumiał,
że nie jestem znudzoną żoną, szukającą przygód seksualnych.

Było to, jakby mi został w jakiś sposób zesłany przez los, jeśli [

Faye posłała Sage wyzywające, a jednocześnie zawstydzone spojrzenie.

- Myślisz pewnie, że wynajduję sobie usprawiedliwienia?
- Nie, nie, wcale tak nie myślę. Wiem dobrze, że nie jesteś puszczałką, Faye. Nie musisz mnie o tym zapewniać.
- Ta-ak, pod względem seksualnym jestem pewnie najmniej doświadczoną czterdziestojednoletnią kobietą w Anglii.

A raczej byłam...

Rumieniec znowu zabarwił jej twarz.

- Cóż, ja niewiele wiem o mężczyznach. Jak ci mówiłam, on był bardzo zwyczajny, mężczyzna, na którego byś normalnie nie zwróciła uwagi. A już na pewno nie mam doświadczenia, żeby oceniać, robić porównania, ale...

Jej rumieniec się pogłębił.

- Ale to było przyjemne? - spytała uradowana Sage.
- Przyjemne? - Faye uśmiechnęła się szeroko. - To by-
ło... cudowne. Nigdy nie przypuszczałam, nigdy mi się nie
śniło...

Przezornie Sage nie uczyniła żadnego komentarza na temat tego, jaki wpływ na pobudliwość seksualną kobiet miewają silne uczucia, nie wspomniała, że Faye była w stanie euforii, jak sama przed chwilą napomknęła. Zamiast tego odrzekła ciepło:

- Cieszę się, że ci się tak poszczęściło. Będiesz się z nim spotykała?

Faye zrobiła zaskoczoną minę.

- O nie... Co to, to nie... Ustaliliśmy, zgodziliśmy się oboje. Powiedział mi, że to był jego pierwszy raz, od czasu... kiedy jego żona... Ale, Sage, był taki czuły, taki uważający, tak odgadywał wszystkie moje życzenia... Przy nim po raz pierwszy poczułam się jak kobieta. Po raz pierwszy zrozumiałam, co to pociąg seksualny. Jakby nagle coś we mnie zaskoczyło, jakby się odnalazła jakaś brakująca część mego ciała.

Chciałam się równocześnie śmiać i płakać, chciałam...

Przerwała na chwilę.

- Kiedy dotknął moich piersi, kiedy zaczął je całować, zamiast przerażenia i odrazy czułam radość, uniesienie. Wcale nie pragnęłam, żeby mnie dotykał tylko po ciemku, przeciwnie, byłam dumna ze swego ciała, chciałam, żeby je widział. Chciałam - pokręciła głową - chciałam tylu rzeczy,

i

o których nawet nie ważyłam się myśleć, nie mówiąc o tym, żebym ich miała doświadczać. Nie czułam ani przez moment, że zdradzam Dawida, że robię coś brudnego, złego. Nie miało znaczenia, że to obcy mężczyzna, że go nie kocham ani on

mnie nie kocha. Było to, jakbyśmy,, jakbyśmy wspólnie świętowali cud życia. Tak, właśnie tak. Jakbym po latach wyrzeczeń, po latach głodu zasiadła do wspaniale zastawionego stołu, kuszącego mnóstwem smakołyków... Jakbym otrzymała dar specjalnie dla mnie stworzony...

- Dar, który może mieć swoje konsekwencje - zwróciła delikatnie uwagę Sage.

Faye zmarszczyła czoło, po czym potrząsnęła głową.

- Myślisz o dziecku? Nie... Powiedział mi na samym początku, że jest bezpłodny, dlatego nie mieli dzieci.

Raz zaczawszy mówić, zwierzać się, nie mogła się powstrzymać.

- Jak on mnie pieścił! - rzuciła bez tchu, z oczyma błyszczącymi jak u dziecka, które odkrywa Gwiazdkę. - Ja go też pieściłam...

Sage roześmiała się. Sprawy płci nie miały dla niej tajemnic ani nie wprawiały jej w zakłopotanie. Nie była zaszokowana ani zgorzowana, jedynie pobłaźliwie ubawiona neofickim entuzjazmem bratowej. Cieszyła się jej rozkoszą i szczęściem, ale gdyby miała być szczerą, zazdrościła jej także bardzo. Nie kochanka, tylko tej jej naiwnej radości. Czowała się przy niej wyjałowiona, zużyta, serce ścisnął jej żal, że radość taka, jaka promieniuje od Faye, nigdy nie była i nie będzie jej udziałem. Bez względu na to, co Faye zrobiła czy zrobi, zawsze zachowa ten wygląd spłoszonej niewinności, tę słodką aurę kobiecej tajemniczości, tak różną od jej własnego agresywnego seksapilu.

- Opowiedz mi o tym - zachęciła.

Czuła, że Faye tego właśnie pragnie, że chce to jeszcze raz przeżyć i szuka po temu okazji w rozmowie z nią. Namawiając ją do zwierzeń, Sage nie szukała taniego dreszczyku. W końcu Faye nie może jej opowiedzieć nic, czego ona sama już nie doświadczyła. Chciała jej pomóc, okazać życzliwość, uczynić te pamiętne dla niej chwile jeszcze pamiętniejszymi.

- Kiedy otrząsnął się trochę z zaskoczenia, popatrzył na mnie i powiedział: „Nie sprowadziłem pani tutaj, żeby iść z panią do łóżka, ale jeśli jest pani pewna, że tego właśnie chce... ” Odparłam, że tak, i poszliśmy na górę. Nie wiem, czego właściwie oczekiwałam, wiedziałam tylko, że muszę to zrobić. W sypialni objął mnie i zaczął całować. Nie spodziewałam się tego, ale sprawiło mi to przyjemność. Był taki delikatny, nie śpieszył się. Powiedział mi, że jestem piękna i że jest taki szczęśliwy, po czym zaczął mnie rozbierać. Myślałam, że będę musiała rozebrać się sama albo przynajmniej mu pomagać, ale mi nie pozwolił. Miałam takie wrażenie, jakby wszystko wiedział. Czulałam się przy nim bezpieczna, swobodna, Sage, byłam tak całkowicie sobą. Wiedziałam, że robię to nie dla niego, tylko dla siebie, i napawało mnie to takim poczuciem siły, mocy...

Sage pochyliła głowę, kryjąc cierpki uśmiezek. Jak dobrze znała to uczucie. Ale nie wobec Daniela. Nigdy wobec Daniela. Przy nim czuła się zawsze słaba, przestraszona, bezbronna.

- Kiedy dotknął moich piersi, miałam wrażenie... no, nie umiem tego opisać... Chciałam tylko, żeby nie przestał mnie nigdy pieścić. Leżeliśmy już na łóżku. Zaczął całować moją szyję, potem piersi, najpierw jedną, potem drugą, tak powoli, że miałam wrażenie, jakby mnie pieścił w ciepłej kąpiel. Aż raptem, tak nagle, że nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, zapragnęłam, żeby mnie zaczął pieścić mniej delikatnie, żeby...

Urwała, unikając spojrzenia szwagierki.

- Wiem, o czym mówisz - wtrąciła swobodnie Sage. - To dziwne uczucie, prawda, ale przyjemne? - spytała z uśmiechem.

Faye posłała jej spojrzenie pełne ulgi.

- Tak, tak... A on zdawał się rozumieć, co czuję, czego chcę, bo... Och, nappełnił mnie takim pragnieniem... Nigdy nie myślałam, nigdy nie przypuszczałam... Niemal czułam, jak coś się wewnątrz mnie rozluźnia, otwiera... Przedtem, z Dawidem... no, on był nieskończenie delikatny, ale mimo to sprawiało mi to zawsze ból, nigdy nie mogłam się rozprężyć, jeśli wiesz, co mam na myśli... A kiedy ten mężczyzna zaczął mnie pieścić, najpierw palcami, miałam wrażenie, jakby otworzył jakiś sekretny zamek...

W jej głosie było takie zdumienie, takie zadziwienie, że Sage nie mogła powstrzymać uśmiechu. W głębi ducha zdecydowała już, że ów nieznajomy musiał być wytrawnym kochankiem, który dobrze wiedział, jak podniecić kobietę. Nie zdradzała jednak tych myśli. Skoro Faye chce wierzyć, że w jego dotknięciu kryło się coś magicznego, to niech tak będzie. Już ona na pewno nie uczyni nic, co by rzuciło najdrobniejszy cień na radość Faye.

- Ale on mnie pieścił nie tylko palcami - wyrzuciła Faye jednym tchem. - Pieścił mnie także...

Urwała, zaczerwieniona po uszy. Łapiąc dech, poruszyła się niespokojnie na łóżku.

- Pieszczoty oralne bywają cudowne - skomentowała rzeczowo Sage.

W oczach Faye pojawiło się nagle onieśmienie, usta zadrgały leciutko, ich kąciki rozsunęły się wspomnieniem rozkoszy.

- Sage, to było takie uczucie... Nie miałam pojęcia... Chciałam, żeby to trwało i trwało... Aż nagle... nagle przestało mi to wystarczać i chciałam... - Wstrząsnęła się, zamknęła oczy i wyszeptała chrapliwie: - Po raz pierwszy w życiu pojęłam, dlaczego popęd płciowy jest taką ważną, taką potężną siłą. Nie mogłam uwierzyć, że przeżywam coś takiego, że mogę naprawdę doznawać takiej rozkoszy... Zrobiła głęboki wdech.

- Potem... potem kochaliśmy się jeszcze raz, Sage, tylko tym razem on mi pokazał, jak jemu jest przyjemnie, jak mogę jemu dać taką rozkosz, jak on mnie, i kiedy to nastąpiło...

Urwała, wstrząsana dreszczem.

- Żegnając się wiedzieliśmy oboje, że to się nigdy nie powtórzy. Było nam to jakby pisane przez los, jakby zadekretowane...

Przełknęła głośno, zdenerwowana.

- Nie śmieję się ze mnie ani mnie nie potępiaj. Nie wyszukuję sobie usprawiedliwień, ale wychodząc stamtąd czułam, jakby to była nagroda od Dawida za to, że przebaczyłam mamusi.

Albo naturalna reakcja na uwolnienie się od brzemienia, które musiało jej nieznośnie ciążyć przez tyle lat, pomyślała trzeźwo Sage, zachowując jednak tę refleksję dla siebie. Ja-
kież ona ma w końcu prawo podważać coś, w co Faye święcie wierzy? Ostatnią rzeczą, jaką by chciała uczynić, to zakłócić czymkolwiek poczucie wyswobodzenia się bratowej, wyrwania z niewoli, która ją, Sage, napępiała nienawiścią i obrzydzeniem do krzywdziciela.

- Nie jesteś zgorzonna, zaszokowana?

- Wprost przeciwnie, trochę ci zazdrozczę - odparła Sage. - Nie zapisałaś przypadkiem adresu tego czarodzieja? - zapytała żartobliwym tonem.

Faye zmierzyła ją okrągłymi oczami, po czym, orientując się, że Sage chciała tym pytaniem rozładować napięcie, roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Niestety. Nie zamierzam również uczynić sobie sportu z podrywania nieznajomych mężczyzn.

- Bardzo mnie to cieszy - zauważyła sucho Sage. - A jeśli

zateśkniesz do emocji seksualnych, to przypuszczam, że ten nader apetyczny chirurg chętnie ci posłuży za partnera. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że już się w tobie kocha. Wydał się bardzo o ciebie niespokojny, kiedy dzwonił.

- Bo widział mnie w Fellingham, kiedy ostatni raz pojechałam odwiedzić mamusię. Biedak próbował nawiązać ze mną rozmowę, zadawał mi pytania, ale byłam w takim stanie, że potraktowałam go niezbyt przyjaźnie.

- Cóż, będzie pewno aż nadto rad, jeśli mu to zechcesz wynagrodzić.

Powiedziała to, spodziewając się sztywnego, zakłopotanego protestu dawnej Faye, ale ku jej zaskoczeniu i rozbawieniu

ta zaczęła się poważnie zastanawiać nad jej sugestią.

- Wydaje się całkiem miły - orzekła w końcu.
- Więcej niż miły - poprawiła Sage z poważną miną.
- Och, Sage, nie powinnyśmy myśleć o takich rzeczach, kiedy... kiedy mamusia tam leży... - Urwała, pokręciła głową. - Jestem taka wytrącona z równowagi po tym wszystkim.
- Nie dziwię ci się - przyznała Sage. - Ale co do mamusi, to z pewnością pierwsza by ci powiedziała, że robienie tego, co dla ciebie dobre, jest znacznie ważniejsze niż bawienie się w konwenanse. Wie, że ją kochasz, Faye, wie, jak bardzo o nią drżysz. Fakt, że śmiejemy się tu we dwie, nie oznacza, że nie myślimy o niej cały czas i nie modlimy się, żeby wyzdrowiała, a przypuszczenie, że mogłaby nam to wziąć za złe...

Dostrzegłszy zdziwione spojrzenie Faye, Sage odwróciła zawstydzona głowę i wyjaśniła zdławionym głosem:

- To te pamiętniki, Faye. Ukazały mi ją pod wieloma względami w tak odmiennym świetle. Jako kobietę, nie jako matkę, jeśli rozumiesz, o czym mówię...

Zawahała się, szukając właściwych słów dla wyrażenia swego pomieszania odkryciem, że mamusia, którą zawsze uważała w duchu za zimną i nieczułą, okazuje się oto czymś wręcz odwrotnym. Jak mogła ją tak niesprawiedliwie oceniać? Czy z powodu ich napiętych stosunków, czy też dlatego

że mamusia rozmyślnie wyrabiała w niej takie przekonanie? A jeśli tak, to dlaczego? Dlaczego od dzieciństwa budowała między nimi mur, dlaczego nigdy nie chciała być z nią blisko?

• Czy wiesz, że mamusia знаła Lewisa McLarena, zanim my się poznaliśmy ze Scottem?

• Lewisa McLarena? - spytała zaskoczona Faye. - A, ojca twojego Scotta?

• Nie zdradziła się słowem, że go zna, kiedy przywiozłam wtedy Scotta na weekend do domu.

• Może nie pamiętała? - zauważyła trzeźwo Faye. - Zna w końcu tylu ludzi. Gdzie go poznała? Na jakimś przyjęciu?

• Nic podobnego - powiedziała wolno Sage. - Był u nas w domu, jeszcze przed moim urodzeniem. Nigdy sobie tego nie skojarzyłam, ale Woolonga, skąd mamusia sprowadziła pierwszego tryka i gdzie pojechał pracować Vic, otóż ta Woolonga jest własnością ojca Scotta. Scott nigdy nie wymieniał jej nazwy, mówił tylko o ranchu, a mamusia w swoich pamiętnikach nigdy nie wspomniała nazwiska właściciela... Aż do tego miejsca...

• Może dowiedziała się nazwiska dopiero, kiedy go poznała.

Faye widziała zdziwioną minę Sage, ale nie rozumiała, dlaczego przykłada ona taką wagę do podobnego drobiazgu. Sage jednak zaczynała znać matkę coraz lepiej i czuła, że sam sposób, w jaki wyraziła ona swoje zaskoczenie, zastawszy Lewisa McLarena w bibliotece z Edwardem, jest wiele mówiący. McLaren nie był jednym z tuzina przypadkowych go-

ści, był kimś, kto wzbudził w niej silną reakcję emocjonalną.

Ogarnęła ją nagła niecierpliwość, żeby powrócić jak najszybciej do lektury pamiętników. Zerknąwszy badawczo na Faye, stwierdziła, że powróciła ona już do jakiejś takiej równowagi, więc po chwili milczenia zaproponowała neutralnym głosem:

- Wiesz, co? Może powinnaś opowiedzieć o tym Kamili.

Nie o tym, co robiłaś po południu, ale o... o swoim dzieciństwie. Ona czuje się w tej chwili odsunięta na margines, opuszczona i wystraszona. Świadomość, że jej ufasz, że ją uważasz za dość dorosłą, żeby się z nią podzielić swoim cierpieniem, to będzie rzecz, której ci nie zapomni do końca życia. Nie odpychaj jej, Faye. Nie może żyć w przekonaniu, że o nią nie dbasz, że ją uważasz za dziecko i lekceważysz.

- Oczywiście, że o nią dbam. Dlatego chcę ją chronić.

- Kamila nie jest już małą dziewczynką, niedługo będzie kobietą. Włącz ją w swoje życie, Faye. Pozwól jej dorosnąć. Znajduje się w krytycznym wieku.

- Nie mogę jej powiedzieć teraz, kiedy się tak niepokoi o babcię.

- Mylisz się. Właśnie dlatego powinnaś jej teraz powiedzieć. Żeby trochę odwrócić od tego jej myśli. Prawdopodobnie wszystkim nam by się to teraz przydało. Zadzwoń później do szpitala, żeby się dowiedzieć, czy nic się nie zmieniło.

- Przecież Alaric Ferguson obiecał nas zawiadomić, gdyby operacja miała zostać przełożona.

- Tak, wiem. Ale wolę sprawdzić. Uważają, że nie mamy po co jutro przyjeżdżać. Słuchaj, może to ci się wyda dziwne, ale co byś powiedziała, gdybym się nie zjawiła dzisiaj na kolację? Chciałabym skończyć pamiętnik, który czytam.

- Oczywiście, rób, jak uważasz. Ja jestem bardzo zapóźniona w lekturze. Zwlekałam ze względu na Dawida. Bałam się, że to obudzi wspomnienia. Wypadek, jego śmierć, załamanie tatusia...

- Dawid był zawsze jego oczkiem w głowie - powiedziała Sage bezbarwnym głosem. -Po jego śmierci tatuś utracił wolę życia.

- Tak - potwierdziła Faye.

Kiedy Sage wychodziła z pokoju, odprowadziła ją wzrokiem. Prawie jej zazdrościła eleganckiego, elastycznego kro-

ku. Zastanowiła się, czy Sage wie, jak bardzo się zmieniła w ostatnich dniach. Jakby zmiękła, utraciła tę twardość, która zawsze tak onieśmiała Faye. Patrząc na nią teraz, odnosiła prawie wrażenie, że Sage kryje w sobie jakieś cierpienie. Zdużyła jednak odruch spytania szwagierki, czy coś jej nie dolega.

Zamyśliła się na dłuższą chwilę. Powiedzieć Kamili, jak sugeruje Sage... ? Nie będzie to łatwe, ale może powinna to zrobić. Żyła przez tyle lat, chroniąc Kamilę przed przeszłością, drżąc, że wywrze ona swoje piętno na córce, że teraz, na

samą myśl o powiedzeniu jej, poczuła nerwowy skurcz w dołku. A jednak Sage ma rację, rozdźwięk między nimi się pogłębia. Kamila coraz częściej od znajomych dąsów przechodzi do jawnej wrogości. Zaczęła nawet oskarżać Faye, że jej nie kocha.

Kiedy wstała, przeszedł ją lekki dreszcz na wspomnienie popołudnia. Poczuła gorące pulsowanie krwi w żyłach.

Nadal nie doznawała najłżejszych wyrzutów sumienia, cienia wstydu, że mogła się tak swobodnie napawać rozkosznym poczuciem sytej pełni, ową tajemną kobiecą radością. Miała silne przeświadczenie, że się ostatecznie wyswobodziła z pęt przeszłości. Nigdy jej nie zapomni, nigdy nie będzie przed nią chowała głowy w piasek, ale jest w końcu wolna od jej paralizującej mocy.

Reagowała dziś po południu na męskie pieścizoty w sposób, jakiego się nigdy nie spodziewała. Zyskała nieoczekiwaną, cudowną świadomość, że jest pod względem seksualnym normalną kobietą, a ma przecież jeszcze znaczną część życia przed sobą. Nigdy nie będzie się puszczała, to jej nie pociąga, ale wie teraz, że jest zdolna odczuwać pożądanie i czerpać rozkosz ze stosunku z mężczyzną.

Spiesznie, zanim ją opuści odwaga, ruszyła na poszukiwanie Kamili.

Mimo całej niecierpliwości, żeby powrócić do przerwanej lektury, Sage ociągała się z otwarciem na nowo pamiętnika, gdy się znalazła z powrotem w gabinecie. Nie dlatego, żeby miała poczucie, że czytając wdziera się w prywatne sprawy mamusi. W końcu czyta pamiętniki na jej wyraźne życzenie. A więc dlaczego? Z obawy? Z obawy przed tym, co odkryje? Ale co właściwie obawiałaby się odkryć? Że mamusia jej nie kocha, że nigdy naprawdę jej nie chciała?

Odrzuciła tę myśl jako pozbawioną logiki. Jakżeby mamusia mogła jej nie chcieć, jeśli włożyła tyle starań, żeby zajść w ciążę, żeby ją urodzić? Może więc nie spełniła oczekiwań, jakie oboje rodzice w niej pokładali? Ale tego nie mogli przecież od początku wiedzieć. Musieli jej więc pragnąć.

Pogrążona w myślach, wpatrywała się w biurko, czując dreszczyk napięcia, przebiegający jej po plecach. Sięgnęła po pamiętnik, po czym odłożyła go i jęła krążyć po pokoju. Po chwili uznała, że jej zachowanie jest śmieszne, usiadła i zaczęła z determinacją czytać od miejsca, w którym jej przerwała Kamila.

Lewis McLaren wyczuł napięcie, jakie zapanowało w pokoju wraz z wejściem Liz, i zaczął jej się uważnie przyglądać. Jak na taką piękną kobietę jest dziwnie niepewna siebie,

jakby zalękniona. Nie uszło jego uwagi trwożne, prawie błą-

galne spojrzenie, jakie posłała mężowi. Dlaczego?

Zaskoczyło go nieco własne zainteresowanie. Wybrał się w tę podróż za poradą lekarza, który go przekonał, że powinien wyjechać na jakiś czas, żeby się trochę oderwać, zapomnieć o tym, co się stało. Vic zaś, słysząc, że będzie w Anglii, zaproponował nieśmiało, żeby zajrzał do Cottingdean, przekonał się, jak prosperuje tamtejsza owczarnia, i obejrzał potomstwo kupionego od nich tryka.

Brzmienie głosu Vica utwierdziło Lewisa w domyśle, że tęskni on nadal do stron rodzinnych, i kazało mu się nie po raz pierwszy zastanowić, dlaczego zdecydował się przenieść o tyle tysięcy mil od miejsca, które najwidoczniej kocha.

Na Beth ani Anglii, ani Danversowie nie wywarli korzystnego wrażenia. Sądząc po uwagach o Liz, jakie robiła od czasu do czasu, Lewis spodziewał się ujrzeć starszą, zdecydowaną kobietę, a nie taką niepewną, nerwową dziewczynę. Bo wygląda bardziej na dziewczynę niż na kobietę.

Zaciekawienie, jakie się w nim obudziło, nasunęło mu po raz pierwszy myśl, że może Ralph Forbes, jego lekarz, się nie mylił. Może rzeczywiście musiał się znaleźć z dala od rancza, żeby zaczęła mu powracać chęć do życia. Problem w tym, że nie był pewien, czy właściwie sobie tego życzy. Bo i co może mu przynieść przyszłość? Przecież nigdy nie zapomni utraconej żony ani dziecka. Tym bardziej że...

Zdał sobie sprawę, że Edward coś do niego mówi. Pyta go, jak długo pozostanie w tych stronach. Lewis się zmarszczył, bo w głosie gospodarza brzmiała wyraźna wrogość.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że Edward Danvers powitał go z życzliwością. Ale jego zachowanie zmieniło się wyraźnie od momentu wejścia żony.

Starszy mężczyzna, przy tym kaleka, ożeniony ze znacznie młodszą i bardzo piękną kobietą... Mogłoby to dostatecznie wyjaśniać, dlaczego Edward Danvers jest niepewny swego małżeństwa i zazdrosny o żonę. Ale przecież żyją już ze sobą od ładnych paru lat, mają odchowanego syna i nawet Beth, która nie omija żadnej okazji, żeby przypiąć łątkę Liz Danvers, nie próbowała rzucać cienia na jej stosunek do męża.

Lewis sam później nie rozumiał, co go podkusiło, żeby odpowiedzieć lekkim tonem:

- O, zostaną przez jakiś czas. Chcę odwiedzić parę osób w tej części kraju, a Vic twierdzi, że Cottuigdean stanowi bardzo dogodną bazę wypadową. Właściciel pubu odstąpił mi pokój. Jest tam wygodnie i czysto.

Miał zamiar zatrzymać się w pubie tylko na noc, żeby przekazać Danversom posłanie Vica. Vic jednak powiedział rzeczywiście, że Cottingdean stanowi doskonałą bazę wypadową do zwiedzenia tej części kraju, a Lewis nie wątpił, że właściciel pozwoli mu zatrzymać pokój na dłużej.

Tylko dlaczego miałby zostać?

Może dlatego że po raz pierwszy od śmierci Elaine i Alistaira jego myśl zaprzętnął ktoś inny niż oni?

Później nigdy nie wiedział, czy to uroda Liz Danvers, czy

jej rzucająca się w oczy nerwowość przyciągnęła najpierw jego uwagę. Wiedział tylko, że gdy raz zaczął jej się przyglądać i próbować ją rozgryźć, nie mógł już oderwać od niej wzroku ani myśli.

- Miałem nadzieję, że skoro już tu jestem, będę mógł obejrzeć państwa owce - podjął.

Zwracał się do Edwarda, chociaż dobrze wiedział, że to jego żona zaplanowała program uszlachetnienia rasy i zabiegała o kupno medalowego tryka. Edward poruszył się niespokojnie w fotelu.

- O, hodowla... to domena Liz - odrzucił nieprzyjaźnie. - Ale ona jest teraz całkowicie pochłonięta swoją ukochaną fabryką i wątpię, czy znajdzie czas, żeby panu pokazać owce.

- Owce są na pastwiskach, które dzierżawimy w lecie - wtrąciła szybko Liz. - Są to tereny położone wyżej niż Cottingdean i odległe o ładne parę mil.

- Nie chciałbym fatygować nikogo z państwa - odparł swobodnie Lewis. - Wystarczy, jeśli mi państwo wskażą drogę i ewentualnie zaopatrzą w list polecający do pasterza.

- Tak, oczywiście - powiedział Liz. - Przepraszam na chwilę, zaraz to przygotowuję.

Lewisa zaskoczyło, jakiego wysiłku wymaga od niego, żeby jej nie odprowadzić wzrokiem. Edward Danvers nie spuścił z niej natomiast podejrzliwego i zaborczego spojrzenia, dopóki nie wyszła z pokoju.

Wróciła po paru minutach z kopertą zaadresowaną do pasterza i kartką, na której wypisała przejrzyście wskazówki, jak trafić na pastwisko.

Wzmianka Edwarda o fabryce zaostrzyła ciekawość Lewisa, czuł jednak, że żadne z małżonków nie przyjęłoby dobrze pytania o nią. Dziwna para, myślał jadąc z powrotem do miasteczka, i to nie tylko z powodu różnicy wieku. Napięcie panujące między nimi i lęk w oczach Liz Danvers klóciły się wyraźnie z obrazem rodzinnej harmonii i oddania z jej strony, jakie mu nakreślił Vic.

- Dawid robi się taki dorosły - powiedziała pogodnie Liz do męża po wyjściu gościa.

Czuła mdlący ucisk w dołku, połączenie gniewu i strachu, z domieszką bezradnego współczucia dla kaleki. Nie uszedł jej uwagi sposób, w jaki patrzył na Lewisa McLarena, i wiedziała, co nastąpi, jeszcze nim Edward wybuchnął:

- Co cię łączy z tym typem, Liz? Tylko nie próbuj kłamać ani się wypierać. Widziałem, jakim wzrokiem na ciebie patrzy. Gdzie go poznałeś? I czym on jest... ?

- Ależ, Edwardzie... - Była bliska łez, jak zawsze w obliczu jego nierozumnych wybuchów. - Pierwszy raz widzę pana McLarena. Słyszałeś, co mówił. Jest właścicielem Woolongi. Przyjechał tu ze zwykłej grzeczności...

- Kłamiesz- prychnął Edward. - Nie jestem durniem, Liz. Widzę, co się rozgrywa pod moim nosem. Masz z nim romans, tak? Jesteś...

Widziała, że się doprowadza do furii i za chwilę zacznie wrzeszczeć. Instykt popychał ją, żeby otworzyć drzwi

i uciec, lecz nie pozwalała jej na to duma i współczucie dla prawdziwego Edwarda, nie tego, który ją teraz oskarża i obraża, któremu cierpienie odbiera rozum. Najchętniej wezwałaby na pomoc Chiversa, to by się jednak równało przyznaniu, że nie panuje nad sytuacją, że nie potrafi sobie już radzić z rosnącą wrogością i agresywnością męża.

Rzeczą, której się nauczyła, było trzymanie się od niego na dystans, kiedy widziała, że zaczyna wpadać w szał. Niestety, jego wybuchy stawały się coraz częstsze, a iskrę mógł stanowiąc byle drobiazg. Jednakże pierwszy raz się zdarzało, żeby ją oskarżał o romans z określonym mężczyzną.

- Posłuchaj, Edwardzie, proszę cię - spróbowała mu perswadować, siląc się na spokój. - Pan McLaren jest dla mnie obcym człowiekiem, nic mnie z nim nie łączy...

- Nic cię z nim nie łączy? Dlaczego się wobec tego zatrzymał w Cottingdean? Po co tu w ogóle przyjechał? Co było w tej kopercie, którą mu dałaś? Coś ty mu tam napisała?

- Dobrze wiesz, co tam było, Edwardzie. Parę słów do pasterza, wyjaśnienie, kim on jest...

- Kłamiesz!

Drgnęła, kiedy na nią wrzasnęła. Potem się odwrócił do biurka i wściekłym ruchem zrzucił na ziemię szachownicę. Miał sporo siły w rękach, tak że pionki rozsypały się po całej bibliotece, powodując hałas na tyle głośny, że do gabinetu wpadł Chivers. Posłał Liz niepewne, trwożne spojrzenie.

- Nikt cię tu, do cholery, nie prosił! - krzyknął Edward, łypiąc na niego ze złością. - Wynoś się do diabła!

Liz posłała mu błagalne spojrzenie. Chciała, żeby sobie poszedł, cierpiała, kiedy ktokolwiek oglądał Edwarda w takim stanie, nawet jeśli był to ktoś tak bliski jak Chivers.

Coraz trudniejsze stawało się też utrzymanie tego, co się dzieje, w tajemnicy przed Dawidem. Łączą go z Edwardem takie dobre stosunki, Liz nie chciała, by cokolwiek położyło się na nich cieniem. Syn powinien szanować i podziwiać ojca, a dla Dawida Edward jest ojcem, i to na pewno znacznie lepszym, niż byłby kiedykolwiek Kit. Edward wprost uwielbia Dawida. Po raz pierwszy Liz była rada, że syn jest w internacie.

- Telefon do pani - oznajmił drewnianym głosem Chivers.

Telefon do niej? W fabryce były ostatnio kłopoty z jedną z maszyn, więc to pewno w tej sprawie. Zerknęła trwożnie na Edwarda wiedząc, jak go w tych jego stanach denerwuje jakakolwiek wzmianka o fabryce, lecz mąż nie patrzył już na nią, rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem po podłodze, jakby zachodząc w głowę, w jaki sposób znalazła się na niej szachownica i pionki.

Chivers zaczął je już zbierać. Burza minęła. Przynajmniej na teraz, westchnęła Liz. Po niej nastąpią wyrzuty sumienia, łzy, błagania, żeby mu pomóc się wyzwolić z tej ziemskiej udręki, z wiecznej obawy, że Liz od niego odejdzie, co na swój sposób było jeszcze trudniejsze do zniesienia niż jego

wybuchy i oskarżenia.

Może Ian ma rację? Może faktycznie zrobiliby im dobrze, gdyby się udało nakłonić Edwarda do wypoczynku w którymś z tych domów dla inwalidów. Ale jak go przekonać? Natychmiast zacznie się domyślać najgorszego, poczuje się zagrożony, zdradzony, porzucony... Nie, bez względu na to, jak bardzo pragnęłaby się znaleźć choćby na krótki czas w oazie ciszy i spokoju, nie może tego zrealizować kosztem Edwarda.

Kiedy podniosła słuchawkę w gabinecie, na drugim końcu linii nie było nikogo. Zapytany o to później Chivers odparł spokojnie: „Tak? Musieli się widać rozłączyć, proszę pani”. Liz jednak podejrzewała, że był to pretekst wymyślony, żeby jej pomóc.

Westchnęła. Rozbolała ją głowa, oczy piekły, jakby były zaprószone. Dobrze jej zrobi godzina spokojnej pracy w ogrodzie. Tam jej nikt nie będzie przeszkadzał.

Co do tego pomyliła się jednak. Przeszkodził jej ktoś, kto nie miał prawa zaprzętać jej myśli. Tym kimś był Lewis McLaren.

Przerwała pielenie, bo wstrząsnął nią nagły dreszcz. Co się z nią dzieje? Nie powinna myśleć o Lewisie McLarenie, a jeszcze mniej porównywać go z Edwardem.

Ale nie mogła się oprzeć wspomnieniu, jak jej uściśnął rękę i całe ciało przeszedł jej jakby prąd. Dlaczego?

„Skończ z tym - upomniała się - coś ci się przywidziało. To, że Edward ubzdurał sobie między nami romans, nie znaczy jeszcze...”

Zesztywniała nagle, jej ciałem wstrząsnął nowy dreszcz. Niemożliwe, żeby myślała to, co myśli, czuła to, co czuje. Nie w związku z mężczyzną, którego dopiero co poznała, którego widziała przez parę minut. W dodatku mężczyzną, który jest żonaty...

Żonaty. Przysiadła na piętach, nie rozumiejąc, dlaczego wzrok jej się nagle zaćmił, dopóki nie poczuła, że z oczu płyną jej łzy.

Jest żonaty i jego żona na pewno nie sypia sama, nie dźwiga brzemia niewiary w swoją wartość jako kobieta, lęku przed swoją zmysłowością, wie, co to dzielić rozkosz z mężczyzną, wie...

O Boże! Co się z nią dzieje? Skąd jej przychodzą takie myśli? Ale jeśli małżeństwo McLarenów jest takie doskonałe, to dlaczego żona z nim nie przyjechała? A może przyjechała, tylko wolała nie odwiedzać Cottingdean? W takim razie...

O ileż lepiej by było, gdyby z nim przyszła. Edward nie miałby wówczas podstaw do swoich podejrzeń, a ona... Co ona? Nie doznałaby tego niezwykłego i niepokojącego dreszczyku, kiedy jej uściśnął rękę, i tego przejmującego wyobrażenia jego jako mężczyzny... jako kochanka...

Pląkała teraz naprawdę, łzy ciekły jej po policzkach. Musi z tym skończyć, a jedynym sposobem na to jest praca, praca i jeszcze raz praca, aż zmęczy się tak, że zapomni o istnieniu mężczyzny imieniem Lewis McLaren, nie wspominając już o niebezpiecznym i bezprzedmiotowym fantazjowaniu o nim.

Przez trzy dni jej się to udawało, niemal udawało. Bo Cottingdean było małym miasteczkiem i przyjazd nieznanego wzbudził, oczywiście, znaczne zainteresowanie. Wiedziano, że zamierza spędzić jakiś czas w okolicy, a z odgłosów, jakie docierały do Liz, wynikało, że miasteczko zaaprobowало jego obecność.

Do dworu więcej nie przyjechał. Liz wmawiała sobie, że ją to cieszy, lecz kiedy się budziła w nocy, z ciałem rozpalonym i zlanym potem, i z nurtującym je niepokojem, mogącym stanowić jedynie wynik erotycznego snu, którego wolała by nie pamiętać, trudno było jej się oprzeć pokusie nadawania cieniowi ze snu rysów mężczyzny z krwi i kości, którego podświadomie pragnęła.

W chwilach słabości mówiła sobie, że to nic, że te sny i fantazje są jej wyłączną własnością, nękało ją jednak poczucie winy i lęk przed tęsknotami i popędami wyzwalanymi przez owe sny. Rozpaczliwie tęskniła do czasów, kiedy nie znała jeszcze przyływów i odpływów własnej zmysłowości, kiedy wierzyła, że jest jej pozbawiona.

Próbowała sobie wmawiać, że zachowuje się jak niedowarzona pensjonarka, marząca o gwiazdorze filmowym, próbowała się zatracać w pracy, lecz chociaż pomagało jej to utrzymać myśli w ryzach za dnia, zdawało z tym większą siłą wyzwalać sennie marzenia w nocy. Co się z nią dzieje, pytała rozdygotana, dlaczego prześladowają ją te idiotyczne myśli, to

niebezpieczne zauroczenie mężczyzną, którego widziała raz w życiu?

Obudziwszy się rano, pięć dni po wizycie Lewisa McLarena, Liz przypomniała sobie, że to dzień jej comiesięcznej inspekcji stada. Na popołudnie zapowiadano deszcz i nie było bynajmniej ciepło, więc ubrała się przezornie w starą tweedową spódnicę, golf i solidne półbuty z niewyprawionej skóry, a na rękę wzięła ciepły tweedowy żakiet.

Po wybuchu zazdrości o Lewisa McLarena Edward był cichy i spokojny. Liz przyzwyczajała się powoli do huśtawki jego nastrojów - atak wściekłego gniewu, potem wyrzuty sumienia, wreszcie okres apatii. Całując go na pożegnanie, modliła się, żeby Ian zaczął mu niedługo podawać jeden z tych nowych leków, o których wspominał. Oczywiście, jeśli Edward pozwoli się do niego przekonać.

Jazda w poblize hał, na których w lecie pasły się owce, nie trwała długo, a Liz ją lubiła. Na wąskich wiejskich drogach nie było prawie ruchu i mogła z niezmiennym zachwytem obserwować uderzający kontrast pól, na których dojrzewały rozmaite plony. Z równą fascynacją obserwowała zawsze grę słońca i cienia, kiedy po niebie przesuwaly się chmury.

Pozaczasowy spokój tego krajobrazu przywoził jej za każdym razem z jednakową żywością myśl o niezliczonych pokoleniach, które przyglądały się tym polom tak jak ona teraz, nie mogąc wyjść z podziwu dla potęgi natury, i o poko-

leniach, które będą im się przyglądały po niej. Czowała się wówczas jak nieskończenie drobne ogniwo łańcucha ludzkiego, którego następnym ogniwem będzie Dawid, a potem jego dzieci i dzieci jego dzieci. Powinna dziękować Bogu za tyle rzeczy. Grzeszy tęskniąc do czegoś, co nigdy nie będzie jej dane, do czego nie ma prawa.

Na halę, gdzie przebywały owce, nie można było dojechać autem. Musiała zaparkować przy bramie w ogrodzeniu i ostatnią milę czy półtorej przebyć pieszo. Lubiła to. Zawiązała chustkę na głowie i nałożywszy żakiet, ruszyła pod górę. Wiatr rozpedził chwilowo chmury i przyjemnie przygrzewało słońce.

Wysoko na niebie szybowiała pustułka, wypatrując zdobyczy. Liz się zatrzymała, kiedy ptak runął nagle w dół i zniknął w zbożu. Żal jej się zrobiło małego stworzonka, które chwycił, nie mogła jednak nie podziwiać precyzji i gracji, z jaką spadł, a potem wzniósł się z powrotem, by wypatrywać nowego łupu.

Nim ponownie rozpoczęła wspinaczkę, obejrzała się za siebie i zobaczyła, że ktoś idzie za nią pod górę. Mężczyzna z gołą głową i ciemną czupryną targaną przez wiatr.

Jeszcze zanim zawołał jej imię i usłyszała charakterystyczny australijski akcent, wiedziała, kto to jest. Rozpoznało go jej serce i dusza, i poczuła gwałtowny ucisk w piersi.

Zdrowy rozum mówił jej, że najgorszą rzeczą, jaką może zrobić, to stanąć i czekać na niego, ale to właśnie uczyniła, równie bezradna w pułapce swoich uczuć, jak owo polne stworzonko w szponach pustułki.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - oznajmił z uśmiechem McLaren, dogoniwszy ją.

W istocie nie był to wcale zbieg okoliczności. Lewis wybrał się na halę nazajutrz po wizycie we dworze i z rozmowy z pasterzem wiedział, że Liz będzie tam tego dnia. Zdawał sobie sprawę, że to, co nim powoduje, zakrawa na szaleństwo. Ciekawość, odwracająca jego myśli od Elaine i Alistaira, mogła mieć dobroczynny wpływ. Lecz instynkt, jakiś szósty zmysł ostrzegał go, że za jego zainteresowaniem dla Liz Danvers kryje się coś więcej niż czczy ciekawość. Coś znacznie, znacznie więcej.

Tego dnia wyglądała młodziej niż poprzednio. Znał jej wiek - jest o pięć lat młodsza od niego - lecz dziś wygląda, jakby ich dzieliło co najmniej dziesięciolecie. Zbliżając się podziwiał świeżość jej cery, delikatność i jasność karnacji, tak różniącą ją od ogorzałych twarzy jego rodaczek. Elaine nienawidziła ostrego słońca australijskiego interioru, uważała, że przedwcześnie ją postarza. Nienawidziła rozległych równinnych przestrzeni Australii, nienawidziła Woolongi, czasami nienawidziła i jego. Mówiła to, nieszczęście, że jej nie słuchał, nie brał tego poważnie. Gdyby słuchał, może i ona, i ich syn by dzisiaj żyli... „Nie rób sobie wiecznych wyrzutów - strofował go Ralph. - Nie pograżaj się w otchłani samobiczowania. Pogódź się z tym, że Elaine była kobietą o nadmiernej pobudliwości, że

urodzenie dziecka nadszarpnęło poważnie trzeźwość jej wzdzenia, jej odporność psychiczną. Takie rzeczy się zdarzają. Nie możesz, nie wolno ci winić siebie za to, co się stało". Ale jakże mógł się nie winić? Nie chciała za niego wyjść, powiedziała mu to. Ale nie mieli właściwie wyboru. Małżeństwo zostało zaplanowane przez ich ojców, dwu nieustępliwych autokratów, wymagających bezapelacyjnego posłuchu, "przyzwyczajonych do absolutnej władzy na tysiącach akrów ziemi, na której hodowali sto tysięcy owiec. Obaj byli despotami, obaj rządili swoimi prywatnymi światami, jak uważali za stosowne. A uważali za stosowne połączyć swoje rozległe majątki przez małżeństwo syna z córką.

Może gdyby nie zginęli obaj w tej samej katastrofie lotniczej, katastrofie awionetki pilotowanej przez jego ojca... Elaine uwielbiała swego ojca, niemal go ubóstwiała. Po jego śmierci zamknęła się w sobie. Winiła za nią ojca Lewisa, a z niego przeniosła winę na samego Lewisa.

Wkrótce potem, jak dotarła do nich wieść o katastrofie, poroniła ich pierwsze dziecko.

Nie pozwoliła mu się później tknąć przez blisko trzy lata. Próbował wszystkiego, zastanawiając się, czy nie dociera do niej, że on ma równie mało chęci na współzycie z nią, jak ona z nim. Byli jednak małżeństwem, rozwód nie wchodził w rachubę, a musieli mieć dziecko, dziedzica Woolongi. Więc w końcu wziął sprawę w swoje ręce. Do dziś dnia wstrząsał się na wspomnienie, jak ją z premedytacją upił, po czym zaniósł nieprzytomną na łóżko, rozebrał i wszedł w jej bezwładne, nie reagujące ciało, przywołując całą siłę woli, żeby tego dokonać.

Obrzucała go potem za to stekiem obelg, tak jak poprzednio, kiedy go oskarżała o śmierć ojca i ich nie narodzonego dziecka. Próbował jej wówczas tłumaczyć, że to nie była jego wina, że oplakuje dziecko tak samo jak ona, ale od tamtej pory wiedział, że trzusi się na próżno, że coś się w niej obróciło przeciwko niemu i zatruwa jej duszę.

Interior czasami tak działa na kobiety. Jest to wymagająca kraina, kraina mężczyzn, okrutna dla kobiet, które próbują się w niej na siłę zaadaptować. Kobieta musi mieć wielki hart, wielką odwagę i wytrzymałość, i musi bardzo kochać swego mężczyznę, żeby znieść okrucieństwo tej ziemi.

Elaine tego nie miała. Była słaba i bezbronna, i Lewisowi nie sprawiło satysfakcji, że ją zmusił do wznowienia z nim współzycia. Ale miał nadzieję, że może drugie dziecko pozwoli jej przezwyciężyć żalobę, wyrwać się z prawie obsesyjnego rozpamiętywania przeszłości, a kiedy się okazało, że istotnie jest w ciąży, wydawało się, że jego nadzieje się sprawdzają.

Bo przygotowywała się na przyjście dziecka z energią i entuzjazmem, które rozproszyły nieco jego obawy. Wiedział, że ich małżeństwo nigdy nie będzie tak idealne, jak sobie wyobrażał w młodzieńczych marzeniach, ale łudził się, że skoro nie potrafił jej kochać z namiętnością i zapamiętaniem, to będzie mógł ją przynajmniej cenić i szanować jako żonę i matkę ich dzieci.

Życie na ranczu było twarde, nie zostawiało wiele czasu na

rozmyślanie ani próżnowanie i Lewis nigdy nie miał pokusy zerwania więzów małżeńskich, nawet gdyby okoliczności go ku temu popychały. Żeniąc się z Elaine uważał, że czyni rzecz właściwą, dla niej, dla siebie i dla Woolongi.

Jej ojciec zapewniał go, że Elaine go kocha i chętnie za niego wychodzi, dopiero po ślubie Lewis się dowiedział, że to nieprawda, że poślubiła na życzenie ojca, a jeśli kocha kogoś mężczyznę, to nie jego, Lewisa, tylko właśnie ojca.

- Przyjechał pan do Anglii bez żony? Puściła pana?

Do zadania tych pytań, gdy tylko ją dogonił, popchnął Liz strach przed własnymi uczuciami i przed zdradzeniem się z nimi.

- Moja żona nie żyje - sprostował gwałtownie Lewis, po czym, widząc jej zmienioną twarz, jął się usprawiedliwiać: - Przepraszam, przestraszyłem panią.

- Pan mnie przeprasza? - Liz odwróciła napiętą, pobladłą twarz w stronę hal, niezdolna spojrzeć mu w oczy. - To ja powinnam pana przeprosić - powiedziała zmienionym głosem. - Nie miałam pojęcia. Vic wspominał w listach, że pan jest żonaty. Nic nie pisał...

Czyżby przyjechał do Anglii po to, żeby zapomnieć? Musiał ją bardzo kochać. Jaka ona była? Wysoka, opalona, z grzywą niesfornych włosów... ?

- Nie kochałem jej. Nigdy jej nie kochałem. Nie powinienem był się z nią zenić...

< Wstrząsnęły nią jego ciche, wolno wypowiedziane słowa. - Kiedy podniosła na niego wzrok, stał bez ruchu, z profilem jakby rzeźbionym na tle błękitnego nieba. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że jest taki wysoki. Nic dziwnego, nie znajdowała się tak blisko niego tamtym pierwszym razem.

Przez głowę przebiegały jej niemądre, banalne myśli o tym, jaki męski ma wygląd, taki pełen siły i energii, i jak dobrze leży na nim tweedowa marynarka. Podobał jej się również sposób, w jaki się układają jego włosy, okalając opaloną, wyniosłą szyję.

- Popelniła samobójstwo... Odebrała życie sobie i naszemu synkowi...

Powiedział to znowu cichym głosem, wymawiając słowa powoli i starannie, jak gdyby nigdy dotąd nie zagościły na jego wargach, a Liz poczuła instyktownie, że tak istotnie jest, że przed nią pierwszą zrzuca z serca ten straszliwy ciężar, że jej pierwszej mówi o tragedii, która złamała mu życie.

- To moja wina. - Nie patrzył teraz na nią. - Powinienem był wiedzieć, powinienem był przewidzieć...

Liz usiadła zdecydowanie na ziemi i poklepała trawę koło siebie, zachęcając go, żeby usiadł obok.

- Niech pan mi wszystko opowie - poprosiła cicho.

Dawna Liz, Liz, którą znała, cofnęłaby się kiedyś przed takim zaproszeniem, przed wtrącaniem się w cudze życie, przed obnażaniem czyjegoś bólu i cierpienia. Lecz nagle przemieniła się w inną, nową Liz, potrafiącą widzieć więcej niż własne obawy i lęki, ofiarowującą instyktownie pomoc, któ-

rej, wiedziała, ten ktoś drugi szuka.

Lewis usiadł przy niej i zaczął mówić, początkowo powoli, z wahaniem, nie pomijając jednak nic i spoglądając jej coraz częściej w oczy, w miarę jak opowiadał o swojej winie nieświadomego zaniedbywania żony, samolubnej wiary, że jest zadowolona, karygodnego przekonania, że ma prawo decydować o jej życiu.

- Kiedy zaszła w ciążę, myślałem, że jest szczęśliwa. Zachowywała się przez cały czas rozważnie, zresztą wszyscy jej pilnowaliśmy po pierwszym poronieniu. Chciałem, żeby miała możliwie najlepszą opiekę lekarską, więc trzy miesiące przed rozwiązaniem zawiozłem ją do Melbourne. Miała tam ciotkę, ja ją odwiedzałem, jak mogłem najczęściej. Rozkwitła w mieście, wydawała się szczęśliwa. Myślałem.

Przelknął głośno.

- Kiedy Alistair miał miesiąc, wróciliśmy do Woolongi. Z początku się wydawało, że wszystko jest w porządku, ale stopniowo Elaine zaczęła popadać w coraz większą depresję. Nalegałem, żeby się poradziła lekarza, ale nie chciała. Tęskniła za Melbourne, więc jej obiecałem, że pojedziemy tam na Boże Narodzenie. Ale pewnego dnia, kiedy Alistair miał pół roczku, a ja byłem akurat na spędzie, wzięła go i poszła z nim do rzeki. Zrobiliśmy tam groblę, żeby utworzyć głębsze miejsce do pływania, zanim wybudujemy basen. Przypuszczamy, że po prostu weszła do wody z nim na rękę, bo wciąż go trzymała, kiedy ich znaleźliśmy.

Głos mu się załamał, a Liz poczuła w oczach bezsilne łzy współczucia.

- Zostawiła mi kartkę, że ponieważ ja ukradłem i zabiłem jej dziecko, ona kradnie i zabija moje.

Usłyszała w jego głosie szloch, więc obróciła się i wzięła go w ramiona ruchem tak naturalnym, jakby to czyniła przez całe życie. Płakał, a ona go tuliła, czując, że to los wyznaczył im spotkanie na drodze życia, że wybrał im ten czas i miejsce, i że choćby się nie wiem jak broniła, nie byłaby w stanie tego uniknąć.

Miała takie uczucie, jakby coś w niej nagle zaskoczyło, wyzwając odwieczną, bezgłosną muzykę sfer, w której takt obraca się wszechświat. Zdawało jej się, że odnalazła zagubioną połowę Samej siebie, że jej istnienie po raz pierwszy stało się pełne.

Znała przedtem miłość - miłość dziecka do rodziców, miłość matki do dziecka, zdawało jej się nawet, że kocha Kita, jakkolwiek niemądra i szalona była ta miłość. Teraz jednak, tuląc do piersi Lewisa, dzieląc paroksyzm jego żaloby i skruchy, słuchając słów jego cierpienia i gniewu, zrozumiała, że nie miała dotąd pojęcia, czym jest prawdziwa miłość.

Lecz nawet w tej chwili, gdy stwierdzała, że mocą jakiegś niepojętej alchemii, której - wiedziała to - nie będzie w stanie nigdy ogarnąć rozumem, los postawił ją twarzą w twarz z tym jedynym, wyjątkowym człowiekiem, nawet w tej chwili rozumiała, że nie mogą być razem. Jej droga życiowa została dawno wytyczona. Poczyniła śluby, których nie wolno jej

złamać, musi dotrzymać zobowiązań wazących więcej na szali jej życia i sumienia niż miłość do Lewisa.

Kiedy McLaren podniósł głowę i popatrzył na nią, jego spojrzenie jedynie ją utwierdziło w tym, co już wiedziała.

- Jak to się stało, żeśmy się odnaleźli? - zapytał ją z czułością. - O ukochana, kiedy pomyślę, jak łatwo mogliśmy się nigdy nie spotkać...

- Może lepiej by było, gdybyśmy się nie spotkali - odparła spokojnie Liz.

Na chwilę zamarł w milczeniu.

- Nie mówisz tego chyba serio? Nie powiesz mi, że nie czujesz tego, co ja... że nie wiesz tego, co ja...

Musiała go powstrzymać. Pozwolić mu dalej mówić znaczyłoby tylko pomnażać cierpienie, które ich czeka.

- Jestem mężatką - przypomniała ze ściśniętym gardłem. - Mam męża... syna...

- Jesteś moja - zaprzeczył stanowczo Lewis. - Jesteś moja, Liz, teraz i na wieki. Czulem to chyba od momentu, kiedy cię ujrzałem. Myślisz, że dlaczego tu zostałem? Mówiłem sobie, że jestem szalony, ale czulem, że żadna siła mnie stąd nie wyrwie. Ja wiedziałem, że tu dzisiaj będziesz. Powiedział mi twój pasterz. O Boże, Liz, po wszystkim, co przeszedłem, co się zdarzyło w moim życiu, nie mogę uwierzyć w to szczęście, że cię znalazłem. Nie próbuj mnie odprawiać, bo nie odejdę, i nie próbuj mi wmawiać, że kochasz Edwarda, bo nie uwierzę - oświadczył twardo. - Nie uwierzę!

- Kiedy ja naprawdę kocham Edwarda - powiedziała Liz poważnie.

Była to prawda. Nie kocha Edwarda jako mężczyzny, miłością, wiedziała to teraz, jaką kobieta kocha tego jedyne, wybranego mężczyznę, z potrzeby duszy i ciała. Nie, jej miłość do Edwarda zrodziła się z potrzeby zewnętrznej, zarówno jego, jak jej. Pomógł jej, gdy potrzebowała pomocy, i ona nigdy nie może sobie pozwolić na zapomnienie tego.

- Proszę cię, Liz.

Obróciła odruchowo głowę, niezdolna się oprzeć błaganiu w jego głosie. Siedzieli wciąż na trawie, więc różnica ich wzrostu nie była tak wielka i Liz napotkała z bliska przejmujące spojrzenie jego zielonych oczu. Otaczało je półkole zmarszczek, wynik długich godzin spędzonych w gorącym australijskim słońcu, skóra na kościach policzkowych pod nimi była napięta. Uniósł opaloną i zrogowaciałą dłoń i jej dłoń skryła się w niej całkowicie.

Zdjął już wcześniej marynarkę, a rękawy koszuli zawinał, i patrząc teraz na twarde mięśnie jego ramion Liz poczuła niebezpieczny skurcz w dole ciała. Wiedziała, że gdyby się raz zatopiła w tych ramionach, gdyby się raz pozwoliła pieścić tym dłońmi, gdyby się raz zespoliła z tym ciałem, byłaby tak bezwolna, że nigdy by go nie odepchnęła.

Jednakże chociaż uniosła dłoń w niemej prośbie, by się powstrzymał, nim sprawy zajdą za daleko, nie mogła oderwać oczu od jego warg formułujących słowa, których nie słyszała, bo cała się skupiła na chłonięciu w siebie jak najwięcej z jego

osoby, by zachować ją w pamięci jako panaceum na długie dni, miesiące i lata, gdy stanie się to wszystkim, co będzie ją trzymało przy życiu.

- Liz, najdroższa... Nie odrzucaj naszej miłości... , Teraz usłyszała słowa, poczuła w nich pragnienie i udrękę, i poczuła, jak serce ściska jej nieznośny ból, a oczy napędniają się łzami, gdy podniósł ręce do jej ramion i ujął je tak lekko, tak delikatnie, że z łatwością mogłaby się wysliznąć, z łatwością uchylić przed zbliżeniem jego ust. Ale nie miała siły się poruszyć. Kiedy ją pocałował, była w tym tkliwość i szczęście człowieka adorującego świętość, którą długo uważał za nieosiągalną. Jej wargi poddawały się bezwolnie jego natarczywości, pocałunek stawał się głębszy. Jego ramiona oplatały ją tak, że czuła się cała spowita w miłość i czułość.

Najprostszą rzeczą byłoby teraz otworzyć tamę przepelniającemu ich uniesieniu, oddać się tutaj na łące, pod czystym, bezchmurnym niebem. Nie tylko najprostszą... Najszustniejszą, konieczną, zbawienną...

Ale chociaż jej buntownicze serce domagało się tej krótkiej chwili spełnienia i szczęścia, jej sumienie, jej całe wychowanie, jej głębokie poczucie lojalności zamykało już drzwi porywom. Wiedziała, że nie zdoła wyrzucić z serca miłości, to jest niemożliwe, ale nie może zdradzić Edwarda i Dawida, zadać kłamu całemu ich wspólnemu życiu, wszystkim tym miesiącom i latom starannego cementowania i pielęgnowania, które - sądziła - uczyniły z jej małżeństwa silną i trwałą budowlę, zdolną się oprzeć najgwałtowniejszym burzom. Nie, nie może tego uczynić.

Nawet dla tego cudownego, wyjątkowego mężczyzny, którego, wiedziała, będzie kochać, póki życia.

Odsunawszy się dotknęła jeszcze pieszczotliwie jego twarzy, z oczami pełnymi uczucia.

- Nie mogę, Lewisie - powiedziała cicho. - Nie mogę zdradzić Edwarda.

Patrzył na nią długo, trzymając ją ciągle w objęciach, tak że czuła zgodne bicie ich serc, jakby ich ciała były zespolone w jedno.

• Nie możesz? - zapytał z rozpaczą w głosie. - A możesz zdradzić naszą miłość? Uczynisz to, zostając z nim. Rzuć go, jedź ze mną do Australii.

• Nie mogę.

• Jeśli myślisz o swoim synu, o Dawidzie, to weźmiemy go ze sobą.

Potrząsnęła głową.

• Edward by mi nie pozwolił go zabrać, a nigdy go nie zostawię. Nie zostawię żadnego z nich, Lewisie. Potrzebują mnie.

• Ja też cię potrzebuję - powiedział. - Potrzebuję cię, Liz. Bóg jeden wie, jak bardzo cię potrzebuję.

Poczuła w oczach piekące łzy. Jak mu odmówić, skoro jest to ich wspólna potrzeba, ich wspólna miłość? A jednak musi.

Nie ma wyboru. Wybrała swoją drogę, wychodząc za Edwar-
da, i musi jej się trzymać.

- Muszę iść - powiedziała wstając. - Pasterz pewnie już
się dziwi, dlaczego mnie nie ma. Proszę cię, nie idź za mną,
Lewisie.

- Nie dam za wygraną - rzucił jej porywczo. - Nigdy,
nigdy nie dam za wygraną, Liz.

Idąc sama pod górę, nie ważyła się obejrzeć. Nie obejrzała
się nawet, kiedy usłyszała zapuszczany w dole silnik i wie-
działa, że odjechał.

Dopiero znalazłszy się na hali, zdała sobie sprawę, że
płacze.

- Dobrze się czujesz, Liz? - spytał ją Colin Hedley, dyre-
ktor fabryki.

Zmusiła się do uśmiechu.

Spędzili całe przedpołudnie na sprawdzaniu rachunków,
a po południu czekało ją widzenie z szefem zakupów jednego
z większych londyńskich domów towarowych. Przez ostatnie
trzy tygodnie nie przespała spokojnie ani jednej nocy. Od
owego dnia, gdy w drodze na halę spotkała Lewisa McLarena.

Lewis przebywał ciągle w miasteczku, nie widziała go jed-
nak więcej. Dzwonił parę razy do dworu, ale poleciła Chiver-
sowi odpowiadać, że nie życzy sobie z nim się widzieć. Nie
życzy sobie? Na wargach zaigrał jej błądy uśmiech. Gdybyż
to była prawda.

Mogła nie dopuścić do spotkania z nim, lecz przed oczami
miała bezustannie jego postać. Za dnia, gdy pracowała do
upadłego, żeby spać w nocy, i nocą, gdy niemal wzbraniała się
zasnąć w obawie przed intensywnością snów o nim.

' Schudła, pod oczami miała wielkie sińce, więc nic dziwne-
go, że Colin przygląda jej się ze zmarszczonym czołem.

• Nic mi nie jest, Colinie - skłamała. - Jestem może tro-
chę zmęczona.

• Jeśli chcesz, to porozmawiam zamiast ciebie z tym sze-
fem zakupów - zaproponował.

Już miała odmówić, gdy przypomniał jej się nagle ogród
i ogarnęło ją nieoczekiwane pragnienie ukojenia wzroku wi-
dokiem długich grządek różnokolorowych ziół. Oczy piekły
ją teraz ciągle od łez, z którymi się nieodmiennie budziła
z niespokojnego snu. Chciała poczuć w dłoniach chłodną wil-
goć ziemi, z kontaktu z nią zaczerpnąć wiary, że to, co robi,
ma sens. Godzina czy półtorej pracy w ogrodzie uspokoi jej
nerwy, a pastelowe barwy kwiatów ukoją ból oczu, tak że kto
wie, jeśli się wystarczająco zmęczy i nałyka dość świeżego
powietrza, może będzie wreszcie spała w nocy nie dręczona
snami o Lewisie.

Woolonga... Nie zdawała sobie sprawy, jak podstępnie jej
umysł wyławia z listów Vica wszystkie szczegóły opisów
rancza, tak że teraz stawały jej jak żywe przed oczami wy-

obraźni. Pałące australijskie słońce nie sprzyjałoby delikatnym pastelowym kwiatom jej ogrodu, przywykłym do ożywczych deszczów i łagodnych angielskich *lat, ale* z pewnością jakiś ogródek mogłaby tam mieć. Mogłaby...

Dosyć tego, powiedziała sobie gniewnie, obracając się do Colina, żeby mu podziękować i przyjąć jego propozycję. Oczekiwany szef zakupów nie pierwszy raz odwiedzał fabrykę i miał przyjechać głównie po to, żeby złożyć nowe zamówienie. Jego firma chwaliła sobie cotingdekańskie wełny. Liz odwiedziła incognito dział tekstylny domu towarowego i z satysfakcją stwierdziła, że ich materiały są korzystnie eksponowane i cieszą się dużym popytem.

Jak słusznie przewidywała, zapotrzebowanie na miękkie luksusowe wełny rosło i stonowane cotingdekańskie tweedy, mimo wysokiej ceny, szły lepiej niż bardziej agresywne, szorstkie produkty konkurentów.

Z ulgą wsiadła do auta i pojechała cienistą boczną drogą do domu.

Dwór drzemał w słońcu, stateczny pod ciężarem szacownego wieku. Jak zawsze, wracając tu, doznała uczucia głębokiego spokoju, trwałości, przynależności do magicznego łańcucha pokoleń.

Wrażenie pełni, jaką ją napawało to miejsce, było odmienne od pełni, jaką przeżyła w ramionach Lewisa. Ich pełnia rodziła się z bliskości dwojga ludzi, których natura stworzyła po to, żeby byli razem. Poczucie pełni, jaką jej niosło Cottingdean, wynikało ze świadomości, że jest wprawdzie mała, lecz nieodzowną częścią wielkiej mozaiki zwanej ludzkością.

Zaparkowała auto i okrążyła róg domu, tak by przejść przez ogród kuchenny z dwoma rzędami grządek ziołowych. Ścieżkę prowadzącą do ogrodu obrzeżała lawenda, której zapach towarzyszył jej, gdy szła w swojej tweedowej spódnicy z materiału tkanego w fabryce według wzoru zapożyczonego z „Vogue'u”, o tej samej delikatnej tonacji co kwiaty, tak że jej postać doskonale harmonizowała z tłem. Spódnica naśladowała najnowszą linię lansowaną przez Diora, bardzo wąską, z obfitym piłsą z tyłu. Liz uważała krój za zbyt wymyślny jak na jej potrzeby, ale przekonała ją do niego pastorkowa dowodząc, że jako właścicielka fabryki powinna demonstrować przyjezdnym klientom, jak dobrze noszą się jej wełny.

Pozwoliła się przekonać, jednakże nadal miała nieokreślone poczucie winy, spotęgowane ekstrawagancją zakupu w Bath pantofelków na wysokim obcasie, uzupełniających całość.

Zbliżając się do domu, zastanawiała się, czy Edward zjadł lunch. Apetyt nie dopisywał mu ostatnio, natomiast wzmagала się niepokojąco jego agresywność. Liz poczuła, jak żołądek ściska jej się strachem.

Umiała teraz rozpoznawać symptomy stanów psychicznych Edwarda, wiedziała, że po okresie niemal dziecinnych dąsów nastąpi nieuchronny wybuch, Ian oświadczył jej twardo, że nie może pod żadnym pozorem tolerować jego aktów

agresji, że jeśli będą się powtarzać, to ze względu na nią, jeśli już nie na niego samego, trzeba będzie poddać Edwarda przymusowej kuracji.

- To nie jego wina - tłumaczyła Liz. - On nie chce zrobić nic złego.

- Tak, potem żałuje - potwierdził Ian. - Ale pamiętaj, że jest bardzo silny, Liz, znacznie silniejszy od ciebie.

Wiedziała, że to prawda. Edward wyrobił sobie z konieczności wielką siłę w rękach i kiedy ją schwycił w ostatnim napadzie zazdrości, najadła się nielekiego strachu. Miała potem przez tydzień sińce na szyi.

Wiatr szeleścił jej krepdeszynową bluzką, kiedy się zbliżała z ociąganiem do domu. Pochyliła się, żeby obejrzeć płatki nowo rozkwitłej róży, i jej piersi przywarły miłośnie do materiału.

Edward obserwował ją zazdrosnym okiem z okna biblioteki. Wygląda tak młodo, tak ślicznie, wiatr otula jej kształty miękką materią. Jest taka ponętna... Zaklął pod nosem, czując, jak go zalewa znajomy żar bezsilnego pożądania. Skoro los pozbawił go męskości, odebrał mu cielesną zdolność okazywania jej miłości, to czemu nie wyzwolił go z psychicznej i emocjonalnej tortury nie zaspokojonej żądz?

Obserwował Liz w gorzkiej zadumie. Bolała go głowa. Dotknął żyły pulsującej na czole i poczuł, jak ból rozchodzi mu się po ciele. W nocy padało i mimo usilnych starań Liz, żeby utrzymać ciepło w jego pokoju, wilgoć dawała się dotkliwie we znaki jego wrażliwym zreumatyzowanym kościom.

Z przenikliwością zazdrosnego kochanka Edward wyczuwał, że coś zagraża jego małżeństwu, że Liz się zmieniła i w jakiś sposób mu się wymyka.

Kiedy tak obserwował, jak idzie wolno przez ogród, zatrzymując się i pochylając, żeby podziwiać kwiaty, rzucającą się w oczy miłość, z jaką je oglądała, z jaką ich dotykała, budziła w Edwardzie zazdrość. Niemal ich nienawidził, bo przecież poświęcany im czas, okazywana troska należą się prawowicie jemu. Nie cierpiał w ogóle godzin, które Liz spędzała poza domem, poza kontrolą jego zaborczych roszczeń, w jakichś miejscach, gdzie spotyka innych ludzi... innych mężczyzn...

Podniósłszy głowę znad kwiatów, Liz rzuciła okiem w stronę domu i zdrętwiała, widząc w oknie Edwarda. Z tej odległości nie mogła dostrzec wyrazu twarzy, ale z samego układu jego ciała zorientowała się, że jest zagniewany.

Ogarnęła ją na moment tchórzliwa pokusa, żeby się odwrócić od niego, nie wchodzić do domu, lecz ukryć się w ogrodzie, gdzie będzie ją musiał zostawić w spokoju. Skrzywiła się z niesmakiem na tę niegodną myśl. Przecież to nie jego wina. Nie wolno jej na moment zapominać, że Edward cierpi nieustanny ból.

Ani jak bardzo ją kocha. Kocha miłością, której ona wcale sobie nie życzy, podszeptął jej zdradziecki głos. Miłością, która ją dławi, grozi unicestwieniem. Odepchnęła tę myśl, nie

ulegając pokusie poddania się jej.

Pogoda jest ładna, więc spróbuje namówić Edwarda, żeby posiedział w ogrodzie. Ustawi jego wózek pod osłoną żywo-
płotu, a sama będzie peła w pobliżu.

Nawet przed sobą nie przyznawała, że wolałaby być w ogrodzie sama, że postanawiając zabrać na dwór Edwarda, w rzeczywistości zadaje sobie pokutę.

Wszedłszy do domu, nie przystanęła, żeby porozkoszować się chwilę grą promieni słonecznych na soczystych powierzchniach odrestaurowanych boazerii czy przeciągnąć miłośnicie palcami po bogatej ornamentacji adamaszkowych zasłon, które to drobne przyjemności wносиły normalnie odrobinę prostego szczęścia w jej dni.

Niekiedy, przechodząc przez dom, zatrzymywała się na długie minuty, żeby podziwiać skomplikowany wzór na perskim dywanie, który przywiozła z aukcji w jakiejś wiejskiej rezydencji, a następnie poddała długotrwałym, czułym zabiegom czyszczenia i reperacji, aż powrócił do dawnego blasku. Dwór zapełniał się po trochu pięknymi przedmiotami, kupowanymi nie dlatego, że umiała wyszukiwać okazje, i nawet nie dlatego, że Cottingdean był wielkim domem, do którego zapełnienia potrzeba było wielu sprzętów, lecz po prostu dlatego że jakaś rzecz, malowidło czy tkanina, wpadła jej w oko, tak że nie mogła się oprzeć jej pięknu.

Gdyby ktoś jej powiedział, że ma instynkt urodzonej kolekcjonerki i że jej nabytki będą pewnego dnia przedstawiały wielokrotną wartość tego, co za nie zapłaciła, nie zrobiłoby to ba niej wrażenia. Kupowała je dlatego że się w nich zakochała, i tak je też ceniła, jak serdecznych przyjaciół, podobnie jak ceniła i kochała kwiaty w ogrodzie, owce na hali i oczywiście ludzi, którzy się znaleźli pod jej opiekuńczymi skrzydłami. Zatrzymała się na chwilę, nim otworzyła drzwi biblioteki. Edward, który był się tymczasem ulokował za biurkiem, nie podniósł głowy, kiedy weszła. Serce Liz zamarło, lecz ignorując oczywiste symptomy jego ponurego nastroju, przemówiła wesoło, zachęcając go do wyjścia na dwór.

Umieściwszy go w ciepłym miejscu, osłoniętym przed wiatrem, poszła się przebrać. Biorąc prysznic na górze, klęła pod nosem, bo z kranu nie chciała płynąć gorąca woda. Któregoś dnia trzeba będzie wymienić w Cottingdean przestarzałą instalację wodną. Zaciśnęła powieki, nie chcąc nawet myśleć, ile to będzie kosztowało i skąd na to wziąć pieniądze.

No, chyba że fabryka się rozwinie.

Narzućwszy szybko starą spódnicę i bluzkę, zbiegła na dół. Wzięła łubiankę z narzędziami ogrodniczymi i wyszła na dwór.

Edward siedział, gdzie go zostawiła. Zdawał jej się nie zauważać, gdy przestawiała jego wózek tak, by się znalazł w pełnym słońcu. Pracując później przy grządce, wrywając ostrożnie chwasty, które zabierały jej roślinom życiodajne soki, czuła przez cały czas jego mroczną obecność, jego zadróż i gniew. Żałowała teraz, że go wzięła na dwór i nie

może się swobodnie napawać spokojem ogrodu, wolna od napięcia, jakie stwarza jego ponury nastrój.

- Więc ten Australijczyk ciągle tu jest?

Liz zeszywniała. Rada była, że jest odwrócona plecami i Edward nie widzi zdradzieckiej fali gorąca, która jej uderzyła do twarzy.

- Tak - potwierdziła, starając się nadać głosowi możliwie neutralne brzmienie.

- Przychodził cię tu szukać - poinformował Edward.

Liz wstrzymała dech. Wiedziała, że Lewis przychodził dwukrotnie do dworu, ale za każdym razem kazała Chiversowi powiedzieć, że nie może się z nim widzieć. Mimo to jakaś nutka w głosie Edwarda sprawiła, że po krzyżu przebiegł jej dreszcz mrocznego przeczucia. A może to nieczyste sumienie czyni ją tak wyczuloną na wrogość Edwarda?

Szczęściem, oświadczyła Lewisowi, że nie ma dla nich przyszłości, pomyślała ze zmęczeniem. Nie jest stworzona do oszukiwania, do życia w kłamstwie. „Więc zostaw Edwarda” - powiedział jej. Zostawić go? Jakby to mogła zrobić? Jakby mogła zostawić kogoś tak bezradnego, tak zdanego na nią, co więcej, człowieka, który nie uczynił jej nic złego?

I co by się stało z Dawidem? Z Dawidem, który kocha Edwarda równie mocno, jak Edward jego? Jakżeby mogła podważyć jego bezpieczeństwo, zburzyć jego dom?

- Chce cię mieć - powiedział Edward oskarżycielsko za jej piętami, tak że się do niego gwałtownie obróciła.

- Nie, nie, to nieprawda - zaprzeczyła.

- Chce cię mieć - nie ustępował Edward, ignorując jej protest. - I ty chcesz być jego. Właściwie dlaczego miałabyś nie chcieć? Jest zdrowym mężczyzną, może ci dać to, czego ja nie mogę. Ale jesteś moją żoną, Liz...

Świadomość winy, współczucie i wrodzona wrażliwość na cudze cierpienie, fizyczne czy psychiczne, popchnęły Liz znad grządkki ku wózkowi Edwarda. Ujęła go uspokajającym gestem za ramię.

-... i ja cię nie oddam-ciągnął Edward. - Ani jemu, ani nikomu innemu.

Na jego czole złowroźnie pulsowała nabrzmiąta żyła, utwierdzając Liz w rozpaczliwej świadomości, że Edward jest bliski nowego niepoczytalnego wybuchu. Próbowała go uspokajać, łagodzić jego gniew, ale nie słuchając zaczęła ją obrzucać takimi absurdalnymi, szalonymi oskarżeniami o wyimaginowane romanse, wyzywając ją przy tym takimi rynsztokowymi wyrazami, że na chwilę oniemiała z osłupienia i wstydu.

Wkrótce otrząsnęła się jednak z upokorzenia, że jej mąż ma takie wyobrażenie o niej, że może żywić o niej takie szokująco nieprawdziwe myśli, i chciała go dalej uspokajać, ale było już za późno. Kiedy delikatnie położyła mu dłonie na ramionach, próbując go mitygować, Edward złapał ją za szyję z taką siłą, że nie mogła marzyć o wyrwaniu się.

- Prędzej cię zabiję, niż oddam jemu, Liz. Och, wiem, powieszą mnie za to, nie łudzę się, ale mało mnie to wzrusza.

Co mi pozostało z życia? Mogę tylko gnić w więzieniu własnego ciała. Nigdy nie będę mężczyzną, jakiego byś mogła kochać i pożądać. Mężczyzną jak ci, których bierzesz do łóżka zamiast mnie. Co to za mężczyźni, Liz? Wymień mi paru, u diabła...

Potrząsał nią, ściskając jej przy tym palcami tchawicę, tak że gdyby nawet chciała, nie mogłaby wykrztusić słowa. Oczy zasnuwała jej czerwona mgła, ciemniejący świat wydawał się zalany krwią.

Z oddali dochodził ją głos Edwarda, nienawistny, głośny. Płuca miała jak sparaliżowane, nie mogła oddychać. Czowała nieznośny ból, czuła, jak traci przytomność, chociaż trzymała jej się ze wszelkich sił.

Umiera, uświadomiła sobie przełomie. Ale jakoś nie przerażała jej ta myśl, bo wraz ze śmiercią ustąpi ten przeraźliwy ból, ustanie niemożność złapania tchu.

I nagle, akurat gdy czerń nocy zaczynała zajmować miejsce czerwonej mgły, usłyszała głos Lewisa, wołający jej imię i odgłos stóp biegnących po żwirowanej ścieżce, i zaraz, niewiarygodnym cudem, jakaś siła oderwała od jej gardła palce Edwarda. Osunęła się na ścieżkę, wciągając powietrze w udreżone płuca, podczas gdy Lewis wołał nad nią nagłym głosem:

- Chivers, sprowadź doktora! Ruszaj się, człowieku! Powinienem pana za to zamordować - rzucił z furią do Edwarda.

Spróbowała się podnieść, odezwać, chciała powiedzieć, że to nie wina Edwarda, że on za siebie nie odpowiada, ale nie mogła wydobyć głosu.

Usłyszała czyjś szloch i myślała, że to ona płacze, nim zrozumiała, że to Edward zanosi się bezsilnym szlochem dziecka, i jak zawsze jej strach ustąpił miejsca litości i poczuciu bezradności. Biedny Edward, to nie jego wina.

Zamknęła oczy. Była taka zmęczona. Taka zmęczona, że mogła tylko leżeć na tej ścieżce.

Leżała wciąż półprzytomna, gdy nadbiegł z powrotem zdyszany Chivers.

- Doktor już jedzie - poinformował. - Może powinienem zabrać pana majora do domu? - dodał zdławionym głosem, nie patrząc na zastygłą twarz Lewisa.

- Tak, zabierz go do domu - rzucił sucho McLaren.

Ani szloch Edwarda, ani fakt, że się teraz kuli w swoim wózku jak wychłostane dziecko, ani świadomość, że ten opętaniec nie odpowiada za to, co zrobił, nic z tego nie było w stanie ułagodzić gniewu Lewisa. Nie miał wątpliwości, że gdyby nie nadszedł właśnie w tym momencie, gdyby nie postanowił zlekceważyć zapewnień Liz, że go nie chce widzieć, Edward by ją udusił. A i tak...

Opadł koło niej na ścieżkę, wziął ją delikatnie w ramiona i ją tulił, szepcząc raz po raz czule jej imię i pieszcząc wargami sine miejsca, ukazujące się już na jej szyi.

Dobry Boże, teraz będzie musiała zostawić Edwarda. Ten człowiek jest niepoczytalny, trzeba go zamknąć. Żeby ją tak dusić!

- Kiedy nadjechał Ian Holmes, Chivers wyjaśnił mu z poszarzałą twarzą, co się wydarzyło.

- Gdyby akurat nie nadszedł pan McLaren, nie wiem, jakby się to skończyło. Prowadziłem go do ogrodu i obaj zobaczyliśmy...

Wstrząsnął się, a Ian poklepał go po ramieniu.

- Jak się ma pan major? - zapytał. Chivers posłał mu niepewne spojrzenie.

- Jak zwykle po takim ataku, panie doktorze. Dałem mu dwie z tych specjalnych tabletek uspokajających i położyłem go do łóżka. Będzie spał jak niemowlę co najmniej przez dwanaście godzin. Zawsze tak śpi po... po czymś takim...

- Tak. A gdzie pani?

- Jeszcze w ogrodzie. Jest nieprzytomna, zemdląca...

Umilkł, bo Ian go minął, niemal biegnąc w głąb ogrodu.

Dobrze, jeśli to prawda i tylko zemdląca, myślał ze strachem. Sądząc po relacji Chiversa o tym, jak Edward ją dusił, łaska boska, że w ogóle żyje.

Kiedy Liz otworzyła oczy, znajdowała się w ramionach Lewisa. Patrzył na nią z góry, a dojrawszy go przez mgłę, Liz pomyślała, że tak musi się czuć człowiek w niebie. Była w bezpiecznej przystani, której nie chciałaby nigdy opuścić, lecz w miarę powracającej świadomości zaczęła sobie zdawać sprawę, że bez względu na to, jak bardzo by pragnęła pozostać na zawsze w kojącym ciepłe tych ramion, jest to niemożliwe. Słyszając na ścieżce kroki, wyswobodziła się z objęć Lewisa.

- Liz, kochana, dobrze się czujesz?

Nim Ian przyklęknął koło niej, Lewis odpowiedział za nią z furją:

- Jakże się może dobrze czuć? Ten... ten opętaniec o mało jej nie udusił!

- Nic mi nie jest, Ianie - odparła zdławionym głosem Liz, uśmiechając się blade.

- Nie może jej nic nie być - zaprzeczył stanowczo Lewis.

- Popatrz tylko, człowieku, co on jej zrobił. Jeszcze minuta...

- To był wypadek - zaprotestowała Liz. - Edward nie chciał...

Posłała łanowi błagalne spojrzenie, lecz ten pokręcił głową.

- Niestety, Liz. Wiem, że chcesz go chronić, lecz dla jego własnego dobra musimy go umieścić w szpitalu. Te jego napady... - Pokręcił jeszcze raz głową. - Gdyby pan McLaren szczęśliwie nie nadszedł.

- ... to on by ją zabił - dokończył za niego Lewis.

- Nie, nie, to nieprawda - zaprotestowała Liz.

- Przykro mi, Liz, ale musisz wreszcie zrozumieć, że nie możemy ci pozwolić na dalsze ryzykowanie. Znam niechęć Edwarda do mocniejszych środków, ale będę obstawał przy tym, żeby przynajmniej przeprowadzić próbę, czy mu pomo-

gą. A najlepszym miejscem po temu jest szpital. Nic się nie martw. Będziesz go mogła odwiedzać, jak często zechcesz.

- Ale on się będzie tak strasznie bał - zaprotestowała Liz.
- Jest dorosłym mężczyzną, nie dzieckiem, moja droga

- odparł spokojnie Ian. - Przy tym pomyśl. Dotychczas jego gniew skupia się na tobie, ale co, jak się obróci przeciwko komuś innemu? Przeciwno Chiversowi albo przeciwko Dawidowi? Albo nawet przeciwko komuś obcemu? Ty może masz prawo ryzykować własne życie, ale co, gdyby Edward zrobił krzywdę komuś innemu, może go nawet zamordował, jakbyś się wówczas czuła?

Wzdrgał się przed mówieniem Liz tak okrutnej prawdy, ale nie miał wyjścia. Po wyrazie jej twarzy zorientował się, że jego słowa zrobiły na niej wrażenie.

- Powinieneś być nie przy mnie, tylko przy Edwardzie - powiedziała drżącym głosem. - On cię bardziej potrzebuje.
- Chivers bardzo rozsądnie zaaplikował mu silny środek nasenny. Teraz musimy cię zabrać na górę, żebym cię mógł dokładnie zbadać. Gdyby pan McLaren zechciał cię zanieść... ?
- Nie!

Ian drgnął w obliczu gwałtowności, z jaką wypowiedziała to słowo.

- Nic mi nie jest, mogę pójść sama - oznajmiła im obu.

Istotnie, poszła sama, ale z wielkim trudem, a wchodząc po schodach, musiała się raz po raz wspierać na ramieniu Australijczyka. Kiedy się znaleźli w jej pokoju, Ian taktownie, lecz stanowczo wyprosił Lewisa, nim przystąpił do badania. Przysiadł potem na jej łóżku i oznajmił cicho:

- Masz bardzo, bardzo wiele szczęścia, że żyjesz. A Edward ma bardzo, bardzo wiele szczęścia, że pojedzie za chwilę do szpitala, a nie do aresztu.

- Szczęście? Jakoś nie czuję tego szczęścia, z gardłem tak bolącym, że ledwo mogę mówić - odrzekła Liz, siłąc się na lekki ton i próbując zbagatelizować to, co zaszło.

- Tak, gardło będzie cię bolało przez jakiś czas - potwierdził Ian. - Chyba rozumiesz teraz, moja droga, że musimy umieścić Edwarda w szpitalu? Jako jego lekarz zamierzam to niezwłocznie uczynić. Jeśli mi pozwolisz zadzwonić stąd...

- Co takiego będzie miał w szpitalu, czego nie może mieć tutaj? - sprzeciwiła się Liz.

- O, wiele rzeczy. Przede wszystkim w warunkach szpitalnych będziemy mogli przebadać znacznie dokładniej jego reakcję na leki. To naprawdę niezbędne, Liz, i obawiam się, że tym razem będziesz się musiała zdać na mój sąd. Zrozumię, że jeśli tego teraz nie zrobię, a kiedyś w przyszłości Edward

522

rzuci się ponownie na ciebie czy na kogoś innego, ja będę na dobrą sprawę odpowiedzialny. Nie chcę cię mieć na sumieniu, moja droga. No, a teraz powinnaś odpocząć. Ja zejdę na dół

zadzwoń do szpitala, żeby przygotowali dla Edwarda łóżko. Pojadę z nim i dopilnuję wszystkiego. Obiecuję ci, że będę przy nim, kiedy się przebudzi, i wszystko mu wyjaśnię. Widząc, że Liz chce nadal protestować, potrząsnęła głową.

- Nie, Liz, musisz teraz oszczędzać gardło, a ja i tak wiem, co byś powiedziała. Że chcesz tam być, kiedy się przebudzi. Ale nie, Edward będzie się musiał tym razem obejść bez ciebie. Zresztą uprzedzam cię: kiedy się rano przebudzisz, będziesz miała gardło tak sztywne i obolałe, że mi podziękujesz, że każę ci pozostać w łóżku. Prawdę mówiąc, mam zamiar zapowiedzieć Chiversowi, żeby cię zamknął na klucz, gdybyś się chciała ruszyć z pokoju - ostrzegł z uśmiechem, kierując się ku drzwiom.

Na dole zastał Lewisa, spacerującego po bibliotece.

• I co? - zaatakował go Lewis, gdy tylko Ian wszedł. - Jak Liz?

• Gardło ma bardzo obolałe i jest, oczywiście, w stanie szoku. Ale wydaje się, że nie ma żadnych nieodwracalnych obrażeń.

• Nie ma nieodwracalnych obrażeń... - Lewis odwrócił się gwałtownie i wpatrzył nie widzącymi oczyma w okno. - Wie pan, co on chciał zrobić? - spytał załamującym się głosem. - Chciał ją uduśić.

• Tak, tak, wiem - potwierdził spokojnie Ian.

Zapadła cisza. Lewis nie miał sił się obrócić i spojrzeć na doktora, w obawie, że ten wyczyta z jego oczu prawdę. Ze względu na Liz nie mógł zdradzić swoich uczuć, jakkolwiek bardzo pragnąłby stanąć na najwyższej górze i wyrzyczeć stamtąd całemu światu swoją miłość do niej.

- Więc czemu, u Boga Ojca, ona chce z nim być? C z e - m u?

Nie mógł powstrzymać tych słów i nie mógł zdusić bólu w głosie, Ian przyglądał mu się przez chwilę, po czym zapytał spokojnie:

- Jak dużo pan o nich wie? O Liz i jej małżeństwie z Edwardem?

Dostrzegł, jak plecy Lewisa sztywnieją.

• Pod wieloma względami zgadzam się z panem. Ale ja znam Liz i wiem, że nigdy nie zostawi Edwarda.

• Ale dlaczego? Dlaczego?

- Bo on jej potrzebuje - odrzekł łagodnie Ian.

- Potrzebuje? Nie wydaje mi się po tym, czego dzisiaj byłem świadkiem. On ją chciał zamordować.

- Tak, wiem. Usiądźmy, to spróbuję panu wyjaśnić.

Lewis przystał z ociąganiem. Nie otrząsnął się do tej chwili z szoku, jakiego doznał na widok Edwarda, duszącego Liz Z obłąkańczą nienawiścią w oczach.

- Edward kocha Liz i jest o nią chorobliwie zazdrosny. Zazdrosny o każdego mężczyznę, z którym Liz się styka - dodał ostrzegawczo. - Cierpi na obsesyjny strach, że ją utraci, strach potęgowany przez frustrację pożądania, którego nie może zaspokoić. Żyje w ustawicznej obawie, że odbierze mu ją mężczyzna, który będzie jej kochankiem i mężem na wszy-

stkie sposoby, na jakie on nie może.

Lewis podniósł wolno wzrok na Iana, a cała krew odpłynęła mu z policzków.

- Przecież oni mają dziecko... syna...

Doktor wzdygnął się na widok bólu na jego twarzy. Powiedział może za wiele, ale za późno było się cofać.

- Liz ma syna - skorygował. - Nie powinienem panu tego mówić, sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może dlatego że bardzo lubię Liz i chciałbym...

Urwał z westchnieniem. Sam nie bardzo wiedział, czego by chciał dla Liz. Żeby znalazła spełnienie jako kobieta? Żeby się wyzwoliła z przekonania, że brak odzewu na pieszczoty Kita Danversa wynikał z jej upośledzenia, podczas gdy wina leżała z pewnością po jego stronie? Co on właściwie chce osiągnąć? Popchnąć Liz w ramiona tego mężczyzny, który jest w niej tak widocznie zakochany?

- Nie moją rzeczą jest mówić panu więcej - podjął wolno. - Zadzwoń teraz do szpitala, żeby przysłali po Edwarda karetkę. Chcę go wziąć na obserwację, wypróbować działanie pewnych nowych leków, które, mam nadzieję, pomogą opanować te jego wyniszczające depresje. Jemu też nie jest łatwo, musi pan to zrozumieć - oświadczył Lewisowi. - On kocha Liz.

- Chciał ją udusić - powtórzył Lewis zmęczonym głosem, jakby trudno było mu uwierzyć w to, co widział. - Byłby ją zamordował.

- Ale szczęśliwie tego nie zrobił - zareplikował Ian. - Poleciłem Chiversowi przygotować Liz herbatę i wyspać do niej proszku nasennego. O ile ją znam, nie weźmie żadnego lekarstwa, które jej przepiszę, a potrzebny jest jej teraz sen. Jej organizm musi się zregenerować.

Kiedy Ian przystąpił do telefonowania, Lewis wyszedł do ogrodu. Nogi poniosły go same ku żwirowej ścieżce między podwójną linią grządek. Zatrzymał się u jej wylotu i spojrzął przed siebie, z gardłem ściśniętym na wspomnienie, jak tu stanął i zobaczył w perspektywie alejki Liz, jego Liz, duszoną przez tego obłąkanego męża...

Wstrząsał nim dreszcz, czuł się chory z gniewu i miłości. Żwir był poruszony na ścieżce, w miejscu, gdzie upadła. Gdyby nadszedł kilka sekund później... Czy to los się tak na niego uwziął? Najpierw Elaine i Alistair, teraz Liz. Czym sobie zasłużył na takie piekło?

Elaine poślubił w najlepszej wierze, przekonany, że ona sobie tego życzy, że będą ze sobą szczęśliwi. Miał szczerą wolę, żeby być jej dobrym i wiernym mężem, a dzieciom z tego związku dobrym ojcem, mimo że jej nie kochał, a przy-

najmniej nie kochał jako kobiety. Czy istniały jakieś symptomy, które przeoczył, znaki ostrzegawcze, które może by do-

jrzał, gdyby nie był tak pochłonięty ranczem? Czy czyniła

jakieś nieme wołania o pomoc, które ignorował? Ileż to

- dokończył mściwie - że powinien się znaleźć w więzieniu.
Urwał, widząc bolesne drgnięcie jej ciała pod przykryciem.
- Mój Boże, Liz, przecież on mógł cię zabić - powiedział porywczco. - Byłby cię...
- Nie - zaprzeczyła natychmiast. - On tego nie chciał.
- Czyżby? - przerwał jej Lewis. - Kiedy nadszedłem...

- Zawahał się, po czym zapytał z pasją: - Dlaczego ty od niego nie odejdziesz, Liz? To nie mąż dla ciebie. Dlaczego w ogóle za niego wyszłaś? Tylko mi nie mów, że go kochasz. Widziałem twoją twarz, kiedy się przebudziłaś i myślałaś, że to on przy tobie siedzi.

Liz się wzdrgnęła. Gardło bolało ją tak, że ledwo mogła mówić. Czowała, że jest spuchnięte, wewnątrz zdawało się żywą raną. Nigdy w życiu nie była tak słaba. Pod powiekami paliły ją powściągane łzy. Niczego nie pragnęła bardziej, jak wyciągnąć ręce i powiedzieć temu mężczyźnie, który na nią patrzy takim gniewnym i złaknionym wzrokiem, że go kocha ponad wszystko, błagać, żeby ją wziął w ramiona i tak trzymał, żeby jej bronił nie tylko przed Edwardem, lecz także przed wszystkimi jej własnymi strachami.

Lecz gdyby to uczyniła... Wzdrgnęła się, świadoma brzemienia winy, które by musieli oboje dźwigać, gdyby uległa własnej słabości

Edward ma do niej słuszną pretensję, ma powód, żeby ją potępiać. To jej wina, że się na nią rzucił. Jej wina, bo nie chciała widzieć, nie chciała wiedzieć, jak bardzo ją kocha. Dopiero poniewczasie pojęła, jak niebezpieczna może się stać ta miłość pozbawiona naturalnego ujścia, jak się obróci przeciwko nim i zatruje ich małżeństwo.

- Przepraszam - powiedział chrapliwie Lewis. - Nie mam prawa. Zachowałem się równie karygodnie jak Edward. Gorzej...

- Nie - zaprzeczyła Liz zmęczonym głosem. - Nie powinienam była za niego wychodzić. Ale widzisz...

Ogarnęła ją nagła potrzeba mówienia, zrzucenia przed nim ciężaru z serca, wyjaśnienia, dlaczego tak postąpiła. Zaczęła opowiadać, szybko, skrótowo, nie zatrzymując się na uczuciowej jałowości swego życia z ciotką Vi ani na świadomym okrucieństwie, z jakim ją potraktował Kit.

- Łatwo teraz wynajdywać sobie usprawiedliwienia, ale gdybym wówczas wiedziała, co naprawdę czuje Edward...

- Skądże mogłaś wiedzieć? - przerwał jej czule Lewis.

- Byłaś dzieckiem.

Liz posłała mu melancholijny uśmiech.

- Już nie. Miałam siedemnaście lat, byłam dostatecznie dorosła...

- Byłaś dzieckiem - powtórzył z uporem Lewis.

Starał się powściągnąć gniew. Zarówno na Edwarda, jak na jego stryjecznego brata.

- A jeśli chodzi o tego Kita, ojca Dawida... Tęsknisz za

nim ciągle, tak?

Jak zakochani od niepamiętnych czasów, nie mógł powstrzymać nutki zazdrości w głosie, lecz uspokoił go zaraz lekki dreszcz, jaki przeszedł po jej nieruchomym ciele, i spojrzenie jej oczu, pełne bóleści i odrazy

- Nie - odparła szczerze Liz. - I nie interesują mnie od tej pory żadni mężczyźni. Wystarczy mi małżeństwo z Edwardem.

„Kłameczucha” - zaszydził z niej głos wewnętrzny. Może kiedyś jej wystarczało, ale nie teraz. Wstrząsnęła się pod kocami. Nie wystarcza jej, odkąd...

- Wystarczy ci? - Lewis posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Czy aby na pewno? Chcesz się zadowalać małżeństwem z człowiekiem, który o mało cię nie zamordował, z człowiekiem... ?

Nie chciała pamiętać ataku Edwarda. Poruszyła się gwałtownie i zasłoniła twarz dłońmi, wstrząśnięta przypomnieniem straszliwej bezradności i paniki, kiedy sobie zdała sprawę, że się nie uwolni z jego uścisku.

- O Boże, Liz! Nie płacz, kochana! Błagam cię, nie płacz!

Nie widziała, jak się zbliża, niepomna niczego prócz przypomnianego szoku i przerażenia, dopóki nie poczuła, że łóżko się ugina pod ciężarem Lewisa, i nie pojęła, że się nad nią pochyla i bierze w ramiona, kołysze ją i tuli, i szepce jej te wszystkie słodkie słowa miłości, do których tak bardzo tęskniło jej samotne serce.

Całował jej twarz i głaskał włosy, a ona przez cały czas powtarzała sobie gorączkowo, że musi mu kazać przestać, że nie może tego dłużej tolerować. Lecz w jego dotknięciach i uściskach było tyle słodyczy, tyle ciepła, tyle miłości, że jej wygłodzone zmysły nie chciały słuchać nakazów rozumu.

Zamiast kazać mu odejść, zamiast go napomnieć, że stwarza jedynie sytuację, która jej w rezultacie przysporzy cierpienia, sama nie wiedząc kiedy, zaczęła mu znowu opowiadać o swoim małżeństwie, o niefortunnym romansie z Kitem, o Dawidzie, a w końcu nawet, z wahaniem, samooskarżycielsko, zwierzyła mu się ze swojej oziębłości płciowej.

- Jeśli to mówisz, żeby mnie zniechęcić, to niepotrzebnie się wysilasz, Liz - powiedział jej poważnie Lewis. - Pragnę ciebie, ukochana, ciebie jednej.

Odgarnął jej włosy z czoła, zajrzał głęboko w oczy.

- Rzuć go, Liz - poprosił zdławionym szeptem. - Zostaw go, pozwól mi się zaopiekować tobą...

Przez krótką, szaloną chwilę była bliska ulegnięcia pokusie. Ma przecież prawo do tego drogocennego, nieprzeczuwalnego szczęścia, mówiła sobie. Kochają się z Lewisem, ich miłość powinna żyć i rozkwitać, warta jest poświęcenia wszystkiego. Lecz zaraz powrócił jej rozsądek, świadomość, jak niemożliwe jest to, o czym myśli.

• Nie mogę - powiedziała. - Musisz mnie zrozumieć...

• Rozumiem tylko, że cię kocham - przerwał jej gwałtownie. - I że ty mnie kochasz. Nie zaprzeczaj. Widzę to w twoich oczach, czuję w biciu twego serca, kiedy cię tulę. Zostaliśmy dla siebie stworzeni, Liz. Grzechem będzie, jeśli nie będziemy

razem, grzechem, jeśli zostaniesz z Edwardem, którego nie kochasz: To będzie grzechem, nie to, że go rzucisz, żeby być ze mną.

Zamknęła oczy, serce i ciało wypełniał jej nieznośny ból.

Pragnęła mu ulec, pragnęła powiedzieć: tak, rzucić wszystko i po prostu z nim odejść. Może gdyby była siedemnastoletnią dziewczyną, zdobyłaby się na to, ale nie jest już tamtą siedemnastoletnią dziewczyną. Jest kobietą, kobietą starszą o całe dziesięciolecie i o dziesięciolecie mądrzejszą.

Patrząc na niego, czuła, jak ból narasta jej w piersi. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że będzie go kochała po kres swoich dni. Dotknęła delikatnie jego pochylonej twarzy, łykając łzy i zastanawiając się z goryczą, dlaczego okrutny los postawił na jej drodze tego mężczyznę, skoro nie ma dla niego miejsca w jej życiu.

- Nie mogę opuścić Edwarda - powtórzyła.

Popatrzył na nią, gotów jej zaprzeczyć, przypomnieć, że, ten drogocenny mąż o mało jej nie udusił. Lecz widząc sińce na jej szyi, a ból i rozpacz w oczach, skarcił się w myśli za samolubstwo.

- Czego ci w tej chwili potrzeba, to spokoju - powiedział łagodnie. - Doktor zapisał ci środek nasenny.

Potrząsnęła natychmiast głową.

- Jeśli czegoś teraz naprawdę chcę, to ciepłego mleka - powiedziała przez ściśnięte gardło.

Wiedziała, że powinna go poprosić, żeby sobie poszedł, kazać mu odejść, w razie gdyby nie usłuchał. W końcu nie ma potrzeby, żeby tu zostawał. Jest przecież Chivers, a jutro będzie się czuła zupełnie normalnie, będzie w pełni zdolna kierować znowu swoim życiem. Będzie miała sprawy do załatwienia, będzie musiała porozmawiać z lanem, zaaranżować wizytę w szpitalu u Edwarda...

Edward... Czuła, że jej umysł wzdraga się na samo przypomnienie męża, ciało kurczy ze strachu i rozpaczony na samą myśl o znalezieniu się w pobliżu niego. Ale cóż może poradzić? Jak może go zostawić, skoro jest mu tak potrzebna? I nie chodzi o to, co inni pomyślą. Chodzi o to, co ona sama będzie myśleć o sobie, jeśli go teraz porzuci, odwróci się do niego plecami...

- Zejdę do kuchni po to mleko - powiedział cicho Lewis.

- Ale ty się nie waż ruszyć z łóżka. To nie jest mój zakaz, tylko twojego doktora.

Kiedy wstał, obróciła głowę, ukazując świeże ciemne, spuchnięte sińce na szyi, i Lewisa ogarnął taki ból, taka wściekłość, że gdyby Edward był z nim teraz w pokoju, to nie bacząc na jego kalectwo, pewno sam by go powoli udusił. Jakże on mógł jej coś takiego zrobić, wyrządzić jej taką krzywdę... ?

Nie zastanawiając się, wyciągnął rękę i przesunął delikatnie koniuszkami palców po ciemnych sińcach, a kiedy zamknęła oczy i poczuł przechodzący ją dreszcz, pochylił głowę i jął z nieskończoną tkliwością całować po kolei ślad każdego

duszącego palca. Czując, że drży teraz cała, podniósł się i przyglądał jej przez chwilę.

- Pójdę zagrzać mleko - powiedział cicho.

Kiedy wyszedł, Liz powiedziała sobie, że jak tylko wróci, każe mu odejść. Lecz jej palce zabłądziły na szyję, w miejsca, które całował, i ciało zalała jej fala doznań, w których utonęła wszelka logika i zdrowy rozsądek.

Ma tyle rzeczy do zrobienia, nie powinna tak leżeć, musi wstać, ale jest taka wyczerpana i osłabiona, opuściły ją wszystkie siły. Zamknęła oczy, obiecując sobie, że odpocznie chwilę, a jak wypije mleko, przeprosi Lewisa i wstanie. Jednakże kiedy wrócił z ciepłym mlekiem, spała jak zabita.

Mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę, po czym odstawił tacę. Musi istnieć sposób przekonania jej, że nie jest nic winna Edwardowi. Musi, i on, Lewis, znaleźć ten sposób. Wróci do Australii z nią i Dawidem, nic mu w tym nie przeszkodzi. Nic.

Liz miała sen. Znajdowała się w ogrodzie, świeciło słońce, rozkoszowała się miłym ciepłem. Nagle słońce zaczął przesłaniać czarny cień, zrobiło się ciemno. Spojrzała w górę i miejsce błogości zajął strach, bo zobaczyła, że ten cień rzuca jej mąż, Edward, zbliżający się ku niej z taką nienawiścią w oczach, że wykrzyknęła na głos, żeby się nie zbliżał. Ale on się nie zatrzymał, wyciągał ku niej ręce, a ona nie mogła się ruszyć z miejsca, chociaż wiedziała, że jak jej dotknie, zrobi jej straszną krzywdę, może ją zabije. Czuła już prawie dotyk jego silnych palców, ich ucisk na szyi, czuła...

Lewis zasnął w fotelu. Obudził go jej pierwszy cichy jęk, tak że ruszył półprzytomnie w stronę łóżka, nim wydała okrzyk przerażenia. Lewis stłumił jej ostry, paniczny krzyk, podnosząc ją z pościeli i przyciskając do piersi. Zaczął ją kołysać i uspokajać. Jedną ręką trzymał ją wpół, drugą tulił jej głowę do ramienia, przebiegając palcami w jej włosach. Równocześnie szeptał w ucho ciche, kojące słowa. Ulga, że był to tylko koszmar i Edward nie dusi jej naprawdę, zabiła w Liz instynktowną ostrożność, która może kazałaby jej pomyśleć o przyszłości, nie tylko o chwili obecnej. Drżąc w ramionach Lewisa, czerpiąc otuchę z tkliwych pocałunków jego warg, błędzących najpierw po skroni, potem po policzku, obróciła ku niemu twarz.

- Liz...

Wzruszenie wibrujące w jego głosie przeniknęło jej ciało na wskroś. Nie powinna tego robić... Nie powinna mu pozwolić... Ale już było za późno, już ją całował, pieścił jej usta wargami tak, że jej wargi rozchyliły się bezwiednie.

Przez długi czas tylko ją całował, lecz były to pocałunki, jakich nie znała, o jakich istnieniu nie miała pojęcia, zamykał się w nich wszechświat niewyobrażalnej intymności. Jej ciało toniło pod nimi, zmysły rozplywały się w bezrozumnym szczęściu, poddawała się ich pieścizocie niewinnie i bezwolnie, jakby był jej pierwszym kochankiem. I na dobrą sprawę był nim.

W jego dotknięciach nie było żadnego pośpiechu, żadnej niecierpliwości, żadnego ponaglenia. Zaczął ją rozbierać delikatnie i czule, obsypując pocałunkami szyję, każde nabrzmia-

łe miejsce, przesuwając się w dół, gdzie u nasady gorączkowo pulsowało tętno. W pokoju panował półmrok, jej ciało spowijały cienie, tak że musiał je poznawać bardziej dotykiem niż wzrokiem.

Poczuł, jak sztywnieje, kiedy dotknął jej nagiej skóry. Zamarł zdumiony intensywnością swego gniewu i współczucia.

• Nie bój się - powiedział chrapliwie. - Nie zrobię ci krzywdy.

• Wiem - odrzekła. Gardło tak ją bolało, że z trudem dobywała głos. - Boję się nie ciebie. Boję się... że sprawię ci zawód.

Tyle ją kosztowało to wyznanie. Zamknęła oczy, bojąc się patrzeć na niego nawet w ciemności. Nie powinna z nim być, nie powinna mu pozwolić... Jest żoną Edwarda... Ale wiedziała, że gdyby Lewis ją teraz zostawił, serce by jej pękło z bólu.

- Ty mi nigdy nie sprawisz zawodu - zapewnił Lewis, przelękając gniew na mężczyznę, który ją przyprawił o ten kompleks. - Kocham cię. I ty mnie kochasz. Nic, nic nie jest ważniejsze od tego.

Kocha ją... I ona go kocha... To zakazane słowa, zakazane uczucia... A jednak, kiedy zrzucił ubranie i poczuła jego ciepło, kiedy owionął ją jego zapach, wyciągnęła do niego ręce, uniosła przejętą twarz.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął. - Wszystko będzie dobrze.

Objął ją teraz tak, że leżeli ciało w ciało, i Liz ze zdumieniem odkrywała, jak bardzo łaknęła tej cielesnej bliskości, jak jej skóra chłonie jego ciepło, twardość mięśni, jego siłę. Najlżejszy ruch, jaki czynił, przejmował ją takim erotycznym dreszczem, że nie mogła wyjść z podziwu nad własnymi doznaniem.

Ogarnęła ją tak nieoczekiwana i przemożna potrzeba dotykania go, wodzenia opuszkami palców po skórze, napawania się jego ciepłem i poznawania męskich kształtów, że z gardła wyrwał jej się cichy protest przeciwko własnym porywom.

- Coś się stało? - spytał niespokojnie Lewis.

534

- Chcę cię dotknąć. Dotykać, poznawać... - Słyszała zdumienie, zakłopotanie we własnym głosie i wiedziała, że Lewis też je słyszy. - Nie miałam pojęcia, nie zdawałam sobie sprawy...

- Podaj mi ręce - powiedział chrapliwie Lewis.

Posłusznie jak dziecko zrobiła, co jej polecił. Zadrzała z radości, kiedy położył jej ręce na swoim ciele, mówiąc:

- Jestem cały twój, Liz. Możesz mnie dotykać, jak i kiedy zechcesz. Moje serce nie ma przed tobą sekretów, więc dlaczego miałyby je mieć ciała?

Wodził przy tym po niej dłońmi, pieścił jej ramiona, potem piersi. Jego dotknięcia były tak czułe, tak pełne miłości, że nie mogła się nie odwzajemnić, musiała przywrzeć do niego ciaśniej. Aż poczuła nagle jego podniecenie i cofnęła się odruchowo, przypominając sobie Kita. Ale Lewis nie jest Kitem, jego do-

tknięcia nie przypominają dotknięć Kita. Miłość Lewisa to nie żądza Kita I jeszcze zanim Lewis odnalazł wargami wrażliwe koniuszki jej sutek, pragnienie jęło ją przenikać na wskroś, tak że się sprężyła instynktownie, błędząc równocześnie dłońmi po jego ciele, by mu pokazać, jak bardzo go potrzebuje.

Kiedy wziął jedną czułą sutkę w usta i zaczął pieścić językiem, wygięła się spazmatycznie i przywarła do niego, poruszając ciało erotycznym rytmem, z którego nie zdawała sobie sprawy. Ciche jęki jej podniecenia zachęcały Lewisa do tym namiętniejszego ssania nabrzmiewającej wyniosłości.

Starając się panować nad własnym pożądaniem, nie mógł wyjść ze zdumienia, że kiedykolwiek mogła się uważać za oziębłą. Jej niewinnemu i nieuczonemu ciału brakło może doświadczenia, lecz jej instynktowne reakcje wprawiły go w takie podniecenie, że pragnął ją chłonać cal po calu, dotykać i smakować każdy jedwabisty skrawek jej skóry, posiąść ją tak całkowicie, żeby go nigdy nie zapomniała.

Kiedy odjął w końcu wargi, leżała, drżąc od stóp do głów, z sutkami połyskującymi wilgotno w półmroku, tak teraz wrażliwymi, że same drażniące muśnięcia jego oddechu wyrwały jej z ust jego imię. Wyciągnęła do niego ramiona, lecz on, jakby rzeczywiście wypowiedziała swoje życzenie, wyrzuciła z siebie błaganie, które spazmatycznie pulsowało w jej ciele, odrzekł chrapliwie:

- Nie, jeszcze nie teraz, najukochańsza... Bądź cierpliwa, obiecuję ci...

Całował ją teraz po brzuchu, wodząc po nim otwartymi, wilgotnymi ustami. Ujął dłońmi jej uda, przesunął je, uniósł, a jej wszystkie zmysły były tak pochłonięte nowymi doznaniem, tak spragnione spełnienia, że nie zorientowała się, co Lewis zamierza, dopóki nie poczuła jego ciepłego oddechu w najszybszym zakątku swego ciała. Momentalnie zesztyniała, lecz wciąż nie pojmowała jeszcze, co się stanie, bo pieśczoć tak intymna przekraczała jej wyobrażenie.

Pewne, zdecydowane poruszenia jego języka po jej naskórku stanowiły szok, lecz bardziej zdumiała ją to, że pierwszy odruch cofnięcia się, odepchnięcia go zastąpiło natychmiast uczucie silniejsze i że nie była to bynajmniej decyzja biernego trwania i pozwolenia mu wbrew sobie na to, co czyni, lecz nieprzeparta potrzeba lubieżnej zachęty, jak najszerzego otwarcia się, by jego usta pieściły jej intymne wnętrza tak, jak przedtem wciągały w swoje wilgotne ciepło najpierw jedną, potem drugą sutkę, jak je ssały i miłośnie przygryzały.

Z piersi wyrwały jej się ciche jęki negacji własnych doznań, które wkrótce stały się jękami szczęścia, że Lewis spełnia jej niewyobrażalne pragnienia, choć emocje, przenikające jej ciało na równi podniecały i przerażały, tak że chciała go jednym tchem błagać, by przestał i by nigdy, przenigdy nie przerywał tego, co z nią robi.

Starła się zachować trzeźwość, lecz ciało nie chciało jej słuchać, narastająca rozkosz porywała ją, niosła, zacierała wszystko. Nie mogąc pojąć napięcia, wypełniającego ją coraz bardziej, intensywności własnego uniesienia, wykrzyknęła do Le-

wisa, że dłużej tego nie wytrzyma, lecz w tym momencie pękła naprężona struna, pozwalając jej ulecieć poza granicę śmiertelności, poszybować w ciepłym, miękkim mroku spełnienia.

Jej ciałem wstrząsał dreszcz, gdy Lewis wziął ją w ramiona i ją czule głaskać, szepcząc słowa miłości i pochwały.

- Ale ty... ty nie...

- Przyjdzie i na to czas - tchnął czule Lewis. - Kiedy będziesz gotowa.

Kiedy ona będzie gotowa... Wtulił ją w ciepło swego ciała, tak że poczuła jego męskie podniecenie i zawibrował w niej leciutki dreszczyk odzewu.

„Kiedy będziesz gotowa” - powiedział.

- Chyba... chyba niedługo będę gotowa - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. - Myślę...

Urwała, bo zaczął ją całować i poczuła, że ów dreszczyk się wzmaga, robi się tak silny, że jej ciało się spręża, istotnie gotowe, pragnące go, zapraszające...

Tym razem wiedziała, czego się spodziewać, i jej biodra, mądre jego miłością i czułością, zestroiły się rytmicznie z jego biodrami, tak że dzieliła z nim crescendo doznań w miarę przyspieszających się w jej wnętrzu poruszeń. Rozkosz była tym razem równie intensywna, ale inna, głębsza, jej ciało zdawało się przed nim całe otwierać i wchłaniać go, by zachować o nim pamięć długo potem, kiedy go już nie będzie.

Później, gdy już wyszeptala mu całą swoją miłość i leżeli uciszeni, Lewis, czując, że sztywnieje, obrócił się do niej i dostrzegł połyskujące w jej oczach łzy.

- Przepraszam, przepraszam - szepnęła tuląc ją, głosem stłumionym z przejęcia. - Wybacz mi, jeśli ci sprawiłem ból...

- Nie sprawiłeś mi bólu - zapewniła. - Tylko... tylko nie przypuszczałam, że to może być tak... Kiedyś, jako młodziutka dziewczyna myślałam, wierzyłam... ale Kit, ojciec Dawida...

Urwała, bo ujął jej dłoń i ucałował najpierw tętno pulsujące w przegubie, a potem, po kolei, powoli i czule, każdy palec.

- Ja miałem to samo uczucie. To właśnie różnica, jaką sprawia miłość. Przemienia lichy metal pożądania w szczerze złoto, unosi nas z przyziemnego bytowania w wyższe rejony.

Potem kochali się znowu, powoli, bez pośpiechu, i tym razem Liz przejęła inicjatywę, pieściła go równie intymnie jak on ją, z początku trwożnie, potem coraz pewniej, gdy stwierdziła, jaką mu to sprawia przyjemność.

Obudziła się na długo przed świtem i obróciła do niego, by mu się przyjrzeć w półmroku sypialni. Chciała zapamiętać najdrobniejszy rys, zapisać na zawsze w sercu każdy szczegół jego twarzy, gdyż wiedziała, że nie może pozwolić tej miłości trwać, jakkolwiek wszystko w niej krzyczało, że potrzebuje go jak powietrza, że umrze bez niego.

Obudziła się powtórnie po świcie i stwierdziła, że leży bezpieczna w jego objęciach. Nie spał, przyglądał jej się.

- Kocham cię - powiedział, całując ją czule. - Nie wyobrażałem sobie, że będę kiedykolwiek kogoś tak kochał. Jesteś

moja, Liz, zabieram ciebie i Dawida ze sobą do Woolongi.

Zesztywniała w jego ramionach.

- To niemożliwe...
- Możliwe i tak musi być - sprzeciwił się. - Nie możesz zostać z Edwardem po tym, co zrobił. Nikt tego nie będzie od ciebie oczekiwał.

Powstrzymał się w ostatniej chwili przed powiedzeniem jej, co myśli - że Edward jest chory umysłowo i jako taki, dla dobra własnego i innych, powinien się znaleźć w zakładzie zamkniętym.

- Ten człowiek jest niebezpieczny, Liz. O mało cię nie udusił. Żaden sąd nie odmówi ci rozwodu.

Rozwód... To słowo przeniknęło ją dreszczem i przywołało do rzeczywistości.

- Muszę się z nim zobaczyć. Nie mogę go tam zostawić.

Czuła taki zamęt, taką niepewność. Serce, ciało, zmysły popychały ją, by pójść za wezwaniem Lewisa. Edward zmienił się nie do poznania, przeraził ją naprawdę tam w ogrodzie. Widziała jego wzrok i wiedziała, że naprawdę chciał ją zamordować. Ale jest jego żoną. Jego żoną...

A Lewis jest jej kochankiem!

- Nie pozwolę ci z nim zostać, Liz - oświadczył jej później, zbierając swoje ubranie. - Kochasz ran i e.

To prawda, myślała, kiedy poszedł do łazienki. Kocha go, chce z nim być, pragnie tego bardziej niż czekogolwiek w świecie. A jednak nie opuszczała jej myśl o Edwardzie i o tym, co z nim będzie, jeśli go opuści.

Lewis nalegał, żeby została w łóżku, przynajmniej dopóki jej nie zobaczy Ian Holmes, ale uparła się wstać, mimo że sińce na jej szyi wyglądały gorzej niż poprzedniego dnia. Gardło nie przestało boleć, było w środku jedną palącą raną, tak że z ledwością przełknęła trochę kawy, którą Chivers przyniósł na górę. Zastanawiała się, czy Chivers się domyśla, że Lewis nie tylko czuwał przy jej łóżku minionej nocy. Czuła się głupio, że wystawia na próbę jego lojalność wobec Edwarda.

Kończyli na dole śniadanie, kiedy nadjechał Ian. Witając się z nim, Liz pomyślała, że pewnie pozna po jej oczach, co się wydarzyło. Nie żałowała, że się kochała z Lewisem. W końcu jej ciało należy do niej i nikomu nic do ich miłości.

Tak, ale jest winna wierność Edwardowi, jako żona ma wobec niego obowiązki. Zagryzła wargę, nie chcąc słuchać głosu sumienia.

- Jak... jak się ma Edward? - zapytała niespokojnie.
- Jest oszołomiony i pełen wyrzutów - odparł Ian. - Pyta o ciebie - dodał łagodnie.
- W jakim celu? - wtrącił się gniewnie Lewis. - Żeby jeszcze raz próbować ją udusić? Niech pan tylko popatrzy na jej szyję. Człowieku, nie widzi pan, co on jej zrobił?
- Przepraszam cię, Liz - zwrócił się do niej Ian, puszczać mimo uszu gorzkie słowa Lewisa. - Powiniennem cię być zapytać, jak się czujesz.
- Już dobrze, gardło mnie tylko trochę boli. Ale Edward... Jak on się naprawdę czuje?

- Fizycznie nieźle, ale psychicznie... Wiesz, jak bardzo nie chciał się stąd ruszać. Chce cię koniecznie zobaczyć, Liz. Prawdę mówiąc, powinien cię zobaczyć. Nic się nie bój, ja pojedę z tobą. Zresztą, trzymamy go na bardzo silnych środkach uspokajających.

Liz przygryzła dolną wargę. Pragnęła mu powiedzieć, że myśl o zobaczeniu Edwarda jest ponad jej siły, że chciałyby go na zawsze wykreślić z pamięci, odwrócić się i wyjść z mroku życia z nim, rozpocząć nowe życie w świetle i ciepłe miłości Lewisa. Wiedziała jednak, że nie może wypowiedzieć tych słów, że jeśli już nic więcej, to winna jest Edwardowi przynajmniej widzenie. A przy tym, wbrew wszystkiemu, martwiła się ciągle o niego.

Lewis uczynił ruch w jej stronę. Czują emanującą od niego miłość, chęć osłaniania jej, chronienia.

To dobry człowiek, delikatny, czuły. Wiedziała to od momentu, gdy jej opowiedział o nieżyjącej żonie i dziecku, a potwierdziła to miniona noc. U boku Lewisa byłaby bezpieczna i kochana, wielbiona i szanowana, przy nim czułaby się po raz pierwszy w pełni kobietą. Czy nie ma prawa przyjąć tego, co jej ofiarowuje Lewis, co jej ofiarowuje życie? Po co los by jej go zsyłał, gdyby zamierzał ich zaraz rozdzielić?

Ian czekał na jej odpowiedź. Zdobyła się na odwagę spojrzenia mu w oczy i wyczytała z nich, że wie, co ją łączy z Lewisem. W jego wzroku było zrozumienie i współczucie, ale był też smutek.

- Odwiedzę Edwarda - powiedziała cicho, ignorując ledwo pohamowany protest kochanka.

- Jeśli chcesz, żebym z tobą pojechał... - zaczął doktor, lecz potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Nie, Ianie. Dziękuję ci, ale pojedę sama.

- Nie musisz się go teraz bać - zapewnił Ian. - Rozumiem, jak cię przeraziło to, co zaszło.

- Nie boję się - odrzekła Liz. - Wiem, że podczas tych ataków Edward za siebie nie odpowiada. - Zagryzła znowu wargę. - Co z nim będzie, Ianie? Czy... ?

- Jeżeli nasza terapia podziała i zgodzi się jej nie przerywać, to ataki powinny ustać. Oczywiście, nie można przyjmować przez dłuższy czas silnych środków bez szkodliwych skutków ubocznych. Oznaczałoby to, że Edward byłby stale w stanie lekkiego zamroczenia, i trudno z góry przewidzieć, jaki by to na niego wywarło wpływ. Kiedy wróci do domu... no, będziemy go musieli mieć nadal pod ścisłą obserwacją. Wiadomo, że niektórzy chorzy po pewnym czasie przyjmowania leku tracą mniej czy bardziej chęć do życia, dotyczy to jednak głównie chorych ze znacznie poważniejszymi zaburzeniami niż u Edwarda, przebywających w zakładach zamkniętych.

Liz zadrżała, aż nazbyt plastycznie wyobrażając sobie obraz odmalowany przez Iana.

Po jego wyjściu obróciła się do Lewisa, że łzami w oczach. Wziął ją bez słowa w ramiona i jął pocieszać.

- Liz, Liz, wiem, co czujesz - szeptał zdławionym głosem. - Ale nie możesz pozwolić, żeby twoje zrozumiałe

współczucie dla Edwarda złamało nam życie. Gdybyś przy nim została, skończyłabyś na pełnieniu funkcji, które znacznie lepiej będzie spełniała rutynowana pielęgniarka. Nie rozumiesz, kochana, że będzie potrzebował stałej opieki? To może brzmi okrutnie.;

- Wiem, co chcesz powiedzieć - przerwała mu Liz. - Ale nie mogę się od niego odwrócić, zbyt wiele mu zawdzięczam.

- Już dawno spłaciłaś swój dług. Słuchaj, jeśli koniecznie chcesz go odwiedzić, to pozwól mi ze sobą pojechać.

Liz potrząsnęła głową. To jest rzecz, którą musi załatwić sama. W nocy, w objęciach Lewisa, wszystko wydawało jej się możliwe, lecz dzisiaj, w świetle dnia... Przeszedł ją lekki dreszcz.

- Powinienem wrócić do miasta - powiedział McLaren.

- W pubie zachodzą już pewno w głowę, gdzie przepadłem.

Liz posłała mu wymuszony uśmiech.

- Najchętniej zamieszkałbym tu z tobą - ciągnął - ale w tych okolicznościach... Ta noc to było coś szczególnego, jednakże póki jesteś żoną Edwarda, dopóki jesteś z nim związana, jakkolwiek tylko formalnie... Och, nie chcę wyzywać losu górnolotnymi oświadczeniami, że uwodzenie cudzych żon kłóci się z moją moralnością. Myślę, że ta noc nam pokazała, jak niedoskonałe jest moje panowanie nad sobą, kiedy chodzi o ciebie;

Uśmiechnął się na widok rumieńca, który zabarwił jej policzki. Dotknął jej twarzy koniuszkami palców, potem mocniej dłonią i oczy mu pociemniały z namiętności, gdy usłyszał jej przyśpieszony oddech.

- Nie mówię tego z chęci obłudnego ulegania konwensom, niczego tak nie pragnę, jak głosić całemu światu, że cię kocham, ale póki jesteś żoną Edwarda...

- Wiem - przytaknęła drżącym głosem Liz. - Też tak uważam.

- Jesteśmy co do tego zgodni - podjął Lewis. - Dopóki nie wystąpisz o rozwód i nie będziesz mogła opuścić męża, nie powinniśmy spędzać zbyt wiele czasu sam na sam.

- Nie będzie to zbyt trudne - zauważyła Liz z przekąsem.

- Mam na głowie fabrykę, będę musiała odwiedzać Edwarda... - Urwała, widząc jego zmienioną twarz. Dotknęła błagalnym gestem jego ramienia. - Przecież rozumiesz, Lewisie? Muszę go odwiedzić.

- Rozumiem - odparł poważnie Lewis. - Wolałbym tylko, żebyś mi pozwoliła ze sobą pojechać. Masz takie miękkie serce, kochana. Boję się... boję, że on znajdzie sposób, żeby cię zatrzymać.

Liz zamknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu. Co miała odpowiedzieć? Sama się tego śmiertelnie obawiała.

Dwie godziny później, wchodząc za pielęgniarką do separatu Edwarda, żalowała, że nie pozwoliła Lewisowi ze sobą pojechać.

Daners leżał w łóżku. Obrócił ku niej głowę, kiedy weszła, ale wygląd miał tak przybity i apatyczny, że zalała ją fala

współczucia. W jego oczach dostrzegła pod przygnębieniem tę samą niemą, rozpaczliwą prośbę, którą widziała w oczach bezpańskiego psa, kręcącego się koło fabryki w poszukiwaniu pożywienia. Pies miał teraz własną budę, dozorca karmił go regularnie, a pracownicy rozpieszczali.

- Liz... Liz...

Edward podniósł się w łóżku i wyciągnął do niej impulsive ręce. Na jego twarzy odmalowała się radość i ulga.

- Liz, zabierz mnie do domu. Nie chcę tu być.

Radość uleciała momentalnie z jego oczu. Sprawiał wrażenie niepewnego i zagubionego, przypominał dziecko. Liz poczuła w piersi niepożądany i nie chciany ciężar litości dla niego.

- Nie pozwól mnie tutaj trzymać, Liz. Powiedz im, że mnie zabierasz. Oni tutaj nic nie rozumieją.

Wstrząsnął nim dreszcz, po policzkach ciekły łzy. Liz oświadczyła straszliwe uczucie bezsilności i rozpacz. Pielęgniarka zamokła obok niej uspokajająco.

- No, no, tak nie można - powiedziała, podchodząc zdecydowanie do Edwarda. - Żona jeszcze pomyśli, że panu tu robimy krzywdę, jak pan się będzie tak zachowywał.

Obróciła się do Liz i powiedziała przyciszonym głosem:

- Te leki niekiedy tak działają na chorych. Potrzeba trochę czasu, żeby wypośrodkować właściwe dawkowanie. Leczenie może z początku powodować depresję.

- Może powodować depresję? - powtórzyła niepewnie Liz i przed oczyma stanęła jej wizja Edwarda upośledzonego umysłowo, może nawet próbującego się targnąć na swoje życie.

- Czasami się to zdarza - potwierdziła pielęgniarka.

Patrząc na Edwarda, słuchając jego słów, Liz wiedziała, że w żaden sposób nie może mu oświadczyć, iż od niego odchodzi. Przez moment miała tchórzliwą pokusę, żeby wyjść po prostu ze szpitala, odebrać Dawida ze szkoły i wyjechać na zawsze z Cottingdean, rozpocząć nowe życie z Lewisem.

Ale nie może tego zrobić.

W drodze powrotnej do Cottingdean zastanawiała się, jak zareaguje Lewis, kiedy mu powie, iż nie miała siły zerwać z Edwardem.

Z początku był wściekły, ale widząc, jaka jest nieszczęśliwa, westchnął tylko, po czym wziął ją w ramiona i jął szeptać, jak bardzo ją kocha, jak bardzo jej pragnie i jak cierpi, widząc ją w takim stanie.

- Daj mi trochę czasu - poprosiła.

- Najdroższa, nie chcę ci sprawiać bólu, ale czy nie widzisz, że to się nie stanie łatwiejsze? Szybkie zerwanie teraz...

- Nie mogłam - powiedziała łamiącym się głosem Liz - nie mogłam. Lewisie, gdybyś go dzisiaj widział...

Rozplakała się. Lewis tulił ją i pocieszał, ale nie podzielał jej współczucia dla tego człowieka, w którym widział tylko niebezpiecznego szaleńca.

Ian zapowiedział, że Edward musi pozostać w szpitalu

przez pełny tydzień.

Liz odwiedzała go codziennie i codziennie Edward błagał, żeby go zabrała do domu. Był tak nieszczęśliwy, że za każdym razem wychodziła ze szpitala utwierdzona w przekonaniu, że nie może nawet myśleć o opuszczeniu go, jak długo jest w takim stanie psychicznym.

Lewis zaczynał tracić cierpliwość i wyrozumiałość, pytał, czy ona na pewno go kocha. Liz, rozumiejąc jego uczucia i obawy, próbowała go uspokajać, ale osiągała jedynie to, że wzmagala się jego złość na Edwarda.

- Kocham cię, Liz, i chcę cię mieć za żonę. Gdybyś ty mnie tak samo kochała, dawno zostawiłabyś Edwarda. Bez względu na to, jakie to bolesne.

- Czy ty byś zostawił żonę w podobnej sytuacji? - rzuciła mu wyzwanie Liz.

- Oczywiście, że bym zostawił... - zaczął Lewis i urwał. - To do niczego nie prowadzi, kręcimy się w kółko. Edward jutro wraca do domu. Wstyd mi, że ci stawiam taką alternatywę, Liz, ale nie mam innego wyjścia. Albo mu powiesz, że go opuszczasz, albo... - Zawahał się, mierzył ją przez chwilę wzrokiem, po czym oświadczył zdecydowanie: -... albo będę musiał uznać, że chociaż mnie tak zapewniasz o swojej miłości, nie jest ona wystarczająco silna, wystarczająco wielka, żebyś chciała być ze mną bez względu na cenę.

- Lewisie, proszę cię, nie mów tego. Nie rozumiesz, że nie chodzi o cenę mojego cierpienia, moich wyrzutów sumienia? Chodzi o Edwarda.

- Edward, Edward, ciągle tylko Edward. A co my, Liz? Co ja? Czy ja nie cierpię? Nie rozumiesz, że umieram ze strachu, że cię utracę? Daję ci dwadzieścia cztery godziny, Liz. Dwadzieścia cztery godziny na wybranie między nim a mną.

Po jego wyjściu siedziała długo w salonie, nieruchomo wpatrzona przed siebie. Przed oczyma miała ciągle jego pełną bólu twarz. Dlaczego się w ogóle waha? Przecież go kocha. Pragnie z nim być ponad wszystko w świecie. Ale jest Edward. Edward, który na nią patrzy takim bezradnym, błagalnym wzrokiem. Edward, który za nią woła co dzień, gdy wychodzi ze szpitala. Edward, który wraca jutro do domu...

Prawie nie spała. Żywe, bolesne obrazy egzystencji w uczuciowej próżni nadszarpaneły wąty zapas jej sił, tak że obudziła się wyczerpana. Oczy same jej się zamykały.

Nacięła w ogrodzie trochę świeżych kwiatów, przyniosła je do domu. Układała je w wazonie, kiedy zadzwonił telefon. Serce jej podskoczyło do gardła, podnosiła słuchawkę drżącymi palcami. Nie był to jednak Lewis. Ból w jej piersi się wzmógł, gdy odpowiadała machinalnie na pytania o zdrowie Edwarda. Tak bardzo chciała być z Lewisem, dałaby wszystko, żeby z nim zostać. Alenienie może, nie wolno jej. Nie może skazywać innych na cierpienie, żeby sama być szczęśliwą.

Kiedy nadjechała karetka i sanitariusze przesadzali Edwarda na wózek, przeraził ją jego wymizerowany wygląd i wychudzone ciało.

Chivers dawał sanitariuszom wskazówki, gdzie go mają zawieźć, a ona stała koło małej grupki, z sercem ściśniętym żelazną obręczą. Spostrzegła, że Edward na nią patrzy, więc spróbowała się uśmiechnąć. Zgniółł jej rękę do bólu, kiedy się zbliżyła do wózka.

- Nie pozwól mnie nigdy więcej stąd zabrać, Liz, dobrze?
- poprosił.

Zmiana, jaka w nim zaszła, wstrząsnęła nią. W ciągu tego tygodnia przemienił się z mężczyzny w bezradne dziecko.

Czy ta zmiana spowodowana jest tylko działaniem leku, czy też przyczyny sięgają głębiej? Przenikana dreszczem, weszła za sanitariuszami do środka. Dwadzieścia cztery godziny, powiedział Lewis. Dał jej dwadzieścia cztery godziny.

Chivers przygotowywał w kuchni herbatę, a ona układała Edwarda w łóżku, kiedy ją złapał za rękę i wykrztusił zdławionym głosem;

- Ian mi powiedział... co ci zrobiłem, Liz. Nie chciałem ci zrobić krzywdy. - Drżał cały, do oczu napływały mu łzy.
- Nie opuszczaj mnie.

Nie mogła wydobyć głosu. Kłębiły się w niej uczucia zbyt gwałtowne, zbyt bolesne.

Kiedy Chivers wrócił z herbatą, uciekła do swego pokoju i rzuciła się na łóżko. Modliła się, żeby móc zamknąć oczy i żeby wszystkie jej problemy uleciały.

Po godzinie odszukał ją Chivers, z twarzą zmienioną z niepokoju.

• Pan major, proszę pani - powiedział trwożnie. - Coś mu jest...

• Coś mu jest? Co... ?

• Wygląda, że ma wysoką gorączkę - poinformował Chivers.

Pobiegła do pokoju Edwarda. Był zaróżowiony i rozpalony, oczy błyszcząły mu w spoconej twarzy.

- Zadzwoń po doktora Holmesa - poleciła Chiversowi.

Zbadawszy Edwarda, Ian oświadczył poważnym tonem, że Edward ma przypuszczalnie infekcję żołądkowo-jelitową.

- Epidemia zaczęła się na oddziale położniczym - wyjaśnił. - Dorosły człowiek powinien być na nią normalnie wystarczająco odporny, ale w przypadku Edwarda...

Z jego miny Liz się zorientowała, iż jest bardzo zaniepokojony.

Mówił jeszcze, kiedy zadzwonił telefon. Liz czuła, że dzwoni Lewis, dowiedzieć się, czy rozmawiała z Edwardem, choć nie upłynęły jeszcze wyznaczone dwadzieścia cztery godziny. Nie będąc sama, nie chciała mu tłumaczyć, co zaszło, więc nie odebrała telefonu.

- Przy Edwardzie musi ktoś stale czuwać - oznajmił Ian.
- Jeśli chcesz, to załatwię pielęgniarkę.

Liz potrząsnęła głową.

• Nie, myślę, że poradzimy sobie we dwoje z Chiversem. Edward jest i bez tego dostatecznie wytrącony z równowagi.

• Tak - przyznał Ian. - Niestety, musieliśmy go potrzymać

w szpitalu, żeby wypośrodkować optymalną terapię. *Ale zgadzam się z tobą, że odbiło się to na nim bardzo niekorzystnie.*

Przez całą noc Liz i Chivers czuwali na zmianę przy Edwardzie. Nie ulegało wątpliwości, że jest ciężko chory. Chwilami bredził w gorączce. O zimnym szarym świetle Liz, przyglądając się ze znużeniem, jak zapada w niespokojny sen, musiała uznać bolesną prawdę.

Bez względu na to, jak bardzo tego pragnie, nie może go opuścić. Gdyby to uczyniła, gdyby... to miałaby takie wyrzuty sumienia, że położyłoby się to cieniem na jej stosunkach z Lewisem, zabiło je, a już na pewno zwarzyło. Czują łzy piekące w gardle, obolałym ciągle po duszącym uścisku Edwarda, chociaż sińce zewnętrzne zaczynały już znikać, a Ian ją zapewniał, że nie ma obawy powtórnego ataku, jak długo Edward bierze nowy środek. Gdyby tylko był silniejszy, nie taki schorowany, gdyby go mogła zostawić z czystym sumieniem. Gdyby nie był taki od niej zależny...

Ale gdyby teraz odeszła, gdyby odeszła, nie mógłby pozostać w Cottingdean sam, co oznacza, że trzeba by go umieścić w jakimś zakładzie, a wiedziała, jakby się to skończyło. Zabiłoby go to. A ona byłaby tą, która podpisała na niego wyrok śmierci. W imię czego? W imię tego, żeby być z Lewisem.

Nie może tego zrobić.

Podniosła się ciężko. Czy Lewis śpi w swoim łóżku w pubie, czy też przewraca się z boku na bok, myśląc o niej, tęskniąc do niej?

Musi się z nim zobaczyć.

Zadzwoń i umówiła się z nim w cichym zakątku za miasteczkiem, gdzie nikt nie powinien ich zobaczyć. Jakby do wtóru jej rozterce skończył się długi okres pogody i zaczęło padać, wszystko spowijała miękka szara mgła.

Auto Lewisa stało już na samotnym skrawku polnej drogi, kiedy nadjechała. On sam czekał obok, w jego postawie mało wało się napięcie. Podeszedł do niej, kiedy wysiadła, i zapytał bez wstępów:

- I co, powiedziałaś mu?

Liz pokręciła głową.

• Nie mogłam, Lewisie - wykrztusiła. - Jest bardzo chory, Ian mówi...

• Nie obchodzi mnie, co mówi Holmes - przerwał jej gniewnie. - Czego ty ode mnie oczekujesz, Liz? Że będę tu siedział i czekał, aż Holmes orzeknie, że jest wystarczająco zdrowy, żebyś mu mogła powiedzieć? Jak długo to będzie trwało? Tydzień... miesiąc... rok... dziesięć lat?

Jego gorycz i sarkazm ubodły ją do żywego, ale niczego innego się nie spodziewała.

- Nie, nie... Nie oczekuję tego od ciebie. - Zrobiła głęboki wdech, obróciła się do niego twarzą i wyrzuciła szybko: - Między nami wszystko skończone, Lewisie. Nie mogę... nie mogę opuścić Edwarda. Teraz to wiem. Bez względu... na całą miłość do ciebie... nie mogę go opuścić...

Widziała, jak bardzo to nim wstrząsnęło. Milczał przez

chwilę, przetrawiając to, co usłyszał, po czym wybuchnął:

- Chcesz powiedzieć, że nie masz zamiaru go opuścić?! Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego, Liz!

- On mnie potrzebuje - odrzekła słabym głosem.

- On cię potrzebuje... A ja się nie liczę, u diabła? - Ujął ją za ramiona i lekko potrząsnął. - Uważasz, że ja cię nie potrzebuję?

Czuła w oczach piekące łzy. Jeszcze chwila i się załamie, a tego jej nie wolno.

- Nie w ten sam sposób, Lewisie - odparła cicho. - Nie rozumiesz, że jeśli teraz opuszczę Edwarda, będzie to ciężko na moim sumieniu do końca życia? Że będzie stało między nami, zabije naszą miłość? Nie mogę do tego dopuścić. Zasługujesz na żonę, która ci będzie oddana duszą i ciałem, a ja bym nie potrafiła żyć z brzemieniem tego, co uczyniłam...

- Ale nie masz skrupułów, żeby mnie ranić? - zapytał popędliwie. - Czy ja cię nic nie obchodzę, Liz? Nic dla ciebie nie znaczę?

Oczywiście, że znaczy. Miała te słowa na czubku języka, ale je połknęła. Do niczego nie prowadzi zapewnianie go, przedłużanie wzajemnej udręki.

- Czego ty ode mnie żądasz, Liz? Żebym zebrał o każdą kradzioną godzinkę z tobą jak pies, proszący o ochłap? Ja tak nie mogę. Muszę mieć wszystko albo nic.

- A ja nie mogę opuścić Edwarda - powtórzyła.

Czuła się słabo, w głowie jej się kręciło. Gdyby ją teraz wziął w ramiona, przytulił, pocałował... Odpychała od siebie pragnienie, żeby to właśnie uczynił, żeby ją wziął na ręce i uniósł, żeby ją uprowadził siłą, podjął za nią decyzję. Ale wiedziała, że to niemożliwe.

- A więc dokonałaś wyboru. On dla ciebie znaczy więcej niż ja - rzucił jej oskarżycielsko Lewis. - Wszystko to było kłamstwem, tak? Nawet Cottingdean kochasz bardziej ode mnie. Bawiłaś się po prostu moim uczuciem...

Chciała zaprzeczyć, lecz miłość do niego zamknęła jej usta, podpowiadając, że łatwiej mu będzie odejść w gniewie, że ten gniew będzie go trzymał przy życiu w dniach, które nastąpią, że byłoby z jej strony słabością i samolubstwem przywiązywać go do siebie swoją miłością, skoro wie, że musi tę miłość wykreślić ze swojej przyszłości.

- Może masz trochę racji - przyznała, siląc się na niedbały ton, na ukrycie przed nim bólu, jaki jej sprawiają własne słowa.

O mało się nie załamała pod spojrzeniem, jakie jej posłał.

- Mówisz to serio? - zapytał ostro, puszczając ją i cofając się o krok, jakby nagle stwierdził, że jest zadżumiona. - Przez cały czas to wiedziałaś? To była dla ciebie tylko gra, zabawa? Czy miałaś w ogóle zamiar od niego odejść, czy też tylko snułaś rojenia? Bawiłaś się w okrutny sposób moim kosztem, bo ja naprawdę uwierzyłem... ?

Milczała, pozwalając się obrzucać gorzkimi, bolesnymi słowami, ranić i unicestwiać, pozostawiając jego gniewowi ujście, którego tak bardzo potrzebował, wiedząc, że jest to

jedyne, co mu może ofiarować, lekarstwo na przyszłe ozdrowienie.

Odwracając się od niej w końcu, dorzucił jeszcze okrutnie:

- Mam nadzieję, że w twoim życiu pojawi się pewnego dnia ktoś, kto je złamie tak, jak ty zламаłaś moje. I że cię przy tym zniszczy. Wiesz co, Liz? - Obrócił się i zmierzył ją zimnym, gorzkim spojrzeniem. - Prawie mi żal tego twojego męża. Życzę mu szczęścia, bo będzie go potrzebował.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki mgła nie skryła całkowicie jego auta i nie pochłonięła ostatniego jego odgłosu.

Nawet wówczas się nie rozplakała. Odwróciła się i pomaszerowała sztywno do swego samochodu. Wracła wolno i ostrożnie drogą, którą przyjechała. Wewnątrz czuła się jak porwana na strzępy. Ale nikt nie może odgadnąć, co się w niej dzieje. Nikt nie może się domyślić jej cierpienia. Musi je znieść sama, musi się z nim sama uporać. Postąpiła właściwie. Uczyniła rzecz jedynie możliwą. Pozostaje jej teraz tylko przekonać siebie, że tak jest naprawdę.

Później podejrzewała, że gdyby nie była tak ustawicznie pochłonięta i tak śmiertelnie zmęczona pielęgnowaniem Edwarda, załamałaby się i rzuciła na poszukiwanie Lewisa, żeby go błagać o zaczekanie na nią, danie jej jeszcze jednej szansy. Kiedy jednak stan Edwarda poprawił się na tyle, że można go było zostawić samego na więcej niż pół godziny, stwierdziła, że Lewis wyjechał nikt nie wie dokąd.

Długie tygodnie czuwania przy Edwardzie, a równocześnie nieustającej rozpaczki po Lewisie, zaczynały się odbijać na jej zdrowiu. Miała często mdłości, które przypisywała nerwowi, dopóki nie uświadomiła sobie w nagłym przeblasku, co mogą oznaczać. Było już jednak za późno, żeby zmienić decyzję w stosunku do Lewisa.

Nawet gdyby się zdecydowała na opuszczenie Edwarda i wzięcie na barki brzemienia winy za to, myślała z rozpaczką, to jakżeby zdołała przekonać Lewisa, że czyni to z miłości, a nie dlatego, że nosi w łonie jego dziecko? Nie, za późno teraz na zmianę decyzji. A co do dziecka, które chyba nosi...

Położyła dłoń na łonie, starając się odepchnąć rozdzierający ból, który targnął jej piersią. To dziecko nie może się narodzić, więc nigdy nie powinno się było począć. A przecież... przecież... tak bardzo pragnie urodzić to dziecko, dziecko Lewisa. To, że je musi poświęcić, jest widać karą za to, co uczyniła.

Minął tydzień, potem drugi. Liz z poświęceniem pielęgnowała Edwarda, który lgnął do niej jak nieporadny chłopiec. Był pełen skruchy za krzywdę, jaką jej wyrządził, i bezustannie kazał sobie przyrzekać, że go nigdy nie opuści, jakby w niewiadomy sposób wyczuwał, jaka była tego bliska.

Liz tymczasem traciła na wadze, robiła się coraz chudsza, rysy jej wyostrzały się, w miarę jak trudy pielęgnowania Edwarda kumulowały się z napięciem uczuciowym. Ale ciągle nie podejmowała żadnych kroków w celu przerwania ciąży, chociaż wiedziała, że będzie to musiała w końcu uczynić.

Ale jak? Przerwanie ciąży jest sprzeczne z prawem i trudno znaleźć osobę, która się podejmie wykonania zabiegu.

Widząc, jaka jest szczupła i blada, Ian Holmes martwił się o nią. Tymczasem, w miarę jak ona podupadała na zdrowiu, zdrowie Edwarda się poprawiało. Zaczynał być niemal dawnym sobą, jakkolwiek nie bez pomocy leku, który poskramiał jego uprzednie gwałtowne zmiany nastroju. Chwaląc oddanie Liz, Ian dodał, że Edward nie był nigdy fizycznie silniejszy niż obecnie. Jak już powiedział samemu Danversowi, wątpliwe, czy by się bez jej opieki wygrzebał z choroby, która zagrażała jego życiu. Szczęściarz z niego, że ma taką żonę, oznajmił mu doktor. Wielki szczęściarz. Tak, to wielkie szczęście, że ma taką żonę, przyznał Edward.

Wychodząc pewnego ranka po zbadaniu Edwarda, Ian ujrzał Liz na czworakach, wyrrywającą z determinacją chwasty na jednej z długich grządek. Jej ciałem wstrząsał szloch, policzki miała mokre od łez. Ukłękł koło niej i, położywszy jej dłonie na ramionach, obrócił delikatnie twarzą do siebie.

Obserwował przez cały czas niemal rozpaczliwe zapamiętanie, z jakim pielęgnowała Edwarda, i wyciągnął własne wnioski. Uczucie, jakim darzył ją Lewis McLaren, było aż nadto widoczne, a Ian nie wątpił, że Liz je podziela, i współczuł im obojgu z głębi serca.

- Liz, moje dziecko - rzekł teraz. - Co się stało? Co ci jest?

Myślał, że zna odpowiedź. Odprawiła mężczyznę, którego kocha, bo nie jest wolna, żeby go poślubić. Lecz kiedy obróciła do niego nieszczęśliwą twarz i oznajmiła: „Jestem w ciąży” - nie potrafił ukryć wstrząsu.

- Wiem - dorzuciła Liz. - Nie powinnam była do tego dopuścić.

Trwało chwilę, nim Ian odzyskał równowagę i zapytał z wahaniem:

- McLaren... Czy on... czy on o tym wie? Liz potrząsnęła głową.

- Nie, a ja nie mam mu zamiaru mówić. To moja sprawa, Ianie. Wyłącznie moja. O Boże, wiem, co muszę zrobić, ale jak o tym pomyślę... - Wzdrygnęła się. - Lewis chciał, żebym rzuciła Edwarda. Zaklinał mnie, żebym z nim wyjechała, ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłabym żyć ze świadomością...

- Tak, a Edward nie mógłby tu żyć bez ciebie - zauważył trzeźwo Ian. - W każdym razie nie w Cottingdean, a życie w jakimś zakładzie...

- Wiem. Wyrywałam się, żeby odejść z Lewisem - podjęła z bólem Liz. - Chciałam być szczęśliwa. Ale musiałam go ostatecznie odprawić, pozostawić w przekonaniu, że mi na nim nie zależy. Myślałam wówczas, że to najtrudniejsza rzecz, jaką mi przyszło kiedykolwiek zrobić, że jakiegokolwiek bólu zaznam jeszcze w życiu, to nie będzie on dotkliwszy od bólu utraty Lewisa. Nie wiedziałam...

Łzy płynęły jej teraz ciurkiem po twarzy, zwykła rezerwa uleciała, zmieciona przez nawał uczuć. Obróciła się do Holmesa.

- Muszę zrobić skrobankę, Ianie, nie mam innego wyjścia. Bóg jeden wie, że nie chcę, ale co mam począć? Wiem, że nie powinnam cię o to prosić, ale czy byś nie mógł... nie ze-

chciał... ? Jesteś przecież lekarzem, powinieneś wiedzieć o kimś, kto by to mógł bezpiecznie...

Ian zaniemówił na chwilę, porażony współczuciem i litością dla niej. Biedaczka, tyle wycierpiała, poniosła taką ofiarę. Ale co do tego, o co prosi...

- Czyś ty oszalała? - zapytał. - Skrobankę! Nie dość, że to sprzeczne z prawem, ale, mój Boże, Liz, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, ile kobiet umiera co roku z rąk tych babek? Są ciemne, niewykwalifikowane, wykonują zabiegi w niehigienicznych warunkach, zarzynają kobiety i ich nie narodzone dzieci. Czemu, na miłość boską, kobiety do nich idą?

- Bo nie mają wyboru, Ianie - odparła gorzko Liz. - Są doprowadzone do ostateczności. Dopóki nasze społeczeństwo będzie traktowało niezamężne kobiety, które zachodzą w ciążę, jako wyłącznie odpowiedzialne, dopóki będzie nimi pogardzało i piętnowało ich dzieci, dopóty będą one musiały korzystać z usług pokątnych babek. Nie mają wyboru. Edward zaakceptował Dawida jako swego syna, nie mogę...

- Chcesz tego dziecka? - zapytał cicho doktor. Pokiwała wolno głową.

- Bardziej niż to mogę wyrazić. Byłoby ono wszystkim, co mi pozostanie po jego ojcu...

Jej proste słowa zdradzały tak wiele, Ianowi krajało się serce.

- Pozwól mi porozmawiać z Edwardem - zaproponował, ale sprzeciwiła się natychmiast.

- Nie, Edward nie może o niczym wiedzieć. Dość się już nacierpiał. Przyrzeknij, że mu nie powiesz.

Przyrzekając jej, Ian wiedział, że nie dotrzyma tej obietnicy, gdyż jest to jedyny sposób, w jaki może jej pomóc. Myśl o Liz, narażającej się na śmierć lub okaleczenie przez jakąś niewykwalifikowaną babkę, przyprawiała go o mdłości, lecz jego ręce były związane. Nic nie mógł w tej sprawie zrobić, zupełnie nic.

- Nie podejmuj żadnych kroków, dopóki nie przemyślę sprawy - poprosił. - Muszę się popytać. Daj mi tydzień.

Bolało go, że musiał ją okłamać, ale nie miał wyboru. Postanowił nie odkładać rozmowy z Edwardem. Skorzystał, że Liz była akurat zaproszona do Bath na bankiet dla miejscowych przemysłowców, urządzony przez ministerstwo, które pragnęło zachęcać do nowych inwestycji.

Edwarda zastał samego w bibliotece. Był on teraz silniejszy, twarz miał jednak mizerną i bladą, powleczonej niezdrową szarością, jak u ludzi, którzy rzadko oglądają słońce. Postarzał się też zastraszająco, jakby mu nagle w dwójnasób przybyło lat.

Ian nie tracił czasu. Powiedział szybko, z czym przyszedł, po czym czekał, aż Edward ochłonie nieco ze wstrząsu.

- Czy to Liz cię z tym przysłała? - zapytał Edward po paru minutach napiętego milczenia.

Ian potrząsnął głową.

- Nie, kazała mi przyrzec, że ci nie powtórzę. Powiedziała

mi o tym tylko dlatego, że chce, żebym jej znalazł kogoś... kogoś do zrobienia skrobanki.

Sposób, w jaki Edward chłonał jego słowa, obudził w Ianie nadzieję.

- Pytałem ją... o tego mężczyznę, ojca - podjął z namysłem. - Powiedziała mi, że... że w żadnym razie cię nie opuści. Że jej miejsce jest tutaj, przy tobie i Dawidzie.

Nie potrzebował podkreślać, że to konieczność opieki nad nim, Edwardem, przykuwa ją do tego miejsca.

- Zastanów się dobrze, Edwardzie - ostrzegł go Ian.

- Przyjął dziecko innego mężczyzny jako własne, wychować to dziecko wiedząc, że twoja żona poczęła je z kim innym... to okrutne wymaganie i może mu sprostać jedynie człowiek wielkiego ducha. Sama Liz nigdy by cię o to nie poprosiła, mnie jednak przysięga lekarska nie pozwala udzielić informacji, o którą się zwróciła. Jeśli postanowi mimo wszystko zrobić skrobankę, może się to skończyć śmiercią nie tylko płodu, ale i jej. Jednakże nie doradzałbym żadnemu mężczyźnie wzięcia na siebie ciężaru wychowania cudzego dziecka, jeżeli... jeżeli nie czuje w sobie siły szczerego pokochania tego dziecka i... kochania nadal jego matki.

Liz w ciąży... Liz się kochała z innym mężczyzną... Liz ma urodzić cudze dziecko... Zazdrość paliła Edwardowi pierś, szarpała mu trzewia, serce, duszę. Przez jeden mroczny moment pożałował, że Ian mu to powiedział. Już lepiej, żeby Liz to zrobiła, postradała życie, niż.

Nie!

W napiętej ciszy wyrwał mu się ten krzyk. Utracić ją, utracić w taki sposób. A zresztą, czy może jej się dziwić? Jest piękną, młodą kobietą, kobietą, która mu tyle ofiarowała, która odmieniła całe jego życie. Kobietą, której on mało nie zamordował.

Przypomniał sobie jej pierwszą wizytę w szpitalu. Jak ją błagał, zaklinał, żeby go zabrała do domu. I żeby go nie opuszczała. Pamiętał, jak na niego patrzyła, z jaką rozpaczą w oczach. Wiedział, wiedział wówczas, że przyszła mu tego dnia powiedzieć, że odchodzi. Poświęciła dla niego tyle, więc czy on nie może dla niej poświęcić dumy? Czy nie jest na tyle mężczyzną, żeby jej przebaczyć ten drobny upadek? A jeśli tego nie uczyni, to co? Spróbował sobie wyobrazić życie bez niej i wydało mu się, że cały jego świat ogarnia ciemność. Ale przecież go zdradziła z innym mężczyzną! Wezbrała w nim oburzeniem męska duma, tak ciężko doświadczona przez wszystko, co przeszedł.

- Zostawię cię teraz, żebyś to w spokoju przemyślał - powiedział Ian Holmes i wstał.

Modlił się, żeby się okazało, że postąpił słusznie. Znał dobrze Liz i wiedział, że nigdy by mu nie powiedziała o swojej ciąży, gdyby nie trafił na moment jej słabości. Podejrzewał także, że ten mężczyzna znaczył dla niej o wiele, wiele więcej, niż mu się pozwoliła domyślać.

Edward ma szczęście. Jaka inna kobieta na jej miejscu, przedłożyłaby jego potrzeby nad własne porywy? Bo nie po-

dejrzał Liz o to, że pozostała przy Edwardzie ze względu na Cottingdean czy inne korzyści materialne. Czuł, jak rozpaczliwie pragnie urodzić dziecko, i miał nadzieję, że Edward znajdzie w sobie dość wielkoduszności, by jej na to pozwolić. W końcu Dawid również nie jest jego synem, a nie ulega wątpliwości, że Edward go uwielbia.

Wychodził z pokoju, kiedy kaleka zawołał za nim:

- Jeśli Liz urodzi to dziecko, to... -w jego głosie brzmiała gorycz -... to cały świat będzie wiedział, że mi przyprawiła rogi!

Ian pomyślał i tym.

- Niekoniecznie. Istnieje nowa eksperymentalna metoda, pozwalająca kobietom zająć w ciąży bez stosunku płciowego. - Przedstawił mu pokrótce podejmowane ostatnio próby sztucznego zapładniania kobiet. - Moglibyśmy powiedzieć, że zdecydowaliście się z Liz na drugie dziecko. I jak to dziecko zostało rzekomo poczęte.

- Musiałbym mieć pewność, że Liz... że zerwała ostatecznie z tym człowiekiem - bąknął Edward.

Ian, pochyliwszy głowę, powiedział poważnie:

- Fakt, że została przy tobie, mówi sam za siebie, nie uważasz? Liz nie jest kobietą, która by ciągnęła podejrany romans. A tym bardziej wdawała się w coś takiego z lekkim sercem.

Czując, że powiedział dosyć, rozstał się z Edwardem. Starsze się, myślał, jadąc znużony do domu. Zaczyna mu ciążyć brzemień niedoli pacjentów. Danvers nie jest łatwym człowiekiem i należy podziwiać Liz za to, co dla niego uczyniła. Połowę serca był skłonny jej poradzić, że dość się dla Edwarda poświęcała i jeśli kocha tego człowieka, tak jak jemu, staremu doktorowi, się wydaje... Ale wątpił, by bez niej Edward wyżył więcej niż kilka miesięcy. Nie mógłby pozostać w Cottingdean nawet pod opieką Chiversa, choćby dlatego że nie starczyłoby pieniędzy. Musiałby iść do jakiegoś zakładu.

On, Ian, nie jest Bogiem, nie może kierować życiem ludzkim, ale może się modlić, że jeśli jest jakiś Bóg, to niechaj skłoni w swojej łaskawości Edwarda, żeby odłożył na bok dumę i nie pamiętał tego, że Liz go zdradziła, lecz dobroć i miłość, jaką mu okazywała przez tyle lat i jaką, Ian w to nie wątpił, będzie mu nadal okazywała za cenę własnego szczęścia.

Obowiązek. To staromodne słowo w bezwzględny współczesnym świecie, a jednak Ian wiedział, że Liz należy do tych ludzi, którym sumienie każe zawsze przedkładać potrzeby innych, swoją odpowiedzialność wobec nich, nad własne potrzeby i pragnienia.

Liz obiecała mu zostawić tydzień, nim podejmie jakiś nieodwracalny krok, i Ian się teraz modlił, żeby nie złamała swego przyrzeczenia tak, jak on złamał swoje.

Ale Liz tego nie zrobiła. Chociaż wiedziała, że nie ma wyboru że nie może urodzić dziecka, które jej ofiarował Lewis, mimo że tego z całej duszy pragnie, to jednak każda zwłoka była jej miła.

O zmianie decyzji, porzuceniu Edwarda i odejściu do

McLarena, nie pozwalała sobie nawet marzyć. Dawid, Edward, Cottingdean, fabryka to obowiązki ważące znacznie więcej niż jej samolubne pragnienie szczęścia z Lewisem.

A jednak kiedy nadszedł list, w którym ją błagał, żeby zmieniła zdanie, opuściła Edwarda i przyjechała do niego do Australii, zaklinał, żeby mu wybaczyła niemądre oskarżenia, że bardziej jej zależy na Cottingdean niż na jego miłości, miała tak szaloną, tak rozpaczliwą pokusę ulegnięcia jego namowom, że aby się oprzeć, musiała od razu usiąść i odpisać, że mu zabrania więcej się ze sobą komunikować. Oświadczyła brutalnie i kłamliwie, że wprawdzie sprawił jej przyjemność krótki romans z nim, ale nigdy nie traktowała sprawy poważnie i nigdy nie miała najmniejszego zamiaru wyjechać z Anglii ani porzucić Cottingdean.

Był to okrutny, bezwzględny list. Z konieczności. Gdyby mu została choćby cień podejrzania, jak bardzo go nadal kocha, nigdy by nie dał za wygraną i trawił życie na ubieganiu się o nią, a ponieważ wiedziała, że nie może się z nim połączyć, chciała, by miał swobodę szukania szczęścia z inną kobietą.

Ale gdyby opuściła Edwarda i pojechała do Lewisa, mogłaby urodzić dziecko. Odruchowo położyła rękę na łonie, wpatrując się w list, który właśnie ukończyła. Włożyła go do koperty i zakleiła, nim się rozmyśli.

Jadąc po lunchu nadać list, minęła Holmesa, który jechał zobaczyć się z Edwardem. Chory wezwał go telefonicznie, żeby mu przekazać swoją decyzję.

Ian zastał go w bibliotece, ze spuszczoną głową i zapadłymi policzkami.

- Dziękuję ci, Ianie, że tak szybko przyjechałeś - powitał go oficjalnie. - Chivers poda nam zaraz herbatę.

Ian zaciskał do bólu szczękę, odpowiadając na uprzejmości Edwarda. Minął dobry kwadrans, nim Chivers zjawił się z tacą, nalał im herbaty i wyszedł.

- Podjąłem decyzję - oświadczył oschle Edward. - Pozwolę jej urodzić dziecko. Ale... ale musi mi solennie przyrzec, że się nie zobaczy nigdy więcej z tym... tym mężczyzną... swoim kochankiem. Nie chcę wiedzieć, kto to jest. Nie chcę z nią na ten temat rozmawiać. Pozostawiam tobie jako pośrednikowi przekazanie jej mojej decyzji. Rozmowa z nią na ten temat byłaby ponad moje siły. Dziecko, tak jak Dawid, będzie się wychowywało jako mój syn czy moja córka, ale nie będzie miało, oczywiście, prawa do dziedziczenia Cottingdean. Majątek przejdzie w odpowiednim czasie na Dawida, w którego żyłach płynie w końcu krew Danversów. To... to dziecko nie jest Danversem.

W jego głosie brzmiała niechęć i wzdarda, gdy mówił o nie narodzonym dziecku, tak że początkową ulgę Iana zaczęła zatruwać obawa. Czy Edward nie będzie przypadkiem karał dziecka za błąd Liz? I czy Liz przyjmie warunki, jakie Edward jej stawia?

- Przy twojej pomocy możemy rozgłosić, że podjęliśmy z Liz decyzję, żeby się poddała tej nowej metodzie zapłodnienia.
- Jesteś bardzo dzielnym człowiekiem, Edwardzie, i bar-

dzo wielkodusznym - powiedział Ian wstając. - Wierzę, że nigdy nie pożałujesz swojej decyzji. Ale nie zapominaj także o Liz.

Miał ochotę przypomnieć Edwardowi, że Liz również będzie musiała uczynić wyrzeczenie, prawdę mówiąc, już je uczyniła, bał go się jednak antagonizować, żeby mu nie dać pretekstu do wycofania się z decyzji, która, jak podejrzewał, nie wypłynęła z dobroci serca.

- Oczywiście, przekażę Liz twoje życzenia - dodał oficjalnym tonem. - Minąłem się z nią właśnie w miasteczku, więc jeśli pozwolisz, poczekam na jej powrót.

- Wie, że ze mną rozmawiałeś? - spytał podejrzliwie Edward.

Ian potrząsnął głową.

- Nie, jest przekonana, że szukam kogoś, kto jej zrobi skrobankę.

Kiedy Liz wróciła, Ian natychmiast zauważył, że jest czymś do głębi poruszona. Patrzyła na niego oczami tak pełnymi bólu, jawnie niezdolna skupić uwagi na tym, co do niej mówi, że doktor wyprowadził ją łagodnie do ogrodu i posadził na ustronnej kamiennej ławeczce.

- Powiedziałem Edwardowi, że jesteś w ciąży - oznajmił bez wstępów.

Nie widać było, żeby nią to wstrząsnęło. Tylko lekkie rozwarcie jej zbolątych oczu świadczyło, że go słyszała.

- Zgadza się, żebyś urodziła dziecko.

To przykuło jej uwagę. Patrzyła teraz na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Ale stawia pewne warunki. Po pierwsze, że przyrzekniesz nigdy więcej nie zobaczyć się z ojcem dziecka i że nie będziesz z nim utrzymywała żadnych kontaktów. Po drugie, że dziecko będzie pozbawione prawa do dziedziczenia jakiegokolwiek części Cottingdean. Jeszcze nie jest za późno, wiesz, Liz. Możesz odejść od Edwarda.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie mogę - odezwała się po raz pierwszy. - To by się równało podpisaniu na niego wyroku śmierci. Nie mogę tego wziąć na swoje sumienie.

Ian nie zaprzeczył. Oboje dobrze wiedzieli, że to prawda. Dodał jednak łagodnie:

- Ale byłaś zdecydowana uśmiercić dziecko. Pobladła, przeszedł ją dreszcz.

- Nie miałam wyboru - odparła szeptem, po czym zapytała udreńczonym głosem: - Edward naprawdę pozwala mi urodzić dziecko?

- Tak - potwierdził Ian, lecz dodał ostrzegawczo: - Ale nie jest tym zachwycony, na pewno nieraz tego pożałuje i przeżyjesz z nim niejedną ciężką chwilę. On cię kocha, Liz, kocha cię miłością, która się łączy z pożądaniem. I jest o ciebie bardzo, bardzo zazdrosny. Życie nie będzie dla ciebie łatwe, więc zastanów się dobrze - ostrzegł ją. - Pamiętaj, że chodzi o przyszłość dziecka, na którym Edward może się chcieć odgrywać. Zdajesz sobie sprawę - dodał łagodnie - że

dla świata będzie to musiało być dziecko spłodzone przez Edwarda, tego wymaga jego duma.

- Przecież to niemożliwe.
- Niezupełnie. Istnieje sposób, który powinnaś znać z doświadczeń hodowlanych.

Kiedy jej wyjaśnił, zastanawiała się chwilę, a potem uśmiechnęła lekko.

- I myślisz, że ludzie w to uwierzą?
- Czemuż by nie? To naturalne, że małżeństwo chce mieć więcej niż jedno dziecko. Jeśli odpowiednio się to rozegra, rzuci tu i ówdzie poufną informację, że ta technika jest jeszcze w stadium eksperymentalnym, więc nie chcieliście nic mówić, dopóki ciąża nie będzie bardziej zaawansowana... Wszystko zależy od ciebie, Liz, od tego, jaką przyjmiesz linię postępowania. Dziecko może być twoje i twojego kochanka albo twoje i Edwarda. To zależy tylko od ciebie.

Milczał przez chwilę, po czym dorzucił:

- Ale na razie nie rozmawiaj o tym z Edwardem.

W rezultacie Liz była w szóstym miesiącu ciąży, nim Edward po raz pierwszy uczynił jakąkolwiek wzmiankę o jej stanie. Było to podczas obiadu, który wydali dla lorda namiestnika i jego żony. Lord wychwalał Liz za sposób, w jaki prowadzi fabrykę, kiedy jego żona pochyliła się przez stół, żeby jej pogratulować oczekiwanego dziecka.

- Tak - odpowiedział za nią Edward - cieszymy się oboje bardzo, że sprawy tak się potoczyły, prawda, kochanie? - Ujął Liz za rękę i ucisnął mocno, posyłając jej równocześnie jeden ze swoich rzadkich ciepłych uśmiechów. - Sprawa była trochę niepewna, więc utrzymywaliśmy ją długo w tajemnicy.

- Uważam, że to cudowne - rozpromieniła się lady Susan. - Jedno dziecko w rodzinie to za mało, prawda? Pewno chcieliby państwo mieć tym razem córeczkę?

- Będziemy się cieszyć bez względu na płeć dziecka, byleby było zdrowe - odparła cicho Liz.

Edward brał nadal nowy lek. Pozornie zdawał się bardziej zrównoważony, ale zdarzały się nadal momenty, w których Liz czuła narastającą w nim bezsilną furję. Bala się wówczas nie tyle o siebie, co o nie narodzone dziecko. Wkrótce jednak jego nastrój się odmieniał, mąż wpadał w płaczliwą skrucę, robił się bezradny i potulny, uświadamiając jej, jak mu jest niezbędna.

Na święta wielkanocne przyjechał do domu Dawid. Dowiedziawszy się, że Liz spodziewa się dziecka, wydawał się szczerze uradowany, że będzie miał braciszka lub siostrzyczkę.

Chociaż tym razem byłoby ją stać na znacznie zasobniejszą wyprawkę dla małego przybysza, Liz ograniczyła przygotowania do minimum. Ani ona, ani Edward nie wspominali w rozmowach jej stanu. W pierwszych miesiącach ciąży Edward odnosił się do niej z wyraźną rezerwą, potem zrobił się serdeczniejszy, Liz jednak czuła instynktownie, że nigdy nie pokocha tego dziecka tak jak Dawida.

Oznaczało to, że będzie się musiała mieć na baczności, by nie okazywać dziecku miłości większej niż Dawidowi. Edward będzie czuwał zazdrośnie, by nie miało żadnych specjalnych przywilejów, przejawów szczególnej matczynej czułości.

Położyła dłoń na łonie. Dziecko miało się urodzić pod koniec czerwca, a już była nieoczekiwanie gruba. Znacznie grubsza, wydawało jej się, niż kiedy nosiła Dawida.

Bóle rozpoczęły się trzynastego czerwca nad ranem. Za poradą Iana Holmesa zdecydowała się rodzić w domu i teraz, czując, jak szybkie i ostre są skurcze, zadzwoniła po niego i po miejscową akuszerkę,

Przyjechali oboje w odstępach paru minut, by stwierdzić, że poród nastąpi bardzo, bardzo niedługo.

- Tak to jest z drugimi dziećmi - chichotała akuszerka.
- Okropnie im śpieszno na ten świat, chcą koniecznie dogonić starsze
rodzeństwo.

1

Nie przestawała mówić o wszystkim i o niczym, w prze-
rwach rzucając Liz instrukcje. Była to pulchna kobieta o ma-
cierzyńskim zachowaniu. Jej pogoda i znajomość rzeczy mu-
szą działać kojąco na najbardziej nerwową rodzącą, myślała

Liz, wykonując posłusznie jej polecenia.

- No, jeszcze jedno pchnięcie... Wychodzi moja ślicznot-

ka... O, wspaniale, już jest... Śliczna dziewczuszka... z prze-

cudnymi włoskami... Niech pani tylko popatrzy!

Promieniejąc, akuszerka wycierała delikatnie niemowlę,

które właśnie otworzyło buzię i wydało pierwszy pisk prote-

stu. Podała je Liz.

Liz uśmiechała się z rozculeniem do córeczki, gdy poczuła nowy, rozdzierający skurcz bólu. Spięła się tak gwałtownie, że niemowlę zapłakało w jej ramionach. Akuszerka, która stała odwrócona, obróciła się czym prędzej z powrotem.

- O, mój Boże! - wykrzyknęła. - Zdaje się.

Odebrała niemowlę od Liz i ułożyła je pewnie w czekają-
cym łóżeczku.

- Niech pani przygotuje się, kochana. Szykuje się drugie
dziecko.

- Drugie dziecko?

Liz patrzyła na nią oszołomiona. Krzyknęła, bo chwycił ją nowy ból.

• No, ale z pani szczęśliwa kobieta - promieniała

akuszer-
ka. - Ma pani bliźniaki, chłopca i dziewczynkę.
Chłopiec jest
trochę mały, ale chłopcy rodzą się często mniejsi, potem
sobie
to odbijają. Właściwie nie powinniśmy być zaskoczeni.
Była
pani taka gruba. A to mąż będzie miał niespodziankę!
Umyję
panią trochę i poprosimy go tu, żeby...

- Nie!

Okrzyk, który się wyrwał Liz, był instynktowny i ostry. Pragnęła, potrzebowała tej specjalnej chwili sam na sam z nowo narodzonymi bliźniętami, chciała dzielić z nimi nie zamącony niczym ten moment wspólnoty duchowej, w którym powinien, lecz nie będzie, uczestniczyć ojciec. Dwójka dzieci, podwójny uśmiech losu! Czują, jak serce przepelnia jej się miłością, jak topnieje, kiedy patrzyła na ich twarzyczki. Zaparło jej dech, kiedy spojrzała powtórnie na nowo narodzoną córeczkę. Od razu po urodzeniu dostrzegła w jej rysach wyraźne podobieństwo do Lewisa. Poczowała łyzy wzbierające w oczach, kiedy tuliła do piersi oba niemowlęta.

- Moje skarby - szeptała płacząc. - Jesteście oboje skar-
bami.

Edward nalegał na umieszczenie w „Timesie” anonsu o narodzinach dzieci, jakkolwiek Liz z jakichś względów chciała tego uniknąć.

Postanowili nadać bliźniakom imiona Nicholas i Sage. Edward opierał się wprawdzie przed takim niezwykłym imieniem dla „swojej córki”, ale Liz nie ustąpiła. Imię takie nosiła babka Lewisa, o czym wspomniał jej kiedyś mimochodem, i chociaż Liz wiedziała, że to z jej strony śmieszny i niebezpieczny sentymentalizm, nie potrafiła się oprzeć potrzebie pozostawienia przynajmniej jednemu ze swoich dzieci choćby takiego śladu po ojcu.

Obiecała solennie Edwardowi, że żadne z dzieci nie dowie się nigdy o swoim pochodzeniu. Zgodnie z przyrzeczeniem była również zdecydowana nie zobaczyć się nigdy więcej z Lewisem.

Edward zapytał ją w końcu, kto był jej kochankiem, i Liz mu powiedziała. Nigdy potem nie poruszali już tego tematu.

Często myślała, co się dzieje z Lewisem. Wrócił, oczywiście, do Australii...

W pierwszych dniach po pologu, kiedy była słaba i rozczulona, zastanawiała się, czy czasami o niej myśli, i snuła roje-
nia, jakby się mogły potoczyć sprawy, gdyby... Tyle było tych „gdyby”. Nie powinna sobie pozwalać na rozważanie ich nawet w najtajniejszej skrytości ducha.

Myliła się jednak, bo Lewis nie wrócił do Australii. Przebywał ciągle w Londynie, dręcząc się, rozgoryczony i rozczarowany, rozmyślaniami o kobiecie, którą pokochał, a która twierdziła, że go także kocha, co się okazało kłamstwem. I oto

jednym z tych dziwnych zrządeń losu, pewnego ranka w domu przyjaciół, u których mieszkał, wpadł mu w oko w „Timesie” anons o urodzeniu się majorowi Edwardowi Danversowi syna i córki.

Domyślił się, oczywiście, natychmiast. Domyślił się i nie mógł uwierzyć w potworność nadużycia, jakie na nim popełniono.

Jego dziecko... jego dzieci zagarnięte przez tamtego człowieka. Jego dzieci... jego dzieci...

Niewiele myśląc, wynajął auto i pojechał do Cottingdean.

Bliźniaki miały trzy tygodnie.

Ian dosłuchał się ostatnio jakichś szmerów w płucach Edwarda i wymógł na nim wyprawę do miejscowego szpitala na prześwietlenie. Liz pojechała z nim.

Widziała, że wciąż bacznie obserwuje, czy nie będzie poświęcała więcej uwagi bliźniętom niż Dawidowi. Tak więc, mimo że nie wróciła jeszcze zupełnie do sił i że karmiła bliźnięta piersią, wbrew wątłym protestom Edwarda, pojechała z nim do szpitala.

Podczas jej nieobecności opiekowała się dziećmi niejaka pani Palmer, żona jednego z pracowników fabryki. Była to wesoła, pogodna kobieta, która wychowała własne dzieci i miała już wnuki, i która często pomagała w Cottingdean, kiedy byli goście. Otworzyła Lewisowi drzwi, gdy zadzwonił. Pamiętała go z poprzednich wizyt i miała do niego słabość. Taki przystojny, uprzejmy mężczyzna.

Zdziwiło ją trochę, gdy wyraził chęć zobaczenia bliźniąt. Mężczyźni nie interesują się na ogół niemowlętami, ale może jest ich ciekaw, bo słyszał o niezwykłym sposobie, w jaki się poczęły. Zaprowadziła go więc do ciepłego, przestronnego pokoju dziecinnego, po czym przeprosiła na chwilę, chcąc poszukać Chiversa, żeby zaparzył gościowi herbaty.

Pozostawszy sam z dziećmi, Lewis nie mógł od nich odebrać oczu. Dziewczynka jest żywa, jasnooka, głośniejsza. Chłopiec spokojniejszy, poważny. To jego syn, jego dziecko. Sam nie wiedział, kiedy podniósł Nicholasa z łóżeczka i wziął na ręce. Dziewczynka zaczęła płakać, jakby zazdrosna o uwagę poświęcaną bratu. Ta kobieta niedługo wróci, a to są jego dzieci. To jego syn. Syn, który powinien się prawnie wychowywać w Woolondze, powinien ją pewnego dnia odziedziczyć. Są to jedyne dzieci, jakie będzie kiedykolwiek miał, bo postanowił, że nigdy więcej się nie ożeni.

Decyzji, żeby zejść na dół, z synem na ręku, wymknąć się z domu i wsiąść do auta, nie podjął Lewis świadomie. Stało się to jakoś samo. W jakiś sposób dojechał do Londynu i, nie wstępując do przyjaciół, skierował się wprost na lotnisko, gdzie kupił bilet na najbliższy samolot do Australii, który odlatywał za godzinę. Szczęśliwym trafem miał ciągle wpisane do paszportu nieżyjącego syna, co jakby nadawało całej sprawie pozory słuszności. Utracił jednego syna, zabiera drugiego. Nie zdobył Liz, ale będzie miał ich wspólne dziecko. Jedno z ich dzieci. Ogarnął go na chwilę gniew na siebie, że

nie zabrał obojga, ale było już za późno. Nie mógł po nie jechać powtórnie do Cottingdean.

Ojciec, powracający do domu z niemowlęciem. Biedny człowiek, taki wymizerowany, myślała stewardesa przy odprawie. Co się stało z jego żoną? Cóż, nawet obecnie kobiety umierają przy porodzie. Przeszedł ją dreszcz.

Kiedy pani Palmer odkryła, że Nicholas zniknął, straciła głowę i zamiast wezwać pomoc, zaczęła biegać po domu, jakby się spodziewała, że niemowlę wstało i powędrowało do innego pokoju. W rezultacie minęło parę godzin, nim zniknięcie dziecka zameldowano policji. Nastąpiło to dopiero, gdy Edward i Liz wrócili ze szpitala i zastali panią Palmer szalejącą z rozpaczy.

Liz od razu wiedziała. Gdy tylko pani Palmer wspomniała o wizycie Lewisa. Zabrał jej dziecko... ich dziecko.

Podniosła zrozpaczone oczy na Edwarda.

- Nie martw się - odparł Edward. - Odbierzemy go!

Ale jakże mogła się nie martwić? W jaki sposób mają go odebrać?

Musieli powiedzieć policji, zdradzić, że Lewis jest ojcem dziecka, a ponieważ nie zgłosili jeszcze narodzin bliźniąt, usłyszeli, że Lewis ma jako ojciec jednakowe prawo do dziecka i nie ma możliwości legalnego odebrania go, bez nadania sprawie nieprzyjemnego rozgłosu.

McLaren napisał wkrótce z Australii, że zamierza zatrzymać dziecko, a jeśli Liz uczyni jakąkolwiek próbę odzyskania go, to on poda sprawę do wiadomości publicznej.

Liz czuła w głębi serca, że Edward jest niemal rad z obrotu sprawy, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Żałuje pewno, że Lewis nie zabrał obojga dzieci, myślała z goryczą. Co do pani Palmer, zamartwiającej się w poczuciu winy, to przyjęła ona z wdzięcznością sugestię powrotu wraz z mężem, który dobiegał wieku emerytalnego, do północnej Anglii, gdzie mieszkała ich zameężna córka. Derek Palmer otrzymał hojną emeryturę, a w miasteczku rozgłoszono, że chłopiec, jeden z bliźniąt Liz, który od początku nie był zbyt silny, zachorował i umarł.

Wersję tę potwierdzał fakt, że Liz tak zmizerniała i tak kurczowo trzyma się drugiego dziecka. Wkrótce też uznano powszechnie, że ponad jej siły jest mówienie o zmarłym chłopcu czy choćby przypominanie jego imienia, i nikt nie ważył się poruszyć tego tematu, nawet, by jej wyrazić współczucie.

Sama Liz była niepokieszona, zdruzgotana bólem i winą do tego stopnia, że Ian zaczął się bać o jej zdrowie psychiczne. Tak zaborczo strzegła Sage, iż powiedział jej w końcu, że jeśli nie zmieni postępowania, to zburzy wszystko, co z takim trudem zbudowała. Sposób, w jaki się trzęsie nad córką, zantagonizuje Edwarda tak, że wkrótce zniemawidzi dziecko i znacznie się na nim odgrywać.

Liz doceniła mądrość tego ostrzeżenia. Zauważyła sama, że Edward odwraca się od małej, nie chce jej dotknąć ani wziąć na ręce, a w jego oczach pojawia się zniecierpliwienie, ilekroć dziecko zapłacze. Odręca ją. I Liz złąkla się nie na

żarty o córkę. Zaczęła dyskretnie pilnować, by Sage nie została z nim nigdy sama, obserwować trwożnie jego zachowanie, pamiętając, jak rzucił się wówczas na nią.

W jakim domu, w jakiej atmosferze będzie dorastała Sage?

Cóż ona zawiniła?

- Przebac mi, maleńka - szeptała nad łóżeczkiem córki, przełykając łzy. - Tak bardzo pragnęłam cię mieć, ale to egoizm z mojej strony, może lepiej by było, gdyby twój tatuś zabrał was oboje. Ale nie przeżyłabym utraty ciebie, jesteś taka do niego podobna. Nie przeżyłabym...

Przed nikim w świecie by się nie przyznała, że właśnie to dziecko, to z bliźniąt jest bliższe jej sercu. I znacznie bliższe niż Dawid. Nie dlatego że się urodziło przed swoim bratem, dlatego że spojrzała w jego buzię i zobaczyła w niej Lewisa. Czasami wydawało jej się, że nie udźwignie ciężaru miłości do córeczki. A bała się tę miłość okazywać, by nie denerwować jeszcze bardziej Edwarda. Sage pozostanie zawsze jej ukochanym dzieckiem, nic na to nie poradzi, nie wyprze się tego przed sobą, ale nie może pozwolić, by ktokolwiek się tego domyślił, nawet sama Sage, bo jak się domyśli... jak się domyśli...

Po utracie Nicholasa była taka przerażona, taka śmiertelnie przerażona, że jeśli pozwoli się komukolwiek domyślić, jaka droga jej sercu jest Sage, to w jakiś sposób wystawi na szwank

jej szczęście.

Edward już jej nie lubi, już ją odpycha. Dawid, cóż, Dawid kocha wszystkich. Ale co będzie, jeśli Edward zwróci się otwarcie przeciwko Sage, jeśli zmieni zdanie i ogłosi publicznie, że nie jest jego córką?

Liz zadrżała ze strachu i udręki. Nie może do tego dopuścić. A jeśli Edward to uczyni, to ona od niego odejdzie, weźmie Dawida i ukochaną córeczkę i rozpocznie nowe życie gdzie indziej. Nic nie jest ważniejsze niż to dziecko, dziecko Lewisa. Ono liczy się bardziej niż jej własne życie. Więc uczyni wszystko, żeby je chronić, włącznie z wyrzeczeniem się gorzko-słodkiego prawa do okazywania światu, jak drogą jej sercu jest to maleństwo.

Tego wieczora Edward oznajmił ze zniecierpliwieniem przy kolacji:

- Mała znowu płakała przez całą noc. Uważam, że powinnaś wziąć do niej piastunkę. Za bardzo cię absorbuje.

Liz była już na to po trosze przygotowana. Kryjąc gniew i strach, i cały swój ból, z głową pochyloną nad talerzem, odparła spokojnym głosem:

- Skoro tak uważasz, Edwardzie...
- Tak uważam - uciął krótko.

Doczytawszy stronę do końca, Sage stwierdziła, że płacze.

- O, Boże, Boże! - powtarzała na głos.

Ukrywszy głowę w dłoniach, dała swobodny upust łzom. Tyle lat, a ona nic nie wiedziała, niczego się nie domyślała. Przez tyle lat mamusia ją chroniła, osłaniała, kochała. Przez

tyle lat dźwigała samotnie brzemień swojej wiedzy.

Nawet po śmierci Edwarda, kiedy mogła była jej już powiedzieć, mogła była ją wyswobodzić...

Porwała dziennik i rzuciła się ku drzwiom. Otworzyła je i zawołała:

- Faye! Faye!

Sage spacerowała niespokojnie po gabinecie, przystając od czasu do czasu, żeby sprawdzić, ile Faye zostało jeszcze do przeczytania.

Kiedy bratowa przybiegła w odpowiedzi na jej alarmujące wołanie, Sage była zbyt wytrącona z równowagi, by uczynić; coś więcej, jak wsunąć jej pamiętnik w dłonie i wykrztusić:

- Masz, czytaj. Tę ostatnią partię. Szybko, Faye!

Gdy teraz Faye zamknęła ostatnią stronicę i odłożyła pamiętnik, popatrzyły na siebie w milczeniu.

• I ty nic nie wiedziałas, nie miałaś o niczym pojęcia? Sage potrząsnęła głową.

• Nie... A ty?

• Nie - westchnęła bratowa - nie wiedziałam. Jakież straszliwe brzemień ona dźwigała! Kiedy pomyślę, jak samolubnie, przysparzałam jej ciężaru własnymi kłopotami... Nic dziwnego, że twój tatuś... - zatrzymała się i poprawiła -... że Edward był taki zdruzgotany po śmierci Dawida.

• Tak - przyznała melancholijnie Sage. - Rozumiem teraz wszystko o niebo lepiej. Mamusia bała się mi okazywać miłość, żeby tatuś... żeby Edward się na mnie nie mścił. A potem, kiedy byłam prawie dorosła i myślała pewnie, że będzie mogła nareszcie odetchnąć, musiałam się zakochać we własnym bracie... We własnym bracie bliźniaku... - Sage zamknęła oczy. - Nic dziwnego, że wydawał mi się zawsze taki bliski. Ciekawe, czy wie... czy ojciec... pan McLaren...

Nie chciało jej przejść przez gardło nazwanie go tatusiem. To było zbyt świeże, zbyt bolesne. Przecież wtedy gdy poszła odwiedzić Scotta w szpitalu, on wiedział, wiedział, a nie uczynił żadnej próby porozmawiania z nią.

- Musimy go zawiadomić - oznajmiła raptem Faye. - Ma prawo wiedzieć.

Sage spojrzała na nią zdumionymi oczyma.

- Ależ on może nie chcieć wiedzieć. Mógł się ożenić z inną kobietą.

Faye zmarszczyła czoło.

- Nie chodzi mi o Lewisa, Sage - powiedziała cicho.

- Miałam na myśli Scotta. Ma prawo wiedzieć o stanie swojej matki. Takie samo prawo jak ty.

Sage zeszywniała.

- Tak, tak, masz rację - przyznała przejętym głosem.

- Powinien wiedzieć, to również jego matka... O mój Boże, Faye! To jak grom z jasnego nieba, nie mogę w to uwierzyć.

Kiedy sobie pomyślę, co mamusia musiała przeżywać, gdy przywiozłam do domu Scotta i zorientowała się...

Patrząc na jej pochyloną kasztanową głowę, Faye się zastanowiła, czy Sage zdaje sobie sprawę, jak wiele mówiący jest fakt, że współczuje matce, rozczuła się nad nią, nie nad sobą.

- Niewykluczone, że Scott wie - powiedziała Faye z namysłem. - Lewis McLaren mógł nie mieć innego wyjścia, tylko mu powiedzieć, żeby go powstrzymać od kontaktowania się z tobą.

- Może, nie wiem. W tej chwili już nic nie wiem. Przez tyle lat myślałam, że mamusia mnie nie chciała, nie kochała mnie tak jak Dawida, podczas gdy w rzeczywistości...

- W rzeczywistości ty byłaś zawsze jej ukochanym dzieckiem - dokończyła za nią Faye. - To musiało być dla niej straszne, chcieć ci okazać, jak bardzo cię kocha, i nie móc, żeby cię nie narażać na zazdrość Edwarda. Ukrywać miłość do ciebie dla twego własnego bezpieczeństwa. Z pamiętnika wynika jasno, jak drżała w tych wczesnych latach, że Edward zmieni zdanie i każe cię oddać.

- Tak - potwierdziła Sage - a ja jej nie ułatwiałam zadania. Myślisz, że naprawdę powinniśmy zawiadomić Scotta?

- Oczywiście, tylko nie wiem, jak to zrobić. Napisać list?

- Zatelefonować - podsunęła Sage.

- To by było najlepsze, ale nie znamy numeru. Sage milczała chwilę, nim odrzekła cicho:

- Ja znam.

- Kochasz go ciągle? - spytała ją Faye ze współczuciem. Sage potrząsnęła głową.

- Nie w sposób, w jaki przypuszczasz, jako potencjalnego kochanka. Ale wspomnienie o nim jest ciągle bolesne. Odczuwam jego brak, jakbym... -zawahała się, szukając właściwego słowa -... jakbym utraciła część siebie. Przyczynę tego upatrywałam zawsze w moich złych stosunkach z... z Edwardem, w tym, że mnie przez całe życie odpychał, tak że potem odepchnięcie przez Scotta stało się podwójnie dotkliwe, pozostawiło mi straszliwe poczucie opuszczenia, osamotnienia. Po przeczytaniu pamiętnika mamusi zastanawiam się, czy nie istnieje prostsze wytłumaczenie. Może jakaś część mnie podświadomie czuła, że łączą nas więzy krwi. Może przeżywałam rozłączenie tak boleśnie dlatego, że jesteśmy bliźniętami. A przecież nic nie wiedziałam, nikt mi nigdy nie powiedział.

- Tak, twoja mamusia wyraźnie pisze o decyzji ro zgłoszenia, że Scott... no, ona go nazywa Nicholasem, to Lewis McLaren z oczywistych powodów zmienił mu imię... że Scott umarł i że nikt nie powinien o tym wspominać, bo sprawia jej to zbyt wielki ból.

- I nikt nie wspomniał słówkiem. A pomyśleć, że tak łatwo mogłam się dowiedzieć, no, może nie, że Scott jest moim bratem, ale że w ogóle miałam brata bliźniaka... Ale przez te wszystkie lata nikt mi nie powiedział. Faye wzruszyła ramionami.

- Większość ludzi przypuszczała pewnie, że wiesz i, jak

twoja mamusia, nie chcesz poruszać tego tematu.

- Chivers oczywiście wiedział, ale on był nieskończenie lojalny zarówno wobec mamusi, jak Edwarda i nigdy nie rozmawiał ze mną na tematy rodzinne. Zresztą, nie dorosłam do tego, miałam dwadzieścia trzy lata, kiedy umarł, podobno we śnie... No, to pójdę na górę poszukać tego numeru. Mam nadzieję, że Scott faktycznie wie, w przeciwnym razie będzie to dla niego straszliwy wstrząs. - Zawahała się, z niepewną miną patrząc na Faye. - Naprawdę myślisz... ?

- Myślę, że mamusia będzie potrzebowała wszelkiej pomocy, żeby wrócić do zdrowia. Kiedy się obudzi po operacji i zobaczy cię razem ze Scottem...

- Tak, tak - przyznała Sage bliska łez. - Masz słuszność.

Znalazła telefon Scotta w starym notesie, który trzymała, nie wiedząc sama, czemu się bawi w takie sentymenty. Patrząc na znajomy numer, przypomniała sobie, jak go ostatni raz nakręciła i usłyszała w słuchawce, że pan Scott McLaren nie życzy sobie telefonów od niej.

Jakżeż ją to zabolalo! Zamknęła oczy, rozpamiętując z drżeniem, jaka była bliska katastrofy. Szczęściem, nie zostali ze Scottem kochankami. Myśl, że mogła się kochać z własnym bratem bliźniakiem, choćby w nieświadomości, napęliła ją taką wewnętrzną odrazą, że nie wiedziała, jakby to przeżyła. Nawet dowiadując się po tylu latach... Jeszcze jedna rzecz, którą zawdzięcza czujności mamusi. I Lewisa McLarena, jej ojca!

Po raz pierwszy zastanowiła się, jaka była jego reakcja, gdy po tylu latach usłyszał w telefonie głos mamusi. I dowiedział się, że jego syn i jego córka... ich wspólne dzieci są o krok od zostania kochankami.

Po skórze przebiegł jej nowy dreszcz. W gardle poczuła ostry skurcz, który zapowiadał łzy. Nie czas teraz na płacz, za wiele jest do zrobienia.

Zbiegła na dół z notesem w ręce i podała go Faye.

- Chyba ty będziesz musiała zadzwonić - oznajmiła bratowej. - Ja się nie czuję...

Urwała, bo do gabinetu wpadła Kamila. Zatrzymała się, jakby napotkała niewidzialną barierę.

- Stało się coś? - zapytała ostro. - Coś z babcią?

- Nie, nie, nic się nie stało - uspokoiła ją Faye. - Idź na górę, przebierz się...

- Nie - zaprotestowała Sage. - Powinniśmy jej powiedzieć. Uważam, że dosyć było sekretów w naszej rodzinie. Wszystkie z najwznieśszych pobudek...

- Powiedzieć mi co? - zapytała oszołomiona Kamila.

Szybko i jak umiała najobjektywniej Sage zrelacjonowała jej swoje odkrycie.

- Masz brata bliźniaka? - Kamila wpatrywała się w nią przez chwilę zdumionymi oczyma, po czym opadła na fotel.

- O raju! Czy on wie? Jaki jest?

- Dosyć pytań, Kamilo - przerwała jej zdecydowanie

Faye. - Ciocia przeżyła wstrząs i na pewno nie życzy sobie być zarzucaną przez ciebie pytaniami. Załatwię teraz ten telefon, dobrze, Sage?

Sage pokiwała niepewnie głową.

- Jaki telefon, mamusiu? - zapytała natarczywie Kamila.

- Może ktoś by mi powiedział, co tu się dzieje?

- Trochę cierpliwości, Kamilo. Zadzwonimy z tego aparatu, co, Sage? - zwróciła się do niej Faye. - Chyba najstosowniej będzie rozmawiać z gabinetu mamusi?

- Tak - potwierdziła Sage z uśmiechem. - Z tego aparatu.

Jedną połową duszy pragnęła sama załatwić ten telefon, drugą - uciec jak najszybciej i jak najdalej z tego pokoju. Prawdę mówiąc, była śmiertelnie przerażona, jak zareaguje Scott. A jeśli o niczym nie wie... i nie chce wiedzieć? I co powie jego ojciec... jej ojciec?

Odwróciła się, gdy Faye zaczęła wybierać numer. W ustach zaschło jej nagle, żołądek podszedł pod gardło. Usłyszała, jak bratowa odchrząkuje, po czym rozległ się jej silny głos:

- Halo! Chciałabym mówić z panem Scottem McLarenem... Moje nazwisko Faye Danvers, ale wątpię, czy to mu coś powie... Tak, tak, poczekam.

Zakrywszy mikrofon słuchawki, obróciła się szybko do Sage i wyjaśniła:

- To gosposia, poszła go poszukać. Mówi, że jest pewnie w kancelarii.

- Z tego, co Scott mi opowiadał, ranczo składa się z całego kompleksu zabudowań...

Urwała, bo Faye nagle zdjęła rękę z mikrofonu. Tak wyraźnie, jakby sama trzymała przy uchu słuchawkę, Sage usłyszała energiczny głos dojrzałego mężczyzny:

- Mówi McLaren.

Lewis, nie Scott. Sage była tego pewna, Faye zdaje się też.

- Pan Lewis McLaren? - spytała z wahaniem Faye. - Ja właściwie chciałam mówić z panem Scottem McLarenem.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Sage usłyszała ku swemu zaskoczeniu, jak bratowa mówi zmienionym głosem:

- Pan mnie nie zna, proszę pana, ale nieobce jest panu moje nazwisko. Jestem synową Liz Danvers. Teściowa miała wypadek, została parę dni temu potrącona przez samochód. Leży w szpitalu, czeka ją operacja... Słucham? Nie, nie, nie ma bezpośredniego zagrożenia. Ale operacja jest poważna. Przez jakiś czas po wypadku mamusia była przytomna i poleciła nam, to jest mnie i Sage, swojej córce, żebyśmy przeczytały pamiętniki, które prowadziła od czasu, gdy była siedemnastoletnią dziewczyną. Krótko mówiąc, proszę pana, dowiedziałyśmy się właśnie z Sage, że... ona i Scott są bliźniętami. Więc pomyślałyśmy... to znaczy, ja pomyślałam, że jeśli Scott wie, że Liz jest jego matką, to pewnie by chciał... Ależ tak, tak, lekarz nas zapewnia, że jest dostatecznie silna, żeby przetrzymać operację. Podawali jej przez parę dni silne środki w nadziei, że skrzep się sam rozejdzie... W jakim szpitalu? Świętego Gilesa w Londynie... Tak, szpital ma bardzo dobrą opinię, a obie z Sage pokładamy pełne

zaufanie w lekarzu, który się nią opiekuje... Operacja? Jest wyznaczona na jutro... Odłożyć ją o dwadzieścia cztery godziny? No, nie myślę...

Faye zmarszczyła się i odsunęła nagle słuchawkę od ucha.

- Chce mówić z tobą - powiedziała do Sage.

Sage poczuła, że przechodzi ją mróz. Stała niezdolna się poruszyć, niezdolna wydobyć głosu, dosłownie skamieniała.

Trzeba było dopiero lekkiego pchnięcia Kamili, żeby ruszyła z miejsca. Wzięła od Faye słuchawkę jak osoba w transie, podniosła ją wolno. Oczy miała pociemniałe, źrenice rozszerzone, policzki pozbawione krwi, oddech szybki i nieregularny. Przyłożywszy słuchawkę do ucha, usłyszała nieznamy męski głos, dopytujący się natarczywie:

- Sage, jesteś tam? Sage!
- Jestem...

Jej głos zabrzmiał jak skrzeknięcie, zdławiony, chrapliwy dźwięk, który ledwo poznała.

• Mówi Lewis McLaren. - Nastąpiła pauza, a po niej ostre, pełne przejęcia wyznanie, którego nie spodziewała się nigdy usłyszeć: -Twój ojciec... Razem z twoim bratem przylecimy pierwszym samolotem. Nie pozwól im operować, dopóki nie przylecimy. Rozumiesz, Sage? Muszą, muszą na nas poczekać! Boże, Liz... Nie mogę w to uwierzyć. Sage, słuchasz mnie?

- Słucham, słucham... Ile to potrwa?
- Najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Nie więcej. Mu-

simy zdążyć na pierwszy samolot do Londynu.

i

- Przylecicie obaj? - przerwała mu Sage, odzyskując raptem głos.

Nastąpiła krótka pauza. Jego głos był mocniejszy i głębszy, kiedy ją zapewnił:

- Przylecimy obaj.

Sage uświadomiła sobie nagle z bólem, że ten człowiek musiał bardzo kochać mamusię. Może, mimo okoliczności, w jakich się rozstali, kocha ją nadal? A ona, ona sama, może jest znacznie bardziej jego córką, niż jej się mogło przyśnić w czasach, gdy sądziła, że jej ojcem jest Edward.

Jakby czując ogarniające ją napięcie, Lewis McLaren dorzucił cicho:

- Nic się nie martw, Sage. Będziemy na czas. Dopilnuj tylko, żeby odłożyli operację o dobę. Chcę porozmawiać z tym chirurgiem, upewnić się, że twoja mama jest w dobrych rękach.

Dawna Sage, Sage, jaką była przed tą wyprawą w przeszłość, zareagowałaby ostro na jego arbitralny ton, na ciche założenie, że ona i Faye nie potrafią zapewnić mamusi najlepszej opieki lekarskiej. Teraz jednak odkryła w sobie jej dar widzenia tego, co pod powierzchnią, dostrzegania prawdy ukrytej za ludzkimi reakcjami, i wyczuła jasno, że Lewis McLaren jest przejęty do głębi, dosłyszawszy w jego głosie rozpaczliwą potrzebę znalezienia się przy mamusi.

- Porozmawiam z lekarzem - powiedziała uspokajająco - ale wątpię, żeby był tym zachwycony. - Milczała chwilę, po czym, nie mogąc się powstrzymać, zapytała: - Czy Scott... czy Scott... jest szczęśliwy?

Nastąpiła krótka pauza, po której jej ojciec odpowiedział zduszonym głosem:

- Tak, tak, jest bardzo szczęśliwy. Ma żonę i dwóch wspólnych chłopców. Ale musiałem mu powiedzieć prawdę. Musiałem mu wyjaśnić, dlaczego nie może być z tobą.
- Tak, rozumiem.
- Nie gniewaj się... ale oboje z twoją matką... ze względu na to, że żył Edward... musieliśmy zrobić, co uważaliśmy za najlepsze dla was obojga. - Milczał chwilę, po czym podjął: - Zadzwoń do ciebie, jak tylko wylądujemy w Londynie. Gdzie będziesz?

• Najprawdopodobniej tutaj, w Cottingdean.

Podawała mu numer. Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy powiedział śpiesznie:

- Nigdy nie przestałem kochać twojej mamusi, wiesz? Przez te wszystkie lata nie było dnia, żebym o niej nie myślał. O tobie też. Pragnąłem was tu mieć. Ale ona nie chciała, nie potrafiła od niego odejść. Był dla niej ważniejszy ode mnie.
- Mylisz się - odparła Sage. - To nie było tak. Mamusia uważała, że to jej obowiązek... że winna jest Edwardowi...
- Co mu jest winna? Resztę życia... nasze szczęście... moje dzieci?

Czuła w jego głosie gorycz, ból utraty. Ścisnęło jej się gardło. O, tak, jest jego nieodrodną córką. Mamusia niewątpliwie to widziała i przez wszystkie te lata dzień po dniu rozdzierało jej to serce.

Kiedy odłożyła słuchawkę, łzy ciekły jej po policzkach. Faye bez słowa wyciągnęła do niej ramiona i Sage wsunęła się w nie. Podeszła Kamila i objęła je obie, po czym trwały tak przez parę minut w milczącym uścisku.

Pierwsza powróciła do rzeczywistości Sage.

- Musimy zadzwonić do szpitala - przypomniała - przesunąć operację. Trzeba będzie chyba wyjaśnić dlaczego. Zrobisz to, Faye? Ja nie sądzę.
- Oczywiście, oczywiście. Słuchaj, może pójdziesz na górę, położysz się trochę? Przeżyłaś taki wstrząs...
- Nie, nie, zostanę tutaj. Odpiszę na część listów. Ciągle ich przybywa. Wiedziałam, że mamusia ma rozległe stosunki, ale nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, ilu zna ludzi.
- Tak, wszyscy ją kochają - potwierdziła Faye.
- O tak! Ciekawa jestem, czy pozwalała sobie czasami rozpamiętywać, czego się wyrzekła, nie odchodząc z moim tatusem.
- Znając ją, nie mam wątpliwości, że była tego świadoma. Jakaż kobieta mogłaby to zapomnieć?
- Chyba żadna - przyznała Sage. - Chyba żadna.

Jak przewidywała Faye, Alaric Ferguson najpierw nie chciał wierzyć własnym uszom, a potem okropnie się zirytował.

wał, kiedy mu spokojnie powtórzyła, że proszą o przesunięcie operacji o dwadzieścia cztery godziny.

Nie przewidziała natomiast, że ją tak ubawi, a nawet na swój sposób podnieci uświadomienie sobie, że powodem jego irytacji jest po części zainteresowanie dla niej jako kobiety, które wyolbrzymia jego reakcje.

Zmiękła w końcu i wyjaśniła mu przyczyny, on zaś z ociąganiem zgodził się w tych okolicznościach przesunąć operację. Faye czuła jednak, iż ma do niej żal, że postawiła go w sytuacji przegrywającego.

Odłożywszy słuchawkę, skonstatowała z niejakim zaskoczeniem, że po raz pierwszy w życiu zakosztowała smaku przewagi odniesionej w wojnie płci, wojnie która dla większości jej siostr jest rzeczą codzienną.

Sage twierdzi, że Alaric Ferguson ma do niej słabość... Wydał jej się teraz na tyle wart zainteresowania, że jej to pochlebilo.

Daniel wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w uporczywie milczący telefon. Wiadomość, na którą czekał, nie nadchodziła, a liczył na nią, zanim będzie musiał odpowiedzieć na ultimatum Sage. Prawdę mówiąc, dlatego zażądał przedłużenia pierwotnego terminu.

Dziwił się swojej niemądrej nadziei, że wiadomość wpłynie na zmianę stosunku Sage do niego, złagodzi jej antagonizm, ułatwi im porozumienie i... I co? Zostanie kochankami? Przecież pragnie nie tylko tego, żeby z nim poszła do łóżka. Gdyby wyłącznie o to chodziło...

Przyznaj się - szydził z siebie - masz prawdziwą obsesję na punkcie tej kobiety, od początku miałeś. Ty jej nie pożadasz. ty ją kochasz...

Zadzwonił telefon. Była to wiadomość, na którą czekał. Odłożywszy słuchawkę, pomyślał, że opłaciło się utrzymywanie znajomości z Helen, mimo że tak często irytowała go jej zaborczość, jej uporczywe próby przekształcenia kontaktów zawodowych w stosunek bardziej osobisty.

Chwilami było mu jej żal. Helen jest atrakcyjną kobietą, ma przed sobą świetną karierę, cóż kiedy należy do kobiet, którym się wydaje, że ich uroda i apetyty seksualne upoważniają je do szczególnych przywilejów w życiu. Połuje na bogatego męża czy kochanka, lecz sposób, w jaki to robi, zawsze odstręczał Daniela. Mimo woli porównywał jej postawę z postawą Sage. Sage, która jest taka niezależna, dumna, powściągliwa. A przynajmniej była, dopóki się przed nim nie załamała i nie powiedziała...

Poczuł skurcz w dołku. Był durniem, że z tego nie skorzystał! Durniem? Dlatego że nie rzucił jej na ziemię i nie wziął? Ale przecież chciał, żeby ich stosunek był inny. Pożądał jej, oczywiście, ale chciał od niej czegoś więcej, niż uległości seksualnej, niechętnego i gniewnego przyznania, że go pragnie. Nie chciał nad nią górować, nie chciał wykorzystywać przeciwko niej jej własnego porywu, podporządkowywać jej sobie w jakikolwiek sposób. Chciał, żeby sama do niego przy-

szła. Dumnie, swobodnie, z miłością. Cóż, nie doczeka się, że mu poda swoje serce na dłoni, ale czy nie wolno mu pomarzyć?

Jadąc do Cottingdean, zastanawiał się, jak Sage zareaguje na wiadomość. Nie będzie go oczekiwała, bo termin ultimatum jeszcze nie minął, zresztą, będzie się spodziewała przedtem telefonu. Będzie napięta, podwójnie napięta ze względu na poważny stan matki. Westchnął w duchu. Oby Liz Danvers wyzdrowiała! Polubił ją i miał dla niej dużo podziwu. Odkrył w niej czarującą, otwartą kobietę i dziwił się czasami, że wydała na świat taką chimeryczną, nieobliczalną córkę jak Sage.

Jazda zajęła mu więcej czasu, niż myślał. Dwór zastał cichy, chociaż we wszystkich oknach paliły się światła. Przebiegła mu przez głowę myśl, że Liz Danvers.

W napięciu popatrzył na górne piętro, po czym zaparkował auto i wysiadł.

Drzwi otworzyła mu Faye. Nachmurzyła się, gdy zapytał o Sage. Sage była dotąd w gabinecie, a kiedy Faye do niej ostatni raz zajrzała, spała smacznie, zwinęta w kłębek na fotelu jak małe dziecko. Faye nie miała serca jej budzić.

Za poradą Sage opowiedziała Kamili o swojej przeszłości. Reakcja córki, jej wstrząs i gniew, jej miłość i czułość, jej współczucie i dojrzałość, powiedziały Faye wiele o Kamili, a jeszcze więcej o niej samej. To dziecko, które urodziła i wychowała, jest teraz prawie dorosłą kobietą. Uświadomiła sobie na nowo to, o czym czasami zapominała, że Kamila jest również córką Dawida i że w znacznej mierze odziedziczyła po nim jasność widzenia, głębię zrozumienia, życzliwość.

- Obawiam się, że Sage nie może się w tej chwili z panem zobaczyć - oznajmiła gościowi, ten jednakże, ignorując jej sprzeciw, wsunął się koło niej do środka, tak że nie pozostało jej nic innego, jak zamknąć za nim drzwi.

- Zobaczy się ze mną - zapewnił. - Spodziewa się mnie.

Spodziewa się? Sage nic jej nie wspominała. Faye spojrzała z wahaniem na drzwi gabinetu i Daniel, korzystając z jej nieostrożności, ruszył w ich kierunku.

- Jest tam, prawda? - rzucił chłodno. - Proszę się o mnie nie martwić, zaanonsuję się sam.

- Nie może pan tam wejść - zaprotestowała Faye, ale było za późno, bo Daniel już nacisnął klamkę i wchodził do środka.

Sage spała skulona na jednym z foteli, z dłońmi pod twarzą. Smugi tuszu do rzęs na jej policzku zdradzały, że płakała. Na jej widok serce zabiło mu żywiej, a ciało ogarnęła słabość.

Zbliżywszy się Daniel zobaczył na jej kolanach rozsypane fotografie. Kilka zsunęło się na podłogę, więc schylił się odruchowo, żeby je zebrać. Zesztywniał, widząc uśmiechającą się z nich, młodzieńczą twarz Scotta.

Przeszył go skurcz bólu, gniewu i złości. Miał przez moment ochotę wziąć zdjęcia i wrzucić je do ognia. Czy to się nigdy nie skończy? Czy ona nigdy nie zapomni, nigdy nie przestanie patrzeć w przeszłość, nie obróci oczu ku przyszłości? Tak, był zazdrosny. Zazdrosny o Scotta. Zazdrosny o jej miłość do niego. Zazdrosny do tego stopnia, że byłby gotów unicestwić jeśli nie człowieka, to w każdym razie jego podo-

biznę na papierze.

Kiedy się nad nią pochylił, poruszyła się, zmarszczyła, zamrugła. Przez chwilę patrzyła na niego bez żadnej rezerwy, żadnej podejrzliwości, tak że Daniel miał ochotę wyciągnąć rękę i wziąć ją w ramiona, ale jej spojrzenie już zaczynało się zmieniać, robić ostrożne, nieufne, wrogie. Opuściła nogi z fotela i chciała wstać, ale zagrażał jej drogę.

• Daniel? - zapytała i głos jej się załamał. - Co ty tu robisz? Kto cię wpuścił?

• Przyjechałem w odpowiedzi na twoje ultimatum - odparł krótko. - Chyba pamiętasz? Czy też zbyt byłaś zajęta rozpamiętywaniem przeszłości i rozczulaniem się nad sobą? Mój Boże, Sage! Co się z tobą dzieje? Czy ty... ?

Niezupełnie rozbudzona i oszołomiona przyplwyem sprzecychnych uczuć, Sage przez chwilę nie wiedziała, o czym Daniel mówi. Patrzyła, jak z niesmakiem rzuca na biurko fotografie, które zebrał z podłogi. Złapała go odruchowo za rękaw.

• Danielu, ty nie rozumiesz. Scott jest...

• Rozumiem doskonale - przerwał jej niecierpliwie. - Rozumiem doskonale. I pomyśleć... I pomyśleć, że był czas, kiedy mi się wydawało, że istnieje dla nas wspólna przyszłość, że, kto wie... może się opamiętasz, może zrozumiesz... Przecież mnie pragniesz, a Bóg jeden wie, jak bardzo ja ciebie pragnę. I zapewniam cię, że ze mną zaszłabyś o niebo więcej szczęścia, niż dał ci jakikolwiek inny mężczyzna...

Urwał i zaklął w duchu na widok jej miny. Zupełnie źle się do tego zabiera. Zna ją przecież wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak zareaguje na takie *dictum*. I trudno jej się dziwić. Ale był taki zaskoczony, taki wściekły, taki dotknięty, zastawszy ją lejącą łzy nad zdjęciami Scotta. Poczul się, jakby otrzymał cios w samo serce. Nie mógł nigdy znieść myśli, że ona wspomina Scotta, tęskni do niego, pragnie go. Wiedział przecież, że to, co jest między Sage a nim, Danielem, jest znacznie potężniejsze niż to, co ją kiedykolwiek łączyło ze Scottem McLarenem. Gdyby tylko zechciała dopuścić do siebie tę świadomość... Cóż, kiedy nie chce.

Tymczasem Sage patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Daniel jest zazdrosny, zazdrosny o Scotta, uświadomiła sobie w tak potężnym przyplwywie uczucia, że o mało nie wyciągnęła do niego ramion. Powstrzymała się w samą porę.

• Danielu, ty nie rozumiesz... - zaczęła ponownie.

• Guzik, nie rozumiem - przerwał jej ze złością. - Świetnie wszystko rozumiem. I pomyśleć, że przyjechałem tutaj dzisiaj w nadziei... licząc... A, lepiej ci od razu powiem, z czym tu przyjechałem. Masz kłopot z głowy, Sage, twoje ukochane Cottingdean jest bezpieczne. Autostrada zostanie przeprowadzona inną trasą.

Sage patrzyła na niego nie rozumiejąc.

• Jak to inną trasą? Przecież to niemożliwe. Nie mogli zmienić projektu w tym stadium.

• Ta możliwość zawsze istniała - przerwał jej szorstko Daniel. - Tylko ty byłaś taka napalona, żeby się ze mną porachować, żeby mi przyłożyć, że nie przyszło ci to do głowy.

Nie powinnaś brać wszystkiego tak osobiście - oświadczył jej lodowato.

- Danielu, ja...

Tyle mu chciała wytłumaczyć. Tyle ją z nim łączy. Miała to na czubku języka, wystarczyłoby słowo zachęty z jego strony, a wylałoby się wszystko z jej piersi. Lecz on już się odwracał.

- Lepiej sobie pójdę - oznajmił nieustępliwie. - Przepraszam, że ci przerwałem rozczulanie się nad sobą. Szkoda, że Scott nie mógł tego widzieć, co? Do widzenia, Sage!

Powiedział to tak, że serce jej zamarło. Odchodzi, zostawia ją. Nie będzie następnego razu, nie będzie miała już nigdy okazji... Ale nim spróbowała go zatrzymać, nim zdążyła otworzyć usta, do gabinetu wpadła Faye, oznajmiając od progu:

- Wszystko załatwione, Sage. Odkładają operację na dwadzieścia cztery godziny.

Daniel był już w holu, jeszcze chwila i odjedzie. Chciała za nim biec, ale nogi miała jak wmurowane. Nim zdołała się pozbierać, usłyszała trzask drzwi wejściowych. Kiedy zaś do nich dotarła, samochód, stojący na podjeździe, ruszył z miejsca i odjechał. Wróciła do holu.

Widząc jej twarz, Faye zapytała przestraszona:

- Sage, co ci jest? Co się stało?
- Nic-sklamiała słabo Sage. -Nic.

• Ciągle nie mogę w to uwierzyć, Scotcie... I pomyśleć, że ty przez cały czas wiedziałeś...

• Nie mogłem się tym z tobą podzielić - przerwał Scott - Obiecałem tatusiowi, że dotrzymam tajemnicy. I pamiętaj, Sage, myślałem, że twoja matka... nasza mamusia... może ci powiedziała i ty nie chcesz się ze mną kontaktować. Kiedy tatuś przyszedł z wiadomością, że z tobą rozmawiał przez telefon...

• Jesteś moim bratem - powtórzyła cicho Sage - bratem bliźniakiem. Dlatego wydawałeś mi się zawsze taki bliski...

• A ty mnie - zapewnił Scott. - Pod pewnymi względami byłeś mi tym bliższy, że wiedziałem... Ale dlatego też było mi trudniej, bo wiedząc, chciałem przebywać z tobą, dzielić z tobą życie...

• A teraz jesteś ojcem, masz dwóch synów... A ja mam dwóch bratanków - uświadomiła sobie nagle ze śmiechem, za którym kryły się łzy,

Znajdowali się wszyscy w Cottingdean. Scott i Lewis przyjechali poprzedniego wieczora i od pierwszej chwili Lewis wziął wszystko w swoje ręce. Był ciągle taki pełen życia, taki energiczny i męski, że Sage od razu zrozumiała, dlaczego mamusia zakochała się w nim tak łatwo. Stanowił taki uderzający kontrast w stosunku do Edwarda... Już jako dziewczynka Sage zdawała sobie sprawę, jaki Edward jest słabowity i jak bezustannej wymaga opieki i cierpliwości.

Musiało to być dla mamusi nieskończenie bolesne, kochać

Lewisa i wiedzieć, że nie może opuścić Edwarda. Poznawszy McLarena, Sage rozumiała to tym lepiej. Musi mu dać do przeczytania przynajmniej ostatni pamiętnik, żeby miał o tym pojęcie, zanim pojadą do szpitala...

Alaric Ferguson oznajmił im, że nie ma sensu, żeby siedzieli w szpitalu podczas operacji, ale Lewis, nie przyjmując tego do wiadomości, oświadczył, że on tam w każdym razie będzie. Widząc niepokój i lęk w jego oczach, Sage nie miała serca mu powiedzieć, że wszyscy chcą z nim dzielić to oczekiwanie. Czowała, że chce czuć przy mamusi sam... że wolaliby nie mieć świadków...

Jest jej ojcem, ona jego córką... Zdawała sobie jednak sprawę, że oboje są jeszcze niepewni łączącego ich stosunku, oboje mają momenty wahania... Oboje rozpamiętują przeszłość...

Trzy godziny przed operacją Lewis wyruszył do Londynu. Sage przyglądała się z mieszanymi uczuciami, jak odjeżdża. Godziny wlokły się po jego odjeździe. Szukając otuchy zbliżyła się do Scotta, który ją objął ramionami. Czowała się z nim taka swobodna, taka nieskrępowana. Zaskoczyło ją, z jaką łatwością przybrała do niego siostrzany stosunek. Poznanie prawdy uwydatniło całą różnicę między jej stosunkiem do Scotta a stosunkiem do Daniela.

Już w przeszłości pragnęła Daniela... Pewnie go kochała, tylko nie była w stanie dostrzec tego faktu. Zauroczenie Scottem zaciemniało jej jasność widzenia.

Powiedziała to bratu i musiała się roześmiać w głos na widok jego zdumienia.

- Kochasz Daniela Cavanagha? My utrzymujemy ze sobą kontakt, wiesz? Równy z niego facet, ale że wy ze sobą...

• Och, on mnie nie kocha - zapewniła go cierpko Sage. - Chociaż...

• Chociaż co?

• Chociaż mnie pożąda - oznajmiła żartobliwym tonem.

• Może on i jest przyjacielem, ale jeśli sobie wyobraża, że mu pozwolę spać z własną siostrą... - zaczął Scott.

Sage roześmiała się z jego oburzenia.

- Jestem dorosłą kobietą, Scotcie - przypomniała mu łagodnie. - Ale masz rację. Mój stosunek do Daniela jest zbyt emocjonalny, żebym mogła sobie z nim pozwolić na czysto seksualną przygodę. Byłoby to dla mnie zbyt upokarzające i bolesne. Wątpię, żebym potrafiła z dobrą miną przyjąć odrzucenie... Nigdy nie umiałam robić dobrej miny do złej gry-

Scott ją uściśnął.

• Kiedy się dowiedziałem prawdy, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo pragnąłem się tym z tobą podzielić. Ale tatuś obiecał twojej mamie, że ci nie powie. Uważała, zdaje się, że i tak byś nie uwierzyła, że uznałabyś to za kłamstwo użyte dla rozłączenia nas. A ponadto był Edward...

• Tak - przyznała Sage - mamusia miała chyba rację.

A potem, po śmierci Edwarda, kiedy już była starsza, nie bardzo dała jej okazję do zwierzeń. Nie zachowywała się zbyt zachęcająco. Teraz dopiero pojęła, że mamusia bardzo pragnęła wszystko jej powiedzieć, podzielić się z nią swoim bólem i tęsknotą.

- Czy on ją jeszcze kocha? - zapytała Scotta wprost.
- Tak. Nigdy nie przestał jej kochać. -
- Więc czemu, kiedy umarł tatuś... Edward... czemu do niej nie wrócił?

- Nie pozwoliła mu pewnie duma. Pamiętaj, że ona postąpiła z nim dosyć bezceremonialnie. Powiedziała, że go nigdy nie kochała. Uznał, zdaje się, że jeśli sytuacja się kiedykolwiek odmieni, to ona będzie musiała uczynić pierwszy krok.

Nie dopuszczał zapewne myśli, że mamusia może pragnąć, żeby do niej wrócił.

- A jednak tu jest...
- A ty byś nie przyjechała w podobnych okolicznościach? - zapytał Scott ze wzruszeniem w głosie.

Zamilkli oboje, przejęci wspólnymi myślami, wspólnymi uczuciami.

Gdyby знаła Scotta przez całe życie, gdyby z nim dzieliła przez wszystkie te lata podobną bliskość, czy byłaby inną osobą, pełniejszą, lepszą? Sage zastanowiła się chwilę, po czym musiała ze smutkiem przyznać, że pewno nie. Prawdopodobnie by go przytłaczała, terroryzowała emocjonalnie, byłaby w stosunku do niego zazdrosna i zaborcza. Zapewne lepiej, że dorastali oddzielnie, że przed odzyskaniem go rozumiała, iż żaden człowiek nie może, nie powinien górować nad drugim, posiadać go całkowicie, nawet z miłości. Dlatego zdolna jest teraz do uczucia takiej bliskości, takiej pełni.

Scott jest jej bratem bliźniakiem, jej drugą połową, ale łączą go również bliskie związki z innymi ludźmi, z ojcem, z żoną, z synami... Kiedy teraz opowiadał jej o nich i słyszała w jego głosie miłość i dumę, uzmysłowiło jej to tym namacalniej własną samotność i jej myśl pobiegła zdradziecko ku Danielowi. Ku Danielowi, który ją denerwuje, podnieca, doprowadza do rozpaczki... Ku Danielowi, który odwrócił się do niej plecami i wyszedł, nim mu mogła wytłumaczyć, że bynajmniej nie rozczuła się nad sobą, nie oddawała idiotycznemu rozpamiętywaniu przeszłości, marzeniom o Scotcie.

Daniel... Posmutniała na myśl, jak bardzo do niego tęskni, jak bardzo by pragnęła dzielić z nim te niepowtarzalne chwile.

- Pewnie tęsknisz za żoną i synami - powiedziała impulsive do Scotta. - Powinieneś być ich zabrać ze sobą.

Zrobiło jej się ciepło koło serca na widok jego zaskoczonej, uradowanej miny.

- Chciałem ich zabrać - przyznał - ale Averil uważała, że to zbyt trudny, zbyt szczególny czas dla naszej trójki... Dla tatusia, dla ciebie, dla mnie... Przesyła, oczywiście, ucałowania, a chłopcy, jak łatwo się domyślić, umierają z ciekawości. Averil wiedziała wszystko, chłopcy naturalnie nie... Nie mogą się doczekać, kiedy poznają ciocię, o której istnieniu nagle usłyszeli...

- Ja też się nie będę mogła doczekać - powiedziała ze śmiechem Sage. Jej śmiech się raptem urwał. - Czy mamusia wiedziała... wie, że masz żonę i dzieci?

Uzmysłowiła sobie, jaka bolesna musiała być dla niej świadomość, że ma syna i wnuków, których nigdy nie zobaczy.

- Wie - odparł po prostu Scott - ale nigdy ich nie widziała. Tatus i ona... - Wzruszył ramionami. - Za wiele jest między nimi goryczy, przynajmniej z jego strony. Uważałem, że muszę być wobec niego lojalny... No, i byłaś ty... Czulem, że nie mogę... Zdecydowaliśmy wspólnie, że najlepiej pozostawić sprawę tak, jak stoją.

- Zdecydowaliśmy we troje, że nie można mi zaufać - powiedziała Sage z przekąsem, ale bez gniewu.

Co za sens miałyby się teraz zżymać o rzeczy, które odeszły w przeszłość i których nie można odmienić? Zresztą, kto wie, czy ich wspólna decyzja nie była słuszna... Gdyby się dowiedziała prawdy, zanim dojrzała, by zrozumieć ogrom poświęcenia mamusi, bezmiar jej cierpienia, pewnie by się obróciła przeciw niej. W swojej napastliwej, młodzieńczej zaborczości szukałaby w niej i w Scotcie zbyt intensywnie oparcia emocjonalnego. Stawiałaby im niemożliwe wymagania, idealistyczne, nierealne żądania, które by zatruły ich wzajemne stosunki. Wtedy, przed laty, kiedy oskarżyła Daniela, że się cieszy, iż Scott ją rzucił, powiedział jej wprost i, jak wówczas uważała, z całym okrucieństwem, że jest niedojrzała emocjonalnie i szuka w miłości do Scotta rekompensaty za wszystkie rzekome krzywdy dzieciństwa. Że żąda od niego, by pełnił w jej życiu zbyt wiele ról, a jej prawdziwą, utajoną potrzebą jest pragnienie pogodzenia się ze sobą, polubienie siebie...

Wpadła wówczas w szal... Teraz rozumiała, jak prawdziwe i mądre były jego słowa.

Uśmiechnęła się melancholijnie do siebie. Gdyby ktoś jej powiedział w owym czasie, gdy tak wiele przebywała ze Scottem, jak jest naprawdę, gdyby ktoś jej wtedy powiedział, że za tym wszystkim kryje się zainteresowanie Danielem, ba, miłość do niego, uznałaby to za bzdurę. Jeszcze jeden dowód, jak mało znała siebie i innych.

Była teraz bardziej pogodzona ze sobą, niż uważała to kiedykolwiek za możliwe. Dla mamusi pozostała jej tylko miłość i współczucie... Także szacunek... Jej uczucia w stosunku do nowo poznanego ojca były mniej pewne, mniej określone... Uwierzył, że mamusia go nigdy nie kochała, skrzywdził ją dotkliwie... Rozumiała jednak, że i on się wiele naciępiął. Nie jej rzeczą jest osądzać jego postępowanie, potępiać błędy. Zobaczywszy jego twarz, kiedy skończył czytać ostatni pamiętnik, wiedziała, jak bardzo kochał i wciąż kocha mamusię...

Tak, jest pogodzona ze sobą bardziej, niż była kiedykolwiek... Ale wciąż pragnie Daniela. Nie tylko fizycznie... Także psychicznie, emocjonalnie... Tęskni, rwie się do niego... Pożąda go, kocha...

Dopiero teraz rozumiała, co znaczy kochać. Zastanowiła

się, czy na miejscu mamusi znalazłaby w sobie siłę na takie wyrzeczenie. Z drżeniem musiała przyznać, że chyba nie.

- Nachodzą cię duchy? - zapytał półzartem Scott. Pokręciła głową.

- Nie, myślałam o mamusi... Podziwiam siłę jej charakteru. Jest cudownym człowiekiem, Scotcie - powiedziała impulsywnie. - Kochała naszego... tatusia... do dziś go pewnie kocha, ale uważała, że Edward bardziej jej potrzebuje...

• Wiem - odparł łagodnie. - Pamiętaj, że ja też czytałem pamiętnik.

• Ta-ak... Kiedy będzie wreszcie ten telefon? Mama musiała już wyjść z sali operacyjnej...

• Chyba jeszcze nie. Przewidywali, że operacja potrwa sześć godzin. Jeszcze godzina. Dobrze, że się dowiedziałaś prawdy, zanim...

• Zanim będzie za późno... - dokończyła Sage zdławionym głosem. - O Boże, Scott. Nie myślisz chyba, że umrze? Nie przeżyłabym tego... Teraz... teraz, kiedy mam jej tyle do powiedzenia, kiedy chcę ją zapytać o tyle rzeczy...

• Jeśli tatuś cię do niej dopuści... On też będzie chciał uzupełnić braki w swoich wiadomościach...

Siedzieli przy stole udając, że jedzą obiad, który Jenny uparła im się podać, kiedy zadzwonił telefon. Pierwsza dopadła go Faye, podniosła słuchawkę.

- Operacja skończona - poinformowała wszystkich śpiesznie. - Mamusia zniosła wszystko dobrze. Możemy ją zobaczyć, chociaż Alaric Ferguson mówi, że jest jeszcze pod działaniem narkozy i pewno nas w ogóle nie pozna.

W drodze do szpitala prowadził Scott.

- Nie byłabym teraz w stanie skupić się na jeździe - przyznała Sage - chociaż wszyscy pamiętamy, jak to się skończyło, kiedy mnie wiozłeś ostatni raz...

Uśmiech, jaki jej posłał, mówił, że dawno jej wybaczył taką potencjalnie tragiczną nieostrożność.

Kiedy wchodzili do szpitala, Sage rzucił się w oczy tytuł na pierwszej stronie gazety.

„Prezes Towarzystwa Budowlanego Cavanagha podaje się do dymisji. Kontrowersja wokół nowej autostrady”.

Podbiegła do kiosku kupić gazetę. Scott czekał na nią niespokojnie.

- To Daniel - poinformowała go załamującym się głosem. - Ma, zdaje się, kłopoty. Nie mogę ci teraz wytłumaczyć...

Daniel musiał się podać do dymisji.... Przyjechał, żeby jej sam powiedzieć o zmianie trasy, a ona nawet nie pomyślała, jakie to dla niego trudne, jakie upokarzające... Może także rujnujące... Przypomniał jej się dwór i majątek, które kupił, ryzyko, jakie podjął, i mimo ulgi, że Cottingdean nie jest już zagrożone, zrobiło jej się przykro, że nie odbyło się to bez uszczerbku dla Daniela.

Po zgiełku ruchu ulicznego cisza szpitalna zdawała się pełna napięcia i niepokoju. Uzmysławiła, jak chwiejna jest równowaga między życiem a śmiercią.

Mamusia leżała w separacie na końcu skrzydła pooperacyjnego. Był z nią Lewis. Twarz miał zapadłą, lecz malowało się na niej uniesienie, gdy wyszedł im na spotkanie do małego korytarzyka.

- Obudziła się i poznała mnie - oznajmił głosem załamującym się z przejęcia. W oczach szklily mu się łzy radości.
- Śpi teraz, jest jeszcze oszołomiona po narkozie. Ale powinna się niedługo znów obudzić. Rozmawiałem z chirurgiem. Mówi, że jest bardzo silna i teraz, kiedy skrzep został usunięty, powinna w pełni wrócić do zdrowia. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że nie byli pewni, czy uda im się usunąć skrzep. Ale się udało i całkowite wyzdrowienie jest tylko sprawą czasu...

- Możemy ją zobaczyć? - przerwała mu niecierpliwie Sage. Jakby rozumiejąc jej niedowierzanie, Lewis kiwnął głową.
- Ale tylko na chwilę, pamiętaj.

Zaskoczyło i niemal ubawiło Sage, że przyjmuje decyzje tego człowieka z takim rozczuleniem i pobłażliwością. Ona, która się zawsze buntowała przeciwko wszelkim autorytetom.

Mamusia leżała z zamkniętymi oczyma, jej nieruchoma postać wydawała się niewiarygodnie mała pod sztywnym białym przykryciem. Sage przypomniała sobie natychmiast chwilę, gdy ją pierwszy raz zobaczyła w szpitalnym łóżku i uświadomiła sobie, że również mamusia jest śmiertelna.

Tak jak wówczas zalała ją fala miłości i lęku, tyle że teraz te uczucia były dojrzsze o nowo pozyskaną wiedzę. Długiego czasu potrzebowała, żeby osiągnąć tę dojrzałość, pomyślała melancholijnie. Zbyt długiego. Teraz, z perspektywy, nie mogła się nadziwić cierpliwości, jaką mamusia jej okazywała.

No, cóż, prawdziwa miłość jest zdolna do wielkiej tolerancji i wielkich poświęceń.

Sama nie zdając sobie sprawy, Sage wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni matki.

- Kocham cię, ma - szepnęła z wahaniem, nieświadomie używając pieszczotliwej formy, jaką niegdyś posługiwał się tylko Dawid.

Czy tylko jej się wydawało, czy też dłoń pod jej ręką rzeczywiście drgnęła? Spojrzała na twarz mamusi i zesztwniała widząc, że jej rzęsy zatrzepotały. Przymknięte powieki się uniosły i Sage ujrziała ponownie znajome szare oczy. Lecz o ile dotychczas postrzegała je jako zimne i krytyczne, wyzbyte miłości i odpychające, teraz zobaczyła, że w rzeczywistości są pełne niepokoju i troski, że pod powłoką rezerwy kryje się w nich miłość i czułość.

• Kocham cię, ma - powtórzyła - ale jeśli jeszcze raz zrobisz nam taki kawał, to ci nigdy nie przebaczę.

- Gotowa jesteś, Sage? - zapytał Scott.

Ponieważ przy Liz mogła pozostać tylko jedna osoba,

uzgodnili między sobą, że powinien to być Lewis. Jeżeli Sage miała jeszcze co do tego jakieś wątpliwości, zniknęły one, kiedy mamusia przebudziła się na dobre i Sage zobaczyła, z jakim wyrazem twarzy spojrziała na Lewisa.

Scott czekał, żeby odwieźć ich wszystkich, Sage, Faye i Kamilę, do Cottingdean, gdzie on i Lewis mieli pozostać, dopóki Liz nie powróci ze szpitala.

- Ja z wami nie wracam - oznajmiła Sage. - Muszę... muszę jeszcze coś załatwić... Muszę się z kimś zobaczyć...

W rękę ciągle trzymała gazetę, na którą spojrziała teraz nieostrożnie. Scott pobiegł za jej wzrokiem i oczy pociemniały mu ze współczucia.

- Chcesz do niego pojechać? - domyślił się. Sage kiwnęła głową.

- Tak.

Nie miała zamiaru wyjaśniać Scottowi, jakie zaszło między nimi nieporozumienie. Nie czuła potrzeby. Dość, że wie, iż kocha Daniela.

- Chcesz się zobaczyć z Danielem Cavanaghiem? - zapytała zdumiona Faye. - Przecież... Myślałam, że go nie lubisz... ?

- Nie lubię - potwierdziła sucho Sage. - Tak samo jak ty nie lubisz Alarica Fergusona.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenie, spojrzenie dwóch kobiet, które rozumiały się teraz znacznie lepiej, połączone wspólnotą niedawnej wyprawy w przeszłość.

Kamila przyjrzała im się badawczo, zbyt była jednak uszczęśliwiona udaną operacją babci, by je indagować. Zerkała ciekawie na Scotta. Jest bratem bliźniakiem cioci Sage. Jego tatuś i tatuś cioci był kochankiem babci wiele, wiele lat temu. Jakież to romantyczne! Romantyczne i podniecające! Zastanawiała się, czy zdoła kiedyś wyprosić zaproszenie do Australii. Zawsze marzyła o podróżach.

Sage przejechała taksówką w poprzek Londynu. Dopiero wysiadając zdała sobie sprawę, jak jest późno. Prawie jedenasta. Daniel mógł się już położyć. Przebiegł ją dreszczyk podniecenia, a koło serca zrobiło się ciepło.

Dosyć tego - zganiała się. Wyjaśniesz i przeprosisz. Będziesz się zachowywała jak osoba zaprzyjaźniona, nie jak

potencjalna kochanka... Oczywiście, jeśli cię w ogóle wpuści.

Wpuścił ją, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest zaskoczony.

- Sage... Co takiego cię sprowadza... ?

- Przeczytałam to - odparła, machając przed nim gazetą.

- Och, tak mi przykro, Danielu... Czy to z powodu kupna tego majątku musiałeś się podać do dymisji?,

- M u s i a ł e m się podać do dymisji? - Ku jej zaskoczeniu parsknął śmiechem. - Ty naprawdę myślałaś, że mnie do tego zmuszono? Zrobiłem to, bo chciałem. Kierowanie wielką korporacją, tkwienie po całych dniach za biurkiem, zajmowanie się sprawami administracyjnymi, podpisywanie

stosów papierków, o, to nie dla mnie, Sage. Czekałem na akceptację mojej dymisji od dłuższego czasu. Przyznaję, nie była to łatwa decyzja, przekazanie komuś innemu prowadzenia przedsiębiorstwa zbudowanego przez mojego ojca... Uważałem, że lojalność względem niego nakazuje mi przynajmniej podjęcie próby prowadzenia... Ale w końcu zdecydowałem, że zrozumie, że muszę pozostać wierny sobie, własnym ideałom i ambicjom.

- I co będziesz teraz robił? - spytała zmieszana Sage.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć. Mówi jednak tak przekonująco, ma tak pewną, swobodną minę, zachowuje się tak inaczej, niż się spodziewała... Jej wizyta, jak wiele innych podobnych gestów, podejmowanych pod wpływem impulsu, okazuje się zupełnie niepotrzebna, niemal idiotyczna. Wygląda, że jej współczucie, troska, przyjaźń są ostatnimi rzeczami, jakich Daniel sobie życzy.

- Będę robił to, co zawsze chciałem robić. Będę budował ekskluzywne, małe osiedla, pojedyncze wille, wszystko, co mi przemówi do wyobraźni. Kiedy firma została przekształcona w korporację, wyszedłem na tym bardzo dobrze. Nie muszę pracować, przynajmniej z finansowego punktu widzenia. Inna rzecz to potrzeba psychiczna, ale nie jestem maniakiem pracy. Mam także inne aspiracje w życiu. Chcę mieć żonę, rodzinę... Ale... Po coś ty tu właściwie przyszła, Sage? - zapytał zniechęcony.

Popatrzyła na niego zaskoczonymi oczyma. Otworzyła i zamknęła usta. Po co tu właściwie przyszła?

- Zdecydowałaś raptem, że marnujesz życie, wdychając do Scotta, tak? Doszłaś do wniosku, że chcesz czegoś więcej, niż może ci dać wyimaginowany kochanek?

Zrobiła się purpurowa ze wściekłości.

- Mylisz się z gruntu - odparła. - Jeśli chcesz wiedzieć...

• Urwała. - Po coś ty kupił ten dwór? - zapytała mściwie.

• Czy ze względu na budowę autostrady?

• Nie - odparł krótko - kupiłem go, bo chcę w nim zamieszkać. A twoje informacje były nieścisłe. Kupiły go nie Domy Heverowskie, tylko ja osobiście. A teraz przestań odwracać kota ogonem. Po coś tu przyszła?

• Nie dlatego że chcę iść z tobą do łóżka, jeśli to sobie wyobrażałeś - odrzuciła.

• Nie dlatego? - powtórzył ironicznie.

Wstał z fotela i podszedł do niej. Zbliżywszy się nie dotknął jej, tylko zapytał konwersacyjnym tonem:

• Dlaczego tak drżysz, Sage?

• Bo jestem... jestem na ciebie wściekła - przyznała w desperacji.

• Wściekła? - zastanowił się, nie spuszczać z niej oka.

- Zdaje się, spędzasz na wściekaniu się znaczną część życia, nie? Ścisłej mówiąc, marnujesz. Ale czy aby na pewno jesteś wściekła?

- Oczywiście, że jestem wściekła. Skoro spędzam znaczną część życia na wściekaniu się, jak uważasz, to powinnam

chyba wiedzieć, co czuję.

- No, powinnaś. Chyba że nie chcesz.

Stał tak blisko niej, że czuła na włosach ciepło jego oddechu. Wystarczy zamknąć oczy i oprzeć się o niego... Przebiegł ją gwałtowny dreszcz. Nie po to tutaj przyszła. A zresztą... zresztą Daniel nią gardzi. Uważa, że ona ciągle kocha Scotta... Cofnęła się o krok i powiedziała, siląc się na obojętność:

- Widzę, że się pomyliłam... Najwyższy czas na mnie. Ostatni pociąg...

Daniel zmarszczył czoło.

- O s t a t n i pociąg? A gdzie twoje auto?

- Scott nas przywiózł do Londynu. Po wyjściu ze szpitala pojechał z Faye i Kamilą z powrotem do Cottingdean, a ja przyjechałam prosto tutaj...

Urwała, zdając sobie sprawę, że za dużo ujawniła. Daniel jednak zauważył tylko jedno.

• Scott? Scott jest tutaj... ?

• Nie tutaj. W Cottingdean. - Widząc urazę w jego oczach, złapała go za rękaw i powiedziała błagalnie: - Posłuchaj, Danielu...

• Czego mam słuchać? Mój Boże, czy ty nie wiesz, że on jest żonaty? Jest żonaty i ma dwoje dzieci? Ty się nigdy niczego nie nauczysz! To nie mężczyzna dla ciebie...

• A może ty jesteś mężczyzną dla mnie? - wybuchnęła. - Jaki ty jesteś pewny siebie, Danielu! Jak śmiesz mnie w ogóle pouczać? I to teraz, kiedy...

• Kiedy co? Kiedy oboje dobrze wiemy, że choćbyś się nie wiem jak czepiała żalosnej iluzji, że wciąż kochasz Scotta McLarena, to naprawdę pragniesz mnie... ? Niech cię diabli, Sage! Kiedy ty wreszcie... ?

• Kiedy co wreszcie? Pójdę z tobą do łóżka? Nigdy! Nigdy...

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Otworzyła je jednym szarpnięciem.

- A co do Scotta - rzuciła porywczo - to wiedz... wiedz, że się okazał moim bratem... moim bliźniakiem... - Ku swojej rozpaczy stwierdziła, że głos ma zdławiony przez łyżę, duszące jej gardło, palące oczy. - Niech to cholera! - zaklęła pod nosem.

- Co? Coś ty powiedziała? - usłyszała za plecami głos Daniela, zmieniony przez zaskoczenie i wstrząs.

Nie miała zamiaru mu odpowiadać, chciała uciekać, lecz zamiast tego obróciła się do niego i chlipnęła niemal jak dziecko:

- Scott jest moim bratem, moim bratem bliźniakiem!

Nieoczekiwanie, jakby wiedział, co ona czuje, jego ramiona wyciągnęły się ku niej i objęły ją, przytuliły. Szlochała w gors jego koszuli spazmatycznie jak mała dziewczynka, kołysana przez te ramiona, z których płynęło ku niej ciepło i bezpieczeństwo, współczucie i tkliwość.

- To był taki wstrząs... Wszystko stało się tak nagle... Mamusia, operacja...

Wiedziała, że to, co mówi, nie ma zbyt wiele sensu, lecz Daniel zdawał się rozumieć.

- Ukrywała to przed tobą zapewne z najszlachetniejszych pobudek... Czy ty naprawdę myślałaś, że zostałem zmuszony do złożenia dymisji?

Zesztywniała w jego objęciach, słysząc pobłażliwe rozbowienie w jego głosie.

- Jeśli chcesz znać prawdę, tak myślałam - odparła sucho.

Wyswobodziła się z jego ramion, odsunęła się od niego.

- Nie przyszłam szukać u ciebie współczucia, Danielu... Ani niczego innego - dorzuciła z pasją. - Może cię i pożądam

• przyznała z goryczą - ale wierz mi, że jestem zdolna także do innych uczuć. Chociaż niby dlaczego miałbyś mi wierzyć?

• przyznała samokrytycznie. - Nie dałam ci nigdy podstaw, abyś uwierzył, że potrafię czuć coś innego. Jeśli cenisz mnie tak nisko, to pewnie dlatego, że sama się tak cenię... A przynajmniej ceniłam, bo to się już zmieniło... Przyszłam tutaj dzisiaj, bo się martwiłam o ciebie.

Podniosła wysoko głowę, spojrzała mu prosto w oczy i wyznała przez zaciśnięte zęby:

- Przyszłam, bo... bo... bo cię kocham i myślałam, głu-

pie, że może ci jest potrzebny ktoś... choćby ktoś taki jak ja... kobieta niezdolna do żadnych innych uczuć poza żądzą. Ale ty mnie nie potrzebujesz, Danielu, ty nikogo nie potrzebujesz... I chyba zrobiłam już z siebie dostateczną idiotkę, jak na jeden wieczór...

Odepchnęła go i zbiegła po schodach, nim ją zdołał zatrzymać. Na ulicy zatrzymała przejeżdżającą akurat taksówkę. Nie słyszała, że Daniel woła za nią:

- Wróć! Słyszysz!?! Czy ty nic nie rozumiesz!?! Potrzebuję cię... Ja też cię... kocham! Niech to diabli! - zaklął za odjeżdżającą taksówką.

Dzwonił do niej cztery razy następnego dnia, ale nie chciała podejść do telefonu. Niczego tak nie pragnął, jak być z nią, mówić, co czuje, ale był akurat w trakcie pertraktacji związanych z przekazaniem firmy swemu następcy i choćby nie wiem, jak chciał, nie mógł się zachować jak sztubak i uciec z zebrania rady nadzorczej.

Nie miał nawet czasu na pojechanie do Cottingdean, żeby z nią porozmawiać. Nie mogło być gorszego momentu... Gdyby się szybciej zorientował poprzedniego wieczora, gdyby ją zatrzymał, to wczoraj...

Odepchnął od siebie obrazy, które go zaczynały nachodzić, pół zdegustowany, pół ubawiony reakcją własnego ciała.

Nie pora pozwalać sobie na podobne myśli, kiedy ma wkrótce poprowadzić może najtrudniejsze zebranie w swojej karierze. Choćby go to nie wiem jak bolało, musi na razie odsunąć sprawy osobiste na bok. Przynajmniej na parę dni...

Parę dni. Westchnął ciężko. Będą mu się dłużyły jak miśsiące. Jak lata. Jak tu się skupić na interesach, skoro jedynym, czego pragnie, jest być z Sage?

- Co ci jest, kochanie? Jesteś taka zamyślona.

Sage uśmiechnęła się do mamusi. Gdy tylko lekarze wyrazili na to zgodę, przylecieli we czworo, z Lewisem i Scottem, na tę ekskluzywną wyspę na Morzu Karaibskim. Zamieszkali w willi, należącej do znajomego Lewisa i mieli tu spędzić miesiąc, żeby, jak to określał, „poznać się, jak na rodzinę przystało”.

Sage była pełna podziwu dla mądrości i wyrozumiałości żony Scotta, która z samozaparciem odmówiła przyłączenia się do nich wraz z chłopcami. Rozmawiając przez telefon z Sage, wyjaśniła, że uważa, iż powinni spędzić ten szczególny okres sami, we czworo.

- Nie będę się mogła doczekać, żeby cię poznać, Sage. Ale na razie będziecie mieli ze Scottem i rodzicami wiele osobistych spraw. Później przyjdzie pora na nasze spotkanie. Może przyjedziecie do nas obie z mamą na dłuższy urlop? Oczywiście, zapraszamy również Faye i Kamilę.

Była to jednak sprawa przyszłości. Tymczasem byli sami. Czworo ludzi połączonych więzami miłości i krwi, a przecież pod pewnymi względami zupełnie sobie obcych.

Sage obserwowała miłość swoich rodziców, wyczuwała miłość Scotta do żony, lecz mimo szczęścia, jakim ją napawało przebywanie z najbliższymi, mimo radości z pojednania się w końcu z mamusią, z przekonania się, że jest kochana, kochana z całego serca - mimo to wszystko czegoś jej brakowało, czuła jakąś pustkę, tęsknotę... Nie mogła zapomnieć Daniela.

Matka szybko spostrzegła, co się dzieje z Sage. Nie miały teraz przed sobą sekretów. Liz nie potrzebowała już dusić w sobie wielkiej miłości do córki, którą jej ofiarował Lewis. Córki, która jest tak do niego podobna. Odgarnęła delikatnie włosy z twarzy Sage, żeby ją lepiej widzieć.

- Kochasz go bardzo?

- Za bardzo - odrzekła z przejęciem Sage. - On mnie nie kocha, ale nawet gdyby mnie kochał, nie wiem, czy byłabym z nim szczęśliwa. Taka intensywność uczuć czyni mnie zupełnie bezbronną.

- Nie powinnaś się nigdy obawiać miłości, moja droga - upomniała ją delikatnie mamusia.

Sage posłała jej uśmiech.

- A ty nigdy nie żałowałaś, że pokochałaś Lewisa?

- Nigdy - odparła zgodnie z prawdą Liz. - Gdybym go nie pokochała, nie urodziłabym ciebie. Pragnęłam z nim być, no i zamartwiałam się o Scotta. Edward pozwolił mi dostawać jeden list rocznie, a Lewis był na tyle wspaniałomyślny, że mi skrupulatnie opisywał, jak zdrowo i szczęśliwie chowa się nasz syn. A nade wszystko miałam ciebie, wspaniałą, ukochaną córeczkę, która mi tak bardzo przypominała swego ojca. Tak strasznie się bałam, żeby Edward nie spostrzegł, jak bardzo cię kocham, i nie zechciał nas rozdzielić...

- W-wiem - wyjąkała wzruszona Sage.

- Niedługo wracamy do domu - przypomniała jej Liz.

- Jeszcze tylko kilka dni.

- Dopiero się zrobi sensacja na wieść, że ty i Lewis się pobieracie. Ciągłe nie jestem pewna, czy podołam temu wszystkiemu. Prowadzeniu Cottingdean i fabryki...
- Podołasz, podołasz-zapewniła ją ciepło mamusia.
- Ostatecznie jednak Cottingdean przejdzie na Kamilę.

- Tak - potwierdziła Liz. - Ona jedna ma w sobie krew Danversów, a obiecałam Edwardowi...

- Świetnie to rozumiem - zapewniła Sage.

Jeszcze niedawno, mimo całej miłości do Kamili, świadomość, że to jej bratanica, a nie ona, Sage, odziedziczy dom, bolałaby ją nieznośnie, otwierając stare rany, przypominając stare krzywdy, utwierdzając ją w przekonaniu, że jest niekochana.

- Wiedziała, że zrozumiesz.

- A tobie nie będzie żal zostawiać tego wszystkiego po tylu latach?

- I tak, i nie. Ja już swoje zrobiłam. Czas, żeby ster przejęły młodsze, pewniejsze ręce. Byłam tu zawsze tylko tymczasową zarządzającą. Wiedziało to Cottingdean, i wiedziała ja. Lewis miał w pewnym sensie rację, oskarżając mnie, że kocham Cottingdean bardziej niż jego. Oczywiście, nie kochałam bardziej Cottingdean, ale wiedziałam, że ono mnie potrzebuje. Tak jak potrzebował mnie Edward. Może byłam zbyt zadufana, uważając, że jestem niezastąpiona...

- Byłaś niezastąpiona - zapewniła ją Sage. - Ciągłe nie wiem, jak ja temu podołam...

- Podołasz... No, ale chodźmy. Lewis i Scott będą zachodzić w głowę, co się z nami dzieje.

- Chcesz powiedzieć, że tatuś szaleje za każdym razem, kiedy mu znikniesz z oczu na dziesięć minut - zażartowała Sage.

Rozumiała świetnie człowieka, który się okazał jej ojcem. I rozumiała teraz znacznie lepiej siebie, swoje uczucia i motywy. Nigdy nie zapomni tego miesiąca spędzonego z rodzicami i bratem, czasu uczenia się siebie, czasu potrzebnej im wszystkim wspólnoty, zadzierzgiwania więzi, które ich połączą w jedną rodzinę. Nie posiadała się z radości, że jej rodzice się pobiorą. Że Scott jest szczęśliwy w swoim małżeństwie... A jednak... jednak czuła się przy tym wszystkim samotna.

Daniel... Wszystko sprowadza się do Daniela... Do Daniela, którego kocha, a który nigdy nie pokocha jej. Co ona wyprawia, jaką wyrządza sobie krzywdę? Czy nie wynajduje sobie sama sytuacji odrzucenia, alienacji, beznadziejnego zakochania? Nie powtarza tego, co przeżywała z Edwardem, mamusią, Scottem?

Były to przygnębiające myśli, nad którymi nie chciała się zastanawiać.

Cztery dni później odlecieli z powrotem do Anglii. Rodzice mieli się pobrać po cichu, możliwie jak najszybciej. Załatwienie wszystkich spraw musiało jednak potrwać miesiąc, mamusia zrywała przeciw swoje więzy z Cottingdean. Po upływie tego czasu miała odlecieć do Australii, do Scotta

i jego rodziny... Odlatywała ze swoim nowym mężem, swoim kochankiem, ojcem swoich dwojga dorosłych dzieci.

Na lotnisku Heathrow przewalały się tłumy podróżnych. Czekala już na nich Faye z Kamila. Kamila miała tajemniczą i podekscytowaną minę, raz po raz posyłała Sage porozumiewacze spojrzenia i uśmiechy. Ona z nich wszystkich najłatwiej przyjęła zmiany, zaakceptowała Lewisa i Scotta jako członków rodziny. Wśród powitalnych uścisków i pocałunków szepnęła Sage, że jej mamusia spotyka się z Alarikiem Fergusonem.

- On za nią szaleje - poinformowała, szczerząc zęby. Dostał na jej punkcie kompletnego świra.

- A tobie się podoba? - spytała bratanicę Sage.
- Jest zupełnie niczego sobie - odparła niezobowiązująco Kamila.

Sage jednak widziała, że bratanica jest zadowolona z nowej znajomości matki. No tak, wszyscy zdawali się szczęśliwi z wyjątkiem niej. Spełniły się ich marzenia, mieli powody do radości. Wszyscy z wyjątkiem niej...

Podniosła wzrok i serce zamarło jej w piersi. O parę metrów od niej stał Daniel. Stał i przyglądał jej się. Wpatrzyła się w niego głodnymi oczyma. Daniel! Co on tutaj robi? Dokąd się wybiera? Rozejrzała się nieprzytomnie. Nie stoi w żadnej kolejce, nie ma żadnego bagażu. Mamusia, stojąca obok niej, popchnęła ją lekko.

- Podejź do niego - powiedziała.

Ma do niego podejść? Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale obejrzawszy się stwierdziła, że mamusia odchodzi z całą resztą rodziny na bok. Owładnęło ją uczucie, że się znalazła w nierzeczywistym świecie. Nie mogła oderwać wzroku od Daniela, mogła tylko stać i wpatrywać się w niego. A on się nie ruszał. Stał, przyglądał się jej i czekał.

Ma do niego podejść, powiedziała mamusia... Ma podejść... Zrobiła krok, potem drugi i raptem znalazła się w jego ramionach.

- Danielu'... Danielu...

Smak jego imienia zmieszał się ze smakiem łez.

• Nareszcie - usłyszała jego zdławiony głos. - Nareszcie... Czy ty wiesz, Sage, jak długo czekałem, żeby usłyszeć, kiedy tak wypowiesz moje imię? Czy ty wiesz?

• Jak wypowiem? - spytała, splatając miłośnie dłonie na jego plecach. - Jak wypowiem? - powtórzyła jak we śnie, nie dostrzegając rozbawionych i zaciekawionych spojrzeń otaczających ludzi.

• Jakbyś nagle odkryła, że nie możesz beze mnie żyć. Jakbyś zaznała smaku nieba. Jakbyś mi podawała na dłoni serce i wiązała się ze mną na wieki...

- 'I to wszystko? - szepnęła wyzywająco. - Myślałam, że powiesz, że je wypowiedziałam tak, jakbym cię kochała....

- A może nie?
- Co nie?
- Nie powiesz, że mnie kochasz?
- Czy to ważne?

- Ważniejsze niż cokolwiek na tym świecie! Kocham cię, Sage. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę spędzić z tobą resztę życia... Powiedz... Kochasz... ?

Tak, kochała go nad życie. I po raz pierwszy mu to wyznała.

- Skąd wiedziałeś, że dziś przylecimy? - spytała, gdy oboje nieco ochłonęli.

- Od Faye. Zamęczałem ją telefonami, ale uległa moim naleganiom dopiero, jak jej wyznałem, jak bardzo cię kocham. Ma charakter ta twoja bratowa.

- Prawda? - potwierdziła Sage z uśmiechem.

- I co, Sage, wyjdiesz za mnie? Jesteś gotowa związać się ze mną na śmierć i życie?

Posłała mu uśmiech, uśmiech doświadczonej, światowej kobiety,; za którego wyczerało jednak spojrzenie dziecka, dziewczynki, która doświadczyła tyłu odtrąceń, tyłu cierpień, dziewczyny u progu kobiecości, która już raz mu się ofiarowała, tak jak się ofiarowywała teraz, gdy powiedziała uwodzicielsko:

- Nie wiem, Danielu. Tak mało się znamy. Nie znamy się nawet... seksualnie.

- Chcesz, żebyśmy zaraz zostali kochankami?!

- Tylko jeśli ty tego chcesz - odrzekła i głos jej się załamał.

A Daniel wiedział, że myśli o tym poprzednim razem, kiedy mu ofiarowała dar swego ciała, dar siebie, a on go odrzucił.

- Chodź - zaprosił ją. - Chodź, Sage, udowodnię ci, jak bardzo...

Było cudowniej, niż się spodziewała. Cudowniej niż kiedykolwiek w życiu. Nie dlatego że Daniel okazał się wytrawnym kochankiem, nawet nie dlatego że ich ciała okazały się tak zestrojone, iż każda pieszczota wzmagała rozkosz do niewyobrażalnej potęgi. Nie, było to takie niezwykle dlatego, że łączyła ich miłość. Dlatego że pierwszy raz w życiu zaznali nie tylko rozkoszy ciała, ale i zaspokojenia uczuć.

- Kocham cię, Danielu - szepnęła, kiedy ją zamknął w ramionach.

Zdumiało ją, ile przyjemności sprawiło jej wypowiedzenie tych słów. Była jak pensjonarka, nastolatka po raz pierwszy odurzona, pijana smakiem miłości.

- Mmm, ja też cię kocham - odszepnął Daniel, po czym dodał czule: - Jesteś pierwszą kobietą, którą bym chciał trzymać całą noc w objęciach. Jedyną kobietą, którą pragnę kochać.

- Kłamczuch - zaśmiała się sennie Sage. - Przez tyle czasu nie chciałeś mnie kochać...

- Z początku nie chciałem - przyznał. - Walczyłem ze wszystkich sił z tym, co się ze mną działo.

- Ja też. Ale teraz koniec z walkami.

Sage poczuła, jak jego ciałem wstrząsa wybuch śmiechu.

- I ty w to wierzysz? - zapytał. - Będziemy się kłócili przez całe życie, Sage. I kochali przez całe życie. Będziemy się kochali i kłócili, i dzielili wszystko ze sobą. Byliśmy sobie od początku przeznaczeni, my dwoje...

- Kocham cię... Wiesz, nigdy nie myślałam, że powiem to jakimkolwiek mężczyźnie.

- A już najmniej mnie, tak?

- Najmniej tobie - przyznała. - Dziwne, jak rzeczy się czasami układają, prawda?

- Komiczne - zgodził się Daniel, całując ją czule. - Kocham cię, Sage, i cokolwiek się zmieni w naszym życiu, to na pewno nie to.

- Na pewno - potwierdziła.

Patrząc na niego, wiedziała, że to prawda. Powiodła palcem po jego wargach, potem go pocałowała. Odsuwając odrobinę usta, mruknęła niewyraźnie:

- Uważasz, że powinnam zacząć pisać pamiętnik, Danielu?

- Jeśli chciałybyś się zabrać do pisania, to na pewno nie teraz - odparł przyciągając ją. - Na pewno nie teraz!